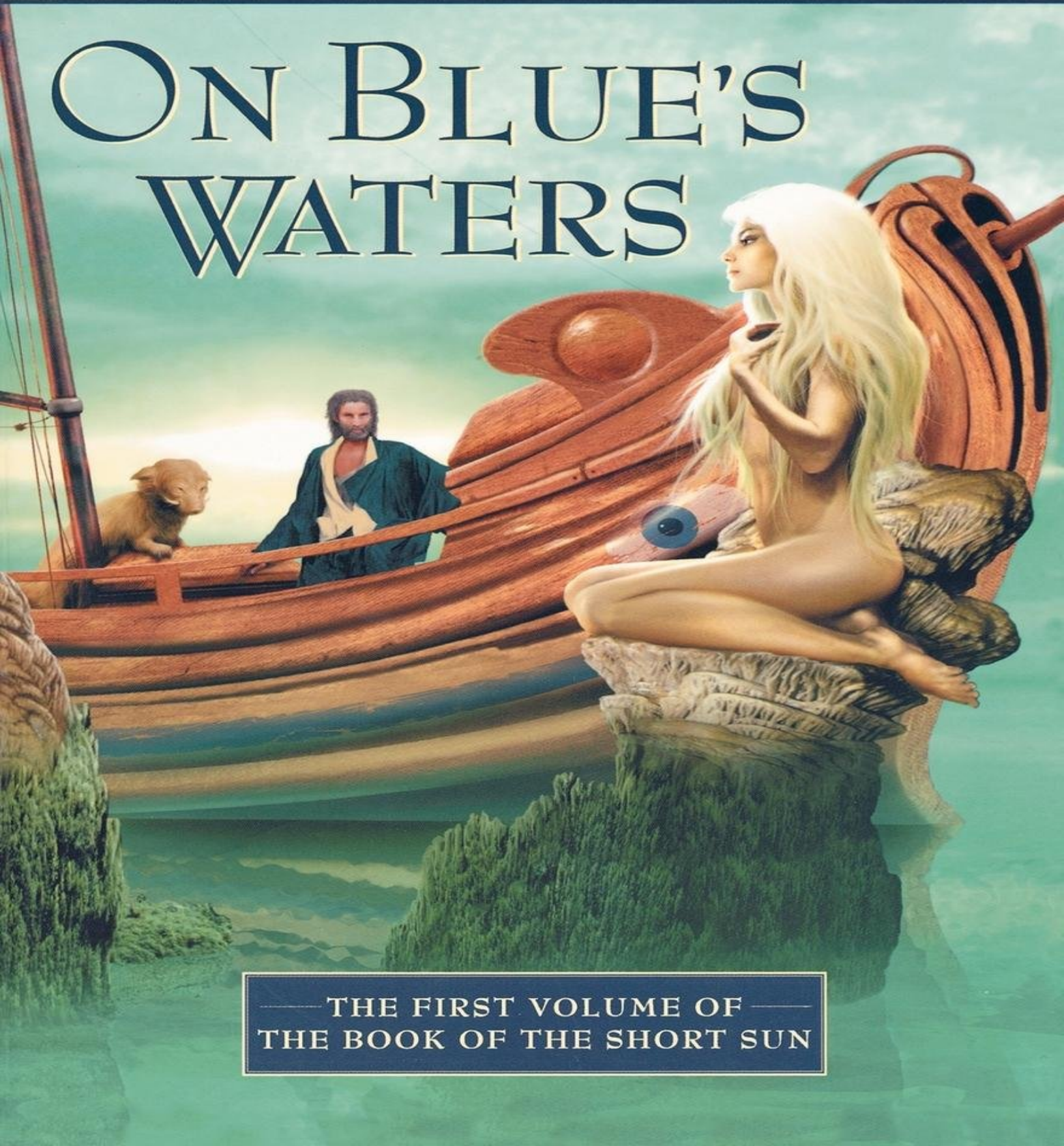


GENE WOLFE

ON BLUE'S WATERS



— THE FIRST VOLUME OF —
THE BOOK OF THE SHORT SUN

GENE WOLFE

NA WODACH BŁĘKITU

(ON BLUE'S WATER)

KSIĘGA KRÓTKIEGO SŁOŃCA (TOM I)

Przełożył Wojciech Szypuła

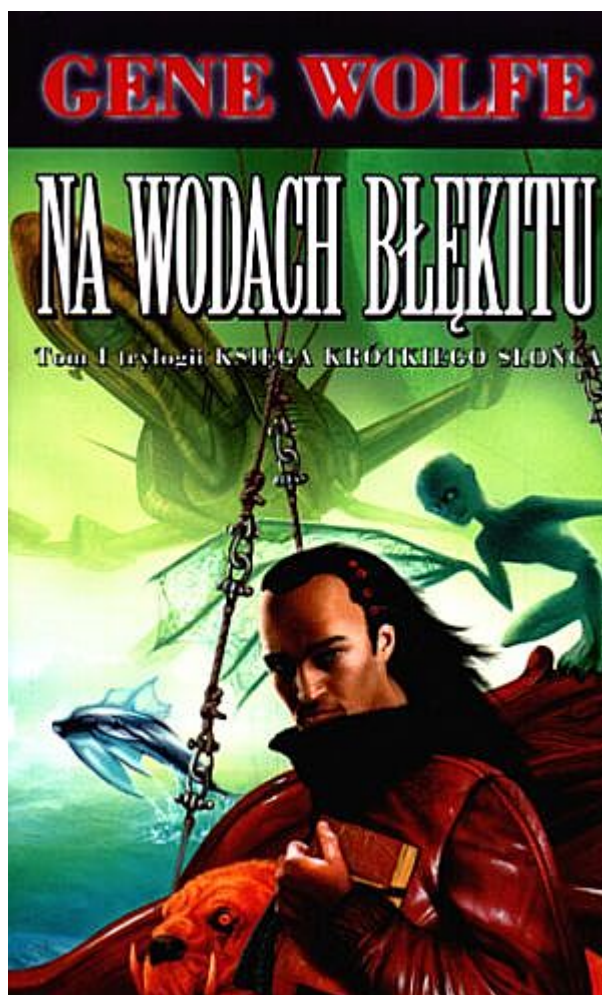


MAG: 2003

GENE WOLFE

NA WODACH BŁĘKITU

Tom I trylogii KSIĘGA KRÓTKIEGO SŁOŃCA



Spis treści

Karta tytułowa

NA WODACH BŁĘKITU

Dedykacja

Imiona i nazwy własne występujące w tekście

Do wszystkich miast:

1 Księga Roga

2 Cisza na morzu

3 Sybilla i czarownica

4 Opowieść o Pajarocu

5 Na zielonej równinie

6 Alga

7 Wyspa

8 Koniec

9 Krait

10 Obrączka

11 Kraj Ognisk

12 Wojna

13 Bracia

14 Pajarocu!

15 Ostatnie kartki

16 Północny zachód

Royowi i Mattowi z szacunkiem

Imiona i nazwy własne występujące w tekście

Wielu ludzi i wiele miejsc, pojawiających się w tej książce, występowało już w „Księdze długiego słońca”, do której odsyłamy Czytelnika. W zamieszczonym tu spisie najważniejsze nazwy i imiona wyróżniono WERSALIKIEM.

Acalypha — kobieta, która poleciała z Alką na ZIELEŃ.

Alubuchara — konkubina.

Alka — złodziejaszek z VIRONU.

BABBIE — oswojony hus.

Sahar — jeden z ministrów RAJANA.

Barsat — drwal.

Beled — nadmorskie miasto na BŁĘKICIE, założone przez mieszkańców Trivigaunte.

Białozór — kupiec z NOWEGO VIRONU.

BŁĘKIT — lepsza z dwóch nadających się do zamieszkania planet w układzie KRÓTKIEGO SŁOŃCA.

Brat — mały chłopiec mieszkający ze swą siostrą w lesie na północny zachód od GAONU.

Chandi — konkubina.

Ciotka Chmiel — jedna z sióstr POKRZYWY.

Choorą — długi, prosty, jednosieczny sztylet, ulubiona broń RAJANA.

Chota — przezwisko nadane WIECZORNEJ PIEŚNI przez inne konkubiny.

CZŁOWIEK Z HANU — władca HANU.

Darjan — chłopiec z GAONU.

Dziura — miasto nad morzem.

Echidna — ważna bogini, matka bogów WHORLA DŁUGIEGO SŁOŃCA.

GAON — niespokojne miasto w głębi lądu na BŁĘKICIE.

Geier — jeden z podróżników zebranych w PAJAROCU.

HAN — ludne miasto na południe od GAONU.

HARIMAU — obywatel GAONU, który sprowadził RAJANA do miasta.

Hefajstos — pomniejszy bóg we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Hiacynt — piękna żona JEDWABIA.

Hierax — ważny bóg we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA, bóg śmierci.

Iglica — skalisty szczyt na JASZCZURCE.

Jahlee — inhuma uwolniona przez RAJANA i WIECZORNĄ PIEŚŃ.

JASZCZURKA — wyspa na północ od NOWEGO VIRONU, na której znajduje się
papiernia ROGA.

Patere JEDWAB — calde VIRONU w czasie, gdy koloniści przesiadali się do
lądowników; zwany także Calde JEDWABIEM.

Kilhari — myśliwy z GAONU.

KRAIT — inhumi adoptowany przez ROGA.

Krakwa — kowal z NOWEGO VIRONU.

Krew — groźny bandyta; obecnie już nie żyje.

KRÓTKIE SŁOŃCE — gwiazda, wokół której krąży WHORL.

Krzak — gospoda w PAJAROCU.

Księga Jedwabia — arcydzieło literackie ROGA i POKRZYWY, zwane także Księgą długiego słońca.

Patere Kwezal — inhumi, który został prolokutorem VIRONU.

Kypris — bogini miłości we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Lal — chłopiec z GAONU, wnuk Mehmana.

Ląd — wschodni kontynent.

Jezioro Limna — duże jezioro na południe od VIRONU.

Magnezja — imię, które przyjęła maytere MARMUR.

Mahawat — poganiacz słońca RAJANA.

Mamelta — śpiąca kobieta uwolniona przez JEDWABIA; obecnie już nie żyje.

Matka — monstrualna bogini morza na BŁĘKICIE.

Maytere MARMUR — dawna sybilla, która udała się z kolonistami na BŁĘKIT, gdzie odnowiła swoje śluby. Jest chemem.

Mehman — ogrodnik w służbie RAJANA.

General Mięta — bohaterka rewolucji w VIRONIE, znana również jako maytere Mięta.

ALGA — jednoręka dziewczyna.

Mota — obywatel GAONU.

Moti — konkubina.

NADI — rzeka, nad którą leży GAON.

Namak — oficer w ordzie GAONU.

Nauvan — adwokat.

NOWY VIRON — miasto na BŁĘKICIE założone przez kolonistów z VIRONU.

Ogon — południowy cypel JASZCZURKI.

Oliwin — młoda kobieta-chem z VIRONU.

OREB — oswojony nocny kruk.

PAJAROCU — miasto-widmo na zachodnim kontynencie BŁĘKITU.

Pah — ważny bóg, ojciec bogów we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Pawian — skazaniec, dawno temu zamordowany przez Alkę.

Pehla — główna konkubina RAJANA.

Kapral Pięściak — żołnierz w armii VIRONU.

PLEŚŃ — młoda kobieta obdarzona zdolnościami paranormalnymi.

Patere Płetwa — poprzednik patere JEDWABIA.

POKRZYWA — żona ROGA.

Quadrifons — aspekt ZEWNĘTRZNEGO we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Racica — jeden z synów-bliźniaków ROGA.

RAJAN GAONU — narrator.

Rajya Mantri — główny minister RAJANA.

Ram — obywatel GAONU.

Rani — władczynie Trivigaunte.

Patere Remora — przewodniczący kapituły w NOWYM VI — RONIE.

Roti — obywatel GAONU.

Rozeta — kobieta-kupiec z NOWEGO VIRONU.

RÓG — papiernik z NOWEGO VIRONU, główny bohater opowieści.

Maytere Róża — starsza sybilla; obecnie już nie żyje.

Generał Saba — kobieta-oficer w ordzie Trivigaunte.

SĄSIEDZI — rasa rozumnych istot z BŁĘKITU.

Sciathan — lotnik, który towarzyszył JEDWABIOWI, ROGOWI i innym w podróży do Centralnego Procesora.

Scylla — ważna bogini we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA, patronka VIRONU.

Siostra — mała dziewczynka mieszkająca ze swym bratem w lesie na północny zachód od GAONU.

Generalissimus Siyuf — kobieta, dowódca ordy Rani.

Skany — miasto w głębi lądu, daleko od GAONU.

Sklerodermia — przyjaciółka maytere MARMUR; obecnie już nie żyje.

Skóra — jeden z synów-bliźniaków ROGA.

Ulica Słońca — szeroka, biegnąca skośnie aleja w VIRONIE.

Somvar — adwokat.

Kapitan Strik — znakomity żeglarz z Dziury.

Strup — kupiec z NOWEGO VIRONU.

SZPIK — kupiec z NOWEGO VIRONU.

ŚCIEGNO — najstarszy syn ROGA i POKRZYWY.

Świnia — najemnik z WHORLA DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Tamaryndo wiec — wdowa po handlarzu ryb.

Ta-od-jagód — żona Tego-od-owiec.

Tartaros — ważny bóg we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA, bóg ciemności i handlu, patron złodziei.

Ten-od-luku — jeden z podwładnych Tego-od-ognia.

Ten-od-ognia — kapitan lądownika w PAJAROCU.

Ten-od-owiec — myśliwy.

Ten-od-skór — obywatel PAJAROCU.

Ten-od-uroku — jeden z podwładnych Tego-od-ognia.

Thelxiepeia — ważna bogini we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA, bogini nauki, oszustwa i magii.

Toter — syn Strika.

Trivigaunte — miasto na pustyni, daleko na południe od VIRONU.

Trójrzecze — miasto w głębi lądu, niedaleko NOWEGO VIRONU.

Tuz — jeden z podróżników zebranych w PAJAROCU.

Urbasecundus — obce miasto niedaleko NOWEGO VIRONU.

VIRON — miasto we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA, w którym urodził się JEDWAB, RÓG, POKRZYWA i wielu innych ludzi; zwany też Starym Vironem.

Vulpes — adwokat z WHORLA DŁUGIEGO SŁOŃCA.

WHORL — statek wielopokoleniowy, z którego przybyli koloniści.

WHORL DŁUGIEGO SŁOŃCA — wnętrze WHORLA.

Wiązowiec — jeden ze skrybów RAJANA.

Wichote — wioska nad rzeką na zachodnim kontynencie BŁĘKITU.

WIECZORNA PIEŚŃ — konkubina podarowana RAJANOWI GAONU przez CZŁOWIEKA Z HANU.

Kapitan WIJZER — znakomity żeglarz z Dziury.

Yksin — podróżny, który obrabował i porzucił ŚCIEGNO.

Zachodnia Łapa — najdalej na zachód wysunięty półwysep JASZCZURKI.

Zciemnienie — nazwa nadana zachodniemu kontynentowi przez ROGA.

Zaginieni Bogowie — bogowie SAŚIADÓW.

Zaginiony Lud — SAŚIEDZI.

Zeehra — córka ogrodnika w służbie RAJANA.

ZEWNĘTRZNY — jedyny bóg, któremu JEDWAB ufa.

ZIELEŃ — gorsza z dwóch nadających się do zamieszkania planet w układzie KRÓTKIEGO SŁOŃCA.

Do wszystkich miast:

Tak jak Wy, porzuciliśmy przyjaciół, rodziny i blask długiego słońca na rzecz tego nowego whorła, który z Wami dzielimy. Gdybyśmy tylko mogli, chętnie pozdrowilibyśmy naszych braci w domu.

Od dawna pragnęliśmy to zrobić. Czy i Wy o tym myśleliście?

Ten-od-ognia, mieszkaniec naszego miasta, wiele lat pracował w miejscu, gdzie nasz lądownik wznosi dziób wysoko ponad korony drzew. Szary człowiek przemawia do Tego-od-ognia i do nas. Dał nam słowo, że jeszcze kiedyś poleci.

Wkrótce wzniesie się na słupie ognia i poszybuje niczym orzeł.

Moglibyśmy przycisnąć go do piersi i ukryć, ale myśliwi tak nie postępują. Jest wiele skórzanych łózek. Przyślijcie mężczyznę, który z nami poleci. Przyślijcie kobietę, jeśli taki jest u Was obyczaj.

Po jednym z każdego miasta tego nowego whorła. Kobieta albo mężczyzna.

Z nami ten, kogo przyślecie, wróci do naszego dawnego domu pośród gwiazd.

Nie zwlekajcie. Przyślijcie tylko jednego. Nie będziemy czekać.

Przekażcie nasze słowa innym.

Ludzie z PAJAROCU

1

Księga Roga

Ten stary piórnik, który zabrałem z Vironu, jest bez wartości. Zupełnie bez wartości. Można by cały dzień chodzić po bazarze i nie znaleźć żywej duszy, która dałaby za niego chociaż jedno świeże jajko. A jednak ma w sobie...

Wystarczy.

Tak, wystarczy. Dość tych bzdur.

W tej chwili znajdują się w nim tylko dwa pióra, gdyż trzecie wyjąłem. Te dwa były w piórniku, kiedy znalazłem go w zgliszczach naszego sklepu; trzecie — to, którym piszę — Oreb zgubił niedawno. Podniosłem je, schowałem do piórnika i zapomniałem, i o samym piórze, i o Orebie.

Jest też w piórniku nóż do ostrzenia piór i buteleczka czarnego atramentu (została go jeszcze ponad połowa). Teraz zanurzam w nim pióro i — widzisz? — moje pismo od razu staje się wyraźniejsze.

Chcę faktów. Potrzebuję ich jak powietrza. Niech Zielen pochłonie fantazje!

Mam na imię Róg.

Takich piórników używają studenci w Vironie, gdzie się urodziłem, i także zapewne w wielu innych miastach. Wykonano go z grubej tektury oklejonej czarną skórą; ma

mosiężny zawias ze stalową sprężynką i malutki zatrzask, też mosiężny. Sprzedawaliśmy je w naszym sklepie po sześć bitów, chociaż ojciec godził się i na cztery, jeśli kupiec się targował — a nabywcy tych piórników zawsze się targowali.

Nawet na trzy, jeśli przy okazji kupili coś jeszcze — powiedzmy, librę papieru do pisania.

Skóra jest mocno pościerana. Więcej faktów wkrótce, kiedy znów znajdę wolną chwilę. Rajya Mantri zaraz mnie złąja.

Przeoglądam właśnie to, co napisałem wczoraj, i widzę, że zacząłem bez żadnego planu, bez wizji, nie mając zielonego pojęcia, co i po co robię. Do wszystkiego w życiu tak się zabieram. Tak jakbym nie mógł jasno o czymś myśleć, dopóki nie zacznę tego robić. Najważniejszy jest początek — a potem najważniejsze staje się doprowadzenie sprawy do końca. Zwykle końcówka wychodzi mi gorzej od początku.

Wszystko jest w piórniku, trzeba tylko wyciągnąć atrament i ułożyć go w odpowiednie kształty. To wystarczy.

Gdybym nie znalazł tego starego piórnika w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się sklep mojego ojca, kto wie, może wciąż szukałbym Jedwabia?

Goniłbym za zjawą, która wymykała mi się na trzech whorlach.

Jest szansa, że Jedwab już jest tutaj, na Błękanie. Rozesłałem listy do Hanu i paru innych miast. Zobaczymy. Dochodzę do

wniosku, że to duża wygoda mieć posłańców na każde zawołanie.

Szukam więc, chociaż tutaj, w Gaonie, jestem jedyną osobą, która nie wie, gdzie go znaleźć. Poszukiwanie nie musi koniecznie się wiązać z przemieszczaniem. Myślałem — a raczej bezmyślnie zakładałem — że jest odwrotnie, i to chyba był mój pierwszy i zarazem największy błąd.

Kontynuuję zatem poszukiwania, wierny swej przysiędze. Wypytyuję podróżnych i piszę nowe listy, obmyślając pochlebstwa i groźby, którymi mam nadzieję przekonać to czy tamto miasto do pomocy. Mój skryba z pewnością podejrzewa, że i w tej chwili piszę jeden z tych listów; spodziewa się, że będzie go musiał, biedaczysko, przepisać swoim ślicznym, ozdobnym charakterem pisma na cienko wyprawionej owczej skórze.

Przydałaby się nam tu papiernia. Wiem, co mówię.

Szkoda, że nie ma tu Oreba.

Teraz, kiedy już wiem, o co mi chodzi, mogę zaczynać — ale nie od początku. Zajęłoby to zbyt wiele czasu i papieru, że o atramencie nie wspomnę. Zacznę więc (kiedy już zacznę) od zdarzeń, które nastąpiły na dzień lub dwa przed tym, jak wypłynąłem słupem na morze.

Do jutra przemyślę sobie, jak najlepiej opowiedzieć zawiłą historię moich długich, lecz nieudanych poszukiwań patere Jedwabia — mojego ideału, augura naszego manteionu przy ulicy Słońca w Świętym Mieście Vironie w brzuchu Whorla.

W czasach mojej młodości.

Pamiętam, że główny wał się rozszczepił. Wyjmowałem go właśnie z łożysk, kiedy wpadł jeden z bliźniaków. Zdaje się, że to był Skóra.

— Statek! Statek płynie! Wielki statek!

Wy tłumaczyłem mu, że pasażerowie będą zapewne chcieli kupić belę czy dwie i że matka może im je sprzedać, a ja nie jestem do tego potrzebny.

— Poza tym jest jeszcze Ścięgno.

Chcąc się go pozbyć, kazałem mu powiedzieć matce o statku. Kiedy wybiegł, wyjąłem ze schowka igłowiec i zatknąłem go za Pas. pod zatłuszczoną tunikę.

Ścięgno dreptał ciężkim krokiem po plaży w tę i z powrotem, rozgniatając pod butami śliczne muszelki — fioletowe, różowe i białe. Spojrzał na mnie spode łba, kiedy kazałem mu przynieść ze słupa sprawną lunetę. Gdyby miał dość odwagi, sprzeciwiłby mi się. Przez dobre pół minuty mierzyliśmy się wzrokiem, a potem sobie poszedł. Myślałem, że zniknie na dobre, że wypłynie na morze w swojej łódeczce i przez tydzień czy miesiąc nie będę go widział. Prawdę mówiąc, bardziej zależało mi na tym niż na lunecie.

Statek, którym przypłynęli, rzeczywiście był spory; pamiętam, że naliczyłem co najmniej tuzin żagli: dwa kliwry, po trzy żagle na każdym z ogromnych masztów i sztaksle. Nigdy wcześniej nie widziałem statku na tyle dużego, żeby między jego masztami dało się rozpiąć sztaksle, więc dobrze go zapamiętałem.

Ścięgno przyniósł lunetę. Zapytałem, czy chce pierwszy popatrzeć, ale mnie wyśmiał. Każda próba uprzejmego

potraktowania Ścięgna była z góry skazana na niepowodzenie i miałem ochotę kopnąć się w tyłek za moją propozycję. Uniosłem lunetę do oka. Byłem ciekaw, co robi Ścięgno, kiedy na niego nie patrzę.

Luneta była porządna, podobno z Dziury, gdzie mają dobrych żeglarzy i umieją szlifować soczewki (my w Nowym Vironie też byliśmy dobrymi żeglarzami — w każdym razie za takich się uważaliśmy — ale o produkcji soczewek nie mieliśmy pojęcia). Widziałem przez nią twarze stojących przy burcie ludzi; wszyscy patrzyli w stronę Zatoki Ogonowej, gdzie kierował się statek. Kadłub był biały nad linią wody i czarny poniżej — to też dobrze pamiętam. Tutaj, na Błękicie, morze jest srebrne — przynajmniej w miejscach, gdzie nie jest tak intensywnie niebieskie, że wydaje się, iż mogłoby zafarbować tkaninę. W niczym nie przypomina jeziora Limna, którego fale prawie zawsze były zielone.

Rzecz jasna dawno już przywykłem do srebrzysto-niebieskie — go morza Błękitu. Pewnie tylko dlatego teraz o nim myślę, że tu, w Gaonie, jestem od niego tak daleko. Kiedy tak siedzę przy tym ozdobnym gaońskim stole, wydaje mi się jednak, że wtedy, w lunecie, było świeże i czyste, jakby magia czarno-białego statku sprawiła, że cały Błękit stał się dla mnie nowy. Może zresztą tak właśnie było, bo łodzie są magiczne: to żywe istoty, choć zbudowane z drewna i żelaza przez zwykłych ludzi, takich jak ja.

— Pewnie piraci — burknął sarkastycznie Ścięgno.

Spojrzałem na niego kątem oka. Wyjął długi nóż myśliwski ze stalową rękojeścią i kciukiem sprawdzał ostrze. Nie umiał jeszcze ostrzyć noża (Pokrzywa musiała to robić za niego), ale udawał, że potrafi. Przez chwilę zastanawiałem się, czy gdyby

rzeczywiście na statku przybyli piraci, nie pchnęłyby mnie tym nożem i nie spróbował do nich przystać. Potem znów spojrzałem przez lunetę i wśród ludzi na pokładzie dostrzegłem kobietę; zwróciłem też uwagę, że jednym z mężczyzn jest stary patere Re — mora. Powinienem tu nadmienić, że dobrze znałem tylko jego i Szpika.

Poza marynarzami Białozora, którzy obsługiwali statek, na pokładzie znajdowało się pięcioro pasażerów. Chyba powinienem ich tu wymienić i opisać, na wypadek gdyby Pokrzywa chciała pokazać moje dzieło innym. Wiem, kochanie, że spisałaś się znacznie lepiej, nakreśliłaś ciekawsze opisy, tak samo jak wtedy, gdy pracowaliśmy nad „Księżą Jedwabia”. Nigdy nie posiadałem tej umiejętności w takim stopniu jak Ty.

Nie wątpię też, że pamiętasz ich lepiej ode mnie.

Białozór jest otyły, ma ruchliwe oczka, szlachetną twarz i szopę brązowych, leciutko siwiejących włosów. Statek należał do niego. Ledwie zszedł na brzeg, dał nam to jasno do zrozumienia, pamiętasz?

Strup jest wysoki i przygarbiony. Ma pociągłą, smutną twarz i cedzi słowa przez zęby, przynajmniej dopóki coś go nie poruszy. Był w naszym lądowniku, tak samo jak Szpik i Remora.

Kobieta przybyła później, zapewne w lądowniku Białozora. Nazywa się Rozeta. Ma poczucie humoru, tak jak Ty; to u kobiety rzadkość. Wiem, że ją polubiłaś. Ja też. Mówiła o swoich

farmach — musi ich więc mieć co najmniej dwie. Poza tym ma kompanię handlową.

Szpik jest wysoki i barczysty, nie tak gruby jak dawniej, w domu, za to bardziej łyсы ode mnie z tamtych czasów. Kiedy byliśmy dziećmi, miał na bazarze sklep spożywczy i stragan z owocami. O ile mi wiadomo, nadal handluje głównie owocami i warzywami. Nigdy nie słyszałem, żeby kogoś oszukał, wiem, że potrafi być hojny, ale nie spotkałem jeszcze człowieka, który by się lepiej od niego targował. Z całej piątki tylko Szpik pomógł mi, kiedy zostałem obrabowany w Nowym Vironie.

Jego Mądrość patere Remora jest naturalnie głową Odłamu Obrządku Vironskiego: dość wysoki, niezbyt muskularny, ma proste, siwiejące, ciut przydługie włosy. W Starym Vironie (jak my tu nazywamy Viron) był koadiutorem. To dobry i łagodny człowiek, nie tak bystry, jak mu się wydaje, i często nadmiernie ostrożny.

Nie pomieściliby się w naszym małym domu. Z Racicą i Skórą ustawiliśmy na plaży zaimprovizowany stół z desek ułożonych na skrzynkach, beczkach i belach papieru. Ściętno przyniósł krzesła, ja — stołki, z których korzystam w papierni, a Ty nakryłaś deski obrusem i podałaś skromny poczęstunek dla niespodziewanych gości. W ten sposób udało nam się całkiem przyzwoicie podjąć wszystkich, razem z marynarzami Białozora.

Szpik zabębnił palcami w deski, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nasi synowie i marynarze siedzieli na plaży; poszturchiwali się, szeptali między sobą i rzucali do srebrnej wody muszelki i kamyki. Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym

im wszystkim się wynosić. Nie czułem się jednak do tego upoważniony, a Szpikowi najwyraźniej nie przeszkadzali.

— Pozwólcie najpierw, że podziękuję wam obojgu za gościnność — zaczął. — Nie macie u nas żadnego długu wdzięczności. Przeciwnie, to my chcemy prosić was o wielką...

— To będzie dla was zaszczyt — przerwał mu Białozór. Widać było, że już się o to spierali.

Szpik wzruszył ramionami.

— Powinienem był zacząć od prezentacji. Znacie nasze imiona i choć żyjecie z dala od miasta, wiecie zapewne, że macie przed sobą pięcioro najbogatszych jego mieszkańców.

Remora odchrząknął.

— Nie... hmm... ja nie. Nie chcę się... hmm... kłócić, ale... aaa... nie ja.

— Wasza kapituła ma więcej szmalu niż każde z nas — zauważył oschle Strup.

— To nie moje, he? Tylko... hmm... opiekun.

Ożywcza słona bryza wzburzyła Remorze włosy, przez co wyglądał zarazem jak dureń i święty.

Rozeta zwróciła się najpierw do Ciebie, Pokrzywo, a potem do mnie: — Po prostu nasza piątka wykazała najwięcej sprytu w zmaganiach o władzę i pieniądze. Pragnęliśmy ich — i je zdobyliśmy. A teraz błagamy was, byście nas powstrzymali, zanim nawzajem popodrzynamy sobie gardła.

— Nie... hmm...

— On temu zaprzeczy, ale to i tak szczerą prawdą. Nasze pieniądze należą do nas: moje do mnie, Białozora do Białozora i tak dalej. Patere upiera się, że nie ma własnej fortuny, lecz tylko opiekuje się funduszami Kapituły.

— Brawo! Całkiem... aaa... hmm... Trafiałś w sedno.

— Co nie zmienia faktu, że Remora ma te pieniądze. A Strup prawdopodobnie nie myli się, twierdząc, że patere jest z nas wszystkich najbogatszy. I że ma wynajętych oprychów, chojraków, którzy na jedno jego skinienie skręcą kark komu trzeba.

Remora z uporem kręcił głową.

— Wśród wiernych jest wielu ludzi o... aaa... złotym sercu. Przyznaję to. Jednakże... hmm... my nie...

— Patere nie musi płacić swoim ludziom — wyjaśniła Rozeta. — My swoim płacimy.

— Jeśli to nieprawda, to co tu robisz? — zapytał Remora Strup.

Szpiak postukał w stół.

— Tacy właśnie jesteście. Rozumiecie już?

Spojrzałaś wtedy na mnie, kochana Pokrzywo, dając mi znak, żebym zabrał głos. Ale zdołałem wykrztusić tylko: — Raczej nie...

— Nie wiecie, po co tu przypłynęliśmy — mówił dalej Szpiak. — To zrozumiałe. Nie powiedzieliśmy wam. Ale to się wkrótce wyjaśni.

— Nowy Viron potrzebuje calde — warknął Białożór. — Nawet ślepiec by to dostrzegł.

Skinęłaś wtedy głową, kochanie.

— Miasto stało się paskudnym miejscem.

— Właśnie. Przybyliśmy na Błękit, żeby uciec od Dzielnicy Słońca, prawda? Od Dzielnicy Słońca i od Orilli. — Białożór zachichotał. — Zamiast tego przywieźliśmy je tu ze sobą.

— Nie chodzi tylko o przestępczość — dodała Rozeta — choć i tego nam nie brakuje. Studnie są zanieczyszczone, a ulice brudne.

— Jak w domu. — Białożór zaśmiał się.

— Gorzej. Brud i roje much. Szczury. Rzecz nie w tym, że zwykli mieszkańcy chcą mieć calde, chociaż faktycznie chcą. To my go chcemy. Wszyscy jesteśmy ludźmi interesu, kupcami, pośrednikami... Cwaniakami, jeśli wolisz.

— Muszę... aaa... — odezwał się Remora.

— No dobrze: wszyscy oprócz Jego Mądrości, który nie znosi nawet odrobiny fałszu. Tak w każdym razie twierdzi. — Rozeta uśmiechnęła się pogardliwie. — Pozostali chcą spokojnie prowadzić interesy, co w Nowym Vironie stało się w zasadzie niewykonalne.

— Z dnia na dzień jest coraz gorzej — dodał Szpik.

— Zgadza się, coraz gorzej.

— Czy ktoś z was nie mógłby zostać calde? — zapytałaś.

Białożór wybuchnął głośnym, tubalnym, szczerym śmiechem.

— Przypuśćmy, że jedno z nas jutro zostanie obwołane calde, na przykład stary, dobry Szpik. Chciałbyś tego, Szpiku, prawda?

— Z pewnością przyniosłoby to znaczącą poprawę — powiedziałaś.

Szpik Ci podziękował.

— Dla ciebie i twojej rodziny tak, Pokrzywo — zgodził się. — Ale dla nich? — Spojrzał na Białożora, Remorę, Strupa i Rozetę.

— Dla nich chyba też.

— Wcale nie. — Do tej pory Szpik tylko bębnił palcami o stół, teraz wyrznął w niego pięścią, aż szczęknęły nasze kubki i talerze. — Zagarnąłbym wszystko, na czym zdołałbym położyć rękę. Zrobiłbym co w mojej mocy, żeby ich zrujnować. I moim skromnym zdaniem... Dopiąłbym celu. — Z uśmiechem spojrzął na kobietę i trzech mężczyzn, których brałem za jego przyjaciół.

— A oni dobrze o tym wiedzą, moja droga. I na moim miejscu zachowaliby się tak samo, Pokrzywo.

— Potrzebny nam jest calde Jedwab — stwierdził Strup. — Ja pierwszy o nim wspomniałem.

— Przecież jest jeszcze we „Whorlu”, prawda? Poza tym... Nie, wolę tego nie mówić.

— W takim razie ja powiem. — Rozeta sięgnęła w poprzek stołu i położyła swoją dłoń na Twojej. — Calde Jedwab może już nie żyć. Opuściłam whorl szesnaście lat temu. To dość czasu, by umrzeć.

— Ehem! — chrząknął Remora. — Teokracja, hę? Proponowałem teokrację, ale oni jej... eee... nie chcą. Nie ze... aaa... mną. Ale... hmm, hmm... z patere Jedwabiem? Tak. O tak. Niezależny. I nadal jest augurem. Hę? Święcenia... aaa... niezbywalne. Więc tak... hmm. Zmodyfikowana? Złagodzona teokracja. My... eee... dwaj, razem. Wyrażam zgodę.

— Albo to, albo wojna — podsumował Białożór. — Tylko że wojna przyniesie zagładę miastu, a przy okazji pewnie i nam. Pokaż im list, Szpiku.

Wspólnie z Hari Mau sformalizowaliśmy pracę sądu. Wygląda na to, że do tej pory strony za wszelką cenę starały się stanąć przed obliczem rajana (bo taki tytuł nosił ich władca w przeszłości) i przedstawić mu swoją sprawę. Świadców albo wzywano, albo nie — i tak to szło. My natomiast wprowadziliśmy system — eksperymentalny, naturalnie, ale zawsze — w okolicznościach, w których jakikolwiek system musiał oznaczać poprawę. Nau — van reprezentuje powoda,

Somvar pozwanego — o ile powód lub pozwany nie zażyczą sobie, by było inaczej. Obowiązkiem Nauvana i Somvara jest dopilnować, by podczas procesu dowody I świadkowie byli na swoich miejscach. W sprawach kryminalnych sam wyznaczam oskarżyciela.

Czuję się jak Vulpes.

Będzie im trzeba płacić, rzecz jasna. Jednak groźba obowiązkowych opłat sądowych zachęci strony do zawarcia ugody, zatem sprawy finansowe powinny się jakoś ułożyć. Poza tym będą jeszcze grzywny. Szkoda tylko, że nie znam lepiej naszego virońskiego prawa, bo ci ludzie nie mają tu własnego.

Ale do rzeczy.

Położyłem lewą rękę na Piśmie Chrasologicznym, prawą wyciągnąłem w stronę krótkiego słońca i złożyłem przed Remorą przysięgę. Najchętniej bym o niej zapomniał. Nie pamiętam słów, których użyłem — nie muszę; udręka i bez tego jest nieznośna — ale nie potrafię zapomnieć, co przyrzekłem zrobić. A sumienie każdego dnia przypomina mi, że tego nie zrobiłem.

Koniec z listami! To farsa!

Białozór zaproponował, że zabierze mnie do Nowego Vironu. Podziękowałem mu, ale odmówiłem z trzech powodów, które wymienię tu, aby dały świadectwo stanu mojego umysłu w czasie gdy opuszczałem Jaszczurkę.

Po pierwsze chciałem porozmawiać spokojnie z rodziną. Woląłem nie poddawać ich — zwłaszcza Ciebie, moja kocha Pokrzywo — presji, jaką z pewnością wywieraliby na nich Szpik, Rozeta i Białozór.

Odczekałem najpierw do kolacji, a potem jeszcze trochę, aby uciszyć plotki i wyjaśnić wątpliwości wywołane wizytą pięciorga gości. Kiedy kroilem podaną przez Ściągnio pieczeń, zapytał, o czym rozmawialiśmy z Remorą i pozostałymi, kiedy oddaliliśmy się na sam koniuszek Ogoną.

— Słyszałeś naszą rozmowę — odpowiedziałem, krojąc mięso. — Wiesz, czego chcieli.

— Nie bardzo was słuchałem.

Westchnęłaś wtedy, Pokrzywo. Przypomniałem sobie, jak podsłuchiwałaś pod drzwiami, kiedy Jedwab konferował z dwoma radcami. Doszedłem — pochopnie — do wniosku, że słyszałaś również, o czym rozmawiałem na osobności ze Szpikiem i innymi, I czekałem, aż wyjaśnisz całą sprawę naszym synom, ale Ty powiedziałaś co innego: — Chcą, żebyśmy przestali pisać. Czy nie o to właśnie im chodzi?

Pomysł był tak absurdalny, że z najwyższym trudem zachowałem powagę. Nie roześmiałem się jednak, a Ty dodałaś: — Byłam przekonana, że to właśnie ich sprowadza. Nadal jestem. Spochmumiałaś, Rogu, a na co dzień jesteś przecież taki pogodny.

Nigdy się za takiego nie uważałem.

— Chcieli dostać papier na kredyt — wtrącił Racica. — W mieście źle się dzieje. Stokrotka niedawno stamtąd wróciła. Mówi, że to straszne miejsce.

— Sprzedałeś im papier na kredyt, ojczy? — zapytał Skóra.

— Nie — odparłem. — Ale sprzedałbym.

— Te kasetki z kartami... — Ściągnio wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Nie miałbyś wyboru.

— Mylisz się. — Wycelowałem w niego nóż, którym kroilem mięso. — Chciałbym, żeby jedno było jasne: nie muszę spełniać

ich zachcianek. Grozili mi, przynajmniej Białożór mi groził. A właściwie powinienem powiedzieć: próbował mi grozić, bo specjalnie się nie przestraszyłem. Może teraz próbowałby wyrzucić nacisk na nas wszystkich, ale jestem pewien, że gdybym chciał, po roku jadłby mi z ręki.

Ściągnął prychnął.

— Nie wierzysz mi? To dlatego że przez wzgląd na matkę zawsze traktowałem cię łagodnie. Zapewniam cię, że w mojej rodzinie było inaczej. W jej zresztą też. Czy przyznasz się do błędu. jeśli przed jutrzejszym zaciemnieniem będziesz mnie błagał o litość? — Uderzyłem trzonkiem noża w stół, żeby zaakcentować te słowa. — Masz dość odwagi?

Spojrzał na mnie wyzywająco. Nie odpowiedział. Jest najstarszy z naszych synów, ale mimo że go kochałem, nigdy go nie lubiłem. W każdym razie nie wtedy. Na Zieleni wiele rzeczy się zmieniło.

Jestem zresztą przekonany, że i on mnie nie lubił.

(Oczywiście Pokrzywa to wszystko dobrze wie).

— To gorsze od wszystkiego, co nam powiedzieli — mruknęłaś.

— A co właściwie powiedzieli? — zainteresował się Racica.

— Czego chcieli, matko? — zawtórował mu Skóra, jak to miał w zwyczaju.

Wtedy właśnie (jestem tego pewien) podałem Ci, kochanie, kawałek pieczeni, który dla Ciebie ukroiłem. To bardzo dziwne, ale dobrze pamiętam, jak wyglądał. Musiałem zdawać sobie sprawę, że dzieją się rzeczy niezwyklej wagi, i w jakiś sposób skojarzyłem je z tym udźcem zielonka.

— W pewnym sensie masz rację — powiedziałem, zwracając się do Ciebie. — To nasza książka ich tu sprowadziła, chociaż

dopiero zapędzeni w kozi róg przyznali się do tego. Ty, Racico, również się nie mylisz. Z roku na rok wszystkim żyje się coraz trudniej i coraz głodniej. Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?

Racica wzruszył ramionami. Bliźniacy są przystojni. Na mój gust bardziej przypominają Twoją matkę niż któreś z nas, chociaż wiem, że udajesz, iż uważasz ich za podobnych do mnie.

— Kiepska pogoda, mizerne zbiory. Coraz słabsze ziarno.

— Ten chudy o tym wspomniał — dodał Skóra. — To było nawet ciekawe.

Nałożyłem Ściągnu, który zawsze — w dobrych i złych czasach — potrafił zjeść konia z kopytami, gruby plaster mięsa z mnóstwem chrząstek.

— Dlaczego z każdym rokiem zbiory są coraz mniejsze? — zapytałem.

— Czemu mnie o to pytasz? Ja nic takiego nie powiedziałem.

— Co za różnica, kto to powiedział? Tak się składa, że to prawda, a ty, jako starszy od bliźniaków, powinienes być od nich mądrzejszy. Uważasz się za takiego, więc to udowodnij. Dlaczego spada wydajność upraw? A może byłeś tak zajęty rzucaniem kamieniami do wody, że nie miałeś czasu słuchać?

— Nadal nie rozumiem... — zaczął Racica.

— ... czego chcieli ci ludzie. Właśnie o tym mówimy.

— Dobre ziarno to ziarno z ładowników — odparł Ściągnu, cedząc słowa. — Wszyscy tak mówią. Ziarno, które farmerzy odkładają ze zbiorów na siew, jest dużo słabsze. Najgorzej jest z kukurydzą, ale i inne rośliny są do niczego.

Pokiwałaś głową, kochanie.

— Rzeczywiście, mówili o tym. Wiedziałam o tym już wcześniej; twój ojciec z pewnością również, ale Strup i Rozeta i

tak postanowili zrobić nam wykład. Skupmy się na razie na kukurydzy. To najważniejszy i najbardziej wyrazisty przykład. Dawniej, w domu, mieliśmy wiele odmian kukurydzy. Pamiętasz, Rogu?

Skinąłem z uśmiechem głową.

— Pamiętam co najmniej cztery odmiany żółtej, a niespecjalnie interesowałam się rolnictwem. Poza tym mieliśmy czarną, czerwoną, błękitną i kilka odmian białej. A wy, chłopcy, widzieliście kiedyś kukurydzę, która nie byłaby żółta?

Nikt nie odpowiedział.

Kiedy mówiłaś, kroilem dalej pieczeń. Nałożyłem po kawałku Racy i Skórze.

— W domu nigdy nie widziałem takiej kukurydzy, jak ta z naszych pierwszych zbiorów na farmie — dodałem. — Kolby na łokieć długie, nabite ogromnymi ziarnami. Później kolby były najwyżej długości mojej dłoni.

— Ostatnio na bazarach i w ogrodach znów pojawiły się takie duże.

— Zgadza się. Ci ludzie powiedzieli nam jednak coś, o czym nie wiedziałem: najlepszą kukurydzę uzyskuje się, krzyżując dwie odmiany. Jak łatwo się domyślić, krzyżówki bywają lepsze i gorsze, ale te najlepsze dają plony dużo wyższe od obu pierwotnych odmian, są odporniejsze na zarazę i potrzebują mniej wody.

Usiadłem i zacząłem kroić swój kawałek mięsa. Po minach Skóry i Racy poznałem, że nadal nic nie rozumieją.

— Można na przykład skrzyżować czarną kukurydzę z czerwoną, prawda, Rogu? — zapytałaś.

— Właśnie. Problem polega na tym, że te najlepsze cechy krzyżówki po roku zanikają. Drugie zbiory są zwykle słabsze od zbiorów z każdej ze skrzyżowanych odmian, i zawsze słabsze od zbioru sprzed roku.

— Nie mamy żadnych czystych odmian — mruknął Ścięgno. — Mamy dobre ziarno, ale dobre to nie znaczy czyste. — Odchylił się na krzesło, aż uderzył oparciem o ścianę. Zawsze mnie to denerwowało. — Bóg, który zappełnił ładownie ładowników, wrzucił do nich mieszane ziarno, prawda? Nie dał nam żadnych czystych odmian, żebyśmy nie mogli sami produkować nowych krzyżówek.

— To Pah — powiedziałaś. — Pah w swojej nieskończonej mądrości przygotował dla nas ładowniki. Możesz nie uznawać jego zasług, ale to wielki bóg.

— Może i był wielki we whorlu długiego słońca. — Ścięgno wzruszył ramionami. — Ale nie tutaj.

— Wszyscy ci bogowie, o których mówicie, zostali w domu — wtrącił Racica. — Tak jak Scylla i jej siostry.

Uśmiechnęłaś się wtedy tak smutno, Pokrzywo najdroższa, że żal było na Ciebie patrzeć.

— Są jednak piękne i prawdziwe — odparłaś. — Rzeczywiste jak moi rodzice i ojciec waszego ojca, choć ich też tu nie ma.

— To prawda — przytaknąłem. — Natomiast ty nie masz racji — dodałem, zwracając się do Racicy. — Z twoich słów wynikałoby, że Pah był bogiem tylko we whorlu długiego słońca.

W duchu się z nim zgadzałem, ale nie chciałem tego głośno mówić.

Ku mojemu zaskoczeniu — miłemu zaskoczeniu — Ścięgno stanął w obronie brata: — W każdym razie tutaj żaden z Paha

bóg. Nawet jeśli stary prolokutor w mieście mówi co innego.

— Może i tak, ale obaj zapominacie... Nie wiem, jak wam to wytłumaczyć. Nazywamy ten whorl Błękitem, a jego słońce krótkim słońcem.

— Owszem.

— Dawniej whorlem krótkiego słońca nazywaliśmy whorl, z którego przybyli nasi przodkowie. Wasza matka na pewno pamięta tę nazwę, ja zaś pamiętam, jak rozmawiałem z patere Jedwabiem o mądrości i wiedzy, którą tam porzucono.

— Opisaliśmy to w naszej książce — przypomnialaś.

— W rzeczy samej.

— Nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z kukurydzą — wtrącił Skóra, który od dłuższej chwili czekał na swoją szansę.

— Bardzo dużo. Chciałem właśnie powiedzieć, że to właśnie w tamtym poprzednim whorlu krótkiego słońca Pah napełnił ładownie lądowników. Wtedy był bogiem, i to prawdopodobnie najpotężniejszym. A skoro tam był bogiem, może nim stać się i tutaj, chociaż na razie tego nie uczynił, a w każdym razie nie dał nam się poznać jako bóg.

Nikt nie oponował.

— Pewnego wieczoru, kiedy patere Jedwab ukarał mnie za to, że się z niego naśmiewałem, rozmawialiśmy o osiągnięciach naukowych whorla krótkiego słońca. Opatrunek, który nosił na kostce, właśnie stamtąd pochodził. My nie umielibyśmy go zrobić, nie wiemy jak. Szkła, święte okna i całą masę innych cudów zawdzięczaliśmy Pahowi, który przeniósł je do naszego whorla z whorla krótkiego słońca. Tak jak chcemy: żywych ludzi z metalu i żaru słonecznego.

Ściągnął przestał się huścić na krześle (które grzmotnęło głucho o podłogę), ale nic nie powiedział.

Przełknąłem i ukroiłem sobie następny kęs.

— Zastrzeliłeś tego zielonka z łuku — stwierdziłem.

Pokiwał głową.

— Pomodłę się. Jeżeli któreś z was chce się przyłączyć, proszę bardzo. Jeśli wolicie po prostu jeść, to sprawa między wami i bogiem.

— Ojcie, ja... — zaczął Skóra.

Nakreśliłem znak dodawania nad moim talerzem, pochyliłem głowę i zamknąłem oczy. Poprosiłem Zewnętrzznego, którego Jedwab czcił bardziej niż innych bogów, aby pomógł mi dokonać mądrego wyboru.

Kiedy otworzyłem oczy i wróciłem do jedzenia, Racica zauważył: — Mówiliście o kukurydzy, a potem zmieniłeś temat. Zacząłeś opowiadać o różnych innych rzeczach, które mieliście z matką we whorlu.

— Obiecałeś nam powiedzieć, czego chcieli ci ludzie — upomniał się Skóra.

Uciszyłaś ich gestem.

— Wasz brat już chyba wie — powiedziałaś. — Prawda, Ściągnął?

Ściągnął pokręcił głową.

— Dlaczego ojciec wspomniał o twoim łuku? — zainteresował się Racica.

— Chodziło mu o to, że kiedyś mieli lepszy sprzęt. Pistolety kulowe, igłowce. W mieście robi się już pistolety. Ojciec ma igłowiec, sami widzieliście. Kiedyś dał mi go nawet potrzymać.

— Dam ci go na własność — powiedziałem. — Dziś, może jutro.

Ścięgno wytrzeszczył oczy. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Gdybyśmy umieli je produkować, na pewno mielibyśmy co jeść — stwierdził Racica.

— Nowe pistolety nie umywają się do starych — odparł Ścięgno. — Poza tym są dla nas za drogie, a koniunkcja zbliża się wielkimi krokami. Jeszcze dwa lata. Wy, szproty, nie pamiętacie poprzedniej.

— Zjawiła się banda inhumich i zabili masę ludzi — powiedział Skóra.

— Ale gdybyśmy mieli więcej igłowców i nowy pistolet, moglibyśmy z nimi powalczyć — dorzucił Racica.

Na co Ty — jestem prawie pewien, że to byłaś Ty, Pokrzywo, najdroższa — dodałaś: — Ten, który mamy, jest prawie całkiem zużyty.

Zapadła cisza. Chłopcy wzięli się do jedzenia, ja również udawałem, że jem z apetytem, chociaż nigdy w życiu nie byłem mniej głodny niż wtedy. Minęła minuta, a może i więcej, nim Ścięgno zapytał: — Dlaczego ty?

— Dlatego że to ja zbudowałem papiernię. I dlatego że nikt z mieszkańców Nowego Vironu nie znał patere Jedwabia lepiej ode mnie.

Ścięgno pokręcił głową i wrócił do jedzenia.

— A co to ma do rzeczy? — zdziwił się Skóra.

— Z pewnością bardzo dużo — odpowiedziałaś mu, Pokrzywo. — Pozwolisz, Rogu? Chyba wszystko dobrze zrozumiałam.

Zgodziłem się — nie pamiętam, czy coś powiedziałem, czy wykonałem jakiś przyzwalający gest, ale mówiłaś dalej: — Potrzebujemy nowego ziarna, Skóro. Co więcej, potrzebujemy

ziarna czystych odmian, żeby produkować odpowiednie krzyżówki. Przypuszczam, że można by je jakoś wydzielić z odmian, które mamy; jednak nawet jeśli ktoś już nad tym pracuje, zajmie mu to dużo czasu. Do najbliższej koniunkcji...

Ścięgno jak zwykle wszedł Ci w słowo: — Nie jesteśmy w stanie produkować nawet igieł, a to przecież zwykle metalowe drzazgi! Większość broni trzymanej po domach jest bezużyteczna, bo mało kto ma do niej amunicję. Wszyscy się martwią, co się stanie przy najbliższej koniunkcji. Osobiście uważam, że jakoś sobie poradzimy, tak jak poprzednio, ale co będzie później, przy następnej? Zostaną nam tylko łuki i włócznie. Czy ktoś z was zamierza do tego czasu umrzeć? — Nikt się nie odezwał. — Ja też nie.

— Kiedy opuściliśmy whorl krótkiego słońca i weszliśmy na pokład „Whorla”, ogromna część wiedzy przepadła bezpowrotnie — powiedziałem. — Zdaniem mędrców we „Whorlu” przeżyliśmy jakieś trzysta lat, ale nie udało się nam jej odzyskać. Jak zauważył Ścięgno, w tej chwili cofamy się jeszcze bardziej.

Ścięgno skłonił mi się z udawanym szacunkiem.

— Nawet gdyby chodziło tylko o broń, nasza sytuacja byłaby tragiczna, ale są i inne sprawy, problemy, o których nie wspomniałem.

— Mamy przecież jakąś wiedzę — zauważyłaś. — Choć zapewne niewystarczającą. Ludzie z innych miast wylądowali tu i żyją rozsiani po całym whorlu. Gdybyśmy spotkali się i zebrali wszystko...

Pokiwałem głową. (Wydawało mi się, że wcale nie patrzę na Pokrzywę, a jednak teraz, pisząc, wyraźnie widzę w wyobraźni jej zmęczoną, poważną twarz).

— Być może. Do tego jednak potrzebne byłyby szkła, tymczasem nie mamy nawet świętego okna w naszym Wielkim Manteionie.

— Seriola mówi, że stary prolokutor usiłuje zbudować święte okno — wtrącił Skóra.

— Usiłuje! — powtórzył szyderczo Ścięgno.

Udałem, że ich nie słyszę.

— Jeżeli nie mamy szkieł, to przydałyby się skrzydła, takie jak mieli lotnicy — ciągnąłem. — Albo statki powietrzne, jak w Trivigaunte.

Od kilku godzin próbuję odtworzyć z pamięci naszą wieczorną rozmowę, kochanie. Tak samo przypominaliśmy sobie przemowy Jedwabia, kiedy pisaliśmy naszą książkę. To zajęcie budzi wiele ciepłych wspomnień, ale z pewnością pamiętasz tamtą kolację lepiej ode mnie i będziesz umiała dopowiedzieć sobie resztę. Ja kładę się spać.

Przez trzy dni nie miałem okazji nic napisać na tych udających książkę kartkach. Zacząłem bez pomocy Pokrzywy. To chyba akurat niewielka strata; Pokrzywa i tak nigdy tego nie przeczyta. A jeśli nawet, to na pewno będę wtedy przy niej, a wówczas ta pisana relacja stanie się zbędna. Być może Pokrzywa zechce pokazać ją innym, o czym już wspomniałem. Czyż mieszkańcy naszego miasta nie mają prawa wiedzieć, co się stało z emisariuszem, którego posłali po Jedwabia? Czyż nie powinni usłyszeć, jak i dlaczego zawiódł ich zaufanie? Jeżeli będę kontynuował to dzieło, to z założeniem, że jest

przeznaczone dla obcych. Może kiedyś ludzie będą je po wielokroć kopiować, tak jak kopiowali naszą książkę — tę, przez którą się tu znalazłem.

Nasz dom i papiernia stoją na wyspie zwanej Jaszczurką, o czym powinienem był dawno napisać. Jaszczurka zawdzięcza swą nazwę podobieństwu do zwierzęcia o tej nazwie (to zwróciło naszą uwagę od razu, gdy tylko zobaczyliśmy ją z pokładu lądownika), nie zaś temu (jak podejrzewają niektórzy), że pierwszym osadnikiem był mężczyzna o takim imieniu. Taki człowiek nie istnieje.

Łeb Jaszczurki przypomina kształtem trumnę. Cztery łapy są wyprostowane, palce rozczapierzone. Piaszczysta mierzeja ogona zakrzywia się ku morzu, a potem na północ, osłaniając przed falami Zatokę Ogonową, dokąd spławiamy nasze bale drewna. Długie pasmo granitowych wzgórz tworzy grzbiet Jaszczurki; najwyższy szczyt, Iglica, znajduje się nieopodal nasady ogona. Tam właśnie bije źródło, z którego wypływa strumień płynący wartko w dół stromym korytem i zasilający papiernię. Nasz dom został zbudowany w pewnej odległości od morza, natomiast papiernia stoi na palach w zatoce, co ułatwia transport drewna.

Niech no pomyślę... Co jeszcze?

Głowa Jaszczurki jest zwrócona na północ. Papiernia i dom stoją po nawietrznej stronie wyspy — strumień wymusił taką ich lokalizację. Od zawietrznej znajduje się wioska rybacka, również zwana Jaszczurką. Składa się z sześciu domów, zamieszkanym przez naszych najbliższych sąsiadów. Wyspa

leży spory kawałek na północ od Nowego Vironu: przy sprzyjającym wietrze do miasta żeglujecie się cały dzień.

Tego wieczoru, stojąc pod krytym gontem dachem, przypomniałem sobie, jak wyglądała nasza wyspa dwadzieścia lat wcześniej, kiedy ujrzałem ją z lądowika. Jaka wydała mi się wtedy maleńka! I jaka piękna! Zielono-szara jaszczurka, leżąca nieruchomo na błękitno-srebrnym morzu. Aż mi się serce ścisnęło, gdy pomyślałem, że gdybyśmy umieli zbudować statek powietrzny, taki jak miała generał Saba, mógłbym znowu ją taką zobaczyć.

I znów, chociaż na chwilę, poczuć się młodo. Wiele bym dał za to, żeby znów, jak dawniej, być chłopcem, przy którym stoi młodzieńca Pokrzywa.

Czas do sądu. Wieczorem jeszcze coś napiszę. Taką mam nadzieję.

To trudna sprawa. Nie znam się na prawie. Każdą sprawę osądzam w oparciu o panujące zwyczaje i zdrowy rozsądek, bez żadnych kodeksów — chociaż prawo virońskie i tak nie miałoby tu mocy.

Miałem właśnie pisać o moim odjeździe i o tym, jak Ścięgno przyszedł ze mną porozmawiać, kiedy wracałem Ogonem do domu. Skakał z kłody na kłodę z energią i zręcznością, których mogłem mu tylko pozazdrościć. Kiedy zdyszany znalazł się przy mnie, zapytał, czy nadal rozważam możliwość wyjazdu. Wyjaśniłem mu, że nie zastanawiam się już nad tym, czy

powinienem jechać, lecz nad tym, kiedy opuścić dom i co ze sobą zabrać.

Uśmiechnął się szeroko i zatarł ręce jak sklepikarz.

— Wiedziałem! Myślałem o tym przed snem. Znam cię dobrze. Nagle dotarło do mnie, że nie ma się nad czym zastanawiać, że już podjąłeś decyzję i tylko zastanawiasz się, jak delikatnie zakomunikować ją mnie i mamie. A wiesz, jak się domyśliłem?

— Widziałeś, jak składałem przysięgę. Chyba nie ty jeden.

Miałem powody przypuszczać, że przysięgi niewiele dla Ścięgna znaczą; domyślałem się jednak, że rozumie, iż ja dane słowo traktuję bardzo poważnie.

— A wiedziałeś, że przeczytałem waszą książkę?

Odparłem, że tak.

— Przylecieliście tu z mamą tylko dlatego, że Jedwab wam kazał. Mimo że sam z wami nie poleciał. Kiedy sobie to przypomniałem, byłem już pewien, że pojedziesz.

— To nie to samo.

— Właśnie, że tak. Mieliście tu przylecieć, bo bóg tak chciał, ten najważniejszy, z whorla długiego słońca. Stary prolokutor i ta wiedźma chcą, żebyś go tu sprowadził. To o to naprawdę chodzi, nie o kukurydzę ani o igłowce. Jesteś taki sam tutaj, jak byłeś tam, na górze. Mama też.

Pokręciłem głową.

— Najważniejsze to znaleźć Jedwabia i — o ile jeszcze żyje — namówić go, żeby rządził Nowym Vironem. Kukurydza i umiejętności niezbędne do produkcji szkieł i igłowców, jak również wielu innych rzeczy, też się liczą, ale są drugorzędne. Co do sprowadzenia Paha Wielkiego... Nikt o tym nie

wspominał; gdyby to zrobił, zostałby wyśmiany. Lepiej już rozważyć możliwość ściągnięcia do nas jeziora Limna.

— Ale przecież do tego się to wszystko sprowadza. — Ściągnęno wyszczerzył zęby w uśmiechu. Podszedł bliżej, tak że czułem na twarzy jego oddech. — Jedwab został współnikiem tego całego Paha, prawda? Dziewczyna Paha go do tego namówiła.

— Tego nie wiem. Ty również nie.

— No dobrze, odszedł z tym latającym człowiekiem i nie pozwolił ci się przyłączyć. Tak z mamą napisaliście.

— Tak napisaliśmy, bo tylko tyle wiedzieliśmy. — Wzruszyłem ramionami. — I od tamtej pory wcale nie staliśmy się mądrzejsi.

— Ale tak właśnie było! I dobrze o tym wiecie. Kto na jego miejscu by tego nie zrobił? No więc, kiedy go tu ściągniesz, będziemy mieli wodza, który jest kumplem potężnego boga. Mówisz, że sam nie mógłbyś sprowadzić boga; to zrozumiałe. Ale jeśli ten Pah naprawdę jest bogiem, może zjawić się tutaj albo gdziekolwiek indziej, kiedy tylko zechce!

Nie odpowiedziałem.

— Wiesz, że mam rację. Popłyniesz słupem? Bo jeśli tak, to będziemy musieli zbudować sobie nowy. Zresztą ten i tak jest za mały.

— Tak.

— Widzisz? Popłyniesz. Wiedziałem. Co powiesz przy śniadaniu? Ręka do góry kto jest za?

Westchnąłem ciężko. Właśnie podjąłem ostateczną decyzję: zabieram słup.

— Chciałem zapytać każde z was, co waszym zdaniem powinienem zrobić. Zacząlbym od Skóry, a skończył na matce. Miałem nadzieję, że do tego czasu wszyscy zgodzicie się, że

związany przysięgą muszę popłynąć, chociaż i tutaj bardzo bym się przydał.

Z ulgą odwróciłem się do niego plecami i ruszyłem dalej. Ściągnął mnie jak źle ułożony szczeniak.

— A jeśli mama każe ci zostać?

— Nie każe. Miałem nadzieję, że żaden z was też nie będzie się przy tym upierał. Gdyby jednak tak się stało, zamierzałem ponownie przedstawić mu moje racje i go przekonać. Mówię „go”, bo protestowałyby albo bliźniacy, albo ty. Pokrzywa nie.

— Podoba mi się to. — W świetle gwiazd na jego twarzy odmalowała się radość. — Mama wyprowadzi się do ciotki Chmiel, a my ze szprotami poprowadzimy interes.

— Matka zostanie tutaj, żeby wszystkiego dopilnować. Ciebie też. Ty będziesz doglądał papierni i dokonywał napraw, ona zajmie się handlem. Mam nadzieję, że obojgu wam wystarczy rozsądku.

Przez chwilę miałem wrażenie, że zaprotestuje, ale nic nie powiedział.

— Masz pojęcie o maszynierii i znasz cały proces produkcji — ciągnąłem. — A w każdym razie miałeś aż nadto okazji, żeby go poznać. Środka bielącego powinno wam wystarczyć na sześć miesięcy, może nawet na dłużej, jeśli nie będziesz zbyt rozrzutny. Do tego czasu mam zamiar wrócić. Ostrożnie udzielajcie kredytów, ale jeszcze ostrożniej ich odmawiajcie. Nie kupuj drewna, którego nie widziałeś, ani szmat, których nie miałeś w ręku. — Roześmiałem się, udając przyływ ciepłych uczuć. — Drogo mnie kosztowało zdobycie tej wiedzy, ale tobie oddaję ją za darmo.

— Ojciec...

— Jeżeli jest coś, co chciałbyś wiedzieć o papierni albo produkowanych w niej odmianach papieru, pytaj teraz. Rano nie będzie czasu.

Wróciliśmy na czubek Ogona, gdzie składałem przysięgę. Stanęliśmy w miejscu, w którym kamienie i szorstki żwirek kończyły się i dalej ciągnął się już tylko usłany muszelkami piasek, z rzadka upstrzony kawałkami drewna wyrzuconymi przez wiecznie niespokojne fale. Wyjąłem igłowiec i podałem go Ściągnu. Powiedziałem mu, że zostały w nim tylko pięćdziesiąt trzy igły i powinien rozwaźnie się nim posługiwać.

Nie chciał go przyjąć.

— Tobie będzie bardziej potrzebny, ojcie, w podróży do... do...

— Do Pajarocu. To nazwa miasta, o którym nikt nie wie, gdzie leży. Pewnie gdzieś w głębi lądu, chociaż mam nadzieję, że nie. Podobno jego mieszkańcy wyszykowali lądownik i chcą wrócić przez otchłań do whorla. Zaproponowali, że wezmą jednego pasażera z Nowego Vironu.

— Ciebie.

— Nikt nie znał Jedwabia lepiej ode mnie — stwierdziłem i, wiedziony uczciwością, dodałem: — Może poza maytere Marmur, teraz nazywaną Magnezją.

Ponownie podałem igłowiec Ściągnu.

— Zatrzymaj go — odparł. — Przyda ci się.

— Mówi się też, że maytere Marmur nie byłaby w stanie wyruszyć w taką podróż. Kiedy przybyliśmy tu dwadzieścia lat temu, była już bardzo stara. — Próbowałem wymyślić jakiś dobry argument, ale uświadomiłem sobie, że moje argumenty nigdy nie trafiały Ściągnu do przekonania. — Jeżeli go nie weźmiesz, wyrzucę go do morza — zagroziłem.

Ledwie wziąłem zamach, jakbym chciał naprawdę spełnić moją groźbę, a już skoczył na mnie jak śnieżna pantera. Złapał igłowiec. Oddałem mu go, wstałem i otrzepałem się z piasku.

— Kiedy nie noszę go przy sobie, trzymam go w papierni — mówiłem dalej. — To bezpieczne miejsce; wy, dzieciaki, przychodźcie tam tylko wtedy, gdy wam każę. Też możesz go tam schować. Lepiej, żeby Skóra i Racica się do niego nie dorwali.

— Dobrze. — Zmarszczył brwi. — Tak zrobię.

Mogłem mu pokazać, jak ładuje się igłowiec i jak się z niego strzela, ale z doświadczenia wiedziałem, że wszelkie próby nauczania go czegokolwiek tylko go irytują.

— Masz rację — powiedziałem tylko — może mi być potrzebny. Ale nie musi. Ważniejsza będzie dla mnie świadomość, że ty, twoi bracia i matka jesteście bezpieczni. Poza tym podróznego można zabić dla takiej broni.

Ściągnął z namysłem pokiwał głową.

— Do koniunkcji zostały dwa lata. Pamiętasz, jakie sztormy i pływy sprowadziła poprzednia; kłody zalegające w zatoce będą niebezpieczne. Poza tym należy się spodziewać... — Chwilę szukałem dobrego słowa. — Przybyszów. Gości. Czasem bardzo wiarygodnych.

Odniosłem wrażenie, jakby groźba koniunkcji dopiero teraz w pełni do niego dotarła.

— Nie jedź, ojcze!

— Muszę. Nie dlatego, że przysięgałem; nie byłbym pierwszym krzywoprzysięzcą w historii. I na pewno nie ze względu na Szpika i pozostałych — jestem dla nich groźniejszy niż oni dla mnie — ale dlatego że nie mógłbym żyć ze świadomością, że nie pojechałem. Ty z matką poprowadzicie

papiernię nie gorzej ode mnie, a nikt tak jak ja nie przemówi Jedwabowi do rozumu, żeby do nas dołączył. Przy kolacji byliśmy zgodni: od przybycia na Błękit stajemy się coraz mniej cywilizowani. Wkrótce będziemy walczyć z inhumimi za pomocą łuków i włóczni, których dziś używamy do polowań. Może uważasz, że przetrwamy jako dzikusy, że kiedyś odzyskamy to, co tracimy. Bez wątpienia...

Pełen uporu przeczący ruch głową, który tak dobrze znałem.

— Ja też tak nie myślę. Przed nami byli tu ludzie, a w każdym razie istoty bardzo do ludzi podobne. Stworzyli cywilizację bardziej rozwiniętą od naszej, ale coś ich zniszczyło. Jeśli nie inhumi, to co?

— O tym też chciałem z tobą porozmawiać. — Ścięgno zawiesił głos, zapewne po to, by zebrać myśli. A może tylko po to, żeby oblizać spierzchnięte wargi? — Chcesz tu sprowadzić Paha i wszystkich bogów długiego słońca.

— Nie.

Albo mnie nie usłyszał, albo postanowił zignorować moje zaprzeczenie.

— To dobrze. Bogowie pomogą nam, jeśli tylko zechcą. Ale oni też mieli swoich bogów, ten Zaginiony Lud, który przed nami zamieszkiwał Błękit. Oni też mogliby nam pomóc. Jest takie miejsce na Łądzie, na stokach Wyjącej Góry, wysoko, ciut poniżej linii drzew... Znalazłem je prawie rok temu. Może powinienem ci był o nim wcześniej powiedzieć.

Widzę, że wspomniałem o trzech powodach, dla których postanowiłem nie towarzyszyć pięciorgu naszych gości w

drodze do miasta. Pierwszy (o czym już mówiłem) był taki, że chciałem pożegnać się z rodziną i — na ile to możliwe — przekonać ją, że postępuję słusznie. Wiedziałem, że Pokrzywa się zgodzi, bo mnie kocha, a Ścięgno dlatego, że mnie nienawidzi. Mając w nich oparcie, zamierzałem w razie konieczności przekonać bliźniaków.

Drugą przyczyną był fakt, że chciałem popłynąć do Pajarocu własną łodzią, nie zaś jachtem, który Szpik zamierzał oddać do mojej dyspozycji. Wbrew temu, co mógł sobie pomyśleć, nie wzgardziłem bynajmniej jego ofertą; propozycja była hojna, ale przyniosłaby mu wielką stratę, gdybym ją przyjął. Pokazał mi tę łódkę, „Morską lilię”, kiedy spotkaliśmy się w mieście. Przypuszczałem, że szybkością niewiele ustępuje mojej, a z całą pewnością była bardziej pojemna i solidniej zbudowana.

— Do czasu lądowania w ogóle nie wypuszczałem się na wodę — mówił mi wtedy Szpik. — A odkąd tu jesteśmy, pływałem wszystkiego może ze dwa razy. Gdybyś kiedyś odwiedził mój sklep czy kram i powiedział, że zamówię u kogoś łódź, pomyślałbym, że postradałeś zmysły. To samo pomyślałem o Alce Proroku, kiedy rozmawiałem z nim tam, na górze; to samo powiedziałbym każdemu, kto by twierdził, że w przyszłości zachce mi się łódek. Nie napisałeś o tym w swojej książce; nie napisałeś, że uważałem Alkę za pomyłonego, ale tak właśnie było.

Wyjaśniłem Szpikowi, że Alka rzeczywiście dostał pomieszania zmysłów po tym, jak rozbił sobie głowę w tunelach pod miastem.

— Widywałem go przy składaniu ofiar. — Szpik oparł się ciężko na grubym, rzeźbionym kosturze. — W manteionie starego patere Płetwy. Chodziliśmy tam czasem z żoną, bo

patere i jego sybille z nami handlowali. Maytere Róża, młoda maytere Mięta... Chociaż zawsze wysyłali starą maytere Marmur, żeby się z nami targowała. Dzierzba nigdy nie chodził do manteionu, tylko wysyłał żonę. Więc z nią też handlowali. Obojga już nie ma. Pamiętasz pewnie manteion patere Płetwy, co?

Pamiętałem. Wciąż pamiętam. Ściany z rakplastu i pomalowany posąg Paha Boskiego (z którego obłaziła farba) zachowam w pamięci do dnia mojej śmierci, podkolorowane chłopięcym zadziwieniem, jakie odczuwałem na widok czarnego koguta, który z poderżniętym gardłem szamotał się jeszcze w rękach starego mężczyzny; trzepotał rozpaczliwie skrzydłami, bił nimi, jakby mimo wszystko miał nie umrzeć i żyć dalej — gdzieś, jakimś cudem żyć — gdyby udało mu się zbryzgać cały manteion krwią. Potem skrzydła nieruchomiały.

Mój ptak odleciał. Zostało mi tylko to jedno czarne pióro, trzepoczące nad kartką papieru (niewykluczone, że pochodzącą z mojej papierni) i bryzgające na cały whorl Błękitu czarnym atramentem, który tyle uczynił dobra — i tyle zła. Gdyby nie nasza książka, Szpik i pozostali z pewnością wybraliby kogoś innego. A tak... „Księga Jedwabia” — czy, jak nazywają ją inni, „Księga długiego słońca” — rozpanoszyła się po całym whorlu z szybkością, o jakiej nam się nawet nie śniło. Jedwab...

Chciałem napisać „Jedwab stał się postacią niemal mityczną”. Prawda jest taka, że naprawdę stał się postacią mityczną. Dochodzą mnie słuchy o poświęconych mu ołtarzach i ofiarach, i o uczniach, którzy nigdy nie widzieli, jak naucza. Gdyby nie nasza książka, Hari Mau i reszta wybraliby kogoś innego. Albo nie wybraliby nikogo.

Obawiam się, że do tej pory pisałem bez ładu i składu, o wszystkim, co mi przyszło do głowy. Na przyszłość postaram się, Czytelniku (kimkolwiek jesteś), przedstawiać bardziej spójną relację. Pozwolę sobie jednak od razu na wstępie zaznaczyć, na jakich czytelników liczę.

Przede wszystkim piszę dla Pokrzywy, mojej żony, którą kocham od dzieciństwa i którą zawsze będę kochał.

Poza tym — dla moich synów Skóry i Racicy. Jeżeli ta książka wpadnie w ręce Ścięgna, pewnie przerwie on lekturę w miejscu, w którym dowie się, że to ja jestem jej autorem. Wtedy zaś — o ile jakoś znacząco się nie zmienił — spali ją. Smród spalenizny z „Księgi Roga” poniesie się daleko, lecz jeśli rzeczywiście ma ona spłonąć, na razie jeszcze nic nie czuję. Ścięgno i tak jest na Zieleni, więc są małe szanse, że ją zobaczy. (Przez wiele lat bałem się, że będzie chciał mnie zamordować, ale ostatecznie to ja omal go nie zabiłem. Jeżeli zechce, może spalić moją książkę).

Piszę także dla potomnych — dla synów i córek naszych synów, i dla ich dzieci. Jeżeli dzieli nas tuzin pokoleń, z pewnością jesteś jednym z moich prawnuków; po takim czasie nie może być inaczej.

Jak trudno jest zrozumieć ducha tych ludzi, chociaż nie są chyba gorsi od innych. Dwóch farmerów spiera się o skrawek ziemi. Pojechałem z nimi, żeby go obejrzeć: nie przedstawiał

specjalnej wartości, nadawał się chyba tylko pod wyrąb, choć nawet drewna nie byłoby z niego wiele. Obaj twierdzili, że roszczą sobie do niego prawa od czasu lądowania; obaj też byli zgodni, że wątpliwości pojawiły się zaledwie przed kilkoma miesiącami. Zażyczyłem sobie, żeby każdy zdradził mi cenę, za jaką gotów byłby na dziesięć lat wydzierżawić grunt swojemu oponentowi, po czym oddałem ziemię temu, który żądał mniej, i kazałem mu ją od ręki wydzierżawić za zadeklarowaną sumę. Suma, którą proponował dzierżawca, była ponad dwukrotnie wyższa, najwyraźniej zrobił więc interes życia. Tak mu też powiedziałem, ale chyba go nie przekonałem.

To wszystko prowizorka. Wszelkie kwestie związane z posiadaniem gruntów są koszmarnie skomplikowane. System własności ziemi należałoby zreformować i zastąpić nowym, możliwie jak najlepiej zabezpieczonym przed korupcją.

To właśnie zamierzam zrobić. Moje zasady: własność gruntu, do którego nikt od dawna nie zgłasza pretensji, wystarczy po prostu zarejestrować; grunt leżący odłogiem przechodzi na własność miasta. Do natychmiastowego wprowadzenia w życie.

Rozmowę przy kolacji opisałem już szczegółowo. Nie wrócę do niej, chociaż kiedy zamykam oczy i odchylam się na oparcie krzesła, zdaje mi się, że czuję zapach świeżutkich bułeczek, widzę miód złocący się w glinianym dzbanku, czuję w winie posmak lata, które się skończyło. Kroilem wtedy pieczeń i jadłem tak samo, jak wcześniej całe lata, lecz gdybym wtedy wiedział to, co wiem teraz — gdybym wybiegł myślami dalej niż na kilka dni w przód — przytuliłbym żonę i trzymał ją w objęciach, aż nade — szłaby chwila pożegnania.

Mam nadzieję, że znalazła sobie już nowego męża, jakiegoś dobrego człowieka. Zawsze była rozsądną kobietą (jak się nad

tym zastanowić, to samo mówił Jego Mądrość, inhum, o Molibdenie). Życzę im obojgu jak najlepiej; mam też nadzieję, że będą mieli więcej szczęścia ze Skórą i Racicą, niż ja miałem ze Ściągnem.

Był moją prawą ręką na pokładzie lądownika, a potem na Zieleni. I rzucił mi swój nóż. Widzę, że o tym nie napisałem.

Błagał mnie, żebym został — tak jak przepowiedziałem to przy kolacji. Był chyba wstrząśnięty, że zamierzam odejść tak od razu, nocą, kiedy Pokrzywa i bliźniacy śpią. Szczerze mówiąc, byłem nie mniej wstrząśnięty od niego. Myśląc o tym wcześniej, chciałem poczekać do rana.

Czy wspomniałem już o tym, jak bardzo Ściągnem jest do mnie podobny? Pewnie nie. Jest w tym coś diabelskiego. Bliźniacy z tymi swoimi ogromnymi oczami i przesadnie regularnymi rysami twarzy przypominają matkę Pokrzywy (przynajmniej ja zawsze tak uważałem), sama Pokrzywa zaś jest podobna do ojca. Natomiast Ściągnem wygląda tak samo, jak ja wyglądałem, kiedy przyплыliśmy z Lądu na Jaszczurkę i zbudowaliśmy papiernię. Mieszkaliśmy wówczas w namiocie na plaży, a Ściągnem — rozwrzeszczany berbec — już zaczynał się do mnie upodabniać. Bliźniaków nie było jeszcze ani na whorlu, ani nawet w planach.

Odszedłem nocą, kiedy skończyłem rozmawiać ze Ściągnem — a raczej kiedy znudziło mi się jego gadanie. Zabrałem niewiele bagażu. Nie miałem złudzeń, że we whorlu, który opuściłem, czeka mnie triumfalne powitanie; nie oczekiwałem też, że znajdę jakiś środek transportu. Gdybym wiedział wtedy, ile czasu zajmie mi dotarcie do ojczystego whorla, zabrałbym chyba więcej rzeczy — chociaż i tak większość by mi

skradziono... Z Pajarocu udało mi się zachować tylko moje dwa noże, a z Zieleni zupełnie nic. Nie mam nawet pierścienia Algi.

Wziąłem dwie zmiany ubrania i ciepły koc.

Egzemplarz naszej książki, który chciałem podczytywać w spokojnych chwilach, nie tyle po to, by ponownie poznawać fakty, lecz raczej by delikatnie pobudzić wspomnienia rozmów o Jedwabiu, jakie odbyłem z Pokrzywą, Moli i innymi. Tobie, Czytelniku, wyda się to zapewne niemożliwe, ale pamiętam wszystko, co z Pokrzywą spisaliśmy. I chyba nigdy nie zapomnę.

Trzy bele naszego najlepszego papieru — na sprzedaż, kilka innych cennych przedmiotów, które miałem nadzieję wymienić na żywność.

Bąłem się, że Ściągnę obudzi całą rodzinę, zwłaszcza Pokrzywę, i że na jej widok opuści mnie cała determinacja. Nie zrobił tego jednak. Stał na naszym pływającym pomoście, machając mi na pożegnanie (czym, muszę przyznać, zaskoczył mnie), gdy nagle, kiedy dzieląca nas odległość zdawała się już zbyt duża, żeby oddać celny rzut, cisnął we mnie czymś, co śmignęło mi pół łokcia obok głowy i zagrzechotało na dnie łodzi.

To też mnie zdziwiło, chociaż z drugiej strony... To było bardzo w jego stylu: próbować zrobić mi krzywdę, kiedy nie mogę się bronić. Mógł sięgnąć po igłowiec i mnie zabić. On jednak chciał mnie tylko upokorzyć; choćby skrycie marzył o tym, żeby mnie zabić, nie odważyłby się strzelić. Kamień czy muszelka (tak pomyślałem) były bardziej na miejscu.

Kiedy opłynąłem Ogon i mogłem spokojnie uwiązać szoty żagla, zacząłem szukać pocisku po omacku w wypełnionej wodą zęzie. Namacałem myśliwski nóż Ściągnę, najcenniejszy — obok łuku — przedmiot, jaki posiadał. Tkwił w pochwie z

żółwiej skóry, którą Ścięgno sam uszył. Z pewnością uznał, że w ten sposób wyrówna rachunki — to niezmiernie przykre, mieć dług u człowieka, którego się nienawidzi.

Nie ma sensu szczegółowo opisywać mojego rejsu wzdłuż wybrzeża, który zawiódł mnie do Nowego Vironu. Postąpiłem nierozważnie, wyruszając w drogę w środku nocy, ale nic złego z tego nie wynikło. Do rozjaśnienia płynąłem na zrefowanych żaglach i drzemałem przy sterze. Nie wystarczało mi na razie pewności siebie, żeby uwiązać rumpel i położyć się spać, co później weszło mi w nawyk, bywały jednak chwile, w których miałem ochotę zwinąć oba żagle i zyskać kilka godzin prawdziwego snu. Głównie wpatrywałem się w gwiazdy, tak jak robiłem to, stojąc na Ogonie, zanim Ścięgno do mnie dołączył. Whorl długiego słońca, w którym urodziliśmy się ja i Pokrzywa, był ledwie widoczny na niebie. Do tego właśnie maleńkiego punkciku miałem się udać na pokładzie lądownika (tak przynajmniej wtedy sądziłem), który nie wiedzieć jak udało się komuś naprawić i przywrócić do życia. Nie umiałbym wyrazić, o ile chętniej po prostu bym tam pozęgłował. Wiedziałem, że przed rozjaśnieniem whorl długiego słońca opadnie do morza na południowym zachodzie — dlaczego nie popłynąć na spotkanie? Pomysł był niezwykle kuszący, a w chwilach, kiedy przysypiałem nad sterem, wydawał się prawie, prawie możliwy do zrealizowania.

W którymś momencie pod słupem przepłynął jakiś olbrzymi stwór o rozjarzonym cielsku. Wiadomo, że w morzu żyją ryby zdolne połknąć w całości tę wielką rybę, która pożarła przyjaciółkę Jedwabia, nieszczęsną Mamelkę. Tradycyjnie obarcza się je winą za zaginięcie wszystkich łodzi, które nie wrócą do portu. To wygodne wytłumaczenie, wydaje mi się

jednak, że w większości wypadków przyczyn tragedii należy upatrywać w nieostrożności rybaków i kapryśności pogody. Nie twierdzą wszakże, iż ryby te nie potrafiłyby zatopić jachtu znacznie większego od mojego słupa; nie twierdzą również, że nigdy się to nie zdarza.

W jednej chwili była noc, w następnej — dzień.

Tak mi się przynajmniej wydawało. Zdrzemnąłem się wsparty na rumplu i obudziłem się dopiero w momencie, gdy nasze krótkie słońce zaświeciło mi w oczy.

W jednej ze skrzyń miałem butelki z wodą (zmieszana z winem, żeby za szybko nie stęchła), a od tyłu masztu pudło wypełnione piaskiem — na wypadek pożaru. Założyłem kawałek suszonego mięsa na haczyk i zamierzałem złowić sobie śniadanie, chociaż nim mi się to udało, nadeszła niemal pora obiadu. Gdybym nie miał noża Ścięgna, wypatroszyłbym rybę małym, wiernym scyzorykiem, który pamiętał jeszcze Stary Viron. Teraz jednak wziąłem większy nóż. W duchu cieszyłem się, że jeśli Ścięgno zapyta kiedyś, czy nóż mi się do czegoś przydał, będę mógł odpowiedzieć, że tak; tego rodzaju gesty weszły mi w krew, choć zdawałem sobie sprawę z ich daremności. To był solidny nóż, wykonany już tu, na Błękiecie. Krakwa, kowal, wykuł go z jednej stalowej sztaby, z której uformował ostrze, gruby jelec i rękojeść. Pamiętam, że zwróciłem uwagę, jaki jest ostry; zauważyłem też, że pękata rękojeść nie gorzej nadaje się do zadawania ciosów obuchem niż ostrze do cięcia. Mam teraz azoth Hiacynta (dobrze schowany), ale chwilami myślę, że wolałbym mieć ten nóż, o ile Ścięgno zgodziłby się z nim drugi raz rozstać.

Tutaj, w położonym w głębi lądu Gaonie, ludziom wydaje się dziwne, że my, mieszkańcy miasta, które leżało tak daleko od

morza, że ledwie dochodziły do nas jakieś plotki na jego temat, zbudowaliśmy sobie nowy dom na wybrzeżu. Ale przecież początkowo Viron leżał nad jeziorem i to Limna cofnęła się od miasta, a nie miasto uciekło przed Limną. Kiedy tu przylecieliśmy, w całkiem naturalnym odruchu skierowaliśmy lądowisk nad zatokę: spodziewaliśmy się, że woda nadaje się do picia i nawadniania pól. Oczywiście przeżyliśmy rozczarowanie, ale morze i tak dostarczało nam żywności w nadmiarze, znacznie więcej, jak sądzę, niż choćby największe jezioro. Co ważniejsze, było lepsze od wszelkich dróg, pozwalało nam przemieszczać się i przewozić towary szybciej, niż karawany mułów i wozów. Gaon cieszy się błogosławieństwem czystej, chłodnej rzeki Nadi, nie sądzę jednak, by Nowy Viron zamienił się z nim i oddał w zamian za nią morze.

Kiedy postanowiliśmy z Pokrzywą zbudować papiernię (po tym, jak bez powodzenia próbowaliśmy zająć się uprawą roli), nie ulegało wątpliwości, że musimy tak wybrać miejsce, żeby dało się do niego wygodnie spławiać drewno. Przedreptaliśmy całe wybrzeże wzdłuż i w szerz, dopóki nie przyszło mi do głowy, że szukając na lądzie, nigdy nie znajdziemy okolicy łatwo dostępnej od strony morza. Zbudowałem więc naszą pierwszą łódź, a właściwie skrzynię z dziobem, żałośnie krótkim masztem i skłonnością do wpadania w dryf, która może by nas nawet bawiła, gdyby nie była tak poważna. W końcu Tamaryndowiec, której mąż handlował rybami i w związku z tym spotykał rybaków i miał pojęcie, jak wyglądają ich łodzie, poradziła mi, jak zrobić miecz, który w razie potrzeby można było opuścić do wody, a na płyciźnie podciągnąć do góry. Postawiłem jeszcze wyższy maszt,

przesunąłem go trochę w stronę dzioba i łódź służyła nam przez długie lata.

To na niej pierwszy raz popłynęliśmy na Jaszczurkę. Wioska rybacka już tam była (o ile cztery skromne domki to już wioska), nad Zatoką Wschodnią, daleko od najlepszej — z naszego punktu widzenia — części wyspy. Mając poparcie prolokutora, wzięliśmy dla siebie Iglicę i cały teren na zachód od niej. Ponieważ nikt inny nie zgłaszał do tych gruntów pretensji, przeszły na naszą własność. Ziemia jest tam licha i piaszczysta (poza naszym ogrodem, który użyźnialiśmy odpadkami z gospodarstwa), ale mamy Iglicę i bijące z niej źródło, z którego woda nadaje się do picia i napędza naszą papiernię, oraz osłoniętą cyplem Zatokę Ogonową, do której drwale spławiają drewno.

Widzę te miejsca oczami wyobraźni, kiedy o nich piszę. Mógłbym chyba od ręki nakreślić tu, na tej kartce, całkiem przyzwoitą mapę okolicy: zaznaczyć na niej dom, papiernię, Iglicę, Zachodnią Łapę i całą resztę. Tylko po co mi taka mapa? Choćby była nie wiem jak dokładna, nie przeniesie mnie tam z powrotem.

To dla nas dobre miejsce — jest gdzie okorować i porąbać pnie, które wyciągamy z wody wielokrążkiem — chociaż trochę niebezpieczne, bo położone na odludziu. Nie powinienem zapominać, że bliźniacy są coraz starsi. Od urodzenia do dwudziestki każdy rok to szmat czasu.

Wkrótce po tym, jak skończyłem jeść rybę, słońce stanęło w zenicie. Nigdy się nie przyzwyczailem do słońca, które porusza się po niebie. Mówimy o Długim Słońcu, które porzuciliśmy, i Krótkim Słońcu, pod którym teraz żyjemy; mam jednak wrażenie, że zmiana wywołana różnicą wielkości jest nieznaczna — o wiele poważniejsza jest różnica między słońcem ruchomym i nieruchomym. W domu ta część słońca, która znajdowała się dokładnie nad głową, wydawała się zawsze najjaśniejsza. Na zachód i na wschód od niej słońce zdawało się przygasać — im dalej się patrzyło, tym było bledsze — lecz cechowała je stałość. Zdawało się wyrażać nieśmiertelność ludzkiego ducha. Krótkie słońce w południe wygląda podobnie, a jego nazwa jest nader adekwatna: codziennie przypomina nam o ulotnej naturze wszystkiego, co widzi. Powtarza cykl życia człowieka: rodzi się piękne i rośnie w siłę, a my zaczynamy wierzyć, że jego potęga nigdy nie osłabnie. A jednak od chwili, gdy staje się najsilniejsze, traci moc.

Na cóż zda się jego siła, skoro cały ten żar nie jest w stanie powstrzymać codziennego upadku? Nasi augurowie (jacy z nich zresztą augurowie?) wciąż paplą o nieśmiertelnym duchu, który tkwi w każdym człowieku. Nie wyobrażam sobie mniej wiarygodnego dogmatu. Tak jak ziarno przywiezione w łądownikach, ich doktryna wyrosła w innym whorlu i zmarniała w świetle nowego słońca. Głoszę ją tak jak wszyscy, ale nikogo do niej nie przekonam. A już na pewno nie siebie.

Odpływając z domu, obiecywałem sobie, że najdalej w południe zacumuję w porcie w Nowym Vironie. Spodziewałem się — a przynajmniej miałem nadzieję — że zachodni wiatr się utrzyma. Od rana słabł jednak systematycznie, a kiedy myłem

widelec i czerwono-brunatny talerzyk, ucichł zupełnie. Położyłem się w cieniu fordeku i poszedłem spać.

Na moje oko obudziłem się po niespełna dwóch godzinach. Cień grotu urósł minimalnie i ociupinkę się przesunął, poza tym nic się nie zmieniło. Słup lekko się kołysał: pół minuty trwało, zanim wzniósł się na fali (wysokiej na szerokość męskiej dłoni), przez następne pół minuty opadał. W połowie odległości do horyzontu tuż nad wodą szybował ptak o smukłej, węzowej szyi; potrafił wznieść się niemal do gwiazd, a rzadko latał wyżej, niż sięgają ośle uszy.

Dopiero wtedy, po dwóch godzinach solidnego snu, zacząłem doceniać wagę podjętej decyzji. Przywódcy (samozwańczy, bez dwóch zdań), którzy przyjechali z nami porozmawiać, uważali (albo udawali, że uważają), że moja rozłąka z rodziną, domem i papiernią, którą zbudowaliśmy razem z Pokrzywą, będzie miała charakter tymczasowy. Tak jakbym wybrał się na wycieczkę do Trójrzecza. Miałem z łatwością znaleźć Pajarocu, wsiąść do lądowika (tak jak wsiedliśmy na pokład naszego statku, który nas tu przywiózł), polecieć do whorla długiego słońca, odszukać Jedwabia (znów bez problemów), bez wysiłku namówić go, żeby wrócił ze mną, zdobyć ziarno kukurydzy i innych roślin, dowiedzieć się jak najwięcej o produkcji mnóstwa różnych rzeczy (a najlepiej znaleźć jakiegoś wprawnego rzemieślnika i zabrać go ze sobą) i wrócić do domu. Mówili o tym tak, jakby przy odrobinie szczęścia dało się wszystko załatwić w kilka miesięcy. Tego dnia na słupie zdałem sobie sprawę, że równie dobrze mogłem im zaproponować, że machając mocno rękami, pofrunę na Zieleń i oczyszczę ją z inhumich. Wcale nie byłoby to trudniejsze zadanie.

Waga przysięgi, którą tak lekkomyślnie złożyłem na Ogonie, jeszcze do mnie nie docierała — i nie dotarła, dopóki nie popłynęliśmy z Babbie wzdłuż wybrzeża na północ. Gdybym dotarł do Nowego Vironu, poszedłbym do Szpika i pozostałych, oświadczył, że zmieniłem zdanie, wrócił na łódź i natychmiast popłynął z powrotem na Jaszczurkę. Na razie nie mogłem jednak ani porzucić mojej misji, ani jej kontynuować. Przybrzeżne rafy i skalisty ląd tkwiły nieruchomo daleko po mojej lewej ręce, od prawej burty aż po horyzont ciągnęło się morze. Biały ptak krążył w kółko tak smętnie i ociężale, że za każdym razem, kiedy unosił skrzydła, miałem wrażenie, że zaraz spadnie do wody. Krótkie słońce pełzło w dół, w stronę widnokręgu, a jego ruch był równie nieubłagany, jak marsz każdego człowieka przez życie, do grobu.

2

Cisza na morzu

Żeby nic nie robić, trzeba mieć talent. Mnie go brakuje. Znam kilka osób, które posiadły go w stopniu niezrównanym, tak jak na przykład jeden z moich tutejszych skrybów. Ludzie ci mogą, jeśli chcą, siedzieć — a nawet stać — całymi godzinami nic nie robiąc i o niczym nie myśląc. Mają otwarte oczy, którymi spoglądają na otaczający ich whorl, ale widzą tyle, co ziemniak swoimi oczkami.

A mówiąc serio: rejestrują otoczenie, lecz nie ma ono dla nich żadnego znaczenia. Jedwab powiedział kiedyś, że jesteśmy jak człowiek, który widzi tylko cienie; bierze cień wołu za wołu, a cień człowieka za człowieka. U tych ludzi jest odwrotnie: widzą człowieka, ale wydaje im się, że to tylko cień, rzucony przez poruszane wiatrem liście. Tak go postrzegają do momentu, kiedy na nich krzyknie albo ich uderzy.

Nigdy nie uderzyłem Wiązowca, skryby, o którym wspomniałem, chociaż nieraz mnie kusiło. Krzyknąłem na niego raz czy drugi, zapytałem, czy ma zamiar coś napisać, zanim atrament zaschnie mu na piórze. Nigdy jednak nie dowiedziałem się, jak udaje mu się nic nie robić, nie poprosiłem, żeby mnie tego nauczył na wypadek, gdybym kiedyś znów znalazł się sam w łodzi na bezwietrznym morzu. A szkoda.

Na takiej łódce jak mój słup zawsze znajdzie się coś do zrobienia. Takielunek, choć prościutki, wymaga regulacji; w zębie nie zbiera się wiele wody, ale to, co jest, można wybrać i przyjemnie się przy tym zmęczyć; harpun, dwa dni wcześniej rzucony w kąt przez Ściągno, można odłożyć na miejsce, a jego linę sklarować, żeby zajmowała odrobinę mniej miejsca. Jedno po drugim wykonywałem takie zadania i pilnie wynajdowałem sobie następne. Rozpakowałem swój skromny bagaż, poskładałem i popakowałem wszystko od nowa. Wszystko oprócz naszej książki.

Zasiadłem do lektury. Znalazłem opis wyprawy Jedwabia i Acalyphy nad Limnę, przeczytałem o plakacie, który tam ujrzeli, i o tym, jak się rozdzielili, jak Acalypha narysowała potem kolorową kredą portret Jedwabia... Wszystko spisane równym, trochę urzędniczym pismem mojej żony.

Jakże długo i pilnie pracowała nad kolejnymi kopiami: przepisała w sumie sześć egzemplarzy, kilka osób wciąż dopominało się o następne, inni zaś wzięli się do kopiowania tych, które skończyła wcześniej (dokonując przy tym odczochoczo skrótów i uzupełniając książkę o przypisy, które nie zawsze były w tekście wyraźnie wyróżnione — a czasem nie były wyróżnione w ogóle). Potem, mimo że prawie rok pracowała — pracowałaś Ty, kochanie moje — aby zaspokoić życzenia obcych, które musiały się jej wydać (tak jak i mnie się czasem wydają) czczymi kapryсами, zasiadła do biurka i w pocie czoła sporządziła ten piękny siódmy egzemplarz, który z dumą mi podarowała.

Miałem ochotę zostawić go w domu. Nie żebym go nie kochał — kochałem go, i to chyba aż za bardzo; nikt nie ma tak silnego umysłu, żeby bezkarnie obdarzyć nieożywiony przedmiot

uczuciem, jakie każdy dobry człowiek w którymś momencie żywi wobec drugiej osoby. Kochałem go i wiedziałem, że zabierając go ze sobą do whorla długiego słońca (chciałem go dać Jedwabiowi), wystawiam go na wielkie niebezpieczeństwo. Przeczucie mnie nie myliło: raz omal go nie straciłem, a i tak niedługo mogłem się nim cieszyć. Mogę powiedzieć tylko tyle, że od początku zdawałem sobie sprawę z zagrożenia, świadomie podjąłem ryzyko i bardzo się z tego cieszę.

Gdzie teraz jest Pokrzywa, która mogłaby tworzyć kolejne kopie „Księgi Roga”, opowieści o moich podróżach, niebezpieczeństwach, z których uszedłem z życiem, i szczęściu, które mi dopisywało? Ale, ale — z pewnością myślisz już sobie, że zapomniałem o moim unieruchomionym słupie.

Bynajmniej. To właśnie wtedy, gdy przy świetle zachodzącego słońca przeglądałem naszą książkę, idea druku uderzyła mnie z nową siłą. Historia, w której Jedwab znalazł wyryty w kamieniu portret Scylli (tak mi się w każdym razie wydaje), zapoczątkowała serię ciekawych przeskoków myślowych. Pomyślałem o rytach w delikatnym kamieniu obrazkach do książek; artyści z naszego whorla czasem się w ten sposób zabawiali. Potem przyszło mi do głowy, że w podobny sposób można by wycinać całe stronicę ksiąg, nadające się do wielokrotnego kopiowania. Przypomniałem sobie też wizytę w warsztacie drukarskim, dokąd udałem się z ojcem, który zaopatrywał drukarzy w różne rodzaje papieru i atramentu. Nie ze wszystkich byli zadowoleni.

Powinienem tu nadmienić, że możliwość drukowania książek rozważaliśmy z Pokrzywą na długo przed opisaniem modlitwy Jedwabia przed kamiennym portretem Scylli. Doszliśmy jednak do wniosku, że odręczne spisanie dwóch czy trzech

egzemplarzy (bo na tyle ocenialiśmy zapotrzebowanie) będzie o wiele łatwiejsze niż zbudowanie odpowiedniej maszyneryi i nauczenie się jej obsługi. Uznawszy zatem — całkiem rozsądnie — że drukowanie książek nie wchodzi w grę, porzuciliśmy wszelką myśl o nim.

Teraz dotarło do mnie, że popularność, jaką cieszyły się spisane przez Pokrzywę egzemplarze, stawia druk w całkiem nowym świetle. Z pewnością sprzedawalibyśmy po dwadzieścia, trzydzieści egzemplarzy „Księgi Jedwabia” rocznie, gdybyśmy tylko potrafili tyle wyprodukować.

Moglibyśmy poza tym wydrukować znacznie krótszą historię opuszczenia Starego Vironu, którą Sklerodermia zdążyła spisać przed śmiercią. Jej wnuk miał rękopis jej opowieści i pozwalał go kopiować. Na pewno zgodziłby się, żeby Pokrzywa go przepisała. Na podstawie jej kopii udałoby się nam wydrukować i sprzedać co najmniej tuzin egzemplarzy. Słyszałem, że w Urbsecundus mieszka człowiek, który również napisał podobną książkę — chociaż sam nigdy jej nie widziałem. Mieliśmy papier i narzędzia, a nasze skromne umiejętności pozwoliłyby nam zszyć kilka złożonych arkuszy i oprawić tomik w płytki płozodrzewia. Brakowało tylko druku, aby produkowany i sprzedawany przez nas papier znalazł nowe, przynoszące zyski zastosowanie.

Ale i na tym nie koniec. Drukowanie dziesiątków tysięcy słów wymagałoby setek liter, nadających się do wielokrotnego użytku. Może nie setek, może nawet tysiąca lub jeszcze więcej. W warsztacie, do którego poszedłem z ojcem, drukarze odlewali litery z metalu, którym napełniali odpowiednie formy. (Przypomniała mi się opowieść Acalyphy o tym, jak robi się głowy talusów. Znalazłem ją i ponownie przeczytałem). Po

stopieniu (pamiętam, że widziałem kobietę topiącą go w chochli w palenisku opalanym węglem drzewnym) metal wyglądał jak płynne srebro, ojciec jednak twierdził, że składa się głównie z ołowiu.

To z kolei przypomniało mi rozmowę, jaką tydzień wcześniej odbyłem ze Ściągnem, który wprost uwielbiał dyskutować o broni wszelkiego rodzaju i przy każdej takiej okazji popadał w pompatyczne zadęcie. Upierałem się, że w tutejszych warunkach igłowce sprawdzają się lepiej od pistoletów kulowych, chociażby z tego powodu, że wystrzeliwany z nich pocisk ma kształt gładkiego cylindra i niewiele się różni od kawałka drutu. Oprócz igłowca mieliśmy też strzelbę — tę samą, z której Pokrzywa strzelała do piratów. Jej konstrukcja była mniej skomplikowana od konstrukcji igłowca, ale każdy strzał wymagał osobnej łuski i mnóstwa jednorazowych elementów: odrobiny jakiegoś chemicznego specyfiku w maleńkiej miedzianej miseczce, materiału wybuchowego, który napędzał pocisk, samego pocisku i krążka sztywnego, mocno nawoskowanego papieru, którym uszczelniało się ładunek. I, jak wytknąłem Ściągnu, tylko ten ostatni składnik mogliśmy wyprodukować we własnym zakresie.

Nie zgodził się ze mną.

— Jakiś człowiek w mieście dał Krakwie parę igieł i wytłumaczył mu, jak produkować igły z żelaza. I Krakwie się udało. Wyciął je z cienkiego żelaznego pręta, obtoczył między dwiema rozgrzanymi do czerwoności płytkami metalu i wypolerował. Pokazał mi swoje igły i oryginały: nie potrafiłem ich rozróżnić. Kłopot w tym, że kiedy włoży się je do igłowca, nie są wystrzeliwane. Krakwa mówi, że równie dobrze można by napchać igłowiec słomą.

Chciałem coś powiedzieć, ale Ścięgno nie dopuścił mnie do głosu.

— Z bronią palną jest inaczej. Umiemy sami wyprodukować działający pistolet. W waszej książce jeden z żołnierzy mówi komuś, że ma pociski wykonane z jakiegoś materiału, o którym w życiu nie słyszałem.

— Zubożonego uranu — przytaknąłem. — Tak twierdził Jedwab.

— Cóż, nie wiem, co to takiego, ale w mieście odlewają pociski z ołowiu. Słyszałeś, że w górach odkryto żyłę srebra?

— Wszyscy o niej mówią. Sam tam nie byłem, ale wygląda to bardzo obiecująco.

— Taaak. — Ścięgno zawiesił głos. Poznałem po jego oczach, że marzy mu się odkrycie takiego złoża. — Potrzebujemy wielu różnych rzeczy. Musimy mieć coś, za co je dostaniemy, jakiś towar, który nie zajmie dużo miejsca na łodzi i nie będzie się psuł. Srebro byłoby idealne. Górnicy wymieniają je już na wszystko, czego potrzebują, głównie na narzędzia i proch; złotnicy wykuwają z niego pierścionki i inne cuda, przez co jeszcze zyskuje na wartości. Można też po prostu wymienić sztabkę srebra na dwadzieścia sztabek żelaza. Srebro jest lepsze od papieru, każdy kupiec je przyjmie.

— Chcesz powiedzieć, że można odlewać pociski nie zubożonego uranu, tylko ze srebra? Albo z żelaza? Żelazo byłoby przecież jeszcze tańsze.

Ścięgno pokręcił głową.

— Chodzi o to, że ruda srebra zawiera ołów. Ołów jest cięższy, więc łatwo go oddzielić. Mamy więc i srebro, i ołów. Idealny układ. Ołowiem nie da się handlować, bo jest ciężki i mało kto

chce go kupować, ale można z niego robić amunicję. A my go mamy pod dostatkiem.

Z ołowiu można odlewać czcionki drukarskie; można by je nawet ręcznie w nim wycinać, gdyby odlewanie okazało się zbyt skomplikowane. Był tani i łatwo dostępny. Nie musielibyśmy od razu drukować książek. Większość naszych klientów kupowała papier po to, żeby pisać na nim listy. Moglibyśmy sprzedawać im papier ozdobny. Tak, tak właśnie byśmy zrobili! Szpik mógłby zamówić papier z rysunkiem kabaczka, w kolorach zielonym i żółtym. Ludzie noszący imiona ptaków, tak jak dawniej Alka, a teraz Białozór i Krakwa, mogliby mieć na swoich listach rysunek odpowiedniego ptaka. Pokrzywa umiała bardzo ładnie rysować, a pod jej okiem Racica i Skóra opanowali tę sztukę nie gorzej od niej. Większość kobiet nosiła imiona kwiatów, a kwiaty łatwo się rysuje (Pokrzywa szkicowała je czasem dla rozrywki) i łatwo by się je drukowało.

Wróciłem do naszej książki (w której zdążyłem się już zgubić) i czytałem różne kawałki, cały czas rozmyślając o druku i cudownych możliwościach, jakie daje, aż natrafiłem na fragment, który bez reszty przykuł moją uwagę: Jedwab niósł pojednanie z Pahem talusowi, którego zabił w tunelu. Wiele modlitw i błogosławieństw odchodziło już w zapomnienie, ale Pokrzywa opowiadała mi o znajomej kobiecie, która zapisała nimi dziesiątki arkuszy naszego papieru i porozwieszała je na ścianach u siebie w domu, żeby nie zaginęły. Inni mogą pójść w jej ślady — niektórzy bez wątpienia już to zrobili. Dzięki drukowi moglibyśmy nie tylko je ocalić, ale także rozpowszechnić.

I na tym jednak nie koniec. Jego Mądrość patere Remora, z którym miałem nadzieję spotkać się w mieście, miał przywieziony z Vironu egzemplarz Pisma Chrasmologicznego — ten, na który przysięgałem. Mielibyśmy więc do dyspozycji trzeci tekst, znacznie dłuższy od dwóch poprzednich. Drukując go i sprzedając we fragmentach, nie tylko zapewnilibyśmy przetrwanie naszej wierze, zwanej przez obcych Obrządkiem Virońskim, ale moglibyśmy ją również propagować.

Ta możliwość dała mi do myślenia. Jeżeli (jak twierdziło wielu z nas) bogowie znani nam z „Whorla” nic na Błękanie nie znaczyli, Obrządek Viroński był kłamstwem niegodnym mojej wiary. Nie tylko mojej zresztą. Po raz dziesięciotysięczny z całego serca żałowałem, że Jedwab nie przyleciał z nami.

Znalazłem wreszcie farbę, która dobrze się trzyma szkła. Pomalowałem sobie okulary. Dla tych, z którymi rozmawiam, to pewnie żadna ulga (klną się na wszystko, że żadna), ale dla mnie ogromna. Kiedy wróciłem wieczorem do tej przestronnej sypialni, nie mogłem nacieszyć się swoim odbiciem w lustrze.

Ostatnio pisałem o tym, że żałuję, iż Jedwab nie przyleciał z nami na Błękit, chociaż miał taki zamiar. Jaka szkoda, że nie mogłem zabrać go ze sobą do Gaonu! Ale wróćmy do tamtego okropnego dnia spędzonego na słupie.

Gdybym zasnął, Jedwab mógłby ukazać mi się we śnie i rozplątać supeł moich wątpliwości; gdybym czytał dalej, jego słowa (które sam zapisałem w naszej książce, a potem zapomniałem) mogły podsunąć mi rozwiązanie. Nie byłem

jednak śpiący, a krótkie słońce opadło już tak nisko, że i tak niedużo tego czytania mi zostało. Założyłem przynętę, wyrzuciłem linkę z hakiem za burtę, usiadłem na rufie i pogrążyłem się w zadumie.

Całkiem możliwe, że Pah i Echidna, Scylla i jej rodzeństwo byli bogami tylko we whorlu długiego słońca. Byłem prawie pewien, że tak właśnie uważał Jedwab — lecz opinię taką wygłosił, zanim nasz lądownik odleciał z „Whorla”. Niewykluczone, że jakimś cudem przywieźliśmy bogów ze sobą, jak sugerował Remora. Co do jednego na pewno miał rację: ludzie, którzy przez pół życia oddawali im cześć (a było takich wielu), przenieśli ich na Błękit w swoich sercach.

Jak to powiedział Ścięgno?

Że gdyby Pah naprawdę był bogiem, mógłby w każdej chwili przenieść się na Błękit albo gdziekolwiek indziej. Jeżeli Jedwab miał rację i Pah rzeczywiście został we whorlu długiego słońca, to musiał tego chcieć — albo inni bogowie uniemożliwili mu podróż (wyglądało przecież na to, że jego żonie udało się go zamordować). To samo dałoby się powiedzieć o Echidnie, Scylli i pozostałych, chociaż jeśli to oni zatrzymali Paha, to kto zatrzymał ich? Może byli tu, wśród nas, a my o tym nie wiedzieliśmy, bo nie mieliśmy świętych okien, przez które komunikowali się z nami w domu.

Zresztą jednego z nich nawet Jedwab spodziewał się zastać na Błękicie. Zewnętrzny nosił takie imię dlatego, że można go było spotkać także poza whorlem. Zapewne był więc tutaj, chociaż dowodów na jego obecność brakowało tak samo, jak dowodów obecności innych bogów. Czasem modliłem się do niego, naśladując Jedwabia, chociaż z biegiem lat moje modlitwy stawały się coraz rzadsze (w miarę jak coraz

wyraźniej widziałem ich daremność). Podtrzymywałem tylko tradycję modlitwy przy posiłkach, ponieważ miałem nadzieję, że wpłynie korzystnie na rozwój moralny moich synów.

Nadzieja.

Na tym właśnie polega problem ze wszystkimi modlitwami. Przez to, że żywimy nadzieję, doszukujemy się sukcesu tam, gdzie go wcale nie ma. Jakże łatwo mógłbym teraz napisać, że gdyby nie pusty rytuał tych modlitw, Ścięgno wyrósłby na jeszcze gorszego człowieka! Może to i prawda, ale ze świecą by szukać uczciwego człowieka, który z własnej woli przyznałby, że cokolwiek miało dodatni wpływ na rozwój moralny Ścięgna.

Przynajmniej na Zieleni wykazał się odwagą i — do czasu — lojalnością.

Co do bogów, o których mówił tamtej nocy, gdy opuściłem Jaszczurkę — pierwotnych bogów whorla, który nazwaliśmy Błękitem — zadałem sobie pytanie, jak wielką mieli moc i dlaczego nie ocalili choć garstki swoich wyznawców, jeżeli mogli to zrobić. Oczywiście teraz już to rozumiem.

Po dotarciu do Nowego Vironu zadałem to pytanie patere Re — morze, który, ku mojemu zaskoczeniu, potraktował je bardzo poważnie. Jego pociągła twarz wydłużyła się jeszcze bardziej, kiedy próbował odrzucić z czoła kosmyk włosów, uparcie opadający mu do oczu.

— Hmm... eee... — powiedział. Udało mu się nawet nadać tym pomrukowi odrobinę świętej powagi. — Aaa... No, hmm...

— Jeżeli bogowie nie chcą, żeby oddawać im cześć, nie ma powodu, byśmy modlitwami i ofiarami mogli zaskarbić sobie ich łaski — tłumaczyłem. — A zatem chcą, żebyśmy ich czcili, o

ile Wasza Mądrość zgodzi się ze mną, że czasem odpowiadają na modły. Wobec tego powinni...

— Ehm... Ha!

Domyśliłem się, że chce mi przerwać. Umilkłem więc.

— Logika, co? Tak, hmm... logika. Mówisz: logika jak bóg. W twojej książce, he? Jedwab tak mówi.

Jedwab wyłożył mi kiedyś tę ideę. Pomyślałem, że mogła mu przyjść do głowy, kiedy wspinał się na barykadę powstańców. Nie chciałem jednak kłopotać Remory tymi szczegółami.

— Twój bóg, hmm... Logika... zdradza cię.

Zdziwiłem się.

— Na wiele... hmm... sposobów. Różnych, tak? Na początek... eee... Wielu jest tutaj... aaa... tak, wielu takich, którzy nie. Nie składają ofiar. Nie uczestniczą w nabożeństwach, he? Nigdy nie przychodzą do manteionu. Pytam... hmm... pytam czasem, kiedy... eee... to uprzejme, o prywatne modły w... aaa... specjalnej intencji. Nie. Nigdy. Zwykle... aaa... sam płacę.

Pokiwałem głową.

— Też bym tak zrobił, Wasza Mądrość.

— Nie wyznawcy, he? Liczba, hmm... zmienna. Dobrze znany fakt w kapitule, he? W domu. Chwilami bardzo pobożni. W czasach... aaa... próby, tak? Na przykład w czasie... eee, hmm... powodzi. Pożaru. Zarazy. Wojny. Albo po teofanii, he? Przy innych okazjach też, ale... aaa... rzadko. — Remora uniósł rękę i powoli ją opuścił. — W górę i w dół, tak? Nadążasz?

Ponownie skinąłem głową.

— Przypuśćmy, że spadnie do... eee... zera. Nic. Ani żywej duszy, he? Ani jednej. Nie tutaj, póki żyję. Hmm... nie. Ale przypuśćmy. Brak wiernych. Czy te... eee... obce bóstwa, które...

aaa... dopuszczasz... nie wykorzystamy okazji, żeby zesałać...
hmm... plagę?

— To mało prawdopodobne.

— Hmm? Pozwól, że się nie zgodzę. Całkiem możliwe. Aż...
aaa... nazbyt, powiedziałbym. Dalej. Zakładasz... eee...
zakładamy, że nie żyje, ten Zaginiony Lud, tak? Whorl jest...
eee... rozległy? Przewrotny? Ogromny. Zgoda?

— Chyba tak...

— Doskonale. Postęp. Jest jeszcze jeden... eee... czynnik. Nie
ma krain niebios, he? Tylko... aaa... gwiazdy, jak je nazywają. W
domu whorl zakrzywił się do góry, tak? Odślaniał się przed...
hmm... oczami. Tu jest... eee... inaczej. Odwrotnie. Zakrzywia się
w dół. Przybyłeś... aaa... wodą?

— Tak.

Opowiedziałem mu, co wydarzyło się na słupie.

— W rzeczy samej! W rzeczy samej! Doskonale! Jedna
modlitwa, he? Jedna jedyna i... hmm... odrobina wiary, jak
przyznajesz. Zgadzasz się. Spójrz, co może jedna mała
modlitwa.

Patere Remora zakołysał się radośnie na fotelu, mocniej
zaciskając niebiesko żyłkowane palce na podłokietnikach.

Podkreśliłem, że jeśli grzbietoskór zjawił się w odpowiedzi
na moje modły, to Zewnętrzny równie dobrze mógł je
zignorować.

— Niewdzięczność. Pleni się wszędzie. — Remora pokręcił
głową. — Ale... aaa... odbiegliśmy... hmm, hmm... od tematu. Tak.
Odbiegliśmy. Więc... hmm... przypląnąłeś. To ustaliliśmy.
Musiałeś zauważyć, że większość tego... aaa... obcego whorla.
Ukryta. Nie tak jak w domu, he? Wydaje ci się, że jego... eee...
poprzedni mieszkańcy nie... aaa... nie żyją? Wymarli. Wszyscy,

nawet... aaa... ja. Tak myślimy. Zapytaj, skąd to wiem, a ja... hmm, hmm... odpowiem, że nie wiem. Ze... hmm... zakładam to. Ty... aaa... podobnie, hę? Tak samo?

Pokiwałem głową. Zastanawiałem się, jak zapytać go o to, co najbardziej chciałem wiedzieć.

Muszę się teraz przygotować. Mam w imię Echidny poderżnąć gardło składanemu w ofierze kamionkowi. Chciałbym przemyśleć kazanie.

Widzę, że wspomniałem o mojej modlitwie na słupie, ale nie napisałem o niej nic konkretnego.

Prawda była taka, że zacząłem się bać. Krótkie słońce zachodziło, nic nie zapowiadało najlżejszej nawet bryzy, a linka z haczykiem ani drgnęła. Wody i jedzenia spokojnie wystarczyłoby mi jeszcze na jeden dzień siedzenia w unieruchomionej łódce, potem jednak byłoby ze mną krucho. Pisałem już, że dużo rozmyślałem o bogach, postanowiłem więc zaryzykować i się pomodlić. Koniec końców, jeśli bogowie, do których skieruję modlitwę, nie usłyszą jej, to czyja to będzie wina — moja czy ich? Pozostało tylko pytanie, do kogo powinienem się zwrócić. Szybko doszedłem do wniosku, że troje bogów szczególnie zasługuje na uwagę.

Po pierwsze, Pah. Był ze wszystkich najpotężniejszy, a poza tym Jedwab — mój przyjaciel i nauczyciel — mógł mieć u niego pewne wpływy.

Jeszcze lepiej zapowiadała się Scylla. Przybyłem z miasta, któremu patronowała; urodziłem się w nim. Próbowałem zaś

dotrzeć do Nowego Vironu, który również był jej miastem — przynajmniej oficjalnie. Poza tym Scylla jest boginią wody, ja zaś znajdowałem się na morzu, a wkrótce miało mi zabraknąć słodkiej wody.

Mogłem też pomodlić się do Zewnętrznego. Z całej trójki to on (jak sądziłem) najchętniej nadstawiłby ucha, żeby mnie wysłuchać. Zapewne żaden bóg nie miał wielu powodów, żeby dobrze o mnie myśleć — ale Zewnętrzny miał ich najwięcej. Poza tym był ulubieńcem Jedwabia, a ten, kiedy nie twierdził akurat, że nie ufa żadnemu bogu (co, szczerze powiedziawszy, powtarzał dość często), mówił, że z nich wszystkich wierzy tylko Zewnętrznemu.

Na wszelki wypadek postanowiłem zwrócić się do całej trójki. Ukląknęłam — i zapomniałem języka w gębie. Jak zwrócić się do trojga naraz? Pah mógł — choć nie musiał — być w części Jedwabiem; tu Ścięgno miał rację. Z tego, co Alka i Acalypha opowiadali mnie i Pokrzywie, Scylla była uparta, gwałtowna i mściwa. Jeśli któraś z bogiń miała się obrazić, że postawiono ją na drugim miejscu, to najprędzej właśnie ona.

Zewnętrzny był dla mnie wówczas równie tajemniczy i anonimowy jak bogowie i boginie dawnych mieszkańców whorla, który nazwaliśmy Błękitem. Był ponadto bogiem wyrzutków i bandytów, ludzi niepotrzebnych i niechcianych. Nie uważałem się ani za wyrzutka, ani za bandytę, a co do niepotrzebności, to właśnie miałem — dla dobra mojego miasta — podjąć misję niezwyklej wagi. Co właściwie mógłbym mu powiedzieć? Ze nie mam prawa dopraszać się od niego łaski, lecz mimo to liczę na jego pomoc?

W końcu pomodliłem się do pierwszego lepszego boga, który mógł mnie usłyszeć. Podkreślałem bezbronność i poczucie

beznadziei łączące nas, kolonizatorów, którzy — posłuszni woli Paha — porzuciliśmy nasze manteiony, święte okna i inne drogie naszym sercom rzeczy i miejsca. Tłumaczyłem owemu hipotetycznemu bogu, że najbardziej przydałby mi się wiatr zachodni, północny lub wschodni. Musiałem dotrzeć do Nowego Vironu, a potem do Pajarocu (o którym nie miałem zielonego pojęcia) przed odlotem lądownika. Z radością powitałbym nawet najłżejszy zefirek, który pchnąłby mój jacht do przodu.

Gdybym na tym skończył modlitwę, może oszczędziłbym sobie wielu zmartwień i dreszczy przerażenia. Ale nie skończyłem. Ze szczerego serca mówiłem o dojmującej samotności, która owładnęła mną, gdy z górą pół dnia czekałem na zmianę pogody. Przysiągłem dowiedzieć się ile tylko zdołam o Zewnętrznym i bogach tego whorla; oddać najwyższą cześć Pahowi i Scylli, jeżeli uda mi się wrócić do whorla, w którym się urodziłem; zrobić co w mojej mocy, by sprowadzić oboje na dół, jeśli jeszcze nie trafili na Błękit. W duchu obiecałem sobie również uroczyście, że w Nowym Vironie kupię los na loterii. Odmówiłem wszystkie modlitwy, jakie zdołałem sobie przypomnieć.

Nietrudno się domyślić, że wszystko to zajęło mi całkiem sporo czasu. Kiedy wreszcie uniosłem głowę, było już po zaciemnieniu i znad zachodniego horyzontu wyzierał tylko wąziutki skrawek krótkiego słońca. Dzień dobiegał końca, a wraz z nim zniknęło coś jeszcze — takie przynajmniej miałem wrażenie. Przez dobre kilka minut patrzyłem, jak krótkie słońce zachodzi, i rozglądałem się bezradnie, próbując odszukać brakujący element. Na słupie nic się nie zmieniło, może tylko w zębie zebrało się ciut więcej wody. Niebo pociemniało, nieliczne

chmury zmieniły kolor z białego na czerwony, ale nie było w tym nic niezwykłego. Zamglony, odległy Łąd (dla mnie na pewno bardzo odległy) poczerniał, ale poza tym się nie zmienił.

Wreszcie zrozumiałem: kołujący nad wodą ptak gdzieś zniknął. Żaliłem się (choć wtedy pewnie żaden bóg mnie nie słuchał) na samotność, błagałem o towarzystwo — tymczasem odebrano mi jedyną żywą istotę, jaką miałem w zasięgu wzroku. Oto miałem najlepszy dowód okrucieństwa bogów — albo ich nieobecności we whorlu, na który zesłał nas ich król i ojciec.

Zacząłem się śmiać, ale śmiech zamarł mi na ustach, kiedy szałwiarz z głośnym pluśnięciem zapadł się nagle pod srebrzystą powierzchnię. Sięgnąłem po linkę, lecz ta pękła i zniknęła pod wodą, zanim zdążyłem jej dotknąć. Zostały mi dwa łokcie sznura uwiązane do knagi. Wciąż jeszcze gapiłem się na wodę, kiedy słupem szarpnęło i zakołysało tak gwałtownie, że omal nie wypadłem za burtę.

Nigdy nie zapomnę tej przerażającej chwili. Obejrząwszy się przez ramię, ujrzałem ogromne, ostre pazury, każdy gruby jak trzonek naszej siekiery, które próbowały ucześcić się lewej burty, żłobiąc przy tym drewno niczym dłuta. Ułamek sekundy później z wody wychynął łeb i wystrzelił ku mnie. Potrójne szczęki trzasnęły jak zamykane dwuskrzydłowe drzwi. Odruchowo skoczyłem w tył i wpadłem do wody.

Niewiele brakowało, żebym się utopił — nie ze względu na wzburzoną wodę, bo morze było gładkie jak lustro; nie dlatego również, żeby przesadnie ciążyła mi mokra tunika, spodnie i buty. Nie, mogłem po prostu utonąć ze strachu. Gdyby grzbietoskór puścił łódź i przepłynął pod nią, zabiłby mnie w mgnieniu oka. Nie widziałem dla siebie najmniejszej szansy, a

paraliżujący strach nie pozwalał mi ani myśleć o ucieczce, ani przygotować się na śmierć. Z pewnością były to najdłuższe sekundy w moim życiu.

Morze było spokojne, pogoda bezwietrzna i w końcu dotarło do mnie, że odgłosy, które słyszę, wydaje grzbietoskór, uparcie próbując wgramolić się na pokład słupa. Wbrew temu, czego się obawiałem, nie przepłynął bezszelestnie pod kadłubem, lecz z idiotycznym uporem pchał się na łódkę, bo tam zniknąłem mu z oczu.

Dobrze pływam. Przyszło mi do głowy, że mógłbym próbować dopłynąć do brzegu. Zdawałem sobie sprawę, że dzieli mnie od niego mila albo i więcej, bo z łodzi był ledwie widoczny, ale gdybym w ciepłym, spokojnym morzu dobrze rozłożył siły, powinno mi się udać.

Po chwili namysłu doszedłem do wniosku, że jednak nie mam szans. Grzbietoskór zsunąłby się w ślad za mną do wody, a wtedy usłyszałby mnie i wytropił bez trudu. Jediną nadzieję — niewielką, ale zawsze — pokładałem w słupie: musiałem wrócić na pokład, kiedy stwór zeskoczy do wody.

Kombinując w ten sposób, zdążyłem zzuć buty i najciszej jak umiałem przepłynąłem pod wodą na dziób. Wynurzyłem się i złapałem za bukszpryt, który zamontowaliśmy ze Ścięgnem na łodzi, kiedy uznaliśmy, że przyda się nam fok o większej powierzchni.

Słup ciągle chygotał się na wszystkie strony; najwidoczniej grzbietoskór nie rezygnował z prób dostania się na pokład. Czekałem cierpliwie, starając się nie dyszeć za głośno. Usłyszałem — i poczułem — jak olbrzymie, sztywne cielsko zważyło się na dno słupa, który zanurzył się tak bardzo, że burta wystawała nad wodę ledwie na szerokość dłoni.

Podciągnąłem się na bukszprycie i zaryzykowałem rzut oka do środka.

Tego widoku też nigdy nie zapomnę. Grzbietoskór (jeden z największych, jakie w życiu widziałem) opierał sześć masywnych łap — i połowę ciężaru ciała — na sterburcie, a ponad jej krawędzią srebrzysta woda wlewała się kaskadą do łodzi. Osadzony na długiej, węzlastej szyi łeb był zwrócony w stronę zachodzącego krótkiego słońca, z szeroko rozwartej paszczy sterczało tysiąc ostrych jak igły kłów. Zatkąło mnie, a zanim zdążyłem zaczerpnąć tchu, stwór przetoczył się przez burtę i wpadł do wody.

Bukszprytem — a przy tym i mną — szarpnęło, jakby potrząsnęła nim jakaś mocarna dłoń; omal nie wypuściłem go z rąk. Gdy opadł gwałtownie i dźgnął wodę (tonący słup podskakiwał jak miotany sztormem), udało mi się wskoczyć na fordek.

Kiedy gramoliłem się na nogi, grzbietoskór usłyszał mnie i odwrócił się w moją stronę. Głowę trzymał nad powierzchnią, a płynął tak szybko, że woda wokół masywnego cielska burzyła się i pieniała. Stałem po kolana w wodzie i złapałem harpun, którym bawiłem się po południu. Gdy tylko opatrzone pazurami łapy grzbietoskóra zacisnęły się na sterburcie, a potworne szczęki zatrzasnęły się z łoskotem, wbiłem harpun w łeb z taką siłą, że zdarłem sobie skórę z dłoni. Stwór wpadł do wody, ociekając krwawą pianą, i zniknął mi z oczu. Lina harpuna pomknęła za nim z sykiem.

Wystraszyłem się, że grzbietoskór wciągnie słup pod wodę. Zacząłem jak szalony wybierać wodę, powtarzając sobie, że powinienem przeciąć linę przywiązaną do wbudowanego na rufie pierścienia. Zacząłem go szukać po omacku; bałem się

tylko, że rozwijająca się błyskawicznie lina oplącze mi się wokół nadgarstka lub kostki. Godzinę wcześniej przysięgłbym, że nawet po ciemku namacam kolucho z liną, teraz jednak za żadne skarby nie mogłem go znaleźć.

Grzbietoskór wynurzył się trzydzieści łokci przed dziobem. Prychnął wodą zmieszaną z krwią i zaraz pociągnął słup za sobą. Łódka przechyliła się niebezpiecznie i nabrała szybkości, jakiej nie mogła osiągnąć pod żaglami. Skoczyłem naprzód (do tej pory stałem bliżej rufy, szukając pierścienia), żeby przeciąć linę, ale grzbietoskór mnie wyręczył. Lina zwiotczała.

Zdążyły już wejść pierwsze gwiazdy. Powinienem był chyba dokończyć wybieranie wody i sklarować linę, a przy okazji zrobić parę innych pożytecznych rzeczy — na przykład wyjąć i zapalić naszą blaszaną latarenkę.

Ale nie uczyniłem tego. Usiadłem na rufie, gdzie najbardziej lubiłem przebywać, i oparłem drżące ręce na rumplu. Starłem się wyrównać oddech, wsłuchiwałem się w walące mi jak młotem serce i raz po raz spluwałem za burtę. W ustach miałem słono-słodki posmak, ale byłem za bardzo zmęczony i roztrzęsiony, żeby otworzyć butelkę słodkiej wody.

Wzeszła Zielen — większa i jaśniejsza od wszystkich gwiazd: jest latającym whorlem o wyraźnie widocznej średnicy, a gwiazdy to tylko migające punkciki światła. Patrzyłem, jak wspina się ponad skryte w ciemnościach białe urwiska i pochylone wierzby kadzidłowe, i zastanawiałem się, czy Jedwab widział ją w grobie w swoim śnie (gdzie bardzo by pasowała jako ozdoba) i zapomniał o niej, kiedy się obudził — czy może tylko zapomniał mi o niej powiedzieć. Nawet jeśli ją tam zobaczył, nie rozumiał, jak straszny obraz ogląda.

Minęła godzina, może więcej, kiedy przyszło mi do głowy, że gdyby grzbietoskór zjawił się parę minut później, nie miałbym szans. Przeżyłem tylko dlatego, że spotkaliśmy się w ostatnich promieniach krótkiego słońca.

Bo po ciemku...

Nie wiem dlaczego, ale ta myśl dodała mi sił. Zapaliłem latarnię, zawiesiłem ją na maszcie, znalazłem czerpak i wróciłem do pracy: wybierałem z dna czarną jak atrament wodę i wylewałem ją za burtę. Kiedy byłem małym chłopcem, mieliśmy pompy, które wydobywały wodę ze studni; tylko najbiedniejsi, najbardziej zacofani wieśniacy spuszczały do studni wiadra na sznurze. Myślałem teraz o tym, o ile łatwiej byłoby w ten sposób opróżnić z wody na wpół zatopioną łódź. Postanowiłem przy pierwszej okazji skonstruować pompę i zacząłem się zastanawiać, jak powinna być zbudowana: rura (miedziana albo z woskodrzewia) z tłokiem, który najpierw podciągałby wodę, a potem (ruch tłoka przestawiałby zawory w przeciwne położenie) innym otworem wypompowywałby ją na zewnątrz, do morza.

Zatęskniłem za papierem, piórem i atramentem. W skrzyniach z ładunkiem wiozłem aż nadto papieru, ale nie chciałem go rozpakowywać, żeby nie zawilgł. I tak nie miałem ani atramentu, ani niczego, co mogłoby udawać pióro.

Z początku, kiedy wody jest dużo, łatwo się ją wybiera. W miarę, jak jej ubywa, to zadanie staje się coraz trudniejsze (o czym zapewne każdy wie). Kiedy skrobnąłem wiadrem o dno, usłyszałem cichy, ledwie słyszalny odgłos, który zdawał się dobiegać z przeszłości; szelest kojarzący mi się z podobną pracą, wykonywaną dawno temu, w młodości, i z kwaśną wonią żółtawego kurzu. Odstawiłem czerpak, wyprostowałem się,

żeby dać odpocząć plecom, i nadstawiłem ucha. Oprócz zapisanego we wspomnieniach (i teraz praktycznie niesłyszalnego) szmeru usłyszałem delikatne skrzywienie masztu.

Pomyślałem najpierw, że morze minimalnie się wzburzyło i większe fale kołyszą słupem, ale czułem, że pod moimi stopami lódź ani drgnie. Znów rozległ się znajomy szmer, odrobinę głośniejszy — i tym razem udało mi się go rozpoznać: tak szeleściła księga rachunkowa, kiedy ojciec przewracał jej kartki, a ja zamiatałem podłogę w sklepie. Zbliżał się wieczór, nauka w palestrze się skończyła i ojciec szykował się do zamknięcia sklepu. Zapisywał, że jednego towaru sprzedano się niewiele, drugiego jeszcze mniej i że trzeba będzie zamówić nowy zapas na koniec miesiąca — albo na koniec roku; sumował bity w kasie i dochodził do wniosku, że zysk z całego dnia nie wystarczy na kolację dla Roga (który bez entuzjazmu pomagał mu w sklepie), reszty szprotów i żony.

— Zamykamy — powiedziałem i przeszedłem na rufę, gdzie na jednej ze skrzyń leżała otwarta „Księga Jedwabia”. Spryskane wodą kartki same się obracały. Wiał leciuteńki, ledwie wyczuwalny zefirek.

Zamykamy.

Właśnie. Wtedy chyba pierwszy raz pomyślałem w ten sposób o życiu. Moje dzieciństwo dawno się skończyło, moja młodość również przeminęła. Ożeniłem się, bo wydawało nam się z Pokrzywą naturalne, że się pobierzemy. Planowaliśmy to od dziecka. Nie rozstalibyśmy się z własnej woli, choćby dzieliło nas pół whorla; gdyby umarła przede mną, nie zamierzałem drugi raz się żenić. Życie i los przyniosły nam trzech synów. Z radością powitalibyśmy także córkę, nawet dwie, ale na to było

już chyba za późno. A jeśli nawet nie, to i tak musieliśmy poczekać, aż wrócę z whorla długiego słońca.

Zamykamy. Czas na podsumowanie.

Siedząc tak na łodzi pośrodku bezwietrznego morza, zdałem sobie sprawę, że to właśnie był główny powód, dla którego tak ochoczo podjąłem się zadania, jakie postawiło przede mną pięcioro przybyszów. Ależ się zdziwili! Przywieźli jedzenie, namioty, skrzynie pełne ubrań; spodziewali się spędzić na Jaszczurce tydzień albo nawet więcej. Ale w moich księgach rachunkowych Jedwab był największym niespłaconym długiem, długiem tak ogromnym, że inne się przy nim nie liczyły. Jako piętnastolatek uważałem go za największego z wielkich ludzi. Teraz miałem lat trzydzieści pięć, trochę urosłem, ciut przytyłem i prawie całkiem wyłysiałem, a on wciąż był dla mnie wielki.

Zamknąłem książkę i włożyłem ją do schowka pod fordekiem.

Obiecał, że spotkamy się przy lądowniku, jeśli tylko znajdzie chwilę czasu, żeby nas odprowadzić. Nie spotkaliśmy się. Ci, którzy przybyli później — na przykład Rozeta — twierdzili, że kiedy opuszczali Viron, wciąż był calde. Z czasem ich informacje się zdezaktualizowały. W tunelach zostało jeszcze sporo żołnierek z Trivigaunte i wydawało mi się wtedy (na slupie) całkiem prawdopodobne, że pojmąły go, kiedy próbował do nas dołączyć. Jeśli tak się stało, generalissimus Siyuf zapewne jak najszybciej chciała zrobić z niego calde podległego jej rozkazom. To tłumaczyłoby relacje późniejszych kolonistów. Dawało też nadzieję, że wciąż rządzi Vironem, chociaż

wszystkie decyzje dyktuje mu jakaś okrutna i arogancka generał wojsk Trivigaunte.

Ale to była tylko jedna z pół tuzina możliwości. Nowi osadnicy od lat nie przybywali do Nowego Vironu. Jedwab mógł zginąć na pokładzie lądownika, który nie dotarł do żadnego z whorli. Było przecież wiadomo, że nie wszystkie lądowniki z „Whorla” wylądowały bezpiecznie na Zieleni lub Błękiecie.

Równie dobrze mógł zostać zlikwidowany z polecenia Siyuf w jakimś późniejszym terminie, albo pozbawiony władzy przez nią czy przez inną obywatelkę Trivigaunte — w takiej sytuacji mógł żyć gdzieś na wygnaniu.

Z Hiacyntem czy bez, mógł też wsiąść na pokład lądownika, który zabrał go na Zielen; jeśli tak się stało, prawdopodobnie już nie żył. Nie wiedzieliśmy nawet, czy nie wylądował w jakimś odległym zakątku Błękitu (tej możliwości wciąż nie można wykluczyć, o czym wspomniałem już na początku mojej meandrującej opowieści). Zanim Szpik i pozostali odpłynęli z Jaszczurki, przedstawiłem im tę możliwość. Zgodzili się ze mną, że nie można jej całkowicie odrzucić. Mieszkam daleko do Nowego Vironu i nie słyszałem o Jedwabiu, ale to jeszcze nic nie znaczy. Gdyby znajdował się sto mil na wschód od Gaonu i ode mnie — albo na Zaciemnieniu — też bym o tym nie wiedział.

Jeszcze mogę go znaleźć. Muszę tylko wytrwać w moich staraniach i się modlić! Dopóki kontynuuję poszukiwania, nie wszystko stracone.

Przez ostatnie dni byłem bardzo zajęty — tak zajęty, że musiałem w końcu spławić wszystkich, którzy chcieli się ze

mną widzieć (jedni po raz pierwszy, inni nie), tłumacząc się (zgodnie z prawdą) potrzebą odpoczynku i modlitwy. Obiecałem, że moi podwładni wysłuchają protestów, rozważą sprawy i podejmą decyzje. Podwładnym z kolei oznajmiłem, że ufam ich osądowi (co nie jest do końca kłamstwem) i podtrzymam ich decyzje, pod warunkiem, że nie będą nikogo faworyzować i nie dadzą się nikomu przekupić.

Powiedziawszy to — i upewniwszy się, że zostało dobrze zrozumiane — udałem się do tego oto przyjemnego pokoju i zamknąłem w nim na cztery spusty. Siedzę sobie tu w błogiej ciszy. Pomodliłem się, przeczytałem tę mętną opowieść z początku moich przygód i znów się pomodliłem. Lekturę i modlitwę przerywałem krótkimi spacerami po pokoju, uderzaniem pięścią w otwartą dłoń i sprowadzeniem pożywienia i wody dla ptaka, który co prawda odfrunął ze swojej żerdki, ale mógł w każdej chwili wrócić.

Jestem oszołomiony tym, jak bezwartościowa okazała się moja relacja. Nie mówi o mnie (ani o Pokrzywie, o chłopcach czy patere Jedwabiu) nic, czego bym już nie wiedział. Nie zawiera planów powrotu do domu, a im przecież powinienem poświęcić najwięcej uwagi. Chociaż o jakich planach może być mowa w takich okolicznościach?

Muszę pod jakimś pretekstem uwolnić się od tych eleganckich, hojnych i leniwych ludzi i zdobyć ręczego konia — może być inne zwierzę, ale koń byłby najlepszy. Uciekając, muszę mieć zapas kart (albo tych nowych, prostokątnych złotych płytek, których używa się tu czasem zamiast kart), który pozwoli mi kupić mały, mocny jacht, kiedy dotrę na wybrzeże. Potem wszystko będzie w rękach Zewnętrznego i bogów

opiekujących się pogodą na Błękanie — na przykład tej potwornej bogini, którą Alga nazywała Matką.

Oto i cały mój plan. Jak mogę w tych okolicznościach wymyślić coś lepszego? Najgorsze jest to, że ci ludzie bardzo potrzebują kogoś takiego, jak ja. W pewnym sensie sam jestem odpowiedzialny za swoją sytuację.

Za nich też. Uczynili mnie swoim władcą — nie tylko tytularnym, ale prawie że faktycznym — a ja przyjąłem ten urząd. Ja, który tęsknię do mojej jednej, jedynej żony, mam tu co najmniej piętnaście nowych małżonek, tak młodych, że mogłyby być moimi córkami. Piętnaście uroczych, pełnych wdzięku dziewcząt, którym czasem pozwalałam grać i śpiewać dla mnie (to dla nich wielki przywilej), kiedy rozmyślałam o domu.

Nie chodzi mi tu o Stary Viron, chociaż do końca życia będę go nazywał „domem”. Rozmyślałam o domu z drewnianych bali, który zbudowaliśmy u stóp Iglicy, kiedy byliśmy młodzi; o rozbitym na plaży łopoczącym namiocie z oskrobanych i natłuszczonych skór zielonków; o tym, jak z zapalem odkrywałem przed Pokrzywą tajniki wyrobu papieru i jak czasem opowiadałem o tym sam sobie — i wiatrowi. Rozmyślałam o Jaszczurce, o wartkim strumieniu i dudnieniu młotów w papierni, o miarowym szczęku maszynerii, o leniwym ruchu obciążonych sit i cudownym blasku krótkiego słońca, zanurzającego się w falach Zatoki Ogonowej, na których kołyszą się kłody doskonałego miękkiego drewna.

Kiedyś chciałem nie tylko produkować papier, ale i na nim drukować. Lecz o tym już pisałem. Po co się powtarzać?

3

Sybilla i czarownica

Szpik, którego znałem w dzieciństwie, był człowiekiem postawnym w najlepszym sensie tego słowa; jego tusza znamionowała siłę i przydawała mu dostojęstwa. Nogi go już zawodziły i chodził o lasce (tak jak przez pewien czas Jedwab). Miał pomarszczoną twarz, a resztkę włosów, jaka pozostała mu na głowie, była biała jak mleko. A jednak mogłem mu szczerze powiedzieć, że prawie się nie zmienił, odkąd razem walczyliśmy w tunelach z ordą Trivigaunte. Wciąż był tęgi, chociaż z czasem chyba ubyło mu dawnej energii. Za to jego dostojęstwo i powaga nie ulegały wątpliwości.

Szpik był tym samym człowiekiem co dawniej.

— Nie muszę ci niczego tłumaczyć — powiedział. — Znam cię, Rogu, i wiem, że zrobisz co w twojej mocy. I to mi wystarczy. Ale może to ty chcesz ze mną porozmawiać? Jeżeli wiem o czymś, co cię interesuje, powiem ci. Jeżeli czegoś potrzebujesz, dostarczę ci to albo znajdę kogoś, kto to zrobi.

Wyjaśniłem, że przede wszystkim potrzebuję zapasów na drogę i wskazówek; większość jedzenia, które mieliśmy w domu, zostawiłem rodzinie. Przypomniałem mu też, że obiecał znaleźć kogoś, kto wie, gdzie leży Pajarocu i będzie mi mógł powiedzieć, jak najlepiej tam dotrzeć.

— Z jedzeniem nie będzie problemu. — Szpik machnął lekceważąco ręką. — Dam ci baryłkę jabłek, trochę suszonych

owoców, mąkę i proszek do pieczenia. — Zamyślił się. — Dostaniesz też szynkę, skrzynkę wina i beczułkę peklowanej wieprzowiny.

Wydało mi się mało prawdopodobne, żebym potrzebował aż tyle jedzenia. Powiedziałem mu o tym.

— Lepiej, żebyś miał za dużo, niż żeby ci zabrakło. Jaką miałeś podróż?

Wzruszyłem ramionami.

— Straciłem harpun.

— Załatwię ci nowy, ale będziesz musiał dzień albo dwa poczekać.

Mając świeżo w pamięci spotkanie z grzbietoskórem, zapytałem, czy mógłby mi pożyczyć strzelbę. Dodałem, że nie stać mnie na kupno takiej broni.

Szpik uniósł brwi.

— Nie lepiej wziąć igłowiec? Pamiętam, że kiedyś miałeś taką broń. Masz ją jeszcze?

Pokręciłem głową.

— Załatwię ci igłowiec. — Zacmokał z troską. — Chociaż to też może potrwać... Sam nie wiem. W razie czego dam ci swój. Wątpię, żeby jeszcze był mi potrzebny.

— Wolałbym strzelbę. Słyszałem, że w mieście produkuje się taką broń i amunicję.

Wstał, podpierając się laską, i odparł: — Mam dwie strzelby w sąsiednim pokoju. Pokażę ci je.

Dom Szpika był znacznie większy od naszego, chociaż zapewne mniej solidnie zbudowany. W pokoju, do którego weszliśmy, znajdowały się gablotki, kilka eleganckich krzeseł i duży, zawalony papierami stół. Pochyliłem się nad nim.

Szpik zauważył to i wziął do ręki jeden z dokumentów.

— To twój. Większość. Kupcy czasem przywożą własny, pewnie z ładownika. Zawsze się dziwią, że my w Nowym Vironie sami robimy papier. — Zachichotał. — My, czyli tak naprawdę ty. Kiedy się chwale, że produkujemy pistolety, mam na myśli Krakwę, a kiedy mówię, że wytwarzamy papier, chodzi mi o ciebie. — Podał mi trzymaną w ręce kartkę. — Mamy wiele pożytecznych urządzeń: umiemy skonstruować maszyny do papierni, tokarki i frezarki, na których można skopiować broń. Ale o tym im już nie mówię. Zależy nam na sprzedaży, nie na konkurencji.

Zdziwiłem się. Powiedziałem mu, że nie zarabiam na sprzedaży papieru.

Uśmiechnął się.

— Czasem sprzedajesz go mnie.

— Owszem, i jestem ci ogromnie wdzięczny. Dobry z ciebie klient.

— Ja zaś część papieru sprzedaję dalej. Nie zarabiam ani na tym, ani na sprzedaży pistoletów Krakwy, w każdym razie nie bezpośrednio, ale kiedy pieniądze spływają do miasta, prędzej czy później dostaję swoją działkę. Tak jak inni. Sam zbudowałeś papiernię, prawda? Wykonałeś całą ciesielską robotę?

Tak było, więc tak też mu powiedziałem.

— A co z metalowymi częściami? Też sam je zrobiłeś?

— Inni je dla nas wykonali. Udzielili nam kredytu, ale już go spłaciliśmy.

Klucz obrócił się w zamku i otworzyły się drzwi gablotki.

— Dzięki temu mogłeś wyprodukować papier, na którym Kra
— kwa ze swoimi robotnikami rozrysowali elementy tej strzelby. Ręka rękę myje, Rogu.

— Mówiłeś przecież, że skopiowali części z broni, którą ktoś przywiózł ze sobą z domu.

— Zgadza się, ale lepiej jest raz wszystko pomierzyć i rozrysować, niż mierzyć za każdym razem od nowa. Nie każę ci odróżniać oryginału od kopii, bo to nie jest trudne. Potrafiłbyś to zrobić, tak jak potrafiłby każdy rozgarnięty człowiek. Chcę jednak, byś zważył je obie w dłoni, obejrzał i powiedział, czy któraś z nich celniej strzela. A jeśli tak, to dlaczego.

Wziąłem strzelby do ręki. Zajrzałem każdej do komory, żeby się upewnić, że nie jest naładowana.

— Ta nowa jest trochę toporna — stwierdziłem. — Stara lżej chodzi i jest minimalnie lżejsza, ale nie rozumiem, dlaczego jedna miałaby lepiej strzelać od drugiej.

— Słusznie, bo obie są równie dobre. Należą do mnie i poczytam to sobie za prawdziwy zaszczyt, jeżeli zechcesz przyjąć jedną z nich. — Szpik spojrział na mnie z powagą na twarzy. — Miasto powinno ci zapłacić. Ale nie mamy pieniędzy, w każdym razie nie tyle, żebyś chciał dla pieniędzy wyruszyć w drogę. Trzeba zadać sobie pytanie, czy za kilka lat Nowy Viron będzie bogatszy, czy biedniejszy? Nie znam na nie odpowiedzi, ale tylko ona się liczy, nie jakieś bzdurne morały, którymi sypie prolokutor. Potrzebujemy Jedwabia z tego samego powodu, dla którego potrzebujemy lepszej kukurydzy, i prosimy cię, byś go tu sprowadził za darmo.

Wybrałem nową strzelbę i powiedziałem Szpikowi, że przydałby mi się jakiś pasek do niej.

— Nic nie powiesz? Nie zaprotestujesz? Bo jestem przekonany, że twój calde Jedwab nie odpuściłby tak łatwo.

— Nie — odparłem. — Jeśli rodzice zbiednieją, dzieci będą głodować. Jedwabowi to by wystarczyło i mnie też wystarczy.

— Tu masz rację. Jak zapanuje bieda, wszyscy będą głodować. Twój syn powiedziałby pewnie, że ludzie mogą polować, ale wyobraź sobie, co by było, gdyby wszyscy musieli w ten sposób się żywić. I to całymi latami. Musieliby się rozproszyć, a wtedy każda rodzina byłaby zdana tylko na siebie. Koniec z papierem, koniec z książkami, koniec z ciesznością, skoro co kilka dni trzeba się przenosić z miejsca na miejsce, a stoły i inne sprzęty są za ciężkie, żeby je ze sobą ciągnąć. Wkrótce przestaliby używać nawet jucznych siodeł.

Zauważyłem, że to i tak byłoby bez znaczenia, bo właściciele koni i mułów zjedliby je po roku, najdalej dwóch. Szpik pokiwał ponuro głową i ciężko osunął się na krzesło.

— Podoba ci się ta strzelba?

— Tak. Bardzo.

— Jest twoja. Zabierz ją na łódź, kiedy będziesz wracał. Weź także to zielone pudełko z dolnej półki. Jest pełne, nie było otwierane. To naboje zabrane z lądownika. Nasze nowe naboje są gorsze.

Odparłem, że i tak wolałbym wziąć nowe, a wtedy wskazał mi drewnianą skrzyneczkę, w której znajdowało się pięćdziesiąt sztuk. Zaproponowałem, że przywiezionym na słupie papierem mogę chociaż częściowo zapłacić za broń i obiecaną żywność, ale Szpik pokręcił głową.

— Strzelbę dostaniesz za darmo. Resztę też: naboje, harpun, jabłka, wino i tak dalej. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić. Jeśli jednak zostawisz mi swój papier, oddam twojej żonie to, co za niego dostanę. Co ty na to? Albo, jeśli wolisz, mogę go sprzedać i przechować pieniądze do twojego powrotu.

— Oddaj je Pokrzywie, jeśli łaska. Zostawiłem jej niewiele pieniędzy, a wkrótce będą musieli ze Ściągnem dokupić drewna

i szmat.

Szpik spojrział na mnie spod krzaczastych brwi.

— Przypłynąłeś własną łodzią, chociaż chciałem ci oddać jedną ze swoich.

— Ściągnę na pewno zbuduje nową. Nie będzie miał wyjścia, a uważam, że przyda mu się dodatkowe zajęcie poza prowadzeniem papierni. W dodatku to takie twórcze zajęcie. Będzie dla niego ważne, przynajmniej na początku, widzieć, jak coś powstaje w jego rękach.

— Jesteś mądrzejszy, niżby się mogło wydawać. Widać to też po twojej książce.

Odparłem, że mam nadzieję, iż wystarczy mi tej mądrości, i spytałem, czy znalazł kogoś, kto był w Pajarocu.

— Jeszcze nie, ale nowi kupcy zawijają do portu prawie codziennie. Zaczekasz?

— Dzień czy dwa na pewno. Warto poświęcić chwilę, żeby zdobyć informacje z pierwszej ręki.

— Chcesz jeszcze raz obejrzyć ich list? Nie wynika z niego, gdzie leży Pajarocu; w każdym razie ja tego nie widzę, ale może wpadnie ci w oko coś, co przeoczyłem. Tam, na swojej wyspie, ledwie rzuciłeś na niego okiem.

— Moja jest tylko południowa części Jaszczurki, mniej więcej jedna trzecia. Ale nie, nie mam ochoty go czytać, przynajmniej nie teraz. Mógłbyś poprosić kogoś, żeby go dla mnie przepisał? Najlepiej trochę wyraźniejszym charakterem pisma. Wziąłbym kopię ze sobą.

— Nie ma sprawy. Mój skryba się tym zajmie. — Szpik przyjrzał mi się badawczo. — Co się stało? Przeszkadza ci, że mam skrybę?

— Nie powinno.

— Wiem, ale przeszkadza. Chcę wiedzieć dlaczego.

— Kiedy byliśmy w tunelach... Ale też potem, w lądowniku, i przez lata po wylądowaniu, myślałem, że...

Słowa uwięzły mi w gardle. Odwróciłem się plecami do Szpika.

— Myślałeś, że tu wszyscy będziemy wolni i niezależni? Tak jak ty?

Niechętnie skinąłem głową.

— Dostaliście farmę, ty i twoja dziewczyna. Twoja żona. Nie potrafiliście się z niej utrzymać. Nie byliście nawet w stanie sami się wyżywić.

To zbyt bolesne. We whorlu i tak jest dość bólu, po co więc mam dodawać sobie cierpień?

Na Zieleni poznałem człowieka, który nie widział inhumich. Jego umysł nie przyjmował ich istnienia do wiadomości. Można by powiedzieć, że jego wzrok chował się przed nimi ze strachu. W podobny sposób mój wewnętrzny wzrok odmawia ostrego spojrzenia na sprawy, które są dla mnie najbardziej bolesne. W „Gronostaju” śniło mi się, że zabiłem Jedwabia. Czy to możliwe, że naprawdę tego próbowałem? Przecież strzeliłem do niego z igłowca, kiedy zniknął we mgle. Albo że wcale nie dałem mu swojego igłowca?

(Powiniennem był powiedzieć Ścięgnu, że igłowiec, który mu zostawiam, należał poprzednio do jego matki. Zabrała go generał Sabie i dała mi przy wyjściu z tuneli. Nigdy wcześniej nie widziałem lepszego igłowca. Później, naturalnie, tak).

Cierpię, ale muszę to zapisać. Dla własnego dobra postaram się to ująć jak najkrócej — w jednym, maksimum dwóch akapitach.

Kiedy wróciłem na slup, okazało się, że ktoś mnie okradł: włamał się do moich skrzyń z ładunkiem i zabrał cały papier, wraz z większością olinowania i paroma drobiazgami, które zabrałem z Jaszczurki.

Zanim udałem się na spotkanie ze Szpikiem, poprosiłem właściciela zacumowanej po sąsiedzku łodzi (znałem go, chodziliśmy razem do palestry), żeby rzucił okiem na mój slup. Obiecał mi, że się nim zaopiekuje. Poszedłem z nim porozmawiać. Nie chciał mi spojrzeć w oczy. Zorientowałem się, że to on mnie okradł; rzuciłem się nań i go pobiłem, ale papieru nie udało mi się odzyskać.

Posiniaczony i zakrwawiony zwróciłem się o pomoc do Białożora, Rozety i Strupa, ale na próżno. Strup był w rejsie na jednej ze swoich łodzi, a Białożór i Rozeta nie mieli dla mnie czasu.

Tak w każdym razie powiedzieli mi ich skrybowie.

Ciele trochę mi pomógł. Zarzekał się, że więcej mi dać nie może, a i tak był lepszy od moich pozostałych braci, od których nic nie dostałem. Koniec końców wróciłem do Szpika i ubłagałem go, żeby pożyczył mi trzy karty. Zgodził się, a potem wziął mój weksel opiewający na tę sumę powiększoną o osiem procent odsetek i demonstracyjnie go podarł. Jestem mu winien znacznie więcej niż trzy karty i tę — jakże krótką — wzmiankę.

Uzupełniłem zapasy i wyruszyłem w dalszy rejs. Płynąłem wzdłuż wybrzeża na południe, wypatrując punktu

orientacyjnego, który opisano mi jako skałę zwieńczoną stogiem siana.

Rozmawiając ze Szpikiem przed kradzieżą, przyszło mi do głowy, że mógłbym wyciągnąć od niego coś, czego Jego Mądrość nie chciał mi powiedzieć tego dnia, gdy zawinąłem do portu. Szybko zorientowałem się, że Szpik z łatwością przejrzałby moje ewentualne podstępny i że nie pozostaje mi nic innego, jak zapytać go o to wprost. Zapytałem więc.

— Dziewczyna żyje — odparł, gładząc się po brodzie. — A starej sybilli dawno nie widziałem. Ani o niej nie słyszałem.

— Ja też nic o niej nie wiem, chociaż powinienem. Mieszkała tu, w mieście, ja zaś większość czasu spędzałem na Jaszczurce, ale powinienem był napatoczyć się na nią, wożąc papier na targ. Chyba wyobrażałem sobie, że będzie żyć wiecznie — przyznałem z poczuciem winy. — Ze będzie tu na mnie czekać.

— Chłopcy zawsze tak myślą. — Szpik pokiwał głową.

— To prawda. Moi synowie na pewno. Kiedy człowiek dorasta, mija niewiele lat i świat nie zdąży się bardzo zmienić. Zaczynamy sobie wyobrazać, że na zawsze zostanie taki sam. To przekonanie całkowicie zrozumiałe, ale błędne i najczęściej niewłaściwe także w sensie moralnym.

Czekałem, co Szpik na to powie, ale on milczał.

— Teraz... Cóż, teraz chcę poszukać Jedwabia, który, o ile w ogóle żyje, przebywa gdzieś daleko stąd. Wydaje mi się jednak, że nie powinienem wyjeżdżać, nie zobaczywszy się z Maggie. Nawiasem mówiąc, Maggie nie jest już sybillą.

— Jest — zauważył nieśmiało Szpik. — Prolokutor ponownie ją wyświęcił.

— Nic mi o tym nie mówił — zdziwiłem się. Prawdę mówiąc, powiedział mi bez ogródek, że na ten temat nie będzie ze mną

rozmawiał. — Wiesz, że z nim rozmawiałem?

Szpik skinął głową.

— Tego właśnie chciałem się od niego dowiedzieć. Przede wszystkim. Ciekawiło mnie, co stało się z nią i z Pleśnią, ale nie chciał mi powiedzieć. Unikał odpowiedzi. Z pewnością wie, co się z nimi dzieje. Wie, że obie żyją.

— Ja wiem tylko to, co usłyszę od kupców, z którymi prowadzę interesy. Nie śledzę losów wszystkich mieszkańców Nowego Vironu, chociaż ludzie różnie gadają. — Szpik oparł dłoń na lasce i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. — Pewnie nie wiem tyle, co on, ale wiem, że chciała tu przyjechać i pomagać. Uczyć dzieci, jak dawniej. Dlatego wyświęcił ją na sybillę. Sprzątała mu i gotowała. Ale tej obłąkanej dziewczyny nie chciał wpuścić do domu.

Uśmiechnąłem się w duchu. Na pewno nie było mu łatwo zatrzymać Pleśń za progiem.

— Zresztą były z nią jakieś problemy, z tą zwariowaną wnuczką.

Widziałem, że czeka na moją reakcję, więc pokiwałem ze zrozumieniem głową. Kiedy ja i Pokrzywa opiekowaliśmy się Pleśnią, zdarzało się, że rzucała w nas talerzami zjedzeniem.

— Podobno inni ludzie też przy niej wariowali. Ja osobiście w to nie wierzę, nigdy nie wierzyłem, ale tak mówią. Któregoś dnia obie zniknęły. Ja tam sobie myślę, że prolokutor je pogonił. Chociaż podobno trochę im pomógł. Nigdy nie słyszałem, żeby się do tego przyznał, ale chyba tak właśnie było. Ile to już... ? — Szpik zagapił się na sufit. — Pięć lat. Mniej więcej, może sześć.

Zahuścił się na swoim ogromnym, masywnym fotelu. Jedną dłoń opierał na lasce, drugą zacisnął na podłokietniku;

wywoskowane drewno przez lata pociemniało i wypolerowało się do połysku.

— Nie chciałem wtykać nosa w nieswoje sprawy, ale słyszałem, że znalazł im jakąś farmę gdzieś pod miastem. Szczerze mówiąc, myślałem, że jakiś dziki zwierz pożre tę obłąkaną dziewczynę, a wtedy maytere wróci.

— Rozumiem, że tak się nie stało. Cieszę się.

— Rzeczywiście, przecież znasz je obie. Zapomniałem. W swoim czasie też uczęszczałem do palestry, jak ty, więc maytere znam od dawna. Nigdy nie rozumiałem, jak to możliwe, żeby miała wnuczkę. Ludzie mówią, że ją adoptowała.

Najwyraźniej Szpik wcale nie przeczytał naszej książki tak dokładnie, jak twierdził. Skinąłem głową, starając się, by ten gest wypadł niezobowiązująco.

— Czy nadal są na tej farmie, którą Jego Mądrość im znalazł?
— zapytałem. — Chętnie bym się z nimi zobaczył, skoro już tu jestem.

Szpik znów spojrzał na mnie spode łba.

— Mieszkają na wyspie, tak jak ty. Dziwię się, że tego też nie wiesz — mruknął, a kiedy nie zareagowałem, dodał: — to właściwie samotna skała, na której stoi dom podobny do stogu siana. Tak ludzie gadają. Na palach, żeby siano nie zawilgło. Wiesz jacy są farmerzy. Podobno jest z patyków.

Brzmiało to tak niewiarygodnie, że zapytałem, czy widział dom na własne oczy. Pokręcił głową.

— To pewnie nie patyki, tylko drewno wyłowione z morza. Kawał drogi na południe stąd. Będiesz tam płynął cały dzień, nawet przy sprzyjającym wietrze.

Oczywiście spałem na slupie, więc mogłem wyruszyć w drogę zaraz po rozjaśnieniu. Nie ma lepszego śniadania niż to spożywane na łodzi, która lekko przechyla się na wietrze. Większość obiecanych przez Szpika zapasów dotarła do portu, nim skończyłem uzupełniać takielunek. Sam też trochę dokupiłem. Na obiad zjadłem szynkę ze świeżym chlebem i masłem, zagryzłem jabłkami, popiłem wodą z winem i musiałem szczerze przyznać, że w życiu nie jadłem lepszego posiłku.

Zdziwił się, że nic nie wiem o maytere Marmur (którą najwyraźniej znów się stała) ani o Pleśni, chociaż mieszkały na wyspie dwa dni drogi od Jaszczurki. Prawdę mówiąc, pomyślałem sobie, że coś jednak o nich słyszałem. Żeglarze, którzy zawijali do Zatoki Ogonowej po papier, wspominali czasem o żyjącej gdzieś na południu czarownicy — chudej wiedźmie, która miała dom na nagiej skale i w zamian za jedzenie i ubrania przepowiadała przyszłość i robiła amulety. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że mówią o Pleśni. Dopiero teraz, widząc te opowieści w nowym świetle, znalazłem kilka powodów, które pozwalały mi się tego domyślać — choć więcej było takich, które przeczyły owej teorii. Koniec końców porzuciłem te rozmyślenia, nie rozstrzygnąwszy sprawy ostatecznie.

Nastał wieczór, a ja wciąż nigdzie nie widziałem zbudowanego z patyków domu, o którym mówił Szpik. Bałem się, że po ciemku mogę go przegapić, zwinąłem więc żagle, rzuciłem dryfkotwę i spędziłem noc na środku morza, ciesząc się spokojną, ciepłą nocą.

Wczesnym przedpołudniem drugiego dnia dostrzegłem chatę, która — wbrew temu, czego się spodziewałem — nie znajdowała się bynajmniej w pobliżu żadnego portu ani miasta, lecz pół mili na prawo ode mnie, na nagiej, czarnej skale, tak osamotnionej, że nie wyglądała wcale jak odprysk stałego lądu, lecz pozostałość zupełnie innego pradawnego kontynentu, pochłoniętego przez morze wkrótce po tym, jak Zewnętrzny stworzył ten whorl.

Bzdura, bez dwóch zdań. Chociaż, z drugiej strony, na widok wysepki poczułem się tak samotny, jak chyba nigdy w życiu — może poza chwilami, gdy słucałem śpiewu Algi.

Od trzech dni nic nie pisałem. Nie dlatego, żebym miał aż tyle zajęć (choć na pewno się nie nudziłem), nie mogę też powiedzieć, żeby nie chciało mi się pisać — po prostu skończył mi się atrament. Wygląda na to, że tu nikt nie wytwarza atramentu — a raczej nikt dotychczas go nie wytwarzał; nie był artykułem, który w razie potrzeby po prostu kupuje się na bazarze, a w domu trzyma się zapas na czarną godzinę. Atramentu od dawna nie było na rynku, moi skrybowie mieli go niewiele, a pozostali ludzie — ci, którzy w ogóle coś pisali, czyli prowadzili rachunki — nic a nic. Kiedy nie mogliśmy z Pokrzywą kupić atramentu w Nowym Vironie, zaczęliśmy produkować własny, nie widziałem więc przeszkód, by i tu wprowadzić ten zwyczaj.

Musiałem trochę popróbować różnych mieszanek, ale dzięki doświadczeniu dość szybko udało mi się uzyskać całkiem zadowalający rezultat. W Gaonie — chyba tak samo jak

wszędzie — klej wytwarza się z gotowanych kości, kopyt i rogów. Należało zmieszać go z olejem wyciśniętym z ziaren lnu i sadzą, potem zaś (do tego musieliśmy sami dojść) zagotować tę mieszaninę z odrobiną wody. Wysycha chyba nieco szybciej niż atrament, który wytwarzaliśmy z żywicy; może zbliżyłem się o kolejny krok do atramentów, które ojciec przyrządzał na zapleczu sklepu. W każdym razie jest ciemny, kryjący i — jak widać — spisuje się znakomicie.

Mój ojciec, Kościec, umiał też robić kolorowe atramenty. Nie ma powodu, żebyśmy i my nie mogli się tego nauczyć: wystarczy znaleźć barwniki, których doda się do mieszaniny zamiast sadzy. Mam tu pewnego bystrego młodzieńca, któremu kazałem szukać odpowiednich proszków. Moi skrybowie twierdzą, że nigdy nie widzieli kolorowego atramentu na bazarze; nawiasem mówiąc, nie widziano go również w tym ogromnym różowo-błękitnym budynku, który nazywa się moim pałacem. Przypuszczam, że powinien się niezgorzej sprzedawać. Chyba zaczynam rozumować jak Szpik, co — zważywszy na podobieństwo zajmowanych przez nas stanowisk — nie jest szczególnie zaskakujące.

Kusi mnie, żeby napisać coś o bazarze w Nowym Vironie i, być może, porównać go z tutejszym. Zostawię jednak ten temat na inną okazję.

Na razie wracajmy na slup.

Od południowego wschodu w brzeg Wysepki Pleśni wrzynała się wąska zatoczka, dająca znakomitą osłonę przed falami. Zacumowałem w niej i stromą ścieżką wdrapałem się na skałę, zabrawszy ze sobą kawał boczku i worek mąki. Wydaje mi się, że mnie nie poznała. Prawdę mówiąc ja również jej nie rozpoznałem, dopóki nie spojrzałem jej w oczy — te same

martwe, matowe oczy co dawniej. Wiedźmę opisywano mi zawsze jako skrajnie wychudzoną. Rzeczywiście, była chuda — nie tak bardzo jednak, jak dziewczyna, którą widziałem w pałacu calde i, później, na pokładzie lądownika; nie była chodzącym szkieletem, który zapamiętałem.

Mówiono też, że jest wysoka, ale to nieprawda; szczupła, prosta jak trzcina Pleśń w przykrótkiej, wystrzępionej sukience wydaje się wyższa, niż jest w rzeczywistości.

Pleśń, którą kiedyś znałem, na pewno pierwsza by się do mnie nie odezwała. Ta, którą nazywano wiedźmą i czarownicą, przemówiła pierwsza, choć miałem wrażenie, że przywoływała z pamięci na wpół zapomniany język. Oblizwała spierzchnięte wargi.

— Czego... sobie... życzysz... ?

— Musimy porozmawiać, Pleśnio. — Pokazałem jej poleć boczku i worek z mąką. — Przywiozłem ci coś. Pomyślałem, że się ucieszysz. Mam nadzieję, że lubisz boczek.

Bez słowa odwróciła się i weszła do chaty, która była większa, niż się spodziewałem. Zostawiła otwarte drzwi, wszedłem więc za nią.

Światło wpadało do środka tylko przez niedomknięte drzwi i otwór w środku stożkowatego dachu. Przez jakieś pół minuty stałem w progu i czekałem, aż oczy przyzwyczają mi się do ciemności. Zwrócona plecami do mnie — a twarzą do wygasłego paleniska z poczerniałych kamieni — siedziała nieruchoma postać w czerni. Stare dłonie zaciskały się na okorowanej lasce z jakiegoś jasnego drewna. Pleśń stanęła obok, położyła jej dłoń na ramieniu i przyglądała mi się w milczeniu. Po drugiej stronie paleniska coś się poruszyło; w półmroku bardziej to usłyszałem, niż zobaczyłem.

— Czy to maytere Marmur? — zapytałem, wskazując postać w czerni.

Odwróciła głowę, patrząc nieco na lewo ode mnie. Doskonale mi znajomy metalowy owal twarzy był dziwnie zdeformowany, jakby maytere chorowała.

Po chwili, która jak dla mnie ciągnęła się o wiele za długo, Pleśń odparła: — To moja babka. Ona zna przyszłość.

Rzuciłem worek na ziemię i położyłem na nim boczek.

— W takim razie wie o wielu rzeczach, które ogromnie mnie interesują. Najpierw jednak chciałem cię o coś spytać. Wiesz, kim jestem?

— Róg.

— Tak, to ja. Pamiętasz Pokrzywę?

Pleśń nie odpowiedziała.

— Kiedy mieszkałaś w pałacu calde, przynosiliśmy ci czasem z Pokrzywą jedzenie. — Kiedy dalej milczała, dodałem: — W pałacu Jedwabia.

— Róg? — wyszeptała maytere Marmur. — Czy to ty, Rogu?

— Tak. — Podszedłem bliżej i uklęknałem przed nią. — To ja, maytere.

— Dobry z ciebie chłopiec, Rogu. Miło, że przyjechałeś nas odwiedzić.

— Dziękuję. — Coś dławiło mnie w gardle, szczególnie kiedy patrzyłem na jej twarz. — Dziękuję, maytere. Powiedziałem właśnie, że kiedyś przynosiłem twojej wnuczce jedzenie, maytere. Chcę, żebyś wiedziała, że i tym razem coś jej przywiozłem. To niewiele, tylko poć boczku i worek mąki, ale na łodzi mam więcej jedzenia. Może wzięć, co zechce. Albo co ty będziesz chciała. Może jabłka? Mam całą baryłkę smacznych jabłek.

— Jabłka. — Maytere pokiwała wolno metalową głową. —
Przynieś nam trzy jabłka.

— Zaraz wrócę.

Dłoń Pleśni ledwie się poruszyła, kiedy spoczęła mi na ramieniu i zatrzymała mnie w drzwiach.

— Zjesz z nami?

— Naturalnie. Jeżeli tylko zechcecie się ze mną podzielić.

— Tam jest taki płaski kamień. Na dole. Przeszedłeś po nim.

W pierwszej chwili pomyślałem, że chodzi jej o którąś z kamiennych płyt tworzących posadzkę chaty. Później jednak skojarzyłem, o czym mówi. Skinąłem głową.

— Przy słupie, tak? O niego chodzi?

— Znajdziesz na nim ryby. Je też przynieś.

Odparłem, że chętnie to zrobię. Powoli — nawet z pewną przyjemnością — wyszedłem z chaty na świeże powietrze. Słońce prażyło mocno.

Z jednego punktu na stromej ścieżce, prowadzącej w dół z prawie płaskiego szczytu skały, rozciągał się doskonały widok na zatoczkę, w której zacumowałem słup. Na kamieniu, o którym wspomniała Pleśń, nie widziałem ani jednej ryby. Idąc dalej, pomyślałem, że przyniosę coś w zastępstwie. Kiedy jednak doszedłem do kamienia, trzy ryby miotały się na nim z taką energią, jakby zaraz miały uciec do zatoczki. Rzuciłem się naprzód i zdążyłem złapać dwie z nich, trzecia jednak prześliznęła mi się między palcami i z pluskiem zniknęła w wodzie.

Chwilę później wyskoczyła z powrotem na kamień. Tym razem udało mi się ją schwytać. Wrzuciłem wszystkie trzy sztuki do pustego worka, który przypadkiem miałem na łodzi, i wywiesiłem go za burtę. Wyjąłem trzy jabłka z otrzymanej od

Szpika baryłki i zapakowałem je do zawiniątka z kawałka żaglowego płótna. Po namyśle włożyłem do jednej kieszeni buteleczkę oleju do smażenia, a do drugiej butelkę wody pitnej.

Kiedy wróciłem do chaty, w kamiennym kręgu buzował ogień. Oddałem jabłka maytere Marmur i nożem Ściągną oparwiłem ryby. Wraz z Pleśnią owinęliśmy filety w płaty boczku, nadzialiśmy na patyki i upiekliliśmy nad ogniem, uzyskując bardzo smakowity efekt. Z mąki zmieszanej z olejem zrobiłem ciasteczka (żałowałem tylko, że zapomniałem przynieść sól) i zagrzebałem je w popiele na skraju paleniska, żeby się upiekły.

— A co słyhać u naszej drogiej Pokrzywy? — zainteresowała się maytere Marmur.

Odparłem, że kiedy wyjeżdżałem, miała się dobrze. Wyjaśniam, że wytypowano mnie do powrotu do whorła długiego słońca, żebym sprowadził Jedwabia. Dodałem, że wkrótce wyruszam w drogę do obcego miasta Pajarocu, gdzie ponoć — w przeciwieństwie do Nowego Vironu — udało się wyszykować lądownik do drogi powrotnej. Opowiedziałem o tym znacznie bardziej szczegółowo, niż w tej chwili piszę. Maytere i Pleśń słuchały mnie w milczeniu.

— Domyślacie się już pewnie, o jaką pomoc chciałbym was prosić — dodałem na zakończenie. — Czy mogłabyś, Pleśnio, powiedzieć mi, gdzie jest Jedwab?

Pleśń nie odpowiedziała.

Milczenie się przedłużało, wygrzebałem więc z popiołu ciasteczko i je zjadłem. Maytere Marmur zapytała, co jem. Chyba dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jest niewidoma, chociaż powinienem był to zauważyć godzinę wcześniej.

— Jedno z ciasteczek, które upiekłem, maytere — wyjaśniłem. — Może twoja wnuczka też by zjadła?

— Daj mi jedno — powiedziała maytere Marmur.

Rozgarnąłem popiół i położyłem na jej dłoni drugie ciastko.

— Mam dla ciebie jabłko — dodała. Wytarła jabłko brudnym, podartym habitem i podała mi je po omacku. Wziąłem je od niej i podziękowałem. — Możesz położyć drugie jabłko mojej wnuczce na kolanach, Rogu? Zje je, kiedy już znajdzie dla ciebie patere Jedwabia.

Wziąłem od niej drugie jabłko i zrobiłem to, o co prosiła.

Maytere zagwizdała przenikliwie, aż podskoczyłem. Z cienia po drugiej stronie paleniska wyłonił się młody hus, ostrożny, ale z chciwym błyskiem w ślepkach.

— Chodź tutaj, Babbie! — zawołała maytere Marmur i znów gwizdnęła. — No chodź.

Hus podszedł bliżej. Krótkie, grube pazury (przez niektórych nazywane racicami) zgrzytały donośnie na kamiennej podłodze. Hus nie mógł się zdecydować, czy bardziej interesuje go moja osoba, czy raczej jedzenie, które podsuwa mu maytere. Jego płonące ślepia przyprawiały mnie o dreszcze, chociaż nie spodziewałem się, żeby zaraz miał się na mnie rzucić. Chwilę jeszcze się wahał, a potem sięgnął po jedzenie: jabłko wziął do krótkopalczastej przedniej łapy, a ciasteczko prosto do pyska. Przy tej okazji mogłem aż nazbyt dokładnie obejrzeć sobie jego ostre, żółte kły.

Kiedy na siedmiu łapach wycofał się na swoją stronę ogniska, maytere Marmur spytała: — Czyż nie jest słodki? Moja wnuczka dostała go od kapitana jakiegoś statku z dalekich stron.

Nie wiem, czy udało mi się odpowiedzieć coś sensownego; obawiam się raczej, że tylko zachrząkałem jak hus.

— Właściwie mam wrażenie, jakby mieszkało z nami dziecko — ciągnęła maytere. — Jedno z tych dzieci, które od razu podbijają nasze serca, ponieważ bogowie z sobie tylko znanych, lecz słusznych i świętych powodów odmówili mu przenikliwości umysłu. Babbie tak bardzo stara się nas zadowolić... Nawet sobie tego nie wyobrażasz.

Miała całkowitą rację.

— Ten kapitan bał się, że nocą mogliby nas napaść jacyś źli ludzie. A Babbie śpi głównie w ciągu dnia. Z tego, co słyszałam, wszystkie husy takie są, tak jak ten ptak, którego miał nasz kochany patere Jedwab.

Odparłem, że wprawdzie sam nigdy nie polowałem na husy, ale mój syn mówił mi, że faktycznie prowadzą nocny tryb życia.

— Kochany mały Babbie cały czas mnie pilnuje. — Maytere westchnęła ciężko. Ciche „szszszu” brzmiało jak szmer szmaty przecierającej wyłożoną kafelkami posadzkę. — Bo dla mnie zawsze jest noc. — Kolejne westchnienie. — Wiem, że taka jest wola bogów, i staram się z nią pogodzić. Nigdy jednak nie chciałam tak bardzo odzyskać wzroku jak dziś, kiedy przyszedłeś nas odwiedzić, Rogu.

Kiedy próbowałem wyrazić moje współczucie, oboje poczuliśmy się zakłopotani.

— Nie, nie przejmuj się mną. To z pewnością wola boska. A jednak... jednak...

Jej starcze dłonie zacisnęły się na białej lasce z taką siłą, jakby chciały ją złamać, a potem opadły na podolek, podrygując niespokojnie.

Powiedziałem, że moim zdaniem oprócz dobrodusznych bogów istnieją także źli i złośliwi. Jako przykład podałem moje spotkanie z grzbietoskórem. Zrelacjonowałem je i dodałem na

zakończenie: — Modliłem się o towarzystwo, maytere, i o wiatr, do wszystkich bogów, którzy chcieliby mnie wysłuchać. Uzyskałem i jedno, i drugie, nie wierzę jednak, by zesłał je jeden i ten sam bóg.

— Ja... Wiesz, że znów jestem sybillą, Rogu? Z pewnością, skoro mówisz do mnie „maytere”.

Wyjaśniłem, że Szpik mi o tym mówił.

— Po tym, jak zostaliśmy z mężem rozdzieleni, i to bez wątpienia na zawsze... Chyba sam rozumiesz.

Zapewniłem ją, że tak.

— Zaczęliśmy nawet budować dziecko. Córkę. — Maytere znów westchnęła. — Było nam ciężko, okropnie ciężko, nigdzie nie mogliśmy znaleźć części ani choćby materiałów, z których można by je zrobić. Niewiele zdziałaliśmy. Pewnie się biedactwo w ogóle nie urodzi, jeśli mój mąż nie znajdzie sobie nowej żony.

Próbowałem wyrazić współczucie.

— Nie było więc po co dłużej czekać. Nie mogłam mieć dziecka, o którym marzyłam przez te długie, jałowe lata. Wobec tego pomyślałam, że byłoby miło znów uczyć dzieci biochemów, takie jak ty, tak jak uczyłam, kiedy byłam młodsza. Prawa Kapituły nie zabraniają mężatce zostać sybillą. Jego Mądrość stwierdził, że moja sytuacja jest wyjątkowa i że nie będzie mi stawiał przeszkód, o ile tylko prolokutor wyrazi zgodę. Prolokutor się zgodził, a ja złożyłam nowe śluby. Mało która z nas składa śluby więcej niż raz w życiu.

Chyba pokiwałem wtedy głową. Znacznie więcej uwagi poświęcałem Pleśni, która siedziała nieruchomo z nietkniętym jabłkiem na kolanach.

— Słuchasz mnie, Rogu?

— Tak — zapewniłem maytere Marmur. — Tak, oczywiście.

— Długi czas uczyłam w Nowym Vironie i prowadziłam dom Jego Mądrości, co poczytywałam sobie za wielki zaszczyt. Tylko że ludzie potrafią być tacy nietolerancyjni...

— Niektórzy z pewnością.

— Odkąd pamiętam, Kapituła walczy z tą nietolerancją; odniosła nawet spore sukcesy, wątpię jednak, by kiedykolwiek zdołała ją całkowicie wyplenić.

Zgodziłem się z nią.

— Są takie dzieci, Rogu, które bardzo przypominają małego Babbiego. Nie mówią, ale potrafią kochać i wyrazić wdzięczność za miłość, którą się je obdarzy. Można by się spodziewać, że ludzie się nad nimi ulitują, ale to się rzadko zdarza.

Wyraziłem zdziwienie, że znalezienie Jedwabia zajmuje Pleśni aż tyle czasu.

— Musi wrócić do whorła, w którym mieszkaliśmy, Rogu. To bardzo daleko. Mimo że jej duch przemieszcza się bardzo szybko, i tak musi całą tę drogę pokonać. Dopiero później będzie mogła go poszukać, a kiedy go znajdzie, musi jeszcze do nas wrócić.

Wyjaśniłem, że całkiem prawdopodobne jest, iż Jedwab znajduje się na Błękicie albo na Zieleni, na co maytere z troską pokręciła głową.

— Tym gorzej — odparła. — Biedny Babbie bardzo się denerwuje, jak zawsze, kiedy Pleśń odchodzi. Umie zrozumieć proste sprawy, ale tego, co się z nią dzieje, nie sposób mu wytłumaczyć.

Pomyślałem sobie, że nie pogniewałbym się, gdyby i mnie to ktoś wytłumaczył.

— Jest jej prawdziwym przyjacielem, prawda, Babbie? — Jej wąskie dłonie starej kobiety, które wzięła z ciała maytere Róży, po omacku szukały husa, który był daleko poza ich zasięgiem. — Kochają. I wydaje mi się, że ona też go kocha, tak jak mnie. Obojgu ciężko się tu żyje, bardzo ciężko. Wszystko przez tę wodę.

W pierwszej chwili pomyślałem, że chodzi jej o morze, ale szybko się zreflektowałem.

— Myślałem, że jest tu jakieś źródło, maytere.

Pokręciła głową.

— Mamy tylko tyle wody, ile po deszczu ścieknie ze skał. Zbiera się tu i ówdzie w małe kałuże; moja kochana wnuczka twierdzi, że spływa też do głębszych szczelin, gdzie dłużej się utrzymuje. Ja osobiście nie wiem, czym jest pragnienie. To znaczy, rozumiem, jak to jest, kiedy robi się gorąco, ale nie wiem nic o prawdziwym pragnieniu. Słyszałam, że to coś strasznego.

Opowiedziałem jej o źródle bijącym z Iglicy, które napędza naszą papiernię. Przyznałem, że sam też nigdy nie doświadczyłem prawdziwego pragnienia.

— Babbie musi mieć wodę. Ona też. Jeśli wkrótce nie spadnie deszcz...

Przypomniałem sobie — o wiele za późno — że duży przedmiot, który nieprzyjemnie gniecie mnie w kieszeni, to butelka z wodą. Podałem ją maytere i wyjaśniłem, co to jest. Podziękowała mi wylewnie, ja zaś dodałem, że na łodzi mam znacznie większy zapas wody. Obiecałem, że zostawię jej tuzin butelek.

— Może od razu byś po nie poszedł, co, Rogu? Póki nie ma mojej wnuczki.

W głosie maytere Marmur zabrzmiała żałośnie błagalna nuta. Kiedy uświadomiłem sobie, że woda jest dla niej bez wartości, wzruszyłem się do głębi. Odparłem jednak, że nie chciałbym uronić ani słowa z relacji Pleśni, gdyby nagle wróciła.

— Nie będzie jej jeszcze bardzo, bardzo długo, Rogu — zapewniła mnie maytere i dodała swoim nauczycielskim tonem: — wątpię, żeby już wróciła do whorla. Zdążysz przynieść wodę. Bardzo cię proszę, zrób to.

Uparcie pokręciłem głową i przez godzinę lub dłużej siedzieliśmy w milczeniu, jeśli nie liczyć pojedynczych, nic nie znaczących uwag. Kiedy wreszcie wstałem i oznajmiłem, że pójde po wodę, uprosiłem maytere Marmur, by obiecała, że powtórzy mi słowo w słowo opowieść Pleśni, gdyby ta obudziła się z transu.

Przybyłem na wyspę przed południem, ale kiedy wyszedłem z chaty, słońce minęło już zenit. Czułem się zmęczony, chociaż powtarzałem sobie zdecydowanie, że tego dnia ani trochę się nie napracowałem. Wolniutko zszedłem do łodzi ścieżką, która i tak była zbyt niebezpieczna, by podążać nią — w górę czy w dół — choćby odrobinę szybszym krokiem.

Zatrzymałem się w punkcie obserwacyjnym, o którym wcześniej wspomniałem, i spojrzałem na płaski kamień, na którym znalazłem ryby. Znajdował się teraz w pełnym słońcu. Przedtem, kiedy przy schodzeniu obecność ryb uszła mej uwagi, był cały w cieniu. Próbowałem sam siebie przekonać, że bez względu na to, czy je widziałem, czy nie, musiały tam cały czas leżeć, ale zaraz przypomniałem sobie, jak się rzucały, kiedy do nich zszedłem. Gdyby leżały tam od samego początku, na pewno zdążyłyby uciec.

Schodząc dalej do zatoczki i stojącego w niej słupa, zdałem sobie sprawę, że to kiedy ryby pojawiły się na kamieniu nie ma żadnego znaczenia; z pewnością ich tam nie było, kiedy cumowałem. Zgoda, mogłem ich nie zauważyć, ale na pewno bym się o nie potknął albo na nie nadepnął.

Widziałem Pleśń przez cały czas od chwili, gdy spotkaliśmy się przed chatą, a maytere Marmur od momentu, kiedy wszedłem do środka. Kto zatem zostawił dla nas ryby?

Wytrzepałem wodę z worka, w którym zaniósłem ryby na górę, i włożyłem do niego kilka butelek z wodą. Chwilę wpatrywałem się w czystą, spokojną toń zatoki, ale nie dostrzegłem w niej nic godnego uwagi.

Jedna z ryb uciekła przede mną do wody (dwie pozostałe poszłyby w jej ślady, gdybym ich zawczasu nie złapał), coś jednak kazało jej wyskoczyć z powrotem. Ale co?

Nic nie widziałem i nic nie przychodziło mi do głowy.

Maytere Marmur czekała na mnie przed chatą. Kiedy zapytałem, czy Pleśń już wróciła, pokręciła głową.

— Mam tu wodę, maytere. — Potrząsnąłem workiem, aż butelki zadźwięczały. — Powiedz, gdzie mam ją położyć.

— Bardzo to miło z twojej strony, bardzo. Moja wnuczka będzie ci ogromnie wdzięczna.

Odważyłem się zasugerować, że równie dobrze mogłyby zamieszkać w jakimś odległym zakątku stałego lądu. Owszem, nie miałyby lekkiego życia, ale przynajmniej nie brakowałyby im wody.

— Na początku tak właśnie było. Nie mówiłam ci o tym? Jego Mądrość dał nam takie miejsce. Chyba nadal do nas należy... To znaczy: do mnie.

Zapytałem, czy sąsiedzi je przegnali.

— Nie miałyśmy sąsiadów. Tamten dom stał nad morzem, od strony lądu ciągnął się las i skały. Patrzyłam czasem na morze. Było tam takie duże drzewo, które się przewróciło, ale niezupełnie. Wiesz, co mam na myśli, Rogu?

— Tak — zapewniłem ją. — Naturalnie.

— Wchodziłam na jego pień, aż znalazłam się dość wysoko, i stamtąd patrzyłam na morze. Wypatrywałam łodzi albo po prostu próbowałam wyczytać z chmur pogodę. Traciłam tylko czas, ale lubiłam to robić.

Próbowałem ją przekonać, że na pewno nie traciła w ten sposób czasu, ale zabrzmiało to nieudolnie i głupio.

— Dziękuję ci, Rogu. Dziękuję. To bardzo miłe, że tak mówisz. Podziwiał morze, Rogu, podziwiał póki możesz. Oglądaj je dla mnie, jeżeli sam tego nie chcesz.

Obiecałem, że tak zrobię, i od razu powiodłem wokół wzrokiem. Z wyspy rozciągał się doskonały widok na wszystkie strony.

— Ziemia była nędzna — ciągnęła tymczasem maytere Marmur. — Zbyt piaszczysta. Ale i tak udało mi się co nieco wyhodować. Wystarczało, żeby moja wnuczka miała co jeść, a to, co zostało, zabierałam do miasta na sprzedaż albo oddawałam palestrze. W naszym manteionie też miałam malutką grządkę warzywną, pamiętasz? Rosły na niej jarzyny i zioła.

Zapomniałem o tym, ale po słowach maytere wspomnienia wróciły jak żywe.

— Patere hodował pomidory i jeżyny, a ja cebulę, szczypior, majeranek i rozmaryn. I jeszcze paprykę, czerwoną i żółtą. Różności. Małe czerwone rzodkiewki na wiosnę, potem przez całe lato sałatę. Próbowałam je hodować na naszej farmie i

zwykle mi się udawało. Tymczasem moja wnuczka ciągle przyplýwała na tę skałę i przesiadywała tu całymi dniami.

Spojrzałem na wschód, w stronę lądu.

— Też bym się o nią martwił — przyznałem. — To daleko, a ona pewnie nie jest zbyt silna.

— Zbudowałam więc małą łódkę, żeby móc po nią tu przyplýwać. Znalazłam pień drzewa, który był pusty w środku, oskrobałam spróchniałe drewno i wystrugałam zatyczki, takie duże drewniane korki, żeby woda nie nalewała się do środka. Czasem nie chciała ze mną wracać; musiałam wtedy siedzieć przy niej i czekać, aż się zgodzi. W końcu zbudowałam tu ten domek. Aż któregoś dnia przyszedł straszny sztorm. Bałam się, że zdmuchnie tę chałupinę do morza, ale mu się nie udało. Za to roztrzaskał mi łódź. A ja nie umiem plýwać, Rogu.

Mówiąc to, uniosła głowę. Kiedy promienie słońca odbiły się od niej, zorientowałem się, że nie ma całej płyty twarzowej. Gru — zły i bruzdy, które wziąłem zrazu za deformacje twarzy, były w istocie mechanizmami, które w dawnych czasach skrywała płyta. Staralem się nie zwracać na nie uwagi, kiedy powiedziałem: — Mogę przewieźć was obie na ląd moim słupem, maytere. Zbudowaliśmy go z Pokrzywą do przewozu papieru. We trójkę bez trudu się w nim pomieścimy.

Pokręciła głowę.

— Nie będzie chciała odpłynąć, Rogu. A ja nie zostawię jej tu samej. Chciałabym, ale... Przynajmniej już się nie boję, że spadnę. Opukuję drogę laską, widzisz? — Zastukała laską w leżący między nami kamień. — Jeden z ludzi, którzy przyplýnęli porozmawiać z moją wnuczką, zrobił dla mnie tę laskę. Dzięki temu wiem, kiedy zbliżam się do krawędzi.

— To dobrze.

— Tak. O, tak. Było mi smutno, kiedy przybyłeś, Rogu. Czasami robię się smutna; bywa, że trwa to całymi dniami.

Wyciągnęła wolną rękę w moją stronę. Podszedłem bliżej, żeby mogła położyć mi ją na ramieniu.

— Aleś ty wyrósł! Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że nas odwiedziłeś. Nie żebym miała powody się smucić. Przez setki lat cieszyłam się zdrowymi oczami; większość ludzi nie może tego o sobie powiedzieć. Weźmy na przykład dzieci, które umierają, zanim zdążą dorosnąć! Mają piętnaście lat, albo dwanaście, albo dziesięć, Rogu, i umierają. Znałam dzieci, które zmarły w różnym wieku, od urodzenia do piętnastu lat.

Umilkła na chwilę, a kiedy znów się odezwała, mówiła głosem maytere Róży: — Moje drugie oczy. Miałam je niecałe sto lat. Marmur powinna była je wziąć, kiedy zabrała moje ręce i tyle innych organów. Przynajmniej to zdrowe, bo na jedno od dawna nie widziałam.

— Ale ja ich nie wzięłam. Zostawiłam jej oczy, bo nie wiedziałam, że moje są już tak zużyte. Jej procesor to co innego. Procesor wzięłam, ale oczu nie. Rogu?

— Tak, maytere? Cały czas tu jestem. Czy mogę ci jakoś pomóc?

— Już mi pomogłeś. Przyniosłeś wodę dla mojej wnuczki i jej zwierzaka. To wielka, bardzo wielka uprzejmość z twojej strony. Nigdy ci jej nie zapomnę. Wracasz do domu, prawda, Rogu? Nie tak mi mówiłeś? Wracasz do... do whorła, w którym wszyscy mieszkaliśmy?

Wyjaśniłem, że mam znaleźć Jedwabia i sprowadzić go do Nowego Vironu, gdyż taką złożyłem przysięgę. Dodałem, że spodziewam się znaleźć go w Starym Vironie, a zatem muszę się

tam udać, jeśli tylko mieszkańcy Pajarocu zabiorą mnie na swój lądownik.

— W takim razie chciałabym cię prosić o ogromną przysługę. Wyświadczysz mi ją, Rogu, jeśli będzie to możliwe? — Cofnęła dłoń z mojego ramienia i dotknęła swojej twarzy. — Straciłam płytę twarzową. Zdjęłam ją i gdzieś zapodziałam, Rogu. Opowiadałam ci o tym?

Pokręciłem głową. Zapomniałem, że mnie nie widzi.

— Siedziałyśmy na tej skale, ja i moja wnuczka. Sztorm niedawno ucichł, a ja stwierdziłam, że nie widzę na jedno oko. Powtarzałam sobie, że to nic strasznego, że drugie wystarczy mi jeszcze na długie lata, a do opieki nad moją biedną wnuczką jedno oko będzie równie dobre jak dwoje.

Jej głos brzmiał tak smutno, że zaproponowałem: — Nie musisz mi o tym mówić, jeśli nie chcesz.

— Chcę. Muszę. Minęły cztery dni, Rogu. Cztery dni po tym, jak zepsuło mi się lewo oko, wysiadło także prawe. Zamieniłam je miejscami, bo wiedziałam, że jedno może dzięki temu zacząć działać, ale nic z tego nie wynikło. Wtedy zdjęłam płytę twarzową. Miałam wrażenie, że trochę mi przeszkadza, tak jakbym próbowała patrzeć przez nią na wylot. Wiem, że to niemożliwe. Była zrobiona z litego metalu, bodajże z aluminium. Jak wszystkie.

— To prawda — przytaknąłem, nie bardzo wiedząc, co innego mógłbym powiedzieć.

— Zdjęcie płyty też mi nie pomogło, ale już jej nie założyłam z powrotem. Moja nieszczęsna wnuczka się nie skarży, a mi nie wiedzieć czemu tak jest wygodniej. — Mówiąc, wydlubała prawe oko z oczodołu. — Weź je, Rogu. Weź, proszę. Jest zepsute i do niczego mi się nie przyda.

Bez entuzjazmu patrzyłem, jak kładzie mi je na dłoni i delikatnie zaciska wokół niego moje palce. Jej palce były smukłe i miękkie jak prawdziwe ciało.

— Mogłabym ci powiedzieć dokładnie co to za część, podać jej numer serwisowy, ale na nic by ci się to nie przydało. A tak, mając moje oko ze sobą, będziesz mógł znaleźć nowe. Rozpoznasz je, kiedy je zobaczysz.

Podjąłem postanowienie, że zrobię, co w mojej mocy, żeby znaleźć dwoje oczu dla maytere (co również mi się nie udało), i powiedziałem jej o tym.

— Dziękuję, Rogu. Wierzę, że się postarasz; zawsze byłeś dobrym chłopcem. Czasem trudno mi to znieść, ale nie powinnam rozpaczać. Naprawdę nie powinnam. Bogowie dali mi... nagrodę pocieszenia. Tak, chyba można by tak to nazwać. Potrafię zajrzeć w przyszłość, tak jak potrafiła kochana maytere Mięta. Wspominałam ci o tym?

Przypuszczam, że powiedziałem wtedy, iż zawsze podejrzewałem, że ma zdolności prorocze, jak wszystkie sybille.

— Nie byłam w tym najlepsza, bo nie widziałam obrazów. Wiedziałam to, co wszyscy; wiedziałam, co oznacza powiększone serce i inne typowe przesłanki. Nie umiałam jednak dostrzec we wnętrzościach całych obrazów, które widziała nasza droga sybilla. Albo patere. Teraz je widzę. Czy to nie dziwne? Ośleplam, ale zyskałam wzrok wewnętrzny. Nie widzę wnętrzości, dopóki ich nie dotknę, ale potem odsłaniają się przede mną obrazy.

Pamiętałem, że Jedwab w ten sposób przepowiadał przyszłość; zdawałem sobie jednak sprawę, że nie pokładał wielkiej wiary w takich prorocत्वach. Cała procedura ogromnie go fascynowała, ale odnosił się do niej bardzo sceptycznie.

Takie myśli przebiegały mi przez głowę, kiedy zapytałem sybillę, czyby mi nie powróżyła, gdybym dostarczył jej porządną, dużą rybę jako ofiarę.

— Czemu nie, Rogu... Pochlebiasz mi. — Zamyśliła się. — Ale musimy rozpalić nowy ogień ofiarny. Tutaj, nie w domu. Zbudowałam taki kamienny ołtarzyk. Korzystam z niego, kiedy ludzie z łodzi proszą mnie o wróżby.

Ruszyła wolno przed siebie, wodząc białą laską na boki. Przez chwilę widziałem ją taką, jaką musieli oglądać przybysze — „ludzie z łodzi”, o których wspomniała. Wyobraziłem sobie, jakie wrażenie robi na żeglarzach maytere, Pleśń i cała wyspa — osoby i okolica tak niezwykle, że aż dziw brał, iż ktokolwiek chciał u nich zasięgać rady.

Nie ma sensu rozwodzić się nad tym, jak złapałem rybę i przyniosłem ją na górę w wiadrze, idąc wąską, wydeptaną ścieżką, ani o tym, jak rozpaliliśmy mały ogień na ołtarzu, przenosząc żar z ogniska płonącego w chacie, przy którym Pleśń siedziała nieruchomo, a mały hus ogryzał leżące na jej kolanach jabłko.

Pożyczyłem maytere nóż myśliwski Ściągnęła i przytrzymałem rybę. Maytere zręcznie przecięła jej gardło (nie cięła przez skrże — ła, jak zwykle zabija się rybę, ale przez szyję, jak królika), a potem odwróciła się w tę stronę, gdzie powinno się znajdować święte okno, uniosła rozłożona ręce i wypowiedziała pradawne słowa.

(Może powinienem powiedzieć, że puste niebo na północy było jej świętym oknem? Czyż niebo nie jest jedynym świętym oknem, jakie tu mamy? Czy nie staramy się odczytać z niego woli tych bogów, którzy może jeszcze nas nie opuścili?).

— Przyjmijcie, o bogowie, ofiarę z tego pięknego nastrzępiela. Przemówcie do nas, błagamy, o czasach, które nadejdą. O czasach zarówno jej, jak i naszych. Co mamy zrobić? Wasze najbliższe słowo stanie się bezcennym skarbem. Jeśli jednak zdecydujesz inaczej...

Słuchając jej słów, doznałem uczucia tak niezwykłego, że waham się o nim tu napisać. Wiem, że nikt mi nie uwierzy.

Tak, kochana żono, Ty też nie.

Nic nie widziałem i nie słyszałem, ale wydawało mi się, że widzę twarz Zewnętrznego, która wypełnia całe niebo i wykracza poza jego granice, zbyt ogromna, by dało się ją zobaczyć; że oglądam go w jedyny sposób, w jaki człowiek może go oglądać, czyli tak jak pchła widzi człowieka. Powiesz, Czytelniku, że to bzdura. Twoja wola; sam czasem tak o tym myślałem, ale czy to naprawdę niemożliwe, że bóg istot samotnych i odrzuconych obdarzył szczególną łaską te dwa stworzenia, wygnane na nagą, porzuconą wśród wód skałę? Kto mógł być bardziej zrozpaczony, kto dotkliwiej odczuwał wygnanie niż maytere Marmur? Nie wiem, czy Zewnętrzny naprawdę tam był, czy tylko moje zmysły mnie zwodziły, ale padłem na kolana.

Maytere Marmur odwróciła się do ołtarza — i do mnie — i jednym szybkim cięciem, przy którym zacząłem się obawiać o jej palce, rozplatała rybie brzuch. Zabrałem nóż, a ona zaczęła obmacywać truchło w taki sposób, że nie mogłem się oprzeć wrażeniu, iż w koniuszkach starczych palców tkwią niewidoczne dla mnie oczy.

— Jedna połowa jest dla ofiarodawcy, czyli dla ciebie, Rogu, i augura, czyli mnie. Druga jest dla wiernych i dla miasta. Nie sądzę...

Nagle maytere umilkła. Stała przygarbiona, z odrzuconą do tyłu głową, wpatrując się ślepyim okiem i pustym oczodołem w nicość — a może w zachodzące słońce.

— Widzę dalekie podróże, strach, głód, ziąb i upał. Potem mrok. Potem głębszy mrok i wiatr. Bogactwa i władzę. Widzę cię, Rogu, jak ujeżdżasz trójrogą bestię.

Naprawdę tak powiedziała.

— Dla mnie też mrok. Mrok i miłość, ciemność, a potem podnoszę wzrok i patrzę w dal, gdzie będzie światło i miłość.

Po tych słowach umilkła na bardzo, bardzo długo — tak mi się przynajmniej zdawało. Zaczęły mnie boleć kolana. Wolną ręką próbowałem wygrzebać spod nich kamyki, które mnie uwierały.

— Miasto wypatruje znaku na niebie, ale jedyny znak, jaki znajdzie, pochodzi z brzucha ryby.

Teraz muszę się położyć. Zresztą nie ma już o czym pisać. Maytere namawiała mnie wprawdzie, żebym spędził noc w chacie, ale poszedłem spać na słup. Byłem bardzo zmęczony. Przez całą noc śniły mi się koszmary, w których żeglowałem bez końca, zmagalem się z kolejnymi sztormami i nigdzie nie widziałem lądu.

Jest bardzo późno. Mój pałac śpi, ja jednak nie mogę zasnąć. Wcześniej drzemałem, spisując moją opowieść; może jeśli wrócę do pisania, znów zachce mi się spać.

Chciałabyś wiedzieć, kochanie, co znaczyło proroctwo maytere Marmur i co powiedziała Pleśń, kiedy wróciła z

poszukiwań Jedwabia. Chciałabyś też zapewne poznać tajemnicę ryby. O tym jednak naprawdę nic nie mogę Ci powiedzieć. Mam pewne podejrzenia, ale żadnych dowodów na ich poparcie.

Powiem tak: każda wyspa — na przykład nasza Jaszczurka — jest w pewnym sensie górą wyrastającą z morza. Wszyscy dobrzy żeglarze o tym wiedzą. Gdyby woda opadła, okazałoby się, że papiernia nie stoi u stóp Iglicy, lecz na płaskowyżu. Chodzi mi o to, że wyspa istnieje nie tylko w powietrzu, ale także w wodzie, która zalega poniżej powietrza. Mam powody podejrzewać, że na wyspie, którą nazwałem Wysepką Pleśni, było nas czworo, nie troje (Babbiego nie liczę). Przypuszczam również, że Pleśń porozumiewała się z tą czwartą istotą w sposób, którego ani Ty, ani ja nie rozumiemy. Pamiętasz zapewne, jak objawiała się Jedwabowi i innym w tunelach, na statku powietrznym, nawet u Jedwabia w sypialni. Możliwe, że tu odbyło się to w podobny sposób.

Proroctwo maytere, w części dotyczące mojej osoby, sprawdziło się całkowicie. Możesz zaprotestować, twierdząc, że poza wzmianką o trójrogiej bestii — do której za moment wrócę — było dość ogólnikowe. Zgoda, ale było też, jak mówiłem, prawdziwe. Faktycznie odbyłem długą podróż, doświadczyłem głodu i pragnienia, poznałem zimno, upały i straszliwe ciemności, o których przeczytasz przed końcem tej relacji, o ile kiedykolwiek ją dla Ciebie skończę. Tu, w Gaonie, mam do dyspozycji wielki majątek, a moje rozkazy są wykonywane bez wahania.

Na Zieleni dosiadałem trójrogiej bestii, tak jak przepowiedziała mi to maytere. Jechałem na niej, kiedy

odniosłem śmiertelną ranę. Ale dość już o tym; przysporzyłbym tylko cierpień nam obojgu.

Miałem wrócić do relacji Pleśni, ale już mi się oczy kleją. Zostawię więc to rozczarowanie na inny dzień.

Opowieść o Pajarocu

Rano zastałem Pleśń i maytere Marmur wygrzewające się na słońcu przed chatą. Na dźwięk moich kroków maytere pobłogosławiła mnie, tak jak błogosławiła naszą klasę przed rozpoczęciem zajęć w palestrze, polecając nas patronowi dnia tygodnia. Pleśń, ku mojemu zdumieniu, powiedziała „dzień dobry”.

— Dzień dobry — odpowiedziałem. — Wróciłaś, Pleśnio. Bardzo się cieszę, bardziej, niż mógłbym to wyrazić słowami. Znalazłaś Jedwabia?

Skinęła głową.

— Gdzie on jest?

— Usiądź.

Siedziały z maytere na nagrzanym od słońca kamieniu — Pleśń po turecku, maytere w kucki, z dłońmi opartymi na piszczelach. Usiadłem na sąsiednim kamieniu.

— Ale znalazłaś go? Żywego? Powiedz coś, proszę. Muszę to wiedzieć.

— Kiedy już znalazłam Jedwabia, zostałam z nim jakiś czas. Rozmawialiśmy trzy razy.

— To cudownie!

A więc Jedwab żył! Miałem ochotę zerwać się i zatańczyć ze szczęścia.

— Prosił, żebym nie mówiła ci, gdzie jest. Droga do miejsca, w którym przebywa, byłaby dla ciebie zbyt niebezpieczna. Jeśli zaś go znajdziesz, w niebezpieczeństwie znajdzie się nie tylko on, ale również Hiacynt.

Pleśń wypowiedziała te słowa — jak zwykle — bez cienia emocji. Miałem jednak wrażenie, że w jej oczach, zwykle przeraźliwie pustych, błysnęła iskierka zatroskania.

— Muszę go znaleźć, Pleśnio. Jest nam potrzebny, a ja dałem słowo, że go odszukam.

Pokręciła gwałtownie głową; jej długie, ciemne włosy rozsypały się na wietrze.

— Powtórzyłam Jedwabiowi to, co mi powiedziałeś: że ludzie chcą, aby przybył tu i nimi rządził. Odparł, że gdyby został ich przywódcą, kazałby im wziąć władzę w swoje ręce, aby każdy mężczyzna i każda kobieta robili to, co uważają za stosowne. To jego słowa.

— Ale nam jest potrzebna łaska bogów!

— Kiedyś wiedziałeś, kogo dobrzy bogowie obdarzają łaską, Rogu — zauważyła półgłosem maytere Marmur. — Uczyłam cię tego, kiedy byłeś malutki. Czyżbyś zapomniał?

Zamyśliłem się nad jej słowami, po czym zwróciłem się do Pleśni: — Powtórzyłaś Jedwabiowi to, co powiedziałem, kiedy do was przybyłem?

Skinęła głową. Oczy znów miała pozbawione wyrazu, patrzyła gdzieś w dal.

— To moja wina. Powinienem był dokładniej wyjaśnić ci całą sytuację. Właściwie można powiedzieć, że zawiniłem dwukrotnie: raz, kiedy nie udzieliłem dostatecznych wyjaśnień, a drugi... To przeze mnie niektórzy mieszkańcy Nowego Vironu chcą, aby Jedwab został ich calde. Słyszałem, że podobne plany

mają mieszkańcy Trójrzecza i innych miast; to również moja wina. Kiedy pisaliśmy z żoną naszą książkę, nawet nam się nie śniło, że jej popularność sięgnie aż tak daleko.

— A co na to żołnierki Trivigaunte? — zaciekawiała się maytere.

— One go nie chcą, chociaż ich mężczyźni mają pewnie inne zdanie na ten temat. O Jedwabiu mówi się natomiast w Urbsecundus i innych, jeszcze dalej rozrzuconych miastach. Powiedziałem, że napisaliśmy książkę wspólnie, ja i moja żona. Nie chcę, żeby wyszło na to, że zrzucam na Pokrzywę choćby najmniejszą część winy. Księga w ogóle by nie powstała, gdyby nie moje postanowienie, że muszę ją napisać, zanim umrę. Widząc, jak wiele wysiłku mnie to kosztuje, Pokrzywa zaproponowała mi swoją pomoc, a ja z wdzięcznością ją przyjąłem. Wina jednak leży całkowicie po mojej stronie.

Czekałem, aż Pleśń się odezwie, co jak zwykle okazało się błędem.

— Może postąpiłem głupio, ale wtedy tak nie myślałem. Chciałem napisać „Księgę Jedwabia”, czyli księgę o Jedwabiu, i właściwie mi się udało. Ale pisałem też w niej o was, o generał Mięcie i o maytere Róży. Powinienem chyba powiedzieć, że wszystkie trzy się w niej znalazłyście.

— Naprawdę? — zdziwiła się maytere.

— Tak. Podobnie jak twój syn Krew, Jego Mądrość i inhum, którego w Starym Vironie nazywaliśmy Jego Mądrością patere Kwezalem. I kapral Pięściak, i patere Kowadełko. Pamiętacie patere Kowadełko?

— Tak, Rogu, pamiętam. Mój mąż wysoko sobie go cenił.

Zbyt długo nie widziałem maytere Marmur, żeby móc teraz powiedzieć, czy się uśmiecha, czy marszczy brwi.

— Głównie jednak pisałem o patere Jedwabiu — mówiłem dalej. — Próbowałem pokazać, jaki był dobry i mądry; czasem błądził, ale nigdy nie unosił się dumą i umiał się przyznać do błędu. Przede wszystkim jednak nigdy się nie poddawał, uparcie dążył do rozejmu z Ayuntamiento i pokoju z Trivigaunte, nawet wtedy, gdy sprawy wyglądały beznadziejnie. Wierzyłem, że taka lektura pomoże każdemu czytelnikowi, nie tylko temu, który sięgnie po nią za rok czy dwa, lecz także tym, którzy przyjdą później, kiedy nas z Pokrzywą już zabraknie. Pokrzywa się ze mną zgadzała. Chcieliśmy stworzyć dar dla dzieci naszych dzieci, i dla ich dzieci, i tak dalej.

Maytere po omacku wyciągnęła do mnie rękę.

— Dobry z ciebie chłopiec, Rogu. Nie umiesz usiedzieć spokojnie i jesteś skory do psot, ale masz dobre serce. Zawsze to powtarzałam, nawet kiedy musiałam przetrzepać ci skórę.

Podziękowałem jej.

— To jeszcze nie koniec, maytere. Czułem, że na to zasłużył, że należy mu się książka, z której wszyscy dowiedzieliby się, czego dokonał. Bałem się, że jeśli ja nie przysiędę fałdów i nie spiszę wszystkiego, co o nim wiem, nikt tego nie zrobi.

— Zasłużył na twój szacunek, chłopcze.

— Zasługuje — wtrąciła Pleśń.

— Staralem się jak mogłem. Włożyłem w książkę wiele pracy; jeszcze więcej włożyła w nią Pokrzywa, po wielokroć kopiując to, co napisałem. Kiedy jednak skończyliśmy i spojrzałem na księgę okiem czytelnika, który nie znał Jedwabia, zrozumiałem, że nie oddałem mu sprawiedliwości, że nie umiałem pokazać, jak wielkim był człowiekiem. Potem wszyscy zaczęli ją czytać, a ja coraz częściej słyszałem, że przesadziliśmy, że Jedwab nie mógł być aż tak wspaniały, jak to z żoną opisaliśmy. My zaś

wiedzieliśmy, że nie zdołaliśmy zawrzeć w słowach całej prawdy.

Maytere Marmur prychnęła pogardliwie. Takie prychnięcie było jedną z cech, które przejęła po zmarłej maytere Róży.

— I uważasz, że musisz go odszukać, bo gdyby nie wasza książka, ludzie nigdy by się nie dowiedzieli o młodym patere Jedwabiu.

— Właśnie.

— Tak samo traktowałam Maggie, naszą gosposię. Za każdym razem, gdy wyświadczyła mi przysługę, dorzucałam ją do jej stałych obowiązków. Wiedziałam, że to okrutne, ale i tak to robiłam.

— Naprawdę, maytere Marmur? — zapytałem, chcąc wytrącić ją z zadumy.

Pokiwała głową. Było w tym geście coś takiego, co pozwoliło mi rozpoznać starą maytere Różę. To Róża się ze mną zgadzała.

— Tłumaczyłam sobie, że jeśli jest taka głupiutka, żeby dać sobą w ten sposób pomiatać, to na to zasługuje. I miałam rację... Rogu?

— Tak, maytere? Jestem tutaj. O co chodzi?

— Nie jesteś nic winien ani mnie, ani mojej wnuczce. Byłeś dla nas bardzo, bardzo hojny, a jedyna pomoc, jakiej mogła ci udzielić moja wnuczka, sprowadziła się do rady, byś pomógł sam sobie. Teraz jednak muszę cię prosić o coś jeszcze. Zależy mi na tym nie mniej niż na nowym oku...

— Jeśli mi się uda, przywiozę ci dwoje oczu, maytere.

— Czyli nie zrezygnujesz z poszukiwań? Mimo tego, co powiedział patere Jedwab?

Nie miałem wyboru. Zamiast odpowiedzieć wprost, wyjaśniłem, że z whorla długiego słońca można przywieźć

wiele innych rzeczy, które przydadzą się w Nowym Vironie.

— Bądźmy realistami, Rogu. Jesteś realistą?

Odparłem, że się staram.

— Możesz nie znaleźć dla mnie nawet jednego nowego oka, a co dopiero dwojga. Ja... Ja to rozumiem. Ty z pewnością też.

Pokiwałem głową.

— Rozumiem również, że skoro opowiedzieliśmy wszystkim o Jedwabiu, to właśnie ja muszę po niego wrócić w sytuacji, kiedy jest nam tu tak bardzo potrzebny — powiedziałem. — W Nowym Vironie poprosiłem Szpika, żeby dał mi kopię pewnego listu, który mi pokazywał. Pamiętasz Szpika, maytere?

Przyglądziła brudny czarny habit, opięty na metalowych kolanach.

— Dwa razy w tygodniu robiłam u niego zakupy.

— Szpik nie jest złym człowiekiem, maytere. Powiem więcej: jak na standardy obowiązujące w Nowym Vironie, to dobry człowiek. Po tym, jak zgodziłem się wrócić do whorla i sprowadzić tutaj Jedwabia, okazał mi prawdziwą przyjaźń. Ale skryba, który miał dla mnie przepisać list, przyszedł w łańcuchu.

Maytere nic nie powiedziała, ja zaś pomyślałem, że musiała mnie nie zrozumieć.

— Nie mówię o biżuterii, maytere — dodałem. — To nie był złoty czy srebrny łańcuszek na szyi. Skryba miał ręce skute żelaznymi sztabami, połączonymi łańcuchem.

Maytere nadal milczała. Podobnie jak Pleśń.

— Takie łańcuchy specjalnie robi się bardzo krótkie, żeby człowiek nie mógł strzelać ze strzelby. Nie da się w nich odciągnąć zamka i przeładować broni.

— Nie musisz nic więcej wyjaśniać, Rogu. Rozumiem, o co chodzi z tą bronią i łańcuchem.

Ja jednak mówiłem dalej. Zbyt długo mieszkałem na Jaszczurce, widując tylko Ciebie, kochanie, naszych synów i — z rzadka — kupców.

— Patrzyłem, jak pisze, jak kopiuje dla mnie list. Widziałem, jak bardzo się stara, żeby nie rozmazać kajdanami atramentu. To nie był gruby łańcuch, maytere, wcale nie: lekki, cienki, wszystkiego siedem ogniw. Ludzie, którzy pracują przy rozładunku statków, noszą cięższe łańcuchy. Ten skryba uważa pewnie, że jest dobrze traktowany, i w pewnym sensie ma rację.

— Rozumiem cię, Rogu. Nie musisz nam nic więcej mówić.

— Kiedyś... Dwa, może trzy lata temu spotkałem w mieście człowieka, który przechwalał się, jaką ładną ma dziewczynę. Proponował nawet, że zabierze mnie do siebie do domu, żebym sam się przekonał.

— Poszedłeś z nim?

Poszedłem, ale teraz się tego wyparłem — ot, jedno z tych kłamstewek, do których się uciekamy, nie wiedząc za bardzo po co.

— Zapytałem, czy łańcuch im nie przeszkadza, kiedy się kochają, na co odparł, że nie, bo każe jej wtedy trzymać ręce nad głową.

— Czy wciąż mówisz o Jedwabiu? Chyba tak... — Maytere zawiesiła głos. — To trochę jak z Marglem. Był moim przyjacielem, trochę tak jak ten skryba, tylko nie musiał nosić łańcucha. Już dobrze, rozumiem, dlaczego uważasz, że musisz tu ściągnąć Jedwabia. Na twoim miejscu myślałabym pewnie tak samo.

— Mimo że on tego nie chce? Kiedy odlatywaliśmy z whorla, bardzo chciał się do nas przyłączyć. Z pewnością to pamiętasz, maytere: jak mu na tym zależało, jak o tym marzył. Nienawidził zła, które co dzień oglądał we „Whorlu” i miał nadzieję, że w nowym miejscu ludzie staną się lepsi.

Maytere milczała.

— Wielu jest lepszych. Wielu z nas, powinienem powiedzieć; jestem przecież jednym z nich. Nie jesteśmy tak dobrzy, jak on by tego chciał, ale pod wieloma względami staliśmy się lepsi. Alka zmienił się na samą myśl o nowym początku. Jeśli wylądowali z Acalyphą gdzieś tutaj...

— Na Zieleni — wtrąciła niespodziewanie Pleśń.

— Wylądowali na Zieleni? — Odwróciłem się do niej podekscytowany. — Rozmawiałaś z nimi?

Moje pytanie zawisło w powietrzu, powtarzane szeptem przez fale przetaczające się u stóp urwiska. W końcu wzruszyłem ramionami i zwróciłem się znów do maytere Marmur: — Nawet jeśli wylądowali na Zieleni, maytere, są zapewne lepszymi ludźmi niż Alka i Acalypha, których znaliśmy. Lepszymi, niż byli kiedykolwiek w domu.

— Chciałam tylko powiedzieć, Rogu, że nawet jeśli nie uda ci się przywieźć mi nowego oka, i tak możesz mnie uszczęśliwić.

Zapewniłem ją, że zrobię dla niej wszystko, o co poprosi.

— Zgadząmy się co do tego, że trudno będzie znaleźć nowe oko. Obawiam się, że moją drugą prośbę będzie ci jeszcze trudniej spełnić. W każdym razie gdybyś spotkał mojego męża, Pięściaka...

Czekałem, co powie dalej.

— Jeżeli wciąż żyje i jeśli przypadkiem byś się z nim spotkał, powiedz mu, proszę, gdzie mieszkam, i wyjaśnij, że ogromnie

żałuję, że w tak niecny sposób wplątałam go w małżeństwo. Powiedz mu, że nie przyjechałabym tutaj ani nie przywiozła ze sobą wnuczki, gdybym umiała stanąć z nim twarzą w twarz. I poproś, żeby się za mnie modlił. Zrobisz to dla mnie, Rogu? Poprosisz, żeby się za mnie modlił?

Oczywiście obiecałem, że tak uczynię.

— Nie modlił się w ogóle, kiedy z nim byłam, kiedy byliśmy... To mi sprawiało ból. Cierpiałam, ale przynajmniej wiedziałam, że jest ze mną szczery. Za to ja modliłam się i kłamałam jednocześnie. Wiem, że to nielogiczne, ale tak właśnie było.

W tym momencie próbowałam ją chyba pocieszyć, ale nie jestem już pewien, jakich słów użyłem.

— Teraz jestem ślepa, Rogu. To kara, i to wcale nie nazbyt surowa. Powiesz mu, że jestem ślepa, Rogu?

Zapewniłem ją, że to zrobię, ponieważ zamierzam poprosić Pięściaka o pomoc przy szukaniu nowych oczu dla niej.

— A powiesz mu, gdzie mieszkam z wnuczką? Powiesz mu o tej skalistej wysepce na morzu?

— Podejrzewam, że nie będę miał wyboru, maytere. Z pewnością mnie o to zapyta.

Maytere umilkła na dobrą minutę albo dwie, Pleśń również się nie odzywała. Wstałem, żeby zorientować się w sile i kierunku wiatru. Na czystym zachodnim horyzoncie nie widziałem najmniejszej zapowiedzi pogorszenia pogody.

— Rogu?

— Tak, maytere? Jeżeli Pleśń nic więcej mi nie powie, i jeśli nie zdradzi patere Jedwabiowi, że wybieram się do niego, nawet jeśli to mu się nie podoba, to chyba powinienem ruszać w drogę.

— Zaczekaj, Rogu. Możesz mi poświęcić jeszcze chwilę? Znałeś go, Rogu. Czy sądzisz, że mój mąż... że Pięściak może chcieć przypłynąć tu i mnie zabić? Czy jest do tego zdolny? Czy był do tego zdolny?

— Z całą pewnością nie — odparłem. Osobiście uważałem, że Pięściak może pokusić się o wyprawę na wyspę, nie po to jednak, by skrzywdzić maytere Marmur.

— A może tak byłoby lepiej. — Jej głos słabł z każdą chwilą, tak że teraz szum fal omal nie zagłuszył jej słów. — Wciąż próbuję udawać, że opiekuję się wnuczką, tak jak udawałam, kiedy mieszkałyśmy na naszej małej farmie i wcześniej, w mieście. Ale w rzeczywistości to ona mną się opiekuje. Taka jest prawda...

— Wcale nie — wtrąciła niespodziewanie Pleśń. Podskoczyłem na dźwięk jej głosu.

— Nie wymagasz szczególnej opieki, maytere — zauważyłem. — A twoja wnuczka nie miałaby wody, gdybym jej nie przyniósł. Kiedy prosiłaś mnie o butelki, troszczyłaś się o nią.

Cisza, która zapadła, ciągnęła się przez długie sekundy. Miałem już odejść, kiedy maytere zapytała: — Mogłabym dotknąć twojej twarzy, Rogu? Chciałam to zrobić od samego początku.

— Jeżeli cię to uszczęśliwi, ja również będę szczęśliwy — odparłem.

Wstała z kamienia. Pleśń podniosła się razem z nią. Podszedłem do maytere i pozwoliłem jej dłoniom badać moją twarz.

— Postarzałeś się.

— Tak, maytere. Postarzałem się, przytyłem i wyłysiałem. Pamiętasz, jakiego miałem łysego ojca?

— Ale to wciąż ta sama, kochana twarz, chociaż przykro mi, że... że w ogóle się zmieniła. Posłuchaj, Rogu, jest mało prawdopodobne, byś znalazł dla mnie nowe oczy albo odszukał mojego męża. Oboje o tym wiemy. Mimo to możesz mnie uszczęśliwić. Obiecuj mi tylko, że wrócisz tu, kiedy będzie po wszystkim. Nawet jeśli nie będziesz miał dla mnie ani oczu, ani wieści o mężu. I przywieź mi swoją książkę, żebym mogła czasem posłuchać o patere Jedwabiu, patere Płetwie i naszym starym manteionie.

Chciałem powiedzieć, że moja księga na nic jej się nie zda, ale w porę pomyślałem, że może uda jej się namówić marynarzy, którzy przybywali spotkać się z Pleśnią, aby czytali jej fragmenty. Powiedziałem jej o tym.

— Pleśń będzie mi czytać — odparła maytere. — Jeśli zechce.

— Umiesz czytać, Pleśnio? — zdziwiłem się.

— Trochę. — Miałem wrażenie, że Pleśń zaraz się uśmiechnie. — Babka mnie nauczyła.

— Naturalnie.

Miałem ochotę wymierzyć sobie kopniaka za to, że nie przewidziałem tak oczywistej możliwości.

— Jeśli nie zna jakiegoś słowa, może mi je przeliterować, a ja jej wyjaśnię, co znaczy — dodała maytere.

Wzruszyła mnie czułość w jej głosie. Przez jedno uderzenie serca zastanawiałem się, co byś zrobiła na moim miejscu, Pokrzywo, ale znam Cię zbyt dobrze, by mieć poważne wątpliwości.

— Chcesz, abym przywiózł ci egzemplarz naszej księgi, maytere, kiedy wrócę z whorla długiego słońca? — upewniłem się. — Z „Whorla”?

— Jeśli to nie kłopot, Rogu... — przytaknęła z pokorą. Odjęła dłonie od mojej twarzy i złożyła je razem. — To by... Byłabym ci bardzo wdzięczna.

— Nie ma potrzeby, żebyś tak długo czekała — zauważyłem. — Mam ją ze sobą, na łodzi. Zaraz Ci przyniosę.

Zdażyłem przejść dziesięć kroków, kiedy usłyszałem za plecami stukot jej białej laski na kamieniach. Wyjaśniłem, że nie musi schodzić ze mną, bo przyniosę jej książkę na górę.

— Nie, Rogu, chcę tam zejść. Nie mogę od ciebie wymagać, żebyś jeszcze raz się tu wdrapywał i... i...

Bała się, że odpłynę, nie zostawiwszy jej księgi. Może powinienem był rozzłościć się na nią, że aż tak mi nie ufa? Prawda jednak była bardziej skomplikowana, z czego zresztą od razu zdałem sobie sprawę: maytere tak bardzo pragnęła mieć tę książkę, że bała się podjąć choćby najmniejsze ryzyko, że jej nie dostanie. Czekanie na mój powrót byłoby dla niej udręką nie do zniesienia. Wziąłem ją za rękę i razem zeszliśmy po stromiźnie.

Kiedy znaleźliśmy się przy płaskim kamieniu, na którym w tajemniczy sposób pojawiły się ryby, zaczęła mnie wypytywać o słup: jak jest długi, jak szeroki, jak się nim żegluje i tak dalej — wszystko po to chyba, by jak najdłużej odwlec rozkoszną chwilę, w której dostanie księgę do rąk. Chciała, by ten moment nadszedł jak najpóźniej.

Podąłem jej wszystkie wymiary, wyjaśniłem najlepiej jak umiałem podstawy sztuki żeglarskiej: wytłumaczyłem, jak się halsuje pod wiatr, jak wykorzystuje do nawigacji słońce i gwiazdy, jak się pływa pustą łodzią, a jak załadowaną... Kiedy się nad tym wszystkim rozwodziłem, Pleśń stanęła na skalnej półeczce w połowie wysokości urwiska — występie tak małym, że do tej pory umykał mej uwagi. Kiedy do niej pomachałem,

odpowiedziała mi tym samym gestem, nie odezwała się jednak ani słowem.

Wreszcie wszedłem na pokład, wyjąłem książkę ze schowka I stojąc na rufie, z jedną nogą opartą na nadburciu, wręczyłem ją maytere Marmur jako prezent od obojga autorów.

Trochę głupio mi pisać, że szczęście rozświetliło jej twarz, złożoną z tysięcy maleńkich mechanizmów, ale tak właśnie się stało.

— Rogu! Ach, Rogu! Oto... oto odpowiedź na długie modlitwy! Uśmiechnąłem się, chociaż wiedziałem, że tego nie widzi.

— Nie wątpię, maytere. Wielu ludzi podjęło trud jej przeczytania.

— Jaka ona gruba! I jaka ciężka! — Otworzyła ją z nabożną czcią i zaczęła przewracać kartki, gładząc palcami papier. — Czy są zapisane po obu stronach, Rogu?

— Tak, maytere. Powiem ci też, że moja żona ma drobne pismo.

— Pamiętam charakter pisma małej Pokrzywy. — Pokiwała z namaszczeniem głową. — Ładnie pisała, Rogu, i to już jako dziecko. Ładnie i czytelnie. Moja wnuczka może mieć z początku problemy z odczytaniem jej pisma, ale wkrótce będzie je czytać jak druk. Na pewno.

Zgodziłem się z nią i zacząłem się szykować do rzucenia cum.

— Wszyscy w niej jesteśmy, Rogu? Stara, kochana maytere Róża, maytere Mięta, moja wnuczka i ja? I patere, i patere Płetwa, i wy, dzieci z palestry?

— Dużo napisaliśmy o patere Jedwabiu, ale niewiele o patere Płetwie — przyznałem. — Obawiam się, że o niektórych uczniach z palestry w ogóle nie wspomnieliśmy, ale ja i Pokrzywa występujemy tam dość często.

Miałem już odpływać, ale kiedy ta chwila naprawdę nadeszła, nie miałem najmniejszej ochoty na pożegnanie. Tak jak i maytere.

— Pamiętasz, jak poszedłem za tobą pod bramę willi Krwi? I jak chciałem z tobą wejść do środka, ale mnie nie wpuściłaś?

— Byłeś dobrym i dzielnym chłopcem. Nie mogłam się zgodzić, żebyś w ten sposób narażał życie, Rogu.

— Napisałem o tym — powiedziałem i rzuciłem cumy. — Odpływam. Wspomnij mnie w swoich modlitwach.

— Nie omieszkam, Rogu. Nie omieszkam!

Westchnąłem i zanurzyłem pagaj w wodzie. Maytere z pewnością usłyszała pluśnięcie.

— Żegnaj, Rogu. — Przycisnęła księgę do piersi. — Wrócisz, prawda? Proszę!

— Wrócę, kiedy zdobędę dla ciebie oczy — odparłem i odepchnąłem się od brzegu.

Wysokie skały całkowicie osłaniały zatoczkę przed podmuchami wiatru. Musiałem wiosłować aż do jej wylotu; dopiero tam żagiel złapał pierwszy powiew.

Refowałem właśnie grot, kiedy usłyszałem przenikliwy gwizd Pleśni. Podniosłem wzrok. Wyprostowaną lewą ręką wskazywała na mój słup. Ponieważ występ, na którym stała, znajdował się znacznie wyżej niż top mojego masztu, wiatr bezlitośnie targał jej poszarpaną sukienkę i kruczoczarne włosy. Zawsze kiedy o niej myślę, taki właśnie obraz staje mi przed oczami: Pleśń stoi wysoko, na skalnej półce, na którą zeszła wąską, ledwie widoczną szczeliną ze szczytu skały; wskazuje coś wyprostowaną ręką i ma twarz generała Mięty, posyłającej do ataku swoje oddziały, chociaż najchętniej sama stanęłaby na ich czele.

Jak już wspomniałem, Pleśń mogła dowodzić dziesięcioma tysiącami żołnierzy, wtedy jednak nie widziałem ani jednego z nich. Nagle jednak od strony skał dobiegł mnie cichy dźwięk i zdałem sobie sprawę, że jej gest mnie zmylił. Jak każdy prawdziwy generał, nie wskazywała swoich wojsk, lecz cel ich ataku.

Na szczycie ujrzałem małą, ciemną sylwetkę, przywodzącą na myśl grupkę chłopców albo dwóch mężczyzn poruszających się na czworakach. Cofnęła się i zniknęła mi z oczu, a potem pojawiła się ponownie, tym razem w locie po skoku z urwiska. Przez chwilę miałem wrażenie, że spadnie na słup i roztrzaska się o pokład, ale wpadła z pluskiem do wody pięć łokci przed czubkiem bukszprytu i zniknęła bez śladu. Można by pomyśleć, że poszła na dno jak kamień.

Z głębi zatoczki dobiegł mnie krzyk maytere Marmur: słyszałem ją, ale nie rozumiałem zwielokrotnionych echem słów. Pleśń pomachała mi i zniknęła w głębi szczeliny zbyt szybko, bym i ja zdążył pomachać. Pisałem wcześniej, że nie jest szczególnie wysoka, ale takie stwierdzenie może być mylące. Majestat nie wiąże się w prosty sposób z tym, czy ktoś jest o dłoń, czy dwie, wyższy. Przez dwadzieścia lat dojrzałem, postarzałem się nawet, ale podświadomie spodziewałem się, że Pleśń wciąż będzie tym samym niezwykłym podlotkiem, którego zapamiętałem z dawnych czasów.

Dochodzi południe, ale piszę przy świetle lampy. Wiatr, który wywróciłby słup do góry dnem, wstrząsa moim prowincjonalnym pałacykiem, gwizdząc w okiennicach i

ozdobnych azurach. Kiedy wieczorem Zieleń weszła nad wierzba w ogrodzie, miała średnicę większą niż męski kciuk. Przypomniałem sobie, że moi podwładni nazywają ją Diabelską Latarnią. Na jej widok pomyślałem tylko o inhumich, zapominając o burzach i przyptywach, które — jak w swej naiwności mniemałem — nie powinny nam zagrażać w tym odciętych od morza mieście. Potrzebowałem naucki i doigrałem się, a wraz ze mną lekcję pokory dostał cały nieszczęsny Gaon. Kiedy wiatr chwilami słabnie, słyszę, jak mój słoń trąbi rozpaczliwie w stajni.

Żadne kazania i nauki nie uchronią nas całkowicie przed okrucieństwem i przebiegłością inhumich; nikt nie wie o tym lepiej ode mnie. Prawienie kazań i głoszenie nauk nie jest jednak pozbawione sensu, gdyż może ocalić kilka ludzkich istnień, toteż nie wolno ich zaniechać. Jednakże równie cenne — o ile nie cenniejsze — byłoby przekonanie farmerów, by hodowali rośliny, których burze łatwo nie zniszczą, na przykład bataty. To nasza pierwsza burza, ale z pewnością nie ostatnia.

Widzę, że opisując moje rozstanie z Wysepką Pleśni, nie wspomniałem o tym, jak Babbie znalazł się w końcu na pokładzie. Czarny pysk i małe czerwone ślepka wynurzyły się z wody tuż za rufą; masywne przednie łapy chwyciły się burty tuż obok miejsca, w którym stałem, budząc niemiłe skojarzenie z grzbietoskórem. Husy pływają nie gorzej od tęczożabek, co potwierdziłby Ścięgno i wszyscy, którzy próbowali na nie polować. Babbie nie był wyjątkiem.

Chyba tylko grzbietoskóra powitałbym na pokładzie z mniejszym entuzjazmem. Kazałem husowi wracać do Pleśni, ale on przykucnął na dziobie i nie zamierzał się stamtąd ruszać.

Zacząłem się z nim mocować, żeby wyrzucić go za burtę, ale był ciężki jak głaz i trzymał się mnie wszystkimi łapami z taką siłą, jakbyśmy stanowili jedno ciało. Kiedy po długiej szarpaninie zdołałem go wreszcie od siebie odczepić i zepchnąć ze słupa, przepłynął pod kilem i wdrapał się z powrotem na pokład w czasie znacznie krótszym, niż potrzebowałem na zrzucenie go do wody.

Usiadłem przy rumplu, zerkając spode łba na Babbiego, który przycupnął jak pająk po przeciwnej stronie masztu i wpatrywał się we mnie blisko siebie osadzonymi, czerwonymi ślepkami, tylko odrobinę większymi niż łebki szpilek. Przy kolacji rzuciłem mu bochenek chleba i parę jabłek, przyszło mi bowiem do głowy, że jeśli będę go karmił, może nie rzuci się na mnie od tyłu przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Mogłem wyjąć strzelbę, naładować ją i zastrzelić husa. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałem, bo Babbie rozszarpałby mnie, zanim zdążyłbym wsunąć pierwszy nabój do komory. Właściwie nie jestem już pewien, dlaczego nie próbowałem tego zrobić, chociaż nie wątpię, że miałem ważne powody. Po pierwsze, były całkiem spore szanse, że wybiję dziurę w dnie słupa. Gdybym nie trafił husa, pocisk bez trudu przebiłby poszycie — chyba że nowe kule były znacznie gorsze od tych, które produkowano pod długim słońcem. Zresztą husy słyną z twardej skóry i grubych kości, ale nie mogłem wykluczyć i takiej możliwości, że wystrzelony z bliska pocisk przebije i husa, i łódź.

Poza tym husa trudno zabić, a jeśli pierwszy strzał nie położy go trupem, zwierzę bez zastanowienia szarżuje na myśliwego. Dlatego dobrze jest móc szybko strzelić drugi raz. Jeden czy dwa psy wystarczą, żeby wytropić husa, ale myśliwi nie bez

powodu zalecają zabieranie na łowy ośmiu do dziesięciu sztuk: w masie mogą na chwilę powstrzymać rozwścieczone zwierzę. Ja nie miałem psów, a przy dzielącej nas odległości nie mogłem liczyć na to, że zdążę z drugim strzałem.

Ponadto ten konkretny okaz mógł mi się jeszcze przydać: oswojonego husa można sprzedać, a do tego czasu pilnowałby łodzi pod moją nieobecność. Przypomniałem sobie kolegę z palestry i wstyd, jaki czułem, pożyczając od Szpika trzy karty — i niemal żałowałem, że nie miałem wtedy Babbiego na slupie.

Najważniejszy jednak był fakt, że zabijając go, zniszczyłbym prezent, który Pleśń przysłała mi w geście dobrej woli. Pleśń, której duch mógł nas przecież cały czas obserwować (może i w tej chwili ma mnie na oku), z pewnością poczułaby się urażona. Tymczasem nawet jeśli Jedwab zmieniłby zdanie i postanowił zdradzić mi miejsce swojego pobytu, tylko ona mogła mi powiedzieć, gdzie go szukać. Rozmyślając o tym, zacząłem żałować, że w ogóle wyrzuciłem Babbiego za burtę.

— Pewnie nigdy się nie zaprzyjaźnimy, Babbie — powiedziałem żartobliwie — ale nie musimy być wrogami. Ty będziesz miłym zwierzaczkiem, a ja postaram się być dla ciebie dobrym Panem.

Łypnął na mnie złowieszczo, a ja nie miałem wątpliwości, co mu chodzi po głowie: nienawidzisz mnie, więc ja nienawidzę ciebie.

Napełniłem miskę świeżą wodą i podstawiłem mu, żeby się napił.

W nocy udało się złapać inhumę. Dziś musiałem patrzeć, jak żywą zakopują ją w ziemi. Tych potworów się nie sądzi — nie ma w tym nic dziwnego, w Nowym Vironie po prostu palimy je, zamiast grzebać żywcem — ale zrobiło mi się jej żal. Było mi przykro, że nie mogę wyznaczyć jej mniej okrutnej śmierci. Musiałem z urzędu nadzorować wykonanie zwyczajowej kary. Wyjęto jeden z dużych, płaskich kamieni, którymi jest wybrukowany rynek, i wykopano pod nim grób. Wepchnięto do środka inhumę, chociaż szarpała się i błagała o litość. Pięciu ludzi przytrzymało ją długimi tyczkami w dole, a szósty podjechał wozem i zwałił jej na głowę ładunek żwiru. Na wierzch narzucili ziemię, a na koniec położyli kamień na dawnym miejscu i wyrznęli na nim symbol (zbyt ohydny, bym go tu opisywał), żeby nikt więcej nie próbował go wykopać.

Ci ludzie (jak wszyscy tutaj) boją się, że inhumie może przeżyć, nawet jeśli obetnie się mu łeb. Oczywiście to nieprawda; zastanawiam się tylko, skąd wziął się ten przesąd i jakim cudem stał się tak powszechny. Z pewnością inhumie nie mają kości w naszym rozumieniu tego słowa; może mają chrzęstne szkielety, tak jak niektóre morskie stwory. Geier utrzymywał, że przypominają ślimaki i pijawki, ale chyba nikt nie traktował go poważnie. Wiemy na pewno, że po śmierci ich ciała bardzo szybko się rozkładają, chociaż trudno je zabić i całymi miesiącami mogą obejść się bez krwi, która jest ich jedynym pokarmem.

Ale dość tych wywodów; najlepiej będzie jak wrócę do mojej opowieści.

Szpiik dowiedział się, że w Nowym Vironie przebywa kupiec imieniem Wijzer, który zna drogę do Pajarocu. Znaleźliśmy go

na łodzi (cztery razy dłuższej i pięć razy szerszej niż mój słup) i Szpik zaprosił go do siebie.

— Jeśli dobrą kolację kupi to, co wiem... — Wijzer wzruszył ramionami. — Albo, jak jem, zobaczyć chcecie.

Zapewniliśmy go, że nie przyszło nam do głowy podejrzewać, że jest jednym z inhumich.

— Obcych nie znacie. Przed Pajarocu z setką rozmawiać będziecie. Przebiegli być musicie. Bo oni przebiegli są, inhum. Zawsze przebiegli.

Szpik chrząknął z aprobatą.

— Wielu w Pajarocu spotykam. Część zabiłem. Utopić ich nie sposób, to wiecie?

Odparłem, że słyszałem o tym, ale nie byłem pewien, czy to prawda.

— Prawda to. — Wijzer zatrzymał się przy straganie z melonami, obejrzał je, podniósł wzrok i wyciągnął przed siebie rękę. — Ty, Szpiku, dom twój tam jest? Największy ze wszystkich on jest? Miastem całym sterujesz?

Szpik oparł się ciężko na lasce.

— Miasto nie zawsze jest tego zdania.

— Jego wysyłacie. — Wijzer wskazał na mnie. — Iść on chce?

— Tak — uspokoilem go. — Chcę wyruszyć w tę podróż. To mój obowiązek.

— Ostrożny bądź. Ostrożny być musisz.

Rozpychając na boki klientów bazaru, ruszył przodem, jakby najlepiej z nas wszystkich znał drogę do domu Szpika. Był krzepkim człowiekiem, niezbyt może wysokim, ale barczystym; miał kwadratową, ogorzałą twarz i muskularne dłonie o krótkich palcach, porośnięte krótkim, rudawym włosiem.

— Jest twardy — szepnął Szpik — ale „twardy” nie znaczy od razu „uczciwy”. Może cię oszukać.

Wijzer zeszywniał nagle, a ja zorientowałem się, że słyszał słowa Szpika.

— Znam się na ludziach, radco — odparłem. — Można mu zaufać.

Szpik wytrzeszczył oczy, słysząc, jak mówię do niego „radco”.

Kucharz przygotował nam smaczny obiad bez żadnych fanaberii: siedem lub osiem dań z jarzyn, różnie przyprawionych (większość majątku Szpika wciąż pochodziła z handlu warzywami i owocami), pieczone prosię z jabłkami, ciepły chleb, osełkę masła i tak dalej. Wijzer rzucił się na mięso i wino.

— Nie ma sera, Szpiku? Radco Szpiku? Mówi się tak? Jak sędzia jesteś? Nikt tego mi nie mówi; wcześniej grzeczniejszy byłbym.

— Jest parę osób, które tak się do mnie zwracają. — Szpik rozparł się na fotelu, obracając w palcach kieliszek. — Ale ten tytuł nie ma mocy prawnej. Nawet od służących nie wymagam, żeby go używali.

— Ale ten tu Róg, on używa go. Słyszałem. Dlaczego jego wysyłacie?

— Wysyłamy go, bo najlepiej się do tego nadaje i sam tego chce. A jeśli pytasz, czy mu ufam, to owszem, ufam mu całkowicie.

— Jadę tam, bo najbardziej ze wszystkich chciałbym, żeby Jedwab był tu z nami — dodałem.

— Ach tak?

Widelec z nadzianym ogromnym kawałem mięsa zamarł w pół drogi do ust Wijzera.

Spojrzenie Szpika sugerowało, że lepiej zrobię, trzymając język za zębami.

— Tak. Jedwab. Dlaczego tak daleko chcesz jechać, zastanawiałem się. Długa do Pajarocu droga jest. Nawet dla mnie, z Dziury. A Dziura Pajarocu bliżej leży.

Dopiero teraz kęs wieprzowiny dotarł do miejsca przeznaczenia.

— Wiesz coś o Jedwabiu?

— Opowieści trochę jest. — Wijzer wzruszył ramionami. — Słyszałem coś tam. Wielka księga, co Jedwab powiedział, ale może nie wszystko prawdą jest. Dobry człowiek, tak czy inaczej. W Pajarocu Jedwab jest, myślicie? Dlaczego? Jego nie widziałem.

— Nie, nie przypuszczamy, że jest w Pajarocu — powiedziałem. — Ani ja, ani Szpik. Osobiście uważam, że nadal mieszka w Vironie, mieście, z którego tu przybyliśmy. Radca Szpik otrzymał niedawno list z Pajarocu, bardzo ważny list. Poprosiłem go, żeby kazał go dla mnie skopiować. Chyba powinien go przeczytać.

Podaliśmy list Wijzerowi. Nie rozkładając kartki, postukał nią w kant stołu.

— To miasto, ten Viron... Stamtąd przybyliście. Radca rządzi nim. Czy nie tak?

Szpik pokręcił głową.

— Zgodnie z postanowieniami Karty w Vironie o wszystkim decyduje calde. Nie zawsze przestrzegaliśmy Karty, ale jest w niej taki zapis. Ayuntamiento, złożona z radców, podlegała calde. Kiedy opuszczaliśmy z Rogiem Viron, Jedwab był calde. Kazał nam wyjechać. Ludzie, którzy przybyli na Błękit po nas,

innymi lądownikami, mówią, że wtedy nadal zajmował to stanowisko i nalegał, żeby podjęli ryzyko podróży.

— Jednym z radców ty byłeś, Szpiku? — Wijzer wskazał Szpika złożonym na czworo listem.

Szpik jeszcze raz pokręcił głową.

— Nikim byłeś — ciągnął Wijzer. — Jedwab się zjawi, znów nikim będziesz. Dlaczego chcesz tego, jeśli nikim się staniesz?

Chciałem zaprotestować, ale Szpik nie dał mi dojść do słowa: — Zgadza się — przytaknął. — Byłem nikim.

Wijzer wychylił pół kieliszka wina.

— Tu Jedwab przybędzie. Ludzie, którzy nigdy nie widzieli go, jego kochają. Calde chciał, będzie jak dawniej. Radcą naprawdę zostaniesz.

— Być może... — Szpik wzruszył ramionami. — Ale wątpię w to. Naprawdę myślisz, że to dlatego wysyłamy Roga, żeby sprowadził Jedwabia?

— Wystarczy ten powód dla mnie.

— A kto rządzi twoim miastem? Ty?

— Dziurą? Nie. Swoją łodzią rządzę. Wystarczy ona mi.

Szpik posmarował masłem połówkę bułki.

— Znasz się na wiatrach, rozpoznajesz punkty orientacyjne, ale niewiele wiesz o ludziach. Na pewno mniej, niż ci się wydaje.

— Każdy powiedzieć to może.

Wijzer wziął sobie następny placek z salsefią.

— To prawda, każdy. Nawet calde Jedwab mógłby tak powiedzieć, bo to prawda. — Szpik z głośnym brzękiem odstawił kieliszek na stół. — Jestem jedną z pięciu osób, które próbują sterować Nowym Vironem; Róg może ci o tym opowiedzieć, gdybyś miał ochotę posłuchać. Ludzie nie zawsze

nas słuchają, aleja się staram, i przynajmniej wiedzą, że chcę dla miasta jak najlepiej. Twierdzisz, że calde Jedwab zażyczy sobie powołania nowej Ayuntamiento, ale możesz się mylić. W domu miał z radcami same kłopoty.

Wijzer jadł w milczeniu, patrząc badawczo na Szpika.

— Jeżeli Ayuntamiento nie powstanie, znów będę nikim. Zajmę się uprawą rzepy, a jeśli Jedwab poprosi o pomoc, będzie mógł na mnie liczyć. Jeżeli będzie chciał mieć Ayuntamiento, może znajdzie w niej miejsce dla mnie. Nie miałbym nic przeciwko temu. Kiedy poprosi o pomoc, mogę wytargować w zamian miejsce w radzie. Ale niekoniecznie. Wszystko zależy od tego, jakiej pomocy będzie się spodziewał i jak bardzo będzie mu potrzebna. Nawet nie pytam, czy te wyjaśnienia ci wystarczą.

— Dobrze tak jest. Nie pytaj ty.

— Nie pytam, ponieważ nie proszę cię o pomoc dla siebie. Proszę o nią w imieniu miasta i wszystkich mieszkańców tego wywróconego na nice whorla, na który zesłał nas Pah. Jeżeli to dla ciebie za mało, proszę również w imieniu Roga. Uda się sam do miasta, w którym żaden z nas nigdy nie był, tylko dlatego że jest szansa, iż uda mu się ściągnąć do nas Jedwabia. — Szpik wycelował widelec w moją stronę. — Spójrz na niego. Teraz siedzi tu z nami, za tydzień może utonąć. Ma żonę i trzech synów. Jeżeli wiesz o czymś, co może mu się przydać, masz teraz okazję mu to powiedzieć. Jeśli coś przemilczysz, a on zginie, pewnie tylko ja będę cię za to winił: jeden stary człowiek z odległego miasta — cóż to znaczy? Ale może sam będziesz miał wyrzuty sumienia, co? Pomyśl o tym.

Wijzer odwrócił się do mnie.

— Żona twoja młodą i piękną dziewczyną jest?

Pokręciłem głową i wyjaśniłem mu, że jesteś moją rówieśnicą.

— Ja? — Przytknął gruby kciuk do piersi. — Piękną i młodą dziewczkę mam. W Dziurze mieszka.

— Na pewno za nią tęsknisz.

Szpik chciał coś powiedzieć, ale Wijzer uciszył go gestem.

— Czy powiedziałem ja, że nie zdradzę nic? Nie! — Beknął donośnie. — Powiem, obiecałem. Słownym kupcem jestem. Kto i po co, wiedzieć chcę. Moje prawo. Kim jesteś, widzę, Szpiku. Dlaczego ci tutaj słuchają cię, rozumiem. — Rozłożył list. Potarł go palcem. — Dobry papier. Skąd bierzecie go?

Szpik wskazał na mnie.

— Ja go zrobiłem — wyjaśniłem. — Tym się właśnie zajmuję.

— Papiernikiem jesteś?

Pokiwałem głową.

— Nie żeglarzem. — Wijzer zmarszczył brwi. — Dlaczego nie marynarza on wysyła?

— Róg jest również żeglarzem — uspokoił go Szpik. — To właśnie on musi popłynąć, bo wyprawa do Pajarocu nic nam nie da, jeśli nie uda się sprowadzić tu Jedwabia. A on jest jednym z niewielu, jeśli nie jedynym człowiekiem, który może go do tego namówić.

Wijzer chrząknął i zaczął czytać list.

— Są jeszcze dwie osoby, które mogłyby mieć wystarczający wpływ na Jedwabia — powiedziałem. — Może nawet większy niż ja. Chcesz się dowiedzieć, kim są?

— Ciebie wysłucham, jeśli powiesz.

— Dwie kobiety. Maytere Marmur jest stara, niewidoma i wydaje się jej, że opiekuje się wnuczką, choć tak naprawdę

sama wymaga opieki. Chciałbyś, żebym zrezygnował i żeby ona popłynęła zamiast mnie?

— Nie dalej niż do Beledu dotarłaby — prychnął Wijzer.

— Zgadzam się z tobą. Drugą z tych kobiet jest Pokrzywa, moja żona. Świetna z niej żeglarka i silna, a oleju w głowie ma za dwóch. Gdybym się nie zaofiarował, że popłynę, Szpik i pozostali zwróciliby się do niej. Wiem, że by się zgodziła.

— A ty w domu byś siedział i gotował! — zaśmiał się Wijzer.
— Nie, musisz płynąć. Rozumiem.

— Ja chcę płynąć. Niczego tak nie pragnę, jak znów zobaczyć Jedwabia i z nim porozmawiać. Wiem, że Pokrzywa podziela moje odczucia. Jeśli mi się uda, ona również będzie mogła się z nim spotkać i porozmawiać. Powiedziałaś, że maytere Marmur nie dotarłaby dalej niż do Beledu. Ludzie z Trivigaunte osiedlili się w Beledzie, prawda?

— Tak — przytaknął Szpik.

— Czy to po drodze? Na północ stąd?

Wijzer z roztargnieniem skinął głową.

— O Tym-od-ognia czytam tu. Do „Whorla” lądownik wyśle swój. Jak zrobić to może? Inni nie potrafili.

— Nie wiem — przyznałem. — Może w Pajarocu dowiem się czegoś więcej.

— Róg ma dryg do maszyn — wyjaśnił Wijzerowi Szpik. — Sam zbudował swoją papiernię.

— W skrzynce papier robisz? — spytał Wijzer, pokazując rękoma spodziewane rozmiary sita.

— Nie, produkujemy cały zwój, do wyczerpania zapasu masy.

— Świetnie! Lądownik tu macie? Lądownicy wszyscy mają.

— Mamy nawet kilka, ale to bezużyteczne skorupy — odparł Szpik. — Ten, którym przyleciałem ja i Róg... — Skrzywił się. —

Przez pierwsze kilka lat ludzie wynosili z lądowników wszystko, co mogło im się przydać: drut, metalowe części, wszystko. Sam tak robiłem.

— W Dziurze też.

— Liczyłem na to, że przylecą następne. I wtedy przybył czwarty lądownik. Miałem plan i ludzi, którzy pomogli mi go zrealizować. Znaleźliśmy lądownik, zanim opuścili go ostatni koloniści, przejęliśmy go i przeszukaliśmy ich. Kazaliśmy im wstawić z powrotem wszystkie karty, kable i inne części, które zabrali. A wtedy lądownik odleciał z powrotem.

Wijzer zachichotał.

— Oni nie chcą... Pah nie chce, żebyśmy tam wracali. Pewnie o tym wiesz. Jeżeli lądownik nie zostanie uszkodzony, to po zakończeniu rozładunku sam wróci do „Whorla”, żeby zwieźć na dół następnych kolonistów.

— Jeden sprawny w Mura mają — powiedział Wijzer i zamyślił się. — Słyszałem. Do niego nie dopuszczają nikogo.

— Gdyby mi się udało uruchomić lądownik, też bym nikogo do niego nie dopuścił — stwierdził Szpik.

— Tak jak w Dziurze. Nasi sędziowie tam są, ale lądownika nie mają. — Wijzer złożył list i oddał mi go. — Do Pajarocu zdążając, na baczności mieć się musisz, młodzieńcze. Legendę znasz już? O ptaku pajarocu?

Uśmiechnąłem się. Dawno nikt nie nazwał mnie młodzieńcem.

— Postaram się zachować czujność. A co do legendy — jeśli ty ją znasz, chętnie jej wysłucham.

Wijzer odchrząknął i dolał sobie wina.

— Wszystko Stwórca zrobił. Tak jak łódź skutnik buduje. Zwierzęta, trawę, drzewa, Paha i jego starą żonę, wszystko. O

Stwórcy słyshałeś?

Pokiwałem głową i dodałem, że nazywamy go Zewnętrznym.

— Imię to dla niego dobre. Na zewnątrz trzymamy go, do naszych serc nie wpuszczamy. Kiedy wszystko stworzył, malować zaczął. Wodę najpierw, łatwo jest. Ziemię i wszystkie kamienie później. Trochę trudniej. Niebo, drzewa. Trawa trudniejsza, niż myślisz, jest, małego pędzelka użyć musiał i malować tak, żeby kiedy wiatr zawieje kolor zmieniał się. Różne gatunki traw różne barwy mają. Potem psy i zielonki, i wszystkie zwierzęta. Ptaki i kwiaty trudne będą. On wie o tym, więc na koniec zostawia je.

Skinąłem głową. Szpik ziewnął.

— Kiedy on rzeczy inne maluje, pajarocu wielką sowę, daleko na północy, spotyka. Ta wielka sowa pierwsza była, bo szybko pomalował ją: białe pióra, oczy, nogi i cała reszta. Ale ta sowa nie bardzo cieszy go, więc węzójada wzywa. Na sowę pajarocu spogląda, a cała biała ona jest. Czy to boli, pajarocu wiedzieć chce. Nigdy wielka sowa nie śmieje się. Zabawić się chce. Tak, odpowiada. Boli bardzo, mówi, ale szybko ból mija. Pajarocu popatrzeć idzie. Maluje węzójada Stwórcę, dwa tuziny barw nadaje mu: czerwony ogon, brązowe skrzydła, niebieska i biała pierś, żółty przy dziobie i na szyi — wszystkimi kolorami maluje. Pajarocu chowa się. Kiedy Stwórcę malować kończy, pajarocu znaleźć nie może nikt, bo niepomalowany jest i nie widać go.

Szpik parsknął śmiechem.

— Sowę i węzójada Stwórcę wzywa. Szukać pajarocu każe im. Sowa nocą szukać może, a węzójad kiedy dzień nastaje. Ale jego nie widzą, jego więc nie znajdują. Sowa noc całą fruwa i

„hu, hu" woła. Wężojad milczy, aż w kryjówki jakiejś poblize podleci, a wtedy, Pajarocu?"

— Podoba mi się ta historia — przyznałem — ale jeśli dobrze ją rozumiem, wynika z niej, że nawet kierując się twoimi wskazówkami, będę miał kłopot ze znalezieniem miasta.

Wijzer z powagą pokiwał głową.

— Miastem, które znalezione być nie chce, Pajarocu. Kupcy wrócą, żeby kraść, boją się tam. Kiedy blisko będziesz, okłamywać cię będą przyjaciele ich.

Szpik, który jadł niewiele mniej od Wijzera, wtrącił się do rozmowy: — Zaproponowali, żebyśmy przysłali im kogoś od nas, mężczyznę lub kobietę, kto poleci do whorla długiego słońca i wróci. Widziałeś kopię listu, który od nich dostaliśmy. Jak to wyjaśnisz?

— Oni to wyjaśnią może. Ich zapytaj. Tylko temu młodzieńcowi powiedzieć chcę, ostrożny aby był. Tak dużo powiem, że jechać chciał nie będzie, boisz się?

— Nie — odparł Szpik, ja zaś potwierdziłem, że jestem zdecydowany ruszać w drogę.

— Tobie pytanie zadaję. — Wijzer zakręcił resztką wina w kieliszku, wpatrując się w nie, jakby z wiru umiał odczytać przyszłość. — Jeden człowiek wrócić może, twój list powiada. Tego Jedwabia sprowadzić chcesz. Dwóch was będzie.

— Rozmawialiśmy o tym ze Szpikiem i pozostałymi przywódcami miasta. — Pokiwałem głową. — Wielu ludzi słyszało o patere Jedwabiu. Zakładamy, że kiedy się przedstawi, zostanie wpuszczony na pokład lądownika. — Widząc, że Wijzer przygląda mi się bez słowa, dodałem: — Taką w każdym razie mamy nadzieję.

— Nadzieję macie! — prychnął Wijzer.

— Mamy — przytaknął Szpik. — W naszym lądowniku zmieściło się ponad pięciuset ludzi. Wątpię, żeby po rozesłaniu zaproszeń zebrało się więcej niż dwie setki obcych, ale założmy, że tak się stanie. Albo nie, przypuśćmy, że przybędzie setka gości, a do nich dołączy czterystu mieszkańców Pajarocu. Lądownik dotrze bezpiecznie do whorla długiego słońca i setka gości rozpierzchnie się, każdy ruszy na poszukiwanie swojego ojczystego miasta.

— Dalej mów — mruknął nachmurzony Wijzer.

— Myślisz, że kiedy nadejdzie chwila powrotu, cała setka stawi się z powrotem przy lądowniku?

Wijzer pokręcił głową.

— Nie. Setki nie będzie.

Szpik chrząknął z zadowoleniem.

— Dlaczego zatem nie mieliby oddać Jedwabiowi jednego wolnego miejsca?

— Ponieważ miejsc wolnych być nie może. Nie setka, powiedziałem. Dwie setki, może. Kiedy pytam o miasto wasze, co mówią, wiecie? Pierwsze było. Lądownik pierwszy z „Whorla” przybył i wylądował. Tutaj. Prawda to?

— Nie — odparłem. — Przed naszym odleciał jeden lądownik, dowodzony przez człowieka imieniem Alka. Jego koloniści też pochodzili z Vironu. Słyszałeś o nich?

Wijzer pokręcił głową.

— Indziej gdzie wylądowali, może.

— Na Zieleni. Tak słyszałem. Razem z nami wystartował jeszcze jeden lądownik. W jednym byśmy się nie pomieścili, a kart wystarczyło nam akurat na wyszykowanie dwóch. Przyleciały tutaj razem, ale nigdy nie dowiedzieliśmy się, co się stało z maszyną Alki.

Wijzer oparł łokcie na stole i nachylił się do mnie. Twarz miał zaczerwienioną od słońca, wiatru i wina.

— Słuchaj ty. Lat dwadzieścia jesteście tu. Dziewięć ja. Na górze — wskazał na sufit — tam gdzie długie słońce mają, jak jest, nie wiecie. Jak było, kiedy odlatywałem ja, nie wiecie. Wszystkich wyrzuca Pah. Burze. Cały tydzień noc sprowadza. Mnie nawet wypędza. Wszystkich! Lądownicy tam na górze? Do niczego! Do niczego! Karty mieliście, mówisz. Dość kart włożysz, polecą lądownik. Zgadza się?

Skinąłem głową.

— Lądownicy tutaj macie, mówisz — Wijzer zwrócił się do Szpika. — Ale powyrywane druty, fotele też, karty, przewody, szkła, wszystko. Zmusić do lotu nie potraficie ich. Na górze lądownicy, co z nimi jest, jak myślicie? Pierwsi poleciełiście, najlepsze dostały się wam. Ten, którym ja leciałem, jaki był, wiesz? Czterdzieści osiem zostało miejsc, czterdzieści osiem na ludzi sześciuset trzydziestu czterech. Nie zapomnę nigdy tego. Do góry lecimy, piętnaście trupów mamy. Bez jedzenia, tylko co zabieramy. Bez wody. Rury, krany, siedzenia — zniknęło wszystko. My tu przylatujemy. Cuchnie nasz lądownik, jak myślisz? Chore dzieci. Chorzy wszyscy albo nieżywi. Okropne to jest. Okropne! Po co lecieć? Musimy — Odwrócił się w moją stronę i wycelował we mnie krótki, gruby palec. — Nie każdy wraca, myślisz. Więcej miejsc jest. Może nie każdy. Ale ci, co wracają... Rodzinę na górze masz?

— Ojca, o ile jeszcze żyje. Wujka i dwie ciotki, jakichś kuzynów... Ale nie wiem, może już odlecieli.

— A może nie. Przyjaciele?

— Paru by się znalazło.

— Ojciec. Wuj. Ciotka. Przyjaciół. Kuzyn. Różnicy nie ma. Ojciec, powiedzmy. Na kolana pada. Płacze. Co zrobisz wtedy? O tym pomyśleć musisz. Prosił cię kiedyś o coś? Ojciec twój na kolanach do ciebie przychodził? Płakał? Błagał?

— Nie — odparłem. — Nigdy.

— Dwadzieścia lat. Młodym bardzo człowiekiem wtedy byłeś. Chłopcem może, tak?

Skinąłem głową.

— Na ojca patrzyłeś, ojca widziałeś. Człowiekiem innym był. Tak samo dla mnie, kiedy chłopcem jestem. Ale już nie! Własną twarz widzisz teraz, ale stary już jesteś. Nie silny, jak lat dwadzieścia temu. Słaby jest. Płacze, błaga, po policzkach łzy płyną. Rogu! Rogu! Zabrać mnie musisz! Moja krew z krwi tyś, kość z kości! — Wijzer spojrzał na mnie badawczo. — Dodatkowych nie będzie miejsc. Nie. Ani jednego.

Szpik chrząknął, a ja odparłem: — Rozumiem, co masz na myśli. Czeka mnie trudne zadanie. Wijzer rozsiadł się wygodniej i dopił wino.

— Do Pajarocu popłyniesz? Mimo wszystko?

— Tak.

— Uparty jak ja jesteś. Szczęśliwej podróży życzę ci. Coś do rysowania, Szpiku, masz?

Szpik wezwał skrybę i kazał mu przynieść przybory do pisania.

— Patrz. Tu Ląd jest. — Wijzer starannie nakreślił linię brzegową. — Na Łądzie jesteśmy tutaj. Wyspy mamy. — Dorysował kilka wysepek. — Na północ Jaszczurka leży. — Zaczął ją rysować, maleńką plamkę na bezkresnym morzu. — Jaszczurka gdzie jest, wiesz?

Powiedziałem mu, że tam mieszkam.

— Dobrze. Na kolację dobrą w domu zatrzymać się możesz.

Mrugnął do mnie, a ja nagle zdałem sobie sprawę, że ma oczy niebieskie jak Jedwab.

— Nie — odparłem. Nie sądziłem, że przyjdzie mi to z taką łatwością. — Nie zajrzę do domu, chyba że po coś, czego zapomniałem.

Szpiik chrząknął z aprobatą.

— Lepiej nie. Skały tam są. Ale gdzie, wiesz na pewno. — Wijzer dorysowywał kolejne miasta na wybrzeżu. — Za dużo wysp, nie rysuję, ale skały tutaj i mieliznę rozległą zaznaczyć muszę. Miejsca złe bardzo. Może zobaczysz je, może nie zobaczysz nic. Nie widzisz nic, ale mnie wierzysz, tak?

— Tak — zapewniłem go. — Wiem, jak łatwo posadzić łądz na niewidocznych skałach.

Wijzer pokiwał głową, jakby sam sobie przytakiwał.

— Zieleń zbliża się. Morze podnosi się i opada przez nią. Pływy, mówimy w Dziurze. O pływach wiesz?

— Tak.

— Zieleń raz dużo wody ściąga, raz mało. Nie wiem ile. Ale tak jest. O pływach pamiętać zawsze musisz, bo płyniesz ty, a one coraz większe są. Nie zapominaj. Kotwicę bezpiecznie rzucisz, ale po godzinie, dwóch, bezpiecznie nie jest już.

Pokiwałem głową.

— Tak samo te wszystkie miasta. Nawet Wijzer do nich nie zawinąłby. Ale może coś, czego potrzebujesz, mają. Które szalone są, nie pokażę. Wszystkie szalone. Rozumiesz? Wszystkie, co do jednego. Tylko różnie.

— Mają różne prawa i zwyczaje. Wiem, o co ci chodzi.

— Więc jak niczego nie trzeba ci, dalej płyn najlepiej. Te dwa tutaj... — Wijzer zaznaczył dwa miasta kółeczkami i dmuchnął

na atrament, żeby szybciej wysechł. — Skręcasz przy nich, bo dalej... — Narysował następny odcinek linii brzegowej, opadający ku południowi i znacznie mniej szczegółowy. — Następny ląd jest tutaj. Może nazwę ma. Nie wiem.

— To będzie Zaciemnienie, zachodni kontynent — powiedziałem.

— Może. Albo może duża wyspa to jest. Nie dość bystry Wijzer, nie wie. Wyspa, może, ale ogromna. Ten brzeg? Z daleka lepiej trzymaj się.

— Posłucham twojej rady.

— Dwa albo trzy miasta. — Dorysował punkciki i opisał je starannie. — To, co piszę, to nazwy moje dla nich. Może inaczej nazywasz ty, może inaczej oni. Tu szeroka rzeka płynie. — Z namaszczeniem naniósł rzekę na mapę. — Znaleźć ją musisz, więc wypatruj jej dobrze. Taka wielka jest, że nie widać jej. Tego, czego nikt nie widzi, szukaj.

Stwierdziłem, że sam nie tak dawno doszedłem do takiego wniosku.

— Mądre to zdanie. Wszędzie powtarzają to samo mądrzy ludzie. Wiesz?

— Chyba tak, chociaż nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Taka sama mądrość zawsze jest. O mężczyznach, kobietach, dzieciach, o łodziach, jedzeniu, koniach, psach, o wszystkim. Taka sama zawsze. Ptaków w starym gnieździe nie ma, mędracy mówią. Stara kwoka, dobry kurczak. Swój do swego ciągnie. Mięso od bogów, kucharz od diabła jest. W miastach wszystkich powtarzają to. Młodzi wy, śmiejecie się. Wiemy my, starzy. Małe rzeczy czujka widzi. Prawie zawsze, bo wypatruje ich. Duże coś, za duże, żeby wypatrywać, przegapią wszyscy. — Wijzer chyba po raz dziesiąty zamoczył pióro w atramencie i

narysował rozwidlenie rzeki. — Duży strumień od sterburty jest, tak? Mały od bakburty. Bystry jest. Trudno wpłynąć w niego, tak? Ale tam płyniesz ty. — Obok strumienia nakreślił strzałkę i zaczął rysować drzewa na lądzie.

— Dobrze — powiedziałem.

Mały strumyk na mapie też się rozwidlił.

— Tak samo tutaj, mniejszym płyniesz. Małą łódź masz?

— Znacznie mniejszą od twojej. Sam bez trudu nią żegluję.

— To dobrze. Bardzo dobrze! Na wiatr silny poczekać musisz. Widzisz? Wtedy tu płyniesz. Blisko brzegu trzymaj się. Ostrożny cały czas bądź, o legendzie nie zapominaj. Uważaj. Czasem Pajarocu bywa tutaj.

Wijzer zaznaczył położenie miasta na mapie i zaczął wpisywać nazwę PAJAROCU.

— Czasem? Powiedziałeś, że czasem tam bywa?

Wzruszył ramionami.

— Nie takie miasto, jak wasze, to jest. Zobaczysz, jeśli dotrzesz tam. Czasem tu jest, czasem tam. Jak opowiem ci, nie uwierzysz. Że przybywasz, wiedzą, może miasto przesuną. A może z innego powodu. Albo bez powodu. Jak Dziura Pajarocu nie jest. — Wskazał na mapie położenie Dziury, zaznaczonej jako skupisko maleńkich domków. — Od wszystkich miast inne jest.

Szpik nachylił się nad stołem, żeby spojrzeć na mapę.

— Ta rzeka płynie prawie dokładnie na zachód od Nowego Vironu — zauważył.

Wijzer z kamienną twarzą odłożył pióro.

— Czy Róg nie zaoszczędziłby na czasie, kierując się stąd prosto w jej stronę? — zapytał Szpik.

— Niektórzy ludzie robią to może — odparł Wijzer. — Czasem im się udaje, czasem nie. Ja rysuję, jak Wijzer robi to.

— Zgoda, ale ty handlujesz z tymi miastami po drodze. Róg nie zamierza tego robić.

— Gdybym zrobił tak, jak mi radzisz — wtrąciłem — czyli popłynął stąd prosto na zachód, dotarłbym do brzegów tej dużej wyspy, czy też kontynentu, który Wijzer był uprzejmy nam naszkicować. Nie wiedziałbym jednak, czy potem skierować się na południe, czy na północ, jeśli nie miałbym ujścia rzeki w zasięgu wzroku.

Szpik niechętnie skinął głową.

— Bez urazy, kapitanie Wijzer, ale rysując taką mapę odręcznie, można pomylić się nawet i o pięćdziesiąt mil — zauważyłem. — Albo i więcej. Przypuśćmy, że zawierzyłbym jej i popłynął na północ. Pięćdziesiąt mil wzdłuż brzegu to, lekko licząc, tydzień żeglugi. Powiedzmy, że po tym tygodniu doszedłbym do wniosku, że powinienem poszukać na południu, i zawróciłbym, a ujście rzeki znajdowałoby się pięć mil od punktu, w którym zawróciłem. Jak długo jeszcze bym go szukał?

Wijzer się uśmiechnął.

— Rozumiem, o co ci chodzi — mruknął Szpik. — Odlecą, gdy tylko lądownik będzie gotowy do drogi. A to już bardzo niedługo. Widziałeś list. Nie będą na nikogo czekać.

— Wiem, że nie ma czasu do stracenia, ale czasem lepiej jest spieszyć się powoli.

W duchu pomyślałem sobie, że najlepiej byłoby połączyć oba plany: popłynąć jakieś sto mil na północ, a potem skrócić na zachód daleko na południe od miejsca, które wskazał mi Wijzer.

Tak też postanowiłem zrobić.

5

Na zielonej równinie

Jakże odległe wydają mi się teraz te chwile! Tyle się od tego czasu wydarzyło... Chociaż chwilami mam wrażenie, że to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

Wizera jednak pamiętam doskonale.

Co by było, gdyby jutro niespodziewanie zjawił się w sądzie? Zapytałby, czy dotarłem do Pajarocu. Co bym mu odpowiedział? „Tak, ale... ”.

Pozwól, że jedną rzecz od razu wyjaśnię. Nie do końca ufałem Wijzerowi. Wyglądał tak samo jak tuziny kupców, którzy handlują w nadmorskich miastach. Zaczynają, powiedzmy, od żelaznych sztućców i garnków, które wymieniają na miedziane sztabki, później w Nowym Vironie za miedź dostają papier i drewno — i cały czas szukają ładunku, który dałby im największy zysk przy sprzedaży w macierzystym porcie. Bałem się, że może kłamać, aby wyjść na większego światowca, niż był w rzeczywistości; mógł też mieć własne powody, dla których nie chciał, żebym sprowadził Jedwabia. Teraz już wiem, że krzywdziłem go, podejrzewając o tak nieczne motywy. Naprawdę był w Pajarocu i doradzał mi najlepiej, jak umiał.

Niektórzy ludzie zarzucali mnie i Pokrzywie, że spisaliśmy zmyśloną historię. To nieprawda, chociaż rzeczywiście zamieszczaliśmy w naszej książce wymyślone konwersacje, kiedy wiedzieliśmy z grubsza, o czym mówiono i jakie zapadły decyzje — tak było na przykład z rozmowami generalissimusa Oosika, generał Mięty, radcy Potto i generalissimus Siyuf. Znaliśmy styl i skutki ich wypowiedzi i staraliśmy się przedstawić ich jak żywych.

Gdybym teraz tworzył podobne dzieło (zamiast spisywać bezstronną relację z wydarzeń — a taki mam zamiar), wytłumaczyłbym, dlaczego nie dowierzałem Wijzerowi i zostawiłbym czytelnika w niepewności, nie ujawniając, czy moje wątpliwości były uzasadnione. Ale nie zrobię tego. Od razu wyjaśnię, że poza drobnymi nieścisłościami rysunku linii brzegowej i pominięciem wielu wysepek (zwłaszcza tej okropnej, na której wpadłem do jamy), mapa Wijzera okazała się nadzwyczaj dokładna — w każdym razie w tych rejonach, które przemierzyłem w poszukiwaniu nieuchwytnego Pajarocu, nazywanego miastem.

Zanim wieczorem wróciłem na łódź, kupiłem solidną szkatułkę z natłuszczonego pustyniodrzewia i kostkę wosku. Obejrzałem mapę jeszcze raz, bardzo dokładnie, po czym schowałem ją do szkatułki razem z kopią listu, stopiłem wosk nad płomieniem latarni i oblałem nim wszystkie spoiny pudełka. Babbie przyglądał mi się z zainteresowaniem, jakiego — u zwierząt — spodziewałbym się chyba tylko po Orebie.

Właśnie: czekał na mnie, chociaż po powrocie z miasta raczej nie spodziewałem się go zastać na łodzi. Pierwszy raz zostawiłem go samego.

Mając świeżo w pamięci rabunek, prawie się cieszyłem, że mam husa przy sobie. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się, żeby ktoś okradł zacumowany w porcie słup, wiedziałem jednak, że kradzieże się zdarzają. Bywało i tak, że kupcy tracili całe łodzie. Dlatego zabieraliśmy do miasta Ściągna albo, najczęściej, bliźniaków, żeby miał się kto opiekować słupem, kiedy my z Pokrzywą wymienialiśmy papier na przedmioty, których sami nie mogliśmy zrobić ani wyhodować, albo na alkohol, jedzenie i ubrania dla drwali, z którymi handlowaliśmy.

— Rano wypływamy — zapowiedziałem Babbiemu. — Jeśli chcesz zejść na brzeg, to teraz jest najlepszy moment.

Chrząknął tylko i wycofał się na fordek. Jego mina (uparta jak wyraz twarzy Wijzera) mówiła wyraźnie: „Beze mnie nie odpłyniesz”.

Przyszło mi, rzecz jasna, do głowy, że mógłbym rzucić cumy od razu, w nocy, ale byłem zmęczony, a wiatr ucichł. Wyglądało na to, że tylko bym się bez sensu naharował.

Być może, gdyby wiatr wzmógł się i pozwolił mi po ciemku opłynąć Jaszczurkę, dalsze wypadki potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Kto wie?

Jest bardzo późno, ale wiem, że muszę jeszcze trochę popisać — czuję, że powinienem albo pociągnąć tę opowieść, do której od trzech dni nie wracałem, albo w ogóle ją zarzucić. Jakie to dziwne uczucie, wrócić do niej przy świetle lampy i przeczytać, że położyłem się spać, zamiast od razu wypłynąć z Nowego Vironu. Byłem absolutnie przekonany, że lądownik odleci z

Pajarocu, gdy tylko będzie gotów do drogi, i zgodnie z zapowiedzią wróci do „Whorla”, ja zaś — jeśli tylko zdążę na czas — znajdę się na jego pokładzie.

Byłem naiwnym dzieckiem. Szpik i pozostali, których — tak jak siebie — uważałem za dorosłych ludzi, różnili się ode mnie tylko tym, że byli dziećmi, które podejmowały znacznie mniejsze ryzyko.

Burze się nasilają. Dzisiejsza była okropna, chociaż teraz, gdy wskazówki mojego zegarka się stykają, już się kończy. Podobno wichury połamały nam większość palm daktylowych; bardzo mi ich żal. Muszę sprawdzić, ile lat potrzebuje sadzonka, by zacząć owocować. Dwanaście? Miejmy nadzieję, że mniej. Ludzie, nawet żołnierze mojej straży przybocznej, zaczynają się bać. Wezwałem ich dzisiaj do siebie, kiedy na dworze szalała burza.

— Niektórym z was wydaje się, że skoro inhumie przemierzają otchłań w czasie koniunkcji, muszą wrócić do domu, nim ko — niunkcja się skończy — zacząłem. — Po co mieliby to robić? Tutaj mają dostatecznie dużo ofiar i krwi. Są wprawdzie tacy, którzy przebywają tu od lat i wrócą na Zielen, żeby się rozmnażać, ale większość zostanie wśród nas. Chyba nie wątpicie w moje słowa?

Zakłopotani żołnierze milczeli.

— W zeszłym roku było ich tu wielu, tak w każdym razie słyszałem. Rok wcześniej również. Czy myślicie, że teraz grozi wam z ich strony większe niebezpieczeństwo niż przedtem? Z pewnością nie! Zjawi się ich więcej, ale nie damy się im zaskoczyć, oni zaś, jako mniej doświadczeni, będą dla nas mniej groźni. Czy zaśniecie na posterunku, kiedy pierwszy inhumie

zostanie złapany i zakopany żywcem na rynku? Drugi? Trzeci? Mam nadzieję, że nie. Tak samo musicie zachować czujność, kiedy koniunkcja się skończy. A to już niedługo.

Odważne słowa. A przy okazji próba generalna przemówienia, które w najbliższych miesiącach przyjdzie mi często wygłaszać.

Czy nie należałoby odkopać jednego z ostatnio schwytanych inhumich, wypuścić go i pozwolić mu ostrzec pozostałych? Ta myśl nie daje mi spokoju.

Czy rasa ludzka nie wyginie, jeśli młode inhumy wyklują się z jaj w naszym klimacie? Natura płata przecież rozmaite figle. Tylko że nie wiemy, czy inhumy są dziećmi natury.

Na pewno. To istoty naturalne, tyle że pochodzą z Zieleni. Dlaczegoż Sąsiedzi mieliby stworzyć coś tak potwornego?

Wczoraj wieczorem chciałem pisać dalej, ale nie udało mi się ruszyć z miejsca. Dzisiaj bardziej się postaram.

Zgodnie z planem wypłynąłem krótko po rozjaśnieniu. Ku mojemu zdumieniu Szpik przyszedł na przystań i na pożegnanie dał mi jeszcze dwa prezenty: dwie nieduże, sześciennie skrzynki. Wiatr wiał z południowego wschodu — dla mnie idealnie — podaliśmy więc sobie ze Szpikiem ręce, objęliśmy się, on nazwał mnie swoim synem, a później rzuciłem cumy i wciągnąłem żagiel na maszt.

Plęśń czekała z ofiarowaniem mi Babbiego, aż oddalę się od brzegu i nie będę mógł zwrócić jej pożegnalnego daru; Ściągno też odczekał dłuższą chwilę, zanim rzucił mi swój ukochany

nóż. Tak samo i Szpik dopiero w ostatniej chwili sprezentował mi ostatnią pamiątkę — swoją laskę, którą wrzucił mi na pokład, naśladując gest Ściągni (opowiedziałem mu tę historię), gdy odbiłem już od kei. Podziękowałem mu, a potem chyba uniosłem laskę i pomachałem nią na pożegnanie. Przypomniałem sobie, jak Krew dał Jedwabowi swoją laskę z główką rzeźbioną na kształt lwiego łba.

Czy to źle, że o tym pomyślałem? Szpik nie był ideałem i miał swoje wady; bez wątpienia zdawał sobie z nich sprawę i nie zamierzał się z tym kryć. Krew, syn maytere Róży, miał z kolei swoje zalety — Jedwab zawsze to podkreślał, ja zaś nie wątpiłem, że jak zwykle ma rację. Człowiek stojący na czele dużej organizacji — nawet organizacji przestępczej — nie może być całkowicie zły, bo wtedy podwładni nie mogliby mu ufać. Orchidea podpisała w ciemno dokument, który jej dał, i bez słowa przyjęła pieniądze na zakup żółtego domu. Wiedziała, że Krew wycisnie z niej i jej dziewczyn ile się da, ale nie będzie próbował jej zniszczyć.

Laska Szpika — o czym powinienem był już wcześniej wspomnieć — była zrobiona z ciężkiego i ciemnego, wpadającego w czerń drewna. Poniżej gałki miała srebrną opaskę z wygrawerowanym imieniem właściciela. Chyba dopiero w ostatniej chwili wpadł na pomysł, żeby mi ją sprezentować, ja zaś tym bardziej ucieszyłem się, że to zrobił. Pokazałem Babbiemu, że mam go teraz czym obić i dla żartu rozkazałem mu wciągnąć fok, ale kiedy spojrział na mnie spode łba, sam wziąłem się do roboty. Jakiś czas potem zauważyłem, jak bawi się fałem foka. Nie posiadałem się ze zdumienia.

Jeśli mnie pamięć nie myli, wczesnym popołudniem opłynęliśmy Jaszczurkę. Płynęliśmy północnym kursem, przy

umiarkowanym wietrze zachodnim, skręcającym ku południowi. Obiecałem sobie nie zbliżyć się do wyspy i dotrzymałem słowa. Przysięgałem też w duchu, że nie będę wypatrywał na brzegu Pokrzywy ani bliźniaków, ale moje postanowienie na nic się nie zdało: wychylony przez burzę wyteżczałem wzrok przez cały czas, próbowałem nawet machać, ale na próżno. Nikogo nie widziałem.

A czy mnie ktoś widział? Z pewnością. Na mój widok Ścięgno odbił od brzegu w naszej starej łodzi. Odkąd odpłynąłem z domu, musiał wiele czasu poświęcić na jej naprawę i uzupełnienie osprzętu. Nie widziałem go jednak ani nie słyszałem, a nic, co wcześniej robił i mówił, nie zapowiadało, że tak się zachowa.

W jednej skrzynce od Szpika znalazłem srebrną biżuterię na handel, w drugiej, mniejszej, sztabki srebra. Tę drugą starannie schowałem, postanawiając nie korzystać z jej zasobów dopóki okoliczności mnie do tego nie zmuszą. Miałem wtedy nadzieję, że znajdę w Pajarocu kogoś, kto przypilnuje mi łodzi, kiedy udam się na poszukiwanie Jedwabia, a gdy razem wrócimy do miasta na pokładzie lądownika, poześlujemy do Nowego Vironu. Sztabki srebra byłyby zapłatą za moje trudy, a w razie potrzeby mógłbym dzięki nim pomóc Jedwabowi.

Wijzer ostrzegał mnie, żebym nie zawijał do wszystkich napotkanych portów, ale niepotrzebnie udzielił mi tej rady. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że ewentualny postój będzie mnie kosztował co najmniej dzień zwłoki, jeśli nie dwa lub trzy, i byłem zdecydowany płynąć na północ bez przerwy, dopóki nie skończą mi się zapasy. Wtedy zamierzałem zawinąć do pierwszego lepszego miasteczka, obkupić się i stamtąd ruszyć na zachód.

Niezbyt długo wytrwałem w tym postanowieniu: po tym, jak ominąłem pierwsze miasto, przy następnych zawsze okazywało się, że czegoś mi brakuje (najbardziej potrzebowałem wody) i zawijałem do prawie wszystkich portów po drodze. Babbie nauczył się mi ufać i natura wzięła w nim górę nad ostrożnością: zaczął prowadzić zwykły dla husa nocny tryb życia. Za dnia drzemał, a budził się w porze zaciemnienia, co było mi bardzo na rękę, nawet jeśli nie cumowaliśmy akurat w żadnym porcie. Zachodni wiatr nie ustawał, a jeśli zmieniał kierunek, to tylko skręcał minimalnie ku południowi. Dzięki temu mogłem przez większość czasu płynąć na foku i zrefowanym grocie, z uwiązaniem na sztywno sterem. Kładąc się spać, kazałem Babbiemu, żeby mnie obudził, gdyby coś się stało. Chrząkał wtedy aprobowo (czym Przypominał mi Szpika), ale chyba ani razu mnie nie zbudził. Nie pamiętam już, ile miast odwiedziliśmy po drodze, ale w czasie trwającego sześć tygodni rejsu z pewnością trafiło się ich pięć lub sześć.

Miałem dziś gościa, który podarował mi prawdziwego białego kruka: małą książeczkę wydrukowaną ponad sto lat temu we „Whorlu”, a zatytułowaną „Zdrowe grządki”. Jest to napisany przez lekarza traktat o ogrodnictwie, ze szczególnym uwzględnieniem hodowli ziół leczniczych. Przyjemnie się go kartkuje, ogląda stare, ręcznie malowane ryciny i czyta fragmenty tekstu, ale chcę dziś pisać nie tyle o nim samym, co raczej o jego wpływie na moją relację.

Nagle dotarło do mnie, że ta książka, którą adresuję do żony i synów, może znajdować czytelników długo po tym, jak mnie i

mojej rodziny już nie będzie. Nawet Racica i Róg (sic!), dziś wchodzący w wiek męski, kiedyś zestarzeją się tak samo, jak Szpik i patere Remora. Trwają spory na temat długości roku w tym whorlu, ale ewentualna różnica nie może być duża. Za pięćdziesiąt lat Róg i Skóra (sic!) mogą już nie żyć; za sto umrą także ich synowie i córki. Te słowa zaś, które piszę bez głębszego namysłu, nadziei i oczekiwań, przetrwają zapewne znacznie dłużej — dwa, może nawet trzy stulecia. Będą coraz cenniejsze i strzeżone z coraz większą pieczołowitością, w miarę jak whorl, który opisują, będzie z wolna ginął w pomroce dziejów.

Cóż za trzeźwiąca myśl.

(Nie trzeba chyba dodawać, że dokładamy wszelkich starań, aby relacja ta nie została zapomniana. Dlatego przykładamy ogromną wagę zarówno do druku i konserwacji kolejnych egzemplarzy, jak i do ich rozpowszechniania — Racica, Skóra, Stokrotka i Vadsig).

Szkoda, że któryś z pierwszych mieszkańców whorla długiego słońca nie spisał historii jego zasiedlenia. Zresztą może i spisał, może jego relacja jest przechowywana w jakimś mieście w krainach niebios, daleko od Vironu? Taka księga (albo przynajmniej jej kopia) mogła już dawno znaleźć się tu, u nas — o ile w ogóle istnieje. A ja mam nadzieję, że istnieje.

Wielu mieszkańców miasta i jego okolic cieszyło się z krótkiej relacji Sklerodermii, a nie posiadało się wprost z radości, czytając książkę spisana przez mnie i Pokrzywę. Wiem, że brzmi to jak przechwałka, ale tak właśnie było. W zamian za jeden egzemplarz dawali nam karty, a nawet przedmioty, które

sami zrobili, i płody ziemi, które sami wyhodowali — jedno i drugie kosztowało ich wiele pracy. O ile mi jednak wiadomo, nikt nie podjął się opisanie dziejów Nowego Vironu, loterii ziemskiej i całej reszty (wierzę, że gdyby było inaczej, z pewnością bym o tym słyszał). Po długim namyśle postanowiłem uzupełnić moją opowieść o fakty, które Pokrzywa i moi synowie już znają, ale które mogą mieć znaczenie dla przyszłych pokoleń. Przecież nawet dziś, w Gaonie, nikt nie wiedziałby, że manteion i plebanię patere Remory okala wysoki mur, gdybym o nim nie wspomniał, prawda?

Kiedy myślę o naszym rejsie wzdłuż wybrzeża, którego opis jest na razie wprost sielankowy, uderza mnie przede wszystkim tempo, w jakim na Błękanie powstają nowe miasta. Koloniści osiedlali się zwykle w pobliżu swojego lądownika, który po rozszabrowaniu części nie nadawał się do użytku, ale wciąż stanowił bezcenne źródło surowców. Pozbawieni wierzchowców i łodzi koloniści musieliby wędrować piechotą do miejsca, w którym chcieliby osiąść. Dlatego też Nowy Viron zbudowaliśmy godzinę drogi od lądownika; jestem przekonany, że inni koloniści postąpili podobnie — nie licząc tych, którzy wylądowali zbyt blisko nas i popadli w niewolę. Nie mieli wyboru.

Można natomiast powiedzieć, że my mieliśmy szczęście. Tam, gdzie się osiedliliśmy, nie było ani rzeki, ani jeziora, które zaopatrywałyby nas w słodką wodę, ale znalazło się wśród nas paru specjalistów od kopania studni. Głęboka na dziesięć łokci studnia dostarczała lepszej i czystszej wody, i to w ilościach aż nadto wystarczających. Na zachód od miasta mieliśmy dogodny

naturalny port i morze pełne ryb, a u podnóży gór na wschodzie ciągnął się las, z którego drewna wystarczyłoby dla stu takich miast jak Viron. Wyżej w górach wydobywaliśmy żelazo, srebro i ołów, o czym chyba już wspominałem.

Mało komu poszczęściło się tak jak nam. Gaon praktycznie nie ma dostępu do morza. Dziesięć mil od miejsca, w którym się znajduję, płynie Nadi, która bierze początek na Wyżynie Hanu. Wodospady i progi na wysokości Gaonu nazywamy Kataraktami. Dalej ciągną się Małe Katarakty, bagna i tropikalny las. Na brzegach Nadi ciągnie się nieskończony, zdawałoby się, sznureczek obcych miast. Większość z nich traktuje nas jak wrogów; niektóre odnoszą się wrogo do wszystkich. Teoretycznie można stąd dopłynąć do morza, ale nikt nigdy tego nie zrobił i nie zanoszą się na to, żeby komuś udało się to w przyszłości.

Mamy przynajmniej w Gaonie wodę i ryby z rzeki, drewno, trzy użyteczne gatunki trzciny, sitowie zdatne do wyplatania mat i koszyków i żyznę, czarną glebę aluwialną, z której dwa razy do roku zbieramy obfite plony. Dżungla podchodzi blisko miasta i tętni życiem — nie brakuje w niej ani łownej zwierzyny, ani dzikich owoców. Kiedy tu przybyłem, wydawało mi się, że Gaon to nędzna dziura. Teraz doceniam fakt, że nie trzeba tu budować ciepłych domów o grubych ścianach i ogromnych kamiennych paleniskach. Metal musimy importować, więc kosztuje słono, ale na dłuższą metę może się to okazać błogosławieństwem dla miasta.

Czci się tu tych samych bogów, których znaleźliśmy we „Whorlu”. Mieszkańcy Gaonu najwięcej ofiar składają Echidnie (więcej niż wszystkim pozostałym razem wziętym), przedstawianej zwykle jako kochająca matka, która trzyma na

kolanach niewidomego Tartarosa, podczas gdy pozostałe dzieci gamą się do niej, dopraszając się o odrobinę uwagi. Z jej włosów wyglądają czasem jeden czy dwa węże, a w świątyni jest przedstawiona z węzami oplatającymi jej kostki nóg. Powinienem chyba wyjaśnić, że w Gaonie nikt nie boi się węży. Ludzie uważają je za istoty nadnaturalne, kogoś w rodzaju półbogów. Wystawiają im przed próg domu miseczki z mlekiem zaprawianym palmowym winem. Bogini-matka w towarzystwie stadka węży nikogo nie dziwi. Odkąd tu jestem, nie słyszałem jeszcze, żeby wąż kogoś pokąsał.

Kiedy ostatnio zasiadłem do mojej książki, chciałem pisać o zasiedleniu Błękitu, ale widzę, że odbiegłem od tematu i zacząłem rozwodzić się nad moją miejsciną.

Kusiło mnie, żeby napisać „nad tym miastem”, ale Gaonowi daleko do Vironu czy innych miast, które widziałem z pokładu latającego statku generał Saby. W Vironie mieszkało ponad pół miliona ludzi. Nie mam pojęcia, iloma mieszkańcami może się pochwalić Gaon, ale zapewne mniej niż jedną dziesiątą tej liczby.

Statek piratów nie wypłynął z żadnego miasta, lecz z maleńkiej słodkowodnej zatoczki, gdzie obwisłe gałęzie drzew do ostatniej chwili skrywały go przed moim wzrokiem. Nigdy nie zapomnę tego widoku: czarna sylwetka na tle ciepłej zieleni drzew i chłodnego, srebrno-błękitnego morza. Statek miał czarny kadłub, maszty i reje, żagle zaś tak ciemnobrązowe, że aż wpadające w czerń. Kiedy go wspominam, siedząc przy

nocnym stoliku, na spokojnie, bez lęku, dochodzę do wniosku, że piraci chyba spodziewali się pościgu i chcieli się ukryć. Ich statek był o połowę węższy od słupa i ponad dwa razy dłuższy. Wciągnięte na oba maszty trójkątne żagle były tak wielkie, że pierwszy mocniejszy podmuch z boku położyłby łódź. Na pokładzie stłoczyło się osiem lub dziewięć osób, głównie kobiet.

Ta, która stała na dziobie, krzyknęła, żebym się zatrzymał. Ja jednak wyjąłem otrzymaną od Szpika strzelbę, naładowałem ją i schowałem do kieszeni kilka zapasowych naboju.

— Zatrzymaj się! — powtórzyła, a kiedy zapytałem, czego ode mnie chcą, strzeliła.

Podniosłem strzelbę do ramienia. Rzadko miałem okazję strzelać z takiej broni i w tamtej chwili rozpaczliwie próbowałem przypomnieć sobie wszystko, co w życiu słyszałem o strzelbach — rady Ścięgna i dziesiątków innych ludzi: jak trzymać broń, jak celować, jak strzelać celnie i szybko. Do tej pory pamiętam, z jakim niepokojem odbezpieczyłem strzelbę, wziąłem statek na muszkę i pociągnąłem za spust.

Rozległ się grzmot i strzelba podskoczyła konwulsyjnie w moich rękach, przez co omal nie straciłem równowagi. Wyglądało jednak na to, że mój pierwszy strzał był równie chybiony, jak pierwsza próba piratów. Zanim zdążyłem strzelić drugi raz, Babbie przycupnął obok mnie i zgrzytnął szablami.

Łoskot wystrzału obudził na szczęście nie tylko husa, lecz także mój drzemiący intelekt. Odłożyłem strzelbę i skierowałem łódź na wiatr, najostrej jak to było możliwe. Wybrałem szoty, starając się nie zwracać uwagi na trwającą kanonadę. Odwróciwszy się, stwierdziłem, że dokonałem słusznego wyboru: statek piratów nie był w stanie utrzymać tak ostrego kursu, prosto na otwarte morze.

Slup kołysał się mocno na falach; chwilami, przy mocniejszych porywach wiatru, bukszpryt dotykał wody. Podniosłem strzelbę i po dwóch czy trzech próbach nauczyłem się, że najlepiej mi się strzela, kiedy slup unosi się na grzbiecie fali, tuż przed tym, jak rufa ucieknie mi spod nóg. Nie zdążyłem jeszcze przeładować broni, kiedy z satysfakcją dostrzegłem, że kobieta stojąca na dziobie wpada głową naprzód do morza.

— Płyniemy prosto do Pajarocu! — zawołałem do Babbiego, ładując do strzelby naboje z kieszeni. Skinął łbem, dając mi do zrozumienia, że wie, o co chodzi.

Moja intuicja zadziałała szybciej od rozumu, ale już przy następnym strzale zrozumiałem, że instynkt mnie nie zawiódł. Poniósłszy stratę, załoga postara się nie stracić mnie z oczu aż do zaciemnienia, a w nocy ustawi statek w taki sposób, żeby oddzielić mnie od lądu. Zakładając, że płyniemy do któregoś z portów na północy, musielibyśmy przy pierwszej dogodnej okazji zawrócić na północny wschód. A wtedy przy odrobinie szczęścia w porze rozjaśnienia mieliby nas jak na widelcu.

— Jeżeli mapa Wijzera nie kłamie, morze jest tu znacznie szersze — wyjaśniłem Babbiemu. — Niebezpiecznie jest po nim żeglować, nawet w znacznie większej łodzi, lepiej wyposażonej i obsadzonej większą załogą, ale i tak lepsze to niż spotkanie z tym czarnym statkiem. Jeżeli uda nam się przepłynąć na wprost, zyskamy sporo na czasie.

Miałem ochotę dodać, że jeśli ten pomysł mu się nie podoba, może wyskoczyć za burtę i płynąć wpław dokąd chce, ale tak ufnie pokiwał łbem, że zrobiło mi się wstyd.

Może powinienem był się wstydić, że zastrzeliłem kobietę-pirata. To straszna rzecz, odebrać życie człowiekowi. Nie zabiłem nikogo od czasu, gdy z Pokrzywą, Szpikiem,

Sklerodermią i innymi walczyliśmy w tunelach z żołnierzami generalissimus Siyuf, czyli od bardzo dawna. To okropne brzemie — i dla rozumu, i dla sumienia — chociaż nie zawsze równie ciężkie. Na slupie bardziej martwiłem się o swoje życie niż o los tej kobiety; gdybym mógł, z rozkoszą posłałbym na dno cały ten czarny statek.

Niedługo przed zaciemnieniem wiatr zelżał, ale znajdowaliśmy się już daleko od brzegu. W zasięgu wzroku nie było ani statku piratów, ani stałego lądu. Uwiązałem rumpel i położyłem się spać ze strzelbą u boku. Powzięłem mocne postanowienie, że zdrzemnę się najwyżej godzinę lub dwie, a potem zobaczę, co przyniesie mi morze i pogoda, nim znów pójdę spać. Tymczasem, gdy Babbie mnie obudził, pochrząkując i skrobiąc po policzkach pazurami przednich łap, było już po rozjaśnieniu.

Usiadłem i przetarłem oczy. Wiedziałem, że jestem na slupie, ale przez pierwszych kilka chwil miałem wrażenie, że zmierzamy do Nowego Vironu. Wiatr wyraźnie się wzmógł — myślałem wtedy, że to dlatego Babbie postanowił mnie obudzić — lecz krótkie i ostre fale, które dokuczały nam wieczorem, zmieniły się w długie i łagodne, delikatnie kołyszące łodzią. Top masztu przechylał się dostojnie na przemian to na sterburtę, to na bakburtę, niczym w jakimś dworskim tańcu.

Było to o tyle ważne, że zdawało mi się, iż z lewej strony widzę niedużą, ledwie wystającą z wody wysepkę. Gdyby morze było spokojniejsze, wdrapałbym się na maszt i obejrzał ją dokładnie, ale bałem się, że pod wpływem mojego ciężaru kołysanie tylko się nasili, zaczniemy nabierać wody i łódź pójdzie na dno. Stałem więc na jednej ze skrzyń, czyli niewiele wyżej niż na poziomie fordeku.

— Jeżeli to wyspa, moglibyśmy zasięgnąć informacji i nabrać wody — powiedziałem do Babbiego. — Ale na razie wody nam wystarczy, a pewnie przy okazji napytalibyśmy sobie wody.

Wskoczył na sąsiednie pudło, ale nie czuł się na tyle pewnie, żeby stanąć słupka na czterech tylnych łapach, jak to czasem robił, opierając się o burtę. Z powagą skinął łbem.

— Wciągnę więcej żagli, to przestanie tak kołysać — stwierdziłem.

Rozwinąłem grot, wybrałem szoty i poszedłem na dziób wyciągnąć z forpiku trójkątny topsel. Na pokładzie znalazłem ślady krwi — ciemnej, na wpół zakrzepłej posoki, która wciekła w szparę, skąd Babbie nie zdołał jej wylizać. Została jej zresztą dosłownie odrobina. Zauważyłem ją tylko dlatego, że poranne słońce świeciło bardzo jasno, a powierzchnia fordeku znajdowała się dosłownie dwie dłonie od mojej twarzy, kiedy wyjmowałem spod pokładu schowany tam żagiel. Klęcząc, obejrzałem cały fordek — i wszędzie znalazłem ślady krwi: między deskami, na dziobie, na nasadzie bukszprytu, nawet na forsztagu.

Pomyślałem, że to pewnie Babbie upolował i zjadł jakiegoś ptaka, ale nigdzie nie widziałem piór — a należało się chyba spodziewać resztek zakrwawionego pierza.

— Nie ptak — powiedziałem, patrząc na husa. — I nie ryba. Ryba mogłaby sama wskoczyć na pokład, ale powinny po niej zostać łuski. Tak mi się w każdym razie wydaje. Co to było?

Babbie słuchał uważnie i czułem, że mnie rozumie, chociaż nie dał tego po sobie poznać.

Po postawieniu topsla usiadłem przy sterze i odbiłem trochę w bok od wyspy. W wodzie pojawiło się więcej zielska, tak jak w pobliżu Jaszczurki: długie wstęgi mniej lub bardziej zielonych

liści unosiły się na powierzchni, utrzymując się na niej dzięki pęcherzom powietrznym wielkości grochu. Jak wszyscy mieszkańcy nadmorskich osad, wyławialiśmy wodorosty i suszyliśmy je na podpałkę. Pomyślałem, że niewiele nam ich zostało, podobnie jak niewiele mieliśmy drewna. Oczywiście sama podpałka na nic by się nie zdała, ale gdybym się postarał, udałooby mi się pewnie wyłowić jakieś pływające patyki. Zebrałem naręcze wodorostów i rozłożyłem ja na wywoskowanych pokrywach skrzyń ładunkowych, wyrzuciwszy do wody przywierające do zielska małe kraby. Parę sztuk łąziło po pokładzie i pluskało się w zębie, dopóki Babbie nie wyłapał ich i nie zjadł; miażdżenie krabów w zębach sprawiało mu wyraźną przyjemność. Pożerał je razem ze skorupą.

Patrząc, jak je, uświadomiłem sobie, że niesłusznie podejrzewałem go o zjedzenie zwierzęcia, którego krew znalazłem na fordeku. Stwór musiałby być spory, a Babbie musiałby pożreć go w całości — ze skórą, kośćmi i całą resztą. Gdyby tak zrobił, nie byłby taki głodny. Rzuciłem mu jabłko i sam też jedno zjadłem, słuchając jego chrupania i młaśnieć. Zdążyłem się już nauczyć, że krusząc szczękami kości ofiar, robi sporo hałasu. Gdyby coś jadł w nocy, na pewno bym się obudził.

Domyśliłem się już, że jakieś zwierzę wgramoliło się na pokład, zapewne uczepiwszy się bukszprytu, tak jak ja to zrobiłem podczas spotkania z grzbietoskórem. Babbie rzucił się na nie, zranił i zepchnął z powrotem do morza. Chrobot jego pazurów o deski nie musiał mnie obudzić; przyzwyczailem się, że nocą włóczy się po pokładzie. Wylizał do czysta całą krew, jaką zwęszył, tak jak potem wylizał resztki, które wygrzebałem ze szpar czubkiem noża Ściągną.

Jakieś zwierzę wpadło poranione do wody. Tylko jakie? Pomyślałem o kobiecie, którą postrzeliłem; wyobraziłem sobie, jak całymi milami płynie za moim słupem, pałając żądzą zemsty. Gdybym snuł opowieść, którą będzie się czytać dzieciom przy kominku, zapewne tak bym właśnie napisał. Ponieważ jednak trzeźwo trzymam się faktów, przyznam, że wiedziałem, iż ta możliwość nie wchodzi w grę. Kobieta najprawdopodobniej zginęła na miejscu — a jeśli nie, to tylko dzięki temu, że uratowała ją załoga czarnego statku.

Dlaczego zakładałem, że intruz żył w morzu? Przecież na przykład inhumie potrafili latać, a choć w ich ciałach nie płynęła krew, krwawili obficie, zwłaszcza wkrótce po posiłku — tak jak ten, którego nazywaliśmy patere Kwezalem, kiedy został ranny w tunelach. Domyślałem się, że Babbie bez wahania zaatakowałby inhumiego, ale czy zdołałby go pokonać? Dorosły samiec husa pewnie by sobie z inhumim poradził, lecz Babbie był jeszcze młody.

No dobrze, a co mogło wyleźć z wody? Następny grzbietoskór? Nawet mały grzbietoskór zabiłby albo solidnie poharatał husa, który odważyłby się na niego rzucić. Babbiemu najwyraźniej nic się nie stało. Postanowiłem zdrzemnąć się po południu, a po zaciemnieniu stanąć razem z husem na warcie.

Słup przestał się kołysać, nie przechylał się też tak bardzo, jak Przed postawieniem topsła. Wdrapałem się na maszt (długi czas tego nie robiłem i teraz wydało mi się to znacznie trudniejsze, niż się spodziewałem) i rozejrzałem się dookoła. Od wyspy, którą dostrzegłem wcześniej po lewej stronie, dzielił mnie kawałek drogi, ale widziałem ją wyraźnie: zielona płaszczyzna niewiele wystająca ponad wodę, poznaczona tu i ówdzie kępami krzewów i przygiętych wiatrem drzew.

Kiedy odwróciłem się w drugą stronę, miałem wrażenie, że dostrzegam drugą podobną wysepkę.

— Jeżeli są częścią jednego lądu, to chyba znaleźliśmy nasz zachodni kontynent. I to o wiele szybciej, niż się spodziewałem — powiedziałem do Babbiego, chociaż sam nie do końca wierzyłem w to, co mówię.

W miarę, jak dzień upływał, wodorostów systematycznie przybywało. Nie znalazłem jednak ani kawałka drewna unoszącego się na wodzie.

Kiedy pewnego razu stałem z Algą na brzegu rzeki, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest nas troje. Do głowy przychodziły mi najróżniejsze wyjaśnienia takiego stanu rzeczy. Najbardziej oczywiste i przekonujące było takie, że albo to Pleśń towarzyszy nam bez naszej wiedzy, albo Krait porzucił słup i z sobie tylko wiadomych powodów postanowił nas śledzić. Najbardziej zaś niezwykle — aż mi wstyd, że o tym piszę, ale wtedy wydało mi się na tyle racjonalne, że całkiem poważnie je rozważałem — dopuszczało, że szaman, do którego poprzedniego wieczoru zwróciliśmy się o pomoc, posłał naszym śladem niewidzialnego diabła (przechwalał się przecież, że nieraz już tak robił). Po jakiejś godzinie niespokojnych rozmyślań zdałem sobie sprawę, że trzecią istotą, której obecność wyczułem, był po prostu Babbie — mój umysł spletał mi figla i traktowałem husa bardziej jak człowieka niż zwierzę.

Szaman mógł mieć z tym coś wspólnego. Mieszkańcy zachodnich ziem nie uznają tak ścisłego jak my rozdzielania na to, co ludzkie, i to, co zwierzęce. Szablodźwiedź jest, naturalnie,

uznawany za osobę, i to bardzo ważną osobę; Babbiego potraktowano w pewnym sensie jak dziecko, naszego adoptowanego syna. Kiedy się o tym dowiedziałem, uśmiechnąłem się w duchu. W ten sposób Krait i Babbie stali się braćmi.

Podobnie czułem się tamtego dnia, drzemiąc w cieniu fordeku. Na pokładzie miałem jeszcze jednego żeglarza i wiedziałem, że dopóki morze jest spokojne, mogę spać. Gdyby ktoś musiał poruszyć sterem, on by to zrobił; gdyby trzeba było zrefować grot, też by się tym zajął.

Kiedy się obudziłem, słońce dotykało morza na horyzoncie. Wiatr ucichł tak bardzo, że ledwie wyczuwałem jego tchnienie. Fok, który (byłem prawie pewien) opuściłem w ciągu dnia, został ponownie wciągnięty na sztag. Rozwinałem grot (był jednokrotnie zrefowany, chociaż dałbym sobie głowę uciąć, że refowałem go dwa razy) i wybrałem szoty, wyjaśniając Babbiemu, co i dlaczego robię. Nie wiem, czy coś z tego rozumiał; na pewno nic nie mówił.

— Jeśli chcesz, możesz się teraz zdrzemnąć — poinformowałem go.

Ku mojemu zdumieniu Babbie wziął ze mnie przykład i zaległ w cieniu maleńkiego fordeku. Po niespełna godzinie był już na nogach i razem stanęliśmy na wachcie.

Nie bardzo było przed czym mieć się na baczności — tak mi się w każdym razie wydawało. Zielsko rosło coraz gęściej i czułem, że stawia łodzi opór; chwilami musiałem odgarniać je przed dziobu niczym krę. Zdrzemnąłem się na chwilę przy sterze, kiedy Babbie zachrzakał z podniecenia, wziął krótki rozbieg i wyskoczył za burtę.

Mówiłem już, że w pływaniu żaden człowiek nie umiałby mu dorównać. Liczne krótkie i muskularne łapy bardzo mu się przydawały. Przez dobre dziesięć minut patrzyłem, jak oddala się od łodzi, zostawiając za sobą leciutko fosforyzujący ślad. Potem nieduży łeb husa zniknął gdzieś wśród łagodnych fal. Po tylu dniach przebywania w towarzystwie coraz lepiej rozumiejącego mnie husa poczułem się dziwnie, znalazłszy się znów sam na pokładzie.

Wrócił po pół godziny. Widziałem, że pracuje łapami nie mniej wytrwale niż wcześniej, ale płynął znacznie wolniej: pchał przed sobą małe, wyrwane z korzeniami drzewko. Owszem, miałem nadzieję wyłowić z wody drewno na opał — połamane gałęzie i namoknięte badyle — ale teraz wyglądało na to, że wszyscy bogowie postanowili mi pomóc jednocześnie.

Drzewo było za duże, żeby wciągnąć je na pokład. Przywiązałem je od zewnątrz do burty, żeby naciąć małych gałęzi i zapełnić nimi skrzynkę na opał. Nóż Ściąga był wystarczająco duży i ciężki, żeby od biedy dało się nim rąbać drewno, ale znacznie chętniej posłużyłbym się toporkiem. Z nostalgią pomyślałem o siekierze, której używał Jedwab, naprawiając dach naszego manteionu (zostawił ją później u Krwi). Postanowiłem przy pierwszej okazji kupić toporek i trzymać go na stałe na słupie — decyzja może i roztropna, lecz chwilowo bezużyteczna; wychylony za burtę rozpaczliwie siekłem sprężyste gałązki, ociekające żywicą i pokryte zielonymi liśćmi.

— Mam nadzieję, że nie spodziewasz się dziś wieczorem ogniska — mruknąłem do Babbiego. — To drewno będzie musiało parę dni podeschnąć, zanim uda się je zapalić.

Pogrążony w filozoficznej zadumie hus ogryzał świeżą witkę.

— Wydawało mi się przez chwilę, że kogoś widziałem — przyznałem. Zabrzmiało to idiotycznie. Wstyd mi się zrobiło, że wypowiedziałem tę myśl na głos, chociaż nikt poza Babbie nie słuchał. — Twarz, bardzo bladą twarz. W wodzie. To na pewno była jakaś ryba. Albo nasiąknięty wodą kawał drewna.

Babbie spojrział na mnie sceptycznie, więc wyjaśniłem: — Niektóre drzewa mają białą korę, nie są całe czarne czy brązowe. — Widząc, że go nie przekonałem, mówiłem dalej: — Ani nie zielone. Są białe drzewa. Zanim zostałeś złapany, mieszkałeś pewnie w górach, co? Więc na pewno widziałeś brzozę śnieżną. Wiesz też zapewne, że pod korą drewno wielu drzew ma białawy albo żółtawy kolor. Kłoda, która długo leży w wodzie...

Urwałem w pół zdania, słysząc czyjś śpiew. Nie był to głos Algi (który do tej pory potrafił mnie godzinami prześladować), lecz Matki — pieśń bez słów, w każdym razie bez słów, które umiałbym zrozumieć.

— Słuchaj — powiedziałem do Babbiego, ale niepotrzebnie. Zamiast, jak zwykle, trzymać uszy po sobie, postawił je i rozpostarł jak dwa żagielki, przez co wydawał się dwa razy większy niż w rzeczywistości.

Jest taki instrument muzyczny — zabawka, na dobrą sprawę — który w Vironie nazywaliśmy cymbalami Molpe. Odpowiednio ułożone struny naciąga się na pudło z cienkiego drewna, które wzmacnia ich dźwięk, gdy zostaną poruszone przez wiatr. Róg robił takie zabawki dla swojego młodszego rodzeństwa, nim zeszliśmy do tuneli. Kiedy je robiłem, zawsze marzyło mi się, że pewnego dnia stworzę lepszy instrument, wykorzystam całą wiedzę wielkiego rzemieślnika i złożę w ten

sposób należy hołd Molpe. Nigdy tego nie zrobiłem, jak się już pewnie domyślasz. Być może mam już wystarczające umiejętności. Zawsze jednak brakowało mi niezbędnej wiedzy muzycznej — i nigdy jej już nie posiadę.

Gdybym jednak skonstruował takie cymbały, mogłyby wydawać podobne dźwięki, ponieważ starałbym się nadać im brzmienie jak najbardziej zbliżone do ludzkiego głosu. Gdybym był tak świetnym rzemieślnikiem, jak kiedyś o tym marzyłem, grałyby bardzo podobnie — a zarazem zupełnie inaczej.

Tak samo brzmiał głos Matki: był cudowny i niezwykły jak brzmienie cymbałów Molpe, a choć dochodził z całkiem bliska (jeśli pamięć mnie nie myli), wydawało się, że jest bardzo, bardzo odległy. Wiele o tym później myślałem. Może dystans dzielił nas nie w przestrzeni, lecz w czasie; może w tamten ciepły, miły wieczór słyszeliśmy pieśń liczącą nie setki ale tysiące lat, śpiewaną tak samo jak w czasach, gdy świecące nad Błękitem krótkie słońce było jeszcze młode. Niosła się ku nam ponad pustym morzem, a moje ubogie słowa nie są w stanie oddać bólu i tęsknoty, które wyrażała.

Słowa na nic by się nie zdały, nawet gdybym mógł szepnąć Ci Je do ucha, Czytelniku. Są tym bardziej bezradne, gdy przemawiam do ciebie w tak ograniczony sposób, za pomocą pióra ze skrzydła Oreba.

Żadne ptasie pióro nie potrafiłoby tego wyrazić.

Tamtej nocy nic więcej się nie wydarzyło — a w każdym razie godnego uwagi. Długie godziny słuchaliśmy z Babbim tego śpiewu; kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że

musieliśmy tak stać zasłuchani chyba przez pół nocy. Przed świtem pieśń się skończyła — nie ścichła stopniowo, lecz urwała się jak nożem uciął, jakby śpiewaczka po prostu zakończyła utwór. Mniej więcej o tej samej porze ucichły resztki wiatru, który popychał nas przez gąszcz wodorostów, i słup kołysał się bez celu na falach, zbyt bezwładny, żeby zareagować na ruch steru. Usiadłem obok Babbiego. Zgodnie z planem razem doczekaliśmy rozjaśnienia, a potem na większą część poranka zaległem w cieniu fordeku. Babbie też poszedł spać (tak w każdym razie przypuszczam), ale miał tak czujny sen, że na dobrą sprawę wcale nie przestał stróżować.

Kiedy się obudziłem, okazało się, że znaleźliśmy się znacznie bliżej zielonej wyspy, niż przypuszczałem. Przy dobrym wietrze popłynęlibyśmy dalej na poszukiwanie Pajarocu. Jeśli jednak Molpe postanowiła zesłać nam tylko lekką, kapryśną bryzę (a na to się zanosilo), wolałem skrócić ku wyspie i na niej poczekać na poprawę pogody.

Zanim do niej dobrnęliśmy, nastąpiło południe; czasem słaby zefirek popychał nas do przodu, czasem zaś (chyba równie często) spychał wstecz. Zeskoczyłem z pokładu, żeby zacumować łódź, i wylądowałem na wilgotnej, sprężystej powierzchni, która bynajmniej nie była porośnięta trawą. Zielony dywan nie kończył się na brzegu morza, lecz ciągnął daleko w głąb, tuż pod powierzchnią wody, do miejsca, gdzie rozdarł go dziób słupa. W zasięgu wzroku nigdzie nie widziałem żadnego drzewa, pniaka, kamienia — nic, do czego mógłbym przywiązać cumę. Zaostrzyłem dwie zielone gałęzie drzewa, które dzień wcześniej przyholował Babbie, trzecim kijem wbiłem je głęboko w miękki grunt i uwiązałem linę.

Ostrząc i wbijając słupki w ziemię, cały czas biłem się z myślami, co zrobić z Babbie. Przesiedziawszy parę tygodni na słupie, hus wprost rwał się do zejścia na ląd, ja zaś, chociaż chciałem go zostawić na straży, nie widziałem w promieniu co najmniej mili nic, przed czym mógłby strzec łodzi. Postanowiłem jednak mimo pokusy zachować wzmożoną ostrożność, kazałem mu zostać na miejscu i, zabrawszy strzelbę, udałem się na rekonesans. Szedłem pół godziny w głąb lądu. Nie znalazłem słodkiej wody, nie zobaczyłem też nic ciekawego poza paroma olbrzymi drzewami w oddali. Wróciłem więc na słup, z niepokojącą łatwością wyrwałem z ziemi zaostrzone paliki i do wieczora żeglowaliśmy wzdłuż tego dziwnego brzegu.

Napisałem „żeglowaliśmy” i nie zamierzam tego zmieniać, ale niewiele mniej prawdziwe byłoby stwierdzenie, że dryfowaliśmy. W ciągu trzech, czterech godzin przeplłynęliśmy najwyżej pół mili.

— Jak tak dalej pójdzie, umrzemy z pragnienia dziesięć lat przed tym, jak zobaczymy zachodni kontynent — zauważyłem.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym zielona równina wydawała się ciut bardziej urozmaicona: pojawiły się łagodne wzgórza i doliny (malutkie, w sam raz dla dzieci), gdzieś wyrastały nieśmiało krzewy i drzewa. Zacumowałem tak jak poprzednio, ale kiedy tym razem poszedłem się rozejrzeć, wziąłem Babbiego ze sobą.

Nie rozumiałem, jak wyspa, na której jest tak zielono, może być tak kompletnie pusta. Szybko się przekonałem, czym w istocie jest jaskrawozielony dywan, po którym chodzimy: oderwałem kawałek i podniosłem do ust. W ręce trzymałem mały strzępek, który z bliska w niczym nie przypominał

rozległej, elastycznej materii pod naszymi nogami. Rozpoznałem zielone paskudztwo, które nieraz po sztormie znajdowałem wyrzucone na brzeg, zbyt słone dla bydła, niestrawne nawet dla kóz i innych zwierząt.

Mimo to tak rozległa zielona przestrzeń pozbawiona życia wydawała mi się marnotrawstwem. Pah, który zbudował „Whorl”, lepiej by to obmyślił. Nie wiedziałem jeszcze, że niebawem spotkam jedno z bóstw Błękitu, whorla, który nazywamy „naszym”, chociaż istnieje od wieków, a my zajmujemy go od niespełna jednego pokolenia.

Ponad godzinę maszerowaliśmy w głąb lądu i byłem już gotów zawołać Babbiego i zawrócić (hus truchtał przodem, chwilami tak daleko ode mnie, że traciłam go z oczu), gdy w zagłębieniu między dwoma pagórkami mignęła mi woda.

W pierwszej chwili pomyślałem, że dotarłem na drugą stronę wyspy, ale kiedy się zbliżyłem, dostrzegłem, że wzgórze ciągnęło się także dalej, za srebrzystą taflą. Miałem przed sobą malutkie Jeziorko wypełnione deszczówką, niewiele różniące się od jezior w tutejszych górach czy wśród wzgórz w okolicach Nowego Vironu, w głębi lądu. Przyspieszyłem kroku; miałem nadzieję, że woda będzie się nadawała do picia.

Zanim jednak dotarłem nad brzeg, wiedziałem już, że się myliłem: Babbie zanurzył pysk w wodzie i natychmiast otrząsnął się z obrzydzeniem. Postanowiłem jednak sam jej spróbować i szedłem dalej, żywiąc niejasne przekonanie, że ludzie są bardziej niż husy odporni na zawartą w wodzie sól — a nawet jeśli nie, to na pewno mnie bardziej chciało się pić niż Babbiemu. Zdrowy rozsądek powinien był kazać mi zawrócić; gdybym go posłuchał, z pewnością straciłbym husa na zawsze. A tak obaj znaleźliśmy się o krok od śmierci.

Kiedy schyliłem się, żeby nabrać wody, moją uwagę zwrócił jakiś ruch w głębinie — wyglądało na to, że wielki kawał zielonego podłoża oderwał się od niego i falując, opadał na dno. Nabrałem wody w dłoń i uniosłem ją do ust, zanim zdałem sobie sprawę, że falujący kształt pędzi w moją stronę.

Nie wiem, czy krzyknąłem coś do Babbiego; nie jestem pewien. Wiem na pewno, że cofnąłem się pospiesznie, ściągnąłem z ramienia strzelbę i odciągnąłem zamek, żeby wsunąć nabój do komory.

Stwór wyskoczył z wody i prawie frunął w naszą stronę. Kiedy strzeliłem, zwiotczał i opadł na płyciznę. Zostało mi po nim wspomnienie czegoś olbrzymiego, płaskiego, czarno-białego, z wytrzeszczonymi żółtymi ślepiami.

Babbie był przerażony: najeżył się cały i zgarbił, przez co upodobił się do kolczastej beczułki albo dużego kasztana. Zawsze poruszał się szybko, teraz jednak jego krok bardziej przypominał taniec; bez przerwy zgrzytał szablami. Odsuwał się w panice od brzegu, aż jego podrygujący nerwowo ogon zaczął się ocierać o moje kolana, ale uparcie stawał między mną i stworem, który nas obu przestraszył. Ja też potwornie się bałem i mimo że wmawiałem sobie, że jestem mniej przerażony od husa, to on próbował mnie bronić, a nie ja jego.

Kiedy ruszyliśmy z powrotem, chyba ze sto razy oglądałem się przez ramię, ale nic nie zobaczyłem. Znalazłszy się na grzbiecie pagórka, który miał nam na dobre zasłonić jezioro, zatrzymałem się i rozejrzałem dookoła. Wstrząsająco żywe wspomnienie tego, co zobaczyłem, miało mnie prześladować nawet po śmierci.

Olbrzymi stwór o płaskim cielsku, którego trafiłem i — jak już zdążyłem sobie wmówić — z pewnością zabiłem, wynurzał

się właśnie z płytkiej wody. Najpierw wolno i ostrożnie wychylił się ponad powierzchnię, a potem równie powoli zniknął. Chwilę później na dobre wylazł z wody i zaczął biec po zielonej równinie, podpierając się skórzastymi łapami, w czym przypominał trochę nietoperza. Ale przemieszczał się bardzo szybko. Miał czarny grzbiet i biały brzuch, był-jak już wspomniałem-dziwnie płaski i większy niż dywan w sali audiencyjnej pałacu calde. Strzeliłem do niego, kiedy pędził w naszą stronę. Zdążyłem jeszcze przeładować strzelbę, zanim powalił mnie na ziemię. Skrzydła, którymi mnie otulił, miały powierzchnię szorstką niczym pilnik i trzepotały jak chorągwie na wietrze, kiedy przysuwał mnie sobie nimi do rozdziawionej białowargiej paszczy.

Uratował mnie Babbie, który rzucił się na olbrzymią płastugę (czy cokolwiek to było) i rozszarpał jej skrzydło. Udało mi się dzięki temu uwolnić rękę i wyjąć nóż Ścięgna. Zacząłem nim dźgać potwora raz po raz, aż cały spłynął krwią.

Chciałbym móc napisać, że w ten sposób — nożem Ścięgna — zabiłem płastugę, ale prawdę mówiąc nie wiem, czy tak właśnie było. Kula ze strzelby potrafi położyć trupem konia albo czteroroga (co widziałem na własne oczy); kiedy później zbadaliśmy truchło, stwierdziłem, że oba pociski trafiły bestię tuż przy łbie i z pewnością zadały jej poważne obrażenia, chociaż pierwszy najwyraźniej jej nie zniechęcił, skoro, otrząsnąwszy się z szoku, rzuciła się za nami w pogoń.

Nie można jednak lekceważyć wkładu Babbiego. Rany, które zadał płastudze przez te pięć czy dziesięć sekund, wystarczyłyby do zabicia pięciu czy sześciu dorosłych ludzi.

Mimo to w głębi serca wierzę, że to właśnie długi nóż myśliwski Ścięgna, którym dźgałem na oślepie, trafił za którymś

razem w czuły punkt. Powtarzam: wierzę, że tak się stało, ale pewności mieć nie mogę.

Obejrzałem później także sam nóż. Ostrze stępiło się trochę przy dbaniu drewna, ale wcale nie tak bardzo, jak się tego obawiałem. Do tej pory nie miałem chyba okazji, żeby dokładnie go opisać, uczynię więc to teraz. Miał klingę na dwa palce szeroką, długą na dłoń i dwa palce, grubą i mocną u nasady. Nie był obusieczny jak sztylet, lecz jednosieczny, jak nóż myśliwski, przeznaczony do oprawiania zwierzyny i dzielenia mięsa. Kowal z Nowego Vironu wykuł go (ostrze i klingę) z jednego kawałka stali, według rysunku, który przedstawił mu Ścięgno. Jestem przekonany, że Hefajstos — jeden z pomniejszych bogów, którego w Starym Vironie uważaliśmy za patrona wszystkich, którzy mają w pracy do czynienia z ogniem — w niewidzialnej postaci czuwał nad Krakwą, kiedy ten wykuwał nóż. Słyszałem o lepszych klingach, ale sam nigdy takiej nie widziałem.

Nieźle się dzisiaj wystraszyłem. Miałem w świątyni złożyć słońca w ofierze — na polecenie kapłanów, którzy uważają chyba, że duże i cenne zwierzę zapewni lepszą wróżbę niż nędzna owca czy koza. Widząc mnie ze świętym mieczem w dłoni, słoń chyba zorientował się, co się święci, i wyrwał się zapłakanemu treserowi. Trąbił rozdzierająco i wywijał trąbami jak muskularnymi biczami. Zaszarżował na mnie, ja zaś stałem nieruchomo jak posąg, wiedząc, że jeśli się ruszę, zginę. Powalił mnie i narobił znacznych szkód, zanim zdołano go okiełznać.

Wierni podziwiali moją nadludzką odwagę, ja zaś, kiedy byłem już sam, rozplakałem się i zacząłem dygotać jak dziecko.

Skończyłem na tym, jak zabiłem diabelską rybę. Może zareagowałbym inaczej, gdyby był ze mną jeszcze jakiś człowiek, ale ręce tak mi się trzęsły, że ledwie włożyłem do pochwy nóż Ścięgna. Lubimy sobie wyobrazać (ja w każdym razie lubię), że możemy polegać na naszych rękach i nogach, i w takich chwilach mamy okazję się przekonać, jak bardzo się myliliśmy. Ręce mi dygotały, kolana uginały się pode mną, bałem się, że nie powstrzymam łez, które na mojej twarzy mieszają się z krwią diabelskiej ryby. Próbowałem zażartować do Babbiego, wyśmiać przygodę, która się nam przydarzyła, ale tylko zaszczękałem rozpaczliwie zębami. Babbie pomyślał, że jestem wściekły, i odsunął się na bezpieczną odległość. Zachowywał dystans i cały czas miał mnie na oku.

Najrozsądniej byłoby wrócić nad jeziorko i obmyć się z krwi, ale ta myśl napełniała mnie przerażeniem. Pomyślałem, że mogę opłukać się w morzu. Dlatego też byłem cały we krwi, kiedy wróciliśmy do łodzi i zastaliśmy Algę na pokładzie. Musiała być naprawdę odważna, skoro na nasz widok nie wskoczyła z krzykiem do wody. Jeśli zaś chodzi o mnie, byłem gotów uwierzyć, że mój umysł nie wytrzymał przerażenia i nadmiaru emocji związanych z walką. Żeby zrozumieć moją reakcję na jej widok — była całkiem naga poza złotą biżuterią i sięgającym do pasa trenem z włosów (miejscami złotych, ale gdzieś tam także zielonych) — trzeba sobie najpierw wyobrazić tygodnie spędzone na otwartym morzu i kilkugodzinną wędrówkę po zielonej równinie, po których miałem wrażenie, że w całym whorlu nie ma poza mną i Babbie żadnej żywej istoty.

6

Alga

Przyjechali dziś do nas posłowie z dalekiego miasta, które nazywa się Skany, a przynajmniej ja tak zrozumiałem jego nazwę. Posłowie to trzech mężczyźni o siwiejących brodach, dostojni i poważni, choć nie pozbawieni poczucia humoru. Dosiadają mułów, a towarzyszy im ze trzydziestu, może czterdziestu pieszych, zbrojnych służących. Kiedy usłyszeli, że Jedwab „rządzi Gaonem”, przybyli prosić, bym objął władzę także w Skany.

Wyjaśniłem im, że wcale tu nie rządę (zgodnie z prawdą jestem tylko doradcą mieszkańców Gaonu) i że w żadnym razie nie wziąłbym na siebie jednoczesnej odpowiedzialności za los dwóch tak odległych miast.

Wtedy przedstawili mi kilka spraw, które, jak mówią, wynikły w ostatnim roku i sprawiły im w Skany kłopot. Poprosili, bym je rozważył i wydał werdykty, a następnie wyjaśnił, czym się kierowałem.

W jednej ze spraw obie strony mogą mieć rację. Nie umiałbym jej rozstrzygnąć, nie przesłuchawszy zarówno przedstawicieli stron, jak i świadków. Takiej też udzieliłem odpowiedzi.

Zaraz opiszę tę sprawę.

Mieszkańcy Skany zdołali opuścić whorl długiego słońca tylko dzięki pewnemu zamożnemu obywatelowi miasta, który dostarczył kilkaset kart i innych cennych części, co pozwoliło uruchomić lądownik. Zrobił to pod warunkiem, że na miejscu otrzyma spory, wybrany przez siebie kawałek ziemi. Jego wielkość została z góry ustalona. (Podejrzewam, że ów dobroczyńca był jednym z trzech posłów, którzy do nas przybyli, chociaż nie dali mi tego do zrozumienia). Obie strony dotrzymały umowy.

Człowiek ten chce teraz poślubić młodą kobietę — swoją dawną służącą, która właściwie dopiero co wyrosła z wieku podlotka. Narzeczona (tak będę ją nazywał) nie ma żadnych obiekcji. Kłopot w tym, że pewna biedaczka twierdzi, iż jest jej matką, w związku z czym należą się jej pieniądze za oddanie córki przyszłemu mężowi. Narzeczona stanowczo temu zaprzecza; twierdzi, że jej ojciec został we whorlu długiego słońca, matka zaś (której imię podała) zmarła na pokładzie lądownika. Powinienem w tym miejscu zaznaczyć, że zgodnie ze zwyczajami tych ludzi pan młody wykupuje pannę młodą od jej rodziców, o ile panna młoda nie jest sierotą, wtedy bowiem pieniądze należą się jej osobiście. Innymi słowy — cała kwota wykupnego staje się jej własnością.

Na myśl o niej w mojej pamięci ożywa obraz Algi i jej biżuterii, chociaż pod pewnymi względami jej sytuacja wyglądała dokładnie odwrotnie. Ponieważ i tak chciałem o niej dzisiaj więcej napisać, podobieństwa i różnice wkrótce staną się oczywiste.

Miała, jak już mówiłem, długie, bladozłote włosy, gdzieniegdzie przetykane delikatną zielenią mikroskopijnych alg, które znalazły w nich schronienie. Kusi mnie, żeby napisać,

że to właśnie te włosy kazały mi nadać jej takie imię, ale skłamałbym. Jej Prawdziwe imię nie pochodziło ze wspólnej mowy i nie potrafiłem go nawet powtórzyć, „Alga” brzmiało zaś wystarczająco Podobnie do oryginału i świetnie do niej pasowało.

Miała piękną twarz o wyrazistych, egzotycznych rysach. Pisząc o jej „egzotyce”, mam na myśli to, że nigdy wcześniej nie widziałem osoby o tak ostro zarysowanym podbródku, wydatnych ościach policzkowych i skośnych oczach. Skórę miała białą jak piana, przez co jej usta zdawały się wprost płonąć szkarłatem, a oczy sprawiały wrażenie ciemniejszych niż mroki nocy. Najpierw rzuciła mi się w oczy jej nagość (chyba każdy mężczyzna zareagowałby podobnie na jej widok), później zauważyłem długie nogi i kobiece kształty, a na samym końcu złoto, którym była przyozdobiona. Dopiero kiedy puściła baksztag i pomachała do mnie — nieśmiało i ostrożnie, lewą ręką — zorientowałem się, że prawe ramię ma obcięte tuż poniżej barku.

— Cześć — wyszeptała. — Cześć.

Jedno z najpospolitszych słów, jakie znam. Pamiętam, że kiedy byłem mały, maytere Marmur naśmiewała się z ludzi, którzy go używali. Twierdziła, że ludzi powinno się witać imieniem patrona dnia, który akurat mieliśmy. A jeśli miałyby to nas zawstydzić, należało powiedzieć „dzień dobry” albo „dobry wieczór”.

Nigdy jednak nie zapomnę widoku Algi, stojącej na moim słupie, ani tego, jak do mnie pomachała (szybko przekonałem się, że boi się Babbiego), ani cudownej melodii jej szeptu: — Cześć.

Jeśli chodzi o moją odpowiedź, mogła brzmieć „dobry wieczór”, albo „cześć”, albo „myślisz, że spadnie śnieg?” — wybierz sobie dowolną bzdurę, Czytelniku. Osobiście przypuszczam, że z wrażenia zwyczajnie zapomniałem języka w gębie.

— Jestem jedną z was — oznajmiła z powagą.

Pomyślałem, że ma na myśli załogę naszej łodzi. Chciałem jakoś wyrazić swoją wdzięczność, napomknąć o tym, że każda pomoc się przyda, a przy tym nie wspominać o jej brakującej ręce. Rybacy mają takie powiedzenie: „Jedna ręka dla ciebie, druga dla łodzi”. Chodzi o to, że na wzburzonym morzu człowiek jedną ręką pracuje, a drugą trzyma się takielunku. Nie mogłem pozbyć się idiotycznego skojarzenia, że Alga nie mogłaby tego zrobić.

— Podobam ci się?

Zapytała tak szczerze, z tak dziecięcym namaszczeniem w głosie, że mogłem udzielić tylko jednej odpowiedzi: — Tak. Bardzo mi się podobasz.

Uśmiechnęła się. Jej uśmiech przypominał uśmiech dziecka; sprawiał, że w jej twarzy dostrzegłem kobietę, którą w przyszłości miała się stać i którą zawsze była, kobietę, którą odnajduję we wszystkich kobietach, a nawet w Kypris, Thelxiepei i Echidnie. Nie znam jej prawdziwego imienia. „Alga” najlepiej do niej pasuje.

Stojąc w miejscu, gdzie gładki zielony grunt zagłębia! się w wodzie — nie miałem wątpliwości, że dziewczyna jest wystraszona — zapytałem, skąd się wzięła. Wskazała za burtę.

— Dobrze — odparłem. — Widzę, że przyплыnęłaś, ale skąd? Z jakiejś innej łodzi?

— Z dołu. Chcesz, żebym ci pokazała?

Zapytała z takim zapalem, że odruchowo przytaknałem, a wtedy zanurkowała — nie stanęła przy tym na burcie, jak ja bym to zrobił, lecz płynnym ruchem przeskoczyła ponad nadburciem.

Weszliśmy z Babbie na pokład. Spodziewałem się zobaczyć ją w wodzie, ale nigdzie nie było jej widać, chociaż przez dobre dziesięć minut chodziłem od burty do burty i od dziobu do rufy i jej wypatrywałem. Zniknęła bez śladu.

Wreszcie moją uwagę zwróciło moje odbicie, które do tej pory starałem się ignorować: cały byłem pokryty krwią, która utworzyła zakrzepłą, spękaną skorupę. Przypomniałem sobie, że po powrocie na łódź miałem się umyć.

Zaczynałem wątpić, czy jestem przy zdrowych zmysłach. Przyszło mi do głowy, że zatruełem się krwią płastugi albo kawałkiem jej mięsa (kiedy wycinałem kawałek dla Babbiego). Wypytałem husa i po jego reakcjach poznałem, że wzrok mnie nie zwodził: młoda, jednoręka kobieta naprawdę czekała na nas na słupie, naprawdę z nią rozmawiałem, a ona naprawdę miała złotą, wysadzaną klejnotami biżuterię i cieniutki złoty łańcuszek wokół talii.

— I czerwone kolczyki — dodałem. — Albo różowe. Mignęły mi we włosach. Wyglądały jak zrobione z koralu.

Po minie Babbiego widziałem, co sobie myśli: „Nie wiem, jak ty, ale ja niczego podobnego nie zauważyłem”.

— Mogła być o rok czy dwa lata starsza od Skóry i Racicy — ciągnąłem. — Krągła, zgrabna, ale i umięśniona. To było widać, jak skoczyła do wody. Poza tym...

Nagle uderzyło mnie, jakie bzdury wygaduję. Umilkłem więc, zzułem buty, ściągnąłem skarpety, wskoczyłem do wody, umyłem się i wyprałem ubranie.

Rozłożyłem rzeczy na fordeku, żeby wyschły.

— Pamiętasz śpiew, który słyszeliśmy? To ona śpiewała. Na pewno. Jest równie piękna, jak rzeczywista.

Babbie przyglądał mi się chwilę potulnie, a potem przemknął na swoje miejsce na dziobie.

Ogoliłem się i rozczesałem swoje nędzne resztki włosów, włożyłem świeżą bieliznę, tunikę i najelegantsze spodnie. Dobrze wiedziałem, że rzeczy wyprane w morskiej wodzie będą lepkie i sztywne, dopóki nie spadnie deszcz, w którym mógłbym je wypłukać. Było duszno i bezwietrznie, miałem więc nadzieję, że popada. Przygotowałem się na tę ewentualność: wybrałem całą wodę z zęzy i wystawiłem na pokład wszystkie nieliczne naczynia, do których mógłbym nałapać deszczówki.

Nie miałem nic więcej do roboty. Ani na zielonej równinie, która zdawała się falować łagodnie jak morze, ani na samym morzu nic nie przyciągało mojej uwagi. Odtworzyłem w myślach krótkie spotkanie z Algą (choć jeszcze jej tak nie nazwałem). Zastanawiałem się, czy gdyby nasza rozmowa potoczyła się inaczej, udałoby mi się ją namówić do pozostania na słupie.

Bo chciałem, żeby ze mną została. Bardzo tego chciałem. Uświadomiłem sobie to przy goleniu. Nie chodziło o samo pożądanie (choć który mężczyzna nie pożądałby nagiej, pięknej kobiety?); nie chodziło też o jej złoto — prędzej sam obciąłbym sobie rękę, niż ją okradł. Nie, byłem absolutnie przekonany, że potrzebowała mojej pomocy. Ja zaś z radością bym jej pomógł, zamiast tego jednak spłoszyłem ją i zmusiłem do powrotu tam, skąd uciekła.

Marynarze z czarnego statku z pewnością obrabowaliby mnie przy pierwszej dogodnej okazji; pewnie nie zawahaliby

się mnie zabić. Nie zabiliby jednak młodej, atrakcyjnej kobiety — chyba że zupełnie nie znam się na bandytach. Zmusiliby ją, żeby do nich przystała, tak jak bez wątpienia zmusili kobietę, którą zastrzeliłem, i pozostałe. Zabrali Aldze ubranie, żeby nie uciekła (tak to sobie wyobrażałem), ona jednak najwyraźniej im się wymknęła i, nie mogąc znaleźć normalnego odzienia, założyła na siebie ozdoby pochodzące z ich łupu. Albo tak właśnie było, albo zwyczajnie zwariowałem.

Powiedziała, Jestem jedną z was". Powinienem był wtedy ją powitać. Żałowałem okrutnie, że tego nie zrobiłem. Zapytałem za to o łódź, z której przyплыnęła, na co ona odparła, że przybyła z dołu.

Wyglądało na to, że jej łódź po dotarciu na wyspę zatoneła, a Alga, czekając na nas, nurkowała, żeby obejrzeć wrak. Kiedy powiedziałem, że chciałbym ją zobaczyć, uznała za oczywiste, że za nią popłynę i zanurkowała. Nie wiedziałem jednak, dlaczego ponownie się nie wynurzyła.

Przypomniałem sobie olbrzymią płastugę i serce podeszło mi do gardła. Potwór mieszkał wprawdzie w stawie, ale staw musiał mieć jakieś połączenie z morzem: woda w nim była za słona do picia, a poza tym nie wyżywiłby na dłuższą metę monstrum, które widzieliśmy.

Założyłem przynęty na kilka haczyków, umocowałem je do spławików i powywieszałem za burty. Po mniej więcej godzinie błógiego lenistwa złapałem w ten sposób kilka całkiem sporych ryb. Oprawiłem je tym samym nożem, którym zabiłem olbrzymią płastugę. Z odrobiny suchego drewna, która nam została, rozpałiłem w skrzyni z piaskiem małe ognisko, obtoczyłem filety w mące kukurydzianej i usmażyłem pierwszy z nich na małej patelni z długą rączką.

— Zjesz go?

Nie wypuściłem patelni z ręki, ale musiałem ją przekręcić tak bardzo, że filec zsunął się w płomień.

— Wróciłaś!

Omali nie skręciłem sobie karku, próbując się do niej odwrócić. Wstałem i chyba właśnie wtedy ryba spadła w ogień.

— Kazała mi.

Alga nie weszła na pokład słuca, chwyciła za nadburcie i podciągnęła na tyle, żeby ponad nim zerknąć na pokład. Jej melodyjny głos obudził Babbiego, a ja znów zauważyłem, że panicznie się go boi. Zapewniłem ją, że hus nie robi jej krzywdy, jemu zaś powiedziałem z naciskiem, żeby nie ważył się jej skrzywdzić ani Przestraszyć.

— Mogłabym...

— O co ci chodzi? — spytałem. — Możesz zrobić, co tylko chcesz. Chętnie ci pomogę, jeśli tylko mi pozwolisz.

— Mogłabym dostać kawałek?

Wziąłem do ręki jeden z pozostałych filetów.

— Taki może być?

Skinęła głową.

— Oczywiście. Jeśli chcesz, usmażę ci go. — Spojrzałem na patelnię i zorientowałem się, że porcja, którą szykowałem dla siebie, właśnie się zwęgliła. — Chociaż nie jestem w tym najlepszy — przyznałem.

Oblizwała się, patrząc na kawałek, który trzymałem w ręce. Na jej twarzy malował się ogromny żal.

— Chcesz? Wiem, że niektórzy ludzie lubią surową rybę.

— Nie dawaj jej — usłyszałem jakiś obcy głos. Miałem wrażenie, że słowa dobiegają wprost z morza.

Nad wodą pojawił się czubek czyjejś głowy, a potem, bez najmniejszego wysiłku, powoli i dostojnie wynurzyła się cała postać; woda sięgała jej zaledwie do pasa. Nigdy nie zapomnę tego widoku; oczyma wyobraźni widzę go po dziś dzień, nie mniej wyraźnie niż twarz Kypris w szkle na statku powietrznym generał Saby. Ociekająca wodą kobieta w pulsującej czerwieni szacie z kapturem była co najmniej trzy razy wyższa ode mnie, a za jej plecami zachodziło słońce.

Uklęknąłem i pochyliłem głowę.

— Pomóż mojej córce wejść na pokład.

Zrobiłem, co mi kazała, chociaż Alga nie potrzebowała bynajmniej mojej pomocy.

— Przyrządź tę rybę tak, jakbyś smażył ją dla siebie. Kiedy będzie gotowa, daj ją jej.

— Tak uczynię, o bogini.

Bogini (byłem i nadal jestem całkowicie pewien, że to była jedna z bogiń Zaginionego Ludu zamieszkującego Błękit) zwróciła się do Algi po imieniu: — Musisz odejść do swoich. Twój czas ze mną dobiegł końca.

Alga potulnie skinęła głową.

— Nie wracaj. Gdyby chodziło tylko o mnie, kazałabym ci zostać, ale dla twojego dobra będzie lepiej, gdy odejdziesz.

— Rozumiem, Matko.

— Ten człowiek może cię skrzywdzić.

Przyrzekłem, że nic złego jej nie zrobię.

— Jeżeli tak się stanie, musisz to znieść jak na kobietę przystało. Jeżeli ty go skrzywdzisz, też będzie musiał z tym żyć.

— Po tych słowach bogini powiedziała do mnie: — Nie pozwól jej jeść surowych ryb ani ich łapać ręką. Nie pozwól jej robić nic, czego nie robią wasze kobiety.

Obiecałem, że tego dopilnuję.

— Chronić ją przed swoim zwierzakiem, tak jakbyś chronił jedną z waszych kobiet. — Na odchodnym jeszcze raz zwróciła się do Algi: — Przestałam dla ciebie istnieć. Jesteś z nim sama.

Zapadła się pod wodę o wiele szybciej, niż przedtem się wynurzyła. Pod powierzchnią dostrzegłem — tak mi się w każdym razie zdawało — jakiś olbrzymi, ciemny kształt, na którym stała.

Kiedy jakiś czas potem doszedłem do siebie, Alga zapytała: — Skrzywdzisz mnie?

— Nie — odparłem. — Nigdy cię nie skrzywdzę. — Skłamałem, chociaż wtedy mówiłem całkowicie szczerze.

Babbie chrząknął głośno ze swojej kryjówki na dziobie. Jestem pewien, że przyłączał się do mojej obietnicy, ale i tak tylko wystraszył dziewczynę.

Przykucnąłem, obtoczyłem kawałek ryby w mące, wrzuciłem go na patelnię i zacząłem obsmażać.

— Babbie nic ci nie robi — zapewniłem Algę. — Zaraz usmażę filet dla niego, a na końcu dla siebie. Zjemy razem.

Hus ostrożnie skradał się do ogniska.

— Babbie, nie wolno ci zrobić krzywdy...

Kiedy próbowałem wymówić imię, którego użyła bogini, dziewczyna zaśmiała się niepewnie.

— Nie powtórzę go — przyznałem. — Mogę cię nazywać Algą?

Pokiwała głową.

— To jest Babbie, dzielny mały hus. Będzie cię chronił. Ja zresztą też. Mam na imię Róg.

Odpowiedziała kolejnym skinieniem głowy.

Przyszła mi na myśl srebrna biżuteria, którą dostałem od Szpika na handel.

— Chyba lubisz pierścionki i naszyjniki — stwierdziłem. — Mam trochę błyskotek, choć nie tak pięknych jak twoje skarby. Chciałabyś je zobaczyć? Mogłabyś z nich wybrać coś, co ci się spodoba.

— Nie — odparła. — Tobie.

— Chcesz powiedzieć, że to mnie podoba się biżuteria?

Podrzuciłem i obróciłem rybę na patelni. Alga się roześmiała.

— Wiem, że tak. Matka tak mówi. Dała mi to wszystko, żebyś mnie polubił.

Zdjęła naszyjnik i podała mi go, pospieszyłem więc z zapewnieniem, że bardziej podoba mi się ona sama niż jej klejnoty. Koniec końców schowaliśmy jej złoto do skrzynki z moim srebrem, ja zaś dałem jej ozdobny grzebień. Zrobiłem też dla niej na poczekaniu coś na kształt spódnicy: owinąłem ją w pasie kawałkiem żaglowego płótna i spiąłem go srebrną zapinką.

Wieczorem, kiedy wpatrzeni w smukły słup dymu podziwialiśmy tańczące w powietrzu iskry, strzelające z zielonego drewna, położyła sobie na kolanach głowę Babbiego. Sam nigdy wcześniej o tym nie pomyślałem. Głaskała go lewą ręką, ja zaś zauważyłem zakrzepłą krew wśród strzępów skóry u nasady prawego, oderwanego ramienia. Zrozumiałem, dlaczego tak się boi Babbiego. Wiedziałem już, czyja krew splamiła fordek.

— To nie ty dla nas śpiewałaś — stwierdziłem. — To była bogini. Z początku myślałem, że to ty, ale teraz, kiedy słyszałem, jak mówi, przypominałem sobie tamten głos.

— Chciała, żebyś mnie polubił.

— Rozumiem. Dlatego dała ci złoto. Chciała, żebyś znalazła sobie nowy dom. Takie są matki.

Pokręciła głową, ale ja wiedziałem swoje.

Podejrzewam, że podobnie rzecz się ma ze sprawą, z którą przybyli do mnie posłowie ze Skany. Biologiczna matka narzeczonej zmarła po odlocie lądownika z „Whorla”. Nieszczęsna kobieta, która teraz się za jej matkę podawała, adoptowała dziewczynkę, a w każdym razie uznała ją za swoją przybraną córkę — Kiedy zaś córka dorosła, matka znalazła jej nowy dom — u boku dobrze sytuowanego, szanowanego mężczyzny. Żadna z nich nie kłamała i aby rozstrzygnąć sprawę, należałoby sprawdzić, czy rzeczywiście doszło do adopcji. Czy matka próbowała zarejestrować ten fakt w jakimś urzędzie? Czy jej rodzone dzieci (o ile w ogóle je miała) uważają świeżo upieczoną narzeczoną za siostrę? Czy biedaczka zawsze nazywała ją swoją córką? I tak dalej.

Sytuacja Algi była o tyle inna, że dziewczyna uważała boginię za swoją matkę — i to chyba w znacznie większym stopniu, niż bogini uważała ją za córkę. Przyjmując złoto, przyjąłem Algę. Bizuteria była jej wianem, natomiast bogini swoim śpiewem rzuciła na nas urok (używam tego słowa dość swobodnie, przyznaję), żeby nasze serca zmiękły i żebyśmy łaskawiej potraktowali Algę, kiedy do nas wróci.

Czy jej się udało? Wydaje mi się, że bez zabiegów bogini i tak ucieszyłbym się na widok Algi, ale czy mogę mieć pewność? Zdawałem sobie sprawę, że w pewnym sensie zdradzam Pokrzywę. Co jednak miałem zrobić? Zostawić okaleczoną, samotną kobietę na środku morza?

Bała się tej nocy. Cierpiała katusze po niedawnej stracie ręki. Odwróciła się do mnie plecami, a ja ją objąłem. Zasnęliśmy i przez te kilka godzin, w ciągu których udało się nam zdrzemnąć, spaliśmy przytuleni.

Zbyt często ograniczałem się do pobieżnego przejrzenia ostatnio zapisanego fragmentu przed podjęciem narracji w miejscu, w którym przerwałem ją dzień wcześniej. Albo tydzień wcześniej, bo i tak bywało. Dziś przeczytałem wszystko, co napisałem dotąd o Aldze. Aż mnie skręciło, tak boleśnie uświadomiłem sobie rozmiary mojej porażki. Zacznę od początku.

Jak już wspomniałem, Alga czekała na nas na słupie. Kiedy jako chłopiec w Vironie usłyszałem od Acalyphy, jak bez ubrania błąkała się po tunelach, marzyłem o tym, żeby ujrzeć ją nagą. Była mocno zbudowaną, muskularną kobietą, co staraliśmy się z Pokrzywą wyraźnie przekazać w naszej książce: miała szerokie ramiona, mocno wciętą talię, krągłe biodra i duże, pełne piersi. Nigdy przedtem nie widziałem jeszcze nagiej kobiety — nawet Pokrzywy, chociaż zdarzało mi się pieścić jej piersi.

Kiedy zobaczyłem Algę, poczułem się znów jak chłopiec, cały rozdygotany w obliczu niewidzianego cudu. Może to pieśń bogini morza tak na mnie wpłynęła, ale raczej w to wątpię. Jeżeli w całej tej scenie była jakaś magia, to tylko zaklęta w ciele Algi, smukłym i łagodnie zaokrąglonym, w jej twarzy i — przede wszystkim — spojrzeniu. Była kobietą, ale nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy. Zostawiła dzieciństwo za sobą, ale

wciąż zachowała to, co w dzieciach najpiękniejsze. Oglądając ją oczami chłopca, którym kiedyś byłem, oddałbym wszystko za jej miłość. A zarazem byłem całkowicie przekonany, że nigdy mnie nie pokocha.

Wkrótce potem ujrzałem boginię Zaginionego Ludu, patronkę mórz. Może była to Scylla w innej postaci? Jedwab zdradził mi kiedyś, że Kypris zmienia się w jedno z wcieleń Zewnętrznego, który pod wieloma postaciami, głosami tłumu, przemówił do niego w tamto pamiętne popołudnie na boisku.

Nie mogę się otrząsnąć z natrętnego skojarzenia z Quadrifonsem, bogiem Oliwinu, bóstwem o czterech obliczach. Czy to możliwe, żeby i on był wcieleniem Zewnętrznego? Kiedy pomyślę o Oliwinie i o tym, jakie życie wiodła jako duch w pałacu calde, nie sądzę, aby tak było. A jeśli Quadrifons (którego symbol — skrzyżowanie dróg — mógł się z czasem stać przypisanym Pahowi znakiem dodawania) był nikiem innym jak po prostu Zewnętrznym, w co teraz nie wątpię, to czemu Matka nie miałyby być Scyllą?

Może była.

Ja w to jednak nie wierzę. Jak to się mówi, każde miasto ma swojego szewca. Nawet jeśli używają takich samych narzędzi, wykonują zbliżoną pracę i są do siebie podobni, wciąż są dwiema różnymi osobami.

To, o czym teraz napiszę, to tylko moje przemyślenia.

W przeciwieństwie do mieszkańców Starego Vironu Sąsiedzi mieszkali nad morzem. Mieli więc jego patronkę, która mogła być w ogóle boginią wody, tak jak u nas Scylla. Nie wiem, czy to prawda, ale nie można tego wykluczyć.

Być może wszyscy bogowie i boginie mają ogromne rozmiary — Echidna z pewnością była olbrzymia, kiedy widziałem ją w naszym świętym oknie. Nasi bogowie, bogowie Starego Vironu, mieszkali w Centralnym Procesorze. Widziałem go. Nie ja jeden zresztą, widziała go również Pokrzywa i wielu innych. Nawet ta jego widoczna część jest olbrzymia, a słyszałem, że i tak większość Centralnego Procesora znajduje się pod ziemią. Może bogowie dlatego byli wśród nas obecni tylko poprzez oświecenia i opętania, że są za duzi, żeby zstąpić na świat osobiście. Nawet mali bogowie, których teraz nam zsyłają, są zwykle ogromni. Człowiek może polubić owady, to się zdarza. Może dawać im prezenty — podsuwać okruszki zlepione miodem i inne smakołyki, czemu nie. Ale kiedy idzie na spacer, nie zabierze ze sobą swoich ulubionych insektów, bo jest dla nich za duży.

Przypuszczam, że podobnie jest z Matką. Mieszka w morzu, a Alga opowiadała o tym, jak chowała się w jej ciele, jakby ukrywała się w Wielkim Manteionie, w pałacu czy innym dużym budynku. Może ci, którzy oddają jej cześć, wrzucali swe ofiary do morza, zamiast je palić (nie wiem, czy tak było w istocie; to tylko domysły). Wydaje mi się jednak pewne, że jej wyznawcy należeli do Zaginionego Ludu, którego nie nazywałem jeszcze wtedy Sąsiadami. Równie pewne jest, że odeszli z Błękitu, chociaż nie do końca.

Matka czeka.

Nie wiem na co. Może na powrót wiernych? A może na to, byśmy stali się jej nowymi czcicielami?

A może po prostu na śmierć. Podejrzewam, że przybrała dla nich postać kobiety z Zaginionego Ludu. Chciała, żeby ją pokochali. Teraz zjawiliśmy się my i dla mnie przybrała postać

kobiety z mojej rasy — kobiety, przy której Acalypha wyglądałaby jak dziecko. Przemówiła do mnie; śpiewała dla mnie. A w głębi swej istoty pozostała prastarą boginią morza, ani człowiekiem, ani kobietą z Zaginionego Ludu, którego przedstawicieli miałem jeszcze poznać.

Miałem kiedyś zabawkę, drewnianą lalkę: mężczyznę w niebieskim płaszczu, poruszanego za pomocą sznurków. Kiedy się nim bawiłem, kazałem mu chodzić, kłaniać się i mówiłem za niego. Ćwiczyłem długo i uznałem się za mistrza w tej sztuce. Pewnego dnia zobaczyłem, jak moja matka porusza patyczkami, z których zwisały jego sznurki. Drewniany człowieczek kłaniał się mojej młodszej siostrze o wiele zgrabniej niż w moich rękach. Patrzyłem, jak, śmiejąc się, odrzuca głowę w tył, i jak płacze z twarzą ukrytą w dłoniach. Nigdy nie rozmawiałem o tym z matką, ale byłem wtedy zły i upokorzony.

Od ostatniego zapisu upłynęło sporo czasu, chociaż nie wiem dokładnie ile. Przystąpiłem na prośbę posłów, udałem się do Skany i spędziłem tam większą część lata. Teraz zaś wróciłem do pięknego, przestronnego domu, który moi ludzie mi postawili. Pod moją nieobecność jeszcze go rozbudowali. Mówią, że burza zdruzgotała całe zachodnie skrzydło, ale odbudowali je, powiększyli i wzmocnili. Chodzę teraz po znajomych komnatach i mam wrażenie, że zmałałem.

Burze są coraz groźniejsze. Zieleń staje się coraz większa. Ludzie mówią, że przypomina oko diabła. Ja jednak na jej widok wspominam dawne dni. Wydaje mi się wtedy, że czuję

woń rozkładu i widzę drzewa, które pożerają drzewa, które pożerają inne drzewa. Tak samo skowyt wiatru zawsze budzi we mnie wspomnienia czasów, w których budowaliśmy nasz dom i papiernię, Pokrzywo.

Byłaś snem mojego dzieciństwa. Nasze losy się splotły, splodziliśmy nowe życie... Kto wie, jak to się wszystko skończy? Chyba tylko Zewnętrzny. On jest mądry, Pokrzywo. Bardzo mądry. I dzięki temu sprawiedliwy.

Słyszę śpiew wichury. Otworzyłem okiennice. Płomyk lampki chwieje się i dymi. Widzę Zieleń, która za godzinę zniknie za ramą okna. Chciałbym krzyknąć do Ciebie, uprzedzić, że nadciągają wielkie pływy, ale ich czas z pewnością już nastał. Może bale, z których zbudowaliśmy nasz dom, w tej właśnie chwili podskakują na falach? Czas jest potężniejszy niż nasze morze. Ty to wiedziałaś na długo przed tym, jak odpłynąłem; ja dopiero tutaj się tego nauczyłem. Fale czasu zburzą każdą ścianę, a wtedy nie sposób ją odbudować.

Nie można jej postawić ani mniejszej, ani większej niż była.

Nigdy nie będzie taka sama.

Widzę, że przed wyruszeniem do Skany — tego pięknego, zepsutego miasta — napisałem o tym, jak spędziliśmy noc na słupie. Babbie spał u naszych stóp — a w każdym razie udawał, że śpi, żeby tylko móc być blisko nas. Wspomniałem też, że nie spaliśmy zbyt długo.

Bo rzeczywiście tak było. Pamiętam, że najpierw leżałem na boku, a potem obróciłem się na plecy i wyteżyłem słuch. Pisałem też o pieśni wiatru. Nie jestem pewien, czy wcześniej ją

słyszałem, ale wtedy tak mi się wydawało. Aby naprawdę ją usłyszeć, tak jak ja słyszałem ją owej nocy, trzeba by się chyba znaleźć w takiej samej sytuacji: leżeć na plecach w łódce miotanej falami wzburzonego morza, ze śpiącą obok młodą kobietą.

Wiatr też był kobietą. Chwilami przypominał generał Miętę — drobną osobkę o miłej, niewinnej twarzy, odzianą w rozwiane czarne szaty i dosiadającą olbrzymiego białego rumaka. Z pieśnią na ustach pędziła niczym płomień na czele tysiąca szalonych żołnierzy, jadących — jak ona — konno lub biegnących jak wilki; strzelali w biegu i tylko śmierć mogła ich zatrzymać.

Czasem znów przypominał wysokie, dumne kobiety z Trivigaunte, galopujące ulicą Słońca z uniesionymi głowami i lancami gotowymi do uderzenia. Śpiewały wtedy swoim cudownym wierzchowcom, które zawsze wrywały się do przodu i nie wymagały żadnej zachęty, aby przyspieszyć kroku. Jeszcze kiedy indziej przywodził mi na myśl kobietę leżącą obok mnie, zrodzoną z morza i śpiewającą jak Matka, kobietę o srebrnobłękitnych oczach, której nikt nigdy nie zrozumie.

Słuchałem tak, a wiatr coraz bardziej upodabniał się do tych trzech kobiet — i do miliona innych, ponaglanych dudniącym basem Paha. Miałem wrażenie, że jakaś olbrzymia ręka uniosła łódkę i cisnęła nią w fale z taką siłą, że Alga wpadła na mnie i wtuliła się w moje ramię przerażona, a Babbie zaczął popiskiwać przy sterze.

Wynurzyłem się spod fordeku i w mgnieniu oka przemokłem do suchej nitki. Było ciemno, choć oko wykol, tylko chwilami błyskawice rozdzierały mrok. Słup kładł się na wodzie; bałem się, że lada chwila stracimy maszt. Chciałem odciąć cumy, żeby

nie wciągnęły go pod wodę, ale niepotrzebnie się nimi martwiłem — kołki, które wbiłem w wilgotny, miękki grunt, zostały z niego wyrwane i sztorm pędził nas przed sobą jak kawałek drewna albo zabłąkany, na wpół zatopiony dziecięcy okręcik. Próbowałem wciągnąć na maszt mały kliwer, żeby odzyskać sterowność i ustawić się dziobem do fal, ale wiatr zaraz go zerwał.

Nie będę się rozpisywał o wszystkim, co się tamtej nocy wydarzyło, ponieważ większość tej relacji zainteresowałyby jedynie żeglarzy, których trudno byłoby znaleźć tak daleko w głębi lądu. Rzuciłem dryfkotwę i dzięki temu udało mi się okiełznać morskie pandemonium i zmienić je w zwykłe szaleństwo sztormu. Wspólnie z Algą wybieraliśmy wodę z zęzy tak długo, aż poczułem, że ręce mi odpadają. Słup nie zatonął, nie stracił też ani patyczka. Nigdy w życiu nie czułem takiej dumy z dzieła własnych rąk, nawet po zbudowaniu papierni.

Ewentualnym czytelnikom chciałem jednak powiedzieć, że w blasku piorunów, które przez kilka godzin uderzały tak często, że dramatyczna iluminacja nie gasła praktycznie ani na chwilę, zobaczyłem, jak zielona równina rozstępuje się przed nami, rozdarta wściekłymi falami na dwoje. Kiedy patrzyłem, jak olbrzymie bałwany unoszą ją, a potem miazdzą swoim ciężarem, zrozumiałem, co się dzieje.

Z dala od lądu morze wcale nie jest takie głębokie; Alga twierdzi, że powierzchnię dzieli od dna niespełna sto metrów. Gęste zarośla (nie wiem, jak inaczej nazwać te rośliny), które się tam spotyka, nie są ani drzewami, ani trawami, ani paprociami! chociaż łączą w sobie cechy wszystkich trzech. Ich splecione odnogi unoszą się na wodzie, okryte jak mchem gładką zieloną materią, po której wędrowaliśmy z Babbitem. Może ten mech

rośnie na nich jak orchidee na drzewach tu, w Gaonie, a może bardziej przypomina duszące pnącza oplatające drzewa na Zieleni! Może być i tak, że zarośla rodzą go tak, jak drzewa na lądzie rodzą owoce. Nie mam pojęcia, jak jest naprawdę, ale wiem, co wtedy zobaczyłem: morze rozszarpało całe wyspy (a przynajmniej to, co wcześniej brałem za wyspy) niczym liście bananowca, miotając ich resztkami na wszystkie strony.

W nocy wlaźło na pokład słupa coś, co nie było ani zwierzęciem, ani człowiekiem, nie było stworzeniem lądowym, wodnym ani nawet latającym, jak inhumi. Wahałem się, czy w ogóle o tym pisać, bo wiem, że nikt mi nie uwierzy, ale doszedłem do wniosku, że muszę to zrobić. Chociaż... Ileż to już relacji podróżników, ich dobrych rad i rzetelnych informacji zostało zlekceważonych tylko dlatego, że pośród tysięcy zapisanych przez nich linijek czytelnik znajdował dwie czy trzy, których treść nie mieściła mu się w głowie?

Jeżeli mi nie wierzysz, pogódź się przynajmniej z tym, że ja wierzę w to, co widziałem. Alga również to widziała, chociaż niechętnie o tym opowiadała. I Babbie. Rzucił się na stwora, ale ten chwycił go jak pieska pokojowego i niechybnie wyrzuciłby go za burtę, prosto w spienione fale, gdyby Alga mu w tym nie przeszkodziła. Przypominał człowieka o wielu rękach i nogach, od dawna nieżyjącego, o ciele pokrytym przywierającymi do skóry krabami, skorupiakami i innym morskim drobiazgiem. Mimo to był bardzo silny i szybko się poruszał, choć wydaje mi się, że sztorm przeraził go tak samo jak nas. Nie wiem, skąd się biorą takie potwory, ale długo o tym myślałem i doszedłem do pewnych wniosków, o których napiszę za chwilę. Jeżeli Ty,

Czytelniku, znasz lepsze wytłumaczenie, przyjmij moje gratulacje.

A na razie wyobraź sobie, że jeden z członków Zaginionego Ludu bardzo się zasłużył jednemu ze swoich bogów, o których my mówimy, że zniknęli tak samo jak ich wyznawcy — a na pewno tak o nich myślimy. Przypuśćmy następnie, że ów bóg chciał hojnie obdarować wybrańca-tylko jego jednego, nikogo więcej. Jedwab powiedziałaby pewnie, że wybraniec wcale nie był wybrańcem, tylko się za takiego uważał. Nasi bogowie z whorla długiego słońca często karali tych, których nienawidzili, zsyłając im bogactwo, władzę i sławę, które ich niszczyły.

Czy mając wybór, boski faworyt nie sięgnąłby po życie wieczne? Bogowie są ponoć nieśmiertelni, prawda? Decydując się na przyjęcie takiego daru, mógłby przez wieki cieszyć się kobietami, dobrym jedzeniem, piękną pogodą — krótko mówiąc tym, co sprawiało mu przyjemność. Ale w końcu mógł się tym wszystkim zmęczyć. A może zorientował się, że choć on sam nie może umrzeć, rasa, która go zrodziła, staje się coraz bardziej nieliczna? Może postanowił zamieszkać z boginią, która go sobie upodobała?

Więc rzucił się do morza.

To wszystko domysły. Bez wątpienia nawet ci, którzy mi uwierzyli, teraz się ze mnie śmieją, ale pamiętaj, proszę, że sami nie wystawiają się bynajmniej na pośmiewisko. Wiem, co widziałem.

Na ile mogłem to ocenić, sztorm uderzył z północnego wschodu. Zepchnął nas spory kawałek na południe, daleko od miejsca, w którym zacumowaliśmy. Tak przynajmniej wywnioskowałem z gwiazd, które następnej nocy wzeszły na

niebie. Nie miałem pojęcia, jak daleko na zachód się znaleźliśmy, ale popłynęliśmy na północny zachód w nadziei, że lada dzień zobaczymy ląd na horyzoncie.

Martwił nas skromny zapas wody pitnej, chociaż Alga piła naprawdę niewiele. Łapaliśmy każdą odrobinę deszczu, jaką zsyłali nam dobrzy bogowie: ściągaliśmy grot, rozpościeraliśmy go szeroko i (po tym, jak deszczówka spłukała z niego morską sól) formowaliśmy go w lejek, żeby napełniać butelki. Przy ładnej, bezwietrznej, lub prawie bezwietrznej, pogodzie wszyscy troje pływaliliśmy przy burcie łodzi. Już dawno wyszło na jaw, że Babbie jest lepszym pływakiem ode mnie, ale zaskoczył mnie fakt, że Alga pływa o wiele lepiej od niego. Wytrzymywała pod wodą bardzo długo, aż zaczynałem się o nią bać, chociaż kiedy się zorientowała, że martwię się i dziwię, zaczęła udawać, że to nieprawda. Kiedy którejs nocy ją całowałem, natrafiłem ustami na skrzela — potrójne, blisko siebie ustawione szczeliny u nasady karku. Nie zapytałem o nie ani wtedy, ani nigdy później.

Z początku nic nie mówiła o bogini, którą nazwała Matką — Minął prawie tydzień, nim przypadkiem wspomniałem o Acalyphie: opowiadałem o tym, że choć nie miała zielonego pojęcia o żeglarstwie, świetnie poradziła sobie z łodzią Jelca, kiedy została opętana przez Scyllę. Alga bardzo zainteresowała się pomysłem opętania i zaczęła mnie wypytywać o szczegóły; niestety, niewiele więcej potrafiłem jej powiedzieć. W końcu zauważyłem, że to raczej ja od niej mógłbym się czegoś dowiedzieć, skoro jej matką jest bogini.

— Nigdy mi o tym nie mówiła — odparła śmiertelnie poważnie Alga.

— Ale przecież musiałaś zdawać sobie z tego sprawę.

Pokręciła swoją śliczną główką.

— Była moją matką.

Mało brakowało, a zapytałbym w tym momencie, czy matka oczekiwała od niej modlitw i krwawych ofiar.

— Kiedy mieszkaliśmy we „Whorlu”, składaliśmy naszym bogom dary — powiedziałem. — Nie dlatego, że się ich domagali; byli od nas o wiele bogatsi. Po prostu dali nam tak wiele, że czuliśmy się zobowiązani dać im coś w zamian.

— No tak. — Alga uśmiechnęła się. — Znosiłam Matce najróżniejsze skarby. Na przykład muszelki. Mnóstwo muszelek, śliczne kamyki, kolorowy piasek... A ona zawsze powtarzała, że moja twarz jest dla niej najlepszym prezentem.

— Kochała cię.

Czułem wtedy — podobnie jak w wielu innych chwilach — że wiem wszystko o miłości. Moje serce się roztapiało.

Alga skinęła głową.

— Przybierała dla mnie postać kobiety, tuliła mnie w ramionach, a ja myślałam, że ona naprawdę tak wygląda. Nalegałam, żeby ta kobieta wróciła. Ty też ją taką widziałeś, pamiętasz?

— Nigdy tego nie zapomnę.

— Potem, kiedy podrosłam, otulała mnie. To było miłe; podobnie się czuję, kiedy ty mnie obejmujesz. Chociaż nie, to co innego. O co prosi się bogów we „Whorlu”?

— Przeważnie o pokój i jedzenie, czasem o syna lub córkę.

— A o złoto? Mówiła, że lubicie złoto.

— To prawda. Każdy człowiek pożąda złota, każdy oprócz ciebie. Dlatego złoto jest przyjacielem tych, którzy je mają. Często Przynosi im szczęście.

— Czy moje złoto coś ci przyniosło?

— Jeszcze nie. — Uśmiechnąłem się.

— Jest stare. Mówiłeś, że wszystko, co stare, musi być zmęczone.

— Miałem na myśli ludzi. — Próbowałem jej wyjaśnić, że jest znacznie młodsza ode mnie i jak to zostanie zrozumiane na lądzie, kiedy spotkamy innych ludzi. — Nie złoto. Złoto się w ten sposób nie starzeje.

— Moje się postarzało. Straciło blask i małe robaczki zaczęły budować na nim swoje domki. Matka musiała je czyścić piaskiem. Pomagałam jej.

— Musiała je mieć od bardzo dawna, może odkąd żyłyście razem — zauważyłem. Domyślałem się, że złoto leżało w morzu o wiele, wiele dłużej.

— Mogłabym je jeszcze raz zobaczyć?

Wyjąłem skrzynkę. Powiedziałem Aldze, że może nosić swoją biżuterię, kiedy zechce; złoto należy przecież do niej, nie do mnie.

Wybrała pozbawioną ozdób bransoletkę, cienką i leciutką. Uniosła ją do światła.

— Ładna. Wiesz, kto ją zrobił?

— Zastanawiałem się nad tym. — Byłem ciekaw, czy mi powie. — Mógł ją ktoś przywieźć z whorla długiego słońca. Osobiście uważam jednak, że jest wytworem Zaginionego Ludu, który zamieszkiwał Błękit na długo przed przybyciem nas, ludzi.

— Boisz się ich.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że nie było sensu oponować.

— Chyba tak — zgodziłem się.

— Wszyscy się boicie. Boimy.

Przez chwilę obracała bransoletkę w rękach, podziwiając ją, a potem, przytrzymując ją zębami, założyła na rękę.

— Whorl długiego słońca to był nasz whorl. Zrobiono go specjalnie dla nas. Pah nas w nim umieścił. A Błękit to whorl Zaginionego Ludu. Może też ktoś go dla nich zrobił, ale nawet tego nie wiemy. Na pewno mają do nas żal, jeśli jeszcze gdzieś żyją. Ich bogowie również. A bogowie musieli przetrwać, bo są z natury nieśmiertelni.

— Nie wiedziałam o tym.

— Tam, gdzie mieszkałem, najpotężniejsza z bogiń próbowała zgładzić Paha. Mędracy, którzy o tym wiedzieli, myśleli, że jej się udało; większość z nas nie miała pojęcia, że bogini w ogóle podjęła taką próbę. Ale Pah wrócił. Można powiedzieć, że sam się wysiał i wykiełkował. Wiesz, co to są nasiona, Algo?

— Opowiadałeś mi o sianiu zboża. Wiem.

— W pewnym sensie Pah odrodził się z nasienia. Tak samo zachowuje się czysty szczep kukurydzy; zanim obumrze, rodzi ziarna. Kiedy ziarna zakiełkują, szczep przetrwa kolejny rok. Niezmieniony.

— Myślisz, że Zaginiony Lud zrobił tak samo?

Sądząc po tonie jej głosu, była to dla niej niespodziewana myśl.

— Nie wiem. — Wzruszyłem ramionami. — Nie mam pojęcia, co mogli ani czego nie mogli zrobić.

— Mówiłeś, że ziarno czeka na wodę.

— Tak, na deszcz. I na słoneczne dni.

Babbie przydreptał zobaczyć, co mamy w skrzynce, obwąchał pierścionki i łańcuszki i prychnął z niesmakiem. Wrócił na swoje miejsce pod nasadą bukszprytu. Ja też w

pewnym sensie odwróciłem wzrok: moje oczy widziały srebrne i złote bransolety, ale myśli przykuło niewypowiedziane pytanie Algi. Zakładając, że Zaginiony Lud był zdolny do powrotu (tak jak Pah), na co czekał? Na jaki deszcz i jakie słońce?

I czy zorientowalibyśmy się, gdyby wrócił? Czy ja bym się zorientował? Nie wiedziałem jeszcze wtedy, jak wyglądają jego przedstawiciele; chyba nikt tego nie wiedział. Na pewno potrafili tworzyć swoje podobizny, skoro umieli konstruować te olbrzymie budowle, których ruiny znaleźliśmy na Błękicie. Te obrazy — o ile w ogóle kiedykolwiek istniały — zostały jednak zatarte przez czas, Przynajmniej na Jaszczurce i w okolicach Vironu. Alga, tak bardzo podobna do człowieka, miała skrzela ukryte pod falą opadających do pasa złocistych loków. Były darem bogini czy pozostałością po Pierwotnych mieszkańcach tego whorla, który nazwaliśmy naszym? Wtedy nie miałem tego jak odgadnąć.

— Chyba widzę jakąś łódź. — Alga zerwała się z miejsca, wskazując majaczący w oddali żagiel.

— W takim razie będzie lepiej, jeśli to schowam.

Chciałem zamknąć skrzynkę, ale mnie powstrzymała.

— Zaczekaj. — Błyskawicznym ruchem sięgnęła do środka. — Spójrz, Rogu. — Trzymała w palcach delikatną srebrną obrączkę, dzieło rzemieślnika z Nowego Vironu. — Podoba mi się, jest taka mała i lekka. Kiedy nosiłam na sobie tyle złota, trudno mi się pływało, ale ona nie będzie mi przeszkadzać. Dasz mi ją?

— Naturalnie. Z przyjemnością.

Wsunąłem jej obrączkę na palec.

Wiatr był tak słaby, że druga łódź godzinami płynęła w naszą stronę. Miałem aż nadto czasu, żeby przeładować strzelbę i upchnąć trochę dodatkowych nabojów po kieszeniach.

— Chcesz z niej strzelać? — zapytała Alga. Opowiadałem jej o piratach.

— Jeśli to będzie konieczne... Ale wolałbym nie. Zazwyczaj żeglarze nie żywią wobec siebie wrogości; wymieniamy się informacjami, uzupełniamy zapasy. Może uda mi się zdobyć trochę wody. — Zawahałem się. — Ale gdyby ci byli nieprzyjaźnie nastawieni, chcę, żebyś od razu skoczyła do wody. O mnie się nie martw. Popłynij gdzieś... gdzieś głęboko, żeby cię nie znaleźli.

Obiecała, że tak zrobi, a ja wiedziałem, że kłamię.

Jacht był znacznie większy od naszego słupa: miał dwa maszty, tępo ścięty dziób i pięcioosobową załogę. Właściciel (krępy mężczyzna w średnim wieku, którego sposób mówienia przypominał mi Wijzera) pozdrowił nas i zapytał, dokąd zmierzamy.

— Do Pajarocu! — odparłem.

— Na lekko płyniecie — zauważył, zakładając bez wątpienia, że jesteśmy, tak jak on i jego ludzie, kupcami.

Wkrótce nasze łodzie ustawiły się burta w burzę. Zwiążaliśmy je cumami dziobowymi i rufowymi, przedstawiliśmy się i kapitan zaprosił nas do siebie.

— Na tych wodach łodzie rzadko spotykam — przyznał i się roześmiał. — Ale dalej bym jeszcze popłynął, żeby taką piękną kobietę ujrzeć. W wielu miastach ani jednej takiej kobiety jak twoja żona nie ma.

Jeden z jego ludzi rozstawił dla nas stół i cztery krzesła.

— Ile mil, pytasz? Tego nie wiem. W stronę którą żeglować, też nie powiem. Zależy to. Na północ, północny zachód do Pajarocu płynąć trzeba.

— Byłeś tam kiedyś?

Pokręcił głową.

— Nie chyba. W miejscu, o którym mówili, byłem, ale w Pajarocu?

Wzruszył ramionami. Opowiedziałem mu o liście i przyniosłem ze słupa mój egzemplarz.

— Człowiek jeden, piszą. — Postukał palcem w kartkę. — Żonę pozwolili ci zabrać?

Podparłem się argumentem, którego użył Szpik: — Będzie jedno miejsce, jeśli wszystkie zaproszone miasta przyślą swoich przedstawicieli i jeśli wszyscy zdążą na czas. Oboje wątpimy, by tak się stało; większość mieszkańców Vironu też nie była o tym przekonana. Jeśli będą wolne miejsca, na co liczymy, Alga poleci ze mną. A jeśli nie, zaczeka na mnie w Pajarocu i zaopiekuje się łodzią.

Próbowałem udawać, że wierzę w to, co mówię.

Marynarz, który nakrył stół, przyniósł butelkę, cztery małe kieliszki i przysiadł się do nas.

— Mój syn — oznajmił z dumą Strik. — Numerem drugim na mojej łodzi jest.

Wszyscy się uśmiechnęli. Podaliśmy sobie ręce.

— Kapitan Róg? — zapytał syn właściciela. — Z Nowego Vironu płyniesz?

Skinąłem głową. Strik dodał: — Tam jeszcze nie zawijaliśmy, kapitanie. Kogoś szukasz?

Na mojej twarzy musiało się odmalować zdziwienie.

— Jeden człowiek. W wieku Totera jest.

— O kapitana Roga pytał nas. Sam w małej łodzi płynie.

Toter skrzywił się i pokazał na migi, jak fale miały łupiną samotnego żeglarza.

— Pytał, ale kapitana Roga nie znaleźliśmy. — Strik wyciągnął zębami korek z butelki i nalał wszystkim po odrobinie bezbarwnego alkoholu. — Mówimy mu to, a on w swojej łódeczce odpływa.

— Pochodzicie z kontynentu? Ze wschodu? To znaczy, z Lądu? — pytałem, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć nazwę miasta, z którego przypłynął Wijzer.

— Tak, z Dziury. Nowy Viron znamy. Dobry port to jest. Wieści stamtąd żeglarz ci przywozi?

Nie wiedziałem, co o tym myśleć, i tak też odparłem Strikowi. Gdybym miał zgadywać, obstawiałbym posłańca od Szpika.

Alga zapytała, jak daleko będziemy musieli płynąć, żeby nabrać słodkiej wody.

— Zależy to. Od pogody. — Strik splunął za burtę. — Pięć dni może być. Dziesięć.

— Mnie to za bardzo nie przeszkadza. — Alga spojrzała na niego odważnie. — On każe mi pić więcej, niż potrzebuję. Ale Babbie zawsze chce się pić.

Wyjaśniłem, że Babbie to nasz hus.

— Ty też się męczysz — dodała. Powąchała alkohol, upiła łyk i odstawiła kieliszek. — Nalewasz sobie wody do szklanki, a potem, kiedy myślisz, że nie widzę, przelewasz z powrotem do butelki.

Odparłem, że nie ma sensu pić wody, jeżeli nie mam na nią ochoty.

— Wody trochę dać wam mogę — oznajmił Strik. Podziękowaliśmy mu oboje.

— Jeśli przez dwa, trzy dni z żoną na zachód żeglować będziecie — wtrącił Toter — dużą bezludną wyspę napotkacie. Dobra woda na niej jest. Tam ostatnio wody nabraliśmy. Wyspa nie tak duża jak Ląd jest, ale góry na niej są. Uważać powinniście, ale przegapić trudno ją.

— Popłyniemy tam — stwierdziła Alga tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Minęły dwa dni. Z niesmakiem i niedowierzaniem przeczytałem cały ostatni fragment, rozpoczynający się od spotkania z gigantyczną płastugą. Nie powiedziałem w nim nic z tego, co naprawdę chciałem powiedzieć. Nie opisałem urody Algi i złoty eh dni spędzonych wspólnie na słupie przed przybyciem Kraita, nie wspomniałem o wodnym whorlu, który dzięki niej mogłem choć przez chwilę oglądać, opuściłem tysiące drobiazgów, które z całego serca chciałbym zawrzeć na tych stronicach i na zawsze zatrzymać w pamięci.

Przypuszczam, że takich wspomnień nie da się wyrazić. Ja na pewno tego nie potrafię. To już wiem.

Coś Ci powiem. Płynąłem kiedyś pod wodą, próbując ją naśladować, i ujrzałem, jak płynie w moją stronę. Żadne słowa nie oddadzą jej szybkości i zwinności ruchów, tak jak nie oddadzą jej urody. Wzięła mnie za rękę i razem wyprysnęliśmy na powierzchnię, wynurzyliśmy się z boskiego podmorskiego

blasku wprost w oślepiające światło krótkiego słońca. Krople wody na jej rzęsach błyszczały jak brylanty.

Tobie, który będziesz to czytać w czasach, których nie dożyję, będzie mnie pewnie żal. Żałosny był mój pobyt na Zieleni, gdzie musiałem walczyć z inhumimi i ich niewolnikami, z osadnikami, a na koniec nawet z własnym synem. Może pozazdrościsz mi tego wielkiego, białego domu, który w Gaonie nazywamy moim pałacem, a także złota, klejnotów, broni i z górą tuzina żon.

Ale jedno Ci powiem: nie masz pojęcia o tym, jak wyglądały moje najszczęśliwsze chwile. Bo przeżyłem w swoim życiu dni piękne jak złoto.

Wciąż wydaje mi się, że słyszę śpiew Algi. Śpiewała dla mnie wieczorami na słupie. Czasem — nawet dość często — wyobrażam sobie, że naprawdę ją słyszę, że chlupot fal wtóruje jej pieśni. Wydawałoby się, że tak często przywoływane wspomnienie musi z czasem zblaknąć, ale ono za każdym razem zyskuje na wyrazistości. Kiedy tu przybyłem, jej głos kołysał mnie do snu; teraz nie pozwala mi zasnąć. Słyszę, jak mnie woła.

Woła mnie.

Alga, którą porzuciłem tak samo, jak biednego Babbiego.

Alga.

7

Wyspa

Kiedy rozstaliśmy się ze Strikiem, Alga powiedziała: — To było miłe. Chciałabym, żebyśmy częściej spotykali innych żeglarzy.

Pod wpływem alkoholu na jej policzkach pojawiły się rumieńce, a na ustach zaczął błędzić uroczy, rozmarzony uśmiech. Odparłem (nigdy tego nie zapomnę), że morze jest ogromne, a na jego brzegach znajduje się dosłownie garstka miast, z których mogłyby wychodzić łodzie.

— Gdybyśmy w taki piękny dzień jak dziś wypłynęli tym słupem na Limnę, w zasięgu wzroku mielibyśmy cały czas z dziesięć, piętnaście żagli — ciągnąłem. — Limna jest bardzo dużym jeziorem, ale do morza się nie umywa. Jest największym zbiornikiem wodnym w okolicach Vironu, lecz w okolicach Palustrii już nie, bo do Palustrii w ogóle nie sięga. A morze... Na tym whorlu nie ma pewnie nic większego. Poza tym nad Limną leży Viron, który jak na tutejsze standardy jest bardzo dużym miastem. Połowa morskich portów, o których wspomniałem, to wioski w porównaniu z Vironem — Dlatego zdziwiłbym się, gdybyśmy spotkali kogoś jeszcze przed zawinięciem do portu.

Przypomniałem sobie tę przemowę dziś po południu, kiedy ktoś mi powiedział, że jestem równy pomniejszym bogom — chciał przez to powiedzieć, że mam niezwykle przenikliwy umysł. Łatwo byłoby dać się zwieść takim stwierdzeniom,

choć obie strony — ta, która je wygłasza, i ta, do której są adresowane — dobrze wiedzą, że są nieprawdziwe. Wypływają z uprzejmości i nikt chyba bardziej by się nie zdziwił od ich autorów, gdyby im powiedzied, że inni ludzie przyjmują je za logiczne pewniki.

O mało nie napisałem „kiedy byłem w scholi”. Pewne nawyki mówienia i pisania weszły mi już w krew. Gdybym opowiadał o Pokrzywie, o tym, jak zbudowaliśmy dom i papiernię, gdybym tłumaczył tym dobrym, szczęśliwym, pełnym nabożnej czci ludziom, jak po niepowodzeniach w uprawie roli udało nam się zostać dobrymi papiernikami, zbuntowałiby się.

Właśnie, wybuchłby bunt i nawet gdybym nie zginął po raz drugi, wielu innych poniosłoby śmierć. Mam już wystarczająco splamione sumienie, wątpię, bym dał sobie radę z takim nowym brzemieniem.

Zresztą nawet gdyby wiedzieli, kim naprawdę jestem, nie pozwoliliby mi odejść. Mam na myśli biedaków. Poza Hari Mau I paroma innymi wyjątkami to nie arystokraci przychodzą do sądu, to nie oni potrzebują mnie i cenią, lecz ubodzy wieśniacy, a zwłaszcza ich żony i dzieci. Tak to w każdym razie wygląda na pierwszy rzut oka.

Bo wcale nie musi być prawdą. Mężczyźni nie są tak wylewni w wychwalaniu mnie, są mniej uczuciowi, niż można by się spodziewać. Mimo to wciąż dają mi dowody swojego oddania. Kobiety i dzieci widzą we mnie urzędującego radcę, wodza bogatszego i silniejszego od tych, którzy ich uciskają, człowieka, który im pomoże, kiedy znajdą się w tarapatkach. Dla mężczyzn jestem sprawiedliwym sędzią — a jeśli nie sprawiedliwym, to takim, który bardzo stara się ferować sprawiedliwe wyroki. Jedwab (ten prawdziwy Jedwab) bardzo wysoko cenił miłość. Z

pewnością miał rację. Miłość to cud, magiczny eliksir, akt boskiej interwencji czy wręcz stan wiecznej teofanii. Żadne słowa nie są zbyt wielkie, by o niej pisać; prawdę mówiąc, nie ma słów dość mocnych, by ją wyrazić.

A jednak jeśli ludzie zbierają się w grupę, to nie miłości najbardziej potrzebują; gdyby tak było, ludzkie skupiska nie mogłyby istnieć. Najważniejsza jest sprawiedliwość, która niczym zaprawa spaja wioskę czy miasto. Albo załogę łodzi. Nikt nie chciałby się w nic angażować, gdyby nie wierzył, że może liczyć na uczciwe traktowanie.

Ci ludzie oszukują się nawzajem przy każdej okazji — tak to w każdym razie wygląda. Pod długim słońcem dawali sobą rządzić, bo był ktoś, kto miał siłę i kogo się bali. Tutaj, na Błękanie, nikt nie ma dość siły, żeby wzbudzić strach. Jestem tylko ja i nasza książka. We whorlu długiego słońca wierzyli, że rajan może ich zabić za najmniejsze nieposłuszeństwo — i mieli rację. Tu, w tym nowym mieście, wierzą chyba, że wszystko, co mówię i robię, wynika z troski o nich i poczucia sprawiedliwości. I też się nie myślą.

Co się z nimi stanie, kiedy odejdę? Długo nie mogłem się zmusić, aby rozważyć tę kwestię. Teraz, kiedy ją przemyślałem, odpowiedź wydaje się oczywista: tak jak mieszkańcy Nowego Vironu zaczną kraść, kłamać i tyranizować innych, aż jeden wódz wybije się ponad innych. On już nie będzie nikogo zastraszał ani oszukiwał, lecz będzie brał wszystko, na co mu przyjdzie ochota, i zabijał tych, którzy mu się przeciwstawiają. Zostanie ich nowym rajanem, a ich stare miasto przeniesie się ostatecznie z „Whorla” na ten piękny nowy whorl, który nazwaliśmy Błękitem. I będzie identyczne jak dawniej, z dokładnością do najdrobniejszych szczegółów.

Na razie jednak jeszcze tu jestem. Z pewnością widzą, że nie robię nic nadzwyczajnego, nic, czego oni sami nie mogliby zrobić. Jestem przekonany, że egoizm jest niezbędny we wszystkich dziedzinach życia, chociaż maytere Marmur na pewno gorąco by temu twierdzeniu zaprzeczyła. Ludzie muszą zrozumieć, że każde działanie, które zaszkodziłoby miastu, zaszkodziłoby im samym.

Lepiej być bez bita przy duszy w mieście, gdzie nikt nie kradnie, niż mieć całe pudełko kart w mieście złodziei. Muszę sobie to zapamiętać i powtórzyć im przy pierwszej sposobności. Uczciwy człowiek w uczciwym mieście może w uczciwy sposób zdobyć pudełko kart i cieszyć się nim do woli. W mieście złodziei musiałby ich strzec dniem i nocą. Kiedy zaś by je stracił — co prędzej czy później musiałoby nastąpić — złodzieje i tak by pozostali.

Przejrzałem wczorajsze zapiski i widzę, że odbiegłem od tematu. Często mi się to zdarza, zbyt często. Zmierzałem do tego (jak się domyślam), że człowiek, który nazwał mnie bogiem, uważał, że we wszystkim mam słusność. Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że zawsze staram się słusznie postępować. Bo jak inaczej odróżnić pomniejszego boga od wodza diabłów?

Maytere Mięta uczyła nas — nim jeszcze zastąpiła ją maytere Róża i na długo przed tym, jak stała się generał Mięta — że pomniejsi bogowie byli przyjaciółmi Paha. Zaprosił ich do

„Whorla” razem ze swoją rodziną. Diabły przeniknęły na pokład podstępem, tak samo jak Krait, który tamtej nocy zakradł się na słup i po raz kolejny udowodnił mi (i tylko mi, bo Aldze raczej nie), że zdarza mi się mówić o rzeczach, na których się nie znam.

Po burzy nastał okres ciszy, który przeciągnął się aż do wieczora. Obudził mnie chyba tupot łap Babbiego, który nagle ucichł jak nożem uciął. Usiadłem.

Morze było idealnie gładkie, słup stał stabilnie jak łóżko na łądzie. Alga spała, jak zwykle leżąc na boku, z lekko otwartymi ustami. Nawet najłżejszy powiew wiatru nie wydymał podwójnie zrefowanego grota, który zostawiłem na maszcie; fał zwisał nieruchomo, zamiast jak zwykle uderzać na wietrze o maszt. Skąpana w złowrogim blasku Zieleni łódź przypominała statek — widmo, który o świetle rozplynie się w powietrzu bez śladu.

Na rufie dostrzegłem ciemny kształt — zbyt duży i rozmazany jak na Babbiego; wyglądał raczej tak, jakby ktoś nakrył husa płaszczem albo kocem. Wyczołgałem się spod fordeku, wstałem i wyjąłem z pochwy nóż Ścięgna.

— Nie będzie ci potrzebny — rozległ się lodowaty, spokojny głos, który mógł należeć do chłopca lub młodego mężczyzny.

Podszedłem do masztu. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że przybyszów jest więcej i bałem się jak nigdy w życiu.

— Nie słyszałeś, co powiedziałem? Nie chcę waszej krwi.

Inhumi musiał podnieść na mnie wzrok, bo nagle zobaczyłem odbłask upiornego zielonego światła w jego oczach.

— Co się stało?! — zawołała Alga. — Och...

— Jeżeli się ruszysz, zabiję waszego zwierzaka — ostrzegł inhumi. — Nie będę miał innego wyjścia. Nie chcę walczyć z

całą waszą trójką naraz.

— Nic mnie to nie obchodzi — skłamałem z rozmysłem. — Jeśli nie chcesz naszej krwi, zabieraj się stąd. Ani ja, ani ona nie będziemy próbowali cię zatrzymać.

Schowałem strzelbę do jednej ze skrzyń z ładunkiem. Była dla mnie teraz równie nieosiągalna, jak gdybym zostawił ją na Jaszczurce.

— Dokąd płyniecie?

— Nie powiem ci.

— Mógłbym się tego dowiedzieć.

— Tym bardziej nie muszę ci nic mówić.

— Mów, bo zabiję husa — zagroził inhum.

— Śmiało. — Zrobiłem krok naprzód. — Mówiłeś, że nie chcesz walczyć z naszą trójką. Mnie taka perspektywa nie przeraża. Nawet jeśli będę musiał walczyć z tobą sam, zrobię to. I wtedy cię zabiję.

W ułamku sekundy rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze niczym latawiec. Biedny Babbie leżał skulony i roztrzęsiony na pokładzie, obok rumpla.

— Musiałem wyssać mu trochę krwi, żeby się uspokoił — wyjaśnił inhum. Usiadł na topie masztu i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wyglądał jak wcielony diabeł. Widząc, że nie reaguję, dodał: — Masz bardzo atrakcyjną i młodą kobietę.

Kiedy tak na niego patrzyłem, zdałem sobie nagle sprawę, że naprawdę jest diabłem, że wszystkie legendy o diabłach wzięły swój początek ze spotkań z takimi jak on, z plugawą rasą istot, której był przedstawicielem.

— Owszem. — Zerknąłem przez ramię na Algę, która właśnie wyszła spod fordeku. — Całkowicie się z tobą zgadzam.

— Cenny nabytek.

— Nie należy do mnie. I nigdy nie będzie należała.

— Za to on należy do mnie — wtrąciła Alga. Stała obok i ujęła mnie pod ramię. — Matka mi go dała. Czy coś z tego wynika?

— Nic, zupełnie nic, o ile pozostaniemy przyjaciółmi. Nie poluję na przyjaciół i nie wtykam nosa w ich sprawy. Nie jesteśmy tacy. Czy mogę zapytać, dokąd się udajecie?

— Nie — odparłem.

— Tamtym z tej drugiej łodzi powiedziałeś — zauważyła Alga, ściskając mnie mocniej za rękę.

— Ale jemu nie powiem. Nie zapytam nawet, dlaczego to go interesuje. — Schowałem nóż do pochwy i wskazałem skrzynię. — Mam tam strzelbę. Zaraz ją wyjmę, a jeśli przez ten czas nie ruszysz się z miejsca, zabiję cię. Możesz walczyć albo uciec, wybór należy do ciebie.

Nie spuszczać go z oka, otworzyłem skrzynię. Poderwał się, kiedy sięgnąłem do środka. Przez chwilę na tle nieba szybował olbrzymi, cichy nietoperz, który jednak szybko zniknął w międzygwiazdym mroku.

— To był... — Alga się zawahała. — Nie pamiętam, jak się nazywają, ale opowiadałeś mi o nich. Nie wierzyłam, że naprawdę istnieją.

— Inhumi. To był chyba samiec, a więc inhum. Samica to inhuma, a cała rasa — inhumi. Te nazwy pochodzą z innego miasta, bo my w Vironie nie zdawaliśmy sobie sprawy z istnienia inhumich i nazywaliśmy ich po prostu „diabłami”. No, ale teraz wszyscy mówią o nich „inhumi”.

Klęknęła przy Babbiem.

— Jest chory, prawda?

— Stracił sporo krwi. Potrzebuje odpoczynku i dużo wody. Źle się złożyło, że brakuje nam wody, ale umrze, jeśli nie będzie pił. Zresztą i tak może umrzeć.

— Piją krew. Tak mówiłeś. U nas są... to znaczy... były takie rogate, które też piły krew, ale można je było oderwać od skóry. Niektóre ryby chętnie je zjadały.

— My nazywamy je pijawkami.

Sięgnąłem po miskę Babbiego i po butelkę z wodą.

— Ale on był inny.

— Tak, on był inny — zgodziłem się. — Znasz jakąś istotę, która byłaby do niego podobna?

Alga pokręciła głową.

Klęknąłem obok niej, nalałem wody do miski i podsunąłem ją Babbiemu. Pił powoli, ale uparcie, prychając od czasu do czasu. Wyglądało na to, że nigdy nie przestanie.

— Jest bardzo silny — zauważyła Alga. — W każdym razie był, kiedy się z nim bawiłam. I ma takie wielkie zęby. Inhumim też są silni, prawda?

— Tak sądzę. Muszą mieć sporo siły, żeby móc latać, chociaż niewiele ważą. Poza tym mają miękkie, elastyczne ciała i mogą je dowolnie przekształcać. Mówi się, że silny człowiek może powalić i zabić inhumiego. Ten musiał przywrzeć Babbiemu do grzbietu, tak że Babbie nie mógł go dosięgnąć, aż osłabł z upływu krwi. Sam nigdy nie walczyłem z inhumim.

— Myślisz, że wróci?

Wzruszyłem ramionami i przyniosłem kawałek starego zagła. Chciałem nim otulić husa. Utykałem materiał wokół jego ciała, kiedy Alga znów się odezwała: — A może wróci i przyprowadzi drugiego?

— To możliwe. Słyszałem, że wracają do domów ofiar, ale nie wiem, co o tym myśleć. Zresztą zwierzę na łodzi to co innego niż człowiek w domu. Zwykle nie polują na zwierzęta.

— Mówiłeś o strzelbie. Nie wyjmiesz jej?

Wyjąłem i załadowałem broń. W domu przyzwyczaiałem się trzymać igłowiec w schowku, kiedy bliźniacy byli mali. Ale dom został daleko za nami.

— Zbudowaliśmy bardzo mocny, naprawdę solidny dom na Jaszczurce — powiedziałem. — Właśnie dla obrony przed inhumimi. Ściany z podwójnie ułożonych bali, grube drzwi, maleńkie okna z kratami i okiennicami... Słupa nie da się tak zabezpieczyć, ale im lepiej się przygotowujemy na spotkanie z nimi. tym mniejsze prawdopodobieństwo, że nasze przygotowania okażą się potrzebne.

Alga z powagą pokiwała głową.

— Naucz mnie strzelać.

— Nie dasz rady. Potrzeba dwóch rąk, żeby skontrolować odrzut i przeładować strzelbę. Przydałby ci się igłowiec, aleja swój oddałem Ściągnu. Jeśli chcesz, dam ci nóż.

— To nóż twojego syna? — Cofnęła się. — Nie mogę go przyjąć. Za bardzo go kochasz.

— W takim razie prześpij się. Na razie posiedzę na warcie, a za parę godzin mnie zmienisz.

Przecisnęła się obok mnie i pogłaskała masywny łeb Babbiego.

— Zimno mu — stwierdziła. — Cały drży.

— Jest jeszcze trochę okryć. — Miałem na myśli koc i drugi stary żagiel, którym czasem sami się przykrywaliśmy. — Przyniosę je, ale nie wiem, czy to coś pomoże.

— Mógłby spać między nami.

Gdyby hus był choć ociupinkę cięższy, chyba nie dalibyśmy rady ruszyć go z miejsca. Udało nam się jednak przetoczyć go na żagiel, którym go okryłem. Wybrałem wodę z zęzy do ostatniej kropli, a potem, na wpół przeniosłem, na wpół przeciągnąłem Babbiego po pokładzie.

Ułożyliśmy go pod fordekiem, zadem do dziobu. Alga położyła się po jego lewej stronie, ja po prawej. Z boku wcisnąłem jeszcze strzelbę, tak że żadne z nas w zasadzie nie mogło się ruszyć.

— Próbowałam sobie przypomnieć, co mówiłeś o inhumich — odezwała się Alga. — Mówiłeś, że mieszkają na niebie? W tym zielonym świetle? Nie wydaje mi się, żeby ktoś tam mógł mieszkać.

— Większość ludzi powiedziałyby, że to oczywiste, że światła na niebie nadają się do zamieszkania. Nikt by za to nie uwierzył, że można żyć w morzu. Inhumi pochodzą z Zieleni. Wszyscy tak mówią. Zieleni to takie zielone, duże światło, które ci pokazałem, mówiąc o nich po raz pierwszy. Jest o wiele większe i jaśniejsze niż gwiazdy.

— Wiem, o którym mówisz. W głębinie, gdzie zawsze jest ciemno, mamy ryby, które podobnie świecą.

— Te ryby mogą wyglądać jak Zieleni, ale nie mogą tak samo świecić — zaprotestowałem. — Zieleni świeci odbitym blaskiem krótkiego słońca.

— Czy to takie miejsce jak twoja łódź?

— Większe. To cały whorl. Kiedy byłem mały, ludzie mówili o „whorlu” w taki sposób, jakby istniał tylko on jeden. Jakby nic nie mogło do niego wejść ani się z niego wydostać. Za moich czasów to już nie była prawda. Wcześniej może tak, nie wiem. Tu, w okolicy są aż trzy whorle; można chyba powiedzieć, że

znajdują się dość blisko siebie. Jak na whorle, ma się rozumieć. Jak się zastanowić, to musi istnieć jeszcze co najmniej jeden: whorl krótkiego słońca, z którego pochodzi moja przyjaciółka maytere Marmur.

— Musisz mi opowiedzieć o inhumich — stwierdziła Alga. Nie widziałem jej spoza łba i korpusu Babbiego.

— Właśnie próbuję. Tam, skąd pochodzi maytere Marmur, chyba w ogóle ich nie było. Nigdy o nich nie wspominała. Dlatego kiedy mówimy o inhumich, bierzemy pod uwagę tylko trzy najbliższe whorle: „Whorl”, czyli whorl długiego słońca, Błękit, na którym się znajdujemy, i Zielen, która zesłała ten sztorm.

— Mów dalej.

— Spróbuję ci kiedyś pokazać na niebie whorl długiego słońca; sama nie zdołasz go wypatrzeć. Jest widoczny jako maleńki punkcik światła wśród gwiazd. Domyślam się, że znajduje się dalej od Błękitu i Zieleni, niż Zielen od nas. Tym bardziej, że Zielen ostatnio bardzo się do Błękitu zbliżyła.

— Urodziłeś się we whorlu długiego słońca?

— Tak. — Stary whorl jak duch stanął mi przed oczami i dodałem: — W Starym Vironie. Obiecałem, że wrócę tam, jeśli tylko zdołam.

Nie jestem pewien, czy ostatnie słowa wypowiedziałem na głos.

— Mieliście tam inhumich?

— Nie wiedzieliśmy o tym, ale co najmniej jeden żył wśród nas. Braliśmy go za człowieka.

— Nie rozumiem.

— Nie dziwi mnie to, ponieważ ten, którego dziś widziałas, w niczym nie przypominał człowieka. Tamten jednak był bardzo

podobny do ludzi. Podejrzewam, że ten, którego widzieliśmy, też umiałby się upodobnić do człowieka. Zaskoczyłem go, kiedy się obudziłem, więc nie zdążył się zmienić. Gdyby miał więcej czasu i chciał nas oszukać, mogłoby mu się udać. Ludzie często się nabierają na ich kamuflaż.

Alga w milczeniu analizowała moje słowa.

— Babbie jest bardzo ludzki — stwierdziła po chwili.

Chyba miałem Babbiemu za złe, że zjeżył się na mój widok. W każdym razie odparłem: — Jestem jedynym człowiekiem, jakiego widziałaś, nie licząc marynarzy Strika.

Nic nie odpowiedziała.

— Nie masz pojęcia, jak różni potrafią być ludzie. Jestem mniej więcej w tym samym wieku, co...

— Co ja. Odkąd wynurzyłam się na powierzchnię, widziałam, jak wyglądam. W wodzie. Widziałam swoją twarz, nogi, rękę...

— Mówisz o swoim odbiciu.

— Wyglądam tak samo jak ty i ludzie z tamtej łodzi. Inhumi był inny. Babbie jest do nas bardziej podobny. Naprawdę.

— Ciało inhumich różni się od naszych. — Gorączkowo szukałem w myślach jakiegoś celnego porównania. — Weźmy na przykład kraba. Wydaje nam się, że jest zupełnie sztywny, jak żołnierz w zbroi. Opancerzony wojownik może poruszać rękoma i nogami, kręcić głową, ale nie jest w stanie zmienić kształtu ciała.

— Ja też tego nie potrafię — przyznała zakłopotana Alga.

— Trochę potrafisz. Możesz się wyprostować albo zgarbić, wciągnąć brzuch, wyprężyć pierś i tak dalej. Inhumi potrafią o wiele więcej. Mogą na przykład dowolnie formować swoje twarze, znacznie bardziej niż my, kiedy się uśmiechamy czy

robimy ryjek. Ale chyba najlepiej będzie ich porównać do Matki...

— Nie chcę rozmawiać o Matce — przerwała mi Alga. Powtórzyła to z naciskiem i zasnęła, albo przynajmniej udawała, że śpi.

Ja nie spałem. Wieczorem byłem wykończony i natychmiast zasnęłem, ale zdążyłem się zdrzemnąć trzy czy cztery godziny, a po spotkaniu z inhumim rozbudziłem się na dobre. Wprawdzie nadal byłem zmęczony, ale zupełnie odechciało mi się spać. Możliwe że bałem się powrotu inhumiego, chociaż sam przed sobą tego nie przyznawałem. Mniejsza o przyczyny: odprężyłem się, podłożyłem sobie ręce pod głowę (kiedy udało mi się wcisnąć łokieć pod gruby kark Babbiego) i zacząłem rozmyślać o wszystkim, co mógłbym powiedzieć Aldze, gdyby zechciała ze mną dłużej rozmawiać.

Wszyscy wiemy, że inhumi potrafią latać. Przy koniunkcji Błękitu i Zieleni są w stanie pokonać dzielącą je, pozbawioną powietrza otchłań. Nigdy nie rozumiałem, jak to robią, ale leżąc tak pod fordekiem, z głową w miejscu gdzie zwykle trzymałem nogi, przypomniałem sobie płastugę. Miała olbrzymie, skrzydłopodobne płetwy. Pozwalały jej pływać tak samo, jak skrzydła pozwalają ptakom latać. Nawiasem mówiąc, niektóre rybożerne ptaki „przelatują” krótkie odcinki pod wodą: używają do tego skrzydeł i poruszają nimi tak samo jak w powietrzu.

Na dobrą sprawę zatem ryby powinny móc fruwać — tak jak ta świecąca, która towarzyszyła nam prawie do Wichote. A jednak nie mogą. Gdyby było inaczej, może i my byśmy opanowali tę sztukę. Przecież możemy pływać — oczywiście nie tak świetnie jak ryby (złapałem się na tym, że cytuję patere

Kwezala, który zresztą był najprawdziwszym inhumim); nie pływam nawet w połowie tak dobrze jak Alga, która pod wodą mknie jak strzała. A jednak mimo że zwykle ryby nie umieją latać, niektóre z nich wyskakują nad wodę i lecą całkiem daleko. Widziałem to wielokrotnie, a raz byłem nawet świadkiem, jak ryba wyskoczyła z wody na płaski kamień na skalistej wysepce, gdzie maytere Marmur zbudowała dom dla Pleśni.

Nie było to zatem niewykonalne, a biorąc pod uwagę, że inhumi nie potrzebują wiele powietrza, mogli podróżować z whorla na whorl — na to przynajmniej wyglądało. Zdobywali się na ogromny wysiłek, „wyskakiwali” z morza powietrza okalającego whorl, który chcieli opuścić, i celowali we whorl, do którego zmierzali. Nie musieli celować zbyt precyzyjnie, bo zbliżywszy się do whorla, i tak zaczęli spadać na jego powierzchnię. Wiedziałem, że lądowniki buduje się w specjalny sposób, aby nie przegrzewały się przy lądowaniu, ale one są ogromne, dużo większe od największych statków morskich, a przy tym zrobione z metalu, więc z pewnością znacznie cięższe. Tymczasem inhumi są drobniejsi od ludzi, chociaż z rozpostartymi skrzydłami wydają się o wiele więksi; poza tym ich siła nie przekłada się na ciężar. Lekkie obiekty spadają wolniej od ciężkich — najłatwiej się o tym przekonać, opuszczając na ziemię piórko, tak jak ja przed chwilą rzuciłem na biurko pióro Oreba. Gorąco, które zagraża lądownikom, inhumim nie sprawia chyba najmniejszych problemów.

A konieczność wstrzymywania oddechu (tak jak człowiek robi to przy nurkowaniu) i fakt, że inhumi muszą zbliżyć się do whorla na tyle, żeby mógł ich przyciągnąć, zdają się potwierdzać opinię wszystkich, którzy zadali sobie trud

bliższego zbadania tej sprawy: inhumni przemieszczają się między whorlami tylko w okresie koniunkcji, tuż przed nią lub tuż po.

Chciałem przekonać Algę, że to wszystko nie jest w gruncie rzeczy wcale takie skomplikowane; wystarczyło przestać myśleć o inhumach jak o ludziach, którym ręce zmieniły się w skrzydła. Z chwilą, gdy przyjęło się do wiadomości, że różnią się od nas nie mniej niż, na przykład, węże, elementy układanki zaczynały do siebie pasować. Trudniej było wytłumaczyć obecność we „Whorlu” inhumiego znanego jako patere Kwezal. Wygląda na to, że „Whorl” dzieli od Zieleni znacznie większa odległość niż Zieleni od Błękitu. Jak to często z zagadkami bywa, można snuć domysły, ale nie sposób stwierdzić, które z nich są trafne. O ile w ogóle któreś są.

Osobiście doszedłem do wniosku, który wydał mi się wtedy całkiem logiczny: „Whorl” wchodził w koniunkcję z Błękitem lub Zielenią, ale zdarzało się to niezwykle rzadko. Koniunkcję Błękitu i Zieleni powtarzają się co sześć lat; ich rytm jest wyznaczony przez ruch whorli wokół krótkiego słońca. Trzeci obiekt, „Whorl”, porusza się innym torem i w różnych odstępach zbliża się do Błękitu, Zieleni lub obu naraz. Podczas mniej więcej dwudziestu lat pobytu na Błękicie nie obserwowaliśmy takich koniunkcji, z czego wynikałoby, że ich rytm jest o wiele wolniejszy. Dla uproszczenia przyjąłem, że odstęp między koniunkcjami z „Whorlem” jest dziesięciokrotnie dłuższy, czyli wynosi sześćdziesiąt lat. Spędziliśmy na Błękicie zaledwie trzecią część tego czasu, ja zaś byłem pewien, że patere Kwezal, zanim umarł, przez trzydzieści trzy lata był prokuratorem Vironu. Razem dawało to pięćdziesiąt trzy lata i (przy zawożeniu sześćdziesięcioletniego cyklu) zostawiało mu

siedem lat na dotarcie do „Whorla”, zostanie augurem i awans na najwyższe stanowisko w Kapitulie.

Byłby to jednak okres dość krótki; czas potrzebny na tego rodzaju karierę oceniałem na co najmniej piętnaście lat. Jeżeli rozumowanie, które tu przytaczam, było słuszne — to znaczy jeśli patere Kwezal faktycznie przemierzył międzygwiazdną pustkę i dotarł do „Whorla” w taki sam sposób, jak inni inhumy przenoszą się z Zieleni na Błękit — od ostatniej koniunkcji musiało wówczas minąć sześćdziesiąt osiem lat. Ani wtedy, ani teraz nie zanoszą się na to, by takie zjawisko się powtórzyło. Wnioskuje z tego, że odstęp między koniunkcjami musi być jeszcze dłuższy — powiedzmy sto lat.

Już wtedy, na slupie, zdawałem sobie jednak sprawę, że możliwe są inne wytłumaczenia takiego stanu rzeczy. Lądownicy miały kursować w tę i z powrotem między „Whorlem” i nowymi whorłami, przewożąc kolonistów. Patere Kwezal mógł dostać się na pokład lądownika, który taką drogę pokonał dawno temu, o którego podróży nie wiedziała ani załoga, ani nawet Pah, o nas, mieszkańcach Starego Vironu, nie wspominając.

Trzecia możliwość, o której pomyślałem, zakładała, że inhumy sami zbudowali lądownik, przylecieli nim do „Whorla”, a potem rozdzielili się i polowali w pojedynkę.

Przede wszystkim jednak — i to właśnie zamierzałem powiedzieć Aldze — najgorsze w inhumach było to, że tak mało o nich wiedzieliśmy. Przeróżająco mało. Nic nie wskazywało na to, żeby produkowali broń, budowali domy, łodzie i inne rzeczy, chociaż pozory mogły być mylące. Skrzydlate żołnierki generał Saby nigdy nie latały z plecakami na plecach; w powietrze zabierały tylko broń i zapas dwudziestu naboju. Podobnie

lotnicy przenosili tylko swoje moduły napędowe (które pozwalały im latać, nie były więc balastem) i przyrządy. Pomyślałem, że inhumi z jeszcze większą niechęcią obciążają się zbędnym brzemieniem. Latali przecież znacznie szybciej i dalej niż żołnierki rani.

Dalej nawet niż lotnicy.

Zabrakło mi wczoraj wieczorem zapału, żeby napisać wszystko to, co chciałem — a było tego sporo. Przejrzawszy wczorajsze zapiski dziś rano, na spokojnie, dochodzę do wniosku, że w większości nie były warte zachodu. Moi czytelnicy — jeśli w ogóle osoby tak niezwykle będą kiedykolwiek istnieć — mogą same sobie snuć domysły, i to zapewne trafniejsze od moich. Nie zdążyłem napisać wprost (choć powinienem był, bo to ważne i prawdziwe), że na Błękanie mieliśmy mgliste pojęcie o naturze i zdolnościach inhumich. Kiedy nas najeżdżali, nie mogliśmy odpowiedzieć tym samym; oni wiedzieli o nas bardzo dużo, my o nich prawie nic. Przybywali z Zieleni, umieli latać, mówić i nas naśladować. Byli silni, świetnie pływali, pili naszą krew i prawie nigdy nie używali broni, tym bardziej, że woleli podstęp od otwartej walki. Niewielu kolonistów na Błękanie wiedziało o nich coś więcej; większość nie wiedziała nawet tyle.

Byłem od tej większości o tyle mądrzejszy, że rozmawiałem z Kwezalem, a także z Jedwabiem i obecnym prolokutorem, którzy znacznie lepiej niż ja znali Kwezala. Wiedziałem więc, że inhumi umieją udawać całą gamę ludzkich emocji, a może nawet odczuwać je podobnie jak my. Zdawałem sobie sprawę,

że ich podstęp z naśladowaniem nas opiera się na doskonałym zrozumieniu ludzkich zachowań i myśli. Podejrzywałem, że umięją oszukać samych bogów — Echidna wiedziała przecież, że prolokutor był obecny przy jej teofanii, ale nie dała po sobie poznać, że wie, że jest inhumim. Inna sprawa, że mogło jej to być obojętne, bo — na przykład — nie odróżnia nas od nich.

Z drugiej strony byłem przekonany, że kiedy Pleśń mówiła o patere Remorze, ówczesnym koadiutorze, że rozmawia z tym, „którego nie ma”, nie chodziło jej o to, że patere się modli. Miała raczej na myśli, że dla jej wędrującego ducha patere Kwezal zwyczajnie nie istnieje.

Już wkrótce Alga i ja mieliśmy zawrzeć bliższą znajomość z inhumimi, ale piszę tu o tym, co wiedziałem i czego się domyślałem wtedy, na łodzi, nawet jeśli błędziłem w mych rozważaniach.

Moi doradcy — porządni ludzie, mający jak najlepsze zamiary wiecznie upominają mnie, żebym wreszcie wziął się do pracy, chociaż nie używają aż tak bezczelnych słów. Jeżeli trzeba coś zrobić, chcieliby, żebym zadziałał natychmiast, bez wahania. Ścięgno był taki sam: kiedy zapowiedziałem, że będziemy budować nową łódź, chciał od razu wyciąć kil. Założę się, że byłby najszcześliwszy, gdybyśmy tego samego dnia skończyli. Jego niecierpliwość należy złożyć na karb młodości, na pewno z niej wyrośnie. Może nawet już wyrósł.

Kiedy Rajya Mantri, Hari Mau i pozostali zachowują się podobnie, wynika to chyba z ich długiej tradycji wojskowej. Szybkość działania jest esencją każdej wojny, o czym

przekonałem się dawno temu, obserwując generał Miętę w akcji. Nie jest natomiast niezbędna w czasie pokoju.

Wieczorem Alubuchara (okrągła, słodka i niemal równie ciemnoskóra jak owoc o tej samej nazwie) powiedziała mi: — Jeśli chce się coś powtórzyć, nie należy się spieszyć.

Nie sędzę, by to było ogólnie znane tutejsze przysłowie; z pewnością już bym je dawno usłyszał. Zakładam więc, że to powiedzenie przyswoiła sobie od matki, co nie zmienia faktu, że nadaje się ono na maksimum dla sądów i rządów wszelkiej maści, dla żeglarzy takich jak ja, i dla pisarzy. Przekonałem się, że trudna decyzja staje się łatwiejsza, jeżeli sędzia ogarnie całokształt sprawy. Kiedy chcemy nałożyć na barki ludzi nowe brzemie, należy zdjąć z nich dwa inne, starannie wybrane. Ci, którzy żeglują szybko, nie dopływają daleko; tego, co napisane w pośpiechu, nikt nie czyta. Nie warto.

Chciałbym, żeby tę relację przeczytało jak najwięcej ludzi (bardzo się cieszę, że ty ją czytasz). Kiedy stanie się szeroko znana, trafi też do mężczyzn i kobiety, na których uwadze najbardziej mi zależy. Synowie moi, tak bardzo was kochałem! Czy naprawdę teraz do was przemawiam? Pokrzywo najdroższa, czy pamiętasz naszą pierwszą wspólną noc w pałacu calde? Nie przeżyliśmy później drugiej takiej nocy — i nigdy już nie przeżyjemy. Mam nadzieję, a nigdy w życiu nie mówiłem bardziej szczerze i z większym przekonaniem, że nie byłaś mi wierna, że znalazłaś sobie dobrego, prawego człowieka, który zgodził się dzielić Twój los i pomóc Ci wychować synów. Słyszysz mnie, Pokrzywo?

Chciałem napisać, że po pierwszym spotkaniu z Kraitem do rana nic się już nie wydarzyło. Przesiedziałem noc pod

fordekiem, głaszcząc biednego Babbiego po głowie. No, to już zapisane.

Powinienem był jednak wspomnieć, że Alga miała rację, spodziewając się z mojej strony pytań o boginię morza, którą nazywała Matką. Kiedy okazało się, że nie ma ochoty o niej rozmawiać, próbowałem dociekać prawdy — a przynajmniej jakichś jej okrucichów — w mniej bezpośredni sposób. Zapomniałem o tym wspomnieć, tak szybko pędziłem z opowieścią naprzód. Jeśli niecierpliwość Ściągną wynika z jego młodego wieku, to skąd bierze się moja?

Mówię o okrucichach prawdy, bo nawet Alga, która trafiła pod opiekę bogini zanim nauczyła się pływać, nie mogła wszystkiego o niej wiedzieć.

A skoro o tym mowa — kto mógłby znać całą prawdę o Aldze? Na pewno nie ona sama. W czasie, o którym piszę, czasie przed Kraitem, nie rozumiałem jeszcze do końca, na czym polega zagadka, ale teraz to napiszę, żeby każdy mógł sam ją rozważyć. Jak by nie patrzeć, moja książka powstaje nie tylko ku uciechu czytelników.

Zagadka Algi przedstawia się następująco: jeżeli Matka zaopiekowała się nią po to, żeby Alga mogła zwabić następnych (podobnie poluje się czasem na ptaki), to czy posłała ją między ludzi, żeby skusiła więcej ofiar, czy żeby robiła to lepiej? Innymi słowy: czy serce Matki zmiękło, czy też Alga jest narzędziem w realizacji jej planu, który zakończy się naszym unicestwieniem? Odpowiedź na to pytanie jest bardzo ważna. Musimy ją Poznać.

Przed południem wiatr się wzmógł, liny zaskrzypiały i ruszyliśmy z miejsca. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy nie wciągnąć dodatkowych żagli. Byłem z natury ostrożnym żeglarzem, ale na — V/et najbardziej przeczulenii ludzie morza powinni unikać raf przesadnej ostrożności. Wyglądało zaś na to, że więcej żagla pozwoli nam przyspieszyć, a niczym nam nie będzie zagrażało.

Dłuższy czas spędziłem, wpatrując się w widnokrąg na zachodzie, plując za burtę i tarmosząc w zadumie brodę (Alga była tym wszystkim setnie ubawiona, co sprawiało mi przyjemność, chociaż jej o tym nie powiedziałem), aż wreszcie wymyśliłem, jak zwiększyć powierzchnię grota: przedłużyłem bom, przywiązawszy do niego kawał drąga, i rozpiąłem na nim podłużną, trójkątną płachtą, której czubek umocowałem do gafla. Wyszło mi to nadspodziewanie dobrze, wyciągnąłem więc następny trójkątny żagiel, taki niby — kliwer, i umocowaliśmy go na forsztagu, tak jak to widziałem na statku Białozora. Obiecałem Aldze, że ściągniemy oba, gdy tylko zerwie się mocniejszy wiatr — i sam od razu poczułem się pewniej.

Dzięki tym zabiegom jeszcze przed zachodem słońca wypatrzyliśmy wyspę na horyzoncie. Zakładaliśmy naturalnie, że jest to ta sama wyspa, na której Strik uzupełnił zapas wody pitnej; nie wiem, czy się nie myliliśmy. Z pewnością pasowała do opisu i trafiliśmy na nią, płynąc według wskazówek Strika — czyli ostrym halsem, prawie dokładnie na zachód. Później przekonałem się, że wzdłuż wybrzeża ciągnie się cały łańcuch podobnych wysepek: wysokich, wyrastających prosto z morza, porośniętych soczyście zielonym lasem. Wiatr wiał z

południowego zachodu. Szybko znaleźliśmy zaciszną zatoczkę od północnej strony wyspy i uchodzący do niej wartki strumień.

Rzuciliśmy kotwicę i napełniliśmy butelki wodą. Opuściłem Babbiego na ląd, żeby sobie pobiegał i rozejrzał się po lesie. Prawdę mówiąc, miałem wyrzuty sumienia, że tak często zostawiałem go na słupie, kiedy płynęliśmy wzdłuż wybrzeża. Myślałem nawet o tym, żeby zostawić go na wyspie: mógłby dojść do zdrowia i przy okazji odzyskać wolność. Na pewno byłoby mu tam lepiej niż na mojej ciasnej łupinie. Pamiętałem też, że Jedwab kilkakrotnie próbował zwrócić wolność Orebowi, a ja przez całe życie starałem się go naśladować (dalej się staram, także tu, w Gaonie). Czasem mi się nawet udawało.

Chyba idzie mi coraz lepiej — w każdym razie oni tak uważają. Ale chyba powinienem się przespać.

Za wcześnie wczoraj skończyłem, powinienem był jeszcze dodać, że spędziliśmy noc w zatoczce. Położyliśmy się z Algą spać pod fordekiem, na szczęście tym razem bez Babbiego. Zapytała mnie, czy rano płyniemy dalej. Po tonie jej głosu poznałem, że wolałaby dłużej zatrzymać się na wyspie.

Odpowiadało mi to, odparłem więc, że chciałbym zapolować; przy odrobinie szczęścia moglibyśmy następnego dnia zjeść na kolację świeże mięso. Jeśli mnie pamięć nie myli, nie mieliśmy już mięsa na pokładzie, nie licząc kawałka przesolonej szynki od Szpika. A ja miałem jej dość tak samo, jak miałem dość ryb.

Dzień wstał pogodny, a wraz z nim pojawił się nowy problem, który uznałem za całkiem poważny (nie wiedziałem

jeszcze, co czeka mnie na wyspie). Alga koniecznie chciała iść ze mną, Babbie — o ile to możliwe — jeszcze bardziej zapalił się do tego pomysłu. Okrucieństwem byłoby zostawić go na łodzi, ale doskonale zdawałem sobie sprawę, że gdyby coś się stało ze słupem, straciłbym wszelkie szanse na sprowadzenie Jedwabia do Nowego Vironu.

Myślałem o tym, żeby kazać mu zostać, ale jaki byłby pożytek z młodego husa? Z młodego husa, który, przypomnę, wcale nie był w pełni sił? Gdyby zerwał się sztorm, niewiele by zdziałał; gdyby inna łódź przyplłynęła — tak jak my — po wodę, marynarze mogliby go bez trudu zabić.

Przyszło mi też do głowy, że mógłbym poprosić Algę, żeby została. Jednak przy gwałtownej zmianie pogody Alga mogła co najwyżej zwinąć żagle (które na postoju i tak były już zwinięte) i nie ruszać słupa z cichej zatoczki (do tego z kolei wystarczyła kotwica). Jeśli zaś chodzi o ochronę przed napastnikami, to co mogła wskórać bezbronna, jednoręka kobieta? Jeśli przypadkowi żeglarze byliby uczciwi, słup nie potrzebowałby ochrony; jeśli trafiliby się bandyci, mogliby zgwałcić Algę, zabić ją, lub zrobić jedno i drugie.

Rozważałem i taką możliwość, że to ja zostanę na łodzi, ale Alga nie umiała strzelać i mogła łatwo wpaść w tarapaty. Skończyło się na tym, że poszliśmy wszyscy. Tak musiało być.

Wyglądało na to, że tylko nieliczne ptaki zamieszkują gęsto niesione zbocza cichej, spokojnej i samotnej wysepki. Potężne drzewa czepiały się skał, na których, zdawałoby się, żadne drzewo nie miało prawa się utrzymać; gdzie indziej zapuszczały korzenie w głąb żyznej ziemi ukrytych w gąszczu dolin. Na Zieleni rośnie niezliczone mrowie drzew, olbrzymich kanibali, dziesięć razy większych od wszystkiego, co widziałem

na tej wyspie. Ale na Zieleni trwa ciągła walka — drzewa zmagają się nie tylko ze sobą nawzajem, ale i z poskręcanyimi morderczymi pnączami, które od pierwszego spojrzenia wydały mi się wcieleniem zła.

Masywne pnie i skalne występy, które napotkaliśmy na wyspie, przypominały odległe urwiska Zieleni w tym samym sensie, w jakim domowy kociak przypomina tygrysa. Odkryliśmy wśród urwisk głęboką jaskinię, dość wysoką, by dało się do niej wjechać konno i w kapeluszu. Miała suche dno, w jednym tylko miejscu zbierała się sadzawka chłodnej, czystej wody. Rozmawialiśmy z Algą o tym, że moglibyśmy do niej wrócić po sprowadzeniu Jedwabia do Nowego Vironu. U wylotu jaskini zbudowalibyśmy ścianę z grubych bali i żylibyśmy spokojnie, przez nikogo nie niepokojeni, do końca swoich dni. Założylibyśmy mały ogródek, polowali na ptaki i drobne zwierzęta, łowili ryby. Czy to przestępstwo snuć takie plany? Wiedziałem, że nigdy ich nie zrealizujemy, bo Pokrzywa z dziećmi będą czekać w piapierni na mój powrót.

Zresztą nawet gdybym nie wrócił, ten sen nie mógł się ziścić.

Pewien jestem jednak, że Alga w niego wierzyła. Zachowałem się zatem tchórzliwie i okrutnie, dzieląc z nią to marzenie, zamiast od razu je rozwiąć. Był to z mojej strony, jak by powiedział Jedwab, poważny zły uczynek, zbrodnia, ja zaś byłem (i jestem) okrutnym potworem. To prawda, ale weź pod uwagę co innego: robiłem w życiu gorsze rzeczy, a tak przynajmniej przez pół godziny byliśmy najszczęśliwszą dwójką ludzi, jaką można sobie wyobrazić. Zewnętrzny może mnie za to potępić, ale nie jestem w stanie żałować tego czasu.

Jeżeli można powiedzieć, że Jedwab i Hiacynt na zawsze pozostali nad sadzawką w „Gronostaju”, czy ja i Alga nie

moglibyśmy — w tym samym sensie — zostać na wieki w pewnej suchej jaskini, wśród niebosiężnych, obwieszonych mchami drzew na wysepce, która dla mnie pozostanie po prostu „Wyspą”? Stwierdziłem przed chwilą, że jestem okrutny. Wiem, co mówię, wiem jednak i to, że wszechświat, ten whorl złożony z whorli, potrafi być znacznie bardziej okrutny. Mam tylko nadzieję, że nie dość okrutny, by odrzeć najdrobniejszą cząstkę mojej istoty ze szczęścia, którego zazналиśmy z Algą w tej jaskini.

Nadeszła chwila, w której chciałem wrócić na slup. Nie napotkaliśmy żadnej grubszej zwierzyny, nie znaleźliśmy żadnych śladów. Byliśmy zmęczeni i nawet Babbie, który na początku wyrywał się do przodu i węszył po okolicy, zaczął zostawać z tyłu. Najgorsze jednak było co innego, coś, do czego wołałem się nie przyznawać: nie wiedziałem, jak wrócić do łodzi. Bałem się, że będziemy musieli wyjść na plażę w pierwszym lepszym miejscu, a potem ruszyć skrajem morza w stronę zatoczki, w której rzuciliśmy kotwicę. Jak wspomniałem, opadliśmy już trochę z sił, a długi marsz powrotny jeszcze się nawet nie zaczął. Zanosilo się na to, że nie dotrzemy do łodzi przed zaciemnieniem.

Alga pokazała mi skalisty grzbiet, niezbyt odległy, ale ledwie widoczny pomiędzy drzewami.

— Zaczekajcie na mnie — powiedziała. — Wejdę na górę i zobaczę, co jest po drugiej stronie. Odpocznijcie sobie z Babbie, a ja zaraz wrócę.

Oczywiście powiedziałem, że pójdę razem z nią. Staralem się nawet torować drogę, choć kosztowało mnie to sporo wysiłku.

— Tam jest tak słonecznie — zachwyciła się Alga, kiedy pokonywaliśmy ostatni odcinek stoku. — Na pewno nie rosną tam żadne drzewa, nie takie wielkie jak tutaj.

Odparłem, że z tak wysokiego urwiska będziemy zapewne mogli oglądać wierzchołki drzew w dole, a przy okazji ogarniemy spojrzeniem całą wyspę i okalające ją morze.

Widok ze szczytu był może mniej dramatyczny, ale i tak niezwykły.

Koniec

W kotlinie nie rosło ani jedno duże drzewo, chociaż pełno ich było na okolicznych zboczach. Jej dno porastały krzewy, pnącza i małe samosiejki, dla których zabrakło miejsca w lesie — zielone, gęste i wprost przesycone świeżością, której nie umiem teraz opisać, ale tam, na wyspie, natychmiast ją poczułem. Po długich godzinach wędrówki przez duszny, odwieczny mrok lasu miałem wrażenie, że ktoś obudził mnie ze snu, wylewając na głowę kubel zimnej wody.

— Patrz! — zawołała Alga. — Patrz!

Przytuliła się do mnie. Jej głos zdradzał zadziwienie graniczące z nabożną czcią, ale przede wszystkim czułem, że drży ze strachu. Nie rozumiałem tych uczuć.

— Ściany, Rogu! Ściany! Nie widzisz?

Przetarłem oczy, rozejrzałem się i po chwili dostrzegłem zakrzywioną linię muru, całkowicie zagrzebaną w powodzi liści.

— Znam miejsca w morzu, w których też są takie ściany — dodała półgłosem. — „Pod wodą”, jak ty to mówisz.

Zacząłem schodzić w dół stoku. Alga niechętnie ruszyła za mną, Babbie również, choć z jeszcze mniejszym entuzjazmem.

— Ludzie tacy jak ty i ja, pochodzący z „Whorla”, nie mogli zbudować tych murów — zauważyłem. — Są za stare.

— Nie...

— To na pewno dzieło Zaginionego Ludu. Podobne miejsce, chociaż chyba nie tak stare, znajduje się w okolicy Nowego Vironu. Ściągnę mówić, że znalazł w lesie ołtarz. Opowiadałem ci o tym. — Alga się nie odezwała, więc obejrzałem się przez ramię. Ze strachem skinęła głową. — Ołtarz znajdował się pewnie kiedyś w jakiejś kaplicy, ale te ruiny tutaj są o wiele większe.

Potknąłem się o sterczące z ziemi kawałki szkła i przystanąłem.

— Chciałeś wracać — strach zakradł się już do jej głosu. — Ja też już chcę. Wracajmy.

— Zaraz.

Szkło miało ciemnoniebieski kolor, a przy tym było bardziej przejrzyste niż najlepsze szkło z Trójrzecza. Wziąłem jeden odłamek do ręki, mając absurdalne wrażenie, że pozwoli mi zobaczyć, jak wyglądała okolica przed setkami czy tysiącami lat. Nic takiego się nie stało, ale widziana przez szkiełko kotlina zdawała się bardziej rozświetlona słońcem niż widziana gołym okiem.

— Nic nie zostało — mruknęła Alga. — Nikt nie chce mieć do czynienia z tymi starociami, nawet drzewa.

— Coś nie pozwala im tu rosnąć. Może ziemia jest przesycona jakimś środkiem chemicznym, a może po prostu tuż pod powierzchnią kotlina jest wybrukowana. W każdym razie coś tu się niedawno zmieniło. Spójrz na te drzewka: najstarsze nie ma nawet dziesięciu lat.

Alga niepewnie pokręciła głową.

— Próbuję wymyślić, jak działa to niebieskie szkiełko. Wygląda, jakby widziało więcej światła krótkiego słońca niż my. Sama zobacz.

— Nie chcę. — Tym razem Alga z wyraźną niechęcią pokręciła swoją śliczną główką. — Nie chcę oglądać ich drzew i nie chcę Patrzeć przez ich szkiełka. Wracam z Babbielem na łódź.

— Moglibyśmy najpierw...

Prawie podskoczyłem i wypuściłem szkło z ręki. Roztrzaska się na ziemi.

— Co się stało? — zdziwiła się Alga.

Mówiąc, cały czas patrzyłem w głąb kotliny, i przez szkło dostrzegłem jakiś ruch. Pokazałem to miejsce strzelbą.

— Ten krzak się poruszył. Nie, nie ten duży, tylko mniejszy, obok. Chowa się tam jakieś zwierzę, i to całkiem spore.

— Nie idź tam!

Zrobiłem krok do przodu, ale Alga złapała mnie za rękę.

— Posłuchaj mnie najpierw, proszę!

Skinąłem główką.

— Nie wydaje mi się, żeby wylali tu na ziemię jakieś lekarstwo ani żeby pod ziemią były kamienie. Sądzę raczej, że po prostu dłużej tu przetrwali.

Ten pomysł mnie zaskoczył i zdziwienie musiało się odmalować na mojej twarzy.

— To samotna wysepka, z dala od lądu i zamieszkujących go ludzi. Przez długi czas naprawiali mury, malowali je, wykopywali drzewa i większe krzewy. Mówiłeś o dziesięciu latach?

— Tak.

Następny krzak, rosnący nieco dalej, lekko, ledwo dostrzegalnie zadygotał.

— Czyli dziesięć lat temu się poddali. Było ich za mało, żeby dalej opiekować się tym miejscem, mieli za dużo pracy, ich wysiłki straciły sens. Wiem, pomyślisz sobie, że jestem głupia...

— Wcale nie. Jesteś naiwna, ale to zupełnie co innego.

— Uważasz mnie za głupią, ale ja wiem, jak ludzie myślą, tacy ludzie jak my, na dwóch nogach. Wyobraź sobie, że tacy zwykli ludzie jak ty czy ja, czy żeglarze z tej drugiej łodzi, mieszkają tutaj. Przez jakiś czas naprawialiby łodzie i odbudowywali mury, ale potem ktoś by zmarł i zostałoby ich za mało, bo pracy mieliby wciąż tyle samo. Potem znów by ktoś umarł. W końcu przestaliby się troszczyć o mury, ale wcale by nie umarli. Nie wszyscy. Ci ostatni żyliby jeszcze dość długo.

— No dobrze. Jeżeli to jeden z Zaginionych, nie zastrzelę go, ale na pewno chciałbym go zobaczyć.

Nie wierzyłem, żebyśmy spotkali przedstawiciela Zaginionego Ludu. I miałem całkowitą rację.

Przez kilka minut, które wlokły się jak godziny, przetrząsaliśmy z Babbie pobliskie zarośla. W końcu wypłoszyliśmy zielonka, który wielkimi susami i zygzakiem — jak to zielonki — popędził przed siebie. Babbie rzucił się za nim w pościg, chrząkając z podniecenia.

Błyskawicznie uniosłem strzelbę do ramienia i zdążyłem oddać jeden strzał. Zielonek zatoczył się i upadł na kolana, ale natychmiast się poderwał, skręcił w prawo i przyspieszył. Zniknął w gąszczu, a ja pobiegłem za nim, zapominając o zmęczeniu. Kierowałem się podekscytowanym pochrząkiwaniem Babbiego.

Nagle spadłem w ciemność.

Bardzo chciałem w ten sposób i w tym właśnie miejscu zakończyć ten fragment opowieści — i zarazem dzisiejszą pracę. Wytarłem do czysta pióro Oreba, odłożyłem je, zamknąłem piórniki, znalezione w zgliszczach sklepu, gdzie

zapewne porzucił go mój ojciec, i zamknąłem szufladę, w której przechowuję swoje zapiski. Zebrał się już okazały plik kartek.

Ale mi się nie udało. To na pewno nie przypadek, tak jak nie przez przypadek dostałem mapę od Wijzera i nie przez przypadek wydarzyło się to, co się wydarzyło. Albo na moim upadku zakończę całą relację, albo nie zamknę jej wcale.

Powiem tak: kiedy spadłem w ciemność, skończyła się najlepsza część mojego życia. W tej jamie znalazła swój grób.

Musi być już bardzo późno, ale nie mogę zasnąć. Gdzieś daleko stąd Alga śpiewa pieśń swoim falom.

9

Krait

Kiedy odzyskałem przytomność, zbliżało się zaciemnienie. Leżałem dłuższą chwilę na plecach, na przemian otwierając i zamykając oczy i nie zastanawiając się nad tym, co widzę. Niebo pociemniało, pojawiły się pierwsze gwiazdy. Pamiętam, że Zielen weszła dokładnie nad moją zwróconą ku górze twarzą, później zaś zniknęła i zostały już tylko niewinne gwiazdy, które uciekły przed nią, lecz powróciły natychmiast, gdy tylko odeszła.

Mniej więcej wtedy zorientowałem się, że marznę. Czułem, że jest mi chłodno, i nie było mi z tym przyjemnie. Może się poruszyłem, zatarłem ręce, zamiast po prostu dygotać z zimna — nie wiem, nie pamiętam. Błyszczące oczy i twarze o ostrych rysach pojawiały się w moim polu widzenia i znikwały, ale nie prosiłem o pomoc — i pomocy nie otrzymałem.

Słońce mnie rozgrzało. Nie otwierałem oczu, żeby mnie nie poraziło. Kiedy zniknęło, rozchyliłem powieki i ujrzałem znajomy, kosmaty pysk Babbiego, wpatrującego się we mnie z krawędzi jamy. Zamknąłem oczy, a kiedy znów spojrzałem w górę, hus zniknął.

Chyba niedługo później ocknąłem się na dobre i usiadłem. Byłem przemarznięty, obolały i okropnie chciało mi się pić. Czułem się tak, jakby mój duch opuścił ciało i zostawił je same sobie, tak jak na Zieleni. W tym jednak wypadku wrócił, a moje

wspomnienia (choć nie miałem ich za wiele) były wspomnieniami cielesnymi, nie tylko duchowymi. Nastął kolejny dzień, dochodził wieczór. Siedziałem na ziemi, wśród opadłych liści, w dole głębokim na dwanaście łokci.

(Powinienem nadmienić, że miałem wtedy trzy łokcie i dwie dłonie wzrostu, znacznie mniej niż teraz. Kiedy podniosłem wzrok i przy resztkach dziennego światła oceniłem wysokość ścian jamy, oszacowałem je na trzy, cztery razy wyższe ode mnie).

Kiedyś były zrobione z gładkiego kamienia, który nie przypominał rakplastu, granitu ani żadnego innego znanego mi materiału. W niektórych miejscach wykruszył się i spod spodu przezierały luźna ziemia i żwir. Na ich widok nabrałem otuchy — miałem nadzieję, że wdrapię się na górę — ale kiedy spróbowałem wstać, zakręciło mi się w głowie i musiałem szybko z powrotem usiąść, żeby się nie przewrócić.

Można sobie wyobrazić, że dół miał pełnić rolę pułapki, ale ja w to nie wierzę. Wydaje mi się raczej, że był pozostałością budowli Zaginionego Ludu, piwnicą jakiejś wieży czy czegoś w tym rodzaju. Wieża (o ile faktycznie stała w tym miejscu wieża) zawaliła się wieki temu. Gruz rozsypał się po kotlinie, a odsłonięte podziemia zbierały ofiary w postaci zeschniętych liści i takich pechowców jak ja. Zdradzieckie pnącza zarosły otwór, tworząc pokrywającą go matę, którą, wpadając do środka, podarłem na strzępy. Parę długich lian zwisało się z krawędzi jamy i wyglądało na to, że z ich pomocą zdołałbym się z niej wydostać, pod warunkiem, że udałoby mi się ich dosięgnąć. Na razie jednak nie miałem nawet dość siły, żeby ustać na nogach.

O dziwo, w nocy nie zmrużyłem oka, chociaż po upadku Przespałem co najmniej trzy dni. Nie spałem więc, lecz

dygocząc z zimna, usiłowałem zgarnąć liście w jedno miejsce, żeby było mi ciepłej — albo przynajmniej trochę mniej zimno — kiedy się na nich położę. Znalazłem przy okazji strzelbę i objedzone do czysta czaszki i kości kilku małych zwierząt, z których łatwo mogłem wywróżyć sobie przyszłość. Modliłem się. Mniej więcej co godzina strzelałem w powietrze ze strzelby, licząc na to, że Alga, gdziekolwiek jest, usłyszy strzały i zrozumie, że jeszcze żyję. Kiedy zostały mi ostatnie dwa naboje, postanowiłem zachować je na później, gdy będę miał podstawy sądzić, że ktoś jest w pobliżu.

(Miałem chyba nadzieję, że usłyszę jej głos. Tymczasem teraz słyszę ją doskonale, chociaż jest tak daleko stąd).

Potem postanowiłem strzelić jeszcze raz i zostawić sobie tylko jeden nabój.

Nastał ranek i zrobiło się ciepło. Nad krawędzią ujrzałem nową twarz, którą wziąłem za twarz chłopca lub drobnego mężczyzny.

— A, tu jesteś — powiedział.

Wstał. Przypuszczalnie właśnie wtedy zauważyłem, że jest nagi. Musiałem też zwrócić uwagę, że nie jest człowiekiem, ale na moim otępiałym umyśle nie zrobiło to wielkiego wrażenia.

Po chwili ku mojemu zdumieniu zeskoczył do mnie, na dół.

— Chcę cię stąd wyciągnąć — oznajmił.

Na pewno ironizował, ale świetnie się z tym maskował. Oto mój wybawca.

— Chcesz, żebym to zrobił?

Logicznie rozumując, powinienem był zwrócić mu uwagę, że jest w tej chwili w równie beznadziejnym położeniu jak ja, ale, naturalnie, nie zająknąłem się o tym ani słowem.

— Bardzo proszę — odparłem i chyba skinąłem głową. — Pomóż mi, jeśli możesz.

— Mogę, o ile się na to zgodzisz. Zgadzasz się?

Na pewno znów pokiwałem głową.

Przybysz podszedł bliżej; był drobny i nie umiałem określić jego płci. Podniósł moją strzelbę, przeładował ją i uniósł do ramienia, celując w słońce — albo po prostu w krawędź jamy.

— Nie umiem z tego strzelać, Rogu, ale ty tak.

— Uważaj. — Mój głos był skrzekliwy i brzmiał zupełnie obco. — Jest odbezpieczona, a ty właśnie wprowadziłeś nowy nabój do komory.

— Wiem. — Kiedy się uśmiechał, kły zachodziły mu aż na podbródek. — Mógłbyś mnie zabić. Wystarczyłoby, żebyś wycelował i pociągnął za spust, prawda?

— Nie zrobię tego.

— Bo straciłbyś ostatnią szansę ratunku.

Podrapał się kłębem w nasadę dłoni, jakby sprawdzał, czy jest wystarczająco ostry.

— Wiem o tym.

Roześmiał się radośnie i szczerze. Jak dziecko.

— A wiesz także, kim jestem?

— Wiem, czym jesteś. Czy o to ci chodzi?

— Ale nie „kim”?

Byłem już przekonany, że przyszedł mnie zabić. Spuściłem wzrok i gapiłem się na liście na ziemi.

— Jestem twoim najlepszym przyjacielem, Rogu, najlepszym w całym whorlu. Masz innych przyjaciół?

Usiadł naprzeciwko mnie i położył sobie strzelbę na kolanach.

Nie miałem nic do powiedzenia, więc milczałem.

— Nienawidzisz mnie i moich rodaków; kiedy odwiedziłem was na łodzi, nie pozostawiłeś mi co do tego cienia wątpliwości. Skąd ta nienawiść?

Pomyślałem o Ściągnie, czerwonosinym i ledwie żywym, leżącym w łóżeczku, które mu wyszykowaliśmy.

— Gdybyś mnie stąd wy dostał, przestałbym cię nienawidzić. Byłbym ci wdzięczny.

— A dlaczego nienawidziłeś mnie, kiedy po przebudzeniu zastałeś mnie na łodzi?

Długo, co najmniej minutę zbierałem się do odpowiedzi, ale wyglądało na to, że jest gotów na nią czekać choćby i cały dzień.

— Dobrze wiesz — mruknąłem w końcu.

— Nie, nie wiem. — Pokręcił głową. — Wiem, dlaczego mieszkańcy Błękitu nas nie lubią; jest mi przykro, ale ich rozumiem. Nie rozumiem natomiast, dlaczego ty, osobnik o imieniu Róg, nienawidzisz mnie z taką pasją.

Nic nie powiedziałem.

— Mnie, nie mojej rasy, lecz właśnie mnie. Bo tak jest. Czuję to — Dlaczego Róg mnie nienawidzi? Nie przedstawię się jeszcze; nie zdecydowałem się do końca, jakie imię przyjąć, a czasu mam mnóstwo. Dlaczego mnie nienawidzisz?

— Wcale cię nie nienawidzę — nalegałem. — Na słupie się bałem, bo wiedziałem, że chcesz naszej krwi.

Czekał w napięciu, co powiem.

— Wiem o inhumich dość, żeby dziesięć razy umrzeć ze strachu. Wiem, jacy jesteście silni, pływacie lepiej od nas, umiecie latać. Zdaję sobie sprawę, jacy potraficie być sprytni.

— Naprawdę? To powiedz mi, chętnie posłucham o naszym sprycie.

— Znasz mój język nie gorzej ode mnie. Gdybyś chciał, mógłbyś podać się za człowieka, a ja dałbym się nabrać. Jeden z was był naszym prolokutorem we whorlu długiego słońca. — Zawahałem się. — Mam ci wytłumaczyć, kto to jest prolokutor?

Pokręcił głową.

— Mów dalej.

— Udawał ledwie żywego staruszka, ale każdego umiał przejrzeć na wylot. Niejeden raz przechytrył naszą Ayuntamiento. Wszystkich oszukał; nigdy nie podejrzewaliśmy, kim naprawdę jest.

— Rozumiem. Przebiegły wróg, który omal was nie zniszczył.

Kiedy patrzyłem mu w oczy pod odpowiednim kątem, pojawiał się w nich blask do złudzenia przypominający żółty ogień.

— Nie, nie był moim wrogiem, lecz przyjacielem. No, w każdym razie był przyjacielem Jedwabia, tak jak ja.

Byłem tak umęczony, że nie zastanawiałem się nad tym, czy inhumi mógł słyszeć kiedykolwiek o Jedwabiu.

— Chcesz powiedzieć, że nienawidziłeś go, bo zaprzyjaźnił się z twoim przyjacielem?

— Za bardzo to uprościłem.

— Wiele rzeczy jest bardzo prostych.

— Patere Kwezal nie był człowiekiem, a my o tym nie wiedzieliśmy. Był jednym z was! Żywił się krwią!

— Chciałbym z nim porozmawiać — powiedział inhumi, najwidoczniej sam do siebie.

— On nie żyje.

— Ach tak. Zwróciliście się przeciwko swojemu przyjacielowi i zabiliście go, kiedy się okazało, że jest jednym z nas, tak?

Chciałem powiedzieć, że niestety, nie zrobiłem tego i teraz żałuję, co byłoby szczerą prawdą. Chciałem jednak — rozpaczliwie pragnąłem — wydostać się z jamy.

— Nie, nie zabiliśmy go. Dopiero po jego śmierci dowiedzieliśmy się, kim był. Postrzeliły go żołnierki Trivigaunte, z którymi walczyliśmy. Rana była śmiertelna.

To też była szczerą prawdą.

— Zatem nienawidzisz go, bo was oszukał i pił waszą krew, i przenosisz tę nienawiść na mnie? Tak po prostu?

— Wysałeś krew Babbiego.

— Masz na myśli swojego husa? Tak, zrobiłem to. Coś jeszcze?

— Mam żonę i dzieci... — zacząłem.

— Wiem — wszedł mi w słowo. — Na wyspie, którą nazywacie Jaszczurką.

W tym momencie chyba opadła mi szczeka.

— Ponieważ odpowiadasz na moje pytania, ja też na to jedno ci odpowiem. Kiedy spotkaliśmy się na słupie, syrena, która ci towarzyszyła, powiedziała, że rozmawialiście z załogą jakiejś innej łodzi. Pamiętasz?

— Syrena? — Byłem oszołomiony, nie miałem głowy do zagadek. — Masz na myśli Algę?

— Jeżeli zgodzimy się, że tak ma na imię...

— Jest bardzo ładna — przyznałem. Próbowałem przełknąć ślinę, ale gardło wyschło mi bardziej niż dłonie. — Ale nie jest... uwodzicielką. Jest jeszcze bardzo młoda.

Uśmiechnął się. Zapomniałem, że inhumi to potrafią.

— Zapomnijmy, że użyłem tego słowa. Młoda dama, która z tobą była, powiedziała, że rozmawialiście z ludźmi z innej łodzi.

— Nie mogłeś się w ten sposób o nas niczego dowiedzieć.

— Ależ mogłem. I dowiedziałem się. Znalazłem tę łódź, która żeglowała w pobliżu, i porozmawiałem z jej załogą. Naturalnie wzięli mnie za jednego z was. Podałem im trochę cennych — choć zmyślonych — informacji, oni zaś w zamian powiedzieli mi, jak się nazywasz, jak się nazywa twoja żona i, co najbardziej mnie interesowało, dokąd zmierzacie. Niewiele jest miast, w których mężczyzna może nosić imię Róg. Najbliżej miałem do Nowego Vironu. Jak wiesz, latamy znacznie szybciej, niż wy żeglujecie. Popytałem w mieście i bez trudu dowiedziałem się, czego chciałem.

Jeżeli na mojej twarzy odmalowały się inne emocje niż gniew, nie były prawdziwe. Miałem wielką ochotę wyrwać inhumieniu strzelbę i go zabić.

— Skrzywdziłeś moją rodzinę?

— Nie. Przeleciałem nad wyspą, obejrzałem twój dom i papiernię. Ja też bywam ciekawski, jak każdy. Zobaczyłem na plaży kobietę zapatrzoną w morze, starszą i bardziej zwyczajną niż twoja nowa żona na łodzi. Nie zrobiłem jej krzywdy. Nie sądzę też, by mnie widziała. Czy to ci wystarczy?

Skinąłem głową.

— To świetnie. Weź ją, dobrze? — Podał mi strzelbę. — W przeciwieństwie do mnie umiesz z niej strzelać, więc lepiej będzie, jeśli to ty będziesz ją trzymał.

Odruchowo wziąłem ją od niego i przesunąłem bezpiecznik.

— Nie zastrzelisz mnie? — Uniósł ręce, udając, że się poddaje.

— Nie, nie zastrzełę.

— Coś sobie przypomniałeś, czuję to. Powiesz mi?

— Nic ważnego.

Głowa pękała mi z bólu. Nadzieja, która na chwilę czy dwie tchnęła we mnie nowe życie, zgasła. Może powinienem wsadzić

sobie lufę do ust? Kto wie, czy to nie najlepsze wyjście?

— Powiedz, proszę.

Nie wiem, dlaczego go posłuchałem; może spowodował to wstrząs wywołany słowem „proszę” w ustach jednego z tych potworów.

— Przypomniało mi się, co kobieta imieniem Acalypha mówiła kiedyś Pokrzywie o pewnym człowieku, umierającym z głodu więźniu. Nazywał się Pawian. Spotkała go w tunelach. Pod całym whorlem długiego słońca, w którym mieszkałem, rozciąga się labirynt podziemnych tuneli.

— Więc ten Pawian tam był... — podpowiedział mi inhumi.

— I chciał uciec. Każdy by chciał. Miał łuk, ale Alka, towarzysz Acalyphy, powiedział, że Pawian ich nie zastrzeli, bo są jego jedyną nadzieją. Bez nich nigdy nie wydostałby się na powierzchnię.

— To samo mówiłem. Dokładnie to samo. Trzeba było uważać. Gdybym pomógł ci stąd wyjść, naraziłbym się na wielkie niebezpieczeństwo, prawda? Chyba że najpierw pozbawiłbym cię strzelby i noża.

Miał gadzią twarz, ale wyższe niż u gada czoło. Mówił chłopięcym głosem, głosem mojego syna.

— Nie — zapewniłem go. Byłem tak zrozpaczony, że nie chciało mi się kłócić. — Gdybyś mnie uwolnił, nie zrobiłbym ci krzywdy. Nigdy.

Inhumi wstał.

— Na razie muszę iść, a ty sobie to wszystko przemyśl. Moglibyśmy was zabić. Wszystkich. Jesteśmy silniejsi, jak słusznie powiedziałaś, i umiemy latać. Nasz gatunek jest starszy niż wasz; posiadliśmy umiejętności, o jakich wy nie możecie

nawet marzyć. Skoro nas nienawidzicie i zabijacie przy każdej okazji, co nas powstrzymuje?

— Wam chodzi o naszą krew.

— Właśnie. Jesteście naszym bydłem.

Myślałem, że wzniesie się w powietrze, ale on zamiast tego wdrapał się po gładkiej ścianie jamy zwinnie jak wiewiórka po pniu drzewa; zrobił to z taką łatwością, że przez chwilę łudziłem się, że mógłbym powtórzyć jego wyczyn. Trzymałem kciuk na bezpieczniku strzelby... Ale nie, bez inhumiego nie mogłem wydostać się na górę. Tak samo jak nie mogłem uciec przed wspomnieniem z czasów, kiedy Ściągną jeszcze nie było na świecie, a Racity i Skóry nawet w planach: wraz z Pokrzywą rozpaczliwie próbowaliśmy pomóc krowie, która zapadła się w ruchomych piaskach. Mieliśmy nadzieję (próżną, muszę dodać), że właściciel podaruje ją nam, jeśli ją uratujemy.

Potem inhum zniknął na dobre, a ja, wsparty na strzelbie jak na kuli, wstałem i jak ostatni dureń usiłowałem wspiąć się na ścianę.

Próbowałem do upadłego, ale nie wdrapałem się nawet do połowy.

Wczoraj odłożyłem pióro, bo nie mogłem się zmusić, żeby opisać do końca tamten dzień, albo noc, która po nim nastąpiła, albo następny dzień, kiedy to zlizywałem rosę z murów jamy — najpierw na leżąc, później na klęczkach, a potem, kiedy krótkie słońce wyjrzało znad krawędzi, stojąc na palcach, ścierałem wilgoć dłońmi ze ściany nad głową i wkładałem palce do ust, gdy tylko poczułem, że są mokre. Zebrało się tego łącznie

ze dwie garście wody, na pewno nie więcej. Prawdopodobnie mniej.

Wcześniej modliłem się, a potem przeklinałem w duchu wszystkich bogów, kiedy okazało się, że zesłali mi Kraita jako wybawcę. Tego dnia, naturalnie, nie w głowie mi były pacierze.

O tym miałem najmniejszą ochotę wczoraj pisać, ale dziś wieczorem spróbuję. W pewnej chwili, kiedy tak leżałem na dnie jamy, odniosłem wrażenie, że stoi nade mną człowiek z niezwykle długim nosem (bardzo wysoki człowiek albo ogromny pajak). Nie poruszyłem się ani nie otworzyłem oczu; wiedziałem, że jeżeli to zrobię, będzie po mnie. Ten człowiek dotknął mojej głowy czymś, co trzymał w dłoni, i mury zniknęły.

Stałem w kuchni w naszym domu. Pokrzywa warzyła zupę; patrzyłem, jak wrzuca do kociołka cały talerz pokrojonego w kostkę mięsa. Rozgarnęła żar. Kiedy się odwróciła i zobaczyła mnie, objęliśmy się i pocałowali. Tłumaczyłem jej, że wcale nie ma mnie w kuchni, że leżę na dnie jamy w ruinach budowli Zaginionego Ludu, na odległej, bezludnej wysepce, że umieram z pragnienia.

— Przyniosę ci wody — zaproponowała.

Poszła nad strumień i wróciła z czerpakiem pełnym czystej, chłodnej wody, ale nie mogłem się jej napić.

— Chodź ze mną — powiedziałem. — Pokażę ci, gdzie leżę. Jeśli tam dasz mi wodę, napiję się.

Wziąłem ją za rękę (tak, kochana Pokrzywo, wziąłem Twoją stwardniałą od pracy dłoń w moją) i próbowałem zaprowadzić na skraj dołu. Wtedy wytrzeszczyła na mnie oczy, jakbym był duchem, który wstał z grobu, i zaczęła krzyczeć. Nigdy nie zapomnę tego krzyku.

Leżałem, jak przedtem, na dnie jamy. Na niebie płonął złoty dysk krótkiego słońca.

Minęła godzina lub dwie, odkąd słońce przesunęło się nad jamą i zniknęło za jej przeciwległą krawędzią, kiedy inhumi wrócił. Stał na skraju, uczeplił się kamienia palcami stóp i spojrzał na mnie. Miał na sobie jedną z moich tunik i moje stare spodnie. Spodnie były za luźne w pasie i miały podwinięte do kolan nogawki, a tunika wisiała na nim jak ojcowski płaszcz na dziecku, które udaje dorosłego.

— Rogu! — zawołał. — Rogu!

Zdołałem usiąść i skinąć głową.

— Spójrz, Rogu, przyniosłem ci butelkę wody. — Pomachał mi butelką. — Wziąłem pustą i napełniłem ją po brzegi w źródelku, które znalazłem niedaleko stąd. Sprytny jestem, co?

Próbowałem coś powiedzieć, poprosić go o wodę, ale nie mogłem wykrztusić ani słowa. Pokiwałem tylko głową.

— Wszystko byś mi za nią dał, prawda? — Inhumi zeskoczył na dno jamy. — Wymienię ją na twoją strzelbę. Co ty na to?

Musiałem znów skinąć głową, bo nagle butelka znalazła się w moich rękach, chociaż inhumi nadal ją trzymał. Przytknąłem ją do ust i piłem, piłem, piłem. Nie uwierzylbym, że jestem w stanie duszkiem wypić tyle wody, ale tak właśnie się stało.

— Od razu ci się poprawiło — stwierdził inhumi.

Okazało się, że odzyskałem głos, chociaż wcale go nie poznawałem.

— Tak, dziękuję. Już mi lepiej.

— Wiem. Ja też byłem w takiej sytuacji. Przyniosłem ci nie tylko wodę, Rogu, lecz także zwój liny. Jest dość krótka, ale chyba wystarczająco mocna. Trudno coś nieść, kiedy się leci:

nie dość, że ciężar ściąga w dół, to jeszcze trzeba go trzymać stopami.

Uniósł nogę w taki sposób, że mało który człowiek mógłby go naśladować, a ja zobaczyłem, że palce u nóg ma równie długie jak ja u rąk, i zakończone szponami.

— Dziękuję — powtórzyłem. — Bardzo ci dziękuję.

— Wyciągnę cię stąd, jak nie sam, to z pomocą liny. Ale ty też będziesz musiał nam pomóc, a poza tym chcę, żebyś najpierw mi coś obiecał. Nie, nie obiecał, uroczyście przysiągł.

Skinąłem głową, próbując się uśmiechnąć.

— Mam tylko jedno pytanie. — Wyciągnął w moją stronę palec Wskazujący, dłuższy od mojego i również zakończony szponem. — Czy powiedziałbyś o sobie, że cenisz logikę i nie pozwalasz, by rządziły tobą emocje? Czy kierujesz się zdrowym rozsądkiem, nie bacząc na to, dokąd cię zaprowadzi?

Jąkając się i krztusząc, odparłem, że staram się i zawsze się za takiego człowieka uważałem.

— W takim razie cofnijmy się w czasie. Nie, nie do naszego spotkania na łodzi, nie musimy wracać aż tak daleko. Pytałem cię wczoraj, czemu mnie nienawidzisz, a ty podałeś mi dwa powody. Jeden był taki, że chciałem wyssać ci krew, drugi — że tam, na górze, dałeś się oszukać jednemu z nas i uwierzyłeś, że jest człowiekiem. Przypominasz to sobie?

— Tak.

Nie miałem pojęcia, do czego zmierza.

— Przegoniłeś mnie z łodzi, chociaż nie próbowałem cię oszukiwać. Czy gdybym nie pragnął twojej krwi — zaraz ci obiecuję, że nie będę jej pił — też byś mnie przepędził?

Ugasilem pragnienie, ale wciąż byłem osłabiony i kręciło mi się w głowie.

— Gdybym tylko mógł, to tak.

— Dlaczego?

— Jeden z was omal nie zabił mojego syna.

Inhumi pokręcił głową.

— To nie byłem ja. Nie masz lepszej wymówki?

— Wyssałeś krew Babbiego, a gdybyś miał okazję, opiłbyś się też krwią Algi.

— Przysięgam nie pić ich krwi, ale ostrzegam cię, na więcej nie licz. Tak samo jak ty, muszę coś jeść. Czy jeśli pomogę ci stąd wyjść, pozwolisz mi zostać na łodzi?

Zgodziłem się, przekonany, że nie będzie chciał mnie ratować.

— W swoim mieście cieszysz się dobrą opinią. Umiesz dotrzymać słowa? Czy twoje słowo jest dla ciebie święte, nawet jeśli to mnie coś obiecasz?

— Tak.

— Nie brzmi to przekonująco... Posłuchaj mnie, wiem, że płyniecie do Pajarocu.

Domyślałem się, że na dźwięk tej nazwy otworzyłem szerzej oczy.

— Tak mi powiedzieli żeglarze z tej drugiej łodzi. Zmierzacie zatem do Pajarocu. Powiedz, że tak.

— Owszem, próbujemy się tam dostać.

— Tak lepiej. Chcecie wsiąść tam na pokład lądownika i wrócić na wasz wielki statek.

Skinąłem głową, ale widząc, że to mu nie wystarczy, dodałem pośpiesznie: — Masz rację, chcielibyśmy polecieć do „Whorla”. Ja w każdym razie mam taki zamiar, a jeśli Alga będzie tego chciała i właściciele lądownika się zgodzą, zabiorę ją ze sobą.

Inhumi postukał się palcem w pierś. Jego nadgarstek wygiął się przy tym pod niewiarygodnym kątem.

— Chcę lecieć z wami. Czy pomożesz mi, jeśli ja pomogę ci się stąd wydostać?

— Tak.

Uśmiechnął się krzywo i zakołysał na piętach, tak jak to robił patere Kwezal.

— Nie mówisz poważnie.

— Ależ mówię.

— Będziesz musiał mnie przekonać. Posłuchaj, Rogu, zrobię wszystko, żeby pomóc ci w dotarciu do Pajarocu na czas, przed odlotem lądownika. Obawiasz się pewnie, że będę ci przeszkadzał, ale nie, nie będę. Pomogę ci ze wszystkich sił. Sam mówiłeś, że jesteśmy silni. Nie przydałby ci się taki przyjaciel? Chwaliłeś naszą przebiegłość; oddam ją na twoje usługi. Tylko nie mów, że mi nie wierzysz. Jeśli mi nie zaufasz, umrzesz.

— Ufam ci — powiedziałem.

Mówiłem szczerze. Oto prawdziwa miara ludzkiej — no, przynajmniej mojej — żądzy życia. Inhumi kazał, żebym mu zaufał, jeśli chcę żyć, więc mu zaufałem.

— To już coś. Pozwolisz mi do was dołączyć i wam pomóc? Obiecasz, że nikomu nie zdradzisz, kim naprawdę jestem?

— Tak, jeżeli mnie stąd wyciągniesz.

— Nadal nie mówisz poważnie. Wierzysz w bogów? W jakich?

Wyrecytowałem imiona Dziewięciorga.

— Który jest dla ciebie najważniejszy? Jak się nazywa?

— Pah Wielki.

— Coś kręcisz. Wydaje ci się, że możesz mnie oszukać, bo ja mogę oszukać ciebie? W takim razie mylisz się i lepiej żebyś od początku zdawał sobie z tego sprawę. Który jest dla ciebie najważniejszy?

Mój opór został ostatecznie złamany.

— Zewnętrzny. A zaraz po nim Pah.

— Podobasz mi się, Rogu. — Inhumi się uśmiechnął. — Naprawdę mi się podobasz. Zaczynam cię nawet lubić. A teraz posłuchaj: przysięgam na Paha, na Zewnętrznego i na mojego własnego boga, że nie będę żywił się krwią twoją ani Algi, jeśli tak chcesz nazywać tę dziewczynę. Nie będę też więcej pił krwi waszego husa. Obiecuję również, że dotrzymam słowa i nie będę próbował nagiąć ani przekreślać warunków naszej umowy; zobowiązuję się przestrzegać zarówno jej litery, jak i ducha. Czy to ci wystarczy?

Skinąłem głową.

— W takim razie dalsza rozmowa będzie stratą czasu, ale i tak coś ci jeszcze powiem. Przyrzekam, że dopóki będziemy razem żeglować, nie będę próbował cię oszukać, podszywając się za jednego z was. Co jeszcze chcesz, żebym dodał?

— Nic.

— Mimo to będę mówił dalej, a ty słuchaj mnie uważnie, Rogu. Jaka to dla ciebie różnica, czy będę żywił się krwią istot z twojej rasy tu czy na górze? Czy krew tych ze statku jest cenniejsza od waszej?

— Nie.

— Słusznie. Nie ma najmniejszej różnicy. Ja będę tam miał mniejszą konkurencję i, co za tym idzie, łatwiejsze życie. Twoja rodzina będzie bezpieczniejsza, kiedy ubędzie jeden z myśliwych. — Inhumi odczekał chwilę, ciekaw mojej reakcji. —

Przypuśćmy wszakże, że cię tu zostawię. Kto wtedy zapoluje na twoją rodzinę? Mam na myśli tę miłą kobietę, którą widziałem, i dzieci, które pewnie zostały z nią na Jaszczurce. Na pewno to sobie przemyślałeś.

Pokręciłem głową.

— Cóż, ja będę tym myśliwym. Zostawię cię tu, ale bynajmniej o tobie nie zapomnę. Wrócę do nich, a ty nie będziesz ich mógł obronić. Czy wyrażam się dość jasno? Bo jeśli nie, mogę mówić bez ogródek.

Pokręciłem głową.

— Przysięgnę na co tylko chcesz, na Paha, na Zewnętrznego, na tego twojego boga też, jeśli mi pozwolisz.

— Możesz liczyć na moją pomoc i przyjaźń. Chcesz, żebym to wszystko powtórzy! od początku?

— Nie trzeba.

— W takim razie przysięgnij, że przyjmujesz jedno i drugie. Nie zabijesz mnie, nie zranisz, nie przepędzisz ani nie zdradzisz — nigdy i przed nikim. Dołożysz wszelkich starań, żebym znalazł się na pokładzie lądownika. Ja ze swojej strony również.

Złożyłem przysięgę. Ilekroć się zająknąłem, szukając odpowiednich słów, inhumu podsuwał mi gotowe formuły. Kiedy skończyłem, odwrócił się do mnie plecami.

— Przykro mi, Rogu. Naprawdę, bardzo mi przykro. Tak niewiele brakowało, tak bardzo się starałeś... Spróbuję jutro tu zajrzeć.

Nim zdążyłem zareagować, zaczął się wspinać po murze.

Pękłem. Chyba w głębi serca jestem tchórzem. Może wszyscy mężczyźni są tchórzami, nie wiem, ja na pewno tak. Prosiłem go. Błagałem. Płakałem, wyłem i znów płakałem.

Inhumi imieniem Krait zatrzymał się. Stał na skraju jamy, odwrócił się i spojrzał na moją żalną osobę. Może się uśmiechnął albo wyszczerzył zęby — nie wiem.

— Rogu?

— Tak?! — Rozłożyłem ramiona w błagalnym geście. Płakałem jak dziecko.

— Twoja przysięga mnie nie przekonała. Nie sądzę, żebyś był w stanie złożyć taką, która mnie przekona. Na pewno nie dziś, a podejrzewam, że i w przyszłości nic by się nie zmieniło. Nie mogę ci zaufać i nie wiem o niczym, co mogłoby...

Zawiesił głos, być może tylko po to, żeby spokojnie popatrzeć, jak płaczę.

— Zaczekaj! — Krztusiłem się łzami. — Zaczekaj, proszę! Pozwól mi coś powiedzieć!

— Dobrze. — Skinął głową. — Poświęcę ci chwilę, byłeś mówić do rzeczy.

— Wysłuchaj mnie, tylko o to proszę. Mieszkam na Jaszczurce. Widziałeś mój dom. Mówiłeś, że przeleciałeś nad nim i widziałeś Pokrzywę na plaży.

— Mów dalej.

— Sam go zbudowałem. Mieszkamy tam od wielu lat. Wiem, jak wygląda życie w naszym domu. To chyba oczywiste? Musisz mi uwierzyć, że wiem, co mówię.

Inhumi skinął głową.

— Na razie ci wierzę.

— Okna i komin można szczelnie zamknąć. Na drzwiach — jednych i drugich — są solidne zamki i grube sztaby, ciężkie drewniane belki, które trzeba zdjąć, żeby otworzyć drzwi. Kiedy zbliża się koniunkcja...

— A właśnie się zbliża. Mów dalej.

— Kiedy zbliża się koniunkcja, dokładnie zamykamy drzwi. Moja żona zakłada sztaby o zmierzchu, nawet jeśli ja pracuję jeszcze w papierni. Nie wpuści mnie, dopóki nie zapukam.

— Sugerujesz, że powinienem zapukać i odezwać się, naśladowując twój głos.

— Nie. Proszę, daj mi skończyć. Mam dla ciebie coś... coś lepszego.

— Zamieniam się w słuch — powiedział swoim własnym głosem, ludzaco podobnym do głosu Ściągną.

— Kiedy koniunkcja się kończy, Pokrzywa zapomina o sztabach. Rozmawiałem z nią o tym, upominałem ją, ale na próżno. Dopóki ja nie założę sztab, drzwi są zamknięte tylko na zamek. — Wyjąłem z kieszeni klucz i pokazałem go Kraitowi. — Chcesz się dostać do „Whorla”. Ale jeśli ci się nie uda, jeśli nam się nie uda, zostaniesz tutaj. I będziesz miał klucz.

Zawahał się. Może tylko udawał, że się zastanawia, ale nie założyłbym się.

— Dam ci go teraz, ale chciałbym, żebyś mi obiecał, że jeśli razem polecimy do „Whorla”, oddasz mi go z powrotem.

— Zaufasz mi? — Twarz inhumiego była równie pozbawiona wyrazu jak pysk węża.

— Tak. Nie mam wyjścia.

— To układ do przyjęcia. Wyciągnę cię, gdy tylko rzucisz nu klucz.

Tak zrobiłem. Byłem osłabiony i za pierwszym razem nie udało mi się rzucić go dostatecznie wysoko — odbił się z brzękiem od kamienia centymetry od krawędzi jamy i spadł z powrotem. Podbiegłem, żeby złapać go w locie, i przy okazji prawie się przewróciłem.

— Czekam, Rogu. — Krait klęczał na brzegu jamy, nadstawiając ręce.

Rzuciłem drugi raz i patrzyłem, jak łuskowate dłonie zamykają się na kluczu. Inhumi bez słowa wstał, schował klucz do kieszeni, odwrócił się i odszedł.

Są takie chwile, kiedy czas nic nie znaczy. To była jedna z nich. Próbowałem otrzeć twarz z potu. Serce waliło mi jak młotem.

Jego powrót był dla mnie prawie jak objawienie. Tak bardzo chciałem go zobaczyć, że kiedy wreszcie się zjawił, przestraszyłem się, że ulegam złudzeniu.

— Weź moją strzelbę — powiedział. — Może nam się przydać.

Zrobiłem, co kazał. Przewiesiłem broń przez plecy.

— Jestem za lekki, żeby cię wyciągnąć, mógłbym wpaść do środka. — Rzucił mi linę. — Drugi koniec przywiązałem do krzaka. Jeżeli wdrapiesz się po linie, wyjdiesz. Jeśli nie... — Wzruszył ramionami.

Próbowałem wykorzystać wszelkie możliwe występy muru jako stopnie; przypomniałem sobie, jak Jedwab wdrapywał się na mury posiadłości Krwi, a potem na ścianę jego domu. Wszystko na nic. W końcu Krait musiał mi pomóc — złapał mnie za rękę i zaparł się stopami w małym zagłębieniu, które wygrzebał w ziemi na krawędzi dołu. Dłoń miał drobną, gładką, chłodną i silną. I nieprzyjemnie miękką.

Nadszedł wreszcie moment, kiedy stanąłem na skraju jamy, którą znałem jak własną kieszeń. Spojrzałem w dół, na kamienie i kości, na opadłe liście i pozrywane liany.

— Co z liną? — zapytał. — Bierzemy ją ze sobą?

Pokręciłem głową.

— Może nam być potrzebna. Przyniosłem ją z łodzi.

Czyli przynajmniej slup był bezpieczny. Od razu poczułem, że Wracają mi siły.

— Zostaw ją. Ktoś jeszcze może tu wpaść.

Ruszyliśmy w długą drogę powrotną do łodzi.

— Możesz przecież latać — zauważyłem na jednym z postojów.

— Dlaczego nie pofruniesz przodem i nie zaczekasz na mnie na miejscu?

— Boisz się, że ci nie ufam.

Zaprzeczyłem.

— I słusznie. Byłbym durniem, gdybym teraz ci zaufał. Nie siedzisz już na dnie jamy, masz moją strzelbę i swój nóż. Mógłbyś mnie z łatwością zabić i zabrać mi klucz.

Pokiwałem głową, chociaż w duchu uważałem, że to, o czym mówił, wcale nie byłoby takie proste.

— Chcę stać się jednym z was. Właściwie już się stałem, z chwilą gdy pożyczyłem twoje ubranie. Muszę więc zachowywać się jak jeden z was i chodzić piechotą, chociaż sprawia mi to kłopot. — Uśmiechnął się z goryczą. — Czy wyglądam dla ciebie jak ludzkie dziecko?

Pokręciłem głową.

— Widzisz? Dotrzymuję słowa. Młoda kobieta, którą nazywasz Algą, weźmie mnie za chłopca, podobnie jak wszyscy, których spotkamy, o ile... Sam wiesz. Ale to przez to nie mogę latać — wy nie możecie, to i ja nie mogę. Lubisz paradoksy?

Odparłem, że Jedwab bardziej się w nich lubował niż ja.

— W takim razie masz rację, był od ciebie mądrzejszy. Zanim się rozstaniemy, często będę ci nimi uprzykrzał życie, Rogu. Oto jeden z nich: ci, którzy kurczowo trzymają się życia, tracą je;

ci, którym życie jest obojętne, ocalą je. Jak ci się podoba takie stwierdzenie?

— Podobałoby mi się bardziej, gdybyś mi je wyjaśnił. — Paradoksy wszystko wyjaśniają. Dlatego ich samych nie można wytłumaczyć.

To był, naturalnie, drugi paradoks. A właściwie uniwersalna prawda zawarta w paradoksie: nie można udowodnić słuszności twierdzenia tym samym twierdzeniem. Parę dni temu odwiedził nas w sądzie astrolog. Przyszedł z dwóch powodów. Po pierwsze — jak nam powiedział — chciał uzyskać pozwolenie na uprawianie swojego fachu w naszym mieście; po drugie — czego się domyślam — pragnął sławy.

Zaproponował, że odczyta z gwiazd moją przyszłość. Odmówiłem. Zwróciłem mu uwagę, że mamy właśnie południe i nawet jeśli wyjdzie na zewnątrz, żadnych gwiazd nie zobaczy. Nalegał jednak, twierdząc, że ich położenie zna na pamięć. Porozkładał ze dwadzieścia różnych map i wykresów i rozpoczął skomplikowany wywód, którego nikt nie rozumiał.

Przerwałem mu. Zarządziłem, że może przepowiadać przyszłość bez mojego pozwolenia — bez niczyjego pozwolenia — pod warunkiem, że będzie się przyzwoicie zachowywał. Dodałem, że ma prawo pobierać opłaty za swoje usługi od każdego, kto będzie na tyle głupi, by mu zapłacić.

Cofnął się pod drzwi i wkrótce o nim zapomniałem, on jednak po godzinie czy dwóch wyszedł na środek sali i oznajmił wszem wobec, że skończył układać swoją wróżbę dla mnie (była to tradycyjna mieszanka pochlebstw i gróźb: poprowadzę

trzy obce miasta do zwycięstwa, czeka mnie życie pełne udręk, wrócę jako obcy człowiek do miejsca narodzin moich synów, znajdę nową miłość i tak dalej, i tak dalej; nie chce mi się cytować tu całej tej paplaniny). Kiedy skończył, zapytałem, skąd mam wiedzieć — skąd ma to wiedzieć każdy, komu przepowie przyszłość — że jego wróżby są wiarygodne. Odparł uroczyście, że przepowiednie znajdują potwierdzenie w gwiazdach. Wyśmialiśmy go.

Tymczasem niemal codziennie zdarza mi się słyszeć podobne „dowody”, wygłaszane przez różnych ludzi z nieodmienną pewnością siebie. Świadek składa zeznania, a kiedy ktoś poda je w wątpliwość, przysięga, że są prawdziwe. Przytakuje mu tuzin mądrych głów — skoro twierdzi, że mówi prawdę, z pewnością tak jest.

Nie ma w tym nic trudnego. A co z pierwszym paradoksem Kraita? Teraz wydaje mi się, że chodziło mu o to, że sam skazałem się na klęskę, wykazując nadmierne pragnienie opuszczenia Jamy. Gdybym miał dość odwagi, żeby odrzucić ofertę inhumiego, mógłbym uwolnić się sam albo doczekać ratunku ze strony kogoś obcego, a wtedy, kto wie, może wróciłbym do domu. Teraz zaś jestem pewien, że nigdy go już nie zobaczę.

Nawet jeśli burze i sztormy go oszczędzą.

Chciałem dziś wieczorem pisać dalej, podjąć przerwana relację i opowiedzieć, jak zesliśmy z inhumim do lodzi, jak udał się na poszukiwanie Algi i tak dalej. Zbliżyłbym się do momentu, w którym dała mi obrączkę.

Mam jednak niewiele czasu, więc opowiem o czymś, co wydarzyło się dzisiaj. W pewnym sensie zdarzenie to ma wpływ na wszystko, co chciałem napisać. Zresztą niedługo to wyjaśnię.

Rano zjawił się w sądzie człowiek, który poprosił o ochronę przed Zaginionym Ludem. Odpowiedział mu wybuch śmiechu. Kiedy udało mi się zaprowadzić porządek, zwróciłem przybyszowi uwagę, że jego rodacy najwyraźniej nie wierzą w istnienie Zaginionego Ludu, lepiej więc będzie, jeśli najpierw przedłoży jakieś dowody prawdziwości swych twierdzeń. W przeciwnym razie znów odpowiedzą mu pogardliwe śmiechy.

Człowiek ten, imieniem Barsat, przyznał, że jedynym dowodem, jakim dysponuje, jest zeznanie żony, którą zaofiarował się jutro sprowadzić do sądu. Przysięgał jednak, że sam trzykrotnie widział członków Zaginionego Ludu i jest absolutnie przekonany, że byli do niego wrogo nastawieni.

Zapytałem, czym ich uraził. Nie wie — przynajmniej tak twierdzi. Poprosiłem więc, by powiedział, w jakich okolicznościach zobaczył ich po raz pierwszy. Okazało się, że kiedy zapuścił się do dżungli, żeby naciąć drewna na opał, ujrzał kilka postaci, które stały lub siedziały w zaroślach i obserwowały go nieprzyjaźnie. Zapytałem, ile dokładnie ich było. Odparł, że nie jest pewien. Jego odpowiedź wywołała kolejną salwę śmiechu.

Jego szczerą twarz i fakt, że nie mógł policzyć nieprzyjaciół, przekonały mnie, że mówi prawdę. Gdyby kłamał, byłby bardziej konkretny i liczyłby na wywołanie sensacji. Poza tym wiem z doświadczenia, że kiedy Sąsiadów jest więcej niż dwóch, naprawdę trudno ich policzyć.

Zrobiło się późno, zanim ruszyliśmy z inhumim w drogę powrotną, a żaden z nas nie mógł iść ani zbyt szybko, ani zbyt długo bez przerwy. Nie znaczy to bynajmniej, że byłem przygnębiony czy zniechęcony. Kiedy jesteśmy zdrowi, humor nam dopisuje; kiedy chorujemy albo jesteśmy osłabieni, wpadamy w rozpacz — tak w każdym razie zwykle się dzieje. Ja powiem tylko tyle: rzadko zdarzało mi się odczuwać takie wyczerpanie jak wtedy, ale rozpierała mnie radość. Wydostałem się z jamy! Byłem wolny! Wolny nawet od palącego pragnienia, które pod koniec stało się dla mnie udręką gorszą od poczucia beznadziei. Kamienie i prastare, porośnięte mchem drzewa wydawały mi się przepiękne, samo powietrze było cudowne. Inhumi zapewnił mnie, że zna najkrótszą drogę do łodzi. Przypomniałem sobie wtedy, że patere Kwezal przyjaźnił się z Jedwabiem. Czy nie było zatem możliwe, że ten inhumi stanie się przyjacielem moim i Algi?

Szybko doszedłem do wniosku, że już się nim stał.

Ugasiwszy pragnienie — najpierw napiłem się wody z butelki, którą mi przyniósł, potem ze źródła, do którego mnie zaprowadził — poczułem przejmujący głód. Wiedziałem, że na słupie znajdę jedzenie; była też szansa, że razem z inhumim wytropimy zwierzę, które uciekło przede mną i Algą. Obiecałem sobie, że zastrzelę je, poćwiartuję i zjem na miejscu. Zdjąłem strzelbę z ramienia i niosłem ją dalej w rękach, gotową do strzału.

Pokonaliśmy mniej więcej dwie trzecie drogi, kiedy coś zaszeleściło w gałęziach olbrzymiego krzemodrzewia, który zaledwie kilka dni wcześniej runął na ziemię. Zrobiło się już

prawie całkiem ciemno, tak że usłyszałem szmer, nie widząc poruszenia wśród liści.

Odbezpieczyłem strzelbę i zacząłem się skradać. Kiedy szelest rozległ się ponownie, uniosłem broń do ramienia.

— Nie strzelaj, dopóki nie zobaczymy, co to jest — doradził mi szeptem inhum.

Puściłem jego słowa mimo uszu. Byłem pewien, że wiem, gdzie ukrywa się zwierzę, i zamierzałem je przynajmniej okaleczyć, jeśli nie zabić; spodziewałem się, że ranną zdobycz łatwo Już później wytropię.

Gałęzie zaszeleściły trzeci raz. Pociągnąłem za spust, a inhum w tej samej chwili podbił mi lufę strzelby. Wszystko to wydarzyło się w mgnieniu oka i trwało znacznie krócej niż przeczytanie tych słów.

Echo wystrzału jeszcze nie ucichło, kiedy spomiędzy liści wypadł Babbie. Szarżował na nas z szybkością błyskawicy, jaką husy potrafią osiągnąć na krótkich odcinkach. Gdyby było pięć minut później i — co za tym idzie — jeszcze odrobinę ciemniej — rozharatałyby mnie szablami od uda po bark. Rozpoznał mnie jednak w ostatniej chwili, a ponieważ rozpoznał także inhumiego, natychmiast skręcił w jego stronę.

Pisałem o tym, że patere Kwezal umiał latać; kiedy byliśmy w tunelach, słyszałem, jak latał. Nigdy jednak nie widziałem, jak to robi. Na Błękicie kilkakrotnie widziałem latających inhumich, ale zawsze obserwowałem ich z daleka, tak że bardziej przypominali nietoperze czy nawet ptaki. A wtedy, o zmierzchu, w cieniu olbrzymich drzew zobaczyłem, jak inhum stojący tuż obok mnie zrywa się do lotu. Podskoczył, a kiedy rozpędzony hus przemknął dołem, ramiona inhumiego wydłużyły się, poszerzyły i pocieniały. Między palcami —

dłuższymi teraz niż ręka dorosłego człowieka — rozpostarła się błona lotna. Wiem, że piszę trochę niejasno, ale nie umiem ująć tego inaczej. Zaczął młócić rękoma powietrze — nie powoli, spokojnie, jak wtedy, kiedy szybuje, lecz gwałtownie i gorączkowo, wywołując potężny podmuch powietrza. Babbie zawrócił, skoczył i chlasnął morderczymi szablami prosto w...

W nicość. Inhumi zniknął wśród gałęzi drzew.

— Babbie! — zawołałem. — Babbie, to ja!

Przykucnąłem i wyciągnąłem do niego rękę, tak jak robiłem to na słupie. Zbliżył się powoli; tak jak i ja, miał świeżo w pamięci chwilę sprzed kilkunastu sekund, kiedy do niego strzeliłem. Widział, że wciąż trzymam broń. Odłożyłem strzelbę i zacząłem do niego przemawiać. Nie pamiętam już, co dokładnie powiedziałem, ale moje słowa odniosły pożądany skutek. Wcisnął mi głowę w dłonie, tak jak robił to czasem, gdy we dwóch płynęliśmy przez bezkresne morze. Mówiłem do niego, aż dzień się skończył i pojawiły się gwiazdy, głaszcząc go po pysku i za uszami — Z pewnością chwilami gadałem od rzeczy, ale jedno zrobiło na mnie szczególne wrażenie i chyba powinienem o tym wspomnieć. Oto, jak mi się wydaje, dosłowny cytat: — Myślałeś, że już nie wrócę, prawda, Babbie? Mało brakowało. Biedny Babbie, biedny. Myślałeś, że nie żyję, tak?

Hus pokiwał łbem.

Dziś udałem się na polowanie, po raz pierwszy, odkąd Hari Mau mnie tu sprowadził. Mój udział ograniczył się właściwie do

przyglądania się innym myśliwym, sam bowiem nic nie ustrzeliłem. Z drugiej strony... Oni też nie.

Tutejsi ludzie czczą krowy (o czym mogłem już wcześniej wspomnieć). Byk jest dla nich wcieleniem Paha Wielkiego, krowa zaś — Echidny. Przez szacunek dla pary bogów nie jedzą wołowiny, nie noszą też ani nie używają żadnych wyrobów z bydłowej skóry. Kiedy składają krowę w ofierze — czyli prawie codziennie — całe zwierzę zostaje spalone przed ołtarzem w ogniu ofiarnym.

Efekt jest taki, że krowy hoduje się tu wyłącznie dla celów religijnych. Dopóki było dość zamrożonych zarodków, zabranych z lądownika, bydła nie brakowało. Odkąd jednak ich zapas się wyczerpał, pogłowie krów spadło tak bardzo, że kapłani zaczynają się niepokoić. Ponieważ nie da się na Błękicie oglądać bogów tak jak we whorlu długiego słońca, czyli w świętych oknach, kapłani upierają się, żeby przynajmniej ich symbole były jak najbardziej widoczne. Kiedy więc jacyś farmerzy zgłosili, że znaleźli stado dziczającego bydła, natychmiast zebrała się grupa ochotników, żeby je pojmać. Cała operacja była o tyle delikatna, że świętych zwierząt nie można skrzywdzić; w żaden sposób nie można też uchybić ich godności.

Wyjechaliśmy godzinę po rozjaśnieniu. Bez problemu zlokalizowaliśmy stado i je otoczyliśmy. Spłoszone zwierzęta próbowały uciekać, ale powstrzymaliśmy je, wymachując żółtymi chorągiewkami z wyszytymi szkarłatem cytatami z Pisma — a właściwie Ze Świętych Ksiąg, bo tak się je tu nazywa. Przypuszczam, że Święte Księgi różnią się dość znacznie od Pisma Chramsmologicznego ze Starego Vironu.

Chorągiewki poskutkowały, chociaż straciliśmy jedną jałówkę i jednego konia, któremu byk rozpruł rogami brzuch. Udało nam się wreszcie zmęczyć najbardziej niepokorne sztuki i zegnać stado w całość. Wtedy święty mąż wystąpił pieszo naprzód, zawiesił każdemu zwierzęciu na szyi wieniec z kwiatów i plecioną pętlę z żółtoczerwonego sznura i zabrał stado, razem dziewięć dorosłych sztuk i trzy cielęta. Będą trzymane w świątyni, dopóki nie uspokoją się na tyle, żeby mogły wałęsać się samopas. Kapłani twierdzą, że nastąpi to bardzo szybko.

Zamiast rozpisywać się o polowaniu na krowy, powinienem był najpierw podać przyczynę, dla której w ogóle o nim wspomniałem. Kłopot w tym, że nie miałem chyba żadnego konkretnego powodu. Polowanie wypadło akurat tego dnia i cały czas o nim myślałem, to wszystko. Kiedy jednak przypominę sobie powrót z Babbim do słupa, widzę, że historia ze stadem całkiem nieźle tu pasuje. Mój hus zaczął z wolna dziczeć, tak samo jak krowy. Ja zaś podobnie jak święty mąż zdołałem go okiełznać i na nowo oswoić, ponieważ nie chciałem mu zrobić krzywdy.

Przez ostatnią minutę albo dwie pogryzałem niepewnie pióro Oreba, ale w końcu postanowiłem pociągnąć tę analogię nieco dalej. Jest dość zabawna, a nawet w pewnym sensie pouczająca.

Inhumi powiedział, że my, ludzie, jesteśmy dla nich jak bydło. Przedkładają naszą krew nad krew zwierząt tylko dlatego, że bardziej im smakuje (tak mówił), tak jak my wolimy

mleko krowie od koziego. Zresztą zwierząt, które dają mleko, jest więcej: świnie, psy, owce — my jednak nawet nie próbujemy go pić.

Im bardziej inteligentne zwierzę, tym trudniej je oswoić. Nie jestem odosobniony w tym przekonaniu; twierdzę wręcz, że to niepodważalny fakt. Weźmy pod uwagę kilka istot, zaczynając od husa. Hus przewyższa inteligencją nitimonka, nitimonek psa, a pies krowę. Dorosłą krowę można po schwytaniu oswoić w kilka tygodni. Dorosłego dzikiego psa w ogóle trudno oswoić, a tresura wchodzi w grę właściwie tylko w wypadku psów urodzonych w niewoli. Małego nitimonka można oswoić, ale wytresowanie go graniczy z cudem i nigdy nie można do końca na nim polegać.

Jeżeli chce się wytresować husa, trzeba go złapać bardzo wcześnie, tak jak to pewnie było z Babbim. Mieszkając na Jaszczurce, nie sądziłem, że husy w ogóle można tresować — i właściwie miałem rację. Taki wniosek płynie w każdym razie z mojej znajomości z Babbim. Nie był mi bezmyślnie posłuszny, tak jak na przykład koń, lecz starał się ze mną współpracować. Byłem od niego słabszy fizycznie, miałem jednak inne cechy, które dla niego musiały chyba równać się magii. Co myślał o strzelbie? Co mógł o niej pomyśleć? W interesie żyjącego w niewoli husa jest współpracować z właścicielem, chronić go i pomagać mu w polowaniu (żeby zasłużyć na część łupu).

Wszystko to wydaje się oczywiste. Skoro tak, to jak inhumim udaje się tresować ludzi? W jaki sposób Krait zdołał oswoić mnie jak husa, chociaż nie byłem taki młody, kiedy mnie złapał? Muszę przyznać, że na to pytanie nie znam zadowalającej odpowiedzi. Kiedy uwalniał mnie z jamy — a także i później — okazał się cennym sprzymierzeńcem. W

dodatku wydaje mi się, że mnie lubił, tak jak ja lubiłem nieszczęsnego Babbiego. Zanim umarł, pokochał mnie, a ja jego. Stałem się ojcem bystrego, krnąbrnego potwora.

Zanim znaleźliśmy łódź, zrobiło się zupełnie ciemno. Przed wyruszeniem na polowanie przywiązałem ją do drzewa i teraz czekała na mnie w tym samym miejscu. Kraita ani Algi nie było nigdzie widać. Podzieliłem się z Babbie jabłkami i resztką szynki i położyłem się spać.

Obudziłem się roztrzęsiony i zlany zimnym potem. Był środek nocy, a przynajmniej takie miałem wrażenie, bo wszystko osnuła lodowata, wilgotna mgła, tak gęsta, że usiadłszy na rufie, nie widziałem bukszprytu. Rozpaliłem ognisko w skrzyni z piaskiem i usiedliśmy przy nim z Babbie, żeby się rozgrzać.

— Powinienem był zabrać cieplejsze ubranie — stwierdziłem. — Wiedziałem przecież, że czeka mnie daleka droga, ale jakoś nie przyszło mi do głowy, że tam, dokąd płynę, będzie inny klimat.

Hus prychnął, rozdmuchując przy okazji popiół. Liczył chyba na to, że piekę w popiele rybę.

Kiedy kładłem się spać, zamierzałem rano zacząć poszukiwania Algi. Ranek chyba już nastał, ale nie mogło być mowy o szukaniu czegokolwiek. Myślałem o tym, żeby kazać Babbie — mu ją znaleźć, ale nie miałem powodu sądzić, że wiedziałby, gdzie szukać, a gdyby chciał przeczesać całą wyspę, mógłbym stracić także jego.

— Ta mgła może tu zalegać przez cały dzień — powiedziałem. — Może nawet całą noc. Ale kiedyś w końcu się rozwieje.

Babbie zerknął na mnie z ukosa, grzebiąc ostrożnie w popiele przednimi łapami. Przyjąłem jego milczenie za zgodę i mówiłem dalej: — A wtedy opłyniemy wyspę dookoła. Alga musiała gdzieś zabłądzić; wcale jej się nie dziwię. Będzie szła w jednym kierunku, aż zejdzie nad morze, a potem pójdzie plażą do łodzi.

— Rzeczywiście ją znajdziesz, jeżeli tak zrobisz — rozległ się jakiś bezcielesny głos. — Ale jeśli chcesz, mogę cię do niej od razu zaprowadzić.

Muszę tu nadmienić, że był to chłopięcy głos, który mógłby należeć do któregoś z bliźniaków. Rozejrzałem się, ale nikogo nie dostrzegłem.

— Spójrz w górę.

Z wdziękiem godnym małego zielonego węża, którego kiedyś widziałem, Krait ześliznął się po baksztagu na rufę. Babbie natychmiast poderwał się i cały zjeżył.

— A chcesz, Rogu? Zdziwisz się, kiedy zobaczysz, co znajdziemy. Nie mów, że cię nie ostrzegalem.

Położyłem strzelbę przy posłaniu i zostawiłem ją tam, pod for — dekiem, kiedy się obudziłem. Nie mogąc jej dosięgnąć, zadowolilem się nożem Ściągną.

— O co chodzi? — Krait cofnął się o krok, ale nie jestem pewien, czy naprawdę się wystraszył. — Chciałem ci wyświadczyć przysługę.

— Zabiłeś ją?

Uniósł ręce w takim samym geście, jakim jeden chłopiec mógłby bronić się przed drugim, większym i silniejszym.

— Nie zabiłem! Nie pamiętam, co ci dokładnie obiecałem, kiedy siedziałeś w jamie...

— Że nie będziesz żywił się krwią moją, jej ani Babbiego. To wciąż zostawia ci ogromne pole do popisu, chociaż wtedy nie przyszło mi to do głowy.

Nie patrzył mi w oczy.

— To by było nieuczciwe, prawda? Powiedziałaś, że oszukuję.

Byłem taki wściekły i zatroskany o los Algi, że kazałem mu odpowiedzieć na moje pytanie, chociaż raz już to zrobił.

— Nie zrobiłem jej najmniejszej krzywdy. Żyje i wygląda na bardzo szczęśliwą.

— To zaprowadź mnie do niej!

— Teraz? Posłuchaj, Rogu, przyrzekłem nie pić twojej krwi, ale obiecałem ci o wiele więcej: mam pomóc ci dopłynąć do Pajarocu i tak dalej. — Wyjął z kieszeni klucz do mojego domu. — Pamiętasz?

Skinąłem głową.

— Nie użyłem go. Może kiedyś go użyję, ale na razie tego nie zrobiłem. Uważasz się za rozsądnego człowieka, a w każdym razie starasz się takim być. Wiesz, że tak samo jak tobie zależy mi na dotarciu do Pajarocu. Nie, nie tak samo, bardziej. Po co miałbym ją krzywdzić, jeśli nie skrzywdziłem ani ciebie, ani twojej rodziny? Ani nawet twojego husa? Przecież gdybym jej coś zrobił, nie proponowałbym chyba, że cię do niej zaprowadzę, prawda?

Odprężyłem się. Widząc, że trochę się mnie boi, przestałem odczuwać strach przed nim, chociaż to był błąd.

— Przepraszam. Dlaczego powiedziałeś, że się zdziwię, kiedy ją znajdziemy?

Pokręcił głową.

— Nie powiem ci, bo i tak byś nie uwierzył. Zaczęlibyśmy się znowu bić i żadnemu z nas nie wyszłoby to na zdrowie. Jeśli chcesz ruszać od razu, wskażę ci drogę, tylko najpierw musisz od — cumować łódź.

Odwiązaliśmy słup od drzewa, podnieśliśmy kotwicę, a kiedy sunęliśmy bezgłośnie niczym duchy przez wilgotne opary, zapytałem Kraita, czy widzi coś w tej mgle.

— Tak. Wszyscy to potrafimy. Właśnie dowiedziałeś się o czymś, z czego mało który człowiek zdaje sobie sprawę. — Zadarł głowę i spojrzał na top naszego masztu. — Jaki kolor ma niebo, Rogu?

Odparłem, że nie widzę nieba; ledwie widziałem maszt.

— Nic dziwnego zatem, że mnie nie zauważyłeś. Ale spójrz w górę; jaki kolor ma niebo?

— Szary. Mgła jest zawsze szara, o ile nie rozświetla jej słońce, bo wtedy robi się biała.

— A kiedy oglądasz niebo w pogodny dzień? Jakie wtedy jest?

— Niebieskie.

Krait się nie odezwał, więc dodałem: — Jest błękitne, a chmury, jeśli jakieś na nim widać, są białe.

— Dla mnie niebo jest zawsze czarne.

Chyba zacząłem mu tłumaczyć, że nocą i dla nas niebo staje się czarne. Starąłem się je opisać.

— Zawsze jest czarne — powtórzył. Przeszedł na dziób i wdrapał się na fordek. — I zawsze są na nim gwiazdy.

Moje wynurzenia z pewnością zanudzą Cię, Czytelniku, jeżeli nie jesteś Pokrzywą. Nie zmienia to faktu, że piszę przede

wszystkim dla niej, więc i tak wdam się w szczegółowe wyjaśnienia. Kiedy zostawiam w tekście taką przerwę, jak przed chwilą, oddzielając dwa fragmenty rysunkiem trzech whorli, znaczy to zwykle, że postanowiłem zrobić sobie przerwę i położyć się spać.

Tym razem było jednak inaczej. Chciałem pomyśleć — zaraz napiszę o czym. Wytarłem pióro, odłożyłem je na bok, a potem wstałem i zacząłem spacerować z założonymi z tyłu rękami. Pamiętasz, moja kochana żono, jak w ten sam sposób przechadzałem się po plaży, kiedy planowaliśmy budowę papierni. Tak samo teraz błąkałem się bezszelestnie po różowobłękitnym domu, który mieszkańcy Gaonu mi podarowali, dla mnie rozbudowali i który nazywamy moim pałacem, aby robić większe wrażenie na sąsiadach.

W pałacu panowała cisza, wszyscy pokładli się już spać. Mój słoń spał w stajni na stojąco, jak to słonie — a czasem i konie — mają w zwyczaju. Ma twardy sen. Ze stajni wyszedłem do ogrodu. Z zadartą głową wpatrywałem się w nocne niebo i nasłuchiwałem śpiewu słowików. Szukałem gwiazd, widocznych zza powłoki chmur tak gęstych, że chyba nawet Krait by je zobaczył. Wydaje mi się, że nie napisałem, iż w ogrodzie są dwie złote klatki ze słowikami (a właściwie były).

Od ponad tygodnia trwały upały, a powietrze było duszne i wilgotne, ale po ogrodzie — wśród krzewów jaśminu, szemrzących fontann, paproci i posągów — spacerowało się bardzo przyjemnie. Przez dobre pół godziny siedziałem na białej kamiennej ławce, patrząc w gwiazdy przemieszczające się za pędzących po niebie chmur. Gwiazdy (każda z nich jest osobnym whorlem, tak jak Błękit czy Zielień) chyba

przypominają inhumim owoce, ledwie widoczne nad krawędzią ogrodowego muru.

Miasto porzuciłem piękne, Nie oglądając się ni raz.
I spostrzegłem ogród cudny, W nim fontannę pod jabłonią.
Piękne dziewczęta nieszczerze są, Tego mnie uczy
doświadczenie.

Nie jest to taki śpiew jak śpiew Algi, ale odkąd Alga zamilkła w porze zaciemnienia, ta beztroska przyśpiewka nie daje mi spokoju. Jacyż my byliśmy młodzi, Pokrzywo!

Jacy młodzi!

Wróciwszy do pałacu, usłyszałem dobiegający z komnat kobiet płacz Chandi. Bałem się, że może kogoś obudzić, więc poszedłem po nią i razem wyszliśmy do ogrodu. Usiedliśmy na kamiennej ławie i zacząłem nieporadnie ją pocieszać. Stęskniła się, biedactwo, za domem. Poprosiłem, żeby powiedziała, jak naprawdę się nazywa, opowiedziała mi o rodzicach, braciach i siostrach, o mieście, z którego pochodzi, nawet o kucharce matki i robotnikach ojca. Urodziła się we „Whorlu”, tak samo jak Ty i ja, ale nic z niego nie pamięta, opuściła go bowiem jeszcze będąc dzieckiem. Powiedziała mi wszystko, czego dowiedziała się o nim od rodziców, ale niewiele było w tym konkretów, a znacznie więcej wyidealizowanych wspomnień: mieli tam znacznie większy dom niż tutaj, wszyscy traktowali ich z szacunkiem i tak dalej. Wiedziała o tym, że słońce we „Whorlu” było świecącą kreską na niebie, ale myślała, że wschodziło i zachodziło tak jak nasze krótkie słońce tutaj, na Błękanie.

Ja nie płakałem, ale też zatęskniłem za domem i kiedy trochę się uspokoiła, opowiedziałem jej o Tobie, Pokrzywo, chociaż nazwałem Cię Hiacyntem. Niewiele z tego rozumiała, ale bardzo mi współczuła; to dobra dziewczyna. Nie ma chyba nawet szesnastu lat.

Kiedy oboje opowiedzieliśmy o tym, co nam leżało na sercu, obiecałem, że odeślę ją do rodziców. Była przerażona. Twierdziła, że bez względu na to, co powie — albo co ja powiem — rodzice i wszyscy mieszkańcy jej miasteczka dojdą do wniosku, że ją odrzuciłem. Będą jej unikać, o ile od razu jej nie ukamienują. Wygląda więc na to, że choć należy do mnie, uwolnienie jej nie leży w mojej mocy. Przyszło mi do głowy, że choć tak wiele nas różni — wygląd, wiek i płeć chociażby — jesteśmy w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobni.

Wypuściliśmy jednego ze słowików i patrzyliśmy, jak odlatuje. Uczyniliśmy z niego symbol tego, na czym najbardziej nam zależy. Chciała, żebym otworzył także drugą klatkę, ale się nie zgodziłem. Wyjaśniłem, że nadejdzie jeszcze noc, kiedy poczuje się tak samo jak dzisiaj. Obiecałem, że wtedy znów się spotkamy, porozmawiamy i wypuścimy drugiego słowika.

Nie należy zbyt lekko rozstawać się z symbolami.

Wracając zaś do tego, co zajmowało moje myśli, gdy wstawałem od tego ozdobnego stołu... Chodziło o słowa Kraita. Kiedy mówił, że gwiazdy zawsze są na niebie, myślałem (a byłem wtedy, na slupie, o wiele, wiele młodszy), iż ma na myśli, że one wcale nie znikają, chociaż my ich czasem nie widzimy. Uwaga ta wydała mi się dość błaha, bo przecież nigdy nie pomyślałbym, że jest inaczej. Każdy przecież widział, jak

plomień świecy znika w blasku słońca, a mimo to parzy jak dawniej.

Teraz jednak wydaje mi się, że Krait mówił o czymś innym. Czarne niebo, które widział, nie było niebem nocnym ani dziennym — było niebem prawdziwym, jedynym, jakie istnieje; niebem, na którym nie ma chmur i nic się nie zmienia, jeśli nie liczyć powolnego ruchu krótkiego słońca i innych, bardziej odległych gwiazd oraz nieco szybszych wschodów i zachodów Zieleni. Dla niego (i dla wszystkich inhumich) whorl jest pozbawioną powietrza i rozświetloną gwiazdami równiną, którą ujrzeliśmy, gdy biedna Mamelta zaprowadziła nas do brzucha „Whorla”. Nic dziwnego, że inhumci są tacy żałośni, okrutni i spragnieni ciepła.

Kiedy z naszej ławki w ogrodzie oglądaliśmy wschód Zieleni, Chandi zdradziła mi, co powiedziała jej kiedyś matka: że jest to oko Wielkiego Inhumiego, który zsyła na dół swoje dzieci. Pokiwałem głową. Nie wspomniałem o tym, że mieszkałem i walczyłem na Zieleni.

Śniło mi się, że Oreb wrócił. Bardzo dziwny sen. Wróciłem do dzielnicy Słońca i widok zniszczeń bardzo mnie zasmucił. Odesłałem we śnie Świnie, tak jak naprawdę to zrobiłem, i dałem mu Oreba za przewodnika, lecz w ostatniej chwili pomyślałem, że nie zniosę naszego rozstania i zawołałem go z powrotem. Wrócił, usiadł mi na ramieniu i owinął lepka od śluzu mackę wokół mojej szyi — stał się bowiem Scyllą, która głosem Oreba zażądała, abym zabrał ją do Centralnego

Procesora Błękitu. Odparłem, że to niemożliwe, że nie ma tu takiego miejsca, jest tylko krótkie słońce. Odprowadziłem wzrokiem Świnię, nasłuchując postukiwania jego miecza.

„Obudziłem się” przygnębiony i stwierdziłem, że zasnąłem w dżungli, leżąc obok Kraita. Wziąłem go za rękę i zacząłem masować go po plecach, wiedząc, że w ten sposób mogę przywrócić go do życia. Jego ciało zaczęło się jednak roztopiać w kałużę cuchnącej cieczy, która zmieniła się w brudną wodę z otwartego Przeze mnie ścieku.

10

Obrączka

Znów byłem na polowaniu. Ludzie, którzy schwytali dzikie Zkrowy, zaprosili mnie, a ja z ciekawości się zgodziłem. To były zupełnie inne łowy niż poprzednio. Taka krwawa łaźnia zadowolilaby każdego augura.

Wybraliśmy się na tarzary, najwyżej cenioną i najtrudniejszą do upolowania miejscową zwierzynę. Ktoś wypatrzył stado składające się z około dziesięciu sztuk nieco ponad milę od granic miasta, my jednak musieliśmy nadłożyć drogi w dzikim terenie i zejść je od drugiej strony, pod wiatr. Myśliwi zgodnie twierdzili, że tarzary nie przebywają zbyt długo w jednym miejscu i może się zdarzyć, że następny raz zatrzymają się na popas czterdzieści mil dalej.

Wziąłem — tak jak i oni — strzelbę, chociaż kiedy wyruszaliśmy, nie miałem najmniejszego zamiaru jej użyć. Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że jeśli nadarzy się okazja do strzału, nie będę miał wyboru. W przeciwnym razie Kilhari, Hari Mau i pozostali uznaliby, że ich zdradziłem.

Kilhari rozstawił nas w szerokim półkolu z dala od głuszy (tak się nazywa stado tarzarów). Powiedział, że kiedy zobaczymy wabik i skradaczy, możemy się trochę przysunąć. Kazałem się ustawić w najgorszym z możliwych miejsc; wyjaśniłem Kilharemu, że mam pożyczoną broń, jestem na wpół ślepy, dawno nie strzelałem i tak dalej. Wystawił mnie na

samym końcu wygiętej w łuk linii, twierdząc, że gorszego miejsca do strzału nie będzie. Podejrzywałem, że kłamie, a wkrótce przekonałem się o słuszności moich podejrzeń.

Mniej więcej po godzinie czekania wypatrzyłem wabik: dwóch mężczyzn ukrytych w plecionym z wikliny szkielecie młodego tarzara, okrytym prawdziwą skórą. Posuwali się powoli i ostrożnie przez otwarty, podmokły teren, nie zbliżając się za bardzo do gęstwiny, w której spodziewaliśmy się znaleźć głuszę. Za wabikiem szli przyczajeni skradacze. Ta część polowania jest zarazem najbardziej niebezpieczna i najmniej chwalebna. Często zdarza się, że prawdziwy tarzara atakuje wabik. Ukryci w środku ludzie nie mają broni; zresztą nawet gdyby mieli, nie mogliby jej użyć. Schowani za ich plecami skradacze są ich jedyną ochroną.

Takie podchody trwały dobrą godzinę. Nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie zobaczą olbrzymie zwierzęta, o których tyle słyszałem, zacząłem posuwać się naprzód, brnąc w wysokiej, ostrej trawie. Zachowując bezpieczną odległość od wabika, od czasu do czasu stawałem na palcach, żeby lepiej widzieć, co się dzieje. Napięcie stawało się trudne do zniesienia.

Nagle obaj skradacze wyprostowali się i jak na komendę strzelili ponad grzbietem wiklinowego tarzara. Do tego momentu nigdzie nie widziałem ani śladu stworów, na które się zasadziliśmy, ale gdy tylko przebrzmiał huk wystrzałów, gęsty zagajnik dosłownie eksplodował, gdy wypadło z niego dwadzieścia albo i więcej olbrzymich, ciemnoszarych, rogatych bestii.

Tarzary pojawiły się — i natychmiast zniknęły. Był to jeden z najbardziej niezwykłych widoków w moim życiu. W jednej chwili ogromne zwierzęta — dwa razy większe i sześć razy

cięższe od konia — rozbiegły się na wszystkie strony, w następnej zapadły Pod ziemię. Kilku dalej stojących myśliwych otworzyło ogień, ja Jednak nie widziałem nic, do czego warto byłoby strzelić.

Nie przypominam sobie, żebym widział, jak młody samiec wyłania się z ostrych jak brzytwy traw, ale coś musiałem zauważyć, bo natychmiast uniosłem strzelbę, przycisnąłem kolbę do barku i pociągnąłem za spust. Nagle pofrunąłem w powietrze, nie czując ani bólu, ani strachu, a potem pamiętam, jak jeden z myśliwych (Ram, którego imię sugeruje, że mógłby pochodzić z Vironu) pomógł mi wstać. Kiedy dziś sięgam pamięcią wstecz, przypomina mi to trochę moje polowanie w Kraju Ognisk.

Żałowałem, że nie ma z nami Babbiego. Powiedziałem Ramowi, że powinniśmy wytropić byka, do którego strzeliłem; z tak bliskiej odległości musiałem go trafić i zranić. Ram wybuchnął śmiechem i wskazał coś wyciągniętą ręką: kilku mężczyzn zebrało się już wokół martwego tarzara, który po moim trafieniu nie przebiegł nawet dziesięciu kroków. Jeśli wziąć pod uwagę, że dwóch lub trzech ludzi musi często wystrzelać całe magazynki, żeby powalić jednego tarzara, mój strzał był naprawdę wyjątkowy. Jeśli zaś chodzi o mnie, nic mi się nie stało. Wszedłem ze spotkania z bestią z rozdartymi spodniami i paroma siniakami.

Takie polowania rzadko kończą się sukcesem, czyli ustrzeleniem choćby jednej sztuki. Nam udało się upolować dwie — drugą trafili skradacze, najbardziej doświadczeni myśliwi i najlepsi strzelcy. Wróciliśmy do miasta jako bohaterowie. Muszę w przyszłości unikać polowań, jeśli chcę zachować zdobytą dziś reputację.

Wieczorem wyprawiono ucztę; każdy myśliwy ma na niej prawo do kawałka mięsa. Pod pierwszym lepszym pretekstem schowałem się do swoich komnat, kiedy zaczęło się poważne picie. Dzięki temu mam teraz okazję coś napisać. Skóra, rozwidlony róg, kości, a zwłaszcza ogromne kły tarzarów mają sporą wartość i zostaną sprzedane. Otrzymam pieniądze ze sprzedaży resztek z mojego samca, a ponieważ ich nie potrzebuję, przeznaczę je na zaspokojenie potrzeb biednych.

Mam też nadzieję, że dzięki nim będę mógł kiedyś do Ciebie wrócić, Pokrzywo. Prawie przestali mnie już pilnować, ja zaś staram się niepotrzebnie nie budzić ich podejrzliwości.

Chyba za bardzo rozpisałem się o polowaniu, które z pewnością niespecjalnie Cię interesuje, ale zależało mi na tym, żeby Je opisać dopóki mam wydarzenia świeżo w pamięci. Przyświecał mi zresztą jeszcze inny cel, który mam nadzieję jutro wyjaśnić — Jeśli tylko znajdę czas.

Chciałem dziś opowiedzieć o tym, jak Krait oszukał Algę — i zrobię to, lecz najpierw muszę wspomnieć o czymś innym, chociaż trudno to będzie opisać. Krótko mówiąc, od tamtej pory inaczej widzę morze (a teraz także i ląd). Czy jeśli powiem, że widzę te przedmioty, domy, czasem także twarze tak samo jak dobry malarz, zrozumiesz, co mam na myśli?

Pewnie nie; sam chyba tego nie rozumiem. Opowiadałaś mi o pięknych obrazach na piętrze w świątyni. Napisałem o nich w naszej książce; maytere Marmur pozowała do portretu Molpe. Przypomnij sobie, Pokrzywo, tamten obraz i wyobraź sobie, że

widzę morze w taki sposób, w jaki mogłoby być na nim przedstawione.

A innym czytelnikom — naszym synom i obcym ludziom — wyjaśnię, że chodzi mi o wyrazistość detali wynikającą ze świadomości ich istnienia. Kiedy odcumowywaliśmy słup, widziałem, że otulona mgłą toń jest nienaturalnie gładka i spokojna; kiedy wychodziliśmy z zatoczki (kierowani przez Kraita, który stał na gaflu i mówił mi, jak mam sterować), każda fala, która rozbijała się o kadłub, była równie wyrazista jak sylwetki moich braci.

Usłyszałem Algę znacznie wcześniej, niż ją zobaczyłem. Śpiewała tak, jak śpiewa teraz, tak samo jak śpiewała Matka. Jej słodki, czysty głos tworzył jedność z mgłą i wodą i wiedziałem, że bez jej pieśni morze byłoby niekompletne. Mgła tłumi dźwięki, więc musieliśmy znajdować się bardzo blisko. Chciałem nawet skrócić jeszcze bardziej zbliżyć się do Algi, ale Krait ostrzegł mnie, żebym tego nie robił. Ześliznął się po forsztagu i poluzował kliwer, dzięki czemu skręciliśmy na wiatr z grotem łopoczącym jak flaga — Kazał mi zawołać Algę, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu — Ze też Ty nie mogłaś jej usłyszeć, Pokrzywo! Nigdy nie słyszałaś takiego śpiewu.

Pokłóciłem się z inhumim. Później niemal codziennie się sprzeczaaliśmy, ale ta kłótnia była naszą pierwszą — i zarazem najostrzejszą. Ja byłem na niego zły, że wypuścił kliwer, a on wściekł się na mnie, że podpłynąłem tak blisko do skał. Nasz spór wyszedł na dobre słupowi, który płynął przez jakiś czas swobodnie i wyszedł milę albo i więcej na otwarte morze. Kiedy wreszcie się pogodziliśmy, Krait stracił wyspę z oczu — tak w każdym razie twierdził.

— Muszę wzbić się w powietrze — powiedział. — I to pewnie dość wysoko. Ale wrócę i powiem ci, gdzie mniej więcej masz płynąć.

Zapytałem, czy uda mu się znaleźć słup w tej mgłę; zaproponowałem, że rozpalę ognisko, żeby mógł się na nie kierować, chociaż prawdę powiedziawszy miałem zamiar wciągnąć na maszt wszystkie możliwe żagle i uciec przed nim jak najdalej. Krait wyśmiał mnie i kazał mi się na chwilę odwrócić; kiedy znów spojrzałem w jego stronę, zniknął bez śladu.

Babbie prychnął z ulgą. Świetnie go rozumiałem, ale przede wszystkim — i znałem — morze i otulającą nas zimną, szarą mgłę. Mówiłem wcześniej, że widziałem je w taki sposób, jak malarze widzą obrazy. Ten obraz jednak otaczał mnie, przenikał i stapiał się z moją duszą. Morze, które obryzgiwało mi brodę, i mgła, którą wdychałem z każdym oddechem, nie istniały już w oderwaniu ode mnie. Wypełniały mnie, żyłem dzięki nim i poprzez nie. Jeśli one znalazły się na obrazie, byłem na nim i ja. I był to obraz pozbawiony ram.

Musiało się wydarzyć coś, co zmieniło moją percepcję, i zmiana ta utrzymuje się do dzisiaj. Ogromnie żałuję, Czytelniku, że nie możesz tak jak ja oglądać dzikiego bydła ani na nie polować! Stłoczone stado zwierząt z wytrzeszczonymi w panice oczami i my z naszymi wyszywanymi chorągiewkami. Chciałbyś, żebym Ci to wyjaśnił, ale nie potrafię, chociaż z początku — a i później też — zakładałem, że zmiana jest spowodowana obecnością inhumiego. Powiedziałem mu o tym, kiedy wylądował bezszelestnie za moimi plecami i ogłosił swoje przybycie wybuchem śmiechu. Zaprzeczył i znów się posprzeczailiśmy, choć nie tak gwałtownie jak poprzednio. Już

wtedy zdawałem sobie sprawę, że jego zaprzeczenia nie mają żadnego znaczenia.

Ponieważ Krait jest nieobecny i nie może sam zabrać głosu, przemówię za niego. Postaram się wykazać przy tym więcej rozsądku, niż mieliśmy go obaj, kłócąc się na slupie.

Po pierwsze, wydaje mi się, że poza mną nikt nie odczuł tej zmiany.

Po drugie, sam Krait nic podobnego u siebie nie zauważył.

Po trzecie, zmiana utrzymała się mimo jego nieobecności.

Po czwarte i ostatnie, nie zauważyłem podobnego efektu podczas wędrówki z Kwezalem po tunelach.

Tym niemniej Krait umiał kształtować naszą percepcję — Alga i inni widzieli w nim człowieka, chłopca, za którego się podawał, ja zaś prędeż doszukałbym się dziecka w Babbim.

Alga, o czym nie wspomniałem, zaczęła płynąć w stronę słupa, gdy zorientowała się, że jestem na pokładzie i że nadal chcę, by mi towarzyszyła. Inhumi kazał mi obiecać, że zawołam ją ile sił w płucach, gdy tylko usłyszę jej głos. Nie odezwałem się jednak przez dobre kilka minut. Kazałem mu milczeć, a kiedy zaczynał coś mówić, poszturchiwałem go laską Szpika.

Wreszcie śpiew Algi ucichł, ja zaś wspomniałem daną Kraitowi obietnicę i zacząłem ją nawoływać. Wtedy jednak Alga już do nas płynęła. Stało się to kilka godzin po tym, jak wyszliśmy w morze bez sternika, ponieważ najpierw znaleźliśmy ląd (który Krait omyłkowo wziął za wyspę), a dopiero później, zrozumiawszy swój błąd, wróciliśmy na wyspę. Musieliśmy przepłynąć spory kawałek, żeby znaleźć Algę. Ja nadal nic nie widziałem we mgle, a w dodatku bałem się podwodnych skał, które dla inhumiego pozostawały równie niewidoczne jak dla mnie.

Zanim wreszcie namierzyliśmy Algę, było już dobrze po południu. Mgła trochę zrzędła, a kiedy jej pasma się rozsunęły, dostrzegłem Algę siedzącą na skale, sterczącej z morza niby róg jakiegoś utopionego potwora. Była naga (bardziej nawet, niż kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, bo bez biżuterii), a jej nogi — chyba już wspominałem o tym, że miała nieprzeciętnie długie nogi — zdawały się układać wokół niej jak ogon.

— Wraca do swojej dawnej postaci — powiedział inhum, kiedy wreszcie pozwoliłem mu coś powiedzieć. — Dopóki była z tobą, stawała się jedną z was. Myślę, że po to właśnie Matka ci ją oddała.

Kiedy wyszliśmy z zatoki, opowiedziałem mu o moim pierwszym spotkaniu z Algą.

— Myślisz? — zdziwiłem się.

— Tak, w przeciwieństwie do ciebie myślę. Jak ci się wydaje, czy wróciwszy do ciebie, będzie jeszcze dla ciebie tak śpiewać?

Nie zastanawiałem się nad tym i chyba zrobiłem głupią minę.

— Właśnie. Pewnie nic nie zaśpiewa, ani nutki, choćbyś ją błagał na kolanach.

Widząc jej drobną, bladą dłoń zaciśniętą na nadburciu, przytknąłem palec do ust. Kraitylko się uśmiechnął.

Pomogliśmy jej wejść na pokład. Spojrzała z zaciekawiona na inhumiego (którego imienia jeszcze nie znałem; wystarczyło mi, że był dla mnie po prostu „inhumim”). Wyjaśniłem jej (tak jak ustaliliśmy z Kraitem), że jest chłopcem, porzuconym na wyspie przez załogę jakiegoś statku, i że to on pomógł mi wydostać się z jamy. Kłamstwo nie przyszło mi łatwo, zwłaszcza kiedy inhum stał przede mną i widziałem, że nie ma w nim nic z człowieka. Oderwałem od niego wzrok i spojrzałem na nią, ale niewiele to

pomogło. Stałem się tylko boleśnie świadom jej czystości i niewinności.

— Nie chcesz na mnie patrzeć? — spytała.

Odparłem, że jeśli spojrzę jej w oczy, natychmiast się w niej zakocham. Wybacz mi, Pokrzywo!

Inhumi podał jej rękę. Byłem przekonany, że poczuje w dłoni jego szpony, ale te w jakiś tajemniczy sposób zniknęły.

— Mam na imię Krait — powiedział. Pierwszy raz usłyszałem jego imię.

Jeszcze zanim skończył mówić, Alga odwróciła się z powrotem do mnie i pogładziła mnie po policzku.

— Byłeś martwy.

Pokręciłem głową.

— Ależ tak, widziałam. — Zadrżała lekko. — Martwe rzeczy się zjada.

— Tylko czasami — wtrącił Krait.

Nie zwracała na niego uwagi.

— Gdzie moje ubranie?

Na slupie nic nie znaleźliśmy, a ja nie miałem więcej zapasowych tunik, ale udało nam się — jak poprzednio — zrobić jej spódniczkę z płótna żaglowego. Stała przez ten czas bez ruchu, wpatrzona we mgłę i niespokojne fale.

— Musisz jej teraz lepiej pilnować, jeśli nie chcesz jej stracić — mruknął Krait.

— Umiesz żeglować?

— Nie. Ale jeśli mnie nie posłuchasz, za pół godziny znów wyskoczy za burtę. — Pokazał zagłębienie pod fordekiem, w którym spaliśmy. — Połóżcie się. Porozmawiaj z nią, obejmij i namów, żeby dla ciebie zaśpiewała. Obiecuję, że nie będę podglądał.

Zrefowałem żagle, uwiązałem rumpel i uprzedziłem Kraita, że jeśli nie chce, żebyśmy się potopili, ma mnie zawołać przy najmniejszej zmianie pogody. Przekonałem Algę, żebyśmy położyli się na godzinkę odpocząć.

Zgodziła się — chyba głównie po to, żebyśmy mogli porozmawiać w cztery oczy.

— Nie podoba mi się ten chłopiec — przyznała.

— Wyciągnął mnie z jamy, w której ty i Babbie mnie zostawiliście.

Teraz, kiedy miałem ją znów przy sobie i widziałem, że jest bezpieczna, okazało się, że jestem na nią zły.

— Byłeś martwy — powtórzyła. — Widziałam. A martwych ludzi się zjada.

Wolałem zmienić temat. Zgodnie z propozycją Kraita zaproponowałem, żeby dla mnie zaśpiewała.

— Wtedy ten chłopiec przyjdzie. Nie chcę, żeby tu był z nami.

— Ja też nie. Zaśpiewaj tylko dla mnie, cichutko, ale nie tak jak wtedy, kiedy byliśmy sami. Zaśpiewaj tak jak niedawno śpiewałaś na skałach.

— I tak mnie usłyszysz. — Zadygotała. — Ma takie powykręcane stopy.

— Naprawdę myślisz, że jest chłopcem? — spytałem z niedowierzaniem. Nie mieściło mi się to w głowie, tak jak niedawno nie mogłem uwierzyć, że tarzary dadzą się nabrać na wiklinowy wabik.

Alga zachichotała.

— Nie, nie w tym sensie. Jest dostatecznie dorosły. Nie podtrzymałbyś go.

— Przyszędłby do ciebie, gdybyś zaśpiewała?

— Ależ oczywiście!

Schowała swoją jedyną dłoń w mojej. Współczułem jej.

— A co ze mną, Algo? Ja już tu jestem.

— Matka kazała mi z tobą zostać.

Pokiwałem głową. Słyszałem, jak Babbie drepcze w tę i z powrotem po fordeku nad naszymi głowami; brzmiało to tak, jakby po deskach maszerował cały oddział żołnierzy. Tłumiona złość i nerwy nakręcały go jak sprężynę. Ciekawe, czy dla niego Krait był ludzkim chłopcem, czy inhumim; ciekawe, jaka to dla husa różnica.

— Kiedy staliśmy na pokładzie, myślałaś, że nie chcę już na ciebie patrzeć — przypomniałem Aldze. — Prawda jest taka, że nie cierpię patrzeć na niego.

— Na tego chłopca?

— Na Kraita. Boję się, że będę się na niego gapił z wytrzeszczonymi oczami, a to nie byłoby zbyt uprzejme.

— Na jego stopy, tak?

— Właśnie. To chyba przez nie tak dziwnie chodzi. A poza tym jak wygląda?

— Przecież wiesz.

— Mężczyźni i kobiety często zupełnie inaczej postrzegają jedną i tę samą rzecz — odparłem. Chyba w żadnym wypadku słowa te nie były prawdziwsze niż dla nas dwojga, leżących pod fordekiem. — Jestem ciekawy, jak ty go widzisz.

— Jesteś zazdrosny! — prychnęła rozbawiona. Była zachwycona.

Cały czas miałem nadzieję, że bez mojej podpowiedzi przejrzy Kraita na wylot. Odparłem z powagą: — Nie należysz do mnie. Ja należę do Pokrzywy, mojej żony — Jeżeli będziesz się chciała oddać innemu mężczyźnie, mogę cię przed tym przestrzegać i zrobię to, jeśli uznam, że nie jest dla ciebie

odpowiedni. Ale nie oddawaj się temu chłopcu, temu... Kraitowi. Nigdy.

— No cóż, jest całkiem przystojny. — Położyła sobie swoją dłoń na lewej piersi. Cofnąłem rękę.

— Z pewnością.

— Nie złość się na mnie.

Odparłem, że wcale się nie złoszczę, lecz martwię się o nią, co nie było do końca prawdą. Babbie zgrzytnął szablami o pokład — On przynajmniej naprawdę się złościł — tym bardziej, że nie mógł swojej złości w żaden sposób wyładować.

— Przypląnęłam, jak tylko cię usłyszałam. Może powinnam była na ciebie poczekać. Rozbiłbyś łódź. Pamiętasz, jak mnie pierwszy raz pocałowałeś?

Minął tydzień, odkąd napisałem słowa, które właśnie przeczytałeś — tydzień upałów, wściekłych burz i doniesień o pojawieniu się inhumich na wielu podmiejskich farmach. Całkiem niedaleko miasta pewien dzieciak znalazł martwą sąsiadkę i dwoje jej dzieci. Wyssano z nich krew.

Mam więc sporo zajęć, chociaż nie aż tak wiele, by całkowicie zarzucić rozpoczętą w zeszłym roku opowieść, nad którą spędziłem już tyle czasu. Nie chodzi o to, czy powinienem pisać prawdę; wiem — i to aż za dobrze — że tak. Pozostaje kwestia tego, co powiedzieć, a co przemilczeć.

(„Jak zamkniesz usta, nie nałykasz się much”, doradziłby mi Świnia. Przydałby mi się teraz).

Gdyby Jedwab odbył stosunek z inną kobietą, na pewno powiedziałby o tym Hiacyntowi. Jednak marna to dla mnie

pociecha, bo Hiacyntowi byłoby to obojętne — no, w każdym razie prawie obojętne. Ale jak wiele by jej powiedział? Oto jest prawdziwe pytanie, pytanie, na które nie znam odpowiedzi. Czy przedstawiłby tylko suche fakty? Ale czy wtedy suche fakty nie wyglądałyby jeszcze gorzej, o wiele gorzej?

Kiedy zaczynałem, właśnie ten fragment zamierzałem pominąć w mojej relacji. Teraz już rozumiem, że jeśli coś pominię, nikt nie uwierzy także w całą resztę. Powinienem wtedy spalić ten rękopis, do ostatniej kartki.

Tak czy inaczej nikt mi nie uwierzy. Na pewno. Hari Mau i powstali nie uwierzą nawet, że jestem tym, kim jestem. Wiedziałem, Jaki czeka mnie los, już kiedy pisałem o grzbietoskórce. Powiem całą prawdę, jak na spowiedzi; od tej pory niczego nie przemilczę i niczego nie ubarwię. Przysporzy to cierpień nieszczęsnej Pokrzywie, gdyby miała przeczytać moje słowa, co jednak jest mało prawdopodobne. Niech przynajmniej ma satysfakcję, że wie o tym, co najgorsze.

Poprosiłem Algę, żeby dla mnie zaśpiewała. Pisałem już o tym. Prawda wyglądała inaczej: nakłaniałem ją do tego, a na koniec zacząłem jej grozić, aż wreszcie się zgodziła. Wystarczyło, że zaśpiewała dosłownie kilka nut, słowo czy dwa w języku obcym ludzkiej rasie, a już się na nią rzuciłem. Zerwałem z niej skąpy kawałek płótna, zacząłem ją gryźć, drapać i bić, robić rzeczy, jakich żaden mężczyzna nie powinien zrobić żadnej kobiecie. Chciałbym wierzyć, że żaden człowiek

nigdy nie zachowywał się w tak okrutny, perwersyjny sposób jak ja.

Potem wyczerpany zasnąłem, a kiedy się obudziłem, płynęliśmy żwawo na północny wschód, mając na bakburcie gęsto zarośnięty, zielony brzeg. Spojrzałem w tamtą stronę i odwróciłem się do siedzącego przy sterze inhumiego. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Myślałeś, że nie dam sobie rady.

Bolały mnie szczęki; na dobrą sprawę byłem cały obolały. Z trudem wykrztusiłem: — Mówiłeś, że nie umiesz żeglować.

— Bo nie umiem, ale umiem pociągnąć za sznurek, jak mi się powie za który. Matka mi wszystko wyjaśniła.

— Twoja matka tu jest?

Słabo mi się zrobiło na myśl, że miałbym dzielić łódź z dwojgiem inhumich. Usiadłem na skrzyni i ukryłem głowę w dłoniach.

— Moja matka chyba nie żyje, a ja miałem na myśli twoją drugą żonę, ojczy. Tak będziemy musieli mówić ludziom. Jest za młoda na moją matkę, młodsza chyba ode mnie.

Spojrzałem na niego spode łba. Nie przestając się uśmiechać, położył palec na ustach, tak samo jak ja wcześniej.

— Nie lubię, kiedy udajesz, że jesteś moim synem — powiedziałem. — Jeszcze mniej podoba mi się, kiedy udajesz, że jesteś synem Algi. Gdzie ona jest?

— Pasierbem, nie synem. Nie mogę ci zdradzić, gdzie jest, ojczy kochany, bo obiecałem jej, że nie powiem. — Paskudna, bez — warga szczelina, pełniąca u Kraita rolę ust, nie była już rozciągnięta w uśmiechu. — Ty też mi coś obiecałeś. Nawet kilka rzeczy. Nie zapominaj o tym.

Wstałem, przeszedłem na rufę i usiadłem na nadburciu, tuż obok Kraita.

— Czy usłyszysz nas, jeśli będziemy mówili ściszymi głosami?

— Mnie na pewno nie, ojciec. Jestem jednak przekonany, że nie dasz rady dłużej niż minutę czy dwie mówić tak cicho jak w tej chwili. Zawsze prędzej czy później podnosisz głos. Najlepiej będzie w ogóle nie rozmawiać.

— Kazałeś mi się z nią położyć i...

— I zrobić to, co zrobiłeś — dokończył.

— Mówiłeś to, kiedy stała obok nas, a ja owijałem jej biodra płótnem. I jakoś się nie martwiłeś, że nas usłyszysz.

— Mnie. Nie martwiłem się, że mnie usłyszysz. Poza tym błądziła myślami gdzieś daleko, nie zauważyłeś?

— Mimo to...

— Bardzo daleko. Myślami albo może, jak ty byś to powiedział, duchem. Znaczyliśmy dla niej wtedy mniej, niż twój hus znaczy dla ciebie.

Rozejrzałem się i znalazłem Babbiego leżącego u moich stóp.

— Widzisz? Hus bardzo głośno chodzi i nic nie umie na to poradzić. Wiecznie to tup-tup-tup za plecami. A ty nawet nie wiedziałeś, że tu leży.

— Pływa, prawda? Wskoczyła do wody i trzyma się łądzi.

Wychyliłem się za burtę i rozejrzałem, na ile mogłem, nie ostając, ale niczego poza falami nie zobaczyłem.

— Nie... — Krait miał całkowicie nieprzenikniony wyraz twarzy, ale czułem, że coś go dręczy. Wydał mi się przez to dziwnie ludzki. — Powinienem ci to wyjaśnić, a mogę nie mieć drugiej takiej okazji. Czy wyglądam dla ciebie jak ludzki chłopiec?

Pokręciłem głową. Inhumi wskazał swoją twarz.

— Ale twarz mam ludzką, prawda?

— Jeśli upierasz się, żebym ci przyznał rację... Zgoda, masz ludzką twarz.

— Nie upieram się, chcę, żebyś powiedział mi prawdę. My nigdy nie kłamiemy.

(Z całą pewnością nie chodziło mu o ogół inhumich, bo to byłoby kłamstwo jakich mało).

— No dobrze. Teraz o wiele bardziej przypominasz chłopca niż przedtem, kiedy rozmawialiśmy w jamie. Z bliska jednak wcale nie wyglądasz ani jak chłopiec, ani w ogóle jak człowiek.

Na moich oczach jego nos i podbródek zapadły się, a łuki brwiowe rozplynęły w nicość. Wszelkie podobieństwo do człowieka zniknęło bez śladu.

— Obiecałem ci między innymi, że nie będę próbował cię oszukiwać. Ten człowiek, którego nienawidziłeś...

— Patere Kwezal?

Krait skinął głową.

— Mówiłeś, że braliście go za starca i że byłeś zły, kiedy się dowiedziałeś, że was oszukał. I jakiś żołnierz go śmiertelnie postrzelił, tak?

— Tak.

— Widziałeś jego ciało?

— Tak. — Na mojej twarzy musiało się odmalować obrzydzenie. — A co to za różnica?

— Dla niektórych z nas to ogromna różnica, czy jest się żywym, czy martwym. Czy nadal wyglądał jak staruszek?

Zawahałem się.

— Nie lubimy oglądać zwłok. Nie przyglądałem mu się zbyt długo.

— Jak wyglądał, Rogu?

Trudno mi to opisać, ale czułem się bardzo dziwnie, siedząc na rufie słupa i rozmawiając z inhumim o śmierci patere Kwezala, która nastąpiła dwadzieścia lat wcześniej. Smugi mgły unosiły się w powietrzu niczym duchy, a rozszepcane fale mamrotały w taki sposób, że lada chwila spodziewałem się zrozumieć słowa.

— Podejrzewam, że nie przypominał człowieka — podsunął Krait.

Usłyszałem szept fal: „zielsssko”.

— Pokrzywa... To znaczy moja żona... widziałeś ją na Jaszczurce... razem z innymi kobietami poszła obmyć zwłoki. Kiedy zaczęły krzyczeć, wszyscy się dowiedzieliśmy.

— Na pewno też poszedłeś go zobaczyć, Rogu, prawda?

Pokiwałem głową.

— I wcale nie wyglądał jak stary człowiek, co? Nie mógł tak wyglądać.

Pokręciłem głową.

— A jak?

— Tak jak ty — odparłem, a kiedy Krait milczał, wlepiając we mnie hipnotyzujące spojrzenie, dodałem: — Pudrował i malował twarz. Jak kobieta. W kieszeni nosił puder i róż.

— Też bym tak robił, gdybym je miał. Malowałbym twarz, tak jak noszę twoją koszulę i spodnie. Oczy widzą to, czego oczekuje umysł, Rogu. Na przykład Babbie, kiedy tak leży z niedojedzoną zieloną gałązką w pysku, mógłby cię oszukać i stać się dla ciebie krzakiem, gdybyś spodziewał się zobaczyć krzak.

— Zgoda. To dlatego używamy psów i oswojonych husów do polowania na dzikie husy.

Krait uśmiechnął się szeroko, pokazując kły.

— Młoda syrena, którą nazywasz Algą, postrzega mnie inaczej niż ty. Widzi co innego niż ty, kiedy spojrzales na tamtego trupa.

Skinalem glową.

— W takim razie, dlaczego nie mozesz uwierzyć, że czasem w ogóle mnie nie słyszy?

Cały roztrzęsiony — bardziej, niż chciałbym się do tego przyznać — przeszedłem na dziób, wyglądając za burty z obu stron. Nikogo nie znalazłem. Po chwili Krait skinął na mnie, więc niechętnie wróciłem na rufę. Ledwie usłyszałem jego szept, kiedy się odezwał: — Jeżeli nasłuchuje, to słyszy tylko twój głos, ojcie. A właściwie tylko jego szmer. Myśli pewnie, że mówisz sam do siebie albo rozmawiasz z husem.

— Skrzywdziłem ją.

Inhumi z powagą pokiwał glową.

— Obaj wiemy, że miałeś taki zamiar. Nie, nie obaj — wszyscy troje to wiemy. Miałeś taki zamiar i dopiąłeś swego. Z czasem znajdzie pewnie dla ciebie jakieś wytłumaczenie. Co wtedy zrobisz?

Kły zniknęły, twarz Kraita znów przybrała ludzkie kształty.

— Bardzo?

— Bardzo. Mocno krwawiła z... Z różnych miejsc. Aż trudno mi było się powstrzymać.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, zapytałem więc, czy znalazł bandaż i maści.

— Sama wiedziała, gdzie są. Pomogłem jej zawiązać bandaż, tam gdzie mógł się na coś przydać. Trudno było zatamować krew. Nie masz pojęcia, ile się z tym namęczyliśmy. — Zawiesił wyczekująco głos. Spodziewał się, że zaraz się na niego rzucę. — Rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Oczywiście. Mówisz we wspólnej mowie, którą władasz nie gorzej ode mnie.

Machnął ręką na moją wzmiankę o wspólnej mowie.

— Jej za to nie rozumiesz ni w ząb.

— Mężczyźni nigdy nie rozumieją kobiet.

Roześmiał się. W jego śmiechu było coś, co sprawiło, że chociaż przed chwilą wcale nie byłem na niego zły, nagle poczułem, że mam ochotę go zabić.

Nie znalazłszy Algi nigdzie przy burcie, zacząłem sondować wodę bosakiem, co było idiotycznym pomysłem. Następnie chciałem wrócić do skał, na których ją znaleźliśmy, ale Krait mi to odradził i dał słowo, że Alga cały czas jest na łodzi. Dodał, że byłbym skończonym durniem, gdybym zaczął jej szukać. Znalezienie jej, twierdził, byłoby jeszcze gorsze od niezalezienia. Potem odleciał.

Jeśli pamięć mnie nie myli, Alga wyszła dopiero w nocy. Dawno już domyśliłem się, że schowała się w jednej ze skrzyń, nie zdziwiłem się więc, widząc, że wieko tej, w której trzymałem linę i inne drobiazgi (usiadłem na niej w pewnym momencie), samo się otwiera. Skinąłem patelnią, na której smażyłem rybę, i zaprosiłem Algę, żeby do mnie podeszła.

Usiadła po przeciwnej stronie ogniska, za co jej podziękowałem, bo w ten sposób mogłem ją lepiej widzieć. Wyglądała na zdziwioną.

— Bardzo się o ciebie martwiłem — wyjaśniłem. — Nie wiedziałem, jak poważnie jesteś ranna, a poza tym na pewno zgłodniałaś i chce ci się pić.

Podałem jej butelkę z wodą. Napiła się i spytała: — A tobie nic się nie stało?

Jej pytanie wzruszyło mnie jak mało co.

— Nie — odparłem. — Nic mi nie jest. Byłem tylko zmęczony.

Pokiwała głową i pociągnęła następny łyk.

— Mogłaś mnie zabić, kiedy zasnąłem. Mogłaś wziąć mój nóż i zakłuć mnie na śmierć.

— Nie zrobiłabym tego.

— Ja bym to na twoim miejscu zrobił. — Przełożyłem na talerz ostatni kawałek ryby i podałem go jej ponad ogniskiem.

— Chcesz widelec?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się bez słowa w talerz, więc podałem jej widelec.

— Poza rybą niewiele jedzenia nam zostało — poinformowałem ją. — Wziąłem za mało zapasów.

— Nie spodziewałeś się mnie. — Kiedy podniosła wzrok, w jej oczach malowało się przerażenie. — Nie chcę tego jeść. Mogę dać Babbieemu?

Na dźwięk swojego imienia hus wstał i podbiegł do niej, okrążając skrzynię z piaskiem, w której płonęło ognisko.

— Jeśli tylko chcesz...

Przyglądałem się, jak Babbie pałaszuje rybę.

— Trochę mi niedobrze.

— Mnie też. Czy muszę ci mówić, że jest mi strasznie, ale to strasznie przykro z powodu tego, co ci zrobiłem? To się nigdy więcej nie powtórzy.

— Zaśpiewałam dla ciebie — odparła, jakby to wszystko wyjaśniało.

Gdzieś tam śpiewa dla mnie i w tej chwili, tak jak śpiewała Przed pojawieniem się Kraita. Słyszę ją niemal codziennie, chociaż z pewnością dzielą nas setki mil. A kiedy jej nie słyszę, śnię o naszym domu nad morzem i o Tobie, Pokrzywo, moja najukochańsza żono, miłości mej młodości. Jeżeli jednak kiedyś trafię do domu z powrotem (tak jak Alga bez wątpienia wróciła do morza, spienionych fal, tajemnych prądów i czarnych, omywanych wodą skał), w pewną sztormową noc odrzucę koc i zostawię Ciebie i bliźniaków pogrążonych we śnie. Wypłynę na morze w pierwszej lepszej łodzi i więcej się nie zobaczymy. Nie oplakuj mnie, Pokrzywo. Każdy człowiek musi kiedyś umrzeć, a ja wiem już, do jakiej śmierci tęsknię.

Dzisiaj pogrzebaliśmy żywcem jednego inhuma i dwie inhумы. Trzeba było podważyć trzy duże brukowce na rynku. Okrutna kara. Kiedy jedno z inhumich się do mnie uśmiechnęło, miałem wrażenie, że widzę w jego pysku zwykłe ludzkie zęby. Zresztą wszyscy troje byli tak łudzaco podobni do ludzi, że miałem wrażenie, iż pochowamy żywcem prawdziwego mężczyznę i dwie prawdziwe kobiety. Uparłem się, żeby zajrzeć im do pysków. Kobieta, która się uśmiechała, nie chciała otworzyć ust po dobroci, więc rozwarto jej szczęki siłą, sztyletem. W środku znalazłem tylko przystosowane do picia krwi kły, podobne do węzowych i cofnięte pod samo podniebienie.

W Skany inhumich pali się żywcem. Cieszę się, że tylko raz musiałem oglądać taką egzekucję. Słyszałem, że podobnie traktuje się ich w Nowym Vironie, i muszę przyznać, że z

rozkoszą spaliłbym inhumiego, który ugryzł Ścięgno w czasie, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w namiocie na plaży. Hari Mau ma rację, to potwory. Ale trudno im się dziwić, skoro my, ludzie, jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Czasem żałuję, że Krait mi o tym powiedział.

Niewiele napisałem ostatnim razem. Ani słowa o Aldze, Kraicie, słupie ani o zachodnim kontynencie, który nazwałem Zaciemnieniem. A upłynęły już dwa dni. Jeżeli takie tempo się utrzyma, do końca życia będę snuł opowieść o mojej porażce, chociaż jest przecież taka prosta.

W ten wieczór, o którym pisałem przed egzekucją, siedzieliśmy przy ognisku, prawie się do siebie nie odzywając. Zjedliśmy ostatnie jabłka z beczułki, których zapas na początku podróży wydawał mi się niewyczerpany. Skończyła się też mąka — resztki wykorzystałem przy panierowaniu ryby. Zarzuciłem dwie linki z haczykami. Od czasu do czasu wstawiałem, żeby rzucić okiem na spławiki, ale nic się nie złapało.

Alga zapytała, co się stało z chłopcem. Odparłem, że poluje na lądzie i miałem wrażenie, że kłamię, chociaż powiedziałem szczerą prawdę. Strzelbę zostawiłem pod fordekiem, na koi. Bałem się, że Alga zobaczy ją i zapyta, jak Krait może polować bez broni i bez Babbiego. Nie wiem, czy przyszło jej to do głowy, w każdym razie takiego pytania mi nie zadała. Powiedziała co innego: — Moglibyśmy odpłynąć bez niego.

Pokręciłem głową.

— No dobrze.

— Wybaczysz mi? — zapytałem.

— To, że nie chcesz go zostawić? — Wzruszyła chudymi ramionami. — Mam nadzieję, że jednak się go pozbędziemy. Jak nie teraz, to później.

— Aby wydostać się z jamy, musiałem mu obiecać, że zabierzemy go do Pajarocu i spróbujemy znaleźć dla niego miejsce w lądowniku.

— Ja mu niczego nie obiecywałam i nie obiecuję. Jest jeszcze mąka?

— Nie.

Alga wstała i zerknęła na spławiki.

— Czy kobiety łowią ryby?

— Czasami.

Bardzo dawno już nie byłem z Pokrzywą na rybach.

— Jak? W taki sposób, jak ty teraz?

— Tak. Albo z podbierakiem, z siecią... Czasem polują z ościeniem, dokładnie tak jak mężczyźni. Mężczyźni częściej są rybakami, ale nie ma nic niestosownego w tym, że kobieta chce łowić ryby.

— Gdybyś przywiązał nóż do laski, mogłabym zapolować z ościeniem.

— Pod wodą? — Pokręciłem głową. — Rany by ci się pootwierały.

Nie odpowiedziała, a stała o krok za daleko od ognia, żebym mógł wyczytać z jej twarzy, o czym myśli.

— Jutro ja poszukam zwierzyny — zaproponowałem. — Na pewno coś upoluję, jak nie sam, to Babbie mi pomoże.

— Co to jest?

Musiałem wstać, żeby spojrzeć w stronę brzegu.

— Te światełka... — dodała, a ja wszedłem na fordek, żeby lepiej widzieć. Noc była bezwietrzna, ale nie aż tak, żebym się zaniepokoił. Rzuciliśmy kotwicę z dala od brzegu, bo przed zaciemnieniem nie udało się nam z Kraitem znaleźć żadnej zacisznej przystani. Na północy, tak daleko, że ledwo je widziałem, majaczyły dwa, może trzy lub cztery czerwonawe punkciki. Kiedy dygocząc z zimna wyteżałem wzrok, jeden z nich zgasł — i zaraz znów się pojawił.

— Myślałam, że może ten chłopiec postanowił zostać na łodzi — odezwała się za moimi plecami Alga — ale tych światełek jest za dużo.

Skinąłem głową i wróciłem do ogniska. Tym razem — ku mojemu zdumieniu i radości — Alga usiadła obok mnie.

— Boisz się ich?

— Ludzi, którzy rozpalili te ogniska? Pewnie nie tak bardzo, jak powinienem. Wiesz, Algo, byłoby mi znacznie łatwiej, gdybyś była na mnie wściekła. Gdybyś mnie znienawidziła.

— Chciałabym, żebyś to ty mnie nienawidził — odparła, kręcąc głową. — Nie rozumiesz, dlaczego się przed tobą schowałam?

— Dlatego że raz cię już zaatakowałem i bałaś się, że znów to zrobię. Mógłbym cię nawet zabić.

Pokiwała głową.

— Nie umiem wyrazić, jak bardzo jest mi przykro z tego powodu. Cały czas myślę o tym, w jaki sposób mógłbym... Jak mógłbym okazać ci, że żałuję tego, co się stało.

Dotknęła mojej ręki i spojrzała na mnie swoimi niewiarygodnymi oczami.

— Nigdy mnie nie zostawiaj.

Chciałem wyjaśnić, że jestem jej przyjacielem, nie kochankiem — Chciałem, ale jak miałem to powiedzieć kobiecie, którą tego samego dnia zgwałciłem? Jak ktokolwiek mógłby jej to powiedzieć. Chciałem też dodać (nie pierwszy raz), że jestem żonaty i wyjaśnić, co to oznacza. Chciałem jej przypomnieć, że jestem od niej ze dwa razy starszy. Chciałem powiedzieć jej o tym wszystkim, ale wiedziałem, że ją kocham, i wszystkie te piękne słówka uwięzły mi w gardle.

Później, kiedy leżeliśmy na koi pod fordekiem, zapytała jeszcze raz: — Nie rozumiesz, dlaczego musiałam się dziś przed tobą schować?

Wydawało mi się, że rozumiem, ale ponieważ raz już na to pytanie odpowiedziałem, zapytałem: — Dlaczego?

— Bo zmusiłam cię, a potem nie chciałam ci pozwolić.

— Do niczego mnie nie zmusiłaś.

— Zmusiłam. Śpiewem. Staram się zapomnieć, jak to robić.

— Twój śpiew sprawił, że zapragnąłem cię jak nigdy przedtem, ale nie zmusił mnie do zrobienia tego, co zrobiłem. Podałem się sile swojego pożądania, a powinienem był się jej oprzeć.

Milczała tak długo, że prawie zdążyłem zasnąć, nim znów przemówiła: — To kobieta spod wody nauczyła mnie tak śpiewać. Ją też chciałabym zapomnieć.

— Matkę?

— Nie była moją matką.

— Tak ją nazywałaś.

— Bo tego chciała. Płynęłam na takim wielkim statku; pamiętam kobietę, która do mnie mówiła i brała mnie na ręce. To chyba była moja matka.

Pokiwałem głową i dopiero kiedy zorientowałem się, że Alga mnie nie widzi, przytaknąłem: — Chyba tak.

— Potem była już tylko ta kobieta spod wody. Nie wyglądała nawet jak kobieta, dopóki częściowo się do kobiety nie upodobniła.

— Rozumiem.

— Bo w rzeczywistości wygląda zupełnie inaczej. Jest ogromna — Kazała się nazywać Matką, więc tak do niej mówiłam. Podejrzewam, że moja prawdziwa matka utonęła i ta kobieta ją zjadła.

— Bogini morza. Wiesz, jak się nazywa?

— Nie. Jeśli nawet kiedyś znałam jej imię, to je zapomniałam i cieszę się z tego. Nie chcę jej już pamiętać. Ona też chce, żebym o niej zapomniała — to pamiętam. Chciałbyś, żebym znów dla ciebie śpiewała?

— Nie — odparłem. Nie chciałem.

— W takim razie spróbuję zapomnieć tę pieśń.

Zapadając w sen, słyszałem jeszcze — albo wydawało mi się, że słyszę — jak mówi: — ... zapomnieć wodę, i kobietę spod wody, i zatopione łodzie z ludźmi. To dlatego nie chciałam twojej ryby. Już nigdy nie będę jeść ryb ani utopionego mięsa. Czy chłopiec przyniesie nam coś do jedzenia?

Nie pamiętam już, czy coś jej odmruknąłem, minęło zbyt wiele czasu. Mogło to być coś takiego: — Raczej nie. Sam się naje, ale wróci z pustymi rękoma.

Nie pomyliłem się.

Pamiętam jeszcze, jak osuwając się w pierwszy tamtej nocy głębszy sen, pomyślałem, że Alga zapomina o bogini, ponieważ Krait (który był dla niej „chłopcem”) nazywał „matką” ją samą.

Wyglądało na to, że na moim słupie jest miejsce tylko dla jednej matki — i teraz to Alga miała nią być.

Tak samo jak było miejsce tylko dla jednej żony. Widziałem Cię we śnie, moja nieszczęsna Pokrzywo, coraz słabiej i słabiej. Znikałaś w czystej błękitnej toni jak młotek, który zawsze trzymałem na łodzi, dopóki nie wpadł mi do wody. Patrzyłem, jak tonie: masywny żelazny obuch ściągał go w dół, a drewniana rączka próbowała go powstrzymać. Malał mi w oczach i stawał się coraz mniej wyraźny, aż woda zamknęła się wokół niego na zawsze. Moja miłość przypominała wtedy linę, której jeden koniec był przywiązany do Ciebie — cieniuteńką, ledwie widoczną, rozwijającą się sążeń po sążniu i czekającą na chwilę, kiedy wyciągnę Cię na powierzchnię.

Poczułaś się urażona? Jeśli tak, nie mam o to pretensji. Ty natomiast możesz mieć pretensje do mnie; im będzie ich więcej, tym większe moje szczęście. Pozwól, że jedną rzecz wyjaśnię raz na zawsze: śpiewana przez Algę pieśń bogini morza do niczego mnie nie zmusiła. Czy rozpałała moją żądzę? Bez wątplenia, ale to nie był przymus. Mogłem się wycofać. Inhumie zobaczyłyby moją wyprężoną męskość, widziałyby, jak cierpię, i naśmiewałyby się ze mnie przy każdej okazji, ale zniósłbym to.

Mogłem też zamknąć Aldze usta dłonią i kazać jej zamilknąć. Byłoby mi wstyd, bo chwilę wcześniej groziłem, że ją zbiję, jeśli dla mnie nie zaśpiewa — ale wstydzilem się już w życiu wiele razy z wielu różnych powodów i specjalnie bym się tym nie przejął.

A tak mogę tylko żałować, że nic nie zrobiłem.

O tym też powinienem Ci powiedzieć. Właśnie przyszła Chan — di, udając, że ją wzywalem. Muszę przerwać tę bełkotliwą

opowieść, która zmieniała się w list do Ciebie, i przekonać ją, że powinna już stąd iść.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś napisałem. Na pewno przed tą wielką burzą, ale kiedy dokładnie? Powinienem opatrywać wpisy datami, ale jakie miałyby one znaczenie dla moich ewentualnych czytelników? Każde miasto w tym whorlu, tak jak każde miasto we „Whorlu”, używa innego kalendarza. Nawet długość roku nie jest ustalona. To zasługa Paha Wielkiego, który nie chciał, żebyśmy się sprzymierzyli i wspólnie wystąpili przeciwko Centralnemu Procesorowi. Podziały utrzymały się do dnia dzisiejszego. Podam więc datę według rachuby stosowanej w Gaonie: dusra agast. Może dla Ciebie to coś znaczy, może nie, ale jeśli nawet nie, to niewiele tracisz.

Koniunkcja dobiegła końca. Przerosła wszelkie moje obawy, sytuacja nadal wygląda kiepsko. Przybyło dużo inhumich i wielu z nich zostało. Moi służący zamykają o zmierzchu okiennice, a kiedy położą się spać, osobiście sprawdzam wszystkie okna w pałacu.

Z mojej sypialni pięć okien wychodzi na północ, sześć na zachód i pięć na południe. Zanim się położę, każde z nich sprawdzani po kilka razy. Zamykam jedyne prowadzące do pokoju drzwi na zamek i zasuwkę — ze strachu przed inhumimi i najemnymi zabójcami.

Inhumi pije krew tak długo, aż napełni swoje żyły i nakarmi ciało. Wtedy udaje się w swoją drogę, jak opity kleszcz, który odpada od ofiary. Ziemia w Gaonie jest darmowa dla wszystkich

chcących ją uprawiać. Są u nas jednak ludzie, którzy zawsze pragną więcej ziemi, lepszej ziemi i służby, która by ją dla nich uprawiała. W dodatku zawsze są przekonani, że ktoś inny ma lepszą ziemię od nich. Zniszczyliby drobnych rolników, gdybym im na to pozwolił.

Ale nie pozwolę.

Wczoraj w nocy straż zastrzeliła w moim ogrodzie chudego młodzieńca uzbrojonego w długi, zakrzywiony sztylet. Huk strzałów obudził mnie, poszedłem więc obejrzeć ciało. Od razu przypomniało mi się, jak Jedwab zakradał się do domu Krwi z toporkiem za pasem. Czy ten młody człowiek miał o mnie równie złe zdanie, jak Jedwab o Krwi? A jeśli tak, to czy słusznie? Nie dość, że żerują na nas inhumi, to jeszcze sami nawzajem na siebie polujemy.

Kiedy ostatnio odkładałem pióro Oreba, była noc ognisk i siedzieliśmy z Algą na słupie. W nocy śniły mi się ciemne sylwetki, które czołgały się od ognisk do morza, płynęły do naszej łodzi i wdrapywały się na pokład z żądzą mordy w oczach. Usiadłem, namacałem strzelbę i już miałem wystrzelić, gdy zorientowałem się, że nikogo przy mnie nie ma.

Położyłem się więc z powrotem i półgłosem przeprosiłem Algę, że ją obudziłem.

— Nie spałam.

Wiedziałem, czemu nie śpi; tak mi się przynajmniej zdawało.

— Boisz się i martwisz. To zrozumiałe. Nie sądzę, żebyś zamierzała mi o tym opowiedzieć, ale jeśli chcesz, wysłucham cię cierpliwie i nie będę się złościł.

— Jestem zła na siebie — mruknęła.

— W takim razie kierujesz swój gniew pod zły adres. Powinnaś złościć się na mnie. — Przez chwilę (tylko przez chwilę) słyszałem, jak przemawiam głosem Jedwabia. Chciałem, aby ten moment trwał dłużej, ale nie miałem na to wpływu. — Co chcesz mi powiedzieć?

— Nic.

— Pozwól zatem, że ja coś powiem, a wtedy na pewno będziesz miała co nieco do dodania. — Czekałem, aż zaprotestuje, ale ponieważ się nie odezwała, mówiłem dalej: — Po pierwsze, to ja jestem wszystkiemu winien. Tylko ja, nie ty, nie ktoś trzeci. Nie miałem powodów, żeby zachować się w taki sposób. Stawiłaś mi zaciekły opór. Miałaś...

— Niepotrzebnie — przerwała mi dziecinnym, dziewczęcym głosikiem. — Skrzywdziłam cię. Wiem, że cię skrzywdziłam.

— Ja skrzywdziłem cię znacznie bardziej.

Poraziła mnie prawdziwość tych słów. Na chwilę odebrało mi mowę.

— Zasłużyłam na to.

— Wcale nie. Nigdy nie zasłużysz. Masz pełne prawo być na mnie wściekła. To druga rzecz, o której chciałem ci powiedzieć, chociaż już raz mówiłem, wieczorem. Gdybyś zabiła mnie we śnie, nikt nie miałby do ciebie pretensji.

— Ja bym miała.

— Przyszło mi to do głowy, kiedy zasypiałem. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że mnie zabijesz.

— Nie!

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że jej włosy musnęły mój policzek.

— Trzecia sprawa. Jestem głupcem wysłanym z bezsensowną misją. Odkąd wypłynąłem w morze, usiłowałem to sam przed

sobą ukryć. Udać się do whorla długiego słońca, przywieźć potrzebne szczepy zbóż, oko dla maytere Marmur i tak dalej — niby nic wielkiego, ale to zadanie dla odważnego i zaradnego dwudziestolatka, nie dla mnie. Dziesięć, piętnaście lat temu nadawałbym się na taką wyprawę, ale dziś jestem kandydatem gorzej niż beznadziejnym. Jestem żaloszny.

— Wyraziłeś zgodę, bo się bałeś, że jeśli odmówisz, wyślą twoją żonę — przypomniała mi Alga. — Opowiadałeś mi o tym.

— Jej by się prędzej udało. Jest dzielna, rozsądna i nie traci głowy z byle powodu. Nie będę wyliczał tu moich wad, znasz je aż nazbyt dobrze. W każdym razie określenia, którymi ją opisałem, do mnie ani trochę nie pasują.

— Ale...

— Jeśli chodzi o sprowadzenie Jedwabia na Błękit, to to nawet nie są pobożne życzenia — przerwałem jej, podnosząc głos. — Bardzo wątpię, aby Szpik i pozostali naprawdę chcieli, żebym to zrobił. Kupiec imieniem Wijzer powiedział to Szpikowi prosto w twarz, w mojej obecności. I miał rację. Całe to gadanie o ściągnięciu Jedwabia miało na celu wysłanie mnie w drogę. A jak nie mnie, to Pokrzywy. Tania, prymitywna sztuczka, na którą nawet Racica i Skóra nie powinni się nabrać.

Alga odwróciła głowę i szepnęła mi do ucha: — Miałeś rację. — Poczuję ciepłą pieśczętę jej oddechu. — Ja też chcę ci coś powiedzieć. Mogę?

— Śmiało.

— Poczekam, aż skończysz. Mimo wszystko wyruszyłeś. I wiem, że zamierzasz wrócić do „Whorla”.

Westchnąłem. To było silniejsze ode mnie.

— Mówiłem ci, że jestem głupcem. Obiecałem, że to zrobię, ale to jeszcze nie znaczy, że musisz lecieć ze mną. Lądownik,

który mają w Pajarocu, eksploduje pewnie zaraz po starcie i wszyscy zginą. Lepiej żeby nie było nas na pokładzie.

— Chcesz jeszcze coś powiedzieć, zanim pójdziemy spać, czy to już moja kolej?

— Prawie skończyłem. Po czwarte i ostatnie, nie jesteś więźniem na slupie. — Przypomniał mi się lotnik Sciathan i to, co mówił o nim Jedwab, kiedy Alka wyciągnął go z Juzgado. Odtworzyliśmy z Pokrzywą tę rozmowę w naszej książce. — Jesteś moim gościem, którego potraktowałem nad wyraz niegodnie. W każdej chwili możesz odejść, nawet teraz. Albo w Pajarocu czy dowolnym innym mieście.

Umilkłem.

— Czekasz, aż znów wskoczę do wody, Rogu? — zapytała po chwili.

— Tak.

— Na razie nie zamierzam tego robić. Poza tym teraz moja kolej, żeby coś powiedzieć. Kiedy ty spałeś, ja próbowałam zapomnieć.

— Nie dziwię ci się.

— Nie to, o czym myślisz. Próbowałam zapomnieć o morzu i o wszystkim, co robiłam pod wodą. Za każdym razem, kiedy coś mi się przypomniało, zaczynałam myśleć o czymś, co mi się zdarzyło odkąd jestem z tobą, o jakimś drobiazgu, którym zastępowałam tamto wspomnienie.

— Potrafisz to zrobić?! — spytałem. Do tej pory nie mogę w to uwierzyć.

— Oczywiście! — odparła z zapałem. — Ty też.

Nie był to najlepszy moment, żebym zgłaszał wątpliwości.

— Od tego musiałam zacząć: powiedzieć ci, co robiłam. Nie byłam zła ani przestraszona, wbrew temu, co sądziłeś.

Wspominałam i zapominałam.

Łódź kołysała się łagodnie przez długą chwilę. Alga milczała.

— Druga sprawa, jestem jedną z was — powiedziała w końcu.

— Jestem taka jak ty i ten chłopiec, chociaż go nie lubię.

— Jesteś człowiekiem.

— Tak, ludzką kobietą. A są inne kobiety? Kogo ma Babbie?

— Samicę husa, nie kobietę.

— No dobrze. Jestem kobietą, tak jak twoja Pokrzywa czy Tamaryndowiec, o której czasem opowiadasz. Jestem kobietą, ale nie wiem, co to znaczy.

Próbowałam ją zapewnić, że pomogę jej to zrozumieć, ale byłoby jej łatwiej, gdyby była z nami kobieta, którą mogłaby naśladować. Taka jak Pokrzywa.

— Uczę się od ciebie — powiedziała.

Nie wiem, może istnieje jakaś sensowna odpowiedź na te słowa, ale nie znałam jej wtedy i nadal nie znam.

— Powiedziałeś, że jesteś głupcem wysłanym z bezsensowną misją.

Zabrzmiało to jak oskarżenie.

— Bo to prawda.

— Nie jesteś wcale głupcem. Mogę to udowodnić, a potem pójdę popływać. Twierdzisz, że ludzie, którzy wysłali cię, abyś sprowadził im dobrego Jedwabia, wcale go nie chcą. Mam rację?

— Tak mówiłem, bo wiem, że tak jest. Wiedziałem chyba od samego początku, ale nie chciałem w to uwierzyć.

— Niech będzie: nie chcą go. Podejrzewam, że gdyby byli tu z nami, zaprotestowaliby, ale nie będą się z tobą spierać. Nie chcą go.

Nagle zatęskniłem za Jedwabiem. Chrząknąłem.

— Zapytam cię o coś, a ty musisz mi odpowiedzieć. Obiecujesz?

Pokiwałem w ciemności głową.

— Odpowiem, jeśli zdołam. Czy nie wspomniałaś przed chwilą, że chcesz popłynąć? Dzisiaj, Algo?

— Oto mój dowód — ciągnęła, udając, że nie słyszy moich pytań. — Ale odpowiedz szczerze: czy on im jest potrzebny?

Otworzyłem usta, żeby powiedzieć „nie”, ale zamknąłem je bez słowa.

— Tak czy nie? Obiecałeś.

— Wiem. — Przypomniałem sobie nasz wymarzony, piękny nowy whorl i próbowałem porównać marzenia z rzeczywistością ostatnich dwudziestu lat. — Tak. Tak, z pewnością. Ale posłuchaj mnie, Algo, nie możesz iść popływać. Na pewno nie w nocy, a i z pływaniem za dnia lepiej zaczekaj, aż zagoją ci się rany.

Odwróciła się na bok, tyłem do mnie. Leżałem na plecach, czując łagodne kołysanie słupa i widząc — za każdym razem, kiedy otworzyłem oczy — jasne, zimne gwiazdy na horyzoncie. Ona chciała dużo zapomnieć, ja zaś musiałem znacznie więcej pamiętać i stawić czoło wspomnieniom. Spróbowałem.

— Jestem głodna, Rogu — wymruczała sennie Alga jakąś godzinę później. — Znajdziesz nam jutro coś do jedzenia? Tylko nie rybę.

— Naturalnie. Zrobię, co w mojej mocy.

Nie wiedziałem, że Babbie jest w pobliżu, ale słysząc moje słowa, prychnął z aprobatą i położył mi się w nogach.

Kiedy się obudziłem, hus był na swoim miejscu. Za to Alga zniknęła.

Przez cały dzień pada i pada. Zasiadłem w sądzie i rozpatrzyłem trzy sprawy. Przy takiej paskudnej pogodzie trudno jest zachować bezstronność; budzi się we mnie bestia, która chciałaby wszystkich ukarać. Staram się jednak sądzić uczciwie i upominać wszystkich, którzy przede mną stają, że gdyby sami byli uczciwi, nie musieliby wcale przychodzić do mnie w poszukiwaniu sprawiedliwości. Jednemu człowiekowi mówię to tak, drugiemu inaczej... Ale i tak dzięki niech będą Zewnętrzznemu, że nie miałem dziś żadnej sprawy kryminalnej. Wszyscy ci kłótniwi, przystojni ludzie o skórze koloru błota noszą odcisk jego ręki, ale w taki mroczny dzień jak dziś bardzo trudno go dostrzec.

Wróćę do wydarzeń, które opisywałem.

O ile dobrze pamiętam, leżąc w ciemnościach obok Algi planowałem, że następnego dnia popłyniemy na północ wzdłuż wybrzeża, aż znajdę jakiś dogodny port. Wtedy zamierzałem zejść na ląd i zapolować, zostawiając Algę na straży łodzi. Kiedy się obudziłem i zorientowałem, że jestem sam, zrozumiałem, że cały plan wziął w łeb. Mówiła, że idzie popływać, a nie że chce mnie na zawsze opuścić. Co będzie, jeśli wróci i nie zastanie słupa w dawnym miejscu?

Krait wrócił, a Alga nie. Po wysłuchaniu jego długiej i pewnie niezbyt szczerzej opowieści o przygodach na lądzie (był opity krwią do granic możliwości i pękał z dumy) wyjaśniłem mu, co się stało. Zgodnie z moimi przewidywaniami pokłóciliśmy się i Krait znów odfrunął. Dochodziło południe.

Byłoby łatwo i przyjemnie przemilczeć cały ten dzień. Ja spędziłem go w mało sympatyczny sposób. Miałem pod dostatkiem wody, ale nic do jedzenia. Głos sumienia naglił, żebym podniósł kotwicę i pożeglował do Pajarocu, a przynajmniej zaczął go szukać na poważnie. Wygłodniały Babbie popłynął na brzeg, ale wydaje mi się, że niewiele znalazł do jedzenia. Ja zaś zostałem na słupie, zmarznięty i głodny. Ryba nie brała — tym bardziej, że nie miałem żadnej sensownej przynęty; pamiętam, że na jeden z haczyków założyłem strzępek płótna żaglowego. Całymi godzinami wpatrywałem się w wodę za burtą, ściskając w dłoni mój nowy harpun. Przez ten czas dostrzegłem tylko jedną maciupeńką rybkę, która i tak zniknęła mi z oczu, zanim zdążyłem rzucić. Zbliżało się zaciemnienie, kiedy spasiony błękitek wskoczył na Pokład. Wiedziałem już, że Alga wróciła. Przewlekłem sznurek przez skrzela ryby, wywiesiłem ją za burtę i w rekordowym tempie rozpałem ognisko. Wyciągnąłem błękitka z wody, oporządziłem go i zacząłem smażyć na największej patelni.

Alga wdrapała się na pokład, więc miałem okazję jej podziękować.

— Nie udało ci się nic upolować.

Po głosie poznałem, że jest bardzo zmęczona.

Pokręciłem głową i zapytałem, skąd to wie, chociaż pewnie jedno spojrzenie na moją twarz wyjaśniało wszystko.

— Gdybyś coś ustrzelił, nie siedziałbyś na burcie z ościeniem w ręce. Gdzie Babbie?

Wyjaśniłem jej, że wbrew zapowiedziom nie wybrałem się na polowanie; Krait nie chciał pilnować łodzi, a ja bałem się zostawić ją całkiem bez opieki tak daleko od brzegu.

— Jutro zapoluję — dodałem — ale ty musisz zostać na slupie i wypłynąć na otwarte morze, jeśli pogoda zacznie się zmieniać.

Wzruszyła ramionami. Wiedziałem, że następnego dnia się posprzeczamy.

— Zjem kawałek ryby, jeśli pozwolisz. Wiem, mówiłam, że nigdy więcej tego nie zrobię, ale zmieniłam zdanie.

Zjedliśmy kolację i Alga poprosiła, żebym dal jej rękę. Kiedy to zrobiłem, założyła mi pierścionek, chyba wykonany z białego złota, bo był jasny, ale nie szerniał tak jak zwykle srebro. Wprawiony w niego kamyk był biały, matowy, porysowany i bardzo, bardzo stary.

— Ty mi dałeś obrączkę — powiedziała — więc i ja ci daję. — Wsunęła drobną dłoń, swoją jedyną dłoń, w moją. — Noś ją zawsze, bo możesz kiedyś znów wpaść do jamy.

Pocałowała mnie, ale nie wyjaśniła, co ma na myśli. Nie wiedziałem wtedy, co to za pierścień (choć niedługo miałem się tego dowiedzieć). Nie przyszłoby mi do głowy, że pewnego dnia, na pokładzie rozbitego lądownika na Zieleni, uratuje mi życie.

Porzuciłem go, naturalnie, tak jak wszystko inne. Żałuję, że go nie mam — pomógłby mi z Barsatem i przypominał o Aldze.

Kraj Ognisk

Ja, Krait i Alga ciągnęliśmy za linę przymocowaną do dziobu, Babbie dźwignął i popychał barkami rufę i wspólnymi siłami, za pomocą wielokrążka, wyciągnęliśmy słup na piaszczysty brzeg. Kiedy nie mogliśmy przepchnąć go już ani odrobinę dalej, schowałem wielokrążek, zabrałem strzelbę i część biżuterii i przywiązałem dziób i rufę do karłowatych, lecz solidnie wyglądających drzewek.

Wszedłem na największą z okolicznych wydm, skąd roztaczał się widok na rozległą piaszczystą równinę, porośniętą kępami ciemnozielonych, gęstych zarośli. Nie wyglądała szczególnie obiecująco, ale pamiętałem, że na wyspie wśród olbrzymich drzew nie znaleźliśmy żadnej zwierzyny. Dopiero w ruinach udało mi się strzelić do zielonka. Ta okolica na pewno nie była gorsza.

Minęła dłuższa chwila, zanim zdałem sobie sprawę, że stoję na ziemi, którą sam nazwałem Zaciemnieniem; że po raz pierwszy moje stopy dotknęły nieznanego zachodniego kontynentu, na którym czekało na mnie Pajarocu i jego sprawny lądownik. Za moimi plecami, od południa, rozciągało się morze, na wschodzie również, i daleko na północy też połyskiwała woda, albo tak mi się tylko zdawało. Za to na zachodzie ląd się rozszerzał i wznosił wyraźnie. Od razu pomyślałem o domu, gdzie odległe ziemie na północy i

południu zakrzywiały się do góry wokół słońca i stykały nad moją głową, przechodząc w majestatyczne krainy niebios.

— Ogromny kraj — mruknął przeciągle stojący obok Krait.

Powiedziałem mu — z przekonaniem, którego w rzeczywistości wcale nie czułem — że teraz już szybko znajdziemy Pajarocu. Wzruszył ramionami.

— Pomogę ci, jak będę umiał najlepiej.

— Czy z tego wynika, że w nocy znalazłeś coś godnego uwagi?

— Nie.

Wiatr tarosił jego luźne ubranie. Krait zadrżał. Wyglądał na równie zmarzniętego jak ja.

— Ale znów się posiliłeś. Opowiadałeś mi o tym po powrocie; byłeś zachwycony, że w tak słabo zaludnionej okolicy miałeś tak udane łowy. Udało ci się z kimś porozmawiać?

— Ty byś wolał, żebym głodował.

Nie chciałem dać się sprowokować.

— Znalazłeś tutaj ludzi i piłeś ich krew.

— Nie, nie tutaj. Dalej, w głębi lądu. — Wskazał na zachód.

— Pytałeś ich o Pajarocu? Na pewno tak. Co ci powiedzieli?

— Nie miałem okazji nikogo o nic zapytać. — Pokręcił głową.

— Wszyscy spali.

— To dobrze.

— Rzeczywiście, była smaczna. — Uśmiechnął się, choć nie obnażył przy tym kłów.

— Nie idziesz na polowanie?! — zawołała Alga, stojąc u stóp wydmy.

— Zaraz! Zejdę z drugiej strony!

— Tam się spotkamy!

Odwróciłem się do Kraita.

— Chcę, żebyś został i popilnował łodzi, dobrze?

— Z przyjemnością, ale powiedz mi, dlaczego się ucieszyła z tego, że nie pytałem nikogo o drogę?

— Ostrzegano mnie, że ludzie żyjący w zgodzie z mieszkańcami Pajarocu okłamią nas, kiedy zapytamy, gdzie leży to miasto. Nie lubią obcych, nawet ludzi. Krait znów się uśmiechnął i pogładził po brodzie, którą na ten dzień sobie uformował.

— A jedno z nas nawet nie jest człowiekiem.

Wzruszyłem ramionami.

— Drobiazg.

— To prawda, ojcie. Jesteśmy równie ludzcy jak wy, cokolwiek miałoby to znaczyć. Nie interesuje cię, gdzie są ludzie, których znalazłem?

— Mam więcej pytań. — Próbowałem coś wyczytać z jego twarzy, ale nie mogłem znieść spojrzenia błyszczących oczu. Jeżeli będzie chciał mnie oszukać, nic na to nie poradzę. — Ale to się nada na początek: gdzie ich znajdę?

Znów wskazał ręką na zachód.

— Widzisz to wcięcie w górskim grzbiecie?

Pokiwałem głową. Od góry dzieliło nas dobre dziesięć mil.

— Stamtąd prawie dokładnie w naszą stronę płynie mała rzeczka. Jeśli się dobrze przyjrzysz, w paru miejscach zobaczysz między drzewami odbłaski słońca na wodzie.

Wyteżyłem wzrok, ale nie miałem tak ostrego wzroku jak on.

— Na jej brzegu, w miejscu gdzie teren staje się płaski, a nurt mniej bystry, stoi szalaś.

— Dziękuję. Dokąd dalej płynie ta rzeka?

— Może wsiąka w ziemię? Tu wszędzie jest piasek. Ale nie wiem, może jednak uchodzi do morza. Nie leciałem wzdłuż niej.

— Chcemy tam zapolować na zielonki albo dowolną inną jadalną zwierzynę. Jak ci się wydaje, mamy szansę coś znaleźć?

Zawahał się, wodząc wzrokiem po zalesionej równinie.

— Niewielkie, ale mogę się mylić.

— Widziałeś jakieś zwierzęta?

Pokręcił głową.

— A co widziałeś? Co widziałeś tu, bliżej?

— Głównie drzewa.

Zanim zdążyłem go powstrzymać, zaczął schodzić po zboczu wydmy w stronę słupa. Odprowadziłem go wzrokiem, a potem Wśliznąłem się po piasku z drugiej strony. Zszedłem na dół w samą porę, żeby spotkać się z Algą i Babbie, którzy obesзли wydnię dookoła.

— Chciałam wejść do ciebie na górę, ale piasek kłuł mnie w stopy, a Babbie się w nim zapadał — powiedziała Alga. — Piasek z mnóstwem ostrych kamyków powinien znajdować się pod wodą. Widziałeś z góry coś ciekawego?

— Przeróżne rzeczy — odparłem, mając na myśli nie tylko topografię okolicy. — Ale o niektórych wolałbym nie mówić. Przynajmniej na razie. — Podrapałem się po brodzie. — Posłuchaj, Algo, pójdziemy z Babbie dokładnie na zachód stąd. Przez dłuższy czas będziemy szli równolegle do brzegu, pomalutku skręcając w głąb lądu. Im bardziej zbliżymy się do gór, tym większe szanse, że coś nam się trafi. Nadal chcesz iść z nami?

Pokiwała głową i ruszyliśmy na polowanie.

Kilkakrotnie próbowałem pokazać jej góry, ale za każdym razem na postoju drzewa zasłaniały nam widok.

— Możemy bardzo łatwo zablądzić — uprzedziłem ją. — Musimy często się zatrzymywać i patrzeć, gdzie jest słońce. Chłopiec twierdzi, że płynie tu rzeka, wzdłuż której moglibyśmy pójść i się nie zgubić, ale najpierw musimy ją znaleźć.

— Upolował coś?

To pytanie wymagało kłamstwa w odpowiedzi, skłamałem więc, że mimo jego przechwałek podejrzewam, iż musiał się zadowolić surowymi skorupiakami.

Ruszyliśmy dalej. Alga zapytała, czy Krait spotkał ludzi, którzy rozpalili ogniska widoczne pierwszej nocy ze słupa. Odparłem, że chyba tak, ale nie chciał mi o nich nic powiedzieć.

— Ty też mi nie powiesz?

Szedłem pierwszy przez gąszcz, więc nie widziała mojej twarzy, ale mój głos musiał ją zaniepokoić.

— Powiem, bo bardzo się o ciebie martwię. O nas oboje. Kłopot w tym, że nie bardzo wiem, jak zacząć, bo nie znam tej części whorla ani ludzi, którzy ją zamieszkują. Może się okazać, że moje domysły będą chybione.

— Powiedz w takim razie, czego się domyślasz — zażądała.

Nawet Babbie, który buszował przed nami w zaroślach, odwrócił się i nadstawił uszu. Wziąłem głęboki wdech. Byłem prawie pewien, że Alga wie więcej o istotach, które rozpały ogniska — — Przede wszystkim nie sądzę, żeby to byli ludzie.

— Ale pewności nie masz?

— Nie mam. Krait powiedział mi, że spotkał nad rzeką ludzi, ale z jego opowieści wynika, że zapuścił się daleko w głąb lądu. Ci, którzy rozpalili ogniska, muszą mieszkać bliżej.

— Nie widział ich?

— Nie wiem. Nie chciał mi powiedzieć. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to powiem ci, że Krait wie, kim są, i wolał ich unikać.

Gdybym jej pozwolił, wypytywałaby mnie dalej, ale stwierdziłem, że hałasując, możemy spłoszyć zwierzynę i kazałem jej albo zamilknąć, albo wrócić na łódź.

Koło południa (ponieważ przy każdej okazji mrużąc oczy wypatrywałem słońca wśród listowia, bardzo dobrze zdawałem sobie sprawę z upływu czasu) natknęliśmy się na rzeczkę. Zrobiliśmy postój, żeby się napić; woda była czysta, zimna i smaczna.

— Pójdziemy w górę rzeki? — spytała Alga.

— Spróbujemy. — Skończyłem pić i zdjąłem buty. — Najłatwiej będzie mi chyba brodzić po płyciźnie.

Czekałem, aż się odezwie, ale nic nie powiedziała.

— Pójdiesz ze mną?

Skinęła głową.

— Nie będę musiał przedzierać się przez krzaki. — W kilku miejscach musiałem już wycinać nam drogę w leśnym gąszczu, używając noża ścięga jak maczety. — A gdybym chciał iść przez las wzdłuż rzeki, gubiłbym ją pewnie co pięćdziesiąt kroków. Krait twierdzi, że mieszkają nad nią ludzie; jeżeli zagłębimy się w las, a potem znajdziemy rzekę powyżej ich obozowiska, rozminiemy się z nimi.

Alga znów pokiwała głową.

— Może dadzą nam coś zjeść.

— Właśnie. Potrzebujemy jedzenia, ubrań i koców, albo chociaż skór, którymi moglibyśmy się przykryć i nie marznąć. A tobie przydałyby się jakieś buty.

Wstałem i wszedłem do wody, która, dotąd tak orzeźwiająca, okazała się nagle nieprzyjemnie zimna. Zdjąłem tunikę.

— Powinienem był ci ją dać, jak tylko przy płynęłaś na łódź. Weź włóż ją i nie kłóć się ze mną, proszę.

Chciała zaprotestować, ale zrezygnowała, widząc, że naprawdę mnie złości.

— W Nowym Vironie kobiety nie pokazują piersi obcym ludziom — wyjaśniłem. — Odsłonięcie piersi byłoby jak zaśpiewanie tej pieśni, którą starasz się zapomnieć. Rozumiesz, co mówię?

— Ty nie jesteś obcy — odparła ledwie słyszalnym szeptem.

— Wiem. Są wyjątki. Ale mimo to lepiej będzie, jak ją włożysz.

— Zmarzniesz. Ja marzłam.

Odparłem, że w tunice też marznę, i ruszyliśmy w górę rzeki. Po dwóch, może trzech milach woda zrobiła się naprawdę lodowata, więc chcąc nie chcąc musieliśmy wyjść na brzeg i iść dalej po lądzie.

Z moich obserwacji wynika, że na Zaciemnieniu (wciąż nie znalazłem lepszej nazwy) panuje chłodniejszy klimat niż u nas. Nawet w najcieplejszych okolicach jest zimniej niż w Nowym Vironie i znacznie zimniej niż w Gaonie. To pewnie wina zachodniego wiatru albo niesprzyjających morskich prądów.

Kiedy znaleźliśmy szalas, o którym wspomniał Krait, zapadała noc. Mieszkała w nim czteroosobowa rodzina: mąż z żoną, chłopiec w wieku dwunastu, może trzynastu lat i pulchna dziewczynka, młodsza od niego o cztery albo pięć lat. Kiedy przyszliśmy, ojciec był na polowaniu, a chłopiec łowił ryby. Na nasz widok matka zawołała go, a on przybiegł pędem, dierząc w ręce opatrzony zadziorami oścień. Uśmiechnęliśmy się z Algą,

próbując pokazać na migi (kobieta najwyraźniej nie rozumiała wspólnej mowy), że nie mamy złych zamiarów.

Dziewczynka padła ofiarą Kraita. Leżała na wznak przy ognisku, śmiertelnie blada pod opalenizną; prawie nie otwierała oczu. Przez całą naszą wizytę chyba ani razu się nie odezwała — Pamiętając, co Jedwab mówił mi o Rzepie i co Rzep opowiadała Pokrzywie, próbowałem pokazać kobiecie, że powinna ciepło otulić córkę i dawać jej dużo wody. Skończyło się na tym, że sam okryłem ją miękko wyprawioną skórą zielonka. Chłopiec — bardziej pojętny, przynajmniej na pierwszy rzut oka — od razu przyniósł wodę w tykwie, kiedy wskazałem na jego siostrę i wykonałem gest, jakbym pił z dłoni.

Wkrótce wrócił ojciec, niosąc dwa duże, czerwono-szare ptaki, które ustrzelił z łuku. Okazało się, że całkiem nieźle zna wspólną mowę, i zasypał nas pytaniami o Babbiego, gdyż najwyraźniej nigdy przedtem nie widział husa. Kiedy powiedziałem, że Babbie rozumie, co mówimy, wyjaśnił mi (z pewnym trudem, ale i z ogromnym zaangażowaniem), że to samo można powiedzieć o każdym zwierzęciu.

— On słucha. Nie mówi. Czasem mówi. Dawno szabłodźwiedź mówi do mnie.

Nigdy nie słyszałem o takim zwierzęciu. Zapytałem więc, co takiego powiedział mu szabłodźwiedź.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie powie.

— Wymienia krew — wtrąciła jego żona. Zdziwiona Alga uniosła brwi.

Słowa kobiety wydały mi się znaczące, zapytałem więc, co ma na myśli.

— Ten-od-owiec nacina rękę, szabłodźwiedz tak samo — odparła.

Skrzyżowała ramiona, żeby pokazać, jak ich krew się zmieszała. Uniosła rękę. Jej mąż i syn również wskazali w górę — jeden łukiem, drugi ościeniem. Podniosłem strzelbę, na co z aprobatą pokiwali głowami. Alga też uniosła rękę.

Zaprosili nas na kolację, na co chętnie przystaliśmy. Po jedzeniu wymieniłem dwie srebrne zapinki na miękką skórę, mniejszą od tej, którą przykryłem ich córkę. Wyjaśniłem, że jest mi zimno. Ten-od-owiec (sam nagi od pasa w górę) wyciął mi w środku otwór na głowę i odciął długi, wąski kawałek, którym przepasał mnie jak sznurkiem od spodni. Wyszła z tego szorstka, ale ciepła tunika z krótkimi rękawami.

— Ty zostanie — poprosił Ten-od-owiec. — Ta-od-jagód robi dla was razem.

Ani ja, ani Alga nie zrozumieliśmy, o co chodzi z „robieniem razem”, przyniósł więc parę pięknych wysokich butów ze skóry i wskazał na szwy. Może zbyt ochoczo zaproponowałem im srebrny naszyjnik, jeśli Ta-od-jagód robi takie buty dla Algi, ponieważ te, które nam pokazał, byłyby na nią o wiele za duże. Po krótkiej dyskusji uzgodniliśmy, że mogą być nieozdobne, a ja dorzuciłem do naszyjnika jeszcze jedną zapinkę.

Ta-od-jagód w niespełna godzinę uszyła buty. Przymierzała kawałki skóry do nóg Algi, przycinała je, dziurawiła w odpowiednich miejscach otrzymaną ode mnie zapinką i zręcznie zszywała kościaną igłą. Buty miały prosty wykrój: jeden kawałek tworzył boki cholewki i podeszwę, drugi przód, trzeci tył.

Udając, że nie wiem, co się stało, zapytałem Tego-od-owiec, co się przytrafiło jego córce.

— Inhumi gryzie.

Wskazał na wewnętrzną stronę swojego uda. Alga wtrąciła, że parę dni wcześniej inhumi ugryzł Babbiego, ale nas nie odważył się zaatakować. Ten-od-owiec pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Boi się człowiek-Sąsiad.

Zapytałem, kim jest człowiek-Sąsiad, na co zaśmiał się i pokazał na pierścień, który dostałem od Algi.

— Ty człowiek-Sąsiad.

— Tutaj wiele Sąsiad — dodała jego żona, zwracając się do Algi. Zwilżyła językiem ścięgno, którym zszywała buty. — Pali wiele ognisko. — Wskazała na mnie. — Człowiek-Sąsiad porozmawia z Sąsiad.

Wyciągnąłem rękę ku zaroślom, przez które przedzieraliśmy się przez cały dzień.

— Czy tam jest wielu Sąsiadów?

Pokiwała z zapalem głową, nie podnosząc wzroku znad szycia.

— Wiele Sąsiad. Wiele ognisko.

Jej syn rozłożył ręce.

— Nie zabija Sąsiad.

— Nie zabija. — Jego ojciec się zaśmiał. — Wymienia krew Sąsiad — dodał i przeszedł na język, którego w życiu nie słyszałem' Wypowiedział w nim chyba jeszcze kilka zdań.

— Sąsiad zabija was? — podsunąłem.

Pokręcił głową.

— Zabija inhumi.

Krótkie słońce zaszło i Ta-od-jagód kończyła pracę przy świetle ogniska. Teren wznosił się lekko, ziemia była czarna i mniej piaszczysta, drzewa znacznie wyższe. Wdrapałem się na

takie, które wyglądało najbardziej obiecująco, i z pewnej wysokości ujrzałem, że ogniska, które widzieliśmy z Algą dwie noce wcześniej, znów się palą. Było ich chyba jeszcze więcej niż wtedy. Zdziwiłem się, że podczas wędrówki nie natknęliśmy się na popioły choćby jednego z nich. Dłuższą chwilę stałem na wygodnej gałęzi, pogrążony w myślach, zanim zszedłem na dół.

Poszliśmy spać ułożeni na ziemi jak płatki kwiatu: stopami do ogniska, głowami na zewnątrz. Gdyby było mi ciepło i wygodnie, zasnąłbym pewnie szybko i przespał smacznie całą noc mimo postanowienia, które podjąłem, stojąc na gałęzi drzewa. Tymczasem trząsałem się z zimna, przytulałem do Algi i szcękając zębami, przeklinałem się w duchu za to, że nie kupiłem drugiej skóry i nie pozwoliłem, żeby ugryzione przez Kraita dziecko zamarzało zamiast mnie.

Alga zasnęła natychmiast, ale nie spała spokojnie: dygotała i podrygiwała nerwowo, chwilami mówiła przez sen. Nie rozumiałem jej i miałem wrażenie, że używa kilku różnych języków. W pewnej chwili wydawało mi się, że próbuje się komuś przy — pochlebić. Potem usłyszałem całkiem wyraźnie: — Tak, Matko! Idę do ciebie, Matko!

Przyszło mi do głowy, że może zacząć śpiewać przez sen, zawodzić smutno, tak jak wtedy, gdy siedziała naga na omywanej przez wodę skale. Wstałem, nie budząc jej, tak jak od początku zamierzałem zrobić.

Noc była cicha, chłodna i pogodna. Sprawdziłem, czy mam Przy sobie nóż, wziąłem strzelbę i spojrzałem w niebo, czy nie zobaczę gdzieś Kraita — jak wiadomo, inhumii lubią wracać do

miejsc, w których mieli udane łowy. Nie było go w zasięgu Wzroku. Na niebie świeciły odległe i zimne gwiazdy, a Zieleń zawisła złowrogo nad horyzontem na wschodzie.

Porastające półwysep karłowate drzewa nawet za dnia sprawia — ty sporo kłopotu w marszu, ale po nocy wędrówka zmieniła się w istny koszmar. Cięły mnie kolcami po twarzy za każdym razem, gdy na moment przestawałem się zasłaniać strzelbą albo dłonią. Co chwila musiałem przystawać i po omacku wyrąbywać sobie drogę w gąszczu. Przez dwie godziny przeszedłem może z pół mili.

W którymś momencie zatrzymałem się i obejrzałem za siebie. Byłem zmęczony, bolały mnie nogi i miałem szczerą ochotę wrócić i położyć się przy ognisku. Wbrew zdrowemu rozsądkowi ucieszyłem się, że wciąż je widać, chociaż wydawało się równie odległe jak gwiazdy. Nie licząc Świni, patere Jedwabia i Ciebie, Pokrzywo, rzadko zdarzało mi się pokochać drugiego człowieka, nawet jeśli go polubiłem. Wtedy jednak poczułem się tak, jak pewnie Jedwab czuł się codziennie. Przenikliwy wiatr, powykręcane drzewka i uboga ziemia, po której stąpałem, były moimi wrogami, potworami niewiele lepszymi — jeśli nie gorszymi — od Kraita. Całą szóstką stawiliśmy im czoło w dniu, który właśnie się skończył, i mieliśmy znów się z nimi zmierzyć w dniu, który nadejdzie. Cudownie się stało, że mogliśmy walczyć z nimi razem.

To uczucie osłabło, gdy odwróciłem wzrok, ale nie wygasło. Miło jest wieść takie życie, jak ja w Gaonie: mieszkam w pałacu, mam różne ważne zajęcia i pod dostatkiem jedzenia. To przyjemne, ale ci, którzy tak żyją, nigdy nie rozumieją, co czułem tamtej nocy w lesie, kiedy odwróciwszy się, ujrzałem czerwoną poświatę maleńkiego ogniska Tej-od-jagód. Duch

ludzki zna gorsze cierpienia, Pokrzywo, niż zmęczenie, obolałe stopy, lekki głód i ziąb.

Wczoraj Barsat doniósł mi o znalezieniu domu Zaginionego Ludu, jak nazywa się Sąsiadów mieszkających na wschód od morza, gdzie ludzie władają wspólną mową. Dzisiaj pojechaliśmy go obejrzeć, w towarzystwie Hari Mau, Moty, Rama i Rotiego. Wyglądał koszmarnie — pozbawiony dachu i kompletnie pusty, usłany połamanymi gałązkami i zeschniętymi liśćmi — ale Barsat twierdził, że jest w takim stanie szczęśliwy. Zapytałem, naturalnie, co ma na myśli.

— Nie polubił mnie — odparł. — Ledwie wszedłem do środka, zaraz musiałem się wycofać.

Wszyscy się roześmiali, ja zaś spytałem Barsata, po co w ogóle wchodził do domu. Było to trochę nieuczciwe z mojej strony, bo przecież teraz wszyscy weszliśmy za nim.

— Miałem nadzieję, że znajdę coś na sprzedaż — odparł szczerze. — Źle zrobiłem, rajanie?

Pokręciłem głową.

— Stać ich na to, żeby się ze mnie naśmiewać. — Spojrzał na Hari Mau i jego trzech towarzyszy z mieszaniną zazdrości i podziwu w oczach. — My, biedacy, też lubimy się śmiać, ale nie bardzo mamy z czego.

Zacząłem mu tłumaczyć, że wcale nie jestem bogatszy od niego, że mój pałac jest własnością miasta, którego obywatele mogą mnie w każdej chwili wygnać, i tak dalej, i tak dalej. Nie skończyłem jednak, bo z sąsiedniej komnaty dobiegł czysty, wyraźny dźwięk, jakby ktoś uderzył w mały dzwon.

Znalazłem tam ten oto kielich (nie wiem, co to naprawdę jest, ale na pewno przypomina z wyglądu puchar), wykonany ze srebra lub jakiegoś lśniącego stopu. Stał na jedynym odsłoniętym kawałku podłogi, na jaki natknęliśmy się w całym domu, i wyglądał tak, jakby postawiono go tam dosłownie przed chwilą. Podniosłem go i podałem Barsatowi. Nie chciał go przyjąć. Z zapalem przeszukał zalegające podłogę liście, ale nic nie znalazł.

Zmierzałem do tego, że nie byłem w stanie wyczuć zadowolenia domu, o ile dom faktycznie je odczuwał, a zakładam, że tak było. Nie czułem też nic takiego w ruinach na wyspie, kiedy, goniąc zielonka, wpadłem do jamy. Nie dostałem tam żadnego prezentu, poza obecnością Kraita, który mnie uwolnił.

Z mozołem przedzierałem się przez gąszcz. Trwało to dobre trzy, cztery godziny, może nawet dłużej. W końcu powiesiłem strzelbę na sęku i usiadłem pod drzewem, opierając się plecami o pień. Byłem wykończony. Oczy mi się kleiły, wkrótce je zamknąłem i poddałem się uczuciu rozczarowania. Chciałem dojść do najbliższego z widzianych z góry ognisk i zobaczyć na własne oczy tajemniczych „Sąsiadów”, którzy zaprzęтали moje myśli. Miałem nadzieję upolować przy okazji jakieś zwierzę, żebyśmy mieli co jeść. Kiedy się osunąłem na ziemię, wiedziałem już, że wszelkie moje nadzieje były płonne. Na próżno się zmachałem i porzuciłem ciepło ogniska. Później zasnąłem i przespałem co najmniej kilka minut, jeśli nie godzin.

Obudziło mnie szturchnięcie w ramię. Kiedy otworzyłem oczy, nie dostrzegłem w ciemności niczyjej twarzy, ale nie przejąłem się tym zbyt, wiedząc, że moja twarz również pozostaje w ukryciu.

W mojej relacji często cytuję słowa wypowiedziane przeze mnie i przez innych. W paru wypadkach byłem pewien, że przytaczam je dosłownie (pisząc, dokładnie je pamiętałem; później mogły mi ulecieć z pamięci); znacznie częściej odtwarzałem je tak samo, jak odtwarzaliśmy rozmowy na potrzeby naszej książki, bazując na znajomości rozmówców i — w zarysie — treści konwersacji. Teraz jednak sprawy mają się inaczej.

Widziałem przed sobą wysoką, ciemną sylwetkę.

— Wstań — usłyszałem.

— Przepraszam — odparłem. — Nie chciałem zrobić nic złego.

Dokładnie takimi słowami przemówił do mnie, a ja tak właśnie mu odpowiedziałem. Wszystko, co powiedzieli mi Sąsiedzi, i wszystko, co im odpowiedziałem, pozostało w mojej pamięci do dzisiaj, świeże i niezatarte, jakby słowa padły dopiero przed chwilą. Nie wiem, jak to możliwe, ale to fakt.

Jeśli chodzi o to, dlaczego odpowiedziałem tak, a nie inaczej, powiem tylko, że obudziwszy się (o ile w ogóle stan, w jakim się znajdowałem, można nazwać snem), miałem niejasne wrażenie, że wkroczyłem na obcy teren, że pokryta karłowatymi zaroślami równina należy do tego, który stoi obok mnie, i że ma on pełne prawo być na mnie zły, że się na nią zapuściłem.

— Chodź ze mną — powiedział. Pomógł mi wstać — złapał mnie za ręce i pod pachy i dźwignął do góry. Powinienem

pamiętać jego dotyk, ale nie pamiętam. Pewnie co innego zaprzętało moje myśli.

Odszedł między drzewa, ale odwrócił się i znów wziął mnie za rękę, żeby mieć pewność, że się nie zgubię. Potruchtałem posłusznie za nim i w ten sposób przemierzyliśmy spory szmat drogi. Cały czas szedł krok przede mną.

W Gaonie uchodzę za wysokiego człowieka — jestem teraz mniej więcej takiego wzrostu jak Jedwab, kiedy Ty i ja byliśmy młodzi — ale Sąsiad i tak byłby ode mnie trochę wyższy. A przy tym pierwszym spotkaniu był ode mnie nie trochę, ale znacznie wyższy. Przerastał nawet Pięściaka, chociaż był od niego o wiele szczuplejszy.

Truchtałem, ponieważ idąc nie mogłem dotrzymać kroku czworonogiemu Sąsiadowi. Jednak ostre gałęzie przestały mnie smagać po twarzy, nie musiałem też ani razu wyciągać noża Ściągną i torować sobie nim drogi przez zarośla. Gdybym miał wskazać fakt świadczący o tym, że całe spotkanie tylko mi się przyśniło, to właśnie byłoby to. Tylko że to nie był sen. Wiedziałem równie dobrze, jak wiem teraz, że moje przeżycie nie miało ze snem nic wspólnego.

Tak bardzo się pospieszyłem, że zostawiłem zawieszoną na sęku strzelbę, ale chyba nie zdawałem sobie z tego sprawy. Wydaje mi się, że byłbym bardzo zaniepokojony, gdybym się zorientował.

Zadyszałem się i — mimo chłodu — spociłem, zanim wreszcie dotarliśmy do ogniska. Siedziało wokół niego więcej mrocznych postaci, w ciemnych płaszczach (tak mi się przynajmniej wydawało) i miękkich kapeluszach z szerokim rondem. To znaczy, większość siedziała, bo jeden z Sąsiadów leżał na ziemi. Nie wiem, czy w ogóle żył; nie widziałem, żeby

się poruszył, nie słyszałem, żeby się odezwał. Być może w ogóle nie była to żywa istota, lecz kłoda, którą omyłkowo wziąłem za leżącą postać. Wiem, że brzmi to dziwacznie, ale musisz zrozumieć, że ogień nie oświetlał Sąsiadów tak, jak tego oczekiwałem.

— Wiesz, kim jesteśmy? — zapytał ten, który po mnie przyszedł.

— Mój przyjaciel, Ten-od-owiec, nazywa was Sąsiadami.

— A co ty o tym sądzisz? — zapytał jeden z siedzących. — Kim według ciebie jesteśmy?

— Pochodzę z Nowego Vironu, miasta położonego na wschodnim brzegu morza, i wydaje mi się, że jesteście Zaginionym Ludem. To znaczy, należycie do istot, które w Nowym Vironie nazywamy Zaginionym Ludem.

— Powiedz nam w takim razie, kim jest Zaginiony Lud — odezwał się trzeci. Wszyscy używali wspólnej mowy.

— Jesteście istotami, do których należał ten whorl, zanim przybyły nasze lądowiki — odparłem, a kiedy odpowiedziało mi milczenie, mówiłem dalej, chwilami desperacko szukając właściwych słów. — Naszym whorlem był „Whorl”, tam, wysoko na niebie. Ten whorl, który nazwaliśmy Błękitem, należał do was. Pomyśleliśmy jednak, że coś... coś się z wami stało, bo nigdy was nie widzieliśmy. Czasem znajdujemy różne twory waszych rąk, tak jak te ruiny na wyspie na południe stąd. Dla mnie było to pierwsze takie odkrycie, ale mój syn, Ścięgno, twierdzi, że w lesie znalazł z przyjaciółmi wasz ołtarz: kamienny stół, na którym składaliście ofiary bogom tego whorla.

Czekałem, czy coś powiedzą.

— Ponieważ okazuje się, że wcale nie zniknęliście bez śladu, jesteście wam... Ja jestem ogromnie wdzięczny za to, że pozwalacie mi mieszkać tu z moją rodziną. Dziękuję. Bardzo wam dziękuję.

Nadal milczeli. Po dłuższej chwili ten, który mnie przyprowadził do ogniska, gestem — poruszył palcami w taki sposób, jakby chciał wyciągnąć mi słowa z gardła — dał mi do zrozumienia, że mam mówić dalej.

— Zdaję sobie sprawę, że to właśnie was dziś spotkałem, i cieszę się, że mam okazję wyrazić moją wdzięczność. Ale przez dwadzieścia lat was nie widziałem; większość z nas uważa, że wymarliście. Kiedy wrócę do domu, powiem swoim rodakom, że się myliliśmy. — Przypomniała mi się pociągła, niemądra twarz patere Remory i ciemna, zakurzona sellaria, w której rozmawialiśmy. — Być może nasz prolokutor was widział — dodałem. — Właśnie mnie olśniło, że sprawia wrażenie człowieka, który wie więcej, niż mówi.

Nadal milczeli.

— Przypuszczamy, że wasi bogowie nadal są na Błękicie. Prawdę mówiąc, boimy się, że tu zostali. Spotkałem waszą boginię morza, nie wiem, jak ją nazywacie. — Mówiąc, próbowałem wodzić wzrokiem po ich twarzach, i wtedy właśnie zdałem sobie sprawę, że ogień wcale ich nie oświetla. Ognisko płonęło jak należy; widziałem jego blask na moich rękach i czułem ciepło na twarzy. Światło ognia na pewno rozjaśniało moją twarz, ale ich twarze były w cieniu. — Alga nazywają Matką — ciągnąłem. — Mam na myśli dziewczynę... młodą kobietę, którą ja z kolei nazywam Algą. To znaczy, tak ją nazywała.

— To jedno z jej imion — powiedział Sąsiad siedzący po mojej lewej ręce. Pierwszy raz się odezwał.

— Jesteśmy teraz tutaj, my, ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci z „Whorla”.

Wszyscy Sąsiedzi zgodnie pokiwali głowami.

— I zajmujemy wasz whorl, a przynajmniej próbujemy go zająć. Nie dziwię się wam, jeśli macie nam to za złe, ale nasi bogowie wyganiają nas z „Whorla” i nie mamy się gdzie podziąć. Ze mną jest inaczej: ja właśnie próbuję tam wrócić, chociaż nie chcę tam zamieszkać. Mam przywieźć patere Jedwabia. Chcecie, żebym wam powiedział, kto to jest?

— Nie — odparł ten, który mnie obudził. — To ktoś, na kim ci zależy.

Pokiwałem głową.

— Moglibyśmy powiedzieć prawie dokładnie to co ty. Wasz whorl należał kiedyś do nas. My, niedobitki naszej rasy, porzuciliśmy go. Nie oddaliśmy nikomu ani nie staraliśmy się zachować dla siebie. Znaleźliśmy sposób, aby go opuścić, i wyruszyliśmy w poszukiwaniu nowego, lepszego domu. — Odwrócił się ode mnie i spojrzał w niebo. — Niektórzy z was nazywają go Sąsiednim Whorlem. Nie ma znaczenia, jak my go nazywamy ani jak kiedyś nazywaliśmy ten, na którym jesteście. On należy teraz do was. Błękit jest wasz.

Wyjąkałem podziękowania. Mógłbym zacytować moje słowa, ale trudno byłoby mi opisać, jak niezdarnie i niepewnie mówiłem.

— Przyprowadziłem cię tu jako przedstawiciela całej twojej rasy — odezwał się mój przewodnik, kiedy skończyłem. — Musisz zabrać głos w imieniu was wszystkich. Chcemy ci zadać pytanie. Nie możemy cię zmusić, żebyś na nie odpowiedział;

zresztą nawet gdybyśmy mogli, nie zrobilibyśmy tego. Tym niemniej będziemy ci ogromnie wdzięczni, jeśli udzielisz nam odpowiedzi. Powiedziałeś, że wy jesteście nam wdzięczni.

— Za Błękit? Za cały whorl?! To dar godny bogów, tak jak „Whorl”, którego dostaliśmy od Paha. Nawet za sto lat nie zdołalibyśmy się wam odwdziaczyć. Za tysiąc też nie. To w ogóle niemożliwe.

— Przeciwnie, możesz się nam odwdziaczyć już dziś, odpowiadając na nasze pytanie. Zrobisz to?

— Postaram się. Odpowiem, jeśli będę mógł. Jak brzmi pytanie?

Popatrzył po innych. Wydawało mi się, że pokiwali głowami.

— Pozwól, że ci przypomnę: będziesz mówił w imieniu całej swojej rasy. W imieniu wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci.

— Rozumiem.

— Wybrałem cię, ponieważ liczę na to, że łatwiej będzie uzyskać dobrą dla nas odpowiedź od człowieka, który prawdopodobnie jest do nas przychylnie nastawiony. — Niedbałym gestem wskazał pierścień, który dostałem od Algi przed zejściem ze słupa. — Jeżeli chcesz uznać, że ta stronnictwość wyboru źle o nas świadczy, proszę bardzo.

— Nie, na pewno nie.

— Dziękuję ci. Czas na nasze pytanie. Jak już mówiłem, większość z nas opuściła ten whorl. Dziś oddajemy go wam, czyli tym, którzy nazywają się ludźmi; o tym też już wspominałem. Czy wy, ludzie, jego nowi właściciele, nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żebyśmy go od czasu do czasu odwiedzali, tak jak odwiedziliśmy go dzisiejszej nocy?

— Nigdy! — odparłem, ale zdałem sobie sprawę, że moja odpowiedź może być opacznie zrozumiana. — Macie naszą

zgode — dodałem dla pewności.

— Pochodzimy z tego whorla. Mówiłeś o stu latach, o tysiącu. Znajdują się tu skały i rzeki, drzewa i wyspy, które są dla nas ważne od tysięcy lat. Znajdujemy się właśnie w jednym z takich miejsc. Zapytam więc jeszcze raz: czy możemy je odwiedzać?

— Przybywajcie, kiedykolwiek zechcecie — odparłem, starając się dobrać odpowiednio uroczyste i oficjalne słowa. — I na tak długo, jak zechcecie. Nasz whorl jest waszym whorlem.

— Zapytam cię po raz trzeci i ostatni, a ty musisz odpowiedzieć w imieniu całej rasy ludzkiej. Goście bywają niepotrzebni, kłopotliwi i niewygodni. Życie inaczej niż my; nasze zachowanie może wam się wydać obce, barbarzyńskie i irracjonalne. Czy mimo to możemy was odwiedzać?

Zawahałem się. Nagle ogarnął mnie lęk.

— Czy będziecie przybywać — tak jak inhum — po to, aby nas krzywdzić?

Przy ognisku zapanowało poruszenie. Nie byłem pewien, czy Sąsiedzi są rozbawieni, czy raczej zde gustowani.

— Nie — zapewnił mnie ten, który mnie przyprowadził. — Nie będziemy was krzywdzić i w miarę naszych możliwości pomożemy wam walczyć z inhumami.

Wszyscy pokiwali głowami na znak zgody. Z trudem przełknąłem ślinę; całkowicie zaschło mi w gardle.

— Przybywajcie. Wiem, że już to powiedziałem, ale nie wiem, jak inaczej... Mogę to tylko powtórzyć. Możecie odwiedzać whorl, który nam oddaliście, kiedy zechcecie, i przebywać w nim tak długo, jak wam się spodoba. Mówię to w imieniu wszystkich ludzkich mężczyzn, kobiet i dzieci, jako przedstawiciel całej ludzkości.

Sąsiedzi wyraźnie się odprężyli. Wiem, że to dziwnie brzmi, Pokrzywo, ale tak właśnie było. Nie widziałem tego, nie słyszałem, ale poczułem, że napięcie opadło. Nagle wydali mi się trochę mniejsi; może naprawdę się skurczyli. Nadal nie widziałem ich twarzy, ale nie były już ukryte w tak głębokim cieniu. Miałem wrażenie, że do tej pory skrywali swoje oblicza za woalami, które teraz podnieśli.

Mój przewodnik wstał, ja również.

— Wspomniałeś o swojej towarzyszce — powiedział niedbałym tonem. — Nazwałeś ją Algą, ale nie podałeś nam swojego imienia. Ty, który jesteś wszystkimi ludźmi naraz.

— Nazywam się Róg. — Podałem mu rękę.

Uścisnął ją — i tym razem zapamiętałem dotyk jego dłoni: była twarda i pokryta krótkim, sztywnym włosem. Nic więcej powiedzieć nie mogę.

— Ja też nazywam się Róg — powiedział.

Zdawałem sobie sprawę, że to dla mnie ogromny komplement, i zupełnie nie wiedziałem, jak zareagować. Wyciągnął przed siebie rękę. Pisałem o tym, że był wysoki, ale ręce miał niewiarygodnie długie, nawet jak na osobę jego wzrostu.

— Wrócisz do swojej towarzyszki? Do ognia, przy którym śpi z pozostałymi?

Ognisko Tej-od-jagód wydało mi się nagle bardzo bliskie, kiedy wskazał je ręką.

— Wyszedłem na polowanie. Zostawiłem strzelbę na drzewie. Muszę po nią wrócić.

— Jest tam.

Podążyłem wzrokiem za jego ramieniem i dostrzegłem wśród liści odbicie światła ogniska na wypolerowanym, naoliwionym

metal. Strzelba wisiała tak blisko, że nie mogła być tą samą, którą zostawiłem w lesie, ale poszedłem po nią, zdjąłem z sęczka, na którym ją powiesiłem i jak zwykle przerzuciłem sobie przez prawe ramię. Kiedy się odwróciłem, żeby pomachać Sąsiadom na pożegnanie, zniknęli.

Wiem, Pokrzywo, że uznasz to wszystko za sen — taki sam, jaki śniłem o Tobie, leżąc na dnie jamy, ten, w którym przyniosłaś mi czerpak pełen wody. Rzeczywiście, chwilami cała ta noc do złudzenia przypominała senne majaki. Jednakże tak jak każdy człowiek śniłem wiele snów i wiem, że to nie był jeden z nich.

Straciwszy z oczu ognisko Sąsiadów, pogubiłem się. Wiedziałem, że jeśli chcę wrócić do obozowiska Tego-od-owiec, muszę iść cały czas pod górę. Właściwie nic trudnego, ale co chwila łapałem się na tym, że idę po płaskim terenie albo wręcz w dół zbocza, a zatem w stronę morza, chociaż byłem przekonany, że wreszcie obrałem właściwy kierunek.

Po paru godzinach takiego błąkania się zdałem sobie sprawę, że zamiast padać z wycieńczenia, jestem całkiem wypoczęty. Okropnie chciało mi się pić i jeść, chwilami miałem wrażenie, że zęby mam ostre jak sztylety, ale nie czułem zmęczenia ani bólu nóg.

Nagle usłyszałem trzask łamanej gałązki i tupot jakiegoś dużego zwierzęcia w zaroślach. Zdążyłem ściągnąć strzelbę z ramienia i odwieść bezpiecznik, kiedy rozpoznałem prychnięcie Babbiego i na wysokości pasa poczułem znajome pacnięcie jego miękkiego pyska. Drugi raz omal go nie zastrzeliłem, co wydało

mi się ogromnie zabawne, tak jak historie opowiadane przez drwali, którzy sprzedają nam drewno: śmieszne sytuacje zawsze powtarzają się w nich po kilka razy. Przyklęknąłem rozbawiony, podrapałem Babbiego za uszami i powiedziałem mu — zgodnie z prawdą — że bardzo się cieszę, że go widzę.

Kiedy podniosłem wzrok, zamajaczył nad nami jakiś ciemny kształt, ogromny jak chmura burzowa. Pamiętam (i nigdy nie zapomnę) widok długich, zakrzywionych rogów na tle gwiazd i wrażenie, że rogi naprawdę sięgają nieba, że kiedy stwór się poruszy, pogasi nimi gwiazdy równie łatwo, jak mógłby mi wykluć oko. Chwilę później rogi zniknęły — potwór opuścił łeb, szykując się do szarży. Strzeliłem ponad grzbietem Babbiego i przeładowałem broń szybciej, niż wydawało mi się to możliwe; trzaski otwieranego i zamykanego zamka zlały się w jeden dźwięk, przypominający trzaśnięcie drzwiami. Strzeliłem drugi raz, nie celując, z biodra i poleciałem do tyłu. Rozciągnąłem się jak długi na piasku, wśród korzeni. Usłyszałem wściekły chrobot szabel Babbiego, złapałem strzelbę i pociągnąłem za cyngiel, nie patrząc, czy lufa jest wycelowana w potwora, w Babbiego, czy może w moją stopę. Zdziwiłem się, kiedy broń nie wystrzeliła — byłem tak oszołomiony, że zapomniałem ją przeładować.

Wszystko to rozegrało się w sekundę, może dwie. Zerwałem się na nogi i przeładowałem strzelbę, ale — nie widząc nic poza Babbim — od razu ją zabezpieczyłem. Wiem, wiem, zaraz powiesz, że przesadzam, droga Pokrzywo. Ale prawdę mówiąc, potknąłem się o jeden z tych niewiarygodnych rogów, zanim się zorientowałem, że bestia leży pod moimi nogami. Mało brakowało, a znów bym się przewrócił, gdybym nie oparł się o bark stwora.

Musiałem go namacać w mroku. Pod gęsto zbitymi drzewami, które mimo chłodu nie zrzuciły jeszcze liści, było ciemno choć oko wykol (choć miały nie więcej niż pięć łokci wysokości). Nie wiem, jak się nazywają, ale mają twarde, grube, ostro zakończone liście w kolorze ciemnej zieleni, niewiele dłuższe niż jedna kostka mojego palca.

Stwór miał czarną skórę i był naprawdę gigantyczny. Wciąż próbowałem ogarnąć jego rozmiary, kiedy z zarośli wypadli Ten-od-owiec i jego syn, skowycząc z radości jak dwa psy myśliwskie.

— Łamiby — powtarzali. — Róg zabija łamiby.

Syn odciął ogon zwierzęcia i przywiązał mi go do pasa. Czułem się jak ostatni dureń, ale taki jest u tych ludzi zwyczaj i obraziłbym ich, gdybym spróbował ogon wyrzucić lub w inny sposób okazał, że mi się nie podoba. Przypomniałem sobie, co mówił ten drugi Róg o zwyczajach Sąsiadów. Zacząłem się zastanawiać, w co nas wszystkich wpakowałem. Wiadomo przecież, jak bardzo różnią się zwyczaje ludzi z różnych miast. Obyczaje innej rasy muszą być zatem zupełnie zdumiewające, pomyślałem. I miałem rację.

Napisałem już wszystko, co najciekawsze. Teraz będę się streszczał, żeby skończyć, zanim położę się spać.

Ten-od-owiec z synem oskórowali łamibyka po ciemku; nie bardzo miałem im jak pomóc. Odciąłem udziec i próbowałem przenieść go na ramieniu, nie zalewając przy tym krwią strzelby, którą przewiesiłem sobie przez plecy kolbą do góry. Nieszczęśliwie mi to wyszło. Ten-od-owiec z synem zanieśli skórę do szałas. Musiała sporo ważyć, bo chłopak upadł raz pod jej ciężarem, co ogromnie go zawstydziło. Ja zaś

przyniosłem do obozu dziesięć razy więcej mięsa, niż potrzebowała go cała nasza siódemka. Mówię o siódemce, bo Babbie zjadł przynajmniej tyle samo, co najgłodniejszy z nas, czyli Twój kochający mąż.

Kusiło mnie, żeby darować sobie następne spostrzeżenie. Posunąłem się nawet dalej z narracją, ale mniejsza o nią. Nie wiem, czy będzie tu pasowało, lecz i tak zamierzam Ci o nim powiedzieć, jest bowiem dość niezwykle. Wracając do obozowiska, Ten-od-owiec i jego syn mocno się napracowali, żeby przenieść zrolowaną skórę przez gąszcz, przez który przedtem z takim trudem się przedzierałem. Byłem wyższy od nich obu i niosłem na ramieniu kawał mięsa (udziec łamibyka ważył pewnie tyle, co każdy z bliźniaków), więc powykrzywiane drzewa powinny sprawić mi co najmniej tyle samo kłopotu, co im.

Nic podobnego. Żadna gałąź nawet nie musnęła mojej pokiereszowanej twarzy i podrapanych rąk. Smagany przez liście ani na chwilę nie zaplątał mi się w zielsku. Nie umiem tego wyjaśnić. Niemożliwe, żeby gałęzie rozstępowały się przede mną. Kiedy skończyliśmy oprawiać łamibyka, niebo już szarzało, więc widziałbym i słyszał ruch gałęzi. Mogę powiedzieć tylko tyle, że w którą stronę bym się nie obrócił, widziałem przed sobą wygodną ścieżkę, którą poruszałem się bez najmniejszego problemu.

Do obozu dotarliśmy o wschodzie słońca. Ta-od-jagód zerwała się z posłania i radosnymi okrzykami obudziła osłabioną córeczkę i Algę, które bynajmniej nie miały jej tego za złe. Zaczęliśmy jeść i choć każde z nas pochłonęło sporo mięsa, jestem przekonany, że to ja zjadłem najwięcej; Ten-od-owiec nie krył zdziwienia i podziwu. Nawet jego córka, poprzedniego

wieczoru ledwie żywa, zjadła porcję, która zajęłaby cały taki duży talerz, jakie mamy na Jaszczurce.

Ta-od-jagód pokazała nam, jak uwędzić pocięte na paski mięso na zbudowanej z zielonych gałązek drabince. Umówiliśmy się, że Ten-od-owiec z synem pomogą mnie i Aldze przenieść jak najwięcej mięsa na słup, a w zamian będą mogli zatrzymać skórę (Ta-od-jagód zaczęła ją oskrobywać, zanim jeszcze opuściliśmy ich obóz) i całą resztę.

W asyście Babbiego wróciliśmy we czworo do łamibyka, wycięliśmy mnóstwo mięsa i przez zarośla przedarliśmy się nad morze. Wyszliśmy na plażę całkiem blisko łodzi. Słowa, którymi przywitał nas Krait, ociekały sarkazmem. Nabijał się ze mnie i Algi, że jesteśmy równie żądni krwi, jak inhumi, i śmiał się do rozpuku z własnego dowcipu.

Zanim dowiedzieliśmy się, że patere Kwezal był inhumi, myślałem, że poczucie humoru jest wyłącznie ludzką cechą, Pokrzywo. Zachowanie Kraita wielokrotnie sprawiało, że żałowałem, że tak nie jest. Miał poczucie humoru rozwinięte aż do przesady, w dodatku najpaskudniejsze, jakie zdarzyło mi się zaobserwować podczas moich podróży. Od tamtej pory przekonałem się, że Sąsiedzi, którzy w nocy potraktowali mnie ze śmiertelną powagą, również słyną z dowcipu.

Kiedy Ten-od-owiec i jego syn pomogli nam zepchnąć słup na wodę i załadowaliśmy go przyniesionym, opłukanym w morzu mięsem, Ten-od-owiec odciągnął mnie na bok. Skinieniem głowy wskazał Kraita.

— Nie lubi — powiedział.

Przyznałem, że i ja za nim nie przepadam.

— Biję Róg?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Bardzo zbije — poradził mi. — Rozmawia z Sąsiad?
Pokiwałem głową.

— Co mówi?

Zawahałem się. Ani drugi Róg, ani żaden z Sąsiadów nie nalegał, żebym zachował naszą rozmowę w tajemnicy. Nie złożyłem żadnej przysięgi.

— Wymieniliśmy się krwią — odparłem i postukałem się w pierś. — Ja za ciebie i wszystkich mężczyzn, i za kobiety, i dzieci, a Sąsiad za wszystkich Sąsiadów.

Ten-od-owiec obserwował mnie w napięciu.

— Ponieważ przemawiałem także w twoim imieniu, powiem ci, o czym rozmawialiśmy. Uzgodniliśmy, że Sąsiedzi mogą przebywać tam gdzie są ludzie. — Machnąłem ręką w stronę widnokręgu, ogarniając tym gestem (taką miałem nadzieję) cały whorl. — Mogą nas odwiedzać jako przyjaciele. W pokoju.

— Bardzo dobre! — Ten-od-owiec z entuzjazmem kiwał głową.

— Też mi się tak wydaje. Naprawdę.

Wciągnęliśmy żagle na maszt, a Ten-od-owiec z synem machali nam z plaży na pożegnanie. I nawet kiedy oddaliliśmy się tak bardzo, że ich sylwetki zlały się w jedną, słyszałem krzyki: — Róg zabija łamibyka!

Chciałem zakończyć tę część relacji słowami, które właśnie przeczytałaś, Pokrzywo, moja najdroższa — słowami napisanymi wczoraj w nocy. Ale zostało jeszcze sporo do opowiedzenia i dalszy ciąg najlepiej pasuje właśnie w tym miejscu.

Kiedy rozstaliśmy się z Tym-od-owiec, nie spodziewałem się go więcej ujrzeć. Los zrządził jednak inaczej. Powinienem w tym miejscu przyznać (wczoraj o tym nie wspomniałem), że kiedy zobaczyłem łamibyka w świetle dziennym, jego rogi zrobiły na mnie ogromne wrażenie: miał ich cztery, każdy dłuższy niż ostrze miecza, ostry, czarny na końcu, zawile żłobiony i paskudnie zakręcony. Obejrzałem je z podziwem i zapytałem Tego-od — owiec, co zamierza z nimi zrobić. Opowiedział mi o licznych zastosowaniach rogu, które powinienem był dawno poznać, skoro noszę takie imię.

Przy tak spokojnej pogodzie, jaka dopisywała nam nawet na otwartym morzu, Krait, Babbie i ja stanowiliśmy aż nazbyt liczną załogę słupa, tak że Alga mogła spokojnie zająć się wędzeniem mięsa. Zanim dopłynęliśmy, nacięła pęk zielonych gałązek, a potem je poprzycinała i połączyła jedną ręką równie sprawnie, jak Ta-od-jagód dwiema. Niestety, wkrótce skończył nam się opał i musieliśmy zejść z Kraitem na ląd, zanim jeszcze okrążyliśmy piaszczysty jezior, nazwany przez mnie Krajem Ognisk.

(Chyba właśnie wtedy złapałem się na tym, że znów próbuję ciąć drewno nożem Ściąga, i postanowiłem solennie, że przy pierwszej okazji kupię siekierę albo przynajmniej jakiś większy, cięższy nóż).

Nazbieraliśmy tyle drewna, ile tylko się dało bez zapuszczania się daleko w głąb lądu, i przenieśliśmy je na słup, brodząc w wodzie i uważając, by naręcza nie zamokły. Zanim skończyliśmy, krótkie słońce zaczęło znikać za odległymi górami i nawet Krait (który cały czas się obijał) stwierdził, że jest zmęczony. Alga i ja byliśmy wykończeni.

Na odsłoniętym skrawku wybrzeża nie znalazłem ani dogodnej do zacumowania zatoczki, ani wygodnej piaszczystej plaży, więc postanowiłem, że do rana nie ruszamy się z miejsca. Ponieważ pogoda dopisywała i nie zanosilo się na zmianę, uznałem, że mniej ryzykujemy, zostając na miejscu niż płynąc wzdłuż nieznanych brzegów. Wziąłem Kraita na stronę i uprzedziłem go, że Ten-od-owiec podejrzliwie mu się przyglądał (z czego Krait chyba zdawał sobie sprawę) i że lepiej będzie, jeśli wybierze się na łowy gdzieś indziej. Zauważył, że tym razem nie ma wymówki w postaci polowania, więc nie mógłby wytłumaczyć się przed Algą ze swojej nieobecności: rzeczywiście, mieliśmy aż nadto mięsa. Wiem, co myślisz o inhumich, Pokrzywo, i wiem, że masz swoje powody. Gdybyś zaglądała mi przez ramię, kiedy piszę te słowa, stwierdziłabyś stanowczo, że z tymi potworami nie wolno żartować. Pod żadnym pozorem. Z pewnością więź, która połączyła mnie z Kraitem na pokładzie lądownika, nie zaczęła się jeszcze tworzyć. Ciągle jednak byłem mu wdzięczny za ocalenie i żartem zaproponowałem, że powiem Aldze, że poszedł zapolować na serwetki. Roześmiał się i wróciliśmy do swoich zajęć. Miałem wrażenie, że mimo wszystko zostanie w nocy z nami na łodzi.

Objąłem pierwszą wachtę, Alga drugą. Krait miał stanąć na trzeciej i obudzić mnie, rzecz jasna, na czwartą i zarazem ostatnią.

Zasady sztuki pisarskiej wymagają chyba, abym w tym miejscu opisał sen, w którym objawił mi się Zaginiony Lud, albo wspomniał o szeptanej, potajemnej rozmowie z Algą. Ale nie — nic mi się nie śniło i nie prowadziliśmy takiej rozmowy. Nie bez trudu obudziłem Algę, kiedy przyszła jej pora na wachtę, ja zaś

nie zorientowałem się, kiedy kładła się obok mnie po tym, jak Krait ją zmienił.

Obudził nas Babbie, kwicząc alarmująco i poszturchując mnie pyskiem w twarz. Wiał porywisty północnozachodni wiatr, częsty w tej okolicy. Słup przemieszczał się powoli, wlokąc kotwicę, aż ta zakleszczyła się na dobre na głębinię i sytuacja zaczęła grozić wciągnięciem go pod wodę. W ostatniej chwili zdążyłem przeciąć linę.

O świcie opłynęliśmy cypel Kraju Ognisk i płynęliśmy w niezłym tempie, halsując ostro na zrefowanym grocie, kiedy Krait nas znalazł. Dostrzegłem go niesionego wiatrem i podświetlonego od tyłu przez wschodzące słońce, na wysokości, jaką rzadko osiągają ptaki. Alga chyba go nie zauważyła.

Wiedziałem, że inhumu ma twarde orzech do zgryzienia. Gdyby wylądował na słupie, Alga zorientowałaby się, że nie jest zwyczajnym chłopcem; mogłaby nawet przejrzeć go na wylot. Jeśli wylądowałby na brzegu i próbował zwrócić na siebie naszą uwagę, moglibyśmy go przeoczyć — albo, o co na pewno nas podejrzewał, udawać, że go nie widzimy.

Rozwiązał problem w ten sposób, że wylądował na lądzie daleko przed nami i przyplłynął na słup. Wypatrzyłem go na wodzie, rzuciłem mu linę i pomogłem wdrapać się na pokład. Potrząsnąłem nim, zrugąłem jak burego psa, ściągnąłem mu z grzbietu tunikę (niegdyś należąca do mnie) i wychłostałem go liną, aż mnie ręka rozbolała. Kiedy wiatr zelżał i mogliśmy porozmawiać na osobności, miał do mnie o to pretensje. Przypomniał, że uratował mnie z jamy, i uparł się — moim zdaniem niesłusznie — że obiecaliśmy sobie dozgonną przyjaźń.

— Od tamtej pory jestem twoim przyjacielem — zauważyłem.
— A czy ty jesteś moim?

Spojrzał na mnie z dziwnie znajomą przekorą w oczach, ale nic nie powiedział.

— Mało brakowało, a przez ciebie łódź poszłaby na dno. Uratowaliśmy ją tylko dlatego, że Babbie nas obudził. Alga pewnie by nie utonęła, ale ja owszem.

— Kiedy odlatywałem, było spokojnie. Wróciłbym przed końcem wachty.

— Zginąłbym, zanim ty byś wrócił. Utonąłbym razem ze słupem i moja misja zakończyłaby się całkowitym fiaskiem. Nikt by nie miał do mnie pretensji, gdybym teraz po prostu cię zadźgał.

Oparłem dłoń na rękojeści noża. Kraity cofnął się o krok. W jego oczach błysnął strach.

— Już wystarczająco mnie skrzywdziłeś.

— Bynajmniej. Poza tym ja dotrzymałem słowa, chociaż ty swoje złamałeś. Rzuciłem ci linę. Gdybym cię surowo nie ukarał za to, co zrobiłeś, Alga na pewno by się zorientowała, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

Zasyczał na mnie. Syk inhumiego jest zarazem bardziej złowrogi i obrzydliwszy niż syk każdego węża, jakiego słyszałem.

— Gdyby któryś z moich synów zachował się tak jak ty, potraktowałbym go podobnie. Nie o to ci chodziło? To o co?

Choć nie dodałem, że przynajmniej jeden z moich synów okazałby mi równie jadowitą nienawiść, to nie mogłem się wyzbyć takiego skojarzenia.

Zrobiłem coś, co mi się wcześniej nie zdarzało: zagoniłem go ostro do roboty. Kazałem mu wybrać wodę, zrefować żagle,

ponaciągać sztagi, uporządkować schowek na żagle, sklarować i schować linę, którą mu rzuciłem, i znów wybrać wodę. Przez cały czas go obserwowałem i pokrzykiwałem na niego, gdy zaczynał się lenić. Kiedy zaczął błagać o litość, kazałem mu oskrobywać burty z farby.

Niedługo potem Alga wypatrzyła stojących na plaży Tego-od — owiec z synem. W rękach trzymali łeb łamibyka. Minęliśmy ich już, ale zawróciłem i podpłynęliśmy pełnym wiatrem, żeby znaleźć się w zasięgu głosu. Ten-od-owiec przytknął do ust złożone w trąbkę dłonie.

— Ty weźmie! Róg zabija łamibyka!

Alga spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

— Chcą ci dać tę głowę.

Postawiony na pysku łeb był równie wysoki jak syn Tego-od — owiec, a rozłożyste rogi sięgały na boki dalej niż moje rozpostarte ramiona, o czym przekonałem się, kiedy oglądaliśmy truchło.

— Będziesz musiał ją wziąć — stwierdził Krait, zerkając na mnie z zęzy. I oczywiście miał rację.

Zresztą chciałem ją mieć. Nie zrozumiesz tego, Pokrzywo moja kochana, ale może inni czytelnicy zrozumieją. Kiedy syn Tego — od-owiec przywiązał mi do pasa prymitywnej skórzanej tuniki obcięty ogon łamibyka, pomyślałem, że to naprawdę ironia losu. Chciałem wziąć łeb (tak, już wtedy przyszło mi to do głowy), chociażby po to, żeby udowodnić sobie, co zrobiłem. Ogon zdawał się być kpina z moich pragnień, okrutnym żartem jakiegoś boga, który chciał mnie ukarać za kiełkujące w moim sercu samozadowolenie. Zapytasz pewnie, całkiem rozsądnie zresztą, czy nie miałem ochoty zabrać łba tarzara, którego niedawno ustrzeliłem. Miałem, ale nie tak wielką, a ponieważ

nikt nie wspomniał o tym, że łby tych zwierząt zachowuje się na pamiątkę jako trofea myśliwskie, nic nie powiedziałem.

Kiedy z mozołem wtaszczyliśmy łeb łamibyka na pokład i po raz drugi pożegnaliśmy naszych gospodarzy, Krait z niekłamaną przyjemnością obwieścił oczywistą prawdę: — Będiesz się nim cieszył dzień, dwa, może trzy, zanim zlecą się muchy. Potem albo on pójdzie za burtę, albo my.

Mruknąłem, że mógłbym odpiłować rogi, gdybym tylko kupił gdzieś piłę.

— Trzeba je było zawczasu odstrzelić. — Machnął skrobaczką w stronę plaży. — Oszczędziłbyś sobie masę roboty.

— A jak ci się wydaje, ile oni się musieli napracować, żeby odciąć głowę i przenieść ją na drugą stronę cypla? — spytała uszczypliwie Alga. — A przecież nie wiedzieli nawet, czy będziemy tędy przepływać. — (Poprzedniego wieczoru wypytywałem Tego-od — owiec o dużą rzekę na północy, ale nie był to najlepszy moment, żeby o tym wspominać). Alga spojrzała na mnie. — Czy wystarczyłaby ci sama czaszka z rogami? Bez mięsa i bez zapachu?

Zapewniłem ją, że czaszka w zupełności mi wystarczy.

— W takim razie wystarczy poholować ją przez jakiś czas na linie za burtą. Lina nie powinna być zbyt długa, żeby czaszka za głęboko się nie zanurzała. Zaraz ci pokażę.

Zadziwiłem nas wszystkich, kiedy dźwignąwszy olbrzymi łeb z pokładu, przenieśliśmy go na rufę. Oparliśmy go na nadburciu, zawiązaliśmy pętlę na linie, którą Krait dwie godziny wcześniej zwinął i schował, zacisnęliśmy ją na rogach i zepchnęliśmy łeb do wody. Płynęliśmy całkiem dziarsko, ale poszedł pod wodę jak kamień i Alga kazała mi skrócić linę.

Przed wieczorem towarzyszyło nam już stadko (nie mogę się zmusić, żeby nazwać je ławicą) najdziwniejszych i najpiękniejszych ryb, jakie w życiu widziałem. Były trochę dłuższe niż moja dłoń i świetliste, jak wiele tutejszych ryb. Dziwne, ale nie przypominam sobie, żebym widział świecące ryby na targu w Starym Vironie. Mają ogniście czerwone głowy, śnieżnobiałe brzuchy i niebieskie grzbiety, płetwy grzbietowe i ogony. Ich poczwórne płetwy piersiowe (dzięki którym mogą nie tylko szybować, ale naprawdę latać w powietrzu, zupełnie jak ptaki czy owady) mają długość łokcia, są cieniuteńkie, przezroczyste i zupełnie niewidoczne w ciemnościach. Kiedy po zaciemnieniu ryby te trzepotały wokół łodzi niczym rój przerośniętych, wielobarwnych świetlików, odnosiliśmy wrażenie, że płyniemy głęboko pod wodą, a jakiś sprzyjający morski prąd wydał nasz żagiel. Alga zapewniła mnie, że w kilka dni obiorą czaszkę z mięsa do czysta — i tak też się stało.

Dobranoc, Pokrzywo, najdroższa. Moje nocne myśli trzepoczą wokół Twojego łóżka, świetliste, choć niewidzialne. Będą Cię obserwować i chronić. Pamiętaj, że kocham Cię bezgranicznie.

12

Wojna

Nie pamiętam, ile czasu minęło, odkąd pisałem o zdarzeniu z głową łamibyka. Mógłbym zgadywać, że upłynęło tyle a tyle dni albo tyle a tyle tygodni, ale jaka to różnica? Na wojnie tydzień trwa tyle co rok, miesiąc tyle co ludzkie życie.

Zostałem ranny. To dlatego wróciłem tu i mam czas, żeby przeczytać ten stek półprawd (czy raczej kłamstw, którymi sam się karmiłem). Dlatego też mam czas coś napisać.

Rana pulsuje bólem. Dostałem od lekarza śliczny dzbanuszek z jakimś brudnym, lepkiem świństwem do żucia — to podsuszona żywica jakiejś rośliny. Kiedy ją żuję, pulsowanie rany zmienia się w dobiegający z bardzo daleka rytm bębna, ale za to w ogóle nie mogę się skupić. Wszystko miesza mi się w głowie, obrazy wirują i tańczą z Algą w morskiej toni, przybierając niewiarygodne kolory: blask światła świecy na niewidomej twarzy jedzącego zupę Świni, Babbie rzucający się na płastugę, Pokrzywa krzycząca z bólu i z ulgi, kiedy Skóra poszedł w ślady Racicy. Gdybym teraz wziął do ust szczyptę mazi z różowego porcelanowego dzbanka, ściany pokoju zarumieniłyby się ze wstydu, że tak się nad sobą użalam. Nie wydaje mi się, żebym przedtem pisał przy świetle dziennym. Może to właśnie dlatego nie zauważyłem od razu, ile fałszu jest w mojej opowieści?

Od czego zacząć?

Nie będę dziś pisał o podróży z Algą i Kraitem. Zbyt wiele mam niedawnych wydarzeń do opisania. Zacznijmy od wojny.

Nie, najpierw wyleję całą swoją żółć, a potem zacznę od rzeki, od Nadi, od miasta leżącego w jej górnym biegu, najazdu armii Hanu i pierwszych walk.

Żółć — przed godziną skończyłem czytać i jestem wstrząśnięty swoją hipokryzją. Szczególnie poruszyły mnie ostatnie słowa, które spisałem przed wybuchem wojny. Czy naprawdę myślałem, że mogę się tak okłamywać? Że w to uwierzę? Mimo że przez cały czas wyobrażałem sobie Jedwabia na moim miejscu i zastanawiałem się, co by powiedział lub zrobił? Jedwab byłby wobec siebie boleśnie szczery. I nie tylko.

Dość. Ręka tak mi się trzęsała, że musiałem odłożyć pióro. Jestem wściekły na siebie. Miałem ochotę wstać, wyjąć mój azoth, przytknąć go sobie do mostka i poczuć pod kciukiem wypukłość demona. Naprawdę chciałem to zrobić, ale jestem zbyt słaby, żeby wstać z krzesła. Moti weszła do komnaty z mosiężnym imbrykiem pełnym miętowej herbaty. Zabiłbym ją, gdybym mógł — nie dlatego, że mam coś przeciwko temu słodkiemu dziecku, ale zabiłbym ją zamiast siebie. Podałem jej mój sztylet, mówiąc, żeby wbiła mi go między łopatki, ponieważ ja nie mam dość odwagi. Potem opuściłem głowę na pierś i zamknąłem oczy. Co bym zrobił, gdyby mnie posłuchała?

Umarłbym.

Sztylet — długi, prosty i mocny — leży w tej chwili na podłodze, niespełna dwa łokcie od krzesła. Ostrze jest pogrubione u nasady, żeby nie zgięło się, kiedy nim kogoś pchnę.

Kogoś, powiedziałem. Kogoś innego.

Nie mnie. Nie zrobię tego. Jeśli do życia potrzeba więcej odwagi, niż ja jej mam, udam, że mam jej dość, i będę żył dalej. Tak samo zrobiłem na polu bitwy. Jakiż później byłem przerażony! I jaki teraz wydaję się sobie żalony.

Ręce mi się trzęsły. Z najwyższym trudem powstrzymywałem drżenie głosu i wcale nie jestem pewien, czy mi się udało. Grałem rolę bohatera. To znaczy, zachowywałem się tak, jak sobie wyobrażałem, że powinien się zachowywać prawdziwy bohater o nieugiętym sercu. A oni mi uwierzyli. Ależ my wszyscy byliśmy głupi, kiedy tak przegrywaliśmy bitwę po bitwie!

Ale, na bogów, co to był za widok! Co za przeżycie, widzieć śmiertelnie przerażonych ludzi, jak zatrzymują się w biegu, przeładowują broń i rzucają się z powrotem w wir walki!

Mieli przewagę. Wystarczyło posłuchać: na jeden nasz strzał odpowiadali trzema albo czterema.

Choorą. Tak się tu nazywa taki sztylet. Długo obracałem to słowo w myślach. Choorą. Brzmi jak imię jednej z moich żon. Na pewno nadaje się na imię dla smukłej, prostej jak tyczka kobiety o brunatnym licu, ze złotymi bransoletami w uszach i nosie. Choorą wiernie trwała przy mnie, kiedy atakowaliśmy i kiedy się cofaliśmy. A że ani razu nie zakosztowała krwi, to już nie jej wina, lecz moja. Wiwat księżna Choorą!

W Pajarocu prehandlowałem srebro za długie maczety. Może powinienem im wszystkim nadać imiona, ale tego nie zrobiłem. Jeżeli Choorą jest księżną, to one były zwykłymi praczkami i gosposiami. Zdarzają się jednak takie chwile, że

zwykła mocna dziewczka, która przyłoży rękę do tego, co akurat trzeba zrobić, jest lepsza od księżniczki z koralową głowicą.

Dziwne wyrażenie: „przyłożyć do czegoś rękę”. Czy ktoś kiedyś podróżował z jednoręką kobietą? Tak, ja. Czy spał i kochał się z nią delikatnie w przytulnej koi pod fordekiem? Czy któreś z nich było w stanie zapomnieć, że kiedyś ją zgwałcił?

Próbowałem się ukarać za to i za inne rzeczy, ale dość tego — Niech Zewnętrzny mnie ukarze. Oszukujemy się, myśląc, że możemy sami sobie wymierzyć sprawiedliwość. Chciałem pozbyć się wyrzutów sumienia, a co w tym sprawiedliwego? Powinienem czuć się winny. Zasłużyłem sobie na to.

Znacznie większe wyrzuty sumienia powinienem mieć na myśl o tym, że miałem inne kobiety, kiedy wciąż byłem (i jestem) mężem nieszczęsnej Pokrzywy. Niedobrze mi się zrobiło, kiedy przeczytałem te bzdury o moich myślach trzepoczących przy jej łóżku.

Czułem mdłości!

Przez całe życie byłem zakłamanym kochankiem i fałszywym przyjacielem. Gdybym mógł, błagałbym ją o przebaczenie. Gdybym tylko mógł. Już o niej nie śnię.

Czy wylałem całą swoją żółć? Nie, ale będzie jeszcze okazja w przyszłości. Niech no tylko ogarnie mnie właściwy nastrój. A na razie wracajmy do rzeki.

Właśnie tak zatytułowałbym to moje niedorobione arcydzieło, gdybym wcześniej o tym pomyślał: „Rzeka”. Tytuł odnosiłby się zarówno do wielkiej rzeki na Zaciemnieniu, nad którą znaleźliśmy Pajarocu, jak i do naszej malej Nadi. (To moja kolejna żona, kusicielka w wirującej spódnicy, lekkostopa, z błyskiem w oku, raz namiętna i porywcza, to znów spokojna i

groźna w swym rozleniwieniu; wieczorem przypominająca płynne złoto, pełna krwi i krokodyli).

W każdym razie to była moja wina. Jak zawsze.

Wysłałem ludzi, żeby uregulowali bieg rzeki przy Małych Kataraktach. Zrobiłem to przede wszystkim dlatego, iż wiedziałem, że handlując z miastami nad morzem, staniemy się bogatsi. Poza tym było w Gaonie sporo mężczyzn, którzy szukali pracy, a my mogliśmy ich zatrudnić tylko przy żniwach. Aby zebrać pieniądze, obłożyłem cłem wszystkich przybywających do miasta obcych kupców; ustaliłem stawkę za każdego człowieka i za każde zwierzę.

Kazałem również ściąć dwóch celników, którzy część zebranych pieniędzy próbowali zachować dla siebie. Byłem wtedy z siebie dumny, mówiłem o „żelaznej sprawiedliwości”. Też coś, żelazna sprawiedliwość. Sprawiała, że zabiłem dwóch ludzi mniej Więcej w moim wieku. Tak jak ja, byli dziećmi we „Whorlu”. Nie, nie twierdzą, że zabiłem ich własnoręcznie, ale zginęli z mojego rozkazu. Gdybym go nie wydał, żyliby dalej. Jak inaczej t(> nazwać? Sprawiedliwość wymierzona ciężkim, stalowym, zakrzywionym mieczem mojego kata. Jak on się czuje, ten barczysty mężczyzna o zaciętej twarzy, kiedy zabija ludzi, którzy nie zrobili mu nic złego? Kiedy obcina im ręce? Mam nadzieję, że nie gorzej niż ja. Pewnie lepiej. Nie chciałbym, żeby niewinny człowiek czuł to, co ja.

Długo nie było mnie w domu. Czy moje żony spodziewają się, że dziś będę z nimi spał? Co im powiem?

Praca szła szybciej, niż się spodziewałem. Nasi ludzie kopali rowy i wysadzali skały prochem ze zbrojowni i wkrótce

powstała druga Nadi — spokojniejsza, dłuższa i węższa, opływająca łukiem katarakty, głęboka w sam raz na tyle, by mogły pływać po niej małe jachty. Ale sama Nadi też miała coś do powiedzenia: wgryzła się w czerwoną glinę, rozmyła ją i poniosła w dół swojego biegu. Płynie bystro w obu częściach rozdwojonego koryta, nie tak gwałtownie jednak, żeby nie dało się w nowej odnodze holować pod prąd łodzi zaprzężonych w byki. Wielki Han, władca Hanu, poprosił, żebyśmy zbudowali podobny kanał wokół Katarakt w górze rzeki; wtedy łodzie przybywające do Gaonu mogłyby docierać aż do Hanu. Jednak nasi kupcy — co było do przewidzenia — sprzeciwili się temu pomysłowi.

Ja również. Wybrałem się z Hari Mau i mierniczymi nad Katarakty, żeby zorientować się w sytuacji, ale teren wyglądał fatalnie; góry były znacznie bardziej strome i skaliste. Byliśmy zgodni, że przekopanie kanału zajęłoby mnóstwo czasu, a i tak mogłoby się okazać, że nie da się nim przeciągnąć żadnej łodzi — byłyby na to zbyt strome i kręte. Wyjaśniłem Wielkiemu Hanowi, że musiałyby zapłacić naszym robotnikom i czekać latami na efekty ich pracy. Zaproponował, że przyśle swoich ludzi, ale się na to nie zgodziliśmy.

Jak widzisz, narysowałem dawny wzorek. Czy to znaczy, że zamierzam ciągnąć tę błazeńską opowieść? Z pewnością. Wiem, że Pokrzywa nigdy jej nie przeczyta, podobnie jak moi synowie.

W każdym razie nie ci, którzy zostali na Jaszczurce. (Pokrzywa ją przeczytała. Racica i ja również. — Skóra).

Bo Ścięgno może ją przeczyta. Bardzo dziwnie się czułem — muszę kiedyś jeszcze do tego wrócić — przybywając do Pajarocu ze świadomością, że Ścięgno był tam przede mną. Czy mógł także polecieć za mną z Zieleni do „Whorla” i z „Whorla” tutaj? Raczej nie, ale zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Właściwie to chwilami mam nadzieję, że mu się udało.

Przyszedł Bahar z wiadomością, że znów zostaliśmy odparci i zepchnięci prawie pod samo miasto. Przerwał mi pisanie, ale nie na tyle, żebym znów musiał narysować trzy whorle. Tak przynajmniej uznałem.

Bahar jest chudy i nerwowy. Skąd zatem wzięło się jego imię, które oznacza „grubego”? Przeczesał palcami zmierzwioną brodę, przewracając przy tym oczami na znak, że wszystko stracone, miasto padnie najdalej za dzień lub dwa, my, mężczyźni, zostaniemy zaszlachtowani jak kozy, nasze dzieci pójdą w niewolę, a kobiety zostaną uprowadzone. Rozmawiałem z nim wesolutko jak szczygiełek i chyba udało mi się go trochę podnieść na duchu. Biedny Bahar; jakie to uczucie, być dobrym człowiekiem, a zarazem cały czas spodziewać się najgorszego we whorlu złodziei i morderców?

Mam żonę z Hanu, o ile inne jeszcze jej nie zabiły. Nazywamy ją „Chota”. To imię znaczy „mała” i pasuje do niej.

Może jest zbyt okrutne?

Sama rozmowa z Baharem sprawiła, że zachciało mi się jeść — on zawsze wygląda tak, jakby ktoś morzył go głodem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem głodny.

Zadzwońnięm na Chandi, ale nie spieszyło się jej. Za karę powiedziałem, że kto inny poda mi dziś posiłek. Gdybym się chwilę zastanowił, domyśliłbym się, że bała się, że każę się jej zabić. Moti jej powiedziała, to oczywiste; one nie mają przed sobą tajemnic. W każdym razie spłynęło na mnie natchnienie. Każdemu, nawet mnie, zdarza się czasem wpaść na jakiś dobry pomysł. U nas w domu większość dobrych pomysłów miała Pokrzywa. Poza papierem. Pomysł z papierem był naszym jedynym naprawdę świetnym pomysłem.

Miała też ładniejszy charakter pisma, ale nie cierpiała przekładać myśli na zdania i akapity. Gdybym zostawił ją samą z pracą nad książką, wyszłoby z tego suche streszczenie.

Takie jak to. Jakbym słyszał jej słowa.

Chota podała mi wino, rybę, owoce, świeże i marynowane jarzyny, pilaw i cienkie podpłomyki, które je się tu do każdego posiłku. Są okrągłe, płaskie i blade jak jej twarz. Usługiwała mi przy posiłku i dość szybko zdałem sobie sprawę, że jest głodniej — sza ode mnie. Albo kobiety nie pozwalały jej jeść, albo ze zmartwienia nic nie jadła.

Kazałem jej usiąść obok mnie, nałożyłem jej pilawu z gotowanego ciasta z siekanymi orzechami i rodzynkami i powiedziałem, żeby jadła. Podczas jedzenia rozwiązał się jej język, zaczęła mi opowiadać o domu i prosić, żebym pozwolił jej zostać. Powiedziała mi też, jak naprawdę się nazywa, ale już zapomniałem. Oznacza „muzykę graną w porze zaciemnienia”.

Opowiedziałem jej o wojnie i dodałem, że mam nadzieję, iż gdyby Gaon upadł, w Hanie przyjmą ją życzliwie. Upierała się, że jej siostry-żony zabiją ją, gdy tylko usłyszą, że nie żyję, a nawet jeśli nie, jej rodacy odetną jej piersi.

Co z nami jest nie tak? Jak możemy robić sobie nawzajem takie rzeczy?

Zasnęła, biedne dziecko. Mam nadzieję, że bogowie ześlą jej spokojne sny.

Bahar chciał, żebym złożył ofiarę Sphigx. Pomyślę o tym. Może w ten sposób dodam otuchy naszym ludziom.

To męczące, tak o wszystkim pisać. Streszczę się więc i położę spać obok Choty.

Prosiła, żebym ją ze sobą zabrał, więc to zrobiłem. Nigdy nie jechała na słońiu. Nasi żołnierze nie posiadali się z radości, kiedy mnie zobaczyli — chyba że są na tyle uprzejmi, że udawali. Podejrzewam, że obawiali się, iż nie żyję, tylko nikt nie chce im o tym powiedzieć. Zostawiłem Chotę w podłużnym namiocie na grzbiecie słońia i na pożyczonym koniu przejechałem wzdłuż naszych szeregów, z uśmiechem i błogosławieństwem dla wszystkich. Biedacy, och, biedacy! Najbardziej niebezpieczną bronią, z jaką większość z nich miała do czynienia, są widły. Są odważni, ale nie mają pojęcia, z czym się mierzą. Ich oficerowie czytali o Jedwabiu, podobnie jak Hari Mau i Bahar, dlatego postanowiłem się tu pojawić. Ci biedni wojacy słyszeli tylko opowieści, i to takie, w które trudno uwierzyć, a jednak wiwatowali na cześć siwowłosego mężczyzny z jednym okiem.

Nasze słonie nie chcą traktować wrogów. Huk wystrzałów je płoszy, tak jak mnie. Słonie z kolei płoszą konie, które strzałów się nie boją. Co za whorl!

Przekonałem się, że słoni boją się również nasi jeńcy. Wzięliśmy do niewoli dwudziestu dwóch ludzi, od pomarszczonych staruszków po nieopierzonych wyrostków. Kiedy zobaczyłem, że boją się mojego słonia, kazałem trzech z nich wprowadzić na górę po drabinie, żebym mógł przesłuchać ich na grzbiecie zwierzęcia. Chota bardzo mi pomogła, wyjaśniając zwyczaje i tłumacząc zwroty z mowy Hanów. Zabrała ze sobą pilaw, marynowany pasternak i inne jedzenie; jeńcom ciekła ślinka, kiedy patrzyli, jak je. Chyba są tak samo głodni jak ona. Nie mamy za dużo żywności, więc Hari Mau musiał ograniczyć racje dla więźniów.

Kiedy się tak zastanowię, przypominam sobie, że jednego z jeńców pojmano zaledwie na godzinę przed naszym przybyciem.

Przez cały dzień zajmowały mnie sprawy, które zaniedbałem, przebywając z żołnierzami. (Wszystko bym dał za to, żeby mieć teraz przy sobie Pięściaka! Oliwinie, proszę, zaprowadź nas do ojca). Najważniejsze, że dałem Baharowi i Namakowi po pudełku kart i kazałem im popłynąć łodzią w dół rzeki. Bahar ma kupić ryż i fasolę; są tanie i sycące, a on świetnie się do takiego zadania nadaje.

Namak ma natomiast poszukać ludzi, którzy zgodziliby się za pieniądze walczyć po naszej stronie. Muszą mieć własne

strzelby, bo broni najbardziej nam brakuje. (Ciekawe, jak radzą sobie w Nowym Vironie z produkowaniem nowych strzelb. Bo ta, którą dostałem od Szpika, spisywała się bez zarzutu). Tak byłoby najlepiej; musimy mieć więcej strzelców. Zgoda, polowanie to krwawa rozrywka, ale nie ma lepszego treningu dla przyszłego żołnierza.

Mam nadzieję, że Bahar szybko nam coś podeśle. Mamy mało jedzenia, a farm na północ od nas, nad brzegiem Nadi, już nie ma.

Hari Mau wrócił, żeby się ze mną naradzić. Od linii frontu dzieli nas godzina konnej jazdy. Naszkicował mi plan sytuacyjny. Twierdzi, że z lewej flanki nic nam nie zagraża, bo rośnie tam nieprzebyte, podmokły las; swoją drogą, co o nieprzebyłym lesie wie człowiek, który nigdy nie był na Zieleni? Z prawej strony front oparł się o rzekę. Wbrew temu, co mówi, obawiam się natarcia z obu stron.

Nie podobała mu się obecność Choty, więc musiałem ją na chwilę odesłać do kobiecych komnat. Nikt biedaczce nie ufa.

Tylko ja.

Więźniowie pogrążeni w rozpacz, powiedział.

Z każdą wojną wiążą się jakieś korzyści, nawet kiedy człowiek jest ranny, a połowa jego ludzi ma zginąć. Może nic, co rzeczywiste, nie może być absolutnie złe ani bezwzględnie dobre. („Rzeczywiste" nie jest tu najlepszym słowem; „namacalne"?) — Tęsknię za domem i przebaczeniem Pokrzywy, o ile byłaby na tyle wzruszona, by mi go udzielić, ale ból w boku zabija tęsknotę. Poza tym — na szczęście — zajęć mi

nie brakuje. Kto mógłby być bogiem ludzi zapracowanych? Najprawdopodobniej Scylla. Scylla, która każe falom tańczyć w świetle słońca i w blasku gwiazd. Tyle pisałem o naszym życiu na słupie, a prawie nic o falach. Tymczasem oprócz Algi o złotych włosach właśnie morze zapamiętałem najlepiej — wiecznie niespokojne, niezmordowane fale połyskujące odbitym światłem gwiazd i Zieleni. To prawdziwe błogosławieństwo, mieć co robić.

Obmyśliłem pewien plan i przez pół dnia nadzorowałem jego realizację. Wróg systematycznie spycha nas do tyłu. Kilku naszych robotników nad rzeką zostało ranionych odłamkami kamieni. Jeden zmarł. Takie są fakty. Postaramy się je połączyć.

Dostałem raport, że czterech naszych jeńców popełniło samobójstwo. To się musi skończyć. Kazałem przyprowadzić pozostałych do mnie, jutro w południe. Chcę się im jeszcze raz przyjrzeć.

Rozmawiałem z jeńcami w obecności Choty, tak jak poprzednio. Z początku nie mówili nic nowego. Kazałem im podać dobry, ciepły posiłek, po którym wróciliśmy do rozmowy. Tym razem miałem więcej szczęścia i więcej się dowiedziałem.

Przede wszystkim im też brakuje żywności. Ponieważ rzekę blokują Katarakty, żołnierze muszą sprowadzać zaopatrzenie z Hanu na grzbietach jucznych mułów i koni. Uważają zaś, że my pławimy się w dostatku, a Hari Mau celowo ich głodzi.

Po drugie, sądzą, że wojna to podstęp, mający na celu wyrugowanie ich z ziemi. Większość z nich to drobni rolnicy,

tak samo jak nasi żołnierze. Jeden z nich oskarżył Wieczorną Pieśń (Chotę) o zdradę: powiedział jej prosto w oczy, że jest kobietą Wielkiego Hana, co ją rozwścieczyło. Próbowwała mnie przekonać, żebym kazał go zabić, ale wyjaśniłem, że jest dla mnie zbyt cenny, i zaproponowałem rozejm.

Wszyscy zgodzili się na rozejm. Wysłałem Rajya Mantri do Hanów z wiadomością, że chcemy dokonać wymiany jeńców: wszystkich za wszystkich. Na to nie chcieli się zgodzić, ale wymieniliśmy osiemnastu za osiemnastu. Najważniejsze, że ci, których wypuściliśmy, wrócą do szeregów i będą mogli porozmawiać z innymi żołnierzami. Wszystko przygotowane do odwrotu. Powinniśmy cofnąć się dość daleko, by wciągnąć ich na obszar, gdzie są zakopane beczułki.

Od czasu do czasu przypomina mi się ten rzekomo „nieprzebyty” las i wracam myślami do puszczy u ujścia szerokiej rzeki, do lasów na Zieleni i innych — także do spletanego gąszczu karłowatych drzewek na piaszczystym jezorze lądu, o którym pisałem przed najazdem Hanów.

Kiedy dotarliśmy do ujścia rzeki, wydawało się nam, że nasze poszukiwania dobiegły końca. Wyjąłem narysowaną przez Wijzera mapę i pokazałem ją Kraitowi. Zgodził się rozglądać za Pajarocu za każdym razem, kiedy wybierze się na polowanie. Założyłem, że najdalej za tydzień będziemy na miejscu. Alga zgodziła się zostać w mieście i pilnować słupa. Dość długo tłumaczyłem jej, że nawet jeśli lądownik nie eksploduje przy starciu, wyprawa może się nie powieść. Gdybym nie wrócił w ciągu miesiąca, miała uznać, że nie żyję.

Minęły już prawie dwa lata... A może i więcej. Jak to możliwe, że słyszę tu jej śpiew?

Szeroko rozlana rzeka wolno toczyła swoje wody. Po trzech dniach żeglugi stało się dla nas oczywiste, że odcinek do pierwszego rozwidlenia jest znacznie dłuższy niż na mapie Wijzera. Kiedy na południowym brzegu wypatrzyłem miasto (a właściwie skupisko chałup), zawinęliśmy do niego z zamiarem wymienienia srebra na koce i inne przydatne drobiazgi. Chcieliśmy jeszcze przed wieczorem popłynąć dalej, ale skończyło się na tym, że zostaliśmy tam cztery dni. Kiedy człowiek robi sobie postój, zdaje się na łaskę i niełaskę boga miejsca, w którym się zatrzymał. Moje podróże tego jednego na pewno mnie nauczyły. Ale mniejsza z tym, na razie muszę odłożyć pióro i chwilę się zdrzemnąć.

Rana chyba się goi. Lepiej się czuję (mam mniejszą gorączkę) i opuchlizna trochę zeszła. I mniej krwawi. Phaei niech będą dzięki. Czy komu tam...

Rozdzwoniły się dzwony we wszystkich świątyniach. To wielki dzień! Odepchnęliśmy wroga.

Nasz odwrót nie przebiegał zgodnie z planem, ale wystarczył taki, jaki był. Stojąc na głowie słonia, obserwowałem przebieg bitwy, chociaż wszyscy mi powtarzali, że to zbyt niebezpieczne — nawet Mahawat, mój poganiacz, który stał obok i podskakiwał z podniecenia.

Hanowie nie zawiedli naszych nadziei i zaszarżowali na nas, strzelając, wymachując nożami i mieczami i drąc się wniebogłosy. Nasi ludzie rzucili się do ucieczki, a znalazłszy się na umówionych pozycjach, odwrócili się i ostrzelali napastników. Tego momentu obawiałem się najbardziej; bałem się, że się nie zatrzymają, lecz będą dalej uciekać, ale tylko kilku tak zrobiło. Wybuchła zacięta walka, która trwała mniej więcej godzinę. Potem eksplodował zakopany w ziemi proch.

Przygotowaliśmy duże ładunki, znacznie większe niż te, których używamy do wysadzania skał. Beczulki obsypaliśmy ostrymi odłamkami krzemienia. Chcieliśmy zaatakować natychmiast po eksplozjach i wysłać konnych dopiero kiedy nieprzyjaciel złamie szyk i zacznie uciekać, ale Hari Mau od razu posłał jazdę w bój. Wiedział, że Hanowie tego nie wytrzymają. Dziwnie się czułem, stojąc na słońiu przed platformą z jedwabnym namiotem, ponieważ widziałem, że jeźdźcy powinni uderzyć natychmiast. Nie miałem jak wydać rozkazu, ale trąbki nagle zagrały, jakbym jednak go wydał. Ich ostatnie dźwięki zagłuszył łoskot kopyt, a potem były już tylko lance, miecze, igłowce i kurz; porporzec w rękach chorążego chylił się na boki, jakby lada chwila miał upaść, ale parli naprzód! I naprzód! I naprzód!

Krew, jeszcze więcej krwi, chociaż niemało jej już przelano.

Najważniejsze jest to, żebym nie dał się drugi raz tak zaskoczyć. Muszę znaleźć sposób natychmiastowego przekazywania rozkazów. No, przynajmniej jakiś bardzo szybki sposób.

Posłałem po zbrojmistrza. Ma mi przynieść igłowiec i kilka krótkich mieczy do wyboru. Zaczyna nam brakować amunicji

do strzelb i pistoletów, ale noży i mieczy mamy pod dostatkiem.

Pisząc te słowa, pomyślałem, że powinienem też wezwać ogrodnika. Zastanawiałem się, skąd wziąć łopatę i łom do podważenia kamieni, a ogrodnik może mi dostarczyć jedno i drugie. Lepsze to — i bezpieczniejsze — niż kazać Wieczornej Pieśni, żeby kupiła je dla mnie na bazarze. Widywałem go często przy pracy — milczący staruszek w wyblakłym turbanie, z sumiastym siwym wąsem. Obaj jego młodszy pomocnicy są na wojnie, więc pewnie ciężko mu się żyje. Biedaczysko... Na pewno chętnie mi pomoże.

To może być najbardziej niebezpieczne z moich przedsięwzięć, ale nie zrezygnuję. Muszę to jednak odłożyć na później: dziś noc jest pogodna i Zieleń będzie jasno świeciła. W pierwszą pochmurną noc sprawdzę, ile jest wart sekret Kraita. Podzielę się nim z kimś, kto już go zna. To nie zdrada.

Nadrzeczna miścina składała się z dwudziestu, może trzydziestu domów z nieociosanych bali i setki byle jak skleconych chatynek, przykrytych skórą i płacami kory. Handel odbywał się tam tylko w dzień targowy. Nigdy nie słyszałem o podobnym zwyczaju, chodziłem więc po domach, biadoląc i wypytując o towary, których nikt mi nie chciał sprzedać. W końcu Krait i Alga przekonali mnie, że lepiej zachować cierpliwość, poznać mieszkańców i dowiedzieć się od nich jak najwięcej. Żywiliśmy się głównie naszym wędzonym mięsem, które siekaliśmy i dusiliśmy z pieprzem, i znalezionym przeze mnie dzikim czosnkiem. Popijaliśmy je wodą z rzeki, dopóki nie odkryliśmy strumyka, który dostarczał wody pitnej mieszkańcom osady. Bałem się, że pochorujemy się od mętnej cieczy w rzece, ale nic nam nie było.

Tubylcy przypominają Tego-od-owiec i Tę-od-jagód: są szczupli i muskularni, mają krzywe nogi, szerokie bary i haczykowato wygięte nosy. Ich długie, proste włosy połyskują czernią i są naprawdę piękne. Kobiety zaplatają warkocze, niektórzy mężczyźni również. Cerę mają ciemną, a przy tym delikatnie zabarwioną czerwienią lub różem od krążącej pod skórą krwi. Wygląda to uroczo, zwłaszcza u dzieci i młodych kobiet.

Są małomówni i podejrzliwi wobec obcych, chociaż kobietom usta się nie zamykają, kiedy znajdują się w swoim towarzystwie. Podobnie jak Ta-od-jagód, udawały często, że nie rozumieją wspólnej mowy. Byłem wściekły (z czego na pewno zdawały sobie sprawę), a ich zachowanie dodatkowo mnie złościło.

Pewien podróżnik, który — jak twierdził — wybierał się tam gdzie my, powiedział mi, że miejscina (nazywała się Wichote) jest ostatnim bastionem cywilizacji na drodze do Pajarocu. Zapytałem, skąd to wie, jeśli nigdy nie był dalej niż w Wichote. On jednak twierdził, że dotarł już znacznie dalej w towarzystwie pewnego młodzieńca, którego ocalił od utonięcia. Młodzieniec ten miał być trochę starszy od mojego syna (miał na myśli Kraitę).

— Był do ciebie podobny — dodał z uśmiechem. — Tylko miał więcej włosów.

Chciałbym w tym momencie powiedzieć, że od razu wiedziałem, ale nie byłaby to prawda. Zapytałem, czy młody człowiek, którego uratował, znał drogę do Pajarocu.

— Tak mu się wydawało. Przez niego błądziliśmy tysiące razy.

Zapytałem, czy mógłbym z nim porozmawiać, wydało mi się bowiem, że może wiedzieć coś, co nam się przyda.

— Nie wrócił ze mną. — Podróżny znów wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Ale na waszym miejscu nie przejmowałbym się nim.

— Nie zamierzam się nim przejmować, jeśli nie ma go w Wichote. Tym niemniej chciałbym z nim porozmawiać. Rozdzieliliście się w górze rzeki, tak? Daleko stąd?

Wzruszył ramionami.

— Będzie ze dwa tygodnie drogi.

— Zostawiłeś go samego?

— Naturalnie. Poradzi sobie. Jest trochę nieokrzesany, ale to twardy chłopak. Poza tym ma igłowiec. Nie zginie.

Rozstaliśmy się. Przypuszczam, że wrócił na łódź i od razu wypłynął, bojąc się, że uprzedzę go i zajmę w Pajarocu ostatnie miejsce na pokładzie (w lądowniku go jednak nie spotkałem). Kiedy przyszło mi do głowy — a stało się to znacznie później — że mógł mówić o Ścięgni, nigdzie nie mogłem go znaleźć, chociaż całymi godzinami błąkałem się po błotnistych uliczkach, zaglądałem we wszystkie otwarte drzwi i wypytywałem każdego, kto raczył się do mnie odezwać. Pogodziwszy się z myślą, że już go nie zobaczę, wróciłem na slup. Byłem niemal gotów zostawić Algę w Wichote i popłynąć na poszukiwania mojego rozmówcy, ale gdybym nawet go dogonił i upewnił się, że młodzieniec z jego opowieści miał na imię Ścięgno, co by mi to dało? I co mógłbym zrobić, jeśli nie dalej szukać Pajarocu, którego i Ścięgno najwyraźniej szukał? Spotkalibyśmy się tam — gdziekolwiek to było — albo nie spotkalibyśmy się wcale.

Alga, jak wspomniałem, zeszła na ląd. Nie pogodziliśmy się jeszcze z koniecznością czekania na dzień targowy, wzięła więc trochę błyskotek, żeby wymienić je na ciepłe, solidne ubrania.

Usiadłem z Babbiem na rufie i zacząłem wspominać dawne dni, kiedy Ściągnio był malutki. Wodząc wzrokiem po leniwej rzece, dosiedziałem tak do zaciemnienia. Do tej pory, jeśli zamknę oczy, przypominam sobie tę rzekę, znacznie szerszą i bardziej leniwą od naszej Nadi, miejscami tak płytką, że spod wody przezierały błotniste mielizny. Zachody krótkiego słońca na Zaciemnieniu nie są tak efektowne jak tutaj.

To znaczy, jak w Nowym Vironie, nad morzem. Tu, w Gaonie, słońce późnym rankiem wyziera sponad gór i pod wieczór chowa się wśród gór, na krótko malując ich ośnieżone szczyty ognistą czerwienią (może to pędzel Stwórcy, o którym opowiadał Wijzer?) i zsyłając nam długi zmierzch.

W Nowym Vironie krótkie słońce tonie w morzu. Jeżeli pogoda dopisze, widok jest naprawdę przepiękny. Pokrzywa nieraz wołała mnie na plażę, żebyśmy mogli go razem podziwiać; często nie miałem dla niej czasu. A teraz wiele bym dał za to, by móc znów stanąć przy niej, wziąć ją za rękę i czekać na ostami szmaragdowy przebłysk, który jak za sprawą magii pojawia się, gdy krótkie słońce znika w falach — promyk zieleni tak czystej, że nie może mieć ona nic wspólnego z ohydny, przeklętym whorlem o tej samej nazwie. Ja, który pierwszy raz zobaczyłem morze jako dorosły człowiek, nie pokochałem go, dopóki go nie porzuciłem. Tak samo jest z Algą — a przynajmniej tak mi się wydaje. Morze nie wzywało jej, kiedy w nim żyła jako...

Nie wiem, jakiego słowa użyć.

Jako zwierzątko? Przybrana córka? Zdradziecka przynęta starej bogini morza? Alga pełniła wszystkie trzy role. Po co morze miało ją wtedy wołać? Należała do niego. Dopiero kiedy

je porzuciła, kiedy próbowała o nim zapomnieć w tej obskurnej wiosce na brzegu wielkiej rzeki, morze zaczęło jej śpiewać tak, jak ona mi dziś śpiewa.

Napisałem przed chwilą, że mógłbym zamknąć oczy i odtworzyć pod powiekami obraz tamtej rzeki. Rzeczywiście, mogę; widzę ją wtedy i słyszę — szept słabego nurtu, wąską łódkę z samotnym wioślarzem, żałobny lament morskich ptaków o węzowych szyjach (ptaków było tam mrowie, choć od morza dzieliło nas wiele mil), mgłę unoszącą się znad wody, odległe wycie dziko — wilka. Pamiętam, jaka była szeroka, gładka, samotna i pusta.

Wszystko zniknęło. Kiedy, siedząc między dwiema lampami, próbuję przywołać te wspomnienia, widzę tylko Algę, długą, łagodną linię jej nóg, bioder i pleców. Tylko róż jej sterczących sutków i biel ciała, kiedy pierwszy raz wynurzyła się z morza.

Ogrodnik przyszedł wczoraj, kiedy już skończyłem pisać. Obaj byliśmy zmęczeni, lecz mimo to przegadaliśmy godzinę, jeśli nie więcej. Jeżeli mam komuś zaufać, to jemu najprędzej. Poza tym już postanowiłem zaufać Chocie, żeby mieć kogoś, kto stanie na straży. Nie wiem, czy dam radę samemu dźwignąć kamień; boję się, że rana w boku może mi się otworzyć. We dwóch na pewno sobie poradzimy.

Na moje. oko Mehman nie jest mięczakiem, ale i tak wolałbym mieć ze sobą Kraita i Ściągnę.

Rano przyszedł zbrojmistrz. Przyniósł kilkanaście mieczy, w większości zbyt długich. Nie miał igłowca; twierdził, że

wszystkie wydał oficerom. Powiedziałem, że zostawił jeden dla siebie, i kazałem mu go oddać, ale padł na kolana i rozplakał się, przyrzekając, że mówi prawdę. Może któryś ze strażników ma igłowiec. Mam nadzieję. Jeśli nie, zostanie mi miecz i Choor. Pod tuniką schowam azoth od Hiacynta — do użytku tylko w ostateczności.

Wieczorem zwołałem zebranie moich żon, straży i służby. Zapowiedziałem, że jutro wyjeżdżam i zabieram ze sobą Mahawata i strażników (zostało ich ledwie kilku). Pehla będzie zarządzać domem, tak samo jak wtedy, gdy w górze rzeki dowodziłem wojskiem, zanim zostałem ranny. Mehman z pomocnikami mają bronić pałacu. Uroczyście rozdałem pozostałe miecze starcom i chłopcom, których wybrał sobie do pomocy. Wyjeżdżam zaraz po rozjaśnieniu, więc teraz już się położę.

Co za dzień! A właściwie: co za noc! W życiu nie byłem taki zmęczony.

Ledwie zdążyłem przyłożyć głowę do poduszki i zamknąć oczy, kiedy Wieczorna Pieśń wśliznęła się obok mnie pod koc, naga i mocno pachnąca olejkiem sandałowym, który jej niedawno podarowałem. Pomyślałem, że musiała ukryć się w mojej komnacie, a ja dałem się zwieść, sądząc, że wyszła. Powiedziałem stanowczo, że nie powinna tego robić, ale ona twierdzi, że weszła przez okno. Chciała jechać ze mną, a ponieważ i tak powiedziałem jej co nieco o tej drugiej sprawie, zgodziłem się. Była mi bezgranicznie wdzięczna.

Wstaliśmy przed wschodem słońca, umyliśmy się, zjedliśmy w biegu jakieś owoce i wyruszyliśmy w drogę. Poprosiłem Hari Mau, by przysłał mi żołnierza, który dobrze zna okoliczne lasy. Zrobił to, ale, Molpe Miłosierna, to był chłopiec! Dzieciak miał ze sobą strzelbę i przysięgał, że ma piętnaście lat, lecz ja nie dałbym mu więcej niż trzynaście. Na grzbiecie słonia zrobiło się ciasno, kiedy wszyscy się na niego wdrapaliśmy: sześciu strażników (każdy chłop na schwał) z bronią, Wieczorna Pieśń, „żołnierz” Darjan i ja. Ucieszyłem się, kiedy wreszcie ruszyliśmy.

Kiedy podjechaliśmy bliżej lasu, Darjan wygłosił krótką mowę, bez wątpienia idąc za radą Hari Mau: o gęstych zaroślach, podmokłej ziemi i wszechobecnych cierniach — słowem, o nieprzebytej dżungli. Zapytałem go, czy przeszedł kiedyś przez ten las.

— Nie na drugą stronę, rajanie.

— A w ogóle zdarzyło ci się wejść między drzewa?

— Tak, rajanie. Kiedy byłem młodszy, bawiłem się w lesie.

„Kiedy byłem młodszy” musiało znaczyć „zanim nauczyłem się chodzić”. Kazałem mu iść przodem i powiedziałem, że będę szedł drugi. Mieliśmy przejść dwie mile na północ, a potem skrócić na wschód i zobaczyć, gdzie się znajdziemy. Pokiwał głową i ruszył, wyszukując dogodnej drogi przez gąszcz. Kazałem Mahawatowi prowadzić słonia za mną, ale w bezpiecznej odległości.

Z początku pilnowałem Darjana i szedłem jego śladem. Zarośla szarpały moją jedwabną kurtkę od munduru. Miałem ogromną ochotę użyć azotha, ale nie chciałem przed nikim zdradzić się z tym, że go mam. Mniej więcej po godzinie odzyskałem dar Sąsiadów, który bardzo mi się przydał na

Zieleni. Może tak naprawdę nigdy go nie straciłem, tylko przestałem zwracać na niego uwagę.

Mniejsza z tym. W każdym razie widziałem już, że Darjan wcale nie prowadzi nas najlepszą drogą. Poszedłem nią sam i wkrótce wyprzedziłem go tak znacznie, że musiałem na niego poczekać. A potem we dwóch czekaliśmy na mojego słonia.

Nie bardzo wiedziałem, co począć ze słoniem. Na Zieleni przekonałem się, że nawet największe zwierzęta są w stanie przedrzeć się przez leśne podszycie, tak jak tutejsze tarzary. (Skoro można oswoić słonia, to może i z tarzarem by się udało? Trzeba będzie spróbować). Ich ciężar i siła pozwalają im stratować każdy gąszcz, a gruba skóra chroni przed skaleczeniami.

Ale każda zaleta ma swoje wady, jak mawiał mój ojciec. Wadą w tym wypadku był fakt, że słoń nie precyzyjnie się między dużymi drzewami, które rosną zbyt blisko siebie. Na szczęście w tym lesie duże drzewa trafiały się rzadko — dominowały krzewy i młode samosiejki.

Mój słoń nie miał doświadczenia w poruszaniu się po dżungli, ale szybko się uczył. Po pierwszej godzinie maszerował już szybciej od Darjana, który miał nas prowadzić, a któremu nagle zaczęło zagrażać stratowanie. Kazałem Mahawatowi mieć mnie na oku i jechać za mną, ale słoń nauczył się tego szybciej niż poganiacz: czubkiem trąby muskał mój turban i dreptał potulnie, robiąc przy tym zdumiewająco mało hałasu. Rozbiliśmy namiot na jego grzbiecie, ale Wieczorna Pieśń i strażnicy i tak nie mieli lekkiego życia: musieli leżeć na płask na platformie i osłaniać się przed gałęziami.

Zamierzałem zatrzymać się na skraju lasu, poczekać na przejeżdżającą karawanę z Hanu i zaatakować ją od tyłu, ale

mój plan nie uwzględniał natury słonia. Zwierzę tak się ucieszyło na widok otwartej przestrzeni, że minęło nas pędem i wybiegło na drogę, zanim Mahawat zdążył zareagować.

Wdrapałem się na platformę, zadowolony, że mogę usiąść po marszu, i kazałem poganiaczowi wprowadzić słonia między drzewa, żeby nie było nas widać z drogi. Mahawat przystał na moją propozycję, słoń, niestety, nie. Kiedy zorientował się, że chcemy zapędzić go z powrotem do lasu, zbuntował się i popędził na oślep drogą niczym ośmionogi talus. Od jego trąbienia — a trąbił obiema trąbami — ciarki przechodziły mi po plecach; biedna Wieczorna Pieśń była wprost przerażona. Słyszałem w swoim życiu krzyk wielu kobiet — nie wiem, czy więcej niż wynosi przeciętna, czy nie; na pewno pomogło mi, że słyszałem krzyczące z bólu żołnierki z Trivigaunte, z którymi ja i Pokrzywa walczyliśmy pod generał Miętą. Ale Wieczorna Pieśń nie ma sobie równych: nigdy nie spotkałem kobiety, która krzyczałaby tak głośno i tak przenikliwie, a w dodatku tak długo.

Wiem, Pokrzywo, że nigdy nie przeczytasz tych słów. Nie chciałbym nawet, żebyś je przeczytała, ale udam, że jest inaczej. Spróbuj sobie nas wyobrazić — mnie, sześciu strażników, Wieczorną Pieśń i Mahawata (Darjan zgubił się w chmurze kurzu za naszymi plecami), trzymających się rozpaczliwie wszelkich możliwych uchwytów i siebie nawzajem. O włos uniknęliśmy upadku, gdy nagle wypadliśmy z zakrętu i znaleźliśmy się oko w oko z trzema, może czterema setkami hańskich lansjerów.

Parę dni temu napisałem, że nasze słonie nie chcą szarżować na wroga. Myliłem się. Mój zaszarżował. Nigdy nie widziałaś

tylu kuców uciekających w takiej panice. Nikt chyba nie widział.

Kiedy teraz o tym myślę, na cud zakrawa fakt, że w ogóle uszliśmy z życiem. Słoń roztrącał jeźdźców na wszystkie strony, a mało który z tych, co utrzymali się w siodle, miał strzelbę albo igłowiec. Droga znów zakręcała, ale mój słoń popędził przed siebie, prosto w szczybę między dwiema wysokimi skałami. Szczelina była wąziutka, więc już po chwili zaczął szorować bokami o ściany i Mahawatowi udało się nad nim zapanować. Garstka jeźdźców próbowała nas ścigać, ale moi strażnicy paroma strzałami wybili im ten pomysł z głowy. Wyjechaliśmy na łagodne zbocze porośnięte kępami jeżyn. Teren stopniowo obniżał się i stawał coraz bardziej podmokły, zamiast jeżyn pojawiły się drzewa i wkrótce znów znaleźliśmy się w znajomej „nieprzebytej” dżungli.

Powrót do lasu ucieszył wszystkich. Nawet mojego słonia.

Nastał ranek, ale jest ciemno i pada ulewny deszcz. Nikt nie przyszedł mnie obudzić. Albo, co bardziej prawdopodobne, Pehla przyszła, lecz stojący pod drzwiami strażnik nie pozwolił jej wejść. Jest późno. Przespałem co najmniej dwanaście godzin.

Chciałbym coś zjeść i napić się herbaty, ale wolałem najpierw przejrzeć to, co wczoraj napisałem, i nanieść poprawki. (Rzadko coś poprawiam, o czym pewnie już wiesz, ale tym razem zdarzyło mi się stanowczo za dużo prostych błędów ortograficznych. Przepisałem całą jedną stronę na nowo i wyrzuciłem tę starą).

Kusi mnie, żeby chwilę pospekulować, zanim jeszcze zawołam strażnika i każę sobie przynieść śniadanie. Czy nasz wyczyn miał jakąś rzeczywistą wartość? Jeżeli udowodnił wrogowi, że „nieprzebyty” las jest w istocie do przejścia, zachowaliśmy się gorzej niż beznadziejnie. Jeśli zaś uczy nas (a nieprzyjaciołom podpowiada), że należy pilnować zalesionej flanki, to jest coś wart. Dobrze byłoby z niego wyciągnąć wnioski. Dopilnuję, żeby organizowano dalsze takie wypadki.

Zapytasz pewnie, co się stało z Darjanem? Prawdę mówiąc, nie wiem. Zapomniałem o nim na śmierć, kiedy wreszcie uciekliśmy jeźdźcom, a wieczorem byłem chyba zbyt zmęczony, żeby o tym pomyśleć, chociaż z uporem maniaka postanowiłem spisać przed zaśnięciem wszystkie fakty.

Jedwab nie zapomniałby go do końca życia.

Przerwałem na chwilę, żeby napisać list do Hari Mau i zapytać go o Darjana. Nazwałem go „moim przewodnikiem”. Hari Mau powinien wiedzieć, czy wrócił bezpiecznie do miasta.

Zapytałem też, jakie są nastroje wśród żołnierzy. Spodziewaliśmy się nadejścia pory deszczowej i staraliśmy się do niej przygotować. Teraz, kiedy faktycznie się zaczęła, muszę dopilnować, żeby płaszcze przeciwdeszczowe trafiły do tych, którzy ich potrzebują, żeby wszyscy dostawali ciepłe posiłki, gorącą herbatę i tak dalej. Jeśli będę się dobrze czuł, po południu pojedę na front.

Powinniśmy byli przed deszczami posiać ozimą pszenicę, teraz jest już za późno. Będziemy coraz dotkliwiej odczuwać brak żywności, chociaż wczoraj przypłynęły trzy łodzie z jedzeniem od Bahara. Dwie będą dla żołnierzy, jedną sprzeda się na bazarze, żeby zdobyć pieniądze na zaopatrzenie.

Potrzebne nam będzie w nocy jakieś zwierzę. Chciałem wziąć naszą mleczną krowę, ale nie zaryzykuję, jeśli mam iść z ogrodnikiem. Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłem. Jeżeli mamy dziś w nocy zrealizować mój plan, będę musiał coś wymyślić. Koń odpada, nie mogę się go pozbyć. Słoń też nie wchodzi w grę — nie umiałbym go prowadzić. Poza tym Mahawat śpi z nim w stajni.

Nie, ktoś inny będzie musiał poszukać odpowiedniego zwierzęcia. Ja będę zajęty, a poza tym ludzie patrzą mi na ręce.

Śniadanie.

Chandi przyniosła mi tacę ze śniadaniem. Wypytywała mnie z troską o zdrowie, starając się zarazem ukryć zadrapanie na policzku. Zauważyłem je i zapytałem, co się stało; spodziewałem się usłyszeć, że się przewróciła. (Kiedy ostatni raz myślałem o generalissimucie Oosiku? Na pewno nie po tym, jak o nim z Pokrzywą pisaliśmy). Zaskoczyła mnie, powiedziała, że chciała zerwać różę w ogrodzie i kolec ją zadrapał. Mamy tu odmianę róży, która kwitnie prawie bez przerwy, więc ta historyjka nie jest aż tak absurdalna, jak mogłoby się wydawać. Ba, powiedziałbym, że jest oryginalna i świadczy o tym, że dziewczyna ma wyobraźnię.

Tym niemniej nie jest prawdziwa. Chandi pobiła się z jedną ze swoich siostr-żon. Wiem nawet z którą. Poprosiłem, żeby przysłała do mnie Pehlę. Pehla posłusznie przyszła, blada i milcząca. Chandi uważa ją za moją dawną faworytę, więc nietrudno było mi się domyślić, co między nimi zaszło.

Wróciłem (omal nie napisałem „do domu”). Dwa dni w deszczu i błocie. Rana w boku rwie okrutnie, prawą kostkę mam obolałą, ale przynajmniej jest mi sucho i wygodnie. Jest wieczór, na dużym zegarze dochodzi ósma.

Spotkałem się z naszymi ludźmi. Miałem nadzieję, że są w lepszym stanie. Jedną trzecią odesłałem do domu. Hari Mau gwałtownie protestował, aż zacząłem się bać, że będę musiał kazać go aresztować. Mówi, że jeśli wróg zaatakuje, będzie po nas. Powiedziałem mu prawdę: nieprzyjaciel nie ruszy do natarcia, dopóki nie ustaną deszcze. Przy takiej pogodzie dwóch chłopców z psem może odeprzeć atak setki zbrojnych.

Ci, których odesłałem, mają wrócić za tydzień (przypuszczam, że co najmniej połowę trzeba będzie przywlec siłą). Wtedy następni dostaną wolne. Powiedziałem to wszystkim, z którymi udało mi się porozmawiać.

Przed wyjazdem rozmawiałem jeszcze raz z ogrodnikiem. Chciałem mu dać pieniądze, żeby kupił kozę, ale powiedział, że krowa będzie lepsza, i obiecał się tym zająć. Ci ludzie nigdy nie przestaną mnie zadziwiać.

Na kolację miałem kurczaka, pokrojonego w kostkę i wymieszanego, jak zwykle, z owocami z dodatkiem pieprzu. Jadam tę potrawę co najmniej dwa razy w tygodniu, więc dawno powinna mi przestać się z czymkolwiek kojarzyć, ale na jej widok pomyślałem o puddingu mięsnym kupionym na targu w Wichote. Zresztą i tak powinienem wrócić do tamtej historii, zamiast rozpisywać się o bieżących błahostkach. Wyobraź sobie, jak wyglądałyby te zapiski, gdybym o wszystkim pisał w taki sam sposób, jak o swoich codziennych obowiązkach. „Dzisiaj drzazga weszła mi w palec wskazujący u lewej ręki.

Oskrobywałem trzecią skrzynię przy bakburcie. Alga pocałowała mnie w obolały palec".

Nie, to nie może tak wyglądać, bo bylibyśmy jeszcze ze sto strom od spotkania z Algą, płastugą i pływającymi wyspami. Pewnie właśnie odwiedzałbym Pleśń i maytere.

A więc w dzień targowy kupiliśmy — ja kupilem — pudding. Nigdy przedtem czegoś podobnego nie jadłem, ale handlarka zapewniała nas (co chyba oczywiste), że jest świetny, więc zaryzykowałem i dałem jej srebrny kolczyk w zamian za jedną porcję: suszone mięso utłuczone na proszek, wymieszane z tłuszczem i kilkoma gatunkami suszonych jagód (dwie odmiany czarne, jedna czerwona, przyjemnie kwaskowa, i jedna zielona, bardzo aromatyczna). Smakowało to nieźle, ale po jednym plasterku przez dwa dni czułem się najedzony po czubki uszu. Poza tym pudding za bardzo przypominał podstawę naszej niedawnej diety, czyli uwędzone przez Algę mięso łamibyka.

Tamtej nocy — nigdy jej nie zapomnę — Krait mnie obudził. Właściwie należałoby powiedzieć, że próbując do mnie podejść, zaniepokoił Babbiego, a kiedy hus zaczął się wiercić, ja się obudziłem.

— Znalazłem — powiedział Krait. — Znalazłem Pajarocu.

Chciałem coś powiedzieć, ale przytknął palec do ust i ruchem głowy wskazał rufę.

— To daleko stąd — dodał. — Dziesięć dni albo więcej.

Załamałem się. Miałem nadzieję, że czeka nas z Algą jeszcze co najmniej miesiąc wspólnej żeglugi.

— Łądownik jeszcze czeka?

— Tak. — Rozejrzał się po cumujących w pobliżu łodziach. Światło Zieleni zaśniło w jego gadzich ślepiach. Zdziwiłem się, że boi się, że ktoś mógłby go podsłuchać. Alga nigdy go nie

słyszała. — Mają jeszcze całkiem sporo wolnych miejsc. Jedna kobieta twierdzi, że aż połowę, chociaż w mieście aż się roi od ludzi, którzy przybyli na wezwanie.

— Co to za miasto? Prawdziwe, jak Nowy Viron? Czy raczej takie jak to? — Wskazałem ciągnące się wzdłuż brzegu chałupy.

— Bardziej przypomina nasze miasta, ojciec kochany. — Uśmiechnął się. — Nie spodoba ci się.

— Co to ma znaczyć?

— Dlaczego miałbym ci powiedzieć i słuchać, jak zarzucasz mi kłamstwo?

— Jesteś kłamcą, Kraicie. Wiesz o tym lepiej niż ja.

Wzruszył ze złością ramionami.

— Rozmawiałeś z Tym-od-ognia?

— Nie, ale rozmawiałem z każdym, kto jeszcze nie spał i chciał podzielić się ze mną ploteczkami. — Krait obserwował mnie czujnie, ważąc myśli na szalach, których nawet nie umiałbym sobie wyobrazić. — Zabierzemy Algę z nami?

— Zobaczymy, co powie — odparłem wymijająco. — Chyba nie chce z nami lecieć.

— Zrobi to, czego od niej oczekujesz. Ma zgadywać?

— W takim razie nie, nie wezmę jej. Babbiego też nie. Ten kontynent wygląda na całkowicie zalesiony. — Pomyślałem, że Babbie mógłby wrócić na łono natury i żyć w lesie jak dziki hus. Nie wiedziałem, czy na Zaciemnieniu są dzikie husy, ale na pewno byłoby mu tam dobrze. — Czy w okolicy Pajarocu też rośnie las?

— Gęstszy niż tutaj. Im dalej w górę rzeki, tym wyższe drzewa. Wyższe, starsze i nie takie senne.

— W takim razie wypuszczę go. Uwolnię. Chyba też ma prawo do szczęścia?

— Powinienem ci powiedzieć, że i tak nie moglibyśmy go wziąć ze sobą. Nie wolno zabierać zwierząt. Ale może mógłbyś go komuś sprzedać?

Pokręciłem głową. Babbie był moim przyjacielem.

— Z Algą będzie kłopot. Pewnie nie zdajesz sobie z tego sprawy, Rogu, ale tak będzie.

Chciałem mu powiedzieć, że dopóki się nie zjawił, Alga nikomu nie przeszkadzała i zawsze mi pomagała, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. Wolałem go nie prowokować.

— Pomocnica i pocieszycielka. — Wyszczrzył zęby. — Zdziwiony? Nie czytam ci w myślach, ale widzę twoją twarz.

— I widzisz w niej prawdę. Jak trafimy do Pajarocu?

— Jak widziałeś, znam się trochę na ludziach. Ty zaś, jako człowiek, nie tylko się na nich znasz, ale ich rozumiesz. Tak w każdym razie przypuszczam.

— Czasami — zgodziłem się.

— Czasami... To mi się podoba. Mówiłem ci kiedyś, jak bardzo cię lubię, Rogu?

— Często — przytaknąłem. — Zwykle ci nie wierzyłem.

— Naprawdę cię lubię. Podoba mi się w tobie to, że nigdy nie wiem, kiedy mówisz prawdę. Większość z was kłamie jak najęta. Na przykład Alga. Niektórzy z kolei, nieliczni, zawsze mówią prawdę; wygląda na to, że ten Jedwab, o którym tyle opowiadasz, należy do takich ludzi. Oba te typy ludzi mnie nudzą, a ty nie. Za każdym razem muszę zgadywać.

Zapytałem, czy on często kłamie, chociaż znałem odpowiedź.

— Tak samo jak ty. I przez to tym bardziej cię lubię. A tak poważnie, musisz przemyśleć sprawę swojej kobiety. Wczuj się w sytuację, nie zdawaj się na mnie. Ona jest człowiekiem, tak

jak ty. Nie zadowolaj się łatwą odpowiedzią, byle tylko o tym zapomnieć.

— Zbyt często to robię.

— Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Usiadłem na nadburciu.

— Co właściwie chciałbyś ode mnie usłyszeć? Ze potrzebuję twojej rady?

— Wątpię, żebyś jej potrzebował. Wydaje mi się tylko, że nie przemyślałeś sobie, co ją czeka, jeśli zostanie sama w Pajarocu.

— Babbie będzie jej bronił.

— To tyle, jeśli chodzi o wolność w lesie. Pytałeś, jak tam trafić. Płyn w górę rzeki, w prawo na pierwszym rozwidleniu, w lewo na drugim. Wiem, że na twojej mapie wygląda to inaczej, ale wróciłem tu z biegiem rzeki. To ładny szmat drogi.

— Myślisz, że wpuszczą na pokład aż trzy osoby z Vironu?

Krait pokiwał głową.

— Mówiłem ci przecież, że połowa miejsc jest wolna. A będą chcieli lecieć zanim nastanie zima, bo kiedy spadnie śnieg, nikt się już do nich nie ruszy. Poza tym ci, którzy już tam są, zaczynają się niecierpliwić. Jeżeli przesadzą z czekaniem, stracą więcej, niż zyskają.

Wieczorna Pieśń przyszła do mnie. Tym razem widziałem, jak wślizguje się przez okno. Kiedy znów nastanie pokój (o ile w ogóle nastanie), wyślę do ogrodu dodatkowego strażnika. Albo każę okratować okna. Kraty byłyby chyba praktyczniejsze, ale pamiętam, jak nienawidziłem krat w oknach mojej plebanii.

Powiedziałem, że wyruszymy dopiero za kilka godzin i że chciałbym się przedtem zdrzemnąć. Odparła, że też chciała iść spać, ale siostry-żony nie dały jej zasnąć. Zapytała jeszcze, kto

nas obudzi, ale zapewniłem ją, że sam się zbudzę o właściwej porze.

No i się zbudziłem. Niedługo wyruszamy. Obudzę Wieczorną Pieśń i dam jej specjalnie spreparowany list — czystą kartkę, złożoną i zapieczętowaną. Wyjdzie oknem, pokaże liścik wartownikowi przy drzwiach mojej sypialni i zażąda, żeby wpuścił ją do środka. On odmówi. Wtedy ja otworzę drzwi, udając, że obudziła mnie ich rozmowa, zerknę na list, ubiorę się i razem wyjdziemy. Z ogrodnikiem spotkamy się na dole przy bramie.

Wystarczyło, żebym napisał te słowa, a od razu przypomniał mi się ogród przy moim manteionie, w domu. Jako szproty nazywaliśmy go ogrodem patere Płetwy, a potem patere Jedwabia. Od razu dodam, że teraz żadne z nas szproty, jesteście starzy, ogród zapuszczony (ale i tak chwilę w nim posiedziałem), a samo miejsce, w którym dawno temu jakiś bezimienny augur założył ogródek, odległe od nas o setki tysięcy mil.

— Czy naprawdę wydaje ci się możliwe, żeby mężczyzna w twoim wieku znalazł sobie drugą taką młodą kobietę? — spytał mnie Krait. Oczywiście teraz już wiem, że chciał, abyśmy zabrali Algę na pokład lądownika. — Albo taką piękną?

Odparłem z galanterią, że nie ma piękniejszej kobiety niż Alga.

Bo nie ma.

Wieczorna Pieśń jest młodziutka; nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że jest o rok lub dwa młodsza od Algi. Pokrzywa nigdy nie była piękna ani nawet ładna, ale jej uśmiech od razu roztopiał moje serce. I roztopiłby je ponownie, gdybym go dziś zobaczył.

Muszę zdobyć igłowiec. Nie mogę jednak zabrać go komuś, kto mógłby go użyć przeciwko naszym wrogom.

Nie możemy się poddać. Ja nie mogę. Nie mogłem zostawić ślepego Świni na pastwę losu, przez co ci ludzie zdołali mnie tu sprowadzić, a ja straciłem wszelkie szanse na zwycięstwo. Można by powiedzieć, że nic im nie jestem winien, i byłaby to w pewnym sensie prawda. Ale co innego powiedzieć, że nic im nie zawdzięczam, a co innego twierdzić, że zasługują na to, by ich obrabowano, zgwałcono i zniewolono.

Przez cały czas starałem się być dla nich jak Jedwab. Myślałem o nim dniem i nocą. Jakby się zachował? Co by powiedział w takiej czy innej sytuacji? Czym by się kierował, podejmując decyzję? Na wszystkie takie pytania jest tylko jedna odpowiedź: zrobiliby to, co uznałyby za dobre i słuszne, a gdyby opadły go wątpliwości, nie dbałby o własne dobro. Ja też muszę tak postąpić.

I postąpię. Spróbuję być tym, kim on próbował. Jemu się przecież udało.

Przechadzam się nerwowo po pokoju, pałacowej sypialni, którą zbudowali mi moi ciemiężyciele. Chodzę w kapciach, żeby Wieczorna Pieśń się nie obudziła, a strażnik przy drzwiach nie usłyszał, że nie śpię. Przybyłem tu jako więzień, aczkolwiek więzień bardzo poważany. Hari Mau i jego przyjaciele traktowali mnie uprzejmie i z szacunkiem, ale nie zmieniało to faktu, że mnie uwięzili. Obie strony dobrze o tym wiedziały.

Chcę być wobec siebie szczery, dziś i w przyszłości. Nade wszystko wobec siebie. Mój status się zmienił, i to jeszcze przed wybuchem wojny. Jestem ich władcą, ich calde. Mógłbym wyjechać w każdej chwili: spakować do juków kilka

drobiazgów, osiodłać konia i odjechać w siną dal. Nikt nie kiwnąłby palcem, żeby mnie zatrzymać. Nikt by się nie odważył.

Napisałem „mógłbym”, ale nie mogę. Więzień ma prawo uciec, jeśli tylko nadarzy się okazja. Ja nie jestem więźniem, więc nie mogę tego zrobić. Napisałem, że nie jestem im nic winien — i niech tak zostanie. Powiem więcej: nie jestem nic winien Gaonowi i jego obywatelom, ponieważ zabrali mnie z „Whorla” wbrew mojej woli. Ale co z poszczególnymi mieszkańcami miasta? Czy Hari Mau i jego żołnierzom też nic nie zawdzięczam? Ludziom, z którymi przelewałem krew?

A Baharowi? Podaję tylko jeden przykład, chociaż mógłbym podać setki. Był jednym z tych, którzy zmusili mnie, abym tu przybył. Z mojego rozkazu kupił łódź, wsiadł na nią i porzucił rodzinne miasto, boleśnie przypominając mi w tym człowieka o imieniu Róg, którego kiedyś znałem. Nie miałem cienia wątpliwości, że wypełnia wyznaczone mu zadanie najlepiej jak potrafi. Na razie przysłał trzy łodzie smacznego, prostego jedzenia; nie zdziwiłbym się, gdyby jutro do portu weszły trzy następne. Wydałem mu rozkaz, a on odpłynął bez słowa skargi, zostawiając warsztat czeladnikom. Czy jemu też nic nie jestem winien?

Powiedzmy, że nie. To nieprawda, ale zgódźmy się, że nie jestem.

Co z moimi żonami? Pehla i Alubuchara spodziewają się dzieci. Spałem z nimi wszystkimi, szepcząc czule słówka, które dla wielu mężczyzn są bez znaczenia. Czy i mnie, ich męża, należy zaliczyć do tych mężczyzn?

Twierdzę, że nie.

Wierzyłem w prawdy, które starałem się wpoić moim synom. Zgoda, jestem złym człowiekiem. Ściągnę zawsze tak uważał i miał rację. Nie jestem Jedwabiem, ale czy naprawdę jestem aż taki zły? Zostawiłem Pokrzywę, ale nie groził jej przecież gwałt ani śmierć.

Na koniec zostawiłem Wieczorną Pieśń i mieszkańców Hanu. Przypuśćmy, że Wieczorna Pieśń jest tylko jedną z moich żon, że znaczy dla mnie nie więcej od Chandi. Ale czy mniej? Ma matkę i ojca, braci i siostry, dwóch wujów i trzy ciotki. Kocha ich wszystkich. Są zdani na łaskę i niełaskę tyrana. Jeśli Gaon przegra lub się podda, ich sytuacja się nie zmieni.

A jeżeli wygramy, łatwiej będzie kupić igłowiec czy co tylko dusza zapagnie.

Widzę, że pisałem o mieście nad rzeką. Wydaje mi się, że to było bardzo dawno.

Co zrobiłem z okiem maytere? Wiem, schowałem do górnej szuflady. Może powinienem przełożyć je do juków? Ależ maytere się ucieszy!

Jeszcze toga. Muszę wziąć togę i ziarno. Gdzie ja ją wsadziłem?

Znalazłem togę w głębi szafy. Włożyłem oko Oliwinu do kieszeni.

Na Zieleni poznałem sekret, którego inhumi nie chcą ujawnić. Obiecałem, że nikomu go nie zdradzę, ale kto poza mną przeczyta te słowa? Przysięgałem dochować tajemnicy, ale nikt mi nie broni wspomnieć o samej przysiędze. Mogę im zagrozić albo ocalić. Zrobię jedno i drugie.

Musimy wygrać tę wojnę.

Potem wróćę do domu.

Bracia

Napisałem „Potem wrócę do domu” i wyrzuciłem ostatnie pióro Oreba. Piszę teraz szarym gęsim piórem, jak inni ludzie. Tyle jeszcze mam do napisania, zanim nadejdzie ten wielki dzień — dzień, w którym będę mógł stąd odejść — że nie wiem, od czego zacząć.

Ten chłopczyk, wnuk ogrodnika, nazwał mnie Decydentem. Jedna z decyzji, które muszę podjąć (jedna z najłatwiejszych i najmniej istotnych, dodam), dotyczy tego, o czym powinienem napisać, zanim odejdę. Ponieważ zamierzam zabrać ten dziennik ze sobą, można by powiedzieć, że moja decyzja jest bez znaczenia, ja jednak chciałbym mieć poczucie, że zamknąłem pewne sprawy, że coś się skończyło. Na pewno nie uda mi się spisać wszystkiego, ale mam nadzieję dociągnąć historię do momentu, kiedy lądownik odleciał z Błękitu. Na jego pokładzie spędziłem wiele dni, o których wolałbym zapomnieć, lepiej więc będzie skończyć, zanim do nich dojdę. Potem już więcej nie napiszę.

Zanim jednak zacznę, powinienem wyjaśnić, co zrobiliśmy we troje zeszłej nocy. To mi przynajmniej nie zajmie dużo czasu. Wszystko poszło zgodnie z planem — Wieczorna Pieśń przyniosła list i tak dalej. Ogrodnik czekał w umówionym miejscu z wychudzoną, potulną krowiną na postronku. Ruszyliśmy przez kałuże, w ulewnym deszczu. Podważenie

kamienia okazało się o wiele trudniejsze, niż się spodziewałem, kiedy patrzyłem, jak czterech robotników radzi sobie z nim bez wysiłku. Chyba z ogrodnikiem nie dalibyśmy sobie rady, gdyby Wieczorna Pieśń nam nie pomogła, a i tak ledwie nam się udało. Ogródnik wziął łopatę. Żyje z kopania, więc musi znać się na rzeczy.

Spodziewałem się chyba znaleźć po prostu trupa, coś w rodzaju zasuszonej medugwiazdy albo kogoś podobnego do Kraita. Tymczasem inhuma, którą znaleźliśmy, wyglądała jak zmumifikowane zwłoki dziecka. Być może próbowała udawać przede mną człowieka (to normalna praktyka inhumich), nawet kiedy wyciągałem ją z grobu. Jeśli tak, to wyszło jej to makabrycznie.

Próbowaliśmy z Wieczorną Pieśnią się z nią porozumieć. (Pieśń miała początkowo stać na straży, ale tak lało, że nie widziałem stojącej tuż obok krowy. Pieśń też by nikogo nie zobaczyła, chyba żeby na nią wpadł). Daremnie. Inhuma była tak osłabiona, że nie mogła wydać z siebie głosu. Położyłem ją na grzbiecie krowy i przytknąłem jej usta do szyi zwierzęcia. Od tamtej pory z dziesięć razy myłem ręce.

Piła przez całą wieczność — takie przynajmniej wrażenie miała nasza trójka, przemoczona i parująca wodą. Trochę urosła i chyba nabrała kolorów, chociaż w blasku skwierczącej latarni Mehmana trudno było mieć pewność. Ale na tym koniec.

A potem...

Wątpię, żeby udało mi się to sensownie opisać... Żałuję, że nie widziałas tego razem z nami. Dwie rzeczy wydarzyły się równocześnie, aleja nie mogę o nich równocześnie pisać. Coś musi być pierwsze, coś drugie. Przeczytasz to kiedyś, Pokrzywo? A jeśli tak, to co o mnie pomyślisz?

Deszcz nagle przestał padać, jak to się często zdarza w tych stronach. W jednej chwili lało jak z cebra, w następnej jedyne krople deszczówki w okolicy skąpy wały z dachów sklepów przy rynku. W tym samym momencie inhuma ześliznęła się z grzbietu krowy, a kiedy jej stopy dotknęły ziemi, zniknęła. W jej miejsce pojawiła się kobieta trochę wyższa od Wieczornej Pieśni, wymizerowana, o płonących oczach i łysej głowie, chociaż miało się wrażenie, że jej czaszkę porastają jednak rudawe, mokre od deszczu włosy. Założyłem jej na szyję łańcuch i zatrzasnąłem kłódkę. Poczułem pod palcami coś zupełnie innego, niż widziały moje oczy.

— Dziwisz się pewnie, dlaczego cię uwolniliśmy — powiedziałem.

— Nie. — Spojrzała w głąb grobu. — Nie zasypiecie go? Jeszcze ktoś zobaczy...

Zasypaliśmy dół ziemią. Pod koniec tej pracy omal nie wyskoczyliśmy z Wieczorną Pieśnią ze skóry, kiedy Mehman upuścił łopatę. Zamierzałem od razu porozmawiać z inhumą, ale zakładałem wtedy, że deszcz będzie cały czas padał. Teraz, kiedy ustał, byłoby to szaleństwem. Po krótkiej dyskusji postanowiliśmy pójść do ukrytego w ogrodzie domku Mehmana.

Krowa bynajmniej nie ułatwiała nam zadania. Była tak osłabiona, że ledwie trzymała się na nogach. Mehman chciał ją zostawić, ale to nie wchodziło w grę; wolałem nie zostawiać żadnych śladów, które zwróciłyby uwagę na rozkopany niedawno grób. Inhuma zaproponowała, że odda jej trochę krwi, którą wyssała, ale o ile jej wygląd mógł mnie zwieść, o tyle oczy mówiły prawdę. Wiedziałem, co jej chodzi po głowie, i odmówiłem.

Skończyło się na tym, że zaprowadziliśmy krowę do mojego ogrodu, zamknęliśmy bramę i daliśmy się jej położyć. Rano Mehman miał ją zabrać do stajni i powiedzieć stajennemu, że postanowiłem przygarnąć ją i otoczyć opieką. Pobożni ludzie czasem tak tu właśnie robią.

Mehman i Wieczorna Pieśń czekali na zewnątrz, kiedy tłumaczyłem inhumie, czego dowiedziałem się od Kraita na Zieleni. Potem zastukałem w szybę na znak, że skończyłem, i oboje weszli do środka.

— Czy zrobisz, co ci każę, jeśli cię wypuszczę? — spytałem. — Czy wolisz, żebym spełnił swoją groźbę?

Nie odpowiedziała. Słuchała mnie z twarzą ukrytą w dłoniach — nagi, bezwłosy, gadzi stwór w kobiecej postaci, chwilowo odarty z wszelkiej dumy. Mehman i Wieczorna Pieśń usiedli na krzesłach pół kroku za moimi plecami i obserwowali ją w milczeniu.

— Ostrzegam cię, że jeżeli się nie zgodzisz, całe miasto usłyszy o tym, co wiem. I ludzie mi uwierzą, bo to ja tu rządę.

Twarz, która wyłoniła się spomiędzy dłoni, była znów kobieca — piękna i zepsuta do szpiku kości.

— Czego chcesz?

Miała zielone oczy, przynajmniej tak mi się wydawało.

— Jesteś szybka — stwierdziłem. Wyjąłem miecz i położyłem go sobie na kolanach.

— Byłam. — Wzruszyła kościstymi ramionami, szczuplejszymi niż ramiona Algi. Miała barki jak szkielet.

Mehman wstał, przypominając sobie o obowiązkach gospodarza.

— Czy uczynisz mi zaszczyt i napijesz się herbaty, rajanie?

Wiedząc, że sprawię mu tym przyjemność, zgodziłem się i poprosiłem, żeby przyniósł też miskę ciepłej wody, ręcznik i mydło.

— Herbata dla rani?

Skłonił się przed Wieczorną Pieśnią. Na początku mojego pobytu w Gaonie nie zdawałem sobie sprawy, że moim żonom będzie przysługiwał taki sam tytuł jak władczyniom Trivigaunte. Wieczorna Pieśń z uśmiechem skinęła głową. Mehman znowu się uklonił i zajął swoimi sprawami.

— Zapytałbym cię, jak długo byłaś uwięziona pod kamieniem, ale wątpię, żebyś to wiedziała.

Pokręciła głową.

— Chyba całe lata.

— Mnie też się tak wydaje. Umiesz dotrzymać słowa?

— Danego z własnej woli? Tak.

— W takim razie daj mi słowo, że zrobisz dokładnie to, co ci rozkażę.

Tym razem potrząsnęła głową tak energicznie, że aż zagrzeczotał łańcuch.

— Moje słowo nie będzie nic warte, dopóki jestem skuta. Zdejmij łańcuch.

Wyjąłem klucz, ale Wieczorna Pieśń złapała mnie za rękę.

— Zdziwiłeś się, że nie pytam dlaczego... dlaczego... — odezwała się inhuma. Może znów próbowała mnie nabrać, ale nie sądzę. — Nie byłam wolna. Skułeś mnie tym żelazem. Zdejmij je.

Dałem Wieczornej Pieśni znak, żeby siedziała na miejscu, i otworzyłem kłódkę.

— Będę ci we wszystkim posłuszna, rajanie — oświadczyła inhuma.

Potarła szyję, jakby łańcuch ją obtarł, ja zaś zwróciłem uwagę, że jej skórę pokrywa drobniutka łuska. Spojrzałem za okno. Szarzało.

— Dajesz słowo?

— Tak.

Nawet wiedząc, że jej puste szmaragdowe oczy i zapadnięte policzki są w połowie złudzeniem, nie mogłem się nad nią nie litować.

— Masz moje słowo i nie złamię go, chyba że każesz mi wrócić do miejsca, w którym pogrzebano mnie za życia.

— Nie każę. Kiedy wykonasz zadanie, które ci wyznaczę, będziesz wolna.

Wieczorna Pieśń mruknęła z dezaprobatą.

— Mnie też to się nie podoba — powiedziałem — ale co mogę innego zrobić? Zabić ją? Po tym, jak walczyła po naszej stronie?

Inhuma skłoniła się przede mną na siedząco. Nie wiem, czy się ze mnie naigrawała, czy nie.

Ponieważ uznałem, że lepiej będzie poczekać na powrót Mehmana, zmieniłem temat: — Pomyślałem sobie, że wy, inhumi, przypominacie jaszczurkę, którą widziałem w ogrodzie. Umie zmieniać kolor, a ze względu na wielkość, kształt i umiejętność pozostawania w bezruchu można ją wziąć za kawałek kory, listek, a nawet płatek róży. Przyznaję, że jesteście o wiele wyższą formą życia, ale zasada mimikry jest chyba podobna, prawda?

Spodziewałem się usłyszeć, że to my troje jesteśmy wyrosniętymi małpami bez ogonów (Krait na pewno by tak powiedział), co nie byłoby takie dalekie od prawdy, ale inhuma skinęła głową.

— Nie mylisz się, rajanie.

— Pehla pokazała mi kiedyś taką jaszczurkę — wtrąciła Wieczorna Pieśń. — Łapała owady językiem.

— My też to robimy, rani. Nie zapytaliście mnie o imię. Nie powiedzieliście też, jak mam się do was zwracać.

Wieczorna Pieśń przedstawiła się, ja zaś wyjaśniłem, że nie pytałem, ponieważ wiem, że jakiegokolwiek imię nam poda, będzie ono zmyślane.

— W takim razie w tym mieście będę się nazywać Nieprawda — stwierdziła inhuma. — Zgoda?

Mehman wszedł do pokoju, niosąc wodę, mydło i ręcznik.

— Nie mam tacy na herbatę, rajanie. Wstyd mi z tego powodu.

— To mnie powinno być wstyd, że za mało ci płacę. To się zmieni. A tacę dostaniesz w prezencie. Inhuma chciałaby, żebyśmy zwracali się do niej imieniem, które znaczyłoby „nieprawda” albo „fałsz”. Coś w tym guście. Jak to będzie po waszemu?

— Jahlee.

— Dziękuję ci bardzo. Jahlee, to jest Mehman. Mehmanie, za twoją radą będziemy nazywać tę kobietę Jahlee.

Mehman uklonił się inhumie.

— Jahlee, zakazuję ci krzywdzić Mehmana i jego ziomków.

— Jestem twoją niewolnicą.

— Przyjrzyj mu się dobrze. W przeciwieństwie do Wieczornej Pieśni i do mnie jest typowym przedstawicielem rasy zamieszkującej to miasto: wysoki, śniady, o rysach trochę podobnych do moich.

— Widziałam już innych ludzi, rajanie.

— Świetnie. To moi podwładni. W żadnym wypadku nie wolno ci zrobić im krzywdy. Wiesz, co zrobię, jeśli złamiesz ten

zakaz.

— Wiem, rajanie, ale jakoś muszę żyć.

— Oboje to rozumiemy i zaraz o tym porozmawiamy.

— A jeśli inna inhuma się tu pojawi i kogoś zaatakuje? — wtrąciła Wieczorna Pieśń. — Moglibyśmy dojść do wniosku, że to Jahlee.

— Istotnie, moglibyśmy. I dlatego Jahlee, jeśli ma trochę oleju w głowie, ostrzeże innych inhumich, żeby się do nas nie zbliżali. Posłuchaj, Jahlee: Wieczorna Pieśń pochodzi z innego miasta, z Hanu. Toczymy z nim wojnę. Pieśń jest młodą, ładną mieszkanką Hanu.

Wyglądniałe, puste spojrzenie spoczęło na dziewczynie.

— Rozumiem, rajanie.

— Nie wolno ci atakować mieszczan z Hanu ani innych miast, możesz natomiast żywić się krwią żołnierzy, którzy walczą przeciwko nam. Nie będę ci robił przeszkód.

Jahlee chciała zaprotestować, ale zamknęła usta.

— Będiesz miała aż nadto ofiar. Jeśli chcesz, możesz także zaatakować ich zwierzęta.

Pokręciła głową.

— Twoja hojność, rajanie, naprawdę nie zna granic.

— Sarkazm nie przysporzy ci tu przyjaciół.

— A jest coś, co pomoże mi ich zyskać, rajanie?

— Być może. Czy zaatakujesz hańskich żołnierzy, tak jak ci proponuję?

— Jestem twoją niewolnicą. Wolałabym jednak mieć się w co ubrać. — Powiodła dłońmi po ciele, które wydawało się całkowicie ludzkie. — Przydałaby mi się też peruka albo turban, puder, róż i perfumy.

Zerknąłem na Wieczorną Pieśń, która natychmiast zerwała się z krzesła i wybiegła.

— I paru strażników, rajanie, jeśli to nie jest zbyt zuchwała prośba.

— Pieśń o to zadba. Jest bystra.

Mehman przyniósł parujący imbryk i dwie filiżanki. Uspokoilem go, że Wieczorna Pieśń zaraz wróci.

— To jeszcze nie wszystko — zwróciłem się do Jahlee. Łyknąłem herbaty i z aprobatą pokiwałem głową.

— Masz dla mnie inne zadania, rajanie? — zapytała prawdziwie kobiecym głosem. — Dalsze obowiązki?

— Można tak powiedzieć. Czy wiesz o tym, że na rynku pod kamieniami pogrzebano więcej inhumich?

— Nie wiedziałam. — W pustych oczach błysnął ogień. — Torturujecie nas. Jesteście bardziej okrutni niż my.

— Więc jest ich więcej. Wiem, gdzie ich szukać. Han jest naszym wrogiem, ale walczymy tylko z żołnierzami. Chyba to rozumiesz.

Mehman przyniósł jeszcze dwie filiżanki aromatycznego naparu — jedną dla siebie, drugą dla Jahlee. Skinąłem na niego, żeby usiadł.

— Czy chcesz ich odkopać, żeby walczyli po naszej stronie, miłościwy rajanie?

— Być może. Poza żywieniem się krwią żołnierzy chciałbym, abyś robiła wszystko, by ich osłabić i zniechęcić. Wiem, że inhumi potrafią być przebiegli, dlatego też szczegóły zostawiam tobie. Masz wolną rękę, pod warunkiem, że nie będziesz nam szkodzić.

— Rozumiem, rajanie.

— Kiedy dokonasz czynu na tyle wyjątkowego, żeby uznać, iż wieść o nim dotrze do moich uszu, wróć. Mój pałac znajduje się w tym samym ogrodzie, co ten dom. Jeżeli będę przewodził posiedzeniu sądu, przyjdź na nie; jeśli nie, zapytaj o Wieczorną Pieśń, którą nazywają tu Chotą.

— Twoi służący mogą mnie rozpoznać, rajanie.

— Twoja głowa w tym, żeby cię nie rozpoznali. Jeżeli rzeczywiście bardzo się nam przysłużysz, wspólnie z Mehmanem i Wieczorną Pieśnią uwolnimy następnego członka twojej rasy. Na takich samych warunkach jak ciebie. Wyślemy go przeciw hańskiej ordzie tak jak ciebie. Kiedy któreś z was osiągnie kolejny znaczący sukces, uwolnimy trzeciego inhumiego.

— A kiedy wygracie wojnę, zwolnisz mnie z danego słowa? — zapytała z rezerwą.

— Właśnie.

— Czy uwolnisz wtedy resztę pogrzebanych żywcem inhumich?

— Nie, ale powiem wam, gdzie są pochowani. Jeśli zechcecie, będziecie mogli sami ich uwolnić.

Jahlee pokiwała głową z namysłem.

Niedługo potem wróciła Wieczorna Pieśń, z przerzuconą przez ramię czerwoną jedwabną suknią i dwoma ozdobnymi pudełkami w drugiej ręce.

— Tu są buty — powiedziała, podając jedno z nich Jahlee — niebrzydka bransoleta z kości słoniowej i jeden z moich najładniejszych pierścionków, też z kości. W odróżnieniu od

tutejszych kobiet kobiety z Hanu rzadko noszą metalowe błyskotki.

— Perfumy — wyszeptała Jahlee. — Muszę mieć jakieś perfumy. — Wyjęła z pudełka ozdobną buteleczkę.

— To nie są te ładne perfumy, które dostałam od ciebie — uspokoiła mnie Wieczorna Pieśń. — Te przywiozłam z Hanu. — W powietrzu rozszedł się ciężki, korzenny zapach. — Nie trzeba ich aż tyle.

Inhuma się roześmiała — tak szczerze i przy tym tak paskudnie, że zacząłem się zastanawiać, czy nie zrobiłem błędu, podejmując ryzyko spotkania z nią po długich tygodniach wahania.

— Tu jest damski kapelusz podróżny.

Wieczorna Pieśń wyjęła kapelusz z drugiego pudła: był płaski, miał szerokie rondo i bardziej przypominał duży spodek albo miskę do zupy, uplecioną z wybielonej słomy i odwróconą do góry dnem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mehman spojrzał na mnie pytająco, ja zaś spytałem, czy spodziewa się gości.

— To moja córka z synkiem.

— Włóż suknię i wyjdź — rozkazałem Jahlee. — Wiesz, co masz robić.

Niezdarnie wzięła buty i wciągnęła sukienkę przez głowę.

— Wolałabym działać nocą.

— Ludzie jeszcze śpią. — Odwróciłem się do Wieczornej Pieśni.

— Dasz jej to pudełko? Przyda się jej na kosmetyki.

Skinęła głową.

Córka Mehmana zapukała drugi raz. Kazałem mu ją wpuścić i jeszcze raz upomniałem Jahlee: — Kiedy wejdą, masz

natychmiast wyjść.

Tak też zrobiła. Uśmiechnęła się przelotnie do córki i wnuka Mehmana (nie odsłoniła przy tym zębów) i przytrzymując ręką kapelusz, przebiegła przez trawnik. Sukienka powiewała za nią w powietrzu.

Mehman skłonił się dwornie przede mną.

— To moja córka Zeehra, rajanie. I Lal, mój wnuk.

Zeehra spojrzała na nas z ukosa i ukłoniła się do samej ziemi. Miała na sobie prostą, ubogą sukienkę i była przemoczona do suchej nitki.

— Rozmawialiśmy z rani i twoim ojcem o powiększeniu grządek kwiatowych, kiedy złapał nas deszcz — wyjaśniłem.

Mały Lal chciał coś powiedzieć, ale matka nie dała mu dojść do słowa.

— Mieliśmy wracać do pałacu — ciągnąłem — ale jest jeszcze coś, co chciałbym ci powiedzieć. Kiedy wyjdę, twój ojciec z pewnością potwierdzi moje słowa. Kobiecie, z którą minęłaś się w drzwiach, nie można ufać. Nie chcę, żebyś uznała ją za osobę godną zaufania tylko dlatego, że widziałaś ją w towarzystwie moim i mojej żony. Nie jest godna twojego szacunku.

— Jest złodziejką — wtrąciła ku mojemu zaskoczeniu Wieczorna Pieśń. — A nawet gorzej.

— Właśnie. — Wstałem z krzesła. — Dwurękie pająki polują na szczury, ale pozostają pająkami.

— Jesteś Decydentem — wypalił Lal. — Najpierw inni ludzie mówią i mówią, a potem ty decydujesz.

— Owszem, jestem Decydentem, ale nie wszystko mogę zadekretować. Na przykład ty sam musisz zdecydować, czy chcesz być posłuszny matce, i pogodzić się z konsekwencjami

nieposłuszeństwa. Co byś zrobił, Lalu, gdyby ta kobieta w czerwonej sukni przyszła do was do domu?

— Nie wpuściłbym jej.

— Świetnie. Kto wie, może kiedyś zostaniesz ważnym i szanowanym człowiekiem, tak jak twój dziadek.

Minęły cztery dni. Mam nadzieję, że Jahlee wzięła się do pracy, ale nic o tym nie wiem.

Moja rana paskudnie się jątrzy. Wieczorna Pieśń mówi, że to przez deszcz, ale ja podejrzewam, że zaszkodziło mi dźwiganie tego kamienia na rynku. Może to i dobrze, że nie ma wieści od Jahlee.

Od wilgoci rwie mnie w kostce.

Gdybym miał ze szczegółami opisać naszą mozolną podróż w górę rzeki, zużyłbym drugie tyle papieru, co do tej pory. Za dużo. Papier (cienki, ryżowy) jest tu bardzo drogi. Kilkakrotnie myślałem o tym, żeby zaproponować budowę własnej papierni. Katarakty (albo Male Katarakty) dostarczyłyby o wiele więcej energii niż nasz strumyk na Jaszczurce, ale dopóki trwa wojna, nie może być o tym mowy, a kiedy walki ustaną, odejdę.

Gdybym mógł, zużyłbym więcej papieru i muszę uczciwie przyznać, że te zapiski byłyby chyba całkiem interesujące. W dole rzeki, nieopodal Wichote, naszym największym problemem była bezwietrzna pogoda. Rzeka jest tam bardzo szeroka, ale nawet na środku koryta wiatry były mizerne i nie umywały się do tych, które wieją na morzu. Kiedy próbowaliśmy halsować, przy zalesionych brzegach wiatr

zamierał zupełnie. Na szczęście nurt jest powolny, więc gdy siadałem z Babbie do wiosł, pomalutku posuwaliśmy się do przodu. Pisałem wcześniej, że byłem załamany, kiedy Krait doniósł mi, że od Pajarocu dzieli nas tylko dziesięć dni żeglugi. Niepotrzebnie się martwiłem; po długim dniu przy wiosłach cieszyłbym się, gdybyśmy od razu znaleźli się na miejscu. Nie raz i nie dwa zatrzymując się na nocleg, widzieliśmy miejsce, w którym rano podnieśliśmy kotwicę.

Powinienem dodać, że tylko raz zostaliśmy zaatakowani. Ja i Alga spaliśmy, a Kraita nie było na pokładzie, kiedy pół tuzina ludzi podpłynęło wpław do łodzi. Spłoszyła je obecność Babbiego i kilka strzałów ze strzelby; jeden z napastników porzucił długi nóż, który stał się ulubionym narzędziem i bronią Algi. Nic się nikomu nie stało, ale nauczyłem się na rzekach Zaciemnienia rzucać kotwicę z dala od brzegu. Później już zawsze tak robiliśmy. Dodatkowo postanowiłem podpływać kawałek w górę rzeki po tym, jak zjedliśmy kolację i wygasiliśmy ogień w skrzyni z piaskiem, i stawać na kotwicy po ciemku, kiedy nie było nas widać z brzegu.

Po znalezieniu Pajarocu Krait odwiedzał je prawie każdej nocy. Domyślałem się, że przy okazji polował. Poprosił mnie o zgodę na opuszczenie nas, gdyby lądownik miał odlecieć zanim dotrzemy do miasta. Zgodziłem się. W zamian za to zapewniał mnie przy każdej okazji, że będzie naszym wiernym przewodnikiem i dotrzyma obietnicy złożonej na dnie jamy, dopóki nie będzie to zagrażało jego planom dostania się na pokład lądownika.

Cały czas brakowało nam jedzenia. Większość uwędzonego przez Algę mięsa zepsuła się — nie wiem, czy nie było dostatecznie wysuszone, czy po prostu później zawilgło.

Mieliśmy jeszcze trochę żywności z Wichote, przede wszystkim słynny pudding, o którym już pisałem, i worek mąki. Jednakże po tygodniu mąka się skończyła, a pudding (wcześniej twardy i niewzruszony jak kamień) zaczął się kurczyć. Alga łapała ryby dla mnie i Babbiego; łowiła je rękami i z początku nie chciała ich jeść. Przy każdej okazji zbierała w lesie dzikie jagody, z których bardzo się cieszyliśmy. My z Babbim polowaliśmy.

Dla tych nielicznych czytelników, którzy zapuszczają się na zachodnie morze, mam kilka dobrych rad. Głównymi niebezpieczeństwami, jakich możecie się spodziewać, będą głód i ziąb. Są dokuczliwsze niż wrogość mieszkańców Zaciemnienia i tysiąc razy gorsze niż najstraszliwsze leśne potwory.

(Na Zieleni było inaczej. Może jednak kiedyś jeszcze o tym napiszę, chociaż pewnie nie oddam sprawiedliwości tamtejszym zwierzętom: przedstawię je jako mniejsze i powolniejsze, niż naprawdę są).

Głód i chłód bardzo nam doskwierały, a gdy połączyły siły, były wprost nie do zniesienia. Kiedy jest zimno, głodny człowiek nie ma szans się rozgrzać, nawet przy ognisku i pod kocem. A zdrowa osoba na zimnie szybko głodnieje. Odpływając z Jaszczurki, zabrałem ze sobą kilka kompletów ubrań, ciepły wełniany koc i bele papieru, za które chciałem kupić zapasy w Nowym Vironie. Papier od razu mi ukradziono. Wymieniłem igłowiec na nóż Ściągną, a Szpik hojnie obdarował mnie jedzeniem, dał mi też broń, amunicję i srebrną biżuterię, o której także już wspominałem. Dokupiwszy trochę żywności (między innymi ocet, olej, czerwony i czarny pieprz i suszoną bazylię), wiosła, harpun i parę innych drobiazgów, uznałem, że jestem należycie wyekwipowany.

Myliłem się. Kusi mnie, żeby rozpisać się w tym miejscu o rękawiczkach, pończochach i butach. Bywały takie chwile, że oddałbym cały słup za ciepłą czapkę i rękawice z grubej skóry. Nie chcę się jednak nad tym rozwodzić, bo nie do tego zmierzałem.

Nie sposób wyposażyć łodzi we wszystko, co przyda się w tak długim rejsie, w jaki lekkomyślnie wypłynąłem. Nawet gdyby cały ładunek słupa stanowiła żywność, też by nam jej zabrakło. Pozostaje więc załadować jak najwięcej jedzenia (zwłaszcza jarzyn), które nie zepsuje się za szybko. Jak wspomniałem, po drodze łowiliśmy ryby i polowaliśmy, ale dieta złożona wyłącznie z mięsa i ryb jest niezdrowa i beznadziejnie monotonna. Najcenniejszym z darów Szpika nie była strzelba, lecz beczułka jabłek. Zanim dotarliśmy do Pajarocu, wielokrotnie żałowałem, że dostałem tylko jedną, a nie pięć albo sześć. W dodatku każdy dzień spędzony na zbieraniu owoców i polowaniu był dniem straconym dla żeglugi, a nierzadko wracaliśmy z lasu z pustymi rękami.

Dodam jeszcze, że po opróżnieniu beczułki rozbiłem ją i zużyłem klepki na opał. Gdybym był ją zachował i trzymał w niej wędzone mięso, wilgoć tak łatwo by mu nie zaszkodziła.

Na targu w Wichote znaleźliśmy niewiele materiałów, za to pod dostatkiem skór i futer. Kupiliśmy sobie z Algą futrzane czapki, które zasłaniały kark i uszy, tuniki z mięciutko wyprawionej skóry zielonków (ja swoją wkładałem pod sztywny kubrak od Tego-od-owiec), obszerne futrzane szuby, niezgrabne jednopalczaste rękawice z futra i koce, grubsze i cieplejsze od tych, które zabrałem z Jaszczurki. Nasze zakupy dają pewne pojęcie o odpowiednim stroju na taką podróż. Należałoby do nich dodać spodnie z grubego materiału

(najlepiej kilka par), co najmniej dwie pary woderów i zapas wełnianych pończoch na zmianę.

Przydadzą się też igły i nici. Miałem szczęście, bo zabrałem ze sobą komplet grubych igieł do szycia żagli i kłębek grubej lnianej nici, ale lepsze byłyby mniejsze igły i cieńsza nić. Poza tym potrzebowałem nożyczek.

Na brak sprzętu żeglarskiego nie narzekałem. Szczególnie przydatna okazała się kupiona w Nowym Vironie druga kotwica. Zabrałem ze sobą zwój żaglowego płótna, smołę, pokost i farbę, chociaż z czasem pożałowałem, że nie wziąłem ich więcej. W każdym dłuższym rejsie przyda się na pokładzie dodatkowy zwój liny.

Za pierwszym rozwidleniem naszym głównym przeciwnikiem stał się nurt rzeki, na który niewiele mogliśmy poradzić. Nawet wcześniej, kiedy jeszcze był słabiutki, ściągnąłby nas w końcu w dół rzeki, do Wichote, chociaż woda, kiedy się na nią patrzyło, zdawała się stać w miejscu. Ale za rozwidleniem pełziliśmy w zółwym tempie, trzymając się blisko brzegu, co nie pozwalało nam halsować. Mieliśmy do wyboru: czekać na silniejszy wiatr (i to halfwind albo fordewind) albo brnąć do przodu na wiosłach. Czekaliśmy więc, wiosłowaliśmy i znów czekaliśmy, i tak całymi dniami. Zdarzało się, że szedłem trzysta kroków w górę rzeki (na więcej nie wystarczało nam liny), przywiązywałem do drzewa wielokrążek i wspólnymi siłami podciągałmy słup do przodu — my, czyli zwykle ja z Babbem. Nie przypominam sobie, żebyśmy choć przez jeden cały dzień mieli sprzyjający wiatr.

Długie godziny bezczynności zbliżyły nas do siebie z Algą — bardziej niż byliśmy sobie bliscy w tamtych pierwszych

sielankowych dniach, kiedy kikut jej ramienia jeszcze się nie zagoił i mówiła mi, że czuje pod palcami, których już nie miała, dotyk miękkiej lub twardej, gładkiej lub szorstkiej powierzchni.

To złudzenie zniknęło. Jeśli nawet jej delikatne, widmowe palce nadal czegoś dotykały, nie wspominała o tym. Opowiadała natomiast o życiu w morzu, o ludziach, których znała tam i lubiła, i o takich, których się bała (wątpię, żeby wielu z nich istniało naprawdę), o tryskających z dna źródłach słodkiej wody, z których pila, o psikusach, które płatała zaskoczonym żeglarzom, o zwierzątkach, z którymi się przyjaźniła, by potem je porzucić, zgubić albo zjeść.

— Wtedy wydawało mi się to zupełnie normalne — powiedziała, a ja w duchu czułem, że nadal tak myśli. To życie na słupie było dla niej odstępstwem od normy. — Wiedziałam, że większość ludzi żyje na lądzie, i chyba podświadomie zdawałam sobie sprawę z tego, że i ja tak żyłam, tylko że dawno temu. Niewiele o tym myślałam.

Umilkła na chwilę, zapatrzona w grę światła na falach.

— Niedaleko Matki były kryjówki, w których spałam; chowałam się tam, kiedy robiło się ciemno. W nocy morze staje się bardziej niebezpieczne. Czasem nie widać głodnego stwora, który na ciebie poluje, dopóki się na niego nie wpadnie. A te stwory widzą w ciemnościach, wydają takie dziwne dźwięki i widzą. Ja tak nie potrafię. — Zerknęła w stronę lasu, wstrzymując oddech. — Dlatego, kiedy się ściemniało, płynęłam do jednej z tych kryjówek. Woda była w nich zawsze ciepła i spokojna, przesycona zapachem Matki. Zwijałam się w kłębek i zasypiałam. Matka była taka ogromna, że niczego się nie bała. To jej się wszyscy bali. Pewnie pomyślisz sobie, że to okropne, ale ja tak nie uważałam. To było bardzo miłe.

Babbie położył się obok niej. Oparł pysk na jej udzie i wpatrywał się w nią ślepiami jak ogniste koraliki, które wyglądały, jakby chciały się roztopić z czułości, chociaż zwykle wyrażały tylko myśliwski szal.

— Właśnie tak wyglądał dla mnie ląd, kiedy w ogóle o nim myślałam. Jak morze w nocy. Bałam się, że zawsze jest tam ciemno, a ludzie wcale nie są ludźmi, wcale. Matka nie była człowiekiem, prawda? Tak mówiłeś.

— Pokiwałem głową.

— Dla mnie zawsze wyglądała jak człowiek. Nadal ją taką widzę, a to chyba dlatego, że w morzu bycie człowiekiem oznacza co innego niż na lądzie. Pod wodą liczy się to, czy umiesz mówić; jeśli tak, jesteś człowiekiem. Dlatego Matka była człowiekiem i ja też jestem. Pod wodą panuje zgiełk, ale mało kto umie mówić. W takim miasteczku jak to, gdzie czekaliśmy na targ, wszyscy coś mówią, bez przerwy, aż w końcu nikt nie chce nikogo słuchać. Wtedy bycie człowiekiem nabiera innego sensu. Ważne jest na przykład to, że chodzimy na dwóch nogach.

— To kurczaki też są ludźmi? — Uśmiechnąłem się.

— Trzeba mieć jeszcze ręce zamiast skrzydeł. Dwie ręce. Zatem ja jestem prawie człowiekiem, prawda?

Zaczęła rozczesywać długie, złociste włosy, przytrzymując grzebień w zębach.

— Twoje włosy zmieniają kolor — zauważyłem.

— Kiedy są mokre, robią się czarne.

— Wcale nie. Mają wtedy kolor starego złota, jak biżuteria, którą założyłaś dla mnie, nim weszłaś na pokład.

Roześmiała się.

— Ale kiedy nurkuję naprawdę głęboko, są czarne.

— Na odpowiedniej głębokości pewnie tak. Ale widzę, jak w tej chwili mienia się kolorami, i to coraz piękniejszymi. Kiedy widzę nową barwę, zapominam o poprzedniej i chciałbym, żeby ta nowa już została. — Śledziłem ruch grzebienia i jego połyskliwy ślad w jej włosach. — Widzę złoto tak blade, że przechodzące w srebro, jak ten pierścień, który mi dałaś. Widzę czyste, żółte złoto, i czerwonawe, i nawet ten głęboki odcień, który twoje włosy przybierają po zamoczeniu. Przez pierwsze dni myślałem, że zawsze są właśnie takie.

— Wtedy jeszcze dużo czasu spędzałam w wodzie — odparła, zamyślona.

— To fakt. Teraz się tego boisz. Nawet kiedy idziesz łowić dla nas ryby, robisz to niechętnie. Jak to się mówi, rzucasz się na głęboką wodę.

— Ja się nie boję, że utonę, Rogu. To niemożliwe, chociaż czasem tego żałuję.

Nie jestem przesadnie bystry, ale wiedziałem, co ma na myśli.

— Umarłabyś — powiedziałem łagodnym głosem. — Czy to nie gorsze niż powrót do dawnego życia pod wodą?

Krait szarpnął cumę, żeby przyciągnąć słup bliżej brzegu. Wdrapał się na bukszpryt, zeskoczył na ląd i zniknął w gąszczu drzew. Słońce chowało się już za górami, otulając fioletowym cieniem rzekę, która stała się naszym całym whorlem.

— On jest jednym z nich, prawda? — Alga westchnęła i odłożyła grzebień.

— Kim?

— Jedną z tych istot, które polują w nocy. Okropnie się ich bałam, kiedy spałam w Matce.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Wśród skał była jaskinia, w której uwielbiałam się bawić. Chyba ci już o niej mówiłam.

Skinąłem głową.

— Odgrażałam się, że pójdę do niej spać. — Roześmiała się cicho. — Za dnia byłam bardzo odważna. Ale kiedy z głębin wypelzał mrok, wracałam do Matki najszybciej, jak mogłam, i szłam spać w jednym z tych miejsc, w których nocowałam od dzieciństwa. Wiedziałam, jakie potwory czają się w ciemnościach, chociaż nie umiałam ich nazwać. Pomyślałam sobie właśnie, że Kraity jest jednym z nich, chociaż nie wiem, czy ma jakieś inne imię.

— Rozumiem — mruknąłem, chociaż wcale nie byłem tego pewien.

— Przesypia całe dni, śpi więcej niż Babbie, i prawie nic nie je. A w nocy poluje i chyba od razu zjada wszystko, co złapie, bo nic nam nigdy nie przynosi.

— Czasem przynosi — zauważyłem.

— Raz, małego krabulika. — Zbyła ten przykład pogardliwym machnięciem ręki. — Dla mnie wygląda jak człowiek, ale dla ciebie nie.

Zbiła mnie z pantałyku. Zatkalo mnie.

— Ma dwie ręce i dwie nogi, chodzi wyprostowany, a kiedy nie śpi, gada za dwoje. Dlaczego nie uważasz go za człowieka?

Próbowałem jej wytłumaczyć, że przeciwnie, Kraity jest dla mnie takim samym człowiekiem jak my. Staralem się przy tym nie kłamać w żywe oczy, więc skończyło się na tym, że jąkałem się, zacinałem i wycofywałem z tego, co powiedziałem chwilę wcześniej.

— To nieprawda — skwitowała moje słowa Alga.

— Może to dlatego, że jest jeszcze młody, młodszy nawet niż Ścięgno, mój syn, a powiem ci, Algo, że my ze Ścięgnem regularnie skakaliśmy sobie do gardeł. Wolałbym o tym zapomnieć. — Przełknąłem ślinę, przygotowując w myślach wszystkie kłamstwa, których wymagała sytuacja. — On jest nawet podobny do Ścięgna...

— Do mnie? — rozległ się nowy głos, głos Ścięgna. — Kto?

Mało sobie nie skręciłem karku, tak szybko obejrzałem się przez ramię. Ścięgno stał obok naszego słupa, balansując w dłubance, jakiej używali tubylcy.

— Krait — wyjaśniła Alga spokojnie, jakby znali się ze Ścięgnem od zawsze.

Popatrzył na nią bezradnie i przeniósł wzrok na mnie. Najwyraźniej nie był w stanie przemówić do kobiety, której widok zamącił mu w głowie.

Zapytałem, czy nie chciałby wejść na pokład.

— Czy ona... Mogę?

— Naturalnie — zapewniłem go. Złapałem plecioną z rzemieni cumę, którą mi rzucił, i mocno ją przywiązałem.

Gdyby ktoś zapytał mnie godzinę wcześniej, powiedziałbym, że każdy głos i każdą twarz, które przypominałyby mi o domu, powitałbym z radością. Ucieszyłbym się nawet z wizyty Ścięgna. Teraz jednak, widząc go i słysząc, nie byłem zachwycony. Kiedy tak siedzę w naszym cudownym i niezwykłym Gaonie, powtarzam sobie (i raczej nie próbuję się okłamywać), że ucieszyłbym się na jego widok, gdyby zjawił się nagle w moich komnatach, tak jak zjawił się na szeroko rozlanej, zimnej rzece, przerzynającej się przez wzgórze na wschodzie Zaciemnienia. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że gdybym dał się ponieść emocjom — tak jak zrobiłem na rzece — wezwałbym straż,

kazał wyprowadzić Ścięgno do ogrodu i ściąć go w pierwszym lepszym miejscu, byle z dala od moich okien. Gdyby odwiedził mnie na łodzi, kiedy Alga zeszła na ląd w poszukiwaniu pomarańczowych owoców z mnóstwem pestek, które dwukrotnie udało się jej znaleźć na wypalonych w lesie polanach, chyba zwyczajnie bym go zastrzelił i patrzył, jak leniwe wody znoszą jego zwłoki w dół rzeki. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co by się potem wydarzyło na Zieleni.

Przeskoczył przez nadburcie (ja bym tak nie potrafił) i usiadł obok nas, zerkając na Algę z zakłopotaniem i podziwem.

— To jest Ścięgno, mój najstarszy syn — powiedziałem. — Wygląda na to, że płynął tu za mną aż z Jaszczurki i wreszcie mnie dogonił. A właściwie: nas dogonił.

Alga z uśmiechem skinęła głową.

— Ścięgno, przedstawiam ci Algę.

Odpowiedział mi nieśmiałym skinieniem głowy.

— Płynąłeś za mną, prawda? A tak cię prosiłem, błagałem wręcz, żebyś został i zaopiekował się matką.

— Pamiętam.

— Jak się miała, kiedy wyruszyłeś z domu? — zapytała cicho Alga. — I jak się mieli twoi bracia?

— Wypłynąłem wkrótce po tobie — odparł, zwracając się do mnie. Na chwilę zagapił się na skórzaną tunikę, ciasno opiętą na piersiach Algi. — Matka czuła się dobrze, szproty również.

— A opiekowałeś się nimi, zanim wypłynąłeś? — spytała z uśmiechem Alga.

Ścięgno zebrał się na odwagę i zwrócił bezpośrednio do niej: — Nie. To ona się mną opiekowała, jak zwykle. Widzisz, mój ojciec... Hej, co ty wyrabiasz?!

Odpiąłem od pasa pochwę z nożem Ścięgna.

— Chcę ci go oddać. — Wyciągnąłem rękę, a kiedy nie zareagował, rzuciłem mu nóż na kolana.

— Ja nie mogę ci oddać igłowca — odparł ostrożnie, spodziewając się awantury.

— Nie szkodzi.

— Wziąłem go ze sobą. Powinienem był zostawić go matce, ale go zabrałem. Miałem go na starej łodzi i bardzo mi się przydał. Często go używałem, zanim go straciłem. — Ścięgno spojrzał na Algę. — Ojciec chciał, żebym zatroszczył się o rodzinę. Próbowałem, przez parę dni, ale nie miałem nic do roboty. Miałem wozic papier do miasta naszą starą łodzią niewiele większą od mojego skórzanego kajaka, ale okazało się, że przecieka i nie można jej za bardzo wyładować. Kiedy się rozeszło, że ojciec odpłynął i zostawił matkę samą, przyszła do nas matka Stokrotki i obiecała, że ilekroć zechcemy, zawiozą matkę z papierem do miasta w swojej łodzi. Ta wasza łódź jest całkiem nowa. Zbudowaliśmy ją z ojcem na wzór łodzi rybackiej, tylko wstawiliśmy do środka te duże skrzynie na papier, żeby nie mókł. W jednej z nich trzyma chyba linę i inne drobiazgi.

— Wiem — odparła Alga.

— Prawdziwi rybacy chowają skrzynie z przodu, pod fordek, na którym się staje, żeby naciągnąć forsztag albo wciągnąć kliwer.

— My tam sypiamy z twoim ojcem. Ścięgno.

Ton jej głosu musiał go boleśnie ugodzić, ale dla mnie brzmiał jak najśłodsza muzyka. Nawet teraz drzę na jego wspomnienie.

Ścięgno rozdziawił usta i bezmyślnie obracał nóż w rękach. Bałem się, że zaraz mnie nim pchnie.

— Będziesz dzisiaj spał z nami? — zapytała Alga, jakby zwracała się do dziecka.

— Tak, ale chyba na swojej łodzi. Codziennie na niej sypiam. Przycumuję ją do was od tyłu. — Ściągnął spojrzał na mnie. — Dobrze?

Skinąłem głową.

— Byłoby świetnie, gdybyście mieli jakiś zbędny koc czy coś... Miałem koce, ale już nie mam.

Chciałem mu powiedzieć, że sami mamy tylko jeden i zwykle sypiamy w ubraniach, przykryci żaglem, ale Alga mnie uprzedziła, mówiąc, że w Wichote kupiliśmy nowe koce. Wstała, żeby dać mu jeden z nich, ja zaś doradziłem, że płótno żaglowe też mu się przyda, na wypadek gdyby padało.

— Dobrze. — Jeszcze przez chwilę ważył w dłoni świeżo odzyskany nóż. — Jeśli macie coś na handel, moglibyśmy kupić od tubylców jakieś futra.

Zgodziłem się i przyznałem, że należało o tym pomyśleć już w Wichote.

— Skórę by z was zdarli.

Co za ironia, pomyślałem.

— Im dalej na zachód, tym tańsze i porządniejsze futra można kupić, bo ludziom nie chce się ich zwozić łodziami w dół rzeki.

Ściągnął wziął koc, który od tej pory należał już do niego.

— Kiedy sprowadzimy Jedwabia, zbuduję naprawdę duży statek i będę pływał tam i z powrotem na handel. W domu kupię strzelby i inne towary, nad rzeką wymienię je na futra i wrócę po więcej.

Przypomniałem sobie słowa spotkanego w Wichote podróżnika. Zapytałem Ściągnę, czy dotarł na zachód dalej, niż

się w tej chwili znajdowaliśmy.

— Pewnie. Byłem w Pajarocu. Czekałem tam chyba z tydzień, a potem zacząłem wracać i rozglądać się za tobą.

— Musisz być bardzo odważny, żeby tak samotnie pływać w takiej łupinie — stwierdziła z podziwem Alga.

— Dzięki. — Uśmiechnął się, a ja pomyślałem, że da się lubić. — Tutaj taka mała łódka jest najlepsza: podpływa się blisko brzegu i wiosłuje. Ojciec nie chce się pozbyć tej starej, bo musimy mieć czym zawieźć Jedwabia do Nowego Vironu. Trzeba jakoś przepłynąć morze, prawda, ojcze?

Nie zdążyłem zareagować, bo zwrócił się do Algi: — A ta łódź sobie poradzi. Poza tym, kiedy będziemy płynąć w dół rzeki, z Jedwabiem, to już pójdzie szybko. Musimy ją tylko doprowadzić do Pajarocu, bo lądownik tam wróci.

Ściągnął czekał przez chwilę, co powiemy.

— Na pewno — ciągnął, kiedy milczeliśmy. — Przecież nie pozbędą się takiego skarbu. Wy byście się pozbyli? Na drugim brzegu jest jeszcze kilka miast, które mają sprawne lądowniki, tak słyszałem. Tylko że tamci nie dopuszczają do lądowników nikogo obcego. A jak ktoś próbuje, kulka w łeb. Niektórzy nie chcą się nawet przyznać, że mają lądownik.

Odchrząknąłem.

— Tak się zastanawiam... Chciałbym wam coś zaproponować.

Ściągnął podniósł nóż, żeby obejrzeć go przy resztkach dziennego światła.

— Wyszczерbił się — zauważył. Przesunął kciukiem po ostrzu.

— Wiem. Rąbałem nim drewno. Nie miałem wyjścia. — Czekałem, aż zacznie biadolić, ale nic więcej nie powiedział.

— Nie jesteś podobny do ojca — stwierdziła Alga. Od jakiegoś czasu przyglądała mu się uważnie.

— Wszyscy mówią, że jestem.

Pokręciła głową, a Ścięgno się uśmiechnął.

— Chcecie wiedzieć, jaką mam propozycję? — wtrąciłem.

— Pewnie. — Ścięgno schował nóż do pochwy.

— Rzeczywiście, łódź będzie nam po powrocie potrzebna.

Masz również rację, że nie za bardzo nadaje się do pływania po rzece. Alga i ja wiemy to z doświadczenia, Krait zresztą też.

Odczekałem, aż Ścięgno kiwnie głową.

— Nie rozmawialiśmy z Algą za wiele o niebezpieczeństwie związanym z powrotem do „Whorla” na pokładzie lądownika naprawionego przez jakiegoś domorosłego majstra z Pajarocu. Tobie też o tym nie mówiłem; nawet teraz wolałbym o tym zapomnieć. Nie chciałbym wyjść na chwalipiętę, który uszedł z życiem z nie wiedzieć jakich opresji. O moich przejściach też najchętniej bym zapomniał, albo przynajmniej jakoś umniejszył je we wspomnieniach, gdyby to było możliwe.

— Lądownik wygląda całkiem porządnie — uspokoił mnie Ścięgno. — Widziałem go.

— Cieszę się, ale zanim przejdę do rzeczy, muszę cię o coś spytać. Co się stało z twoją poprzednią łodzią, tą, na której wypłynąłeś z domu?

Wzruszył ramionami.

— Wymieniłem ją na tę, którą mam teraz, i kilka drobiazgów.

— Mogę zapytać, co to za drobiazgi?

— Nieważne. I tak ich już nie mam.

— Ale co to było?

— Przecież mówię, że to bez znaczenia!

— Ścięgno jest głodny — wtrąciła Alga. — Zjesz kawałek wędzonego mięsa?

— Chętnie. Dziękuję.

Tym razem wyczekałem moment, w którym miał pełne usta.

— Ja muszę wsiąść na pokład lądownika. Obiecałem, że to zrobię, i zamierzam dotrzymać słowa. Krait też chce lecieć. Powiedział mi dlaczego i uważam, że to ważny powód, choć dałem mu słowo, że nikomu go nie zdradzę. Wy nie macie po co lecieć.

Oboje próbowali protestować, ale ich uciszyłem.

— Powtarzam: to będzie bardzo niebezpieczna podróż. Lądownik może eksplodować, zapalić się albo rozbić przy starcie. Nawet jeśli wzniesie się i przemierzy dzielącą whorle pustkę, może mieć ogromne kłopoty z lądowaniem we „Whorlu”. Krait się o ciebie martwi, Algo. Pewnie nic ci nie mówił, ale ja to wiem.

Pokręciła głową.

— Spodziewał się, że polecisz z nami, jeśli tylko będzie dla ciebie miejsce. Wspomniał mi o tym niedawno, a ja powiedziałem mu to samo, co wam: to zbyt niebezpieczne. Wyjaśniłem mu, że będziesz czekać w Pajarocu na mój powrót.

Tym razem Alga gwałtownie zaprotestowała.

— A ja? — spytał Ścięgno. — Na mnie nie licz.

— Krait też odradzał mi ten pomysł. Zwrócił uwagę, że źle by się stało, gdyby Alga, młoda i piękna kobieta, została sama w obcym mieście. Musiałem mu przyznać rację. — Wziąłem głęboki wdech. Wiedziałem, co się stanie, jeśli ich teraz nie przekonam. — Oto mój nowy plan. Rano, po powrocie Kraita, wrócimy do Wichote. Będziemy płynąć z prądem, więc potrwa to najwyżej dwa, trzy dni.

Ścięgno ostrożnie skinął głową.

— W Wichote kupimy drugą małą łódź, taką jak twoja. Krait i ja zabierzemy obie łódki do Pajarocu, a ty i Alga zaczekacie na nas w Wichote, na słupie.

— Nie.

Nigdy wcześniej nie słyszałem tak zdecydowanego sprzeciwu ze strony Algi, jak w tamtej chwili.

— Będzie was dwoje i będziecie mieli własną łódź. A jeśli za miesiąc nie wrócę...

Wzruszyłem ramionami.

— Jak tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że nie będziesz chciał, żebym z tobą leciał — mruknął ledwie słyszalnym głosem Ścięgno. — Ale nie sądziłem, że zrezygnujesz z niej, żeby się mnie pozbyć.

— Nie próbuję się ciebie pozbyć. Nie dociera do ciebie, że mogę stamtąd nie wrócić? Ze mogę zginąć? Chciałbym tak to ustawić, żebyście wy nie umarli razem ze mną.

Zrobiło się tak ciemno, że prawie nie widziałem ich twarzy, kiedy rozpaczliwie szukałem w nich zrozumienia.

— Ścięgno był w Pajarocu — zauważyła Alga. — Zna drogę.

Ścięgno przytaknął z zapalem.

— Jeśli ty je znalazłeś, nam z Kraitem też się uda.

Nikt mi nie odpowiedział. Kiedy cisza się przedłużała, Ścięgno skorzystał z okazji i wziął sobie drugi kawałek mięsa. Ja zaś wykorzystam ten czas, żeby zdrzemnąć się przed przybyciem Jahlee i Wieczornej Pieśni.

O północy zaczął padać ulewny deszcz. Nie było nas widać. Dziś rano jeszcze nie wychodziłem — nawet nie wstałem, chociaż rana wygląda lepiej. Podano mi śniadanie do łóżka. Hari Mau przyszedł ze mną porozmawiać; chodził w tę i z powrotem po komnacie jak naładowany, gotów w każdej chwili rzucić się wrogom do gardeł. Pół poranka spędził w siodle, w przemoczonym, zakrwawionym bandażu zamiast turbana na głowie. Szykuje wielką ofensywę, gdy tylko ustaną deszcze. „Nieprzyjaciel jest słabszy, niżby się zdawało”, powiedział. Modłę się do Zewnętrznego i wszystkich bogów, którzy mogą przeczytać te słowa, żeby Hari Mau miał rację. Zarzeka się, że gdybym porozmawiał z nowymi jeńcami, przyznałbym mu rację.

Wyszedł już, a ja zasiadam do pisania w nocnej koszuli, chociaż trochę mi wstyd.

Mogliśmy rozpaść ognisko albo zapalić na słupie latarnię, ale nie zrobiliśmy żadnej z tych rzeczy. Otaczający nas mrok, bliskość lasu i złowrogiej, bystrej rzeki tworzyły atmosferę, którą nie sposób przelać na papier. Mieszkańcy Zaciemnienia wierzą, że w każdej rzece mieszka bóg, który nią rządzi i jest jej esencją. W lasach roi się od pomniejszych bogów i bogiń, jak od zwierząt — a w większości są to bogowie złośliwi i nieubłagani. Kiedy tak siedzieliśmy i rozmawialiśmy z Algą po ciemku, miałem wrażenie, że to któryś z nich przysiadł się do nas na łódź. Nawet nie będę próbował opisać, jak postrzegał ją Ścięgno, dla którego była znacznie bardziej obca niż dla mnie.

— Pamiętasz, jak mówiłeś, że to dobrze, że nie mogę utonąć?
— zaczęła.

Powiedziałem, że tak.

— A ja powiedziałam, że żałuję. — Ciszę przerwał dziwny chrobot; dopiero po chwili dotarło do mnie, że to Alga drapie Babbiego za uszami. — Uznałeś, że to głupota z mojej strony, że chciałabym się utopić. Ale ja tego nie chcę. Myślę, że widziałam znacznie więcej topielców niż ty. Widziałam, jak morze się z nimi obchodzi. Patrzyłam, jak Matka ich zjada. Sama ich jadłam.

Zapadła cisza, mącona tylko szmerem rzeki i wiatru. Moje serce zdążyło uderzyć chyba ze sto razy.

— Ja tylko chciałabym móc utonąć, tak jak ty. Mówiłeś, że mogę na ciebie poczekać w tym miasteczku, gdzie rzeka wpada do morza. Myślisz, że Babbie też będzie czekał? Że będzie żył sobie spokojnie w lesie, a potem wróci do ciebie?

— Nie przypuszczam, żeby to zrobił. Chociaż nieraz mnie już zaskakiwał.

— Nie uważasz go za osobę. Dla ciebie on jest jak Krait, a Krait przecież nie jest prawdziwym człowiekiem.

Próbowałem jej tłumaczyć, że nie traktuję Babbiego jak osoby, ponieważ — w odróżnieniu od Kraita i naszej trójki — nie jest człowiekiem. Nie wiem dokładnie, jakich słów użyłem, ale na pewno niewłaściwych. Nie pamiętam, jak kłamałem, ale pamiętam, że Alga była na mnie wściekła.

— Chodziło mi o coś innego! Zupełnie innego! Przekręcasz moje słowa! Zawsze to robisz, codziennie, czasem dwa razy dziennie! Wszystko bym dla ciebie zrobiła, bylebyś wreszcie przestał!

— Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak wyszło. Jeśli nie to miałaś na myśli, to co?

— Czy ona naprawdę... — próbował wtrącić się Ścięgno, ale Alga nie dała mu dojść do słowa.

— Chodziło mi o to, że mamy na łodzi dwoje ludzi, których ty wcale za ludzi nie uważasz: Babbiego i Kraita. Ale mylisz się, mylisz się co do nich obu.

— Mnie też nie uważa za człowieka — mruknął Ścięgno.

— Właśnie że uważa! — W lodowatym blasku gwiazd widziałem, jak Alga odwróciła się do niego. — Nic nie rozumiesz. Od razu widać, że jesteś jego synem. — Ścięgno przetrawiał jej słowa, a ona tymczasem mówiła dalej: — On nie lubi tej drugiej połowy, tego w nas, co przypomina rzecz. Ty się starasz być mniej człowiekiem, a bardziej rzeczą, bo myślisz, że o to mu chodzi, ale w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. — Spojrzała na mnie i zniżyła głos. — Rogu?

— Słucham? O co chodzi?

— Powiedz. Powiedz nam obojgu. Co według ciebie sprawia, że ktoś jest żywą osobą?

Wzruszyłem ramionami, chociaż pewnie tego nie widziała.

— Nie jestem pewien... Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Maytere Marmur jest osobą, chociaż jest też maszyną. Dziecko też jest osobą, choć nie umie mówić.

Czekałem na reakcję Algi, ale nic nie powiedziała.

— Ty niedawno przyznałaś, że dla ciebie tym wyróżnikiem jest mowa. Bogini morza z tobą rozmawiała, była więc osobą bez względu na to, jak wyglądała. Tu się z tobą zgadzam. Ale potem powiedziałaś, że Babbie też jest osobą, a przecież nie umie mówić. Nie wiem, co spodziewasz się ode mnie usłyszeć.

— Babbie to hus? — upewnił się Ścięgno.

— Tak. Dostałem go od Pleśni. Nigdy jej chyba nie widziałeś, ale na pewno słyszałeś, jak ja albo matka o niej opowiadaliśmy.

— Umiała przenosić się z miejsca na miejsce, wyglądać z luster i takie tam...

— Zgadza się.

— To trochę tak jak ja — wtrąciła Alga. — Jest do mnie podobna, Rogu?

— Nie.

— Ona też zna takie sztuczki? — zdziwił się Ścięgno.

Nie wiedziałem, czy mówi do mnie, ale odparłem: — Masz na myśli Algę? Nie jestem w tej kwestii ekspertem, ale skoro mówi, że zna, to zna.

— Nie umiem robić takich rzeczy — zaprzeczyła Alga — ale ta Pleśń i tak mnie przypomina.

— W pewnym sensie... Obie jesteście moimi przyjaciółkami.

— Słyszałem o Pleśni bez przerwy odkąd byłem szprotem — mruknął Ścięgno, znów zniżając głos do szeptu. — Ale nigdy nie sądziłem, że jest prawdziwa. A tu, proszę, najprawdziwsza. Kiedy byłem w mieście (miał na myśli Nowy Viron), ludzie mówili, że popłynąłeś spotkać się z wiedźmą. To była ona, prawda? Spotkałeś się z nią, tak jak spotkałeś się z Tamaryndowcem.

— Tak.

— Babbie umie mówić — stwierdziła stanowczo Alga. — Cały czas do nas mówi, ty po prostu za rzadko go słuchasz.

Babbie wstał, otrząsnął się i położył z powrotem. Oparł mi łeb na kolanach, a szeroki, szorstki grzbiet na nogach.

— Ty naprawdę mówisz, Babbie? — spytałem. Poczulem, że kiwa głową w odpowiedzi.

— Uważasz Kraita za... za potwora, jak jakiegoś inhumiego. Ja też za nim nie przepadam, bo potrafi być niemiły, ale jest żywą osobą.

— Czy Krait to ten chłopiec, który jest taki podobny do mnie? — zapytał Ścięgno.

— Tak. To nasz syn — odparła Alga.

Powinienem był to chyba wyjaśnić, ale darowałem sobie. Wsłuchany w szum i szept wody i wiatru czekałem, aż Ścięgno wpadnie w szal. Zjeżyły mi się włoski na karku. Lewa strona twarzy zdrętwiała mi od spojrzenia jego niewidocznych oczu.

— Ojczy?

— Słucham?

— Chodzi mi o Pleśń. Słucha nas teraz?

— Nie mam pojęcia. Możliwe, że tak, ale wątpię.

— W waszej książce...

Byłem spokojny o to, że nie czytał naszej książki, milczałem więc i czekałem, co powie. Zaczął tłumaczyć Aldze, o czym rozmawiamy.

— W książce patere Jedwab co i rusz się zastanawiał, czy Pleśń jest gdzieś w pobliżu. Kiedy chciał to sprawdzić, wołał ją po imieniu, a ona, jeśli była przy nim, jakoś mu odpowiadała. Poproś go, żeby też tak zrobił.

Głaskałem Babbiego po łbie. Alga znalazła moją dłoń. Jej muśnięcie było niesamowicie ekscytujące.

— Zrobisz to, Rogu? Chcesz to zrobić?

— Nie. Jeśli Ścięgno chce, żeby Pleśń się tu zjawiała, niech sam ją zawoła.

Ścięgno milczał.

— Babbie jest osobą, czy ci się to podoba, czy nie. Ja też.

— Nigdy w to nie wątpiłem.

— Kiedy nas zostawisz, Babbie pójdzie do lasu, żeby znaleźć coś do jedzenia. — Puściła moją dłoń i wyciągnęła rękę przed siebie. — Teraz mówi i podnosi z ziemi różne rzeczy, żeby obejrzeć. Mówisz „stań słupka”, a on staje. Wstaje, kiedy mu każesz, na przykład do wiosłowania.

Pokiwałem głową. Rzeczywiście, przy wiosłach był niezastąpiony.

— Poza tym czasem staje sam z siebie, kiedy myśli, że go nie widzimy, a chce mieć wolne ręce. Kiedy zniknie w lesie, będzie tam prawdziwą osobą, ale niezbyt długo.

— Jeżeli posłuchacie mojej rady i będziecie na mnie czekać w Wichote, może zostać z wami — mruknąłem. — To by załatwiło sprawę.

— Mam tam siedzieć i słuchać śpiewu morza? Nigdy ci nie mówiłam, jak się czułam, kiedy umarłeś.

Słyszałem, że Ściągnu zapało dech w piersi.

— Myślałam, że nie żyje — wyjaśniła Alga. — Byłam pewna, że jest martwy, tak bardzo pewna, że nie odważyłam się podejść do jego ciała. Ale patrzyłam bardzo, bardzo długo, a on nawet nie drgnął. Kiedy się ściemniło, zeszłam na plażę, zdjęłam ubranie, wyrzuciłam je do wody i porozmawiałam z falami. Wypełzły na plażę, wysoko, ochlapały mi stopy, kolana i sięgały coraz wyżej, aż przykryły mnie zupełnie. Nie mogłam utonąć.

Ściągnu się zakrztusił.

— Nie smakuje ci mięso?

— Bardzo mi smakuje — zapewnił ją uprzejmie — ale trzeba je dobrze przeżuć.

— Odgryź mniejszy kęs i przełknij. Tak jest najlepiej.

Żadne z nas już się chyba nie odezwało — a jeśli tak, to całkowicie zapomniałem, o czym mówiliśmy.

Kiedy przed nocą podpłynęliśmy kawałek w górę rzeki i rzuciliśmy kotwicę na środku koryta, Ściągnu zawołał cicho: — Pleśnio? Pleśnio?

Nagle uderzyło mnie, jak bardzo jego głos przypomina głos Kraita (a właściwie jak bardzo upodabnia się do głosu Kraita w niektórych sytuacjach).

Alga musnęła moje kolano i szepnęła: — Ma taki sam głos jak ty.

Pajarocu!

Długo nie zaglądałem do tej niechlujnej sterty papieru, zawierającej mój rękopis, dlatego dziś chciałbym nadrobić zaległości, zanim spakuję ją do torby. Za jakiś tydzień — jeśli nie wcześniej — deszcz powinien ustać. Rozmawiałem w sądzie z rolnikami; wszyscy pamiętają takie lata, w których pora deszczowa kończyła się tydzień przed terminem. Może nawet skończy się dziś w nocy, chociaż kiedy deszcz bębni teraz wściekle w moje okiennice, maleńkie kropelki przebijają się do środka i osiadają jak mgielka na parapecie, skąd woda ścieka na podłogę i moczy mi dywan. Musiałem odsunąć się z biurkiem od okna.

Muszę się streszczać. Zostało mi naprawdę mało czasu.

Kiedy deszcze ustąpią, przejdziemy do natarcia: najpierw najemnicy wykonają manewr oskrzydłający, a potem Hari Maurzuci do ataku główne siły. Jeśli wygra, wygramy wojnę. To będzie koniec walk. Hari Mau zostanie bohaterem, a ja dość się napatrzyłem na ten whorl, żeby wiedzieć, iż cały Gaon będzie chciał, żeby przejął władzę. Muszę mu oddać sprawiedliwość: wątpię, żeby chciał mnie wtedy zabić. Dobrze go znam, nie jest podstępny, niewdzięczny, nie żywi żadnych morderczych skłonności. Co nie zmienia faktu, że zamordują mnie jego przyjaciele. A będzie miał wielu przyjaciół.

Pamiętam, jak to wyglądało w Vironie, kiedy zwyciężyliśmy.

Jego przyjaciele będą oczekiwać od niego przebaczenia i sądzę, że się nie rozczarują. Jeżeli wygramy, zginę.

Jeśli przegramy, też czeka mnie śmierć, tyle że prawdopodobnie poprzedzona torturami. W Hanie to normalna praktyka, a czemu Wielki Han miałby okazać mi więcej litości niż swoim poddanym? Bez względu na powodzenie akcji Hari Mau mój los jest przesądzony. A to jeszcze nie wszystko.

Nasi inhumy wykonują moje rozkazy, ponieważ systematycznie uwalniam następnych — łącznie wypuściłem już osiemnastu. Kiedy wojna się skończy, nie znajdę im nowego zajęcia, oni zaś będą woleli, bym umarł. Dopiero wtedy ich sekret będzie bezpieczny. (Kraitowi, który mnie kochał i rozpaczliwie zabiegał o to, bym i ja go pokochał, nie przyszło pewnie do głowy, że skazuje mnie na śmierć). Obiecywałem wielokrotnie, że wskażę im pozostałe miejsca pochówku, na których postawiono stragany. Kiedy to zrobię, przestanę im być potrzebny.

Kazałem Wieczornej Pieśni kupić dla mnie łódź. Powiedziałem, że jest przeznaczona dla szpiega, którego tożsamości nie mogę wyjawić. Kiedy wróci i wszyscy w pałacu posną, wymknę się. Boję się, że jestem jeszcze za słaby, żeby daleko odjechać, ale z łodzią powinienem sobie poradzić.

Nie będę miał wyboru. Dziwnie się będę czuł — znów sam, na łódce. Tak jakby nie wydarzyło się nic, co spotkało mnie na Zieleni i we „Whorlu”. Wejdę na pokład i pożegluję z biegiem Nadi do morza.

Nie mam czasu, żeby przejrzeć jak należy uprzednio zapisane stronice, ale wydaje mi się, że obiecałem sobie (i

Tobie, kochana Pokrzywo, jeśli Zewnętrzny wysłucha kiedyś moich modlitw), że nie zakończę tej relacji, dopóki nie znajdę się ze Ściągnem i Kraitem na pokładzie lądownika. Więcej, nie zakończę jej, dopóki nie odlecimy z Pajarocu. Może mi jednak zabraknąć czasu, jeśli będę się rozwodził nad naszą podróżą w górę rzeki.

Na pewno mi go zabraknie. Wieczorna Pieśń może wrócić w każdej chwili. Powie mi, gdzie jest zacumowana łódź, a potem odczekam godzinę, żeby poszła spać. Najwyżej godzinę. Później na zawsze opuszczę Gaon.

Wracajmy zatem do lądownika. Cofnę się potem w przeszłość tak daleko, jak zdołam.

Dla Kraita, Ściąga i dla mnie znalazły się miejsca w lądowniku. Dla Algi również, ale dopilnowaliśmy ze Ściągnem, żeby nie zdążyła wsiąść na pokład. Wtedy już wiedzieliśmy. Ukryliśmy broń: nóż myśliwski Ściąga i dwie długie, szerokie maczety, które dostałem w Pajarocu w zamian za srebrne zapinki.

Powinienem chyba wyjaśnić, że nie kupiłem ich dlatego, że już wtedy spodziewałem się walki w lądowniku; kiedy je kupowałem, obawiałem się, że nie dostaniemy się na pokład. Nabyłem je — jedną dla siebie, drugą dla Ściąga — ponieważ postanowiłem kupić taką maczetę po tym, jak natknąłem się na pływające w wodzie drzewo i musiałem je porąbać nożem Ściąga. Nie widziałem jeszcze wtedy lądownika. Ledwo otrząsnąłem się z pierwszego szoku, wywołanego widokiem Pajarocu, które — wbrew temu, co sobie w mojej naiwności wyobrażałem — wcale nie przypominało normalnych miast, takich jak Nowy Viron czy Trójrzecze. Maczety były

pozbawione gard, ostrza miały szerokie, lecz cienkie i elastyczne, osadzone w trochę topornych rękojeściach z brunatnego drewna. Związałem je za rękojeści i założyłem sobie sznur na szyję, tak że jedna zwisała mi na brzuchu, a druga na plecach. Kiedy włożyłem tunikę od Tego-od-owiec, w ogóle nie było ich widać.

Odebrano mi je i dano w zamian stary miecz o czarnej klindze, którym oczyściłem kanał z trupów... Ale wykraczam poza ramy tej opowieści. Wrócę do tych wydarzeń, jeśli dane mi będzie pisać na moim własnym papierze, w mojej papierni na Jaszczurce.

Oby Zewnętrzny tak zrządził!

Dziś w nocy takie żądanie wydaje się zbyt wygórowane, nawet wobec boga.

Ależ ten deszcz łoskocze o dach i ściany! Kto by pomyślał, że we whorlu jest tyle wody?

Ściągnął przytroczył sobie nóż do uda i ukrył pod spodniami. Prawdę mówiąc, podejrzewałem, że cały czas ma przy sobie mój stary igłowiec. Przyznaję się: sądziłem, że mnie okłamał, tak jak robił to wielokrotnie. Jednakże człowiek, który zabrał mu naszą starą łódź i porzucił go w górze rzeki, odebrał mu także igłowiec. Nigdy więcej go nie widzieliśmy, chociaż marzyło nam się, żeby razem z nami wsiadł na pokład lądownika i żeby zabrał ze sobą broń (mój igłowiec), o co prosiliśmy wszystkich pasażerów. Nie mam wątpliwości, że był złym człowiekiem, oportunistycznym łobuzem, gotowym wykorzystać każdego, kogo nazwał przyjacielem, aby potem, w dogodnym momencie, zostawić go na pastwę losu — ale

większość pasażerów stanowili właśnie tacy ludzie. Większość, bo niektórzy byli znacznie gorsi.

To jedno musi być jasne. Czy inhumi, którzy przejęli lądownik, byli potworami? Z pewnością. Tak jak i my.

Deszcz ustał. Po tylu dniach ulewy wrażenie jest niesamowite, chociaż w czasie pory deszczowej wcale nie pada bez przerwy. Jeśli pora deszczowa trwa, za godzinę, najdalej dwie znowu lunie; jeżeli zaś się skończy, miesiącami nie uświadczysz w Gao — nie ani kropli deszczu. Pootwieriałem okna na oścież, chcąc się nacieszyć tą chwilową odmianą.

Oreb wrócił! Wstałem przed chwilą, żeby spojrzeć na niebo, a on usiadł mi na ramieniu. Mało nie umarłem ze strachu.

— Ptak wrócić! — zakrakał pogodnie, jakby nie było go najwyżej godzinę. — Ptak wrócić! Jedwab dobry! Dom dobry!

Rzeczywiście. Dobrze jest go znów mieć obok siebie i wiedzieć, że nie odejdę stąd sam.

Przerwałem pisanie i wyjąłem moją starą czarną togę, tę samą, którą Oliwin dla mnie ukradła, a Jego Mądrość patere Kowadełko kazał mi włożyć, kiedy składałem ofiarę w Wielkim Manteionie. Czy włożę ją ponownie, kiedy wrócę do Nowego Vironu i oznajmię, że poniosłem klęskę? To całkiem możliwe. Mam pod spodem moją ozdobną kamizelkę, zamierzam też zachować pierścienie. Tyle na pewno mi się należy.

Powodzenia, Hari Mau!

Powodzenia, dobrzy mieszkańcy Gaonu! Jesteście lepsi niż większość ludzi, których spotkałem — pracowici, pogodni i odważni. Niech uśmiechnie się do was Quadrifons, patron

rozwidlonych dróg, i wszyscy inni bogowie, nowi i starzy. Na pewno już się uśmiechają.

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie dodać, że dokładnie to samo da się powiedzieć o Hanach i też będzie to szczerą prawdą. Są kłótlivi i lubią głośno okazywać swoje niezadowolenie (Wieczorna Pieśń też się czasem tak zachowuje), ale to jeszcze nie znaczy, że mają mściwą naturę. Przeciwnie — są skorzy do śmiechu i łatwo wybaczą. Zasługują na lepszego władcę niż Han.

Czy Hari Mau będzie lepszy? Z całą pewnością. Jednak jeżeli jest rozsądny, wyznaczy jednego z nich na nowego Wielkiego Ha — na: człowieka powszechnie szanowanego, zrównoważonego, łagodnego; może nawet kobietę, która zna życie i wie, co to umiar i współczucie. Powinienem o tym napisać w liście, który mu zostawiam. Tak zrobię.

Słuchaj Rajya Mantri, Hari Mau, ale sam podejmuj decyzje. A on niech sobie myśli, że całkowicie mu ufasz.

Wieczorna Pieśń nie wraca. Gawędzę sobie z Orebem, który obleciał cały whorl, tak przynajmniej twierdzi. Kiedy zapada cisza, słyszę z daleka słaby głos Algi, rozbrzmiewający w rytmie fal.

Wijzer dobrze to ujął: Pajarocu jest przenośną wioską. Chociaż ja powiedziałbym, że raczej przenośnym miastem, cieniem prawdziwego Pajarocu, które musiało istnieć gdzieś we „Whorlu”. Jest tu kilka chat i namiotów, ale to nie one tworzą Pajarocu. Ba, mieszkańcy miasta krzywo na nie patrzą. Pozwól, Pokrzywo, że wyjaśnię, o co mi chodzi.

Kiedy Ty, ja, Szpik, Sklerodermia z mężem i cała reszta przybyliśmy na Błękit, złupiliśmy nasz lądownik i nazwaliśmy miasto, które mieliśmy nadzieję zbudować, tak samo jak nasze miasto rodzinne. A później zapomnieliśmy o Starym Vironie. Pisząc naszą książkę, za nic nie mogliśmy sobie przypomnieć nazw niektórych ulic; na pewno to pamiętasz. Mówiliśmy o nim „Nasze Święte Miasto”, a przynajmniej nasi augurzy tak je nazywali, kiedy udzielali nam błogosławieństwa, ale poza tym, że mieścił się w nim główny ośrodek kultu Odłamu Obrządku Virońskiego, nie było tam nic świętego.

Z Pajarocu sytuacja wyglądała inaczej. We whorlu długiego słońca nie było takim miastem jak Viron, lecz raczej centrum religijnym, w którym ludzie spotykali się przy okazji świąt. Każde z Dziewięciorga miało tam swój ogromny kamienny manteion, połączony z innymi drogą procesyjną podobną do naszej Alamedy. Był tam też rozległy plac, na którym odbywały się uroczystości.

Mieszkańcy Pajarocu byli do niego tak przywiązani, że nie chcieli odtwarzać go na Błękiecie w pomniejszeniu, a odbudowanie go w naturalnej wielkości znacznie przekracza ich możliwości. Zrekonstruowali więc pieczołowicie sam jego plan, nie starając się odtworzyć materii.

Są tam więc „ulice” wytyczone trawą i paprociami, łączące „domy” i „manteiony”, które nie są niczym więcej niż polanami, wyznaczonymi w lesie w sposób praktycznie niedostrzegalny dla obcych. Kiedy trafili nam się dorośli, którzy byli skłonni z nami porozmawiać, opowiadali o nieistniejących — przynajmniej na Błękiecie — bramach, murach i posągach i opisywali je tak szczegółowo, jakby naprawdę wznosiły się przed nami, ozdobione olbrzymimi wizerunkami Hieraxa,

Taitarosa i pozostałych, czczonych w tym niezwykłym kulcie pod egzotycznymi przydomkami.

Kiedy na ulicach zbierze się za dużo brudu, albo rzeka wyleje, widmowe Pajarocu przenosi się w inne miejsce. Osobiście uważam, że to znakomity pomysł. Nasz Viron stał na południowym brzegu Limny. Kiedy poziom jeziora opadał, ludzie trzymali się kurczowo zbudowanych dla nich przez Paha rakplastowych domów, podczas gdy powinni byli raczej uczeplić się idei, którą im zesłał — idei miasta nad jeziorem. Wiele kłopotów Vironu (choć z pewnością nie wszystkie) mogło wyniknąć właśnie z tego nieporozumienia.

Posłuchajcie mnie, Rogu i Skóro. Posłuchajcie, moi widmowi czytelnicy. Budowle przemijają, idee są wieczne. Mieszkańcy Pajarocu mogą się wam wydać nieokrzesani, ale doskonale rozumieją tę prawdę. Pod tym względem są od nas mądrzejsi.

Ponieważ opisałem Hanów i mieszkańców Gaonu, pozwolę sobie teraz poświęcić trochę miejsca ludziom z Pajarocu. Co nieco już o nich wiesz; spotkałaś na tych stronach Tego-od-owiec i Tę-od-jagód. Są niscy, często krzywonodzy, śniadzi, mają grubo ciosane twarze, przenikliwe, świdrujące oczy i długie, zmierzwiłone włosy — zawsze czarne, chyba że podeszły wiek daje już o sobie znać, lub człowiek ogoli głowę. Chłopcy i młodzi mężczyźni często to robią.

Alga skarżyła się, że mieszkańcom Pajarocu usta się nie zamykają, ale w porównaniu z nami są raczej milkliwi. Dorośli śmieją się tylko kiedy rozmawiają z dziećmi. Przez pewien czas myślałem, że są całkowicie pozbawieni poczucia humoru, co jest niezgodne z prawdą. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety są zręczni i muskularni, a przy tym często tak chudzi, że ich

mięśnie zdają się wyzierać spod skóry. Niektórzy cierpią na chorobę, od której puchną im szyje. Początkowo sądziłem, że dotyka ona wyłącznie kobiety, ponieważ nie widziałem chorujących na nią mężczyzn. Teraz już wiem, że Ten-od-ognia i inni też na nią cierpią.

Tyle z pewnością wystarczy, może nawet za bardzo się rozpisałem. Tym niemniej dodam jeszcze kilka spostrzeżeń, które przysły mi do głowy. W Vironie, Pokrzywo, mężczyźni noszą spodnie, a kobiety sukienki. W Pajarocu widuje się sporo kobiet w spodniach; w zimie podobno nigdy nie noszą sukni. Przy ładnej pogodzie — nawet jeśli jest, jak na nasze standardy, chłodno — mężczyznom zdarza się nosić tylko przepaskę biodrową ze skóry zielonka albo wręcz chodzić nago. Mężczyźni i kobiety kąpią się razem w rzece. Widziałem taką kąpiel pewnego dnia, kiedy woda była cieplejsza, a krótkie słońce mocniej przygrzało. Przyłączyliśmy się do nich z Algą, co zdziwiło chyba tylko jednego małego chłopczyka i przybyłych do Pajarocu ludzi z innych miast.

Oreb chciał coś zjeść, co dało mi doskonały pretekst, żeby po — buszować po pałacu i sprawdzić, czy wszyscy śpią. Czuwał tylko strażnik przy drzwiach mojej sypialni. Zdziwił się chyba na widok mojej czarnej togi, ale prawie nie dał tego po sobie poznać — tylko trochę rozszerzyły mu się oczy. Gdybym nie moja jątrząca się rana, wyszedłbym przez okno, kiedy nadejdzie pora ucieczki. Chociaż wątpię, żeby mój osobisty strażnik próbował mnie zatrzymać.

Jeżeli Wieczorna Pieśń może wejść do mnie przez okno, ja na pewno mogę w ten sam sposób wyjść. Drzwi zostawię

zamknięte na klucz; niech myślą, że zasnęłam. Nie odważą się pewnie zapukać przed południem, a wtedy ja będę już daleko. Jeśli przerwę pisanie w pół zdania, będzie to oznaczało, że Wieczorna Pieśń przyniosła mi wieści o łodzi, którą kazałem jej kupić.

Nie, nie, będę musiał odczekać, aż położy się do łóżka i zaśnie.

— Niedobry stwór! — stwierdził Oreb. — Stwór lata!

A zatem inhumi kręcą się w pobliżu, tak jak w Pajarocu. Nie sądzę, żeby zaatakowali Wieczorną Pieśń, którą dobrze znają. Zresztą co to za pomysł! Gdybyśmy pilnowali się nawzajem, byłiby bezradni, a tak zawsze mają dość krwi, żeby przeżyć.

Przytknąłem głowę do okna, próbując ich wypatrzeć, chociaż ten widok tylko by mnie przeraził. Azotha zatknąłem za pas, obok księżnej Choory (ciekawe, jak jej się podoba takie towarzystwo). Nie mam igłowca, ale takie dwa ostrza powinny mi w zupełności wystarczyć. Zastanawiam się, czy nie wziąć miecza. Nie potnę przecież drewna na łodzi azothem, bo poszłaby na dno. A kiedy miecz nie będzie mi potrzebny, mogę trzymać go w schowku na pokładzie — pod warunkiem, że Wieczorna Pieśń znajdzie mi w ogóle jakąś łódź. Jaka szkoda, że nie mam tu czarnego miecza, który dał mi Sąsiad!

Żałuję też, że nie mogę sam sobie wybrać łodzi. Jestem prawie pewien, że Wieczorna Pieśń kupi za dużą. Ściągnę przepłynął zachodnie morze w łódeczce, w której z trudem mieściliśmy się ja, Pokrzywa i kilka bel papieru.

Jeśli niczego nie kupi, jutro pošlę kogoś innego. Może Jahlee? Nie, stary Mehman będzie lepszy. Inhumi nie znają się na rzeczy, chociaż zdarza im się pływać na łodziach.

Moi inhumci zrobili dla nas dużo dobrego. Przecięcie cum barkom, które dryfując zniosły most w górze rzeki, to był prawdziwy majstersztyk. Wielki Han nie zdawał sobie sprawy, ile ryzykuje, przewożąc barkami żwir do wysypania nowej drogi. Jego żołnierze cierpią coraz większy głód.

Inhumci rozpuszczają też plotki i wysyłają fałszywe komunikaty. W nagrodę odkopaliśmy dwóch następnych. To był uczciwy układ.

Są przebiegli, ale jak każdy przebiegły człowiek pokładają zbyt wielką ufność w swoim sprycie. Tak samo było w Pajarocu, kiedy pozwolili mi dokonać inspekcji lądownika. Nie przyszło im do głowy, że spośród tysięcy ludzi jestem jedynym, który rozpozna statek Alki.

Tak już bywa. Jahlee twierdzi, że na razie zginęły trzy osoby, ale na pewno nie wie o wszystkich ofiarach.

W Pajarocu pierwsza ostrzegła mnie Alga. Kiedy się obudziłem, leżała wtulona we mnie i cała roztrzęsiona. Zapytałem szeptem, co się stało.

— Polują nocą.

Ledwie mogła mówić, tak jej dzwoniły zęby ze strachu. Pomyślałem, że miała zły sen. Także dla mnie inhumci często zdawali się tylko koszmarem sennym, toteż spodziewałem się, że o poranku Krait rozwieje się w powietrzu. Próbowałem tłumaczyć Aldze, że za długo żyła pod wodą i że potwory, których się tam bała, nie mogą jej tu dosięgnąć.

Potem usiadłem, wyczołgałem się spod fordeku i rozejrzałem. Miałem nadzieję, że do mnie dołączy. Na jednej z dalej zacumowanych łodzi dostrzegłem człowieka. Wydawało mi się, że poznaję naszego przewodnika, który dzień wcześniej

oprowadził nas — mnie, Algę, Ścięgno i Kraita — po lądowniku. Chciałem do niego zawołać, ale bałem się, że obudzę innych żeglarzy, którzy, tak jak ja z Algą, spali na łodziach. Zresztą za chwilę zgarbił się, a ja usłyszałem przelotny chrobot. Domyśliłem się, że zdjął buty, i uspokoiłem Algę, że nie ma się czego obawiać.

Następny dzień wstał pogodny i ciepły — pisałem już o nim. Poza tym był to dzień targowy. Poszliśmy jeszcze raz obejrzeć niewidzialne miasto, kupiliśmy jedzenie i inne drobiazgi. Kiedy wróciliśmy na łódź, ujrzeliśmy ze dwudziestu, może trzydziestu mężczyzn, a także chyba wszystkie kobiety i dzieci z miasta, kąpiących się w rzece. Schowaliśmy zakupy i dołączyliśmy do nich. Złote włosy i brak ręki sprawiły, że Alga zwracała na siebie powszechną uwagę. Szczególnie dzieci (zręczni pływacy) nie mogły się nadziwić, że kobieta z jedną ręką pływa znacznie szybciej niż najszybsze z nich.

Jakiś ośmio-, może dziewięcioletni chłopiec zapytał z błyskiem w oku, czy jestem jej ojcem. Oparłem, że tak, na co on z powagą oznajmił mi, że obcym kobietom nie wolno się rozbierać.

— Pani tutaj, tak. — Oparł ręce na biodrach, udając kobietę, a następnie naciągnął na głowę niewidzialną sukienkę. — Twoja pani, nie, nie!

Założył ramiona na piersi i zmarszczył groźnie brwi.

Najpierw przypomniała mi się maytere Marmur, która zdjęła habit i włożyła go Pleśni, a potem Acalypha, która zbulwersowała patere Kowadelko, chodząc nago po tunelach, po tym, jak opętana przez Scyllę poparzyła się na słońcu. Wyjaśniłem chłopcu, że nasze kobiety czasem się rozbierają, i opowiedziałem mu pokrótce o maytere i Acalyphie. Zapytał,

gdzie mieszkają maytere Marmur i Pleśń, więc najlepiej jak umiałem wytłumaczyłem mu, że ich skalista wysepka znajduje się po drugiej stronie morza, gdzie nigdy nie był.

— Duża pani też?

— Acalypha? Nie, ona poleciała z Alką na Zieleń. Tak przynajmniej podejrzewamy, bo nikt w Nowym Vironie — tak nazywa się miasto, z którego przybywam — o nich nie słyszał. Rozumiesz, co mam na myśli, kiedy mówię „Zieleń”? To takie duże jasne światło, które w nocy pojawia się na niebie. W rzeczywistości to jest drugi...

Chłopiec uciekł.

Wtedy zrozumiałem. Olśniło mnie. Jak mówiłem, już wcześniej rozpoznałem lądownik: był przeznaczony dla załogi i różnił się nieco od lądowników dla ładunku, takich jak ten, w którym sam przyleciałem. Lądownik załogi był trochę mniejszy i znacznie lepiej przystosowany do przewozu większego sprzętu i zapasów. Kiedy byliśmy z Jedwabiem i Alką w Centralnym Procesorze, widziałem go dwa razy. Wiedziałem, że się nie mylę. Rozpoznałem go, ale nie od razu zrozumiałem, co oznacza jego obecność.

Dotarło to do mnie w chwili, kiedy chłopiec rzucił się do ucieczki. Potem wszystko było już jasne.

Wróciliśmy na targ — mniejszy i gorzej zorganizowany niż w Wichote, ale także wyraźnie tańszy. Znalazłem rymarza, szyjącego pochwę do jednej z maczet, o których pisałem. Zaproponowałem, że kiedy skończy, dam mu srebrną zapinkę w zamian za maczetę i pochwę, na co on odparł, że mogę wziąć jeszcze jedną, podobną, do której pochwę już miał gotową. Skończyło się na tym, że kupiłem obie (o czym już czytałaś), z myślą o tym, żeby jedną dać naszemu synowi.

Zaczepił nas jeden z przebywających w mieście obcych.

— Spotykamy się dzisiaj w „Krzaku”.

Zapytałem, co to jest krzak i gdzie się znajduje, i usłyszałem, że chodzi o dużą chatę nad rzeką, w której się sprzedaje i pije miejscowe piwo. Pewien człowiek z miasta na północy przywiózł do Pajarocu żonę, żeby zabrała łódź z powrotem, kiedy on wsiądzie do łądownika. Zmusił ją, żeby zaczekała z nim na start. Zeszłej nocy poszła spać na łodzi, kiedy mąż popijał w „Krzaku” piwo, i została ukąszona przez inhumiego. Mieliśmy się spotkać i ustalić, jak ukarać jej męża.

Poszedłem wieczorem do „Krzaka” i wziąłem ze sobą Ścięgno. Nie zostaliśmy długo. Zobaczyliśmy nieszczęsną kobietę, która była blada, osłabiona (a przy okazji także posiniaczona) i miała na ręce ślady kłów inhumiego, dowiedzieliśmy się od niej, gdzie trzyma łódź, i ruszyliśmy w drogę powrotną.

— Myślałem, że tutaj się to nie zdarza — stwierdził Ścięgno.

Zdziwiłem się. Wiedziałem przecież, że odkąd Kraity znalazł Pajarocu, zaglądał tu prawie co noc. Przypuszczałem, że przy okazji poluje. Zapytałem Ścięgno, skąd mu to przyszło to głowy.

— Powiedział mi to jeden z tubylców, kiedy się tu wcześniej kręciłem. Opowiedziałem mu, jak w dzieciństwie ukąsił mnie inhumy, na co on odparł, że tutaj nie mają takich kłopotów. Nazywał się Ten-od-skór.

Opowiadałem już Ścięgnu, jak Ten-od-owiec z synem odcięli dla mnie łeb łamibyka.

— To niemożliwe — powiedziałem. — W nocy przed naszymi odwiedzinami w obozie Tego-od-owiec jego córeczkę też ugryzł inhumy. Nie pamiętam, jak się nazywała, ale była bardzo osłabiona. Bardziej niż ta kobieta, którą widzieliśmy.

— Tylko tutaj, w Pajarocu! — wyjaśnił zniecierpliwiony Ściągnio. — Tu ludzi nie gryzą. Tak mi powiedział Ten-od-skór.

— Obcych gryzą.

— Może i tak... Ją coś ugryzło.

Dotarliśmy na slup, gdzie Babbie przywitał nas przyjaznym prychnięciem. Alga wyszła nam na spotkanie z nożem w dłoni. Kazałem jej zostać na pokładzie i się przespać, jeśli uda się jej zasnąć, wątpię jednak, by naprawdę spała. Zapytała, czy widziałem ukąszoną kobietę.

— Tak, nawet z nią rozmawiałem, chociaż niezbyt długo. Wyzdrowieje, tak mi się przynajmniej wydaje.

— Nie jesteś zadowolony. Ściągnio też nie.

— Masz rację, jestem zniechęcony. — Podobnie jak stary patere Remora, rozpaczliwie szukałem lepszego słowa. — Upokorzony. Jedwab powiedział mi kiedyś, że powinniśmy być szczególnie wdzięczni bogom za wydarzenia, które uczą nas pokory. Upokorzenia są koniecznością, jeżeli nie chcemy, żeby zeżarła nas duma. Wkrótce po przybyciu na ulicę Słońca ktoś wyrzucił mu na głowę wiadro odpadków. Opowiadałem ci o tym?

Alga pokręciła głową, Ściągnio zaś odparł: — To była Sklerodermia. Dużo o niej rozmawialiście z matką.

— Z pewnością. Cóż, mogę chyba stwierdzić, że bogowie mi sprzyjają, ponieważ zesłali mi nieomylny znak swojej łaskawości. Powinienem szaleć ze szczęścia, ale w tej chwili nie czuję się przesadnie szczęśliwy.

Alga mnie pocałowała. Kiedy się odsunęła, złapałem oddech i wykrztusiłem: — Dziękuję, już mi lepiej.

(Pisząc te słowa, czuję na wargach dotyk jej ust. Wiele razy mnie całowała, ale we wspomnieniach wszystkie pocałunki

złąły się w ten jeden. Nie jestem pewien, czy nie całowaliśmy się wtedy po raz ostatni).

— Nie rozumiem twojego przygnębienia — przyznał Ściągnu. — Jesteśmy na miejscu, prawda? W Pajarocu. Udało się. Kiedy byłem tu poprzednio, bez końca przekładali start, ale teraz mówi się, że lada dzień polecimy.

— Opatrzność — mruknąłem z goryczą. — Nie masz wrażenia, że czekali właśnie na nas?

— Naprawdę tak myślisz? — spytał z powątpiewaniem, chociaż może powinienem napisać: z namysłem. — Dlaczego mieliby na nas czekać?

— Bo jest nas troje.

— Z Kraitem czworo.

— Właśnie, z Kraitem czworo, bez Kraita troje. Trzy osoby ryzykują życie, żeby sprowadzić tu Jedwabia, chociaż wysłano tylko jedną. Źle się dzieje, ale o tym nawet nie próbuję myśleć. Martwią mnie natomiast nasi przyszli towarzysze. Widziałeś ich dzisiaj, na pewno widziałeś ich też wcześniej, kiedy spędziłeś tu cały tydzień. Powiedz mi, co o nich myślisz?

— Nie są mili — wtrąciła Alga. — Są inni niż ty.

— Mylisz się — odparłem. — Jestem jednym z nich i to najbardziej mnie dręczy.

(Niewiele brakowało, bym przyznał się Ściągnu, co jej zrobiłem. Ktokolwiek czyta te słowa, wie, co mam na myśli).

— Co ci się w nich nie podoba? — spytał Ściągnu. Prowokował mnie, tak jak to robił na Jaszczurce.

— To pijacy, awanturnicy i łajdacy. Ten człowiek, z którym podróżowałeś, ten, co mówił, że cię uratował... Zabrał naszą starą łódź... Jak on się nazywał?

— Yksin. Kiedy się na mnie złościł, mówił, że to znaczy „sam”. Już wtedy planował, że mnie zostawi, aleja wtedy o tym nie wiedziałem.

— To imię bardzo do niego pasuje. Pasowałyby do nich wszystkich. To wyrzutki, którzy za swoje wygnanie obarczają innych współobywateli.

Uśmiechnąłem się.

— Coś ci przyszło do głowy? — zaciekawiała się Alga.

Pomyślałem o tym, że czterdziestu mężczyzn szybko opanuje lądowisk, kiedy dowiedzą się, że nie leci do „Whorla”. Ale nie powiedziałem jej tego — ani wtedy, ani później.

Oreb ciągnie mnie za włosy.

— Idzie teraz? Idzie Jedwab?

A może to ma być „Idź, Jedwab!” — nie jestem pewien. Czuję to samo co on, ale Wieczorna Pieśń jeszcze nie wróciła. Spróbuj się godzinkę zdrzemnąć.

Zegar właśnie wybił godzinę. Jest druga.

Zawsze jest tak samo. Kiedy już postanowię opuścić jakieś miejsce (tak jak na przykład zdecydowałem się porzucić tę beznadziejną, małą farmę, która nam przypadła), nie mogę się doczekać, kiedy to zrobię. Na pewno czułem się tak samo tamtej nocy, siedząc na słupie przy ognisku z Algą i Ściągnem i próbując zebrać myśli.

Alga zapytała Ściągnem, czy uważa się za pijaka, awanturnika albo łajdaka; mam wrażenie, że nie rozumiała do końca tych

słów. Ścięgno uśmiechnął się i odparł „nie” na pierwsze pytanie i „tak” na dwa pozostałe.

— Zapytaj mojego ojca — dodał. — On mnie zna.

Znałem go, to prawda, i w tym momencie postanowiłem nie dawać mu drugiej maczety (choć kupiłem ją dla niego), dopóki nie będzie mu potrzebna.

Alga zaczęła nas wypytywać o ukąszoną kobietę. Ponieważ koniecznie chciałem zamienić ze Ścięgnem dwa słowa na osobności, zaproponowałem, że spróbujemy ją sprowadzić na nasz słup, żeby Alga porozmawiała z nią osobiście. Dodałem, że może ona i Ścięgno będą jej mogli jakoś pomóc, kiedy lądownik już odleci.

— Jak to? Przecież lecimy z tobą. — Spojrzała na Ścięgno. — Chyba że ty zostajesz?

Pokręcił głową.

— Nie po to przebyłem taki kawał drogi, żeby teraz zostać. Kiedy tu na was czekałem, pomyślałem sobie, że jeśli będą chcieli odlecieć, zanim ojciec przyplynie, polecę z nimi i sam spróbuję sprowadzić Jedwabia. Ale oni zwlekali i zwlekali, więc zacząłem was szukać.

— Później do tego wrócimy — powiedziałem, wstając od ogniska — a na razie idziemy ze Ścięgnem do „Krzaka” po tę kobietę. Zaraz wrócimy.

— Będzie się opiekowała mężem — zauważył Ścięgno. — Pewnie chcą go wychłostać.

— Wiem, to nie będzie łatwe. Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

Kiedy oddaliliśmy się od słupa, zatrzymałem się pod jednym z niebosiężnych drzew.

— Wiem, że nie mogę cię zmusić do posłuszeństwa — zacząłem.

Ścięgno rozejrzał się podejrzliwie.

— Czemu mówisz szeptem?

— Na wypadek, gdyby Alga szła za nami. Wątpię, żeby to zrobiła, ale pewności nie mam, a w żadnym razie nie może nas usłyszeć. Nikt nas nie może usłyszeć, zwłaszcza inhumi. Bo mam powody przypuszczać, że inhumi kręcą się w pobliżu. Pamiętasz, jak Ten-od-ognia powiedział nam w lądowniku, że pasażerom nie wolno mieć przy sobie pistoletów, igłowców ani noży? Żadnej broni, nawet kijów?

— Pamiętam, ale i tak nie zamierzam rozstać się z moim nożem.

Miałem nadzieję, że Ścięgno w ogóle nie poleci, ale to nie była chwila na roztrząsanie tej kwestii.

— Kiedy go słuchałem, wydawało mi się, że to rozsądne zastrzeżenie. Na pokładzie spędzimy co najmniej tydzień, można więc się obawiać, że zaczniemy się między sobą bić. Teraz wiem, że sprawa jest poważniejsza. Posłuchaj, Ścięgno. Jeżeli miałbyś tylko raz w życiu uważnie kogoś wysłuchać, zrób to teraz i wysłuchaj mnie. Ten lądownik nie poleci do „Whorla”, tylko na Zielen.

Spodziewałem się, że zapyta, dlaczego tak sędzę, ale nic nie powiedział.

— Inhumi przejęli go i poleci na Zielen, chyba że mnie i innym pasażerom uda się zmienić trasę lotu. — Czekałem, aż coś powie, a kiedy wciąż milczał, dodałem: — Wiesz, że inhumi przylatują z Zieleni. Być może wiesz i o tym, że taka podróż jest bardzo ryzykowna. Wielu, którzy próbują się tu dostać, ginie po drodze.

— To dobrze.

— Dobrze, ale nie dla nas. Teraz już nie. Inhumi lubią ludzką krew i dlatego starają się kierować jak najwięcej ludzi na Zieleń, żeby tam właśnie padli ich ofiarą. Nieraz opowiadaliśmy wam z matką, jak patere Kwezal nas zwodził. Był inhumim i gdyby mógł, skierowałby nasz lądownik na Zieleń, chociaż był umierający.

— Pisaliście o tym w waszej książce.

— Tak jak powiedziałem, inhumi, inni inhumi, przejęli lądownik. Przylatują nim z Zieleni do nas, całymi setkami, jak sardę. A potem...

— Oszukują nas, żebyśmy na niego wsiedli i wrócili z nimi. — Ściągnął pokiwał głową. — Sprytne.

Znając jego upór i sceptycyzm, nie spodziewałem się, że uda mi się go przekonać. Nogi ugięły się pode mną z ulgi.

— Mnie się wydaje, że w okolicy jest mnóstwo inhumich — powiedział. — Może powinienem był ci wcześniej o tym powiedzieć. Kiedy tu byłem poprzednio, widziałem całą grupkę.

— Naprawdę?

— Tak, trójkę. Nie wiedzieli, że jestem w pobliżu, więc nie bawili się w udawanie ludzi. Obserwowałem ich przez chwilę, aż jeden odleciał. Potem sam się wycofałem, żeby komuś o tym powiedzieć. Znalazłem Tego-od-skór i powiedziałem, że wiem, gdzie znajdziemy dwóch inhumich. Dodałem, że jeśli da mi nóż, pomogę mu ich zabić. Ale on wtedy mi powiedział, że inhumi nikogo w Pajarocu nie gryzą.

— Rozumiem.

— Wyjaśnił mi, że zawarli układ: oni nie utrudniają życia inhumim, inhumi ich nie kęsają. Ojciec...

— Słucham?

— Czy mimo wszystko zamierzasz wsiąść do lądownika?

— Tak. Ja i Krait wejdziemy na pokład. Od początku to planowaliśmy.

Obiecałem, że nie zdradzę sekretu Kraita, i go nie zdradziłem, chociaż w tym momencie zdawałem sobie sprawę, że Krait oszukał nas wszystkich. Wspomnienie jamy (a może wypaczone poczucie honoru?) było we mnie zbyt silne.

— Dla mnie to jest święta misja — dodałem. — To się nie zmieniło. Nowy Viron pilnie potrzebuje tych wszystkich rzeczy, po które zostałem wysłany, a najbardziej potrzebuje Jedwabia.

— Zginiesz.

— Nie zginę, jeśli uda mi się zawładnąć lądownikiem, a wydaje mi się, że mam szansę. — Przerwałem na chwilę, żeby zebrać myśli. — Będę wtedy miał jak przywieźć Jedwabia. Mogę nawet posadzić lądownik od razu w Nowym Vironie. Co najważniejsze, inhumie nie będą już mogli przylatywać nim bezpiecznie na Błękit ani przewozić ludzi na Zieleń.

Ściągnął głowę i powtórzył, że zginę.

— Może, ale mam nadzieję, że jednak nie. Mówiłem, że nie mogę cię zmusić do posłuszeństwa. Naprawdę nie mogę i dobrze o tym wiem. Ale mogę cię poprosić, żebyś pomógł mi nie dopuścić Algi do lądownika. Zrobisz to?

Obiecał, że tak. Podaliśmy sobie ręce, a potem objąłem go tak samo, jak kiedy był małym chłopcem.

Wieczorna Pieśń wróciła!

Przed chwilą słyszałem, jak wartownicy przy wejściu pytali, kto idzie, i rozpoznałem jej głos, kiedy im odpowiedziała. Czas nagli.

Następnego dnia kręciliśmy się ze Ściągnem wśród pasażerów, rozpowiadając na prawo i lewo nasze podejrzenia. Ostrzegaliśmy, że lądownik może zostać skierowany na Zieleń, i nalegaliśmy, żeby wzięli ze sobą broń, którą łatwo będzie ukryć przy wsiadaniu. W nocy umówiliśmy się, że Ściągnie przyniesie nowinę o miejscu, gdzie rośnie mnóstwo jagód, a potem razem z Algą popłyną kawałek w dół rzeki, rzekomo po to, by ich nazbierać. Ja w ostatniej chwili wymówię się od tej wycieczki, twierdząc (zgodnie z prawdą), że muszę kupić zapasy, które będą nam potrzebne na lądowniku.

Sądząc z opisu, Wieczorna Pieśń kupiła mi dokładnie taką łódź, jakiej potrzebuję. Uśmiechała się z dumą, opowiadając mi o niej. Pożyczyła nawet na chwilę to pióro i kartkę papieru, żeby ją naszkicować. Jest na tyle mała, że sam sobie z nią poradzę (w razie potrzeby dam nawet radę wiosłować), częściowo zabudowana do wysokości talii i ma maszt, który jeden człowiek z łatwością może położyć lub postawić i wciągnąć nieduży żagiel. Podobno jest świeżo odmalowana na czarno i czerwono. Hanowie uważają, że te kolory przynoszą szczęście.

Najbardziej się ucieszyłem, kiedy Wieczorna Pieśń powiedziała, że pada z nóg, i spytała, czy nie miałbym nic przeciwko temu, że poszła spać do komnat kobiecych. zaproponowała, że może mi przysłać Chandi albo Moti. Odparłem, że też już zasypiam na stojąco, a kiedy Oreb przerwał mi donośnym „Jedwab idzie!”, wyjaśniłem, że nawet on każe mi iść do łóżka.

Jeszcze parę linijek, naprawdę niewiele.

Zabrali nam broń, obiecując, że we „Whorlu” dostaniemy ją z powrotem. Oddałem im strzelbę Szpika, nie zdając sobie sprawy, że inhumim dozbrajają w ten sposób swoich niewolników, którzy pomogą im utrzymać w ryzach osadników na Zieleni. Nie spodziewałem się jej więcej zobaczyć. Jak na ironię cała zabrana nam broń została złożona — zgodnie z obietnicą — w jednej z komór ładunkowych.

Powinienem był przewidzieć, że część z nas uwierzy inhumim i sprzymierzy się z nimi — bufony i dumie, zbyt nadęci i zbyt głupi, żeby wpaść na to, że dali się nabrać. Niektórzy chyba spodziewali się, że lądownik nigdzie nie poleci, a oni będą mieli okazję ograbić go z kart. Kiedy wystartował, wgniatając nas w niewygodne drewniane kołyski z przyspieszeniem, które zdawało się zdolne nas zmiażdżyć i utrzymać się długo po naszej śmierci, byli gotowi uwierzyć we wszystko, co powie Ten — od-ognia. Nawet obraz na monitorze sugerował, że lecimy do „Whorla”.

Inhumim nie chcieli nas wpuścić do kokpitu. Tak nazywało się to miejsce na statku powietrznym z Trivigaunte; nie wiem, jaką nazwę powinno nosić w lądowniku.

Nie, jednak wiem. Jedwab i Mamelta nazywali je „nosem” i my, Pokrzywo, zapożyczyliśmy od nich tę nazwę. Na lądowniku mówiliśmy w każdym razie o „przodzie”.

Poza Kraitem było wśród nas trzech inhumimich. Podawali się za pierwszych trzech przybyszów do Pajarocu i utrzymywali, że Ten — od-ognia zlecił im opiekę nad pozostałymi. Wydaje mi się, że to jednego z nich widziałem wtedy w nocy na łodzi. Zapytałem, czy nie mogliby zaprowadzić nas do nosa pojedynczo. Powinienem był go zabić (bo z nim właśnie się

sprzeczałem), ale zbyt długo z tym zwlekałem, a potem było już za późno. Wyglądał jak człowiek, a ja wciąż nie wiedziałem, czy się nie pomyliłem. Kraity udawał, że trzyma moją stronę, co tym bardziej kazało mi wątpić w słuszność moich podejrzeń. Teraz sobie to wyrzucam — i słusznie.

Wszystko to trwało dłużej, niżby to wynikało z mojej pisaniny — co najmniej dzień.

Poza Ścięgnem wszyscy — albo prawie wszyscy — uznali mnie za wariata. Chcieli mi związać ręce, ale ci, którzy uwierzyli mnie i Ścięgnu, nie dopuścili do tego.

Dawno jednak przeskoczyłem moment naszego odlotu z Błękitu, a na tym przecież miałem skończyć. Zanim opuszczę Gaon, muszę jeszcze dodać, że kiedy Alga poszła na jagody, Ścięgno przeciął fały żagli i wrócił do Pajarocu swoją dłubanką. Zdążył w ostatniej chwili wsiąść do lądownika — po nim już nikt nie przybył. Serce zabiło mi mocniej z radości, kiedy go zobaczyłem i usłyszałem szcęk zamykanej śluzy powietrznej za jego plecami. Teraz się tego wstydzę — spodziewałem się, że wszyscy zginiemy — ale jak ja się wtedy cieszyłem!

Alga z pewnością dokonała niezbędnych napraw i próbowała wrócić z Babbim w górę rzeki. Spóźnili się pewnie znacznie, o ile w ogóle dotarli do celu. A potem wróciła do morza, o co nie mam do niej najmniejszych pretensji.

Wystarczy.

Inhumi uderzył mnie i rozharatał mi szponami policzek. Wtedy wszyscy się zorientowali. Ścięgno pchnął go nożem. Zapomniałem, jak to wyglądało, kiedy umarł patere Kwezal, chociaż wtedy dałbym sobie głowę uciąć, że wszystko dokładnie

pamiętam. Przez jakiś czas po śmierci nadal wyglądał jak człowiek.

Iluzja umiera ostatnia. Muszę natychmiast zebrać te papiery I wpakować je do torby. Zegnaj, Pokrzywo. Żegnajcie wszyscy.

Ostatnie kartki

Czy po tym, co napisałem w nocy, mam w ogóle prawo brać jeszcze pióro do ręki? Gdybym był uczciwy, powiedziałbym, że nie, ale nie zapełnię więcej niż dwie, trzy kartki. Będę pisał, dopóki jesteśmy na spokojnych wodach, nie dłużej.

Wieczorna Pieśń chce zrefować mały żagiel i trochę posterować. Niech się uczy. Będę udawał, że nie patrzę.

Tak, jest tu ze mną. Nabrała mnie i ukryła się w maleńkiej nadbudówce, a wyszła z niej dopiero wtedy, gdy byliśmy już daleko od Gaon u.

— Dzieweczka dobra! — twierdzi Oreb.

— Dzieweczka bystra — odpowiadam wtedy.

Zorientowała się, co chcę zrobić, kiedy wysłałem ją po łódź. Zapytałem, jak się domyśliła, na co odparła, że gdybym chciał mieć łódź dla szpiega, pozwoliłbym ją szpiegowi samu sobie kupić. Święta racja. Nic dodać, nic ująć.

Kupiła ją po długim poszukiwaniu właściciela i jeszcze dłuższych targach, a potem zaopatrzyła w mnóstwo rzeczy, które uznała za przydatne: koce, poduszki(!), wino, garnki i spory zapas jedzenia. Nie mamy skrzyni z piaskiem, żeby rozpaść ognisko, ale dopóki płyniemy z biegiem Nadi zawsze możemy gdzieś się zatrzymać i pogotować.

— Łódka dobra — chrypi co chwila Oreb.

Łódeczka jest mała, smukła (chwilami mam wrażenie, że aż za bardzo) i szybko reaguje na ster; dobrze nadaje się do szybkich podróży, nieco gorzej do przewożenia ładunków, ale też nie ma potrzeby, żebyśmy wozili nią po pięćdziesiąt czy sto ciężkich bel papieru. Poszłaby na dno, gdybym wsiał do niej z Algą, Babbitem, Kraitem i Ściągnem, ale teraz jest nas tylko troje, a Oreb w dodatku nie zajmuje wiele miejsca.

Nie mam pojęcia, co sobie Pokrzywa pomyśli o Wieczornej Pieśni i o tym, że przywiozę ją do domu, ale bardzo się cieszę, że jest przy mnie. Powtarzałem jej wiele razy (zbyt wiele, jak twierdzi), że nie jestem władcą Nowego Vironu, na co odpowiedziała, że zawsze chciała być żoną rolnika. Tłumaczyłem jej więc, że rolnikiem też nie jestem, że próbowałem uprawiać ziemię, ale nic z tego nie wyszło, więc zbudowaliśmy z żoną papiernię. Stwierdziła, że to jeszcze lepiej.

Co jeszcze mogę powiedzieć?

Przypomina mi się, co Alga powiedziała Ściągnu — że jest moją podróżną żoną. To chyba najbardziej nim wstrząsnęło, więc cieszyłem się, że to powiedziała, chociaż bałem się, że mógłby to powtórzyć Pokrzywie. O, Zewnętrzny, wielki i tajemniczy boże bogów, spraw, żeby kiedyś jej to powiedział. To by znaczyło, że wrócił do domu.

Czy na Błękanie mamy dalej do bogów? Czy też rządzą tu Zaginieni Bogowie, bóstwa Zaginionego Ludu, jak spekulował Ściągnu?

A może tu wcale nie ma bogów? Coraz więcej ludzi dochodzi do takiego wniosku. Ściągnu mógł próbować zbić mnie z pantafelku — lubił to robić nie mniej od Kraita, a był w tym znacznie od niego lepszy. Mimo to mógł mieć rację. Jedwab

powiedział kiedyś, że Zewnętrzny jest od nas tak daleko, że znajduje się jednocześnie za nami i przed nami.

No, na pewno by się z tym zgodził. Nie pamiętam, czy naprawdę tak powiedział, chociaż nie mogę tego wykluczyć.

W Gaonie ulubioną rozrywką są wyścigi konne. Bywałem na nich zawsze, ilekroć miałem wrażenie, że się tego ode mnie oczekuje. Wybronowany tor, na którym się ścigają, ma kształt jaja, żebyśmy my, dostojni widzowie, mogli z naszych miejsc dogodnie oglądać i start wyścigu, i metę. Konie ścigają się na krótkim dystansie — wtedy tylko raz okrążają jajo — lub na dłuższych — wówczas okrążeń jest więcej, dwa, trzy, cztery, nawet pięć. Wyobraź sobie wieczny wyścig, w którym to my biegniemy po takim torze, a bogowie oglądają nasze zmagania. Bóg, którego widzimy przed sobą, wcale nie jest tym, który znajduje się najbliżej, lecz tym, którego przed chwilą minęliśmy.

Możemy nie zdawać sobie z tego sprawy, ale to właśnie do niego biegniemy.

Może Jedwab właśnie tak by to ujął.

Patrzę w niebo. Wydaje mi się, że odkąd przybyłem do Gao — nu, nie widziałem tak czystego błękitu. Z łaski Zewnętrznego lazuruwa, niematerialna zasłona skrywa za dnia Zieleń i gwiazdy („Whorl” również), żebyśmy nie musieli ich oglądać.

Dzięki temu możemy zająć się codziennymi sprawami, bo strach nas nie paraliżuje.

Pah użył rakplastu, żeby oddzielić nas od pustki. Zewnętrzny ma tę zasłonę i kiedy noc jest ładna, pokazuje nam niebo. Tym się właśnie różnią.

Mamy linki, haczyki, długie trzcinowe wędziska, ciężarki, spławiki, nawet podbierak. Wygląda na to, że poprzedni właściciel używał łodzi głównie do wędkowania. Założyłem na haczyk okrawek kupionego przez Wieczorną Pieśń mięsa. Zobaczymy.

— Niech Scylla Roziskrzona i wszyscy bogowie uśmiechają się do ciebie, córko — powiedziałem przed chwilą Wieczornej Pieśni.

Mamy Scyldag, a ja znów jestem virońskim augurem, przynajmniej z wyglądu. Zdjąłem turban i obciąłem sobie Choorą włosy. Nie chodziłem do scholi, ale tyle się o niej w dzieciństwie nasłuchałem, że chwilami mam wrażenie, jakbym chodził — przez rok, może dwa, trzy, bardzo dawno temu. Ojciec chciał, żebym pomagał mu w sklepie i przejął go po jego śmierci. Ja zaś zamierzałem robić cokolwiek innego, byle nie to, ale i tak zająłem się czymś bardzo podobnym. Życzeniu ojca stało się zadość. Musiał się cieszyć łaską bogów.

Zmuszałem Ścięgno, żeby pomagał mi w piarni, tak jak mój ojciec zmuszał mnie do pracy w sklepie; opierał się i kłócił ze mną tak samo, jak ja z ojcem. Przyjdzie taki czas, Ścięgno, że to wszystko będzie twoje — te zębaki, wałki, młoty, łopatki mieszające zawieszę w zbiorniku. Wtedy się ucieszysz, że miałeś już z nimi do czynienia.

Ojciec został, żeby walczyć u boku generała Mięty. Nigdy bym nie pomyślał, że ma tyle odwagi. Dzień w dzień dreptał do sklepu przy ulicy Słońca z nadzieją, że sprzeda dość towaru, by wyżywić rodzinę, i zatrzyma upartego najstarszego syna w palestrze.

Niewdzięcznego, ślepego na jego wysiłki syna. To, co zrobił mój ojciec, nie wymagało ani krzty odwagi. Tak wtedy sądziłem.

Tymczasem poszedł na wojnę, wykazując tym więcej odwagi niż ja kiedykolwiek w życiu, z uśmiechem na ustach. Wziął swoją nową strzelbę i sztywny, płócienny pas z nabojami. Po tym, co przeżył, wojna musiała mu się wydać łatwizną. Kiedy nasze drogi spotkały się ponownie, zanim Hari Mau i jego przyjaciele zabrali mnie do Gaonu, nie poznałem go.

— Widzisz upływ lat — szepnął mi wtedy do ucha Quadrifons. — Spróbuj o nim zapomnieć.

Wtedy od razu go rozpoznałem. Chciałem powiedzieć „Byłem tam, gdzie ty, ojcze”, ale wiedziałem, że odpowiedziałby. „Wkrótce dotrzesz tu, gdzie jestem, synu”, nawet jeśli jego słowa nie uformują tych słów. Ta świadomość odebrała mi odwagę. Nie odezwałem się.

Wijzer mnie ostrzegął.

Pracuj ciężko, Ściągnij. Pracuj dobrze i mądrze. Żyj wolny, jeśli zdołasz, i prowadź życie, którego nie będziesz musiał się wstydzić, kiedy spojrzysz wstecz. Ja się czasem wstydzę.

Twój dziadek nie był bohaterem. Był takim samym człowiekiem, jak ludzie, którzy spali ze mną i Hari Mau na bagnach Hanu, przemoknięci, zmęczeni i zbyt głodni, żeby grać bohaterów. A jednak kiedy zagrały nasze trąbki i zagrzmiały hańskie kotły, widziałem takich właśnie ludzi, jak stojąc przed chorągwią, strzelają, przeładowują broń i strzelają niezmordowanie dalej.

Ożenił się drugi raz i założył nową rodzinę. Mam małych przyrodnych braci, których nigdy nie widziałem.

Złapałem coś! Chyba całkiem ładna sztuka. Przewlokłem sznurek przez jej skrzela i wywiesiłem do wody, tak jak to robiliśmy na Jaszczurce. I tak jak zrobiłem na słupie z błękitkiem, którego Alga wypłoszyła na pokład.

Zostawiliśmy za sobą gaońskie pola uprawne, a to oznacza, że możemy już się nie martwić, że ktoś mnie rozpozna. Ostatni wóz, ciągnięty przez wodnego bawołu, widziałem dawno temu. Nadi płynie tu spokojniej, chociaż nie nazbyt leniwie. Jest jak kobieta, która śpiewa przy pracy.

Wieczorna Pieśń steruje w taki sposób, żeby trzymać się środka rzeki, gdzie nurt jest najsilniejszy; od czasu do czasu napiera całym swoim drobnym ciałem na wiosło sterowe.

— Łódka dobra — powtarza Oreb. I pyta: — Rybie głowy?

Na brzegach rosną wysokie drzewa, które zasłaniają mi górskie szczyty. Mam wrażenie, jakbym płynął wśród dzikich drzew na Zieleni, ale może to po prostu mgła zasnuła góry. Na chwilę przed tym, jak ryba się złapała, widziałem coś jeszcze ciekawszego: dzikowilk zszedł do wodopoju.

Ten whorl jest taki piękny, że moje biedne szare pióro milknie zakłopotane, kiedy próbuję o nim pisać.

To jest takie samo pióro, jakie pakowałem dla ojca w pęczki po trzynaście sztuk, wiążąc je — niezbyt mocno — miękką niebieską przędzą. Szkoda, że nie mogłem obejrzeć tego pęczka, zanim Wieczorna Pieśń rozpakowała pióra i przełożyła je do tego starego piórnika.

Naturalnie, sprzedawaliśmy również takie piórniki. Pamiętam, jak poszliśmy z ojcem do maleńkiej, mieszczącej się w szopie fabryczki, gdzie je wyrabiano. Patrzyłem, jak dwie kobiety smarują skórę i tekturę klejem, a potem kładą je do

nawoskowanych drewnianych foremek, żeby klej wysechł. Człowiek, u którego pracowały, zaproponował nam do wyboru piórniki czarne, brązowe lub w dowolnym innym kolorze, także białe. Należało jednak pamiętać, że piórniki szybko brudzi się atramentem, więc najlepiej, jak powiedział, wybrać jakiś ciemny kolor, żeby plamy nie rzucały się w oczy.

Ojciec zamówił czarne (takie jak ten, którego używam), żółte i różowe. Pomyślałem, że głupio wybrałem, ale żółte i różowe sprzedawały się najlepiej. Matki kupowały je dla córeczek uczących się w naszej palestrze.

Dlaczego toczyliśmy wojny, skoro ten whorl jest taki rozległy? Pewnie dlatego, że władcy mieszkają w miastach, tak jak ja mieszkam w Gaonie. Poddanych jest tylu i tylu (bardzo dużo), farm tyle i tyle (nieco mniej, ale i tak dużo), ale ludzie, farmy i zwierzęta są w istocie niewolnikami, chociaż nikt ich tak nie nazywa.

(Szpik też nie nazywał swojego skryby niewolnikiem, tak jak nie powiedziałaby tego o ludziach, którzy zanieśli mi na słup mąkę i jabłka).

Kupujemy i sprzedajemy, sprzedajemy i kupujemy, ale nigdy nie patrzymy na drzewa w lesie ani nie oglądamy zboczy gór. Gdybyśmy byli mądrzejsi, dalibyśmy wszystkim władcom z miast po nożu i kiju i powiedzieli, że z radością przyjmujemy ich z powrotem, kiedy zwiedzą cały whorl, tak jak Oreb go zwiedził.

Mogę opisać drzewo albo dzikowilka, ale nie cały Błękit. Może poeta by to potrafił. Ja nie umiem.

Nie mając nic do roboty poza łowieniem ryb i obserwacją powolnych zmian na rzece, rozmyślałam o moich synach, najczęściej o Kraicie na ładowniku. Złapali go i rozwarli mu siłą paszczę. Uratowałam go, a potem pomyślałam, że straciłam na zawsze, kiedy z innymi inhumimi zabarykadował się w kokpicie. Szkoda, że teraz nie ma go tutaj, na łodzi, ze mną i Wieczorną Pieśnią.

Wieczorna Pieśń pyta, czy może się zatrzymać, kiedy wypatrzy jakąś schodzącą do wody polankę. Mówi, że chciałaby usmażyć rybę i ugotować ryż. Na moje oko — jeśli w ogóle wiem coś na temat kobiet — chce raczej wypróbować garnki i patelnie, które dla nas kupiła. Jest ich tyle, że mogłaby na nich gotować dla całej załogi łodzi Strika. Zgodziłam się. Na pewno upłyną całe godziny, zanim znajdzie dogodne miejsce. Oboje zdążymy zgłodnieć.

Babbie na pewno był moim niewolnikiem. Mogłam wziąć go na targ i sprzedać. Nigdy jednak z tym nie walczył i w pewnym sensie uzyskał wolność: był wolny duchem. Był moim niewolnikiem, ale mógł uciec, kiedy płynęliśmy rzeką: wystarczyłoby, żeby skoczył do wody i dopłynął do brzegu. Nawiasem mówiąc, jeszcze łatwiej byłoby mu uciec przy którejś z licznych okazji, kiedy zostawiałem go na straży słupa. Nie lubił zostawać sam, ale bez sprzeciwu pilnował łodzi, jeśli mu kazałam.

Mógł być niewolnikiem, ale w głębi serca byliśmy towarzyszami podróży; dzieliliśmy się jedzeniem i pomagaliśmy sobie wzajemnie na każdym kroku. Ja mam lepszy wzrok, o czym pewnie nie wiedział; on szybciej biegał i pływał, a także lepiej słyszał. Miał ostrzejszy węch, ja zaś

umiem mówić, a mimo tego, co mówiła Alga, Babbie porozumiewał się bez słów. Zresztą to bez znaczenia. Był ode mnie silniejszy i o wiele odważniejszy. Poza tym mieliśmy sobie pomagać, a nie się przechwalać. Ciekawe, co by pomyślał o Orebie?

A Oreb o nim? Dobry stwór? Dobry hus?

Czy to jest Oreb, którego pokochałem? Oreb, który wrócił do mnie po ponad rocznej rozłące? Prawdziwy Oreb? Czy to naprawdę ten sam nocny kruk, z którym bawiłem się w dzieciństwie, czekając w sellarii Jedwabia na zasłużoną karę, która nie nastąpiła?

— Dlaczego do mnie wróciłeś, Orebie? — spytałem go.

— Znaleźć Jedwab.

— Nie jestem patere Jedwabiem, Orebie. Cały czas ci to powtarzam. Wszystkim to powtarzam. — Powinienem był kazać mu odszukać Jedwabia, ale chyba nie był w stanie. Musiałby zresztą w tym celu wrócić do „Whorla”, a ja nie chciałem go drugi raz stracić. — Gdzie byłeś, Orebie?

— Znaleźć bóg.

— Rozumiem. Znalazłeś Padwabia? Tak chyba nazwał go lekarz. Znalazłeś go i wróciłeś do mnie?

— Znaleźć Jedwab.

— Wiesz, że jesteś wolny. Patere Jedwab nie chciał cię trzymać w klatce, ja również nie zamierzam. Możesz odfrunąć i zniknąć wśród drzew.

— Dobrze lata! — Oreb przeskoczył z mojego ramienia na ramię Wieczornej Pieśni, demonstrując swoje umiejętności.

— Fakt, umiesz latać. To niezwykle osiągnięcie. Możesz kiedy chcesz wznieść się ponad chmury, tak jak my w statku

powietrznym z Trivigaunte. Zazdroszczę ci.

— Łódka dobra!

Zaproponowałem, że przejmę ster i dam Wieczornej Pieśni odpocząć, byle tylko zerknęła czasem na wędkę. Odmówiła.

— Ty się nie zatrzymasz nawet na najpiękniejszej polance. A ja jestem głodna.

— Nigdy nie jesteś głodna — odparłem.

Czasem musiała odczuwać głód, tak jak podczas naszej pierwszej rozmowy z hańskimi jeńcami, pojmanymi przez Hari Mau. Faktem jest jednak, że nigdy o tym nie mówi, a kiedy pytam, zaprzecza. Kiedy postawić przed nią pieczoną gęś, skubnie skrzydełko, ogryzie je do czysta i powie, że ma dość.

Jak tu się robi zielono po deszczu!

Zatrzymaliśmy się na obiad i postanowiliśmy dziś dalej nie płynąć. Wypłynęliśmy z Gaonu przed rozjaśnieniem. Wątpię, żebyśmy szybko znaleźli następne tak urocze miejsce na postój. Rzuciliśmy kotwicę przy maleńkiej wysepce, która przed porą deszczową była chyba częścią lądu. Podejrzewam, że rzeka okresowo całkowicie ją zatapia i zmywa drzewa, które próbują się na niej zakorzenić. Wysepkę porasta więc miękka trawa, przetykana kwiatkami we wszelkich możliwych kolorach, które rozkwitają zaraz po ustaniu deszczów i błyskawicznie wydają nasiona.

Oglądam je z bliska, trzymając nos dosłownie na cztery palce od miękkiej, czarnej ziemi, z której wyrosły. Skłamałbym, gdybym powiedział po prostu, że są niebieskie czy fioletowe. Mienia się wszystkimi odcieniami tych dwóch kolorów — niektóre są błękitne jak niebo, inne liliowe jak wieczór nad

morzem. Są też czerwone (mniej lub bardziej intensywnie), żółte, pomarańczowe, białe, białawe, a nawet rdzawe. Różowe i żółte wyglądają najładniej; kobiety, które kupiły piórniki w tych kolorach, dokonały słusznego wyboru.

Patrzę na śpiącą Wieczorną Pieśń i znów myślę o tym, że żółć i róż to najładniejsze barwy. Ugotowaliśmy obiad, zjedliśmy i kochaliśmy się pośród kwiatów. Skorzystam z tego, że śpi, i złapię jeszcze jedną czy dwie rybki. Zjemy je i pójdziemy spać pod gołym niebem, rano wstaniemy wcześnie i ruszymy dalej. Chciałbym mieć pewność, że Nowy Viron znajduje się na brzegu tego samego morza, do którego uchodzi Nadi. Myślę, że tak jest, ale nie wiem tego na pewno.

Północny zachód

Oreb znów jest ze mną. Nie wiem, jak to możliwe, ale dzięki niemu mogę sobie tu usiąść, rozetrzeć stopy i popisać, póki wystarczy mi papieru. Nie zacznę od tego, gdzie jestem i co się dzieje, bo nie wiem, gdzie jestem ani co się dzieje.

Tuż po zachodzie słońca poczułem ich skrzydła. Piszę „poczułem”, bo ich nigdy nie słychać. Latają bezszelestnie niczym sowy. Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem dwóch z nich. Unosili się tak wysoko, że padało na nich światło słońca, chociaż na naszej wysepce już zapadał wieczór.

— Stwory złe — oznajmił z powagą Oreb. — Stwory latać.

— Masz rację, to rzeczywiście złe istoty. Ale przynoszą dobre wieści. Hari Mau ruszył do natarcia.

Inhumi zaczęli mnie szukać, kiedy Hanowie poszli w rozsypkę.

— To niedobrze. — Wieczorna Pieśń pokręciła głową. Nie wiem, czy się bała, nie zdziwiłbym się, gdyby tak było, ale nic nie dała po sobie poznać.

— Przeciwnie, bardzo dobrze. Bo to oznacza, że możesz wrócić do Hanu, do rodziców.

— Nie!

— Zanim się urodziłaś, ja byłem już żonaty z Pokrzywą — zacząłem jej delikatnie tłumaczyć. — A zanim Wielki Han mi cię

podarował, poślubiłem jeszcze kilka innych kobiet. Nie jesteś mi nic winna. To ja mam u ciebie dług, ogromny dług.

Zacząłem zdejmować pierścienie z rąk.

Pogroziła mi piąstką.

— Jestem twoją jedyną żoną!

— Dobrze wiesz, że to nieprawda.

— A gdzie są inne, rajanie? Jakoś ich nie widzę!

Rzuciłem jej pierścienie na kolana i odmówiłem ich przyjęcia, kiedy próbowała mi je oddać. Pokrzyzczała trochę, ale w końcu schowała do kieszeni naszytej na rękawie sukienki.

— Do Nowego Vironu jeszcze daleko. Mogą nam się przydać — stwierdziła.

Przytaknąłem, ale pomyślałem sobie, że jeszcze dalej jest z Nowego Vironu do Hanu. Kiedy zdecyduje się wrócić, a byłem pewien, że nastąpi to bardzo szybko, będzie musiała opłacić z tuzin przewoźników.

— Dobrze — powiedziałem. — Dziękuję, że je przyjąłeś. Weź i to. — Podałem jej Choorę i miecz. — Może się okazać, że nim zapadnie noc, będziemy musieli stanąć do walki. Zrobisz z nich lepszy użytek ode mnie, a ja i tak mam azoth.

Mogłem postukać znacząco w zdobioną klejnotami rękojeść (Zewnętrzny wie, że miałem na to ochotę), ale nagle poczułem się słaby i chory.

— Widziałam ten twój miecz. Nie ma ostrza.

Odparłem, że może jeszcze przed rozjaśnieniem zobaczy jego ostrze, a wtedy ten widok wcale jej się nie spodoba.

— Walka zła — zakrakał Oreb.

Wiedziałem, że ma rację. Odczekają, aż będą mieli znaczną przewagę i — pewni zwycięstwa — rzucą się na nas w najmniej

oczekiwanym momencie. A ponieważ nie chodziło im o moją krew, lecz o życie, będą pewnie mieli igłowce i inną broń.

Kiedy siedzieliśmy przytuleni przy ognisku, Wieczorna Pieśń szepnęła: — Znasz ich sekret. Mógłbyś ich zniszczyć.

— To prawda. Nie mógłbym ich tak po prostu zabić, jeśli o to ci chodzi, ale wiem, co zrobić, żeby stali się zwykłymi zwierzętami, którymi kiedyś byli: bezmózgimi, ohydnyimi krwiopijcami, żerującymi w dżunglach Zieleni.

Zapatrzyłem się w żar ogniska, które przez całą noc podsycaliśmy. Przypomniało mi się, jak Krait wymknął się z nosa lądownika. Inni pasażerowie spali, a my płakaliśmy, przytuleni. Jego bladozielone śluzowate łyzy pobrudziły mi tunikę.

— Ojczy... Rogu?

Jego oddech pachniał jeszcze krwią. Krwią Tuza, jak się wkrótce okazało. Usiadłem, próbując zrozumieć, jak to się stało, że Ścięgno zmienił się w Kraita — albo Krait w Ścięgno.

— Śpią. Chciałem cię ostrzec.

— Krait? To ty?

— Wasi strażnicy, ugryzłem jednego. — Jego głos zadrżał.

— Rozumiem, i jeśli to któryś ze strażników, to sobie zasłużył. Ale Kraicie...

— Naszych też. My... Nie damy rady, ojczy. Brakuje nam dyscypliny.

— A tobie jest wstyd. I słusznie. Ale wygląda na to, że i my nie grzeszymy karnością.

— Ten-od-ognia, Ten-od-łuku i Ten-od-uroku strażują dla nas, ponieważ ich do tego zmusiliśmy. Ale kiedy robi się spokojnie i wszyscy śpią...

Jeden z moich ludzi poruszył się przez sen. Przez chwilę baliśmy się z Kraitem odezwać.

— Gdyby udało się wam zaatakować zniecka...

— Spróbujemy. Ryzykujesz życie, mówiąc mi o tym. Nie wiem, czy przekonam ich, żeby drugi raz cię wypuścili.

Chyba wzruszył ramionami. Krótkie słońce znajdowało się dokładnie przed dziobem lądownika i w komorze ładunkowej numer jeden panowała absolutna ciemność.

— Mają tylko dwa igłowce. W jednym powyginałem igły.

Wieczorna Pieśń potrząsnęła mnie za ramię.

— Musisz mi powiedzieć.

— Nie złamię obietnicy. Mój syn wyznał mi tę tajemnicę, kiedy umierał. Gdybym teraz go zdradził, musiałbym umrzeć tak jak on. Nie mógłbym żyć ze świadomością, że go zawiodłem.

— Powiedz tyle, ile możesz.

Nigdy przedtem mnie o to nie prosiła.

— O nim? Był inhum. Nazywał się Krait, a my z Algą nazywaliśmy...

— Alga to ta śpiewająca kobieta?

— Tak, chociaż w tej chwili nie śpiewa. — Usiłowałem zebrać myśli. — Na początku to było zwykłe kłamstwo, którym, uznaliśmy, że będziemy mogli się bronić w Wichote i Pajarocu, gdyby ludzie pytali, dlaczego Krait z nami przyplłynął. I pozostawało kłamstwem, dopóki jedynym zagrożeniem dla Kraita byłem ja, a on jedynym dla mnie. Po starcie lądownika wszystko się zmieniło. Przekonaliśmy się z Kraitem, że tylko nam się wydawało, że kłamiemy.

— Przytul mnie.

Już ją tuliłem, ale teraz przycisnąłem mocniej do siebie.

— Znajdowaliśmy się w przedziale ładunkowym. Nie był przeznaczony do przewozu pasażerów, ale dało się go hermetycznie zamknąć. Pewnie dlatego, że załoga przewoziła czasem zwierzęta. A inhumi musieli nas przewieźć żywych, bo martwi nie przedstawialiśmy dla nich żadnej wartości. Zajęli przednią część ładownika dla siebie. Mieli trzech niewolników, ludzi z Pajarocu, którzy nim kierowali. Niewolnicy mieli strzelby, a niektórzy inhumi igłowce.

Czekałem, aż zapyta o Pajarocu, ale się nie odezwała.

— Krait próbował zmienić tor lotu i skierować ładownik do „Whorla”, ale już było za późno. Obiecał mi, że inhumi nie wypiją mojej krwi ani krwi Ścięgna. Na Zieleni mieli tysiące niewolników, których krwią rzadko się żywili. Niewolnicy pracowali dla nich i walczyli.

Wieczorna Pieśń zadrżała w moich ramionach.

— Umierając, Krait wyjaśnił mi, dlaczego jej potrzebują. Ale widzisz, on nie chciał mi dać władzy nad inhumimi, jestem pewien, że się wtedy nad tym nie zastanawiał. Myślał raczej o tym, co nas połączyło, o naszych więzach krwi.

Wieczorna Pieśń nadal milczała.

— Przez bardzo długi czas ja też nie zdawałem sobie sprawy z tego, co powiedział. Gdybym zrozumiał znaczenie tego sekretu wcześniej, kiedy byliśmy ze Ścięgnem na Zieleni, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

— Nie płacze — wtrącił Oreb, siedzący mi na kolanie.

— Przepraszam, to silniejsze ode mnie. Może... Może jednak wiedziałem, co to znaczy. Ale Krait dopiero co umarł i czułem, że w pewnym sensie byłaby to zdrada. A potem ani się obejrzałem, jak już było za późno. — Zniżyłem głos do szeptu i dodałem: — Nadal czuję się tak, jakbym go zdradzał.

— Powiedz mi — mruknęła Wieczorna Pieśń. — Musisz mi powiedzieć, mój mężu. Mój jedyny kochanku. Powiedz mi to dzisiaj.

— Patrzyłem kiedyś, jak myśliwi używają wiklinowej podobizny tarzara, żeby na niego zapolować. Dwóch weszło do środka, dwóch innych schowało się za nimi. Inhum musieli zachowywać się podobnie, zanim Zaginiony Lud dotarł na Zieleń. Zmienili kształt i upodobnili się do zwierzyny, na którą polowali; wysmarowali się jej odchodami, żeby zamaskować swoją naturalną woń; nauczyli się wydawać takie same okrzyki i poruszać tak samo jak ich ofiary, żeby atakować z zaskoczenia, z najbliższej odległości.

Słyszałem właśnie, jak wydają ludzkie krzyki, albo krzyki bardzo do ludzkich podobne, kiedy porozumiewali się w powietrzu. Mieli cieniutkie, słabe głosiki. Byłem ciekaw, czy oni też mnie słyszą.

— Za mało troszczymy się o innych ludzi. Gdybyśmy się bardziej nawzajem kochali, wróciliby do swego poprzedniego stanu. Nadal uważalibyśmy ich za przerażające potwory, oni zaś nie przestaliby być niebezpieczni, tak jak tutejsze krokodyle są zawsze groźne. Ale nie byłiby gorsi od krokodyli.

— Czy to jest ten sekret?

— Nie, oczywiście, że nie.

Wiedziałem, że kołują nad naszymi głowami. Chwilami tak bardzo zniżali lot, że czułem na twarzy podmuch wiatru wzbudzonego ich skrzydłami. Doszedłem do wniosku, że bez problemu mogą nas usłyszeć, i postanowiłem bardziej się pilnować.

— Musisz mi powiedzieć! — uparła się Wieczorna Pieśń.

— Nie mogę. To bezsporny, oczywisty fakt. Oni wiedzą, że ja wiem. Udowodniłem im to. Wiedzą również, że ty nie wiesz; znasz miejsca pochówku pozostałych, ale nie znasz sekretu, za który byliby gotowi umrzeć. Muszą mnie zabić, tak im się w każdym razie wydaje, chociaż przysięgłem, że nie zdradzę ich tajemnicy.

Znów zaczęła protestować, ale zamknąłem jej usta pocałunkiem.

— Nie muszą cię zabić — powiedziałem, kiedy się do niej odsunąłem. — Nie w tej chwili. Gdyby zabili cię tak po prostu, bez powodu, mógłbym uznać, że przysięga mnie już nie obowiązuje.

To było kłamstwo — być może ostatnie kłamstwo w moim życiu, ostatnie z tysięcy. Oby tak było.

Oboje próbowaliśmy zasnąć, ale ja nie potrafiłem zamknąć oczu i nie patrzeć na inhumich, których niemal przy każdym oddechu widziałem na tle tarczy Zieleni. Po godzinie, może nieco później, wstałem i zawołałem ich (po imieniu: Jahlee, Juganu i tak dalej). Miałem nadzieję, że może uda nam się dojść do porozumienia, które pozwoli im nas oszczędzić. Nie odpowiedzieli ani nie przysiedli się do ogniska, chociaż ich zapraszałem. Zebrało się ich wtedy około dwudziestu.

Wróciliśmy na łódź i położyliśmy się w nadbudówce, w cieniu daszku ze słomianej plecionki, zostawiając ognisko swojemu losowi. Wieczorna Pieśń zasnęła niemal od razu, a ja się modliłem — nie uklęknąłem, chociaż wydawało mi się, że powinienem (daszek był za nisko) — leżąc na wznak obok niej. Od czasu do czasu wychodziłem z azothem w ręce, patrzyłem w niebo, przesuwając palcem po demonie i wczołgiwałem się pod daszek. Ze zmęczenia (a byłem wykończony, bo po

południu udało mi się zdrzemnąć tylko przez godzinę) wmawiałem sobie, że w ten sposób ochraniam nas. Ochraniam ją.

Mimo to miałem pełną świadomość, że nikogo nie obronię. W chwili, gdy, odkrywszy jej obecność, nie zawróciłem natychmiast do Gaonu, wystawiłem ją na śmiertelne niebezpieczeństwo. Dopóki płynęliśmy razem, jej życie wisiało na włosku.

Po jakimś czasie, który wydał mi się bardzo długi (po trzech, czterech godzinach, jak sądzę), zacząłem przysypiać i złapałem się na tym, że wołam Babbiego.

Przetarłem oczy. Musiało mi się coś śnić i mówiłem przez sen. Przetoczyłem się na brzuch, dźwignąłem na łokcie i kolana. Inhumi zniknęli. Nie mam pojęcia, skąd o tym wiedziałem, ale byłem tego całkowicie pewien.

Wyczołgałem się z nadbudówki. Ognisko przygasło i gdybym nie wiedział, gdzie szukać, w ogóle bym go nie zauważył. Oreba też nie było nigdzie widać. Przestraszyłem się, że inhumi mogli go zabić.

Ktoś na brzegu zawołał Babbiego po imieniu, a ja nagle zrozumiałem, że woła do mnie. Wcześniej nie zwracałem na to uwagi, ale ludzie nazywali mnie czasem także „Jedwabiem” lub „Rogiem”. Ten, kto mnie wzywał, znajdował się gdzieś niedaleko; nawoływał mnie z uporem, bardziej natarczywie niż Alga. Próbowałem przebić wzrokiem cień pod najbliższymi drzewami, ale daremnie.

Miałem na sobie spodnie z zatkniętym za pas azothem Hiacynta. Włożyłem tunikę i czarną togę augura, którą Oliwin znalazła dla mnie na dnie jakiejś zapomnianej szafki. Zostawiłem pończochy, szarfę i wyszywaną klejnotami

kamizelkę. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zabrać jeszcze sztyletu i miecza, chociaż na razie jestem za słaby, żeby ich użyć, ale głos z lasu nawoływał mnie cały czas i nie chciałem tracić czasu na błahostki. Dobrnąłem do brzegu i puściłem się truchtem przez las. Mam przy sobie piórnik, na którym piszę nieskładnie opowiedzianą historię mojej porażki, i garść drobiazgów, które znalazłem w kieszeni togi.

Oreb nalega, żebym wstał i wyszedł. Zaraz to zrobię. Nie wiem, może zabłądziliśmy. Próbowałem iść na północny zachód, bo gdzieś tam musi być Nowy Viron, i wydaje mi się, że nie zboczyłem z drogi.

Następny postój. Tym razem spędzę noc w zagłębieniu między korzeniami drzewa, na mój gust identycznego jak te, które rosną na Zieleni. Inaczej mówiąc, tutaj nazwalibyśmy je olbrzymem. Będę pisał dopóki wystarczy dziennego światła, zostały mi jeszcze trzy... nie, cztery kartki. Nie mam jak rozpalić ognia, nie mam nic, co mógłbym ugotować. Ostatni raz jadłem dwa dni temu, z Chotą. Nie jestem głodny, ale boję się, że opadnę z sił.

Jeśli inhumie mają mnie tu znaleźć i zabić, niech i tak będzie. Nie mam nic więcej do dodania.

Żegnaj ponownie, Pokrzywo. Zawsze Cię kochałem. Żegnaj Ścięgno, mój synu. Niech cię Zewnętrzny błogosławi, tak jak ja Cię błogosławię. Pamiętaj swojego ojca i zapomnij naszą

ostatnią kłótnię. Żegnajcie, Racico i Skóro. Bądźcie grzeczni i posłuszni matce, aż dorośiecie. Szanujcie ją.

Znalazłem go w lesie. Siedział w cieniu pod drzewem. Nie zauważyłem go, było za ciemno, ale uklęknąłem przy nim i położyłem mu łeb na kolanie, a on mnie pogłaskał.

Minęły kolejne cztery, może nawet pięć dni. Znalazłem w lesie chatkę (nie wiem, jak inaczej mógłbym nazwać to miejsce). Mieszka w niej dwoje dzieci. Mówią o sobie „Brat” i „Siostra” i nawet jeśli kiedyś mieli inne imiona, nie pamiętają ich. Pokazały mi, gdzie pochowały matkę.

Brat i Siostra przygarnęli nas i podzielili się z nami całym swoim jedzeniem. Nie było tego wiele. Zbierają jagody i inne owoce, tak jak to robiła Alga; Brat poluje czasem z takim drągiem do rzucania. Najpierw chcieli zabić Oreba, ale potem ich zabawiał.

Używając ich noża — czyli ostrego kawałka krzemienia — wyciąłem sobie przyzwoity kij i zrobiłem z niego oścień na ryby. Taki sam miał syn Tego-od-owiec. Brat zaprowadził mnie nad strumień, z którego biorą wodę do picia. Udało mi się upolować trochę ryb.

— Musisz stać zupełnie nieruchomo i cicho — tłumaczyłem mu. — I czekać, aż ryba podpłynie. Niech ci nawet mięsień nie drgnie, kiedy czekasz, ale potem uderzaj błyskawicznie.

Ja dni błyskawicznych uderzeń mam już za sobą; zresztą chyba w ogóle je przegapiłem. Chybiłem, na co Brat roześmiał się (ja zresztą też) i pobiegł z powrotem. Przyszła za to Siostra i

przyglądała mi się z podziwem. Złapałem dla niej rybę, którą zgodnie nazwaliśmy dużą, chociaż wcale taka nie była. Nieco dalej strumień rozlewa się w małe jeziorko. Tam upolowałem następną. Dałem spróbować Siostrze, a ona trafiła jeszcze dwie — w tym największą ze wszystkich czterech. Brat upolował ptaka, niewiele mniejszego niż Oreb, tak że zrobiliśmy sobie prawdziwą ucztę.

Tak minęło kilka dni. Obciąłem długie, ciemne włosy Siostry, splotłem z nich sznur i założyłem sidła na wydeptanej przez zwierzynę ścieżce (Brat mnie na nią zaprowadził), przypomniawszy sobie, jak przed laty Ścięgno objaśniał działanie sideł Pokrzywie. Złapał w nie naszego kota.

Kiedy wczoraj się rozstaliśmy, poszli za mną. Dziś ich nie widzę. Mam nadzieję, że bezpiecznie wrócili do domu. Szczerze mówiąc, bałem się, że ściągnę na nich uwagę inhumich, chociaż od tamtej okropnej nocy na Nadi nie widziałem ani jednego.

Zostało mi bardzo mało papieru.

Śniło mi się, że Świnia, Ogar i ja schowaliśmy się przed deszczem w opuszczonym domu. Wydawał mi się znajomy, więc poszedłem się po nim rozejrzeć. Dostrzegłem zegar — ten duży, który stał w kącie w mojej sypialni w Gaonie. Wskazówki były złożone na godzinie dwunastej. Wiedziałem, że jest południe, nie północ, chociaż za oknami zalegał mrok. Kiedy się odwróciłem, zegar się otworzył i wyszła z niego Oliwin.

— Mieszkałeś tu z... Mieszkałeś tu z Hiacyntem — powiedziała.

Hiacynt stała obok mnie na słońcu. Ścinaliśmy pokrzywy, roszące wokół malw. Miała czternaście albo piętnaście lat i była oszalamiająco piękna, ja jednak skądś wiedziałem, że jest poważnie chora i niedługo umrze. Kiedy się do mnie uśmiechnęła, obudziłem się. Przez długi czas nie mogłem otrząsnąć się z myśli, że Hiacynt nie żyje.

Teraz to wspomnienie trochę zbladło. Kiedy piszę te słowa, pierwsze światło dnia prześwieca przez liście.

Przeczytałem większość tego, co napisałem, ale nie wszystko. O wielu rzeczach należałoby napisać mniej, o kilku więcej. Tak jak o uśmiechu Hari Mau, który rozświetla jego twarz. O tym, jak Hari Mau promienieje, kiedy sprawy przybierają coraz gorszy obrót.

Nie ma nic o pierwszych dniach wojny, kiedy zostałem ranny. To znaczy jest, ale stanowczo za mało.

Nic o moim śnie, w którym zła, mściwa Scylla przemawiała głosem Oreba. Obudziłem się z niego z krzykiem, czym ogromnie wystraszyłem Brata i Siostrę.

— Okno! — krzyczałem. — Okno! Okno!

Nic o walce na lądowniku, a była to walka okrutna. Inhum — Krait i reszta — zabarykadowali się w nosie, a my musieliśmy walczyć z tymi, którzy jeszcze im wierzyli. Było ich ośmiu, może dziewięciu; niektórzy wahali się, przechodzili na naszą stronę, potem wracali. Próbowaliśmy przemówić im do rozsądku, ale tylko dwóch udało nam się przekonać. Skończyło się na tym, że musieliśmy ich zaatakować, żeby nie dołączyli do

inhumich. Poprowadziłem natarcie. Byli ludźmi tak jak my, kto wie, czy nie najlepszymi z nas wszystkich.

Z całą pewnością nie można odmówić im odwagi: w życiu nie widziałem ludzi, którzy walczyliby z takim poświęceniem i determinacją. Umierali, wierząc, że wracają do „Whorla”. Po dziś dzień im tego zazdroszczę.

Gdyby Ściągnio został z Algą, tak jak go prosiłem, zostawiłbym walkę innym. Nie brałbym w niej udziału. Ale był tam ze mną i wszystko widział, więc przed jednoosobową publicznością odgrywałem generał Miętę: popędziłem im na spotkanie z maczetami w rękach, drąc się na pozostałych, żeby biegli za mną. Potem byłem tak przerażony, że nie mogłem zasnąć. A kiedy wreszcie przedarliśmy się do nosa, było za późno. Lecieliśmy na Zielień i nic nie mogło tego zmienić.

Myślałem, że przy Bracie i Siostrze poczuję się młodszy, tak jak przy dziewczynie, ale gdzie tam. Czułem się stary, okropnie stary! Twierdzili, że widują czasami członków Zaginionego Ludu; podobno ci im czasem pomagają. Dobrze o tym wiedzieć. Zapytałem ich o Zaginionych Bogów. Odparli, że w lesie mieszka taki jeden, więc im o nim opowiedziałem. Powiedziałem zresztą znacznie więcej, także o sprawach, które powinienem był zachować dla siebie. Próbowałem im pokazać, jak należy się modlić, ale okazało się, że potrafią to robić, tylko nie nazywają tego w ten sposób.

To już ostatnia kartka.

Widziałem swoje odbicie w wodzie: oścień w ręce, rozwichrzone siwe włosy, pusty oczodół, pomarszczona, zatroskana twarz. Moje gaońskie żony nie mogły naprawdę mnie kochać, chociaż tak utrzymywały. Chandi znaczy „srebro”.

Wiem, że Chandi uprawiała własną politykę, ale to i tak nie było co — słyszeć, jak kobieta o jej urodzie mówi, że cię kocha.

— Jestem stary i wkrótce będę musiał cię opuścić, ale w życiu nie widziałem piękniejszej kobiety. Nie miej mi za złe, że cię zostawiam. Nie mogę zostać. Ona też by nie mogła. Piękne dziewczęta nieszczerze są. Tego mnie uczy doświadczenie.

Mam nadzieję, że dziewczyna z Hanu bezpiecznie wróci do domu, a rodzina przywitają z otwartymi ramionami.

Mało miejsca. Wstydzę się wielu rzeczy, które zrobiłem, ale nie tego, jak przeżyłem swoje żywoty. Złapałem piłkę i wygrałem mecz. Powinienem być ostrożniejszy, ale co by się stało, gdybym taki był? Co by się stało?

KONIEC TOMU I

KOLEJNY TOM
W DŻUNGLACH ZIELENI